

Ela Sidi

IZRAEL OSWOJONY

spectrum poleca

ELA SIDI

IZRAEL

OSWOJONY

Dla Ejala, Maćka i Kim
- bez nich ta książka by nie powstała



- Chodź pobawić się ze mną - zaproponował Mały Książę. - Jestem taki smutny...
- Nie mogę bawić się z tobą - odparł lis. - Nie jestem oswojony.
- Ach, przepraszam - powiedział Mały Książę. Lecz po namyśle dorzucił: - Co znaczy „oswojony”?
- Nie jesteś tutejszy - powiedział lis. - Czego szukasz? [...]
- Szukam przyjaciół. Co znaczy „oswoić”?
- Jest to pojęcie zupełnie zapomniane - powiedział lis. - „Oswoić” znaczy „stworzyć więzy”.

[...] Spójrz! Widzisz tam łany zboża? Nie jem chleba. Dla mnie zboże jest nieużyteczne. Łany zboża nic mi nie mówią. To smutne! Lecz ty masz złociste włosy. Jeśli mnie oswoisz, to będzie cudownie. Zboże, które jest złociste, będzie mi przypominało ciebie. I będę kochać szum wiatru w zbożu...

ANTOINE DE SAINT-EXUPÉRY

Mały Książę

(w przekładzie Jana Szwykowskiego)

O oswajaniu - od autorki

Izrael przedzielony betonowym murem, szczycący się najlepszą armią świata, rządzony przez generałów w stanie spoczynku, zapisujący swą historię starożytnym pismem w kierunku odwrotnym niż w innych językach świata. Miasta zbudowane na pustyni, tysiące kilometrów gumowych rzek sztucznie doprowadzających wodę pod każde drzewo. Oślepiające słońce, kamienie, popękana ziemia bez naturalnych lasów, wysokich gór, rzek i jezior. Państwo tysiącletnich tułaczy z całego świata liżących rany sprzed pół wieku i sprzed setek lat, szczycące się osiemnastoletnimi bohaterami, którzy zginęli wczoraj w obronie opuszczonego dzisiaj posterunku, ponieważ zmieniła się ekipa rządząca. Kraina, w której w czasach biblijnych chodziło się po wodzie i za życia wstępowało do nieba, a dzisiaj chałaty i bobrowe czapki mieszają się z przezroczystymi bluzeczkami. Wyspa wśród arabskich krajów i kultury tak mała, że trudno ją znaleźć na mapie. Bałagan, krzyk, kłótnie, czas, który zawsze się spóźnia, i przekonanie, że nie ma po co się martwić, bo Bóg czuwa nad swoim narodem i *ha'kol ihije be'seder* - „wszystko będzie dobrze”. Izrael - państwo żydowskie, stworzone z myślą o Żydach, rządzone przez Żydów, wspierane przez Żydów, broniące się pazurami przed zepchnięciem do morza.

Każda z izraelskich społeczności, wywodzących się z wielu kultur i tradycji, podzielonych z powodu różnych języków, zwyczajów, poglądów, stara się wytresować Medinat Israel według własnego modelu. I nikomu się to nie udaje. Izrael zraniony, nieufny i gotowy na wszystko, staje dęba, gryzie każdą uwięź i nie pozwala się ujeździć. To raczej on tresuje, niż jest tresowany. A kiedy jakiś zdesperowany śmiałek, który nic już nie ma do stracenia, spróbuje go okiełznać, trzymając się grzywy z całej siły i smagając szpicrutą, wtedy nie będzie mu dane dobrodziejstwo snu. Dniem i nocą czuwanie będzie jego chlebem powszednim, modlitwa do Jahwe jego wodą, a bronią siła mięśni wytresowanych w ucieczce i spoczynku na rozwalonych kirkutach w miejscu pożyczonym u kogoś za cenę życia.

Czy z takim krajem można się oswoić? Nie jestem pewna.

Wraz z latami upływającymi mi w Izraelu utwierdzam się w przekonaniu, że im bardziej się do niego zbliżam, tym lepiej rozumiem, że nie jestem w stanie go oswoić, choć patrzemy już sobie w oczy i wiemy, co znaczy nagłe prężenie mięśni czy zmiana pozycji. Izrael nie stał się dla mnie swojskim krajem, w pełni akceptowanym, miłym jak ciepłe kaptcie w zimowy dzień w izraelskich mieszkaniach bez centralnego ogrzewania, zbudowanych tak, by nie zatrzymywały ciepła. Nadal zachowujemy wobec siebie bezpieczną odległość, ale

niewątpliwie więź już nas łączy.

Moje spotkanie z tym krajem zmieniło mnie. Noszę po nim szramę. Dziś rana jest już zagojona. Traktuję ją jak medal za odwagę i pamiątkę z okresu, kiedy nasza wzajemna obcość budziła lęk, podejrzenia i nawet agresję. Izrael stał mi się bliski, a jego los bardzo ważny. Moje dzieci żyją z nim w przyjaźni. Dlatego wiem: aby się z nim oswoić, trzeba się tu urodzić, cierpliwie poznawać, przybliżać, poczuć zapach, wyczuć kształt, posłuchać głosu, posmakować słodczy i znieść gorzycz. Należy pamiętać, że nie z każdym lubi się spoufalać.

Chciałabym, aby moja książka pozwoliła czytelnikom postawić pierwszy krok w procesie osvajania się z Izraelem i Żydami bez idealizacji, ale również bez demonizowania, bo taka jest cena poznania.

Izraelski kalejdoskop

(zamiast wprowadzenia)

Od czasu, kiedy w Krakowie usłyszałam usłużnego hotelarza proponującego turyście „pokoiczek z widoczkim na Waweleczek”, jestem podejrzliwa wobec wszelkich zdrobnień. Dopiero jednak w Izraelu, gdzie zamieszkałam w 1991 roku, mogłam się uwolnić od niezręcznej, dziecinnej formy swojego imienia i lekkiego zażenowania, które zawsze mi towarzyszyło, gdy przedstawiałam siebie, dorosłą osobę, jako Elę. W Izraelu wszyscy mówią sobie po imieniu. Nie ma tu pań i panów, ponieważ kraj ten budowali w komunach zwanych kibucami syjonistyczno-socjalistyczni pionierzy, a ci nawet własnym dzieciom polecali zwracać się do siebie po imieniu, bo „mamo” i „tato” było zbyt mieszczańskie w ich mniemaniu. W Ziemi Świętej „Ela” nie dość że brzmi dostojnie, to jeszcze oznacza, ni mniej, ni więcej, tylko boginię, choć i... pistację. Nie będąc królową Anglii, swojego oficjalnego imienia - Elżbieta - używam tylko formalnie. Izraelczykom bardzo trudno je wymówić i gdy je słyszą, za każdym razem chcą koniecznie wiedzieć, czy w języku polskim są słowa jeszcze trudniejsze. Odpowiadam z dumą: „Oczywiście, spróbujcie powtórzyć za mną - w Szczepreszynie chrząszcz brzmi w trzcinie”.

Nazwisko po mężu, Sidi, krótkie i dźwięczne, nie komplikuje mi życia. Jest łatwe do zapamiętania i brzmi nowocześnie zarówno po polsku, jak i po hebrajsku. Co dowcipniejsi Izraelczycy, znając mój zawód, związany z komputerami, pytają: „Twoje nazwisko po angielsku pisze się CD, si-di, tak jak dyskietki do komputera, czy es-di? Tymczasem, aby wyjaśnić jego etymologię, trzeba sięgnąć setki lat w przeszłość. W bułgarskim, tureckim (żydowska prababcia męża przyjechała z Bułgarii przez stulecia będącej pod władaniem Turków) i arabskim oznacza ono zarządcę, dowódcę, władcę, pana. Tak więc, Drodzy Państwo, ten tekst pisze dla Was z Izraela Bogini Pani we własnej osobie. Powiecie - megalomanka! I, mimo pozorów, nie będziecie mieli racji. Po pierwsze, nie ja wybrałam sobie imię; uczynił to mój ojciec, kierując się podszeptem babci, Julii Romanowicz. Po wtóre, nim wyszłam za mąż, za mężczyznę noszącego jak order imię Ejał - oznaczające męskość i odwagę - nie wiedziałam, że wyjdę za mąż za Pana. Między nami mówiąc, gdybym nawet przed laty sprawdziła jego dowód osobisty i tak nie miałabym pojęcia, co oznaczają te wszystkie literki w kształcie kolczastego drutu, a teraz już jest za późno. Lubię swoje imię i nazwisko i nie chciałabym ich zmienić. Poza tym obecnie nikt tego ode mnie nie żąda,

podczas gdy moi znajomi Żydzi, masowo emigrujący z Polski do Izraela w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, często musieli to zrobić, aby zasymilować się w nowym środowisku. A że trudno im było wyrzec się polskiej części siebie, do tej pory są Karolem, Zenkiem, Henrykiem dla polskojęzycznych znajomych, a dla Izraelczyków - Jaronem, Danim czy Cwim. To właśnie oni mi opowiadali, że i w Polsce zdarzały się podobne sytuacje. Takie choćby jak mojego znajomego Judkego Goldsteina vel Romana Nowakowskiego, Żyda od wielu pokoleń, którego ojciec, zawodowy oficer, w 1944 roku z frontu przysłał żonie list:

Kochana Basiu, od dzisiaj jesteś już nie Leą Goldstein, tylko Basią Nowakowską, a nasz synek, od tej pory nazywa się Roman. Nie ma już Żydów i Polaków, są tylko towarzysze budujący światłą Polskę bez uprzedzeń rasowych i narodowościowych.

Zbigniew Nowakowski, Twój mąż.

List ten, choć autentyczny (zmieniłam tylko imię i nazwisko), przypomina mi o starym dowcipie:

Do urzędu stanu cywilnego przychodzi Żyd i mówi, że chce zmienić nazwisko.

- Na jakie? - pyta urzędnik.

- Chciałbym się nazywać Kowalski.

- A jak pan się nazywa teraz?

- Malinowski.

- No to dlaczego chce je pan zmienić?

- Bo widzi pan, jak mnie zapytają o poprzednie nazwisko, to chcę móc odpowiedzieć: Malinowski, a nie Goldstein.

Hebrajskie imiona Izraelczyków urzekają mnie. Niosą ze sobą posmak starożytnego świata. Nic w tym dziwnego, skoro we współczesnym Izraelu mówi się prawie tym samym językiem hebrajskim, którym posługiwano się na co dzień w czasach inwazji wojsk babilońskiego króla Nabuchodonozora na Jerozolimę, w 597 roku p.n.e. W nazwach własnych zachowało się wiele archaizmów wskrzeszonych po przeszło dwóch tysiącach lat. Tylko sobie to wyobraźcie: Arie, czyli Lew, oraz Zeew, Wilk, spotykają na ulicach Tel Awiwu swoich sąsiadów, czteroosobową rodzinę: mamę Aurę (Hila), z ojcem Świtem (Szachar), córką Światłem (Or) i synkiem Horyzontem (Ofek). Po drodze mijają panią Ptak (Cipora), która wybrała się do kawiarni, by tam posiedzieć w towarzystwie Wolności (Drora) i Nadziei (Tikwa), pijąc espresso podane przez Promień (Keren). Brzmi jak bajka? W Izraelu wydarza się ona powszechnie, podobnie jak wiele innych dziwów. *Ha'im ze moce chen be'ejnejchem?*, „Czy to wzbudza zachwyty w waszych oczach?”, spytałby po hebrajsku Izraelczyk. W moich

tak, choć nigdy nie planowałam swojego życia z dala od Polski i w najśmielszych wizjach mojej przyszłości Bliski Wschód nigdy się nie pojawiał. Zanim na stałe zamieszkałam w Izraelu, dwukrotnie przyjeżdżałam tu jako turystka i za każdym razem wyjeżdżałam z przekonaniem, że nie jest to kraj, z którym potrafiłabym się oswoić. Emigracja do Izraela po prostu mi się zdarzyła. Otrzymałam ją w ślubnym подарunku wraz z mężem Izraelczykiem.

Geneza książki

Przytrafiło się to właśnie mnie: nie-Żydówce, Polce bez pojęcia ani o historii, ani o tradycji judaizmu, który stanowi podstawę identyfikacji narodu żydowskiego i państwa izraelskiego, jedyne na całym świecie, w którym judaizm jest religią większości obywateli. Została mi dana możliwość, by przez ponad dwadzieścia lat uczyć się tej rzeczywistości od wewnątrz, z perspektywy gojki mieszkającej w społeczności Żydów[*] świeckich. Wyszła z tego doświadczenia osobista opowieść o nietypowej izraelskiej rodzinie - złożonej z Żyda, nie-Żydówki i dwójki dzieci - pokazuje współczesny Izrael, nie ten jednak z pierwszych stron gazet, ale ten zwykłych ludzi, którzy piszą dzieje kraju, stojąc w tłumie, nie zaś na jego czele. Moja narracja próbuje przybliżyć czytelnikom unikalną izraelską wielość światów pomieszczonych na małej przestrzeni: niejednorodnych, sprzecznych, kontrastowych i z sobą skonfliktowanych. A także wynikający stąd kalejdoskop postaw, poglądów i tożsamości Izraelczyków.

Nie jest to książka naukowa. Potrzebną do jej napisania wiedzę czerpałam przede wszystkim z wieloletnich bezpośrednich obserwacji, z wywiadów i rozmów z Izraelczykami, z książek, środków masowego przekazu i internetu. Pokazuje ona skrawek izraelskiej rzeczywistości[1], powszedniego Izraela małych i wielkich spraw, kraju, który jest nie tylko celem pielgrzymek wyznawców judaizmu, chrześcijaństwa i islamu czy stroną zbrojnego konfliktu izraelsko-palestyńskiego, ale i nowoczesnym, najbardziej rozwiniętym pod względem przemysłowym i gospodarczym państwem Bliskiego Wschodu.

Relikty przeszłości, takie jak *kapparot*, sięgająca czasów starożytnych ofiara z koguta, współistnieją tutaj z nowoczesnymi centrami technologii high-tech, plaża dla homoseksualistów sąsiaduje z plażą dla ortodoksyjnych, przestrzegających segregacji płciowej Żydów i nadal usłyszeć można, jak za przedwojennych lat w żydowskich miasteczkach w Polsce, nawoływanie *alte zachen*[2] płynące z zapchanego niepotrzebnymi rzeczami wozu ciągniętego przez wychudzonego konika. Tyle że w dzisiejszym Izraelu woźnica to przeważnie Arab, głos nagrany jest na płytę, a „stare rzeczy” to komputery, pralki

automatyczne i lodówki.

Religia i państwo

Chociaż społeczeństwo izraelskie w większości jest niereligijne, w Izraelu nie ma rozdziału państwa i religii. Judaizm jest religią państwową, a biblijne i talmudyczne prawa - zwłaszcza koszerności - przestrzegane są we wszystkich publicznych instytucjach: szkołach, restauracjach, szpitalach, sklepach, samolotach, w izraelskim wojsku, CaHaL-u[3], i parlamencie - Knesecie. W Izraelu sądy rabinackie, złożone wyłącznie z mężczyzn, rozstrzygają sprawy według liczących setki, a nawet tysiące lat praw religijnych. To one mają decydujący głos w sprawach małżeństwa i rozwodu - również Żydów świeckich.

Począwszy od popołudniowych godzin piątkowych aż do sobotniego wieczoru niemożliwe jest, poza Hajfą, w której mieszka społeczność mieszana arabsko-żydowska, i miejscowościami arabskimi, skorzystanie z publicznego transportu - jego funkcjonowanie zawiesza się na czas świętego szabat. W Jom Kippur w żydowskich miejscowościach wszystkie restauracje i sklepy zamknięte są na dwadzieścia pięć godzin, wstrzymana jest wszelka komunikacja na lądzie, w powietrzu i na morzu. Podczas obchodów trwającego tydzień święta Pesach nie kupi się pieczywa, bo jest to zabronione prawem religijnym respektowanym przez państwo, a ponieważ w tym okresie Izraelczycy prawie jednomyślnie wybierają się na wiosenne wycieczki, nie da się uniknąć stania w długich korkach na drogach prowadzących zarówno na północ, jak i na południe.

Przyjeżdżających do Izraela w Dniu Zagłady i w Dniu Pamięci mogą zaskoczyć niezrozumiałe sceny: nagle, o godzinie 10:00, w całym kraju zaczynają wyć syreny. Izraelczycy - emeryci, dzieci, kobiety i mężczyźni - stoją na baczność z pochyloną głową w miejscach, w których zastał ich dźwięk syren: na samym środku autostrady, w sklepach, w biurach, szkołach, na szpitalnych korytarzach, w zakładach przemysłowych, restauracjach i na ścieżkach w parkach. W tym momencie jezdnie z tysiącem unieruchomionych samochodów i zastygłymi obok nich sylwetkami ludzi bardziej kojarzą się z planem filmowym niż z prawdziwym życiem, przerwany na chwilę w hołdzie zamordowanemu w czasie drugiej wojny światowej Żydom oraz poległym w obronie ojczyzny żołnierzom i cywilom. Niektórzy ultraortodoksyjni i antysyjonistyczni Żydzi urządzają jednak w tych dniach w parkach radosne pikniki.

W Dzień Niepodległości Izraela, kiedy tańcami, pokazami sztucznych ogni i muzyką świętowane jest odrodzenie się narodu żydowskiego we własnym państwie, nieuznający

Izraela chasydzi[4] z dynastii Satmar ostentacyjnie palą flagi izraelskie, wywieszając w oknach własne - czarne, na znak żałoby; podobnie czynią w swoich miejscowościach ci Arabowie, dla których jest to dzień klęski Palestyńczyków.

Izrael wydumany i rzeczywisty

W Polsce nazwa „Izrael” natychmiast przywoła pewnie skojarzenie z konfliktem palestyńsko-izraelskim na Bliskim Wschodzie, o którym pisze się i mówi w telewizji, z pielgrzymkami, bożonarodzeniową pasterką w Betlejem, urodą okolic Morza Martwego. A ponieważ zdjęcia publikowane w mediach zwykle robione są na ulicach miast Autonomii Palestyńskiej, to właśnie one, wraz ze Starym Miastem w Jerozolimie, starożytną topografią Ziemi Świętej i scenami biblijnymi, stają się reprezentatywnym wyobrażeniem o współczesnym wyglądzie Izraela, mitycznej krainy pokrytej pustynnym piaskiem. Tymczasem jest to państwo w pełni nowoczesne, przypominające kraje europejskie i zarazem bliskowschodnie. Choć cierpi, podobnie jak cały Bliski Wschód, na chroniczny brak wody, na każdym kroku można w nim spotkać parki, skwery, sztuczne zbiorniki wodne i mozaiki kwiatów zdobiące pobocza dróg. Domy otoczone są bujną roślinnością, a popularne wśród Izraelczyków ogrody zakłada się nie tylko wokół prywatnych willi, ale również na dachach i tarasach wielu budynków. W całym kraju sadi się lasy i zagospodarowuje piaszczyste tereny, nawadniane przez skomplikowane, elektronicznie regulowane systemy wodne, najnowocześniejsze na świecie, pod uprawę kwiatów, owoców cytrusowych, tytoniu, bawełny, orzeszków ziemnych, warzyw i zbóż. Fikusy hodowane w Polsce w doniczkach tu rozrastają się do rozmiaru potężnych drzew. Wysadzone są nimi aleje wielu miast, a ich spadające owoce pokrywają chodniki grubą warstwą miąższu pozostawiającego trudne do wywabienia, podobne do smoły czarne plamy nieodwracalnie niszczące asfaltową nawierzchnię. Wzdłuż poboczy dróg obok fikusów rosną palmy daktylowe, akacje o żółtych, czerwonych lub fioletowych kwiatach, wielobarwne azalie i oliwki o srebrnozielonych liściach. Często spotyka się pochodzące z Australii eukaliptusy, które idealnie przystosowują się do izraelskiego klimatu i dlatego są niemal wszędzie.

W rzece Alexander, w okolicy Netanii, pływają olbrzymie żółwie wodne, a na północy, w dolinie Hula, raję ptaków, co roku w drodze z Europy do Afryki zatrzymuje się na krócej lub dłużej, wylęgając tu młode, ponad pięćset milionów (!) ptaków reprezentujących trzysta dziewięćdziesiąt gatunków. W pustynnym mieście, Micpe Ramon, zbudowanym na skraju przepaści, nad rozległym kraterem przypominającym Wielki Kanion albo powierzchnię

Księżycyca, pomiędzy blokami mieszkalnymi przechadzają się dzikie kozice; nad starożytnymi ruinami Gamli na wzgórzach Golan szybują stada orłów, a najdziwniejszą chyba cechą Ziemi Świętej jest to, że obok siebie rosną drzewa znane z krajobrazów Afryki, Europy, Australii i Azji. W tym samym czasie jedne z nich dopiero wypuszczają pączki, ciesząc się wiosną, inne już rodzą dorodne owoce, jak bywa to latem, jeszcze inne szykują się do „zimy”, pozbywając się liści tuż obok drzew kwitnących pierwszym kwieciami.

Zimą w Tel Awiwie nad Morzem Śródziemnym można spędzić miły poranek podobny do majowego w Polsce, przenieść się w listopadowy dzień, szargany porywistym wiatrem i oziębiany niskimi temperaturami w położonej na wysokości Zakopanego Jerozolimie i stamtąd, w ciągu czterdziestu pięciu minut, zjechać do najniższej depresji świata nad Morzem Martwym, aby w pełnym letnim słońcu kąpać się w śliskiej i oleistej w dotyku wodzie. Nazajutrz zaś na północy kraju można pojeździć na nartach na ośnieżonej górze Hermon (ostrzegam jednak przed wielogodzinnymi korkami).

Szczególnie ostrożnym trzeba być zimą nad Morzem Martwym - Jam ha'Melach, Morzem Soli, jak je nazywają Izraelczycy. Jeśli na pobliskich Wzgórzach Judzkich spadnie ulewny deszcz, to wyschnięte koryta okresowych rzek odżyją, napełniając się wodą. W terenie pozbawionym roślinności, gdzie występują nagie skały i płytka, gliniasta, drobnoziarnista gleba o niskiej infiltracji, woda nie wsiąka, tylko z dużą siłą spływa w dół, ku Morzu Martwemu, w skoncentrowanych, potężnych strumieniach wezbranych rzek. Powstałym w ten sposób wartkim prądom nie potrafią sprostać nawet ciężarówki. Woda, pojawiająca się nagle „znikąd”, zatopić może przejścia drogowe, zniszczyć mosty i porwać wszystko, co napotka na swojej drodze. Jeśli w tym czasie, korzystając z pięknej pogody nad Morzem Martwym, będziecie zwiedzać jeden z parków narodowych czy rezerwatów przyrody, możecie być narażeni na niespodziewane, okresowe pojawienie się wodospadów spływających z wysokości około ośmiuset metrów na grunt położony czterysta metrów poniżej poziomu morza. Powódź na pustyni, coś, co brzmi dla wielu ludzi jak science fiction, w Izraelu nie tylko że się zdarza każdego roku, ale i czasami zbiera śmiertelne żniwo.

Żyd, Arab, Izraelczyk

Kwestia tożsamości Izraelczyków żydowskiego pochodzenia - głównych bohaterów mojej książki - tych, którzy tu przybyli z każdego niemal kraju świata, są wyznawcami różnych odłamów judaizmu, mówią wieloma językami, różnią się od siebie mentalnością, zwyczajami, stosunkiem do religii, jest pogmatwana i niejednoznaczna. Dziś to oni i ich

potomkowie stanowią trzon (siedemdziesiąt pięć procent wszystkich mieszkańców) wciąż kształtującego się narodu izraelskiego. Obok nich, na tym samym terytorium, żyją mniejszości wyznaniowe i etniczne: druzyjska, beduińska (pięć procent) i arabska (dwadzieścia procent)[5]. Część Arabów uważa się za Palestyńczyków (większość ma obywatelstwo izraelskie), ale Izraelczycy wszystkich nazywają Arabami izraelskimi.

Sami Izraelczycy określają się poprzez przynależność do narodu żydowskiego i zarazem izraelskiego, a często i tego, w którym żyli oni sami i ich przodkowie urodzeni w diasporze, ponieważ są przekonani, że to opisuje ich tożsamość w specyficzny sposób. Na co dzień w miastach i wioskach zamieszkałych przez ludność żydowską, nie mówi się o sobie: „jesteśmy Żydami”. Zakłada się, że są nimi wszyscy i nie trzeba tego jakoś specjalnie podkreślać. (Niektórzy Żydzi potrafią bezbłędnie, po wyglądzie, sposobie zachowania i akcencie, rozpoznać arabskich mieszkańców Izraela, co dla postronnych obserwatorów stanowi nie lada wyzwanie).

W wielu zasadniczych kwestiach, takich jak stopień religijności determinujący styl życia, poglądy polityczne, mentalność, stosunek do gojów, czyli nie-Żydów, i kwestii palestyńskiej, jedna izraelska rodzina (a nawet poszczególni jej członkowie) może diametralnie różnić się od drugiej mieszkającej za ścianą w tym samym budynku, w tym samym mieście. Kategoria „Żydzi w Izraelu” opisuje bowiem spektrum postaw, poglądów i stylu życia. Obejmuje nie tylko należących do ultraortodoksyjnego odłamu judaizmu pejsatych chasydów w czarnych kapotach i mitnagedów w garniturach, białych koszulach, czarnych kapeluszach, ale i Żydów, u których jedyną zewnętrzną oznaką żydowskości jest szydełkowa kipa. Żydami są modni dandysi z niepozorną kipą na głowie, nieróżniący się wiele w sposobie ubierania się czy w stylu życia od przeciętnego mieszkańca europejskiej metropolii, a także należący do narodu żydowskiego ateści oraz Żydzi przestrzegający tradycji judaistycznej, chociaż nie wszystkich praw religijnych. Izraelczyk-Żyd pochodzący z Maroka czuje się o wiele bardziej związany z tym, który urodził się w Iraku czy Algierii, niż z Izraelczykiem-Żydem europejskim. Żyd świecki lepiej zrozumie innego świeckiego Izraelczyka niż Żyda ultraortodoksyjnego. Z kolei ultraortodoksyjnym Żydom europejskim, odseparowanym od laickiego społeczeństwa, podzielonym na dwory chasydzkie i zwolenników różnych rabinów oraz przeciwstawiających się im mitnagedów, trudno znaleźć wspólny język z przedstawicielami ortodoksyjnych Żydów pochodzących spoza Europy. Zwolennik porozumienia z Palestyńczykami świetnie porozumie się z kimś, kto reprezentuje izraelską lewicę polityczną i będzie w ostrym konflikcie z Żydem osadnikiem na Zachodnim Brzegu.

Żyd homoseksualista swobodnie eksponujący swoją seksualność podczas parad miłości regularnie organizowanych na ulicach Tel Awiwu i Jerozolimy może zostać obrzucony kamieniami w ultraortodoksyjnym Bnei Braku. Kibucnik wychowany w socjalistycznej idei równouprawnienia i emancypacji kobiet z oburzeniem wysłucha głosu Żydów ultraortodoksyjnych domagających się separacji płciowej, a oficer izraelskich sił zbrojnych, Żyd należący do religijno-narodowego odłamu judaizmu, nie będzie miał w kwestii obronności kraju wiele wspólnego z tym Izraelczykiem, który zamiast pójść do wojska, przez całe dni studiuje święte księgi w oderwaniu od spraw doczesnych.

Niezintegrowane i podzielone wewnętrznie społeczeństwo izraelskie jednoczy się głównie w momencie zagrożenia egzystencji państwa. Zgodnie z religijnym nakazem, który głosi, że „wszyscy Izraelici odpowiedzialni są jeden za drugiego”[6], Izraelczycy pochodzenia żydowskiego są solidarni w poczuciu więzi etnicznej z innymi Żydami w diasporze oraz z Izraelczykami przebywającymi czasowo poza granicami państwa.

Izrael do wyborów 2013 roku należał do nielicznych na świecie państw, w których partie polityczne w kampanii przedwyborczej koncentrowały się nie na postulatach ekonomicznych[7], ale na kwestiach obronności i religii. Kiedy tu mówi się o lewicy politycznej, ma się na myśli świeckie partie opowiadające się za prawem Palestyńczyków do suwerenności i własnej ziemi; prawica zaś, zwykle w koalicji z partiami ultraortodoksyjnymi, jest w tej kwestii bardziej konserwatywna.

Wielość światów

W państwie emigrantów z całego świata ostre antagonizmy występują pomiędzy nowymi *olim chadaszim* a sabrami, czyli tymi, którzy usadowili się tu przez lata lub już się tutaj urodzili, a także tymi o jaśniejszej skórze a ciemniejszymi, pochodzącymi z krajów arabskich czy z Afryki. Szczególnie wyraźnie widać to na przykładzie Żydów z Etiopii mieszkających na słabo rozwiniętych peryferiach, gdzie jest wysoki wskaźnik bezrobocia. Badania przeprowadzone przez ekonomistów - Ezeza Sinibra, dziekana Wydziału Ekonomii w Wyższej Szkole Zarządzania oraz Gila Epsteina z Uniwersytetu Bar-Ilan - wykazały, że zajmują oni ostatnie miejsce na liście płac: zarabiają mniej niż izraelscy Arabowie, ich płaca wynosi mniej niż połowę średniej. Opublikowany w listopadzie 2009 roku na łamach niezależnego dziennika „Jedijot Achronot”[8] sondaż pokazuje, że pięćdziesiąt trzy procent pracodawców biur reklamy, banków i firm prawniczych nie zatrudniłoby pochodzącego z Etiopii Izraelczyka z wyższym wykształceniem, a siedemdziesiąt trzy procenty nie dałoby mu

awansu.

Olim chadaszim z zacofanych gospodarczo terenów Afryki, najtrudniej asymilujący się z izraelskim społeczeństwem, nierzadko stają się w Izraelu przedmiotem jawnej dyskryminacji. Niektóre placówki oświatowe nie chcą przyjmować ich dzieci, a bywa i tak jak w Kiriat Malachi, gdzie w jednej z nowoczesnych dzielnic w 2012 roku sto dwadzieścia rodzin podpisało porozumienie o niesprzedawaniu i niewynajmowaniu mieszkań Etiopczykom, uzasadniając swoją decyzję - jak to określił komitet mieszkańców - „brakiem higieny Etiopczyków” oraz faktem, że ich „obecność w dzielnicy przyczynia się do obniżki cen nieruchomości”[9].

Czasem ma się wrażenie, że łatwiej zrozumieć, kto jest przeciwko komu i dlaczego, niż kto jest z kim. Sami Żydzi są zresztą tego świadomi, czemu dają wyraz w autoironicznym dowcipie:

Na bezludną wyspę przy pływa statek i odnajduje tam Izraelczyka. Uszczęśliwiony rozbitek pokazuje kapitanowi, czego dokonał w ciągu dziesięciu lat pobytu na wyspie. Najbardziej chwali się trzema niepozornymi barakami.

- Proszę się dobrze przyjrzeć - mówi - tu zbudowałem trzy przepiękne synagogi.

- Trzy?!? - dziwi się kapitan. - Po co aż trzy?

- Jedna dla Żydów aszkenazyjskich, druga dla sefardyjskich, a trzecia to ta, do której nie jestem gotów wejść za żadną cenę.

Izraelscy Żydzi od wieków podzieleni są na dwa główne odłamy: aszkenazyjczyków - Żydów pochodzących z Europy Środkowej i Wschodniej, oraz sefardyjczyków - wywodzących się z Półwyspu Iberyjskiego (czyści sefardyjczycy) oraz głównie z obszaru państw arabskich położonych w Afryce Północnej, na Bliskim Wschodzie, w Azji Środkowej. Każda społeczność ma swojego naczelnego rabina, każda inaczej chwali tego samego Boga, a głębokie różnice między nimi ukształtowała odmienność etniczna, kulturowa i mentalna. Aby lepiej zrozumieć tę odrębność, należy spotkać się z sefardyjczykami i aszkenazyjczykami przy jednym stole. W domu moich znajomych, Żydów z Polski, na pytanie, czy chcesz coś zjeść, przyjęte jest odpowiadać: „Nie, nie jestem głodny”. A po głębokim namyśle dodawać: „Może jednak szklanek wody?”.

U mamy mojej przyjaciółki z Maroka nikt nie pyta, czy ktoś jest głodny. Gości od razu sadza się za stół i częstuje obfitym obiadem, spożywanym wraz z liczną rodziną gospodarzy, sąsiadami, bliższymi i dalszymi krewnymi. W domu aszkenazyjczyków przebojem stołu jest *gefilte fisz* (jidysz), ryba faszerowana, zwykle karp, szara, delikatna w smaku, zanurzona w trzęsącej się galarecie, ewentualnie z dodatkiem ugotowanej marchewki

przypominającej tę, jaką podaje się w pierwszych zupkach niemowlakom. W domu sefardyjskim gwiazdą stołu jest rybna potrawa zwana *chraime*, zwykle przygotowywana z ryby o poetyckiej nazwie „księżniczka Nilu”: dramatycznie czerwona od sosu z pomidorów i czerwonej papryki, doprawiona mnóstwem przypraw, paląca usta i pachnąca intensywnie kolendrą.

Aszkenazyjska pani domu wystawia na stół bogatą zastawę, świeczki, kwiaty i zaledwie kilka, tych samych co zawsze, potraw. Broń Boże, nie za dużo, by się nie zmarnowało. Goście zamiast rozmawiać - celebryją jedzenie i słuchają koncertu. Stół sefardyjskiej gospodyni ugina się od rozmaitego rodzaju kolorowych sałatek, zwykle ostro przyprawionych, kilku gatunków mięs, ryb oraz obfitości rozmaitych kolorowych dodatków. Nieważne, czy potrawy stać będą w garnku na stole lub zostaną wyłożone na papierowe talerze. Koniecznie musi ich być dużo, by wszyscy mieli w czym wybierać, czuli się nasyceni i głośno wychwalali dania oraz pracowitą gospodynię, która zawsze gotowa jest pracować dzień i noc, aby zadowolić innych.

Wszyscy Izraelczycy są co do tego zgodni: jeśli nawet kuchnia aszkenazyjska nie odwołuje się do powonienia, a sefardyjska zabija smak, to obie dopełniają się wzajemnie, tworząc mieszankę prawdziwie izraelską.

Wybrakowane puzzle

Powstałe w 1948 roku młode państwo emigrantów z całego świata nadal tworzy się i ciągle zmienia. Mówi się tu w trzydziestu trzech językach. Język hebrajski i arabski mają rangę języków urzędowych, ale bez problemu można się też porozumieć po angielsku i rosyjsku. Za to na kurs jidysz[10] jedzie się do... Polski. Pogmatwany, zdeintegrowany Izrael zadziwia, fascynuje i prowokuje spreczne opinie. I choć wszystko to przywodzi na myśl wybrakowane puzzle, okazuje się, że owe niepasujące do siebie kawałki, upchnięte w jednym pudle, układają się, o dziwo, w niepowtarzalną całość.

Kontrasty występują w każdym państwie. W Izraelu, i to jest ewenement, są one przewodnią zasadą rzeczywistości uporządkowanej według nakładających się na siebie konfliktów. Jak w anegdocie, w której do rabina przychodzi ze skargą na swojego aszkenazyjskiego sąsiada Żyd sefardyjski. Rabin po wysłuchaniu go oświadcza: „masz rację!”. Wkrótce pojawia się u niego aszkenazyjczyk z kontrargumentami. Rabin i jemu przyznaje rację. Przysłuchujący się całemu zdarzeniu uczeń rabina zwraca się z pretensją do swego nauczyciela: „Rabbi nie można jednocześnie przyznawać racji dwu przeciwstawnym

stanowiskom”. „I ty masz rację”, odpowiada na to rabin z pewnością w głosie.

Emigrantka z przypadku

Przepraszam, czy ktoś kiedykolwiek widział Żyda?

Pierwszego „Żyda” poznałam, mając kilka lat. Nazywał się Herod i jako król żydowski znany był pod przydomkiem Wielki[11]. Do czasu, gdy „grudniową porą” usłyszałam o dokonanej na jego rozkaz zbrodni - rzezi chłopców liczących nie więcej niż dwa lata - nigdy nie myślałam, że dorośli mogą się obawiać dzieci, i to w wieku niemowlęcym.

O drugim, powitym w żłobie synu cieśli z Nazaretu, do którego modliły się nawet osioł i wół, słyszałam przez całe życie, ale jakoś wbrew świadectwu ewangelistów Mateusza i Łukasza nie uważałam go za Żyda, ponieważ wedle mojej wiedzy jego matka była Królową Polski.

W liceum Żyd Jankiel w *Panu Tadeuszu* Adama Mickiewicza zagrał mi koncert. Na planie filmowym *Ziemi Obiecanej* Andrzeja Wajdy pierwszy raz zobaczyłam panów w czarnych chałatach z pejsami, a czytając Isaaca Bashevisa Singera wyobrażałam sobie, szczególnie po szczególe, żydowski świat synagog, furmanek z rozgadanyimi handlarzami, tańczących na ulicy chasydów, nawiedzone Rachele widujące szatana i pokutujących cadyków, czekających na Mesjasza. Odkryłam też „pasje utajone” żydowskiego lekarza, Zygmunta Freuda, i złowieszczą nazwę „Zagłada”.

Mając piętnaście lat, zakochałam się w kimś, kto pochodził z żydowskiej rodziny, choć był katolikiem. Nazywał się Bolesław Leśmian i pisał moje ulubione wiersze. On to pierwszy „zapodziały po głowę w malinowym chruśniaku”, pokazując mi „złachmaniałą pajęczynę”, wzbudził we mnie poetyckie emocje i przedstawił „garbatej śmierci”.

Kiedy studiowałam w Gdańsku, całymi dniami chodziły mi po głowie piosenki grającego na dachu skrzypka, a nocami, po lekturze pamiętników Ocalonych sceny z książek wracały do mnie tak realne, że byłam pewna, że to ja jestem zamkniętą w getcie Żydówką i zamiast śniegu spada na mnie z nieba białe pierze z rozprutych poduszek.

W moim ocenzurowanym dzieciństwie i młodości o Żydach nie pisało się zbyt wiele ani nie mówiło - przynajmniej w moim środowisku. Do dwudziestego trzeciego roku życia nie widziałam ani jednego żywego Żyda i nie znałam też nikogo, kto by go znał. Dla mnie

Żydzi, podobnie jak Rzymianie czy dinozaury, należeli do historycznej przeszłości. Byli mitycznymi postaciami, niegdyś żyjącymi w moim kraju, z którymi u początków czasu przymierze zawarł sam Bóg, a później nagle - tak jak to się przydarzyło Weiserowi Dawidkowi - zniknęli w tajemniczy sposób i już nigdy nikt ich nie widział aż do czasu, kiedy w Polsce zaczęto twierdzić, że każda osobistość znana z prasy czy telewizji ma żydowskie korzenie i kiedyś używała zupełnie innego nazwiska.

Przez lata studiów nawet przez chwilę nie przypuszczałam, że na wykładach przez cały czas siedziała niedaleko ode mnie, w środkowym rzędzie, owa tajemnicza istota zwana Żydówką. Nie ta opisana, namalowana, zagrana przez aktorów, tylko prawdziwa. Z krwi i kości. „Gdybyś się jej lepiej przyjrzała, pewnie od razu odkryłabyś sekret jej pochodzenia”, tak twierdzili znajomi studenci, pytając mnie z niedowierzaniem: „Naprawdę, że wiedziałaś, że ona jest Żydówką? Zasymilowaną, ale jednak! Przecież wszyscy o tym wiedzieli! Nie zauważyłaś semickich rysów twarzy?! Nie mogłaś jej przegapić! W końcu sto dwadzieścia osób na roku to nie aż tak wiele”. „Ależ jesteś roztargniona!”, wyrokowano i kręcono z dezaprobatą głową.

„Spotykałyśmy się tylko na wykładach”, próbowałam się tłumaczyć, jakby znajomość tego, kto jest, a kto nie jest Żydem, była regułą obowiązującą wszystkich Polaków i miała jakiegokolwiek znaczenie. „Jej nazwisko nie brzmiało po polsku, ale dla mnie było po prostu obce i tyle... Bo przecież wiecie...”, płątałam się nieprzekonująco. „Studiujemy w Gdańsku - mieście Niemców, a nie Żydów, więc czemu się dziwicie, że Goldberg[**] współgrało mi z kamienicami Zierenbergów, Schumannów, Uphagenów czy Steffensów oraz niemiecką nazwą miasta: Danzig?” Nie myślcie, że nie zauważyłam jej egzotycznej urody: falujących włosów, migdałowych oczu, podłużnego kształtu twarzy, mocno zarysowanych brwi i wąskiego, prostego nosa. Mnie kojarzyła się po prostu z bizantyjską Madonną z katolickich kościołów.

Moja „madonna” o imieniu Ewa w nowym semestrze często siadywała koło mnie na wykładach. Zaprzyjaźniłyśmy się. Pod koniec roku akademickiego, w uniwersyteckim barku, pomiędzy jednym a drugim łykiem herbaty, Ewa spytała:

- Może masz ochotę wybrać się ze mną na wakacje do Izraela? Jadę do mojej rodziny w Ramat Ganie. Załatwiłabym ci zaproszenie i nocleg w mieszkaniu krewnych z Tel Awiwu, którzy w tym czasie będą za granicą w Stanach.

Z wrażenia poparzyłam się herbatą. Cóż za pytanie?! Pewnie, że chciałam! Izrael wydawał mi się jednym z najbardziej egzotycznych miejsc na Ziemi, a Żydzi od lat mnie interesowali. Jak mogłam przegapić taką okazję?

Izrael po raz pierwszy

Kiedy pierwszy raz przyleciałam do Izraela, w 1989 roku, lotnisko im. Ben Guriona było małe, zatłoczone i przestarzałe. Funkcjonowało w tym samym miejscu od czasu, gdy je zbudowali Brytyjczycy w latach trzydziestych XX wieku, w okresie brytyjskiego mandatu nad Palestyną. Mogło wtedy przyjmować pięć, nie zaś szesnaście milionów pasażerów rocznie, i nie przypominało w niczym lotniska dzisiejszego, jednego z największych na Bliskim Wschodzie, nowoczesnego, zbudowanego z kamienia jerozolimskiego, szkła i stali nierdzewnej, z dwoma synagogami, trzema bankami, liczącą dziesięć tysięcy metrów kwadratowych powierzchnią handlową, dwudziestu czterema ruchomymi mostami powietrznymi łączącymi terminal lotniczy bezpośrednio z samolotami, zapewniającymi podróżnym wygodne przejście do budynku portu lotniczego.

Moje lądowanie w czasach przed ogłoszeniem przez Airports Council International lotniska im. Ben Guriona „najbardziej przyjaznym na świecie” było mniej komfortowe. Opuściwszy samolot, musiałam wsiąść do autobusu, aby podjechać do sali odpraw paszportowych. W Warszawie temperatura wynosiła osiem stopni Celsjusza i lało. Ubrałam się w wełniany sweterek z moheru w morskim kolorze, więc kiedy po przylocie stanęłam w drzwiach samolotu, uderzyła we mnie fala gorącego powietrza, jakbym otworzyła wrota piekieł. Instynktownie cofnęłam się do tyłu, nadeptując komuś na nogę.

„O! Mamy *szaraw*”, ze znanstwem skomentowała Ewa. „Znajomi pisali, że dzisiaj będzie wyjątkowo gorący dzień z wiejącym od pustyni suchym wiatrem. Zapomniałam ci o tym powiedzieć”, dodała usprawiedliwiająco, widząc moją szamotaninę ze swetrem. „Lubię słońce”, oświadczyłam niezbyt mądrze, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że akurat tego dnia z za grubej zasłony kurzu i drobniutkich cząsteczek piasku unoszących się w powietrzu słońca nie było widać. Byłam przerażona upałem o nieznaną dla mnie skali. To ma być suchy wiatr?, dziwiłam się, obserwując litry potu, jakie moje ciało wydzielало w zwariowanym tempie z każdego poru skóry. O, Boże, przecież ja tu umrę z gorąca!, pomyślałam i nie dając po sobie niczego poznać, z miną Angielki z Kolonii Indyjskich paradującej w skwarze w kilku warstwach sukna, zesłam na płytę lotniska w lepiącej się do ciała koszulce z długim rękawem. Już po chwili dostrzegłam angielskojęzyczny transparent nad wejściem do budynku portu lotniczego: *Welcome to Israel*, wiszący obok jakiegoś hebrajskiego tekstu, którego za nic nie potrafiłabym odczytać. Ewa przetłumaczyła na język polski archaiczną sentencję powitania, pasującą bardziej do czasów żydowskiego króla Salomona niż do epoki

nowoczesnego lotniska: *Bruchim ha'baim le'Israel* - Błogosławieni przybywający do Izraela. Byłam przekonana, że w państwie, do którego przyleciałam, wszyscy muszą być religijni i bogobojni.

Ustawiliśmy się do odprawy paszportowej. Obok nas w kolejce dla obywateli Izraela stała kobieta ubrana w staroświecką sukienkę z długimi rękawami. Najwyraźniej nosiła perukę, bo jej włosy o jednolitym kolorze zbyt idealnie były ułożone i sztywne, by mogły być prawdziwe. Towarzyszył jej pan z brodą i pejsami, w czarnych spodniach, czarnej kapocie, białych podkolanówkach i w kapeluszu na głowie. Trzymała za ręce dwóch podobnych do siebie chłopców w białych męskich koszulach z dziwnymi frędzlami ze sznurka po bokach. Kręcone kosmyki włosów, nieproporcjonalne długie w stosunku do całej fryzury, mieli założone za uszy, na głowach identyczne czarne, aksamitne jarmułki ze złotym wzorem. Wyglądali jak replika ojca z rysunków typu: „znajdź piętnaście szczegółów różniących jeden obrazek od drugiego”. Brakowało wprawdzie brody, kapelusza, chałatu i jakichś pięćdziesięciu centymetrów wzrostu, ale poza tym stanowili pomniejszoną kopię dorosłego mężczyzny. Byłam prawie pewna, że są Żydami. Najprawdziwszymi, takimi, jakich opisał Singer. Przypominali mi statystów z filmu historycznego.

- To Żydzi, prawda? - zwróciłam się szeptem do mojej towarzyszki podróży.

- Hmm - potwierdziła Ewa.

- A tamten chłopak w szydełkowej jarmułce na głowie, ubrany w dżinsy i niebieską koszulkę firmy Nike?

- Oczywiście, Żyd - odpowiedziała Ewa, nie rozumiejąc, o co mi chodzi. - Przecież jesteśmy w Izraelu! Prawie wszyscy ludzie w obsłudze lotniska i ci, których zobaczysz po wyjściu z niego, będą Żydami! Ci sprzedający w bufecie młodzi ludzie i ci sprawdzający bagaże, ta pani sprzątająca lotnisko i ci wszyscy kierowcy samochodów na ulicy.

Tylu Żydów w jednym miejscu?, zdziwiłam się w myśli. Przecież oprócz tamtej rodziny z kolejki oni nie wyglądają na Żydów! Gdzie podziały się „długie nosy”, druczane okulary intelektualistów, uduchowione, mistyczne oczy synów narodu wybranego? Dlaczego oni gołą się, zamiast zapuszczać brody mędrców i nie ubierają się w kaftany ani nie noszą jarmułek? Co to za dziwny język, którym mówią? Nie przypomina żadnego znanego mi języka!

Powoli docierał do mnie fakt, najbardziej chyba zrozumiały i w nikim oprócz mnie niebudzący zdziwienia: skoro to państwo żydowskie, właśnie Żydów można tu spotkać, i to masowo. Oczywiście zdawałam sobie z tego sprawę, ale jakoś nie utożsamiałam ich ze współczesnymi Izraelczykami. Izraelczycy byli dla mnie jakimś nowym tworem narodowym,

niemającym zbyt wiele wspólnego z polskimi Żydami, którzy kiedyś mieszkali w mojej ojczyźnie.

W Polsce nawarstwiło się wiele stereotypów i nieporozumień wokół mieszkańców Izraela. Jedni nie widzieli związku między Izraelczykami (nazywanymi przez nich czasami, zgodnie z biblijną terminologią, Izraelitami) a Żydami, traktując ich jako dwie różne kategorie narodowościowe. Drudzy stawiali znak równości między Izraelczykami a Żydami, przenosząc na Izraelczyków swoje poglądy dotyczące Żydów polskich. Ci zaś funkcjonowali w trzech stereotypowych perspektywach: „Żydów mitycznych” - narodu wybranego, wyjątkowego, wyidealizowanego; „Żydów - symbolu ludu uciskanego”, uniwersalnego dogmatu Ofiary i minionego świata zgładzonego w drugiej wojnie światowej; oraz „Żydów - kozłów ofiarnych”, obiektów ataków antysemitycznych, przedstawicieli dyskryminowanego narodu, który obarcza się winą za wszystkie możliwe niepowodzenia, własną frustrację, źle prosperującą gospodarkę, przegrane wybory, za śmierć Chrystusa. Odpowiadały temu trzy postawy wobec owych abstrakcyjnych Żydów (nie znało się ich wszak na co dzień, co uniemożliwiało realistyczną ocenę): idealizująca, oparta na fascynacji Żydami i bezkrytycznej ich gloryfikacji, przypisująca im cechy wręcz magiczne; chrześcijańsko-współczująca, wynikająca z empatii dla krzywdzonych, słabych i cierpiących; antysemitcka - agresywna, nacechowana nieufnością, obcością, strachem, wrogością i nienawiścią.

Pierwsze minuty mojego pobytu w Izraelu uświadomiły mi, że kwestia żydowskości i izraelskości jest o wiele bardziej skomplikowana i niejednoznaczna, niż mi się wydawało. Do słownika pojęć związanych z Żydami należącymi do narodu żydowskiego, którzy są wyznawcami religii mojżeszowej, musiałam dodać pojęcie „Izraelczycy” i to, jak oni sami swoją żydowskość rozumieją.

Zaskoczenie

Oglądanie Izraela z okna wiozącej nas do Tel Awiwu taksówki pogłębiało moje uczucie zawodu. Na ulicach nie było Beduinów na wielbłądach ani brodatych mężczyzn z pejsami na osiołkach. Przechodnie przypominali wielkomiejski tłum w Polsce. Jediną egzotykę, jakiej mogłam się dopatrzeć, stanowił niecodzienny dla mnie widok izraelskich żołnierzy i żołnerek uzbrojonych w amerykańskie karabiny maszynowe M16, a także młodych chłopców w sandałach, ubranych po cywilnemu, i dziewczyn wychodzących ze sklepów z plastikowymi reklamówkami, ale i z przewieszonymi przez ramię długimi, sięgającymi im prawie do kostek, karabinami noszonymi nonszalancko niczym rodzaj torebki.

Zanim wyruszyłam do Izraela, byłam przekonana, że jadę do pustynnego kraju, prymitywnego i zaniedbanego, z nielicznymi drzewami, bez nowoczesnych dróg i wieżowców. Reliktu przeszłości, w którym w każdej chwili może zacząć się wojna, gdzie więcej jest terrorystów i żołnierzy niż cywilów, a piękne czarnoookie kobiety w otoczonych palmami oazach na pustyni czerpią wodę do glinianych dzbanków.

Dopiero tu, na autostradzie, widząc samochody wszystkich światowych marek (w Polsce jeździło się w tym czasie fiacikami, a polonez wielu ludziom wydawał się luksusem), mijając nowoczesne budynki o śmiałej architekturze i luksusowe dzielnice willowe, zrozumiałam, że kraj z moich wyobrażeń niewiele ma wspólnego z Izraelem, jaki jawi się przed moimi oczyma. Zdumiona powiewającymi swobodnie z aut, domów i przydrożnych słupów flagami z Gwiazdą Dawida - mnie kojarzyła się ona dotąd z Szoah albo z aktami wandalizmu na kolejowych wiaduktach - oburzałam się w myśli: Skąd tu tylu antysemitów? Dlaczego się na to pozwala?

Mijając po drodze zielone pola i palmy, przypominające olbrzymie ananasy czy gigantyczne wyrastające ponad ziemię marchewki, mimo wszystko poczułam jednak powiew egzotyki. Miała cierpki i słodki jednocześnie zapach z kwaskowatą nutą. Trochę przypominał mi skoszoną trawę, papierówki tarte na jabłecznik i lekko mdłą słodkość gruszek.

- Co tak pachnie? - spytałam wiozącego nas taksówkarza.

- Gujawa - odparł, wzruszając ramionami, jakby było to oczywiste. - Co, jeszcze ją czuć? - zapytał, odwracając głowę w moim kierunku. W jego głosie nie było drwiny.

Jak mogłabym nie poczuć czegoś tak intensywnego?, myślałam. Zapach nachalnie wgryzał się w każdą rzecz. Nie potrafiłam zdecydować, czy go lubię czy nie. Mnie wydał się po prostu zapachem Izraela i dziwiłam się, że nie jest to aromat cytrusów.

- Tylko trochę - odpowiedziałam, siląc się na grzeczność.

- To taki owoc trochę podobny do guzowatej gruszki, prawda? - spytała Ewa.

- Uhm - potwierdził taksówkarz.

Popatrzyłam na nią z uznaniem. Ona wiedziała o tym świecie znacznie więcej niż ja.

- Piękna melodia, oparta na ćwierćtonach... typowo wschodnia! - zagadnęłam znowu taksówkarza, chcąc zaimponować Ewie swoją wiedzą.

- Takie właśnie lubię. Jestem z Iraku - ożywił się kierowca, młody chłopak o śniadej skórze w trykotowej koszulce z napisem YES.

- Z Iraku? - zdziwiłam się. - I jako Arab nie ma pan problemu ze znalezieniem pracy?

- Jaki Arab! Jestem Żydem! Mój ojciec był „więźniem Syjonu” - w głosie taksówkarza momentalnie odezwała się irytacja.

Żyd. Nie Arab!, zanotowałam w pamięci. Do tej pory wydawało mi się, że Żydzi głównie pochodzą z Polski lub Europy, a mieszkają w USA. Jakoś nikt mi nigdy nie opowiadał o Żydach z Iraku.

- A ta piosenka jest po hebrajsku?

- Po hebrajsku - odpowiedział trochę już uspokojony Izraelczyk.

- Piękna! Taka melodyjna, rzewna, romantyczna, trafiająca wprost do serca. Pewnie o jakiejś tragicznej miłości? - próbując udobruchać kierowcę, przesadzałam z pochwałami.

- Nie. To reklama środków przeczyszczających - zimnym tonem poinformował mnie taksówkarz, zmieniając program na wiadomości.

Miłość mieszka pod numerem drugim

Stałam właśnie przed drzwiami wejściowymi do budynku położonego naprzeciwko parku w Ramat Ganie. W rękę trzymałam małą karteczkę z adresem i nazwiskiem rodziny, u której miałam dorywczo pracować. Brakowało jednak numeru mieszkania. Tuż koło skrzynek na listy wywieszono wprawdzie spis lokatorów, ale nic z niego nie rozumiałam. Pisany był od prawej do lewej, znakami podobnymi do wyrytych na nagrobkach ludzi obcej wiary, mieszkających kiedyś w mojej ojczyźnie. Nie potrafiłam nic odczytać. Zapukałam do pierwszych zauważonych drzwi, do których framugi przymocowany był mały podłużny pojemnik, jak się później dowiedziałam, nazywany przez Żydów mezuzą. Otworzyła mi wysoka, szczupła kobieta o surowej twarzy i wąskich ustach. Nie rozumiała mojego polskiego ani rosyjskiego. Kiedy przeszłam na angielski, odwróciła się i zawołała: „Ejal!”. I najwidoczniej przez pomyłkę (wolę nie myśleć, że z innego powodu) zamknęła mi drzwi tuż przed nosem. Nie byłam pewna, co powinnam zrobić. Czekać czy sobie pójść? Co oznaczało słowo, które powiedziała? Brzmiało jak imię, choć równie dobrze mogło oznaczać cokolwiek innego. Na szczęście, nie musiałam zbyt długo się zastanawiać. Tym razem drzwi otworzył mi młody chłopak: wysoki, szczupły i chyba przystojny, choć nie mogę przysiąc; byłam zbyt onieśmielona jego spojrzeniem, by przyjrzeć mu się uważnie. Zapamiętałam tylko jego pociągłą fizjonomię, przypominającą Jezusa ze świętych obrazów, i brązowe oczy uważnie lustrujące moje szaroniebieskie. Tego dnia nie wyglądałam najlepiej: miałam mocno podkrążone po parnej nocy oczy, włosy zebrane byle jak w kucyk, byłam spieczona od słońca, ubrana w niezbyt atrakcyjną bluzkę ze śladami potu pod pachami i na dodatek bolała mnie głowa. Widocznie piłam za mało wody. Pewnie widzi, jak strasznie wyglądam, wyjaśniłam sobie jego przedłużające się milczenie i bezruch, żałując jednocześnie, że

zapukałam do tych, a nie innych drzwi. Stojąc tam, wstydziłam się sama przed sobą swego zaniedbania i kiepskiej znajomości angielskiego, który widocznie okazał się niezbyt zrozumiały, skoro chłopak nadal nie odpowiadał na powtórzone przeze mnie pytanie. Dopiero po chwili niezręcznej, wlokącej się w nieskończoność ciszy skinął głową i bez słowa poprowadził mnie na trzecie piętro, do mieszkania po lewej stronie. Zapukał za mnie i odszedł bez pożegnania.

Co za gbur!, pomyślałam, snob jeden! Nie wysilił się nawet na jedno życzliwe słowo czy uśmiech! Za kogo on się uważa? A może jest niemową?, skorygowałam swoje opinie i zrobiło mi się głupio, że mogłam tak źle pomyśleć o biednym kalece.

Już po latach, kiedy byliśmy małżeństwem i zapytałam Ejala, co sobie wtedy pomyślał o mnie w tej bluzce w wypłowiałym kolorze, odpowiedział mi zwrotem jak z książkowych romansów: „Kiedy tamtego dnia otworzyłem drzwi, zobaczyłem przed sobą najpiękniejszą dziewczynę, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem, i z wrażenia nie mogłem oddychać”. Było to jedno z najbardziej intymnych wyznań, jakich dane było mi wysłuchać (Ejal nie lubi mówić o swoich uczuciach i prawie nigdy tego nie robi). Nie wyjaśnił mi też przekonująco, dlaczego się wtedy do mnie nie odezwał. Może dlatego, że od zawsze był milczkiem? Do czwartego roku życia nie mówił, choć nie było po temu żadnych fizycznych, emocjonalnych czy psychicznych powodów. Być może wytłumaczenia należałoby szukać w postawie jego matki wychowanej w skromnej, ubogiej rodzinie brazylijskiego rabina, spędzającej czas w domu z dziećmi, która dobrze gotowała, dbała o czystość i schludne ubrania, ale przeciwna była wszelkim zbędnym odgłosom, wliczając w to muzykę, zwierzęta i mówienie wykraczające poza praktyczną konieczność.

Kiedy po kilku godzinach wyszłam na parking przed budynkiem, chłopak z pierwszego piętra wybrał się właśnie myć zupełnie czysty samochód. Przeszedł koło mnie, nie spojrzawszy nawet w moim kierunku. Podczas kilku moich kolejnych wizyt Ejal kręcił się koło swojego samochodu, sprawdzając olej, ilość powietrza w dętce, jakość dźwięku w samochodowym radiu i zawsze „właśnie” wychodził od siebie w momencie, kiedy pojawiałam się koło jego domu. Tego dnia podszedł do mnie z jakąś starą szmatą w rękę i z poważną miną, jakby miał do przeprowadzenia jakąś finansową transakcję, powiedział po angielsku (a jednak potrafił mówić!): „Jadę na zajęcia na uniwersytet do Tel Awiwu” (nieprawda, nie miał wtedy zajęć). „Może gdzieś cię podwieźć?”.

Tak, wykrztusiłam zaskoczona, nie wiedząc, jak wymigać się od propozycji. Z niechęcią wsiadłam do najczęściej spotykanego tam wtedy samochodu marki Subaru, nie przypuszczając nawet przez chwilę, że przypieczętowuję tym samym swój los i półtora roku

później, po wyjeździe z Izraela, spotkaniach z Ejalem w Polsce i podczas kolejnego pobytu w Izraelu, na własne życzenie wpakuję się w prawdziwą wojnę, z którą w dodatku jako nie-Żydówka nie będę miała nic wspólnego. No, prawie nic, bo Ejał oświadczył mi się dokładnie w przeddzień zbombardowania Iraku przez amerykańskie lotnictwo i pierwszej wojny w Zatoce Perskiej.

Wojna na własne życzenie

Giwatajim, gdzie wtedy wynajmowaliśmy razem z Ejalem małe mieszkanie, opustoszało. Izraelczyków na ulicach telawiwskiej metropolii, najbardziej zagrożonej atakami, prawie nie było widać. Wyjechali na prowincję, do rejonów graniczących z arabskimi osiedlami, gdzie podobno miało być najbezpieczniej. Ewa mieszkała już w tym czasie w Nowym Jorku jako żona Dava, amerykańskiego Żyda poznanego w Izraelu tego lata, kiedy przyjechałyśmy razem do Tel Awiwu. Znajomi Polacy, przeważnie pracujący w Izraelu „na czarno”, po pierwszej informacji o prawdopodobnym ataku wojsk irackich na Ziemię Świętą wrócili do Polski, podobnie jak wszyscy turyści. Ejał w wojskowym mundurze wyruszył na stanowisko przeciwlotnicze gdzieś koło Hadery. Władze Izraela, przewidując atak na swoje państwo, wszystkim pozostałym w rejonie zagrożenia mieszkańcom poleciły nie opuszczać domów wyposażonych w schrony. Po pustych ulicach miast wałęsały się tylko bezdomne koty.

W dzieciństwie przeżywałam wojnę w snach. Niemcy gonili mnie, torturowali, zamykali w obozach koncentracyjnych. Często budziłam się z krzykiem. Dziękowałam Bogu, że urodziłam się w 1965 roku i mój koszmar rozwiewa się rankiem. Tym razem nie śniłam jednak i byłam dosłownie sama. Bez rodziny, przyjaciół. Na obczyźnie. Samotne, beczynne dni spędzałam w pustym mieszkaniu, oglądając CNN. W tamtych dniach nie rozstawałam się z magicznym, tekturowym pudełkiem, w którym miałam maskę gazową, lekarstwa i zastrzyki z atropiny. Niepokoiłam się, ale mimo wszystko łudziłam, że Irak nie zaatakuje Izraela. Dlaczego miałby to zrobić?, przekonywałam sama siebie, przecież prowadzi wojnę z Iranem i ze Stanami Zjednoczonymi, a nie z Izraelem! Kiedy nad ranem obudziło mnie dudnienie, świst i wycie syren, wiedziałam już, że się myliłam. Dom się zatrzęsł. Bałam się, że za chwilę runie. Spadały pierwsze Scudy. Siedziałam w *cheder ha'atum* - pokoju specjalnie uszczelnionym na wypadek użycia broni chemicznej, słuchałam komunikatów radiowych i powtarzanego przejmującym głosem ostrzeżenia: *Azaka! Azaka! Hatkafat tilim al Israel!* Alarm! Rakietowy atak na Izrael! W chwili detonacji, stojąc w masce gazowej,

przyciskałam się plecami do ściany, próbując opanować drżenie mięśni. O wiele bardziej niż śmierci bałam się przygniecenia betonem i uwięzienia między zawalonymi stropami. Byłam młoda. Lubiłam tańczyć i nie chciałam być kaleką. W Polsce czekał na mnie syn, Maciek, ze zbyt pośpiesznie zawartego studenckiego małżeństwa, które szybko się rozsypało. Jemu byłam potrzebna.

Po każdym ataku na ulicach pojawiali się ludzie ustawiający się przed budkami telefonicznymi. Każdy chciał poznać los swoich najbliższych i jak najszybciej uciec w bardziej osłonięte miejsce. Ja nie miałam do kogo dzwonić. Ejał stale zajęty był na stanowisku przeciwrakietowym w Haderze, a oprócz niego nie miałam w Izraelu przyjaciół. Gdyby coś mi się stało, nikt by tego nawet nie zauważył. Dziesięciu dni i dziesięciu nocy, w większości spędzonych w dusznym *cheder ha'atum*, nigdy nie zapomnę.

Po powrocie Ejała nocne syreny wydawały się mniej złowrogie. Były już o wiele rzadsze i nie czyniły takiego spustoszenia jak na początku ataków, a później wszystko się uspokoiło. Ja jednak nie potrafiłam. Nie spałam po nocach. Kiedy zasypiałam nawet na krótko, budziłam się z krzykiem. W myślach wracały do mnie sceny z ataków i trudno przychodziło mi skoncentrować się na czymkolwiek. Syreny karetki pogotowia czy policji sprawiały, że oblewałam się potem ze strachu. Podrygiwałam nerwowo na dźwięk przekręcania kontaktu przy zapalaniu światła, dzwonka u drzwi czy cichego pukania. Było to nawet zabawne. Ja też sama z siebie się śmiałam, ale i zdarzało się, że ze śmiechu przechodziłam w nagły płacz. Byłam zmęczona Izraelem. Wiedziałam, że Ejałowi już nic nie grozi, i mogłam wyjechać bez poczucia dezercji. Wojna udowodniła mi, że Ziemia Święta nie jest dla mnie, a tym bardziej dla mojego syna właściwym miejscem.

Zaślubiny

Z objawów stresu pourazowego można się wyleczyć. Do miłości można próbować się nie przyznawać. Udawać, że się ją zapomniało, wymieniło na coś innego, mniej dramatycznego, zlekceważyło lub przepędziło argumentami o strachu, obcej religii, konieczności rozstania z bliskimi czy czymkolwiek innym. Czasami to się udaje, czasami zaś nawet najtrafniejsze i bardzo rozsądne argumenty nie pomagają. Mnie i Ejałowi przydarzyła się ta druga możliwość.

Ślub wyznaczaliśmy na czas, kiedy w Warszawie rozpoczynała się złota polska jesień. Mój importowany z Ziemi Świętej narzeczony - wysoki chudzina, z niedowagą dziesięciu kilogramów - jako żywo przypominał zięcia Tewjego Mleczarza z legendarnego,

reżyserowanego przez Jerzego Gruzę, w 1984 roku, przedstawienia *Skrzypka na dachu*, którym w czasach studenckich w Gdańsku kilkakrotnie się zachwyciłam. W dniu ślubu ubrał się w tureckie spodnie z modnymi szczypankami z przodu i w indyjską koszulę kupioną na bazarze pod Pałacem Kultury. Prawie dwukrotnie przepasał się polskim paskiem i w Urzędzie Stanu Cywilnego Warszawa-Wola stał z miną tak poważną, jakby właśnie zapadł na niego ostateczny wyrok. Zarówno granatowe paski, jak i zakładki na spodniach, mające optycznie poszerzać, nie sprawdziły się w wypadku Ejala. Co gorsza, dziwnie jakoś podkreśliły jego młodzieńczą, wiotką sylwetkę zakończoną okazałymi, białymi, amerykańskimi butami firmy Nike, w Polsce nazywanymi adidasami, w rozmiarze 47.

Na głowie Ejał miał szopę bujnych, falujących włosów tak pociągająco czarnych, że mój piętnastoletni brat, mysi blondyn (ten sam, który po latach ożenił się w Izraelu z Żydówką o włosach jeszcze bielszych niż jego), nie mogąc oprzeć się wrażeniu, „wypożyczył” sobie ich czerń i własnoręcznie ufarbował swoje proste jak druty włosy na upiorny kolor. A że przez pomyłkę wybrał trwałą farbę, przez jakiś czas straszyl trupim kontrastem i prawie pożegnał się z edukacją w szkole średniej...

Ja również w dniu ślubu bez problemu zmieściłabym się (ach, gdzie podziały się te czasy?!) w tej samej kategorii wagi lekkiej lub nawet piórkowej. Wyglądałam bowiem, by posłużyć się określeniem mojej babci, jak „śmierć na urlopie”. Ubrana byłam w poszerzane w talii spodnie, zdobyte w Hofflandzie po odstaniu w długiej kolejce, w oliwkowym kolorze symbolizującym ojczyznę mego wybranka, białą bluzkę z falbankami, bo jakkolwiek by było, w szkole nauczono mnie, że na ważne uroczystości przychodzi się w białej bluzce (a to w końcu był mój ślub), na nogach miałam sandały kupione w sklepiku w okolicy Hali Mirowskiej w Warszawie. Razem wyglądaliśmy tak chudo, młodo i biednie, jak potrafili wyglądać tylko studenci w początkach lat dziewięćdziesiątych. Po drodze na uroczystość zaślubin gojki[12] z Żydem kupiliśmy od ulicznej kwiaciarki bukiet za kilka złotych, a kiedy okazało się, że moja bratowa, Barbara, jedna z czworga zaproszonych przeze mnie gości, jeśli nie liczyć tłumacza, przysłała z piękną wiązką, zamieniłyśmy się i takim oto sposobem stałam się właścicielką misternie ułożonych kwiatów, które w zdenerwowaniu skubałam płatek po płatku.

Nasi goście: bratowa i trzech bracia (w tym jeden niepełnoletni, ów fałszywy brunet), na naszą prośbę wszyscy w koszulkach i dzinsach, pełnili bardzo ważne funkcje: dwóch było świadkami, trzeci - fotografem, a bratowa reprezentowała gości.

Jedyną osobą niepasującą do całości widowiska był tłumacz przysięgły z języka hebrajskiego, który za przywilej półgodzinnego uczestnictwa w uroczystości pobrał zawrotną

sumę stanowiącą równowartość całego mojego studenckiego stypendium wraz z rentą otrzymywaną po śmierci mamy, pozbawiając nas w ten sposób kłopotu zapraszania liczniejszego grona gości. Widocznie dla niego owa suma nie okazała się zbyt zachęcająca, bo w dniu poprzedzającym nasz ślub zadzwonił do mnie z oświadczeniem, że niezbyt dobrze się czuje i raczej woli zostać w domu, niż pałętać się po mieście, tłumacząc akt desperacji zwany też małżeńskim. Zaciskając grzecznie zęby, pożyczyłam mu zdrowia i poszłam wyplakać się do łazienki z powodu anulowania ślubu, który, między nami mówiąc, i tak miał być trochę „na próbę”. Ani ja, ani mój narzeczony nie za bardzo wierzyliśmy we wspólne życie, tym bardziej że z powodu nieukończonych studiów Ejala musiało ono, przynajmniej przez najbliższe trzy lata jego nauki, toczyć się w Izraelu. Mimo wszystko chcieliśmy spróbować.

Znalezienie w ciągu jednego dnia innego tłumacza z rzadkiego w tamtych czasach języka narodu wybranego było niemożliwe, a bilet powrotny Ejala, najtańszy, bez możliwości zwrotu, czekał już na niego z datą wyznaczoną na najbliższe dni. W sytuację wmieszał się jednak mój mniej ustępliwy narzeczony i przemawiając językiem biblijnym, przemieszonym z inwektywami zapożyczonymi ze wszystkich innych, jakie mu przyszły do głowy (to było jego najdłuższe w życiu przemówienie), doprowadził do cudownego wyzdrowienia chorego, który nazajutrz stawiał się w urzędzie bez żadnych oznak niemocy.

Czterdziestoletni pan w okularach, jak przystało na warszawski ślub zagranicznego narzeczonego wywożącego z Polski to, co miała najcenniejszego - piękną białogłową, ubrany był w trzyczęściowy elegancki garnitur z jedwabną chusteczką w kłapie, białą koszulę z krawatem i świeżące lakierki. Czekał obok nas na początek ceremonii, nawet przez chwilę pewnie nie pomyślał, że te dzieciaki obok niego to jego klienci, podobnie jak my nie mogliśmy sobie wyobrazić, że ten elegancki pan właśnie nas ma reprezentować.

Staliśmy więc obok siebie w korytarzu przed salą ślubów, nie podejrzewając siebie nawzajem o jakikolwiek związek i denerwując spóźnieniem drugiej strony, aż do momentu, kiedy cała uroczystośćomal nie została anulowana z powodu nieobecności obecnych.

Po raz kolejny ceremonia o mały włos, a nie doszłaby do skutku i nie skończyła się złożeniem podpisów na małżeńskim certyfikacie z powodu zupełnie nieplanowanego niepoohamowanego ataku śmiechu panny młodej i zarażonych nim gości, co przez urzędniczkę ze złotym łańcuchem na szyi zostało ocenione jako akt „znieważający urząd państwowy”. Na szczęście pan młody znów stanął na wysokości zadania. Z pomocą niezachwianej w niczym powagi i dostojeństwa tłumacza uspokoił srogą panią co do swoich poważnych zamiarów.

Szczęśliwie zaobrączkowani pożyczonymi od starszego brata obrączkami, udaliśmy się do „domu weselnego” - dwudziestodwumetrowej kawalerki Joasi, mojej koleżanki

poznanej podczas pierwszej wizyty w Izraelu, u której mieszkałam przez ostatnie wakacyjne miesiące z Ejalem i Maćkiem. Ucztę kulinarną, złożoną z ulubionych kotletów schabowych (pan młody nie miał z tym żadnego problemu), ziemniaków z koperkiem, surówki z kapusty oraz ciasta z cukierni pod blokiem, przyrządziliśmy własnoręcznie z Ejalem.

Niestety, czasami drogo trzeba płacić za popełnione błędy - i to właśnie zdarzyło mi się w dniu mojego ślubu. Kilka lat wcześniej byłam starościna na „prawdziwym” weselu mojego brata: z panną młodą w pięknej białej sukni, dziesiątkami gości, orkiestrą i całonocną ucztą z mnóstwem dań. Niefortunnie położywszy się o północy „chwilkę odpocząć”, nie pozwoliłam się już obudzić i bezczelnie przespałam całą miesiącami przygotowywaną „z pompą i paradą” celebrację nowego małżeńskiego stadła. Pamiętając mój wybryk, dwoje z czworga gości, śpiesząc do swego pierworodnego syna, opuściło mnie i mojego świeżo poślubionego męża i nie uraczyło się nawet wspaniałym obiadem, czego do dziś żałuje, i słusznie! Udał nam się bowiem wyjątkowo smaczny. Niestety, mój brat i bratowa nie wzięli też udziału w programie rozrywkowym zapowiedzianym na tę doniosłą uroczystość: spacerze do pobliskiego kina. Chcecie wiedzieć, jaki film grano w dniu mojego ślubu? Nie pamiętam. Z natłoku wrażeń zasnęłam w trakcie. Musiał chyba być dobry, bo do tej pory mój najmłodszy brat - weselny fotograf, ten od farbowanych włosów - wspominając tamtą uroczystość, patrzy na mnie z podziwem, kręci głową i mówi: „Siostra, to było WESELE!”.

Odmiana losu

Moje stare życie zmieściło się w dwóch torbach. Oprócz ubrań, wiecznego pióra, kałamarza z niebieskim atramentem, znalazły się w nich zdjęcia, ulubione książki i osiemnaście czarnych talerzy. Nigdy takich wcześniej nie widziałam w sklepach. Nie porcelanowe, tylko ceramiczne, nie okrągłe, tylko kwadratowe. Ich szokująca na białych obrusach czerń, niepokryta lakiem, chropowata, matowa i gęsta, miała w sobie jakby drugi wymiar pod warstwą farby. Wydawało mi się, że gdybym ją zaczęła rozdrapywać paznokciem, odkryłabym jakąś nową barwę, niewidzianą przez nikogo przede mną. Nie próbowałam jednak tego robić, ponieważ jestem dość praktyczną osobą, która przeważnie nie niszczy już pierwszego dnia swoich zakupów, choć czasami zostawia je gdzieś po drodze do domu, a gdzie - nawet nie potrafi sobie przypomnieć.

„Czarny anioł” - tak nazywał się zestaw, o czym informowała naklejka na spodzie. Nie wiem dokładnie, dlaczego nie tylko go kupiłam, ale i straciłam dla niego cenne kilogramy, na które mogłam sobie pozwolić, opuszczając Polskę i lecąc do Izraela. Talerze

zdawały się idealnie pasować do mojej nowej rzeczywistości: oryginalne, zaskakujące, intrygujące swoim czarem. Wyzwalały we mnie uczucie ekscytującego oczekiwania z domieszką strachu, neutralizowanego z pomocą specjalnie kupionego na okazję przeprowadzki albumu zatytułowanego *Układanki kwiatowe*. Wyobrażałam sobie, że w Izraelu będę mieszkać w domu z dużym ogrodem i codziennie rano stroić pokoje mojego domu buketami świeżo zerwanych kwiatów.

Kontrola bezpieczeństwa przed lotem na Okęciu była jak zwykle nieprzyjemna. Choć nie miałam nic do ukrycia, czułam się zdenerwowana i niepewna. Układając po kontroli rzeczy w walizkach, myślałam o tym, że znów, mimo złych doświadczeń, jadę do kraju formalnie w stanie wojny z wieloma państwami arabskimi, w tym z prawie wszystkimi sąsiadami. Wszak wiedziałam już, że rakiety spadające na domy w Izraelu to nie jest jeszcze jedna wiadomość w telewizji gdzieś z końca świata; one są rzeczywiste i dotyczą miejsca, gdzie zamierzam mieszkać. Lot do Izraela kojarzył mi się raczej z samobójstwem niż z podróżą poślubną. Pomyślałam o obietnicy Ejala, że po studiach spróbuje znaleźć pracę w Polsce i tam zamieszkamy. Popatrzyłam na trzymany w ręku bilet w jedną stronę i weszłam na pokład samolotu.

Przez cały lot do Tel Awiwu zastanawiałam się nad moim nowym życiem mającym się rozpocząć w Izraelu u boku mężczyzny (nazwałam go tak trochę na wyrost), który na wzór bohatera brazylijskiej opery mydlanej postanowił dla mnie walczyć ze swoim światem, by ten przyjął do własnego grona gojkę o odmiennej mentalności, pochodzącą z innej kultury i innego narodu, który, jak powiedział były premier Izraela Icchak Szamir, „antysemityzm wysłał z mlekiem matki”. Gdyby ktoś wtedy uważniej przypatrzył się Ejalowi, trudno by mu było w nim dostrzec, mimo tego imienia, odważnego bohatera, mędrca posiadającego monopol na prawidłowe odpowiedzi czy zuchwałego Don Juana, pożeracza serc niewieścich. Mój dwudziestoczteroletni mąż nie był też typem hipisa, który może spać ze swoją ukochaną pod gwiazdami, ani rozpieszczonym jedynakiem żydowskiego milionera. Był studentem ekonomii, przeciętnym chłopakiem z niedowagą i grzywą czarnych włosów, przekonany, że przez przypadek znalazł sobie do kochania kogoś nie bardzo odpowiedniego, wręcz problematycznego - Polkę z kraju kojarzącego mu się z obozami koncentracyjnymi i ze spadkiem po socjalistycznym reżimie.

Swojej miłości był pewny, wątpliwa wydawała mu się za to rzeczywistość, w jakiej miał od tej pory żyć, opuściwszy dom rodziców, z kobietą i jej synem, mówiącymi w niezrozumiałym dla niego języku (ale czy jakikolwiek mężczyzna jest w stanie zrozumieć kobietę?). Nie potrafił jasno i pewnie odpowiedzieć ani sobie, ani jej, na wiele pytań: czy

poradzą sobie finansowo - on jeszcze bez zawodu, ona niepotrafiąca nawet zapytać o drogę w języku kraju, w którym ma mieszkać? Gdzie będą pracowali? Za co żyli? Czy jego rodzice zaakceptują ją jako jego żonę bez ślubu pod chupą[13]? Czy jego żona będzie miała wystarczającą motywację, by schować do szuflady ciężko zdobyty dyplom magistra filologii polskiej nieprzydatny w Izraelu i nauczy się nowego zawodu, jednocześnie pracując, by mieć pieniądze na utrzymanie? Czy znajdzie nowych przyjaciół, pokocha święta bez śniegu i najbliższej rodziny siedzącej wokół stołu? Czy przestanie tęsknić za starym krajem? Zadomowi się w kraju, w którym szansę na deszcz ma się tylko czasami przez cztery zimowe miesiące, a przez resztę roku słońce tak praży, że ucieka się od niego jak od zarazy? Jak zaaklimatyzuje się jej syn? A jeśli nawet wszystkie odpowiedzi będą pozytywne, to czy oni okażą się parą na całe życie? Czy potrafią zbudować szczęśliwy dom i pozostać w nim aż do śmierci?

I ja, i mój mąż nie dość, że nie byliśmy pewni siebie i trwałości naszego związku, to jeszcze solidarnie wręcz wątpiliśmy w optymistyczną przyszłość rozpoczętą w Warszawie zaślubinami gojki z Żydem - aktem miłości, ale i biurokratyczną formalnością konieczną dla mojej emigracji. Z naszej niewiary wynikło postanowienie o zachowaniu tajemnicy: przez jakiś czas, rok, dwa (?) będziemy próbowali żyć razem, bez obrączek i przede wszystkim bez wtajemniczenia w nasze małżeństwo rodziców Ejala mających poważne obiekcje wobec ewentualnego ślubu najstarszego syna z nie-Żydówką, i to obarczoną dzieckiem (moi nie żyli, nie mogli ani nas pobłogosławić, ani być nam przeszkodą). Postanowiliśmy: jeśli będzie nam ze sobą dobrze, to wyjawimy wszystkim, że jesteśmy małżeństwem, jeśli nie, a tak pewnie się stanie i to szybko - trudno. Każde pójdzie swoją drogą i już!

Sekret

Nie wszystko w życiu da się przewidzieć. Któż mógłby pomyśleć, że pewnego dnia ojciec Ejala, leżąc na fotelu dentystycznym u rodzinnego stomatologa, z ustami ubezwłasnowolnionymi klamrami i znieczuleniem, zostanie zaskoczony gratulacjami z powodu dobrego stanu uzębienia (nie licząc górnej czwórki) swojej synowej, o której nie wiedział, że istnieje, a jego żona, Rina, pojawi się bez zapowiedzi w wynajętym mieszkaniu syna z hummusem, jego ulubionym daniem, kupionym okazji w Jafie, i otworzywszy drzwi, niezamknięte na klucz, zostanie przywitana na progu przez tę samą dziewczynę, która szczęśliwie dla niej wyjechała z Izraela kilka miesięcy wcześniej do swojego kraju, a teraz, nie spodziewając się wizyty żadnych starszych pań, będzie stała przed nią tak, jak ją Pan Bóg

stworzył, i na dodatek, śmiertelnie przestraszona, zaczęła histerycznie krzyknąć przy wtórze głosu teściowej, nie mniej od niej zdesperowanej.

A wszystko dlatego, że tego dnia było nam wyjątkowo gorąco i Ejaj postanowił wyskoczyć do sklepu po lody - mieliśmy się nimi wzajemnie ochładzać. Ja zresztą wcale nie byłam naga. Na szyi miałam potrójny sznur czerwonych koralów, kupionych dzień wcześniej na arabskim bazarze w Jerozolimie, podobnych do tych, jakie ofiarowała mi kiedyś mama mojej mamy, podkreślając, że to „prawdziwy koral”, uważanych za „prostackie” przez mamę ojca. Mnie się jednak podobały - i te, i tamte. Kiedyś pasowały do mojej czerwonej plisowanej spódniczki, a teraz, w Izraelu, do czerwonej szminki, którą malowałam usta dla Ejajala. Poza tym do drzwi, nawet otwartych i nawet tych należących do własnego syna, trzeba pukać!

Kiedy wreszcie udało nam się przestać wrzeszczeć na siebie z szeroko otwartymi z przerażenia oczami i podniesionymi rękami, moja teściowa, powiedziała coś nerwowo do mnie po hebrajsku i wyszła z mieszkania, zapominając o zostawieniu hummusu. Chyba miałam wtedy szczęście, że nie zrozumiałam, o co jej chodziło.

Znajomość z Riną od pierwszego spotkania nacechowana była nieufnością i brakiem porozumienia. I ona, i jej mąż (nie potrafię sobie przypomnieć, aby kiedyś odezwał się do mnie bezpośrednio) nawet wtedy, gdy oboje już wiedzieli, że pobraliśmy się z Ejalem, zachowywali się tak, jak gdybyśmy nadal nie byli małżeństwem i starali się trzymać ten fakt w sekrecie. My również podtrzymywaliśmy iluzję, mając nadzieję, że we właściwym momencie przyjdzie rozstrzygnięcie.

Pierwszy i jedyny raz rodzice Ejajala przyszli nas odwiedzić razem dopiero w kilka lat po ślubie, podczas choroby Ejajala. Przenieśliśmy się już wtedy z ulicy Weizman w Giwatajim, z jednopokojowego mieszkania w starym, zaniedbanym budynku, na sąsiednią ulicę Ben Cwi, do wynajmowanego, nowo wybudowanego trzypokojowego mieszkania z widokiem na ostatnie zielone wzgórze w mieście. Było to tuż po tym, jak pewnego sobotniego wieczoru młodszy brat mojego męża, uczeń liceum, niespodziewanie zaczął dobijać się do naszych drzwi. Kiedy przerażeni otworzyliśmy, Niw, nie patrząc się na mnie, złapał Ejajala za koszulę i potrząsał nim histerycznie, krzyjąc: „Ojciec płacze!!! Wszystko przez ciebie!”. Ejajal tak jak stał, w filcowych kapciach, wybiegł z bratem na deszcz. Patrząc przez okno, widziałam go śpieszącego do samochodu, jakby od każdej mijającej sekundy zależało czyjeś życie. Myślałam, że nie wróci. Wrócił, nie powiedziawszy nawet słowa o tym, co się wydarzyło w domu jego rodziców.

Za każdym razem, kiedy wchodziłam do naszego nowego mieszkania, czułam się wybranką losu i to nie tylko dlatego, że wygraliśmy jego wynajem, konkurując z sześciu

innymi parami, które chciały w nim mieszkać (okolica była zielona, budynek nowiutki o wysokim standardzie i niewygórowanym czynszu, stąd takie duże zainteresowanie). Mój syn Maciek, którego pobyt w Izraelu właśnie zalegalizowano, przyznając mu status stałego rezydenta, Maszi, jak nazwali go koledzy za sprawą blond włosów, miękkich i delikatnych, w dotyku przypominających jedwab, po hebrajsku *meszi*, mógł w nim wreszcie mieć swój pierwszy własny pokój.

Kim, moja i Ejala córka, przyszła na świat dopiero po dwunastu latach małżeństwa, w 2003 roku, w pierwszym własnościowym mieszkaniu, moim i Ejala, kupionym dzięki spadkowi po śmierci ojca Ejala. Kiedy widoczne z naszych okien wzgórze pokryło się budynkami nowej dzielnicy, nasza rodzina przeprowadziła się na drugą stronę tego wzgórza, do Ramat Ganu. Dopiero wtedy poczułam, że zaczynam oswajać się z Izraelczykami i Izraelem. Zanim się to jednak zdarzyło, upłynąć musiało wiele lat wzajemnej nieufności wynikającej przed wszystkim z faktu, że w kraju Żydów byłam nie-Żydówką. Godłem państwa, w którym żyłam, była menora - złoty świecznik z gałązkami oliwnymi i napisem „Israel”, od trzech tysięcy lat będący symbolem narodu żydowskiego; flaga - w formie białego prostokąta z niebieskimi pasami po bokach - wzorowana była na żydowskim szalu modlitewnym - tałasie, a podczas państwowych uroczystości śpiewano:

Dopóki w naszych dusz głębinie, Serce żydowskie żywo bije, Oko ku wschodowi się obraca, I do Syjonu wciąż powraca[14].

Dla matki mego męża - córki rabina, i dla ojca Ejala - potomka syjonistów budujących od czterech pokoleń Erec Israel, wierzących głęboko w to, że Żydzi potrafili obronić swój byt jako naród dzięki przestrzeganiu tradycji żydowskiej, a także niemieszaniu się z nie-Żydami, synowa gojka stanowiła zagrożenie dla wartości, w które wierzyli. Ich wnuki miały nie należeć do narodu żydowskiego, skoro ich matka nie jest Żydówką, a to, w latach dziewięćdziesiątych, przed przybyciem rzeszy Rosjan, w dużej części nie-Żydów, było bardzo trudne do zaakceptowania.

Ola chadasza

Rzecz jasna nie byłam w Izraelu jedyną Polką. W Strefie Gazy i na północy, głównie w okolicy Hajfy, mieszkały rodaczki, które wyszły za Arabów, w większości katolików, kiedy ci studiowali w kraju nad Wisłą. Były też żony żydowskich emigrantów (zwłaszcza z dwóch ostatnich masowych alii[15] Żydów polskich do Izraela z końca lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych). Zdecydowana większość z nich, by nie utrudniać życia sobie i swojej

rodzinie, przeszła jednak na judaizm lub zadeklarowała się jako Żydówki podczas załatwiania formalności wjazdowych.

W tamtych pierwszych latach swego małżeństwa nie mogłam wiedzieć, jak skomplikowana prawnie stanie się niebawem sytuacja nieżydowskiej partnerki Izraelczyka. Ja w kilka miesięcy jako żona Izraelczyka otrzymałam obywatelstwo izraelskie i dodatkowo status *ola chadasza*, nowej emigrantki, zapewniający mi, podobnie jak decydującym się na życie w Izraelu Żydom, wypłacaną co miesiąc pomoc finansową, świadczenia socjalne, półroczny kurs języka hebrajskiego, zwrot kosztów przelotu do Izraela, możliwość przywozu samochodu bez cła i podatku (w Izraelu obowiązuje stuprocentowy podatek od kupna samochodu), a także wysłanie kontenera z rzeczami (lub ekwiwalent pieniężny) oraz pożyczkę z banku na szczególnie dogodnych warunkach.

Wszystko to diametralnie się zmieniło wraz z masowym napływem emigrantów z Rosji, wśród których odsetek nie-Żydów okazał się najwyższy ze wszystkich alii, coraz częstszymi ślubami Izraelczyków z Filipinkami (zatrudnianymi do opieki nad emerytami i obłożnie chorymi) i z mieszkankami byłego ZSRR (w Rosji i na Ukrainie funkcjonuje wiele biur matrymonialnych, które specjalizują się w kojarzeniu takich par).

Odtąd zaświadczenie o zawarciu związku małżeńskiego już nie oznacza automatycznej rejestracji tego związku. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wydłuża procedurę uznania ważności ślubu do kilku miesięcy, żąda nie tylko standardowych dokumentów, ale i przedstawienia wiarygodnych i potwierdzonych „dowodów czystości intencji” zawarcia małżeństwa (podobna zasada obowiązuje w staraniach o zgodę na pobyt na podstawie związku partnerskiego z obywatelem Izraela). Aby małżeństwo nie zostało uznane za fikcyjne, para zobowiązana jest stawić się osobiście na spotkaniu weryfikującym realne istnienie związku, powtarzanym raz w roku przez następne lata aż do uzyskania statusu stałego rezydenta dla nieżydowskiego partnera.

Pod wpływem ultraortodoksyjnej partii religijnej Szas, dążącej do utrzymania przewagi tych, którzy podlegają kryteriom Prawa Powrotu i zachowania tym samym żydowskiego charakteru państwa, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych stara się w ten sposób nie dopuścić do zachwiania proporcji między Żydami a nie-Żydami, zwłaszcza do łączenia się posiadających izraelskie obywatelstwo Arabów z uchodźcami palestyńskimi i innymi Arabami - muzułmanami i chrześcijanami.

Nieżydowska partnerka Izraelczyka, zwykle o statusie turystki lub tymczasowej rezydentki, jeśli jest w stanie wraz z partnerem dowieść przed urzędnikami MSW raz w roku trwałości swojego związku i potwierdzić istnienie autentycznej więzi odpowiednią

dokumentacją (tą samą, którą należy przedstawić, by uwierzytelnić akt małżeństwa), ma szansę uzyskać obywatelstwo izraelskie i pełnię praw obywatelskich najwcześniej po czterech latach od oficjalnego uznania małżeństwa (w potwierdzonym konkubinacie - po sześciu latach).

Małżonkowie posiadający wspólne dzieci urodzone przed oficjalnym zatwierdzeniem związku małżeńskiego muszą starać się o sądowe potwierdzenie ojcostwa na podstawie badań DNA. Czeka się na te badania przeważnie pół roku (przeprowadzone prywatnie nie są respektowane).

Jeśli w okresie oczekiwania na naturalizację para się rozstaje, a izraelski partner nie stawia się na coroczne spotkanie w MSW lub oświadcza pisemnie, że związek został zawarty na fikcyjnych przesłankach, to proces zostaje automatycznie zatrzymany, a osoba starająca się o obywatelstwo pozbawiona prawa do rezydencji musi wyjechać, pozostawiając budowane do tej pory życie za sobą.

Sytuacja się jeszcze bardziej komplikuje, kiedy mieszana para wychowuje nieżydowskie dzieci z poprzedniego małżeństwa. Dzieci te do uzyskania pełnoletniości mają status turystów lub czasowych, a czasami stałych rezydentów. Kwestia ich prawnego pozostania w Izraelu jako dorosłych nie-Żydów staje pod znakiem zapytania, chyba że zdecydują się na służbę wojskową i na tej podstawie zostanie im przyznane obywatelstwo (dla osoby o statusie stałego rezydenta służba wojskowa jest obowiązkowa).

Cudzoziemska żona Izraelczyka w trakcie ciągnącego się latami przyznawania obywatelstwa jest całkowicie uzależniona od partnera i corocznego potwierdzania przez niego w MSW pozytywnego do niej stosunku. Zdarza się, że izraelska prasa informuje o wykorzystywaniu żon emigrantek, o wyłudzeniu pieniędzy, przemocy fizycznej i słownej oraz bezkarnej niewierności partnerów. Jeśli po kilku latach małżeństwo okaże się niewypałem, a kobieta zechce pozostać - nie będzie miała takiego wyboru. Kiedy dzieci w takim małżeństwie są obywatelami Izraela (mają ojca Żyda), deportacja matki może oznaczać trwałą rozłąkę: aby matka mogła wyjechać z dziećmi na stałe za granicę, konieczna jest zgoda ojca, chyba że inaczej postanowi sąd na podstawie przekonujących argumentów. Jeśli jednak dzieci tu się urodziły, tu mają rodzinę, przyjaciół, dom, ojca, mówią po hebrajsku, a kraj i rodzinę matki cudzoziemki znają tylko ze świątecznych wakacji, to nietrudno się domyślić, jaki byłby wyrok sądu, gdyby ojciec dziecka uparł się zostawić je w Izraelu.

Dochodzi też do sytuacji odwrotnych: państwo nalega na to, by matka wyjechała wraz z dzieckiem. Dzieje się tak zwłaszcza w przypadku pracujących w Izraelu kobiet, które zaszły w ciążę z izraelskimi partnerami. Zgodnie z obowiązującą procedurą pracownica z zagranicy,

która urodziła dziecko, nie może tu pozostać dłużej niż przez czas urlopu macierzyńskiego (czternaście tygodni), nawet jeśli nie przekroczyła maksymalnie dozwolonego prawem czasu legalnego pobytu, wynoszącego sześćdziesiąt trzy miesiące.

Od decyzji o wydaleniu można się odwołać do powołanej na początku lat dziewięćdziesiątych Międzyresortowej Komisji do spraw Humanitarnych zajmującej się badaniem wniosków o uzyskanie statusu prawnego. Komisji tak tajnej, że tożsamość jej członków jest nieznana, nieznane są kryteria jej decyzji, komisji, o której nie wiadomo, kiedy i czy w ogóle obraduje (informacje te nie są oficjalnie opublikowane). Na decyzje czeka się latami. Większość wniosków zostaje odrzucona, często bez podania przyczyny lub z powodu „niemożności sprostania wymaganiom prawa”.

Bobrowe czapki kontra džinsy

Klucz do państwa żydowskiego

Kiedy poproszono słynnego brytyjskiego filozofa żydowskiego pochodzenia Isaiaha Berlina, by spróbował zdefiniować dzieje Żydów, po długim namyśle powiedział: „Za dużo historii - za mało geografii”. Naród żydowski rozproszony po całym świecie od 597 roku p.n.e., kiedy miało miejsce pierwsze wygnanie Żydów, pozbawiony samodzielności politycznej i praktycznie nieobecny we własnym państwie od prawie tysiąca pięciuset lat, świadek i uczestnik cudzych wojen i rewolucji, potrafił obronić tożsamość i zachować jedność narodowo-religijną. Na pojawienie się idei powrotu do kraju przodków, przedstawionego w *Biblii* jako „mlekiem i miodem płynący”, czekał aż do XIX wieku. To wtedy, wraz z nasilaniem się w Europie ruchów narodowościowych i procesu sekularyzacji związanego z żydowskim oświeceniem (*haskala*), narodził się wśród europejskich Żydów zorganizowany ruch społeczny i polityczny stawiający sobie za cel utworzenie dla Żydów państwa na historycznym terytorium Świętego Kraju - zwanym w tym czasie Palestyną.

Nie przez przypadek syjonizm zainicjował zasymilowany świecki, a nawet antyreligijny Żyd urodzony w Budapeszcie - Teodor Herzl, który myśląc o realizacji idei państwa żydowskiego, sformułował do dziś popularne hasło: „Jeśli zechcecie - to nie będzie legendą”. Jesienią 1897 roku podczas pierwszego Kongresu Syjonistycznego w Szwajcarii Herzl napisał w swoim dzienniku: „Tu, w Bazylei, utworzyłem nowe państwo żydowskie. Dziś się ze mnie śmieją, ale za pięćdziesiąt lat wszyscy przyznają mi rację”. Dokładnie pięćdziesiąt lat później, 29 listopada 1947 roku, ONZ uchwaliło rezolucję o powstaniu Państwa Izraela.

Jakże więc do tego doszło, że w Izraelu, który powstał dzięki syjonizmowi, ruchowi opozycyjnemu wobec religii, w kraju, gdzie z około siedmiuset tysięcy mieszkających w nim wtedy, w 1948 roku, Żydów tylko mniej niż dziesięć procent było religijnych, do dziś nie ma rozdziału państwa od religii?

Do drugiej wojny światowej i tragedii Zagłady syjonizm był ruchem mniejszości żydowskiej na świecie. Jego inicjatorzy, a potem także osiedlający się w Palestynie pionierzy

- głównie zbuntowana przeciw tradycji rodziców żydowska młodzież - w oczach większości Żydów, religijnych i nastawionych antysyjonistycznie, uchodzili za rewolucjonistów i odszczepieńców bez szerszego poparcia. To Zagłada zmieniła charakter emigracji do Izraela. Już nie tylko zapaleni antyreligijni syjoniści, ale i religijni, a także ultraortodoksyjni, uciekający z Europy Żydzi, zaczęli się w nim osiedlać. Jednakże większość Żydów ultraortodoksyjnych, wierna doktrynie judaizmu głoszącej, że Żydzi powrócą do Erec Israel, Ziemi Izraela, po przyjsciu Mesjasza, wybierała na miejsce osiedlenia nie Izrael, lecz Amerykę. Dlatego David Ben Gurion, który w tych latach (1935-1948) stał na czele Ha'Sochnut ha'Jehudit le'Erec Israel[16], Agencji Żydowskiej na rzecz Izraela, podjął trud pozyskania dla idei powstania państwa żydowskiego w Palestynie poparcia religijnych przywódców żydowskich i społeczności Żydów z całego świata.

W 1947 roku w imieniu przywództwa syjonistów napisał list do Agudat Israel, największej ultraortodoksyjnej partii politycznej Żydów, w którym udzielił gwarancji w sprawie zasad, na jakich będą się opierać stosunki pomiędzy nowym państwem a religią żydowską, oraz zobowiązał się do utrzymania „żydowskiego charakteru” państwa. Zapewnił, że będą w nim obowiązywać prawa religijne: prawo soboty ustanawiające szabat dniem wolnym od pracy; prawo zakazujące zatrudnianie Żydów w soboty i inne święta religijne, wspomagane przez prawo o zakazie funkcjonowania w soboty transportu publicznego; prawo koszerności, przestrzeganej we wszystkich oficjalnych i państwowych instytucjach, placówkach wojskowych i oświatowych, regulowanej przez Naczelnego Rabinat; prawo zabraniające hodowli świń i pieczenia chleba w święto Pesach; prawo o edukacji, przyznające religijnym Żydom niezależną od państwa, autonomiczną edukację religijną; prawo cywilne i rodzinne oddające wszystkie sprawy rodzinne społeczności żydowskiej - od urodzenia, poprzez ślub, rozwód i pogrzeb - pod jurysdykcję Naczelnego Rabinatu wybieranego przez społeczność religijną. Zaręczył, że nie będzie w Izraelu cywilnych ślubów i pogrzebów. Status quo ustalone tym listem nadal obowiązuje.

„Państwo żydowskie i demokratyczne”

Medinat Israel, Państwo Izraela, lub po prostu ha'arec „kraj”, jak mówią Izraelczycy, założone w Erec Israel, Ziemi Obiecanej Izraela, stało się domem dla rozproszonych po całym świecie żydowskich tułaczy, centrum odradzania się żydowskiej kultury i religii, schronieniem przed antysemityzmem. To żydowskość stanowiła do niego klucz. W Deklaracji Niepodległości Państwa Izraela[17] oficjalnie potwierdzono żydowski charakter kraju, gdzie

„w centrum znajduje się prawo każdego Żyda do emigracji; gdzie Żydzi stanowią większość, hebrajski jest głównym językiem urzędowym, najważniejsze święta i symbole odzwierciedlają narodowe odrodzenie narodu żydowskiego, a dziedzictwo Izraela ma kluczowe znaczenie dla dziedzictwa religijnego i kulturalnego państwa”[18].

„Izrael jest państwem żydowskim i demokratycznym” - tak brzmi prawna definicja z 1992 roku, teoretycznie zapewniająca „równe prawa bez względu na wyznanie, płeć i kolor skóry”. Jak to jednak w Izraelu zwykle bywa, nie ma dokładnej definicji pojęcia „demokracja”, a każda grupa społeczna czy narodowa inaczej rozumie to sformułowanie. Żydzi religijni wszystkich odcieni podkreślają słowa „jest krajem żydowskim” i pomijają nieistniejące w ich codziennym leksykonie słowo „demokratycznym”. Radykalne koła religijne dążą do przekształcenia Izraela w *medinat halacha*, państwo praw religijnych, w którym Bóg byłby niepodzielnym władcą, Jego prawa zapisane w *Biblii* i innych świętych księgach byłyby obowiązujące, a prawa cywilne nie miałyby żadnego znaczenia.

Izraelska prawica polityczna twierdzi, że Izrael może być krajem żydowskim i jednocześnie demokratycznym. Kiedy jednak demokracja stoi w sprzeczności z żydowskością, żydowskość bez wątpienia jest ważniejsza. Jednym z przejawów takiego sposobu myślenia jest fakt, że Arab, obywatel Izraela, przez całe życie mieszkający w Izraelu, nie może kupić ziemi państwowej, a Żyd, nowy emigrant, ma do tego pełne prawo.

Lewica uważa, że demokracja jest tak samo ważna jak żydowskość i koniecznie trzeba szanować równość wobec prawa wszystkich obywateli, ale... do pewnych granic. Wyjąwszy skrajne odłamy lewicowo-anarchistyczne, nie proponuje ona zmiany *Chok ha'Szwut*, Prawa Powrotu, przyznającego pełne obywatelstwo osobom pochodzenia żydowskiego.

Izraelscy Arabowie w ogóle tej definicji nie akceptują, proponując własną: „państwo wszystkich obywateli”, w którym przestrzega się równości wobec prawa, tak jak to jest przyjęte w tradycyjnych demokracjach.

W praktyce obowiązuje zasada preferencji dla tych, którzy spełniają kryteria określone w Prawie Powrotu, i ich prawa uważa się za najważniejsze. W żadnym razie Izraela nie można jednak nazwać państwem autorytarnym. W wielu dziedzinach: wolności prasy i słowa, swobód obywatelskich, systemu wyborczego, jawności polityki rządu, jest zdecydowanie demokratyczny. A więc i tak, i nie, i dobrze, i źle, jak w chętnie powtarzanej w Izraelu anegdocie: „Premiera Lewiego Eszkola spytano przy jakiejś okazji: kawa czy herbata? Pół na pół - padła bardzo izraelska odpowiedź”.

Kto jest Żydem?

Odpowiedź na to pytanie ma w Izraelu znaczenie prawne. Dlatego nabiera szczególnej ważności, kiedy chodzi o takie kwestie, jak emigracja, prawo do obywatelstwa izraelskiego i uprzywilejowanego statusu *ole chadasz*, nowego emigranta, a także kupno ziemi czy adopcja dzieci[19]. Według prawa religijnego - halachy - ustalenie żydowskości jest konieczne dla określenia sposobu, w jaki prawo religijne ustosunkowuje się do danej osoby, zakresu wypełniania nakazów religijnych, *micwot*, i podporządkowania obrzędom religijnym w sprawach cywilnych, takich jak ślub, rozwód i pogrzeb.

Przynależność do narodu żydowskiego nie jest jednak jednoznaczna. Żydem może być zarówno wyznawca religii żydowskiej (mojżeszowej) - judaizmu - jak i członek grupy etnicznej lub narodowej. Są Żydzi, którzy nie praktykują judaizmu i nie przestrzegają praw religijnych, ale mimo to uważają się za Żydów. Dla nich żydowskość oznacza dziedzictwo tradycji, kultury i historii, choć niekoniecznie praktykowanie religii czy nawet wiarę w Boga. Są również ci, którzy uważają się za Żydów wyłącznie na podstawie przynależności do narodu żydowskiego.

Z punktu widzenia żydowskiej ortodoksji w kwestii tego, kto jest Żydem, nie ma znaku zapytania. Według prawa religijnego, sięgającego czasów *Talmudu*[20] i stanowiącego fundament judaizmu, „Żydem jest ten, kto urodził się z matki Żydówki lub dokonał konwersji halachicznej” (według prawa religijnego). Izraelczyk pochodzący z Polski, Daniel Rufeisen, urodzony z matki Żydówki, który od wielu pokoleń przynależy do żydostwa i uważa się za Żyda, nie mógł być za Żyda uznany przez ortodoksyjną Naczelną Radę Rabinacką, ponieważ przeszedł na katolicyzm i został księdzem. Aby nie powstawały takie wątpliwości, na potrzeby Prawa Powrotu doprecyzowano, że „Żydem jest ten, kto urodził się z matki Żydówki albo przeszedł konwersję na judaizm[21] i nie jest wyznawcą innej religii”. Prawo do emigracji przysługuje jednak również dzieciom i wnukom Żydów, choćby oni sami nie w pełni spełniali warunki tej definicji. Według najbardziej liberalnego i nierygorystycznego judaizmu reformowanego „Żydem może być każdy, kto studiuje świecką i religijną tradycję żydowską i uważa się za Żyda”.

Jedną z możliwości stania się częścią narodu żydowskiego jest *giur*, konwersja na judaizm. Dlatego jej ważność, sposób przeprowadzenia, uprawnień z tym związane wywołują wiele napięć wśród wyznawców różnych odłamów judaizmu i świeckich Żydów. Ktoś, kto dokona konwersji według zasad uznawanych przez nieortodoksyjne odłamy judaizmu (judaizmu konserwatywnego lub reformowanego), dopuszczające wybiórczość w

wypełnianiu praw religijnych, dla nich jest Żydem i może zostać za Żyda uznany przez państwo respektujące, zgodnie z prawem cywilnym, również konwersje nieortodoksyjne. Nie jest jednak jak Żyd traktowany przez ortodoksyjnych rabinów i Naczelny Rabinat Izraela. Taka konwersja daje zatem możliwość otrzymania obywatelstwa izraelskiego, ale pociąga za sobą komplikacje w kwestii posiadania żydowskiego potomstwa, ślubu, rozwodu czy pogrzebu.

Jestem Żydem, bo przestrzegam praw żydowskiej religii

W przeciwieństwie do większości świata, w tym zwłaszcza Stanów Zjednoczonych, gdzie przeważa judaizm konserwatywny, w Izraelu najbardziej dominujący jest judaizm ortodoksyjny.

„Wszystko nowe zakazane jest przez *Torę*[22]” - tak stanowi główna zasada ortodoksji sformułowana przez jej przywódcę duchowego Chatama Sofera. Żydzi ortodoksyjni przestrzegają ściśle nakazów religii, ponieważ wierzą, że tradycja musi zostać przez wieki zachowana w nienaruszonej postaci, a wartości religijne nie podlegają żadnej zmianie. Mają własne instytucje, które stoją na straży halachy, nie dopuszczając do wprowadzania reform czy sekularyzacji.

Wybierają spośród siebie dwóch naczelnych rabinów - aszkenazyjskiego i sefardyjskiego. Ich przedstawiciele są członkami sądów rabinackich oraz zasiadają w Naczelnym Rabinacie Izraela, pod którego jurysdykcją znajdują się zarówno religijni, jak i świeccy Żydzi. Rabinat ma na całym obszarze kraju wyłączność na nadzór nad: stosowaniem ustawy regulującej sprawy związane z szabatem i świętami; zakazem zatrudniania Żydów w soboty; przyznawaniem firmom certyfikatu koszerności (dokumentu potwierdzającego koszerność, czyli zgodność z regułami halachicznymi określającymi warunki hodowli zwierząt, uboju i przetwarzania żywności oraz uprawy roli); importem mięsa i jego produktów; sprzedażą przed świętem Pesach niekoszernego hamecu, czyli produktów zbożowych (żyta, pszenicy, orkisz, owsa i jęczmienia); przestrzeganiem *szmita*, powtarzającego się co siedem lat roku szabatowego, w którym zakazana jest uprawa ziemi i zbieranie plonów; zatwierdzaniem małżeństw i rozwodów zawieranych według prawa żydowskiego i dokonywaniem sekcji zwłok według zasad halachicznych.

Żydzi ortodoksyjni mają własne partie polityczne i swoją reprezentację w izraelskim parlamencie Knesecie. Partie te odgrywają decydującą rolę w podejmowaniu ważnych decyzji, uchwalaniu nowych praw i tworzeniu rządu, choć one same są zainteresowane

wyłącznie respektowaniem praw religijnych, a takie kwestie jak rozwój gospodarczy, obrona czy porozumienie z Palestyńczykami traktują obojętnie. Dzieje się tak ze względu na realia izraelskiej sceny politycznej: żadna z głównych partii nie ma takiej przewagi głosów, by stworzyć koalicję rządową bez ich poparcia.

Środowisko Żydów ortodoksyjnych nie jest jednak jednolite[23]. Składa się z z dwóch odłamów: Żydów ultraortodoksyjnych (osiem procent - CBS, 2006), po hebrajsku *charedim*, podzielonych na: chasydów aszkenazyjskich i ich aszkenazyjskich przeciwników - mitnagedów (litwaków), ultraortodoksyjnych sefardyjczyków oraz Żydów o orientacji religijno-narodowej, czyli *datiim leumiim* (dwanaście procent - CBS, 2006). Świat ortodoksji łączy *Tora* i *halacha* - prawo religijne - zinterpretowane w komentarzach *Talmudu* oraz relewantnych *psukim* (dosł. wersetach), czyli decyzjach autorytetów religijnych; dzielą zaś interpretacja *psukim*, stosunek do rabinów, różnice w programach edukacji religijnej wynikające z odmiennej hierarchii wartości, bardziej lub mniej nowoczesnego sposobu życia i ubierania się, a przede wszystkim postawa wobec swojego państwa.

Żydzi ultraortodoksyjni zamknięci przed wszelkimi wpływami zewnętrznymi we własnych dystryktach - głównie w Jerozolimie i w Bnei Braku - uznają za cel swojej egzystencji bogobojne życie, co starają się osiągnąć, studiując pisma i wypełniając powinności religijne. Nie interesują się sprawami państwa i w zdecydowanej większości nie służą w wojsku. Ubierają się tradycyjnie, według ściśle określonego kodu, czym wyraźnie odróżniają się od reszty Izraelczyków.

Żydzi ortodoksyjni o orientacji religijno-narodowej pracują zawodowo, uczestniczą w życiu społecznym i kulturalnym, popierają syjonizm i sami działają na rzecz integracji narodu żydowskiego z Państwem Izraela. Obrona, a nawet poszerzanie granic, utrzymanie dominującej roli Żydów mają dla nich znaczenie równie ważne jak religia. Służbę w izraelskim wojsku uważają za swój obowiązek i z chęcią zaciągają się do elitarnych jednostek bojowych - aż czterdzieści procent oficerów wojsk izraelskich wywodzi się z tej orientacji[24]. Za najbardziej kontrowersyjną wśród nich uważana jest grupa ultrapravicowych osadników zamieszkujących żydowskie osiedla na Zachodnim Brzegu, szczególnie aktywna w Hebronie.

Datiim leumiim ubierają się tak samo jak reszta świeckiego społeczeństwa, tyle że kobiety obowiązują skromność, a mężczyźni noszenie kipy. Mówi się o nich: *kipot srugot*, „szydełkowe kipy”, właśnie z powodu ich charakterystycznego, ręcznie wykonanego szydełkiem, nakrycia głowy. Kipy duże i kolorowe świadczą o przynależności do nacjonalistycznego odłamu ultrapravicowego, a małe niepozorne jarmułki w stonowanych

kolorach - do ortodoksji współczesnej, nazywanej też humanistyczną, kierującej się hasłem: „*Tora z miejscowymi zwyczajami*”.

Kto jest religijny, a kto nie?

W Izraelu wszystkich ortodoksyjnych Żydów potocznie nazywa się *datim*, religijnymi, a pozostałych (osiemdziesiąt procent) - niereligijnymi, co nie do końca zgodne jest z faktami i samo przez się zrozumiałe. Rozróżnienie to nastęrcza problemów i często wywołuje terminologiczny zamęt, gdy ktoś użyje słowa *dati*, aby opisać swoją postawę religijną daleką od ortodoksji rozumianej jako rygorystyczne przestrzeganie doktryny judaizmu.

Z sondażu Instytutu Gallupa, w którym stopień religijności izraelskich Żydów ustalano na podstawie wypełniania praw i praktyk religijnych, wynika, że w obrzędach żydowskich regularnie uczestniczy dwadzieścia pięć procent żydowskiej społeczności Izraela. Według izraelskiego Instytutu Demograficznego w 2007 roku dwadzieścia siedem procent izraelskich Żydów przestrzegało szabatu, a pięćdziesiąt trzy „absolutnie nie”, podczas gdy aż osiemdziesiąt pięć procent obchodziło święto Paschy.

CaHaL ustalił na potrzeby art. 40 *Chok Szejrut ha'Bitachon*, Prawa o służbie obronnej, dotyczącego zwolnienia ze służby wojskowej kobiet żołnierek, dwa kryteria rozstrzygające o religijności: przestrzeganie koszerności w domu i poza nim oraz niejeżdżenie samochodem w soboty, czyli poszanowanie świętości szabatu. Nie są to kryteria precyzyjne i nie do końca odpowiadają rzeczywistości. Żyd reformowany, wierzący w Jahwe, wypełniający nakazy religijne swojej społeczności jest w swoim przekonaniu Żydem religijnym, nie zaś niereligijnym, czyli świeckim. Nie spełnia jednak kryteriów religijności przyjętych przez CaHaL ani nie jest za takiego uznawany przez odłamy ultraortodoksyjne i ortodoksyjne.

Według konserwatywnego ujęcia judaizmu utożsamiającego żydowskość z religią kategorie „Żyd religijny, ale niepraktykujący” czy „świecki Żyd” nie mogą istnieć z samej zasady wiary, ponieważ żydowskość to przede wszystkim nakazy i zakazy. Należy im podporządkować życie, ściśle je respektować i codziennie wypełniać. Żydowska religijność jest tu tożsama z religijnością ortodoksyjną.

Przywódca duchowy ruchu chasydzkiego Chabad-Lubawicz, rabin Menachem Mendel Schneerson, twierdził, że pojęcie „świecki Żyd” w samej swej nazwie zawiera sprzeczność, ponieważ według *Biblii* „każdy Żyd jest święty”. Właściwiej byłoby mówić, według niego, o tej kategorii jako o „Żydach czasowo nieprzestrzegających *Tory*”.

Jestem Żydem, bo stosuję się do żydowskiej tradycji

Któż więc jest w końcu religijny, a kto nie? Kogo zalicza się do *chilonim*, kategorii świeckich, obejmującej według sondaży czterdzieści dwa procent[25] izraelskich Żydów? Jaka jest różnica między nimi a Żydami „niereligijnymi” uważającymi siebie za *masortim*, tradycjonalistów, jak to czyni trzydzieści osiem procent[26] społeczeństwa?

Masortim są w swym stosunku do świata, religii i krytycyzmie wobec hegemonii Żydów ortodoksyjnych bliscy świeckim, choć przeważnie skrupulatniej przestrzegają tradycji i przyjmują ją w szerszym zakresie. Dlatego określenie to funkcjonuje często wymiennie z określeniem „Żydzi świeccy”. W panującym powszechnie przekonaniu przestrzeganie niektórych tradycji żydowskich jest konsekwencją przynależności do narodu żydowskiego. Praktycznie nie ma prawie Żyda, który nie obchodziłby jakichś świąt i nie odprawiał niektórych ceremonii, żydowskich rytuałów rodzinnych czy zwyczajów, uważając się przy tym za Żyda świeckiego czy nawet za ateistę.

Masortim nie czują potrzeby, aby ściśle stosować się do praw halachicznych, ale rozumieją doniosłość strzeżenia żydowskiej tradycji stanowiącej wspólne dziedzictwo narodu. Respektują, choć z pewnymi ograniczeniami, koszerność: nie jedzą wieprzowiny i owoców morza oraz zachowują regułę rozdzielności produktów mlecznych od mięsnych. W szabat niektórzy z nich zapalają świeczki szabatowe, przygotowują uroczystą kolację i odprawiają kidusz - modlitwę w formie błogosławieństwa nad kielichem słodkiego czerwonego wina. Są też tacy, którzy w jakiejś części przestrzegają świętości szabat: nie jeżdżą tego dnia samochodem, nie pracują i nie zapalają ognia oraz jedzą wcześniej przygotowane, podgrzewane automatycznie na specjalnym grzejniku jedzenie. Do synagogi chodzą w niektóre święta, poszczą w Jom Kippur i nie jadają chleba w Pesach. Przy wyjątkowych okazjach zakładają tefilin, żydowskie relikwie: pergaminy z czterema ustępami z *Tory*, napisanymi ręcznie przez uczonego sofera, pisarza, umieszczone w dwóch czarnych pudełeczkach wykonanych z jednego kawałka skóry koshernego zwierzęcia, przywiązywane rzemieniami do czoła i ramienia. Na framugach drzwi domów wieszają mezuzę - mały pojemnik zawierający napisane na kawałku skóry koshernego zwierzęcia (*klaf*) dwie modlitwy: *Szma Israel*, wyznanie wiary, oparte na trzech fundamentalnych przykazaniach religii żydowskiej - miłości Boga, poddania się Jego woli, podporządkowania prawu wyrażonemu w *Torze* - oraz *We'haja im szamoa*, „Jeśli będziesz słuchał przykazań”. Szczególnie gorliwi udają się do rabinów po błogosławieństwo i wysyłają swoje dzieci do

religijnej szkoły podstawowej.

Paradoksalnie bardzo wielu Żydów uważających się za świeckich (a nie za *masortim*), czasami zdecydowanie antyreligijnych, krytykujących partie religijne, zwyczaje i niektóre aspekty zachowań społeczności ultraortodoksyjnej, dobrowolnie, z własnej inicjatywy i bez żadnego nacisku, zgadza się stosować do różnych praw i zwyczajów religijnych, którym nadaje jednak własną interpretację.

W Izraelu religijnemu obrzędowi obrzezania poddaje się dziewięćdziesiąt siedem procent[27] chłopców w wieku ośmiu dni z rodzin religijnych i świeckich. Mój przyjaciel, Dani Tracz, emigrant z Polski, pochodzący ze zasymilowanej rodziny ateista i antyklerykał, postanowił nie poddawać *brit mila*, obrzezaniu, swego mającego się właśnie narodzić pierworodnego syna, ponieważ kojarzyło mu się z „pogańską i prymitywną ceremonią”. Nieraz był świadkiem obcinania napletka i ceremonialnego rozrywania go przez rytualnego rzeźnika i za każdym razem czuł się oburzony i zszokowany tym sposobem zaznaczania przynależności do narodu żydowskiego. Ale jego żonie bardzo na tym zależało i nie dawała się od tego odwieść. Poszedł więc poprosić swego najbliższego przyjaciela, Hanocha Levina, poważanego pisarza i dramaturga, ateistę znanego ze swoich antyreligijnych wypowiedzi, aby ją przekonał.

„Co?! Nie jesteś Żydem?!? Nie chcesz, by twój syn był Żydem? Ty się w ogóle nad tym zastanawiasz?”, oburzył się Hanoch Levin i nie chciał nawet o tym słyszeć, żeby ktokolwiek, kto jest Żydem, nie dokonał włączenia do narodu żydowskiego poprzez wymagany prawem religijnym obrzęd obrzezania.

Dani próbował tłumaczyć, że sam z woli swoich rodziców komunistów nie jest obrzezany, a jednak czuje się Żydem i jest nim według praw judaizmu. Hanoch nadal był wstrząśnięty samym pomysłem nieobrzezania żydowskiego syna i oburzony. No i w końcu Dani - jak wszyscy Żydzi w Izraelu - obrzezał swego syna, a lata później jego syn, świecki Żyd, wnuk komunistów i syn ateisty, uczynił to samo dla swojego potomka.

Tenże Hanoch - dla izraelskiej inteligencji symbol świeckości i antyreligijności - nie jadał wieprzowiny (tłumaczył, że brzydzi się tym mięsem) i kiedy w trakcie pobytu za granicą przez pomyłkę zjadł kanapkę z szynką, nie mógł powstrzymać odruchu wymiotnego w momencie, kiedy zrozumiał, że właśnie je zakazaną Żydom wieprzowinę. W każdą rocznicę śmierci swoich rodziców odmawiał kadisz nad ich grobem i wziął ślub w rabinacie.

Hanoch widział w tych konkretnych obrzędach tradycję i zwyczaje narodowe, nie zaś akty religijne. Czuł się i chciał być Żydem, i dawał temu świadectwo poprzez zwyczaje, które w jego oczach stanowiły symbol i dowód przynależności narodowej, a nie religijnej.

Od wpływu religii nie potrafiło się do końca wyzwolić nawet w kibucach - socjalistyczno-syjonistycznych komunach, antyreligijnych z samej definicji. Kibuce nie pozwalały wchodzić na swój teren rabinom, ale w piątkowy wieczór tańczyło się tu tańce chasydzkie. Jedzenie we wspólnych stołówkach z zasady było niekoszerne, nie pozwalano nawet - wbrew obowiązującemu na wszystkich żydowskich cmentarzach prawu - by Chewrat Kadisza, religijne bractwo pogrzebowe, odprawiało pogrzeby. Ale wszystkie kibucowe dzieci (bez wyjątków!) poddawano obrzezaniu, tyle że u rytualnych rzeźników poza kibucem.

Wszystkie śluby kibucników były religijne, choć odbywały się w rabinatach w miastach. Obchodzono też święta żydowskie w czasie oznaczonym przez nieużywany w kibucach żydowski kalendarz, zmieniając ich charakter z religijnego na narodowy.

Większość rodzin izraelskich przestrzegających tradycji podobna jest w praktykowaniu judaizmu do rodziny mojego męża, której członkowie starają się przestrzegać koszerności, zawierają małżeństwa według ortodoksyjnego obrzędu religijnego, pogrzeb pozostawiają religijnemu bractwu pogrzebowemu, dokonują żydowskich obrzędów: *brit mila*, *bar micwa*[28] i *bat micwa*[29]. W rocznicę śmierci najbliższych wraz z rabinem odmawiają kadisz nad grobem i dbają o to, by zawsze wtedy było dziesięciu mężczyzn potrzebnych do odprawiania modłów.

Kiedy spytałam matkę Ejala, czy ona i jej rodzina należą do religijnych Żydów, Rina oburzyła się: „*Ma pitom?! Co takiego?! My jesteśmy chilonim, no może masortim*”. Wielu Żydom świeckim ci religijni kojarzą się automatycznie z ultraortodoksyjnymi, a oni są odbierani zwykle bardzo negatywnie: jako mało postępowi, nieliberalni, niewykształceni, fanatyczni w kwestii religii, starający się przeforsować religijne prawa i uczynić je obowiązującymi wszystkich Żydów i mieszkańców Izraela, niezależnie od ich woli. „Żyćcie, jak chcecie, i dajcie nam żyć” - często słyszy się taki argument wśród świeckich oburzonych na ultraortodoksyjnych. Czy to jest jednak możliwe? Bycie Żydem świeckim w Izraelu, jak głosi izraelski dowcip, jest jak skakanie z samolotu w szabat. Można skakać, ale nie można otwierać spadochronu.

Tomi Lapid, były lider antyreligijnej partii Szinuj, stwierdził, że pogodzenie interesów Żydów ortodoksyjnych z interesami reszty świeckiej społeczności Izraela nie jest możliwe. Według niego „zakazać komuś, kto jest Żydem świeckim, jeździć samochodem w sobotę, to tak jakby nakazać Żydowi ortodoksyjnemu, by nim jeździł akurat w sobotę”.

Garnki „mięsne” i garnki „mleczne”

W początkach mojej emigracji niespodziewanie odwiedziła mnie Ewa. Towarzyszył jej chłopak z niepozorną kipą na głowie, mówiący z wyraźnym amerykańskim akcentem. Goście zasiedzieli się, więc postanowiłam szybko coś upichcić. Zrobiłam *spaghetti bolognese* z mielonym mięsem i świeżą bazylią, kupioną na szuku ha’Karmel - telawiwskim bazarze. Kiedy chciałam, jak przystało na gościnną Polkę i włoskie danie, szczerze posypać makaron parmezanem, Ewa w ostatniej chwili złapała mnie za rękę.

- Co ty robisz? - przeraziła się, jakbym sypała jej arszenik do talerza. - Dave przestrzega koszerności!

- Ależ to wołowina, a nie wieprzowina - odparłam lekko urażona.

- Tak, ale chciałaś połączyć produkt mleczny z mięsnym - wyjaśniła mi rzeczowo koleżanka.

- Jesteście alergikami?

- Nie, to z powodu koszerności - wyjaśniła.

Chociaż nie dodałam sera, Dave nie tknął przygotowanego przeze mnie dania. Wypił tylko czarną kawę izraelskiej firmy pod rabinackim nadzorem. Ewa poprosiła o dokładkę. Dopiero jakiś czas później zrozumiałam, że koszerność mnie, nie-Żydówce, kojarząca się wyłącznie z zabronioną wieprzowiną i wybiórczo traktowana przez niektórych Żydów, dla innych stanowiła ważną część życia podporządkowanego nakazom i zakazom, najbardziej rygorystycznym u Żydów ultraortodoksyjnych przestrzegających *glatt kaszer* (jidysz), „koszerności bez żadnych wątpliwości”.

Dzielenie się jedzeniem jest we wszystkich kulturach rytuałem zbliżającym do siebie uczujących razem ludzi. Kiedy zapraszamy gości do swojego domu, zawsze staramy się ich przyjmować przy zastawionym stole lub przynajmniej poczęstować tym, co akurat znajduje się w lodówce, mając przy tym nadzieję, że nikt nie wzgardzi naszym poczęstunkiem. W tradycji żydowskiej stół zbliża, ale i oddala. Żydzi przestrzegający praw religijnych mogą dzielić się swoimi potrawami, ale nie wezmą do ust niekoszernego, uważanego przez nich za nieczyste, jedzenia nie-Żydów, podobnie zresztą jak Żydów nieprzestrzegających koszerności, przygotowanego niekoszernie i podawanego na niekoszernych talerzach. Taka postawa rodzi nieufność, a nawet wrogość. Są tacy, którzy właśnie w koszerności upatrują

jednej z przyczyn antysemityzmu.

W Izraelu *kaszrut*, koszerność - przepisy religijne określające rytualną czystość przedmiotów i pokarmów, ustalające, jakie produkty są dozwolone lub trefne (nie dozwolone) oraz warunki, w jakich przyrządzane i spożywane powinno być jedzenie - jest akceptowana prawnie i stosowana powszechnie we wszystkich placówkach i instytucjach państwowych, w większości restauracji, sklepów, w Knesecie, wojsku i liniach lotniczych El Al.

Zgodnie z regułą, że spożywać można wyłącznie mięso zwierząt parzystokopytnych i przeżuwających, żaden religijny Żyd nie spróbuje dań z zająca, królika, świni, które są trefne (niekoszerne), w przeciwieństwie do „czystych” religijnie krów czy owiec. Najczęściej jednak jada się w Izraelu kurczaki i indyki, przyrządzając z ich mięsa dziesiątki rodzajów wędlin.

Religia zabrania spożywania padłych zwierząt, insektów i owadów, a także ptaków drapieżnych, w tym tych, które żywią się padliną.

Ponieważ jednym z najbardziej bezwzględnych jest zakaz spożywania krwi, stosuje się specjalny ubój zwierząt przez wykrwawienie i moczenie w solonej wodzie. Nawet w domach, gdzie nie przestrzega się zasad koszerności, ze względu na żydowską tradycję kulinarną nie należy spodziewać się krwistych befsztyków czy podanych do mięs śmietankowych sosów (chyba że z dodatkiem *parwe*, neutralnych produktów, na przykład mlecznopodobnych). Za to daniami z ryb będzie się ugoszczonym z dużym prawdopodobieństwem. Ryby posiadające łuski i skrzela dozwolone są do spożycia, czego nie można powiedzieć o małżach, rakach i krewetkach, popularnych w ostatnich latach w niekoszernych restauracjach w Izraelu - one nie pojawią się na stole Żydów ortodoksyjnych i tych w jakiejś mierze przestrzegających tradycji. Ryb nie uważa się za produkt mięsny i jako neutralne mogą być łączone zarówno z produktami mięsnymi, jak i mlecznymi. Dlatego też są często kupowane i obecne na każdym szabatowym i świątecznym stole.

Zboża, warzywa i owoce (zabronione są nadgniłe czy robaczywe, czyli „strefnione” przez „nieczyste” owady) również należą do tej kategorii, dlatego jednym z najpopularniejszych dań jest hummus - pasta z ciecierzycy używana zamiast masła w kanapce z wędliną, jako dodatek do sałatek i do mięsa - na przykład w popularnej szalarmie, w Polsce nazywanej tureckim kebabem.

Zakaz mieszania produktów mlecznych z mięsnymi dotyczy również przechowywania i przygotowywania potraw. Opowiada się w związku z tym dowcip oparty na realiach codziennego życia środowisk ortodoksyjnych.

Bóg tłumaczył Mojżeszowi na górze Synaj *Torę*. Doszli właśnie do przykazania: „nie będziesz jadł koźlęcia w mleku matki jego”, i wtedy Mojżesza ogarnęły wątpliwości:

- Aaa, nie do końca rozumiem... czyli nie wolno jeść mięsa i mleka razem?
- Nie - odpowiedział Bóg. - „Nie będziesz jadł koźlęcia w mleku matki jego”.
- Aaaa, czyli trzeba odczekać aż sześć godzin po zjedzeniu mięsa, zanim wypije się mleko?!

- „Nie będziesz jadł koźlęcia w mleku matki jego” - powtórzył Bóg kolejny raz.

- Aaaaa, rozumiem, potrzebne są dwa oddzielne zlewy i oddzielne sztucce i talerze: jedno do mleka, drugie do mięsa.

- Wiesz, Mojżeszu - zdenerwował się Bóg - rób to tak, jak ty chcesz...

I tak oto żaden garnek nie jest zwykłym garnkiem, lecz garnkiem „mlecznym” albo „mięsnym”. Ten sam podział dotyczy sztucców i talerzy, zlewozmywaków i pieców do pieczenia, lodówek, palników kuchenek gazowych, a nawet ręczników do wycierania talerzy „mięsnych” i „mlecznych”. W izraelskim wojsku wszystkie naczynia do potraw mięsnych są w jednym kolorze (obecnie czerwonym), a do potraw mlecznych w innym (białym). Olbrzymie pieczątki na sztuccach informują, do jakich potraw są one przeznaczone, tak żeby nikt, broń Boże, nie popełnił błędu, mimo że większość żołnierzy to Żydzi świeccy, nieprzestrzegający praw religijnych.

Zabronione jest przyrządzanie ryb w naczyniu po mięsie, bo wtedy neutralne danie rybne staje się mięsne. W święto Pesach wolno używać tylko przeznaczonych specjalnie na ten okres garnków i zastaw stołowych „koszernych na Pesach”. Oczywiście podzielonych na „mięsne” i „mleczne”.

Zakazane jest spożycie mleka od krów dojonych w soboty i przez nie-Żydów, podobnie jak jedzenie owoców pochodzących z nieprzesadzanych okresowo drzew. Nie wszystkie sery są koszorne. Wyprodukowane na podpuszce mięsnej - zdecydowanie nie. Mięso może stać się trefne, jeśli rozmrozi się je w gorącej wodzie zamiast w temperaturze pokojowej. Są również niektóre produkty, takie na przykład jak tost z żółtym serem i tuńczykiem, dla Żydów pochodzących z Europy koszorne, ale dla tych z Maroka czy Jemenu - już nie. Wino natomiast jest trefne dla wszystkich, jeśli w trakcie produkcji zostanie dotknięte przez goja albo Żyda nieprzestrzegającego soboty. Nawet woda ma znak koszerności i musi być również koszorna na Pesach.

Każdy obywatel ma prawo złożyć skargę na publiczną instytucję, która nie przestrzega koszerności lub świętości szabat - instytucja taka może stracić licencję przyznaną przez rabinat, a tym samym dochody. Bez przestrzegania koszerności wytwórcie produktów spożywczych, restauracje i sklepy z żywnością nie mają szansy na certyfikat rabinacki i pozyskanie klientów przestrzegających koszerności. Nawet firmy produkujące papier

toaletowy wyraźnie zaznaczają, że ich artykuł produkowany jest tylko w dni powszednie i jako kosherne bez obawy może być używany przez Żydów religijnych.

Mosze Dahan, rabin wykładający w szkole rabinicznej, stojący na czele jednej z gmin w bogatym, północnym Tel Awiwie, właściciel międzynarodowej firmy budowlanej, kiedy wyjeżdża w interesach do Meksyku czy Paryża, zabiera własne kosherne jedzenie. Za granicą je wyłącznie w tych miejscach, w których przestrzega się koszerności w podobnym stopniu jak u niego w domu, w Bnei Braku. W samolotach zawsze zamawia kosherne posiłki, ale ich nie je. Dlaczego? Czyżby nie były dość kosherne? „Są wystarczająco kosherne, ale niezdrowe”, twierdzi. „Biorę je jednak, bo może w samolocie będzie jakiś inny głodny Żyd, który ucieszy się z dodatkowej porcji. A jak już ma coś zjeść w samolocie, to lepiej, żeby to było kosherne. Dla mnie sprawa koszerności nie dotyczy po prostu tylko tego, co się je. Jedzenie to część mnie samego. To, co wkładam do ust, jest w moim żołądku i w mojej krwi. Nie chcę być częścią czegoś, co w moim pojęciu jest nieczyste”.

Koszerność ma zresztą o wiele szersze znaczenie. Coś, co jest kosherne, jest w potocznym rozumieniu stosowne, właściwe, wynikające z praw religijnych przestrzeganych przez społeczności ultraortodoksyjne oraz ze sposobu ich życia, i jako takie wyznacza normy w wielu dziedzinach życia publicznego i codziennego.

Dla ultraortodoksyjnych Żydów niekoszerne mogą być książki (prawie wszystkie oprócz religijnych) i informacje odciągające od pobożności. Płyta z muzyką może okazać się trefna, jeśli śpiewa kobieta lub piosenkarz występuje przed mieszaną, żeńsko-męską publicznością. W gazetach cenzurowanych przez specjalną komisję rabiniczną pisze się, w artykułach podpisanych przeważnie męskimi nazwiskami, o tym, co się dzieje w jesziwach, a gwiazdami są nie aktorzy czy piosenkarze, ale rabini, megagwiazdami admorzy[30]. Nie ma w nich niekoszernych tekstów o kobietach, erotyce, wojnach, szczegółowych informacji o morderstwach, gwałtach, przemocy, rozwodach i niebogobożnym życiu. W *nayes* (jidysz) - wiadomościach dla *charedim*, pisze się, że prezydent Izraela, Mosze Kacaw, „zakończył urzędowanie z przyczyn niegodziwych” i ani słowa o tym, że został skazany na siedem lat więzienia za molestowanie seksualne i gwałty.

„Świeccy Żydzi twierdzą, że prawem publicznym jest wiedzieć o tym, co dzieje się w świecie, a my uważamy, że każdy człowiek ma również prawo nie wiedzieć”, tłumaczą *charedim*, którzy kategorią koszerności objęli nawet telefony komórkowe. Te kosherne oznaczone specjalnymi numerami służą do telefonowania i odbierania telefonów. Nie da się z nich wysłać (ani przyjąć) SMS-a ani wejść do nieocenzurowanego internetu, ale można co dziesięć minut wysłuchać „na żywo” koszernych wiadomości o tym, co się dzieje w Bnei

Braku, Jerozolimie i dzielnicach ortodoksyjnych.

Dwunastego września 2012 roku, kiedy pojawiła się najnowsza wersja iPhone'a, iPhone 5, w Bnei Braku odprawiono specjalny ceremoniał, podczas którego rabin Lior Glazar otoczony dziesiątkami swoich zwolenników publicznie niszczył smartfony, krzycząc: „wynoście się, nieczyści”.

Pamiętaj, abys dzień święty święcił

Wered Gwili, moja trzydziestopięcioletnia sąsiadka, stanęła w progu mojego mieszkania w Ramat Ganie w święto Rosz Haszana, w 2010 roku, i zapytała niepewnym głosem: „Pali się u ciebie ogień?”. Jej dramatyczne pytanie skojarzyło mi się z czasami, w których ogień decydował o przeżyciu i bez niego groziła śmierć od dzikich zwierząt lub z głodu. W tym przypadku chodziło jednak o religijny nakaz poszanowania szabatu zabraniający Żydom rozpalania tego dnia ognia. Pytanie sąsiadki zaskoczyło mnie. Mąż Wered i jej synowie nie nosili kipy na co dzień, a ona sama często chodziła w spodniach. W jej pochodzącej z Syrii rodzinie i rodzinie męża z Maroka przestrzeganie tradycji judaistycznej funkcjonowało wybiórczo. Bez oporów jeździło się w szabat samochodem, ale nie rozpalało ognia, nie wykonywało zabronionej tego dnia pracy, nie rozmawiało w soboty o pieniądzach i interesach oraz przestrzegało koszerności. Jej córka, najlepsza przyjaciółka mojej, prawie nigdy nie była u nas głodna, a jeśli już coś jadła, zawsze pytała, czy to danie mięsne czy mleczne i przede wszystkim czy koszerne. Z zainteresowaniem patrzyła, jak nasza rodzina je mięso w śmietanowym sosie z grzybami lub objada się węgorzami z Polski, które, choć my nazywaliśmy je rybami, nie miały łusek, były więc niekoszerne, tak samo jak wieprzowina niejadana nigdy w jej rodzinie.

Kiedy oświadczyłam Wered, że z przyjemnością zapalę u niej gaz, uradowała się, zrozumiawszy, że obejdzie się bez konieczności tłumaczenia mi, dlaczego potrzebna jej jestem w charakterze szabes goja (w jidysz - *szabes goj*, po hebrajsku - *goj szel szabat*), osoby nieżydowskiego pochodzenia zastępującej Żyda w rozpalaniu ognia czy wykonywaniu innej zabronionej w szabat pracy (we współczesnym Izraelu w nielicznych otwartych centrach handlowych lub innych placówkach usługowych w soboty często pracują nie-Żydzi).

Zgodnie za słowami proroka Izajasza: „Jeśli powściągniesz twe nogi od przekroczenia szabatu, żeby w dzień mój święty spraw swych nie załatwiać, jeśli nazwiesz szabat rozkoszą, a święty dzień Pana - czcigodnym, jeśli go uszanujesz przez unikanie podróży, tak by nie przeprowadzać swej woli ani nie omawiać spraw swoich, wtedy znajdziesz twą rozkosz w

Panu” (Ks. Iz. 58,13)[31], poszanowanie szabatu w działaniu, słowie i w myśli jest jedną z głównych powinności religijnego Żyda. W tym dniu, symbolizującym stworzenie świata, zabronione jest wykonywanie trzydziestu dziewięciu rodzajów czynności, w wyniku których powstaje nowa rzecz lub rzecz zostaje przetworzona w drugą, a także jazda samochodem. Jest to jeden z fundamentalnych nakazów judaizmu i źródło ostrego konfliktu między religijnymi a świeckimi.

Szabat, dzień odpoczynku, modlitwy i publicznego czytania urywków *Tory* w synagodze, najświętszy obok Jom Kippur, zaczyna się w piątek po zachodzie słońca. W wielu religijnych domach odprawia się wtedy *kidusz szabat* - ceremoniał zapalania świeczek szabatowych przez panią domu, odmawianej nad kielichem czerwonego wina modlitwy w formie błogosławieństwa, śpiewanych przez mężczyzn pobożnych pieśni i dzielenia się świątecznym chlebem, czyli chałką - po którym cała rodzina zasiada przy nakrytym białym obrusem stole do uroczystego posiłku przygotowanego i z ryb, i z mięsa w jak najlepszym gatunku.

W szabat zaleca się zjedzenie co najmniej trzech posiłków. Należy też zadbać o miłą atmosferę w domu, spokój i harmonię, bo to powinien być dzień radosny, wolny od smutku. Tego dnia nie chowa się zmarłych i robi przerwę w oplakiwaniu ich podczas szivy (hebr. siedem) - siedmiu dni żałoby.

Religijni Żydzi mogą się w tym dniu poruszać wyłącznie pieszo, w obrębie własnej miejscowości, nie więcej jednak niż kilometr od ostatnich zamieszkałych domów lub dwa kilometry (granica zaznaczona jest sznurkiem zawieszonym na drewnianych słupach) od *eruw techumim* - terytorium powiększonego obszaru szabatu, co można osiągnąć, pozostawiając na przykład w miejscu, w którym kończy się obszar dozwolony, porcję jedzenia (zwykle chleba). Nowy, powiększony w ten sposób obszar szabatu oznakowany jest na stałe wokół prawie wszystkich żydowskich miast i miejscowości (kibuce zwykle nie zgadzają się na tego typu „święte ogrodzenie”).

Wiele dzielnic Jerozolimy i innych miast (Bnei Brak prawie w całości) oraz religijnych osad rozsianych po całym Izraelu od godzin popołudniowych w piątek aż do sobotniego wieczoru zamkniętych jest dla ruchu kołowego. Dróg wjazdowych strzeże szlaban i specjalny znak drogowy. Zdarza się też, że ktoś przejeżdżający w pobliżu dzielnic, których mieszkańcy przestrzegają szabatu, zostaje przez dzieci *charedim* obrzucony inwektywami, a nawet kamieniami. W soboty większość sklepów, restauracji, kin czy muzeów jest w całym kraju nieczynna. Poza miejscowościami arabskimi i Hajfą, gdzie mieszka arabska mniejszość muzułmańska i chrześcijańska, nie działa transport publiczny.

Kiedy w pewne piątkowe południe, tuż przed planowaną sobotnią wycieczką do jednego ze skalistych wąwozów na pustyni koło Morza Martwego, „złapaliśmy gumę” i szukaliśmy warsztatu, który wymieniłby oponę, okazało się to niemożliwe, bo Izraelczycy praktycznie zaczynają świętować szabat o wiele wcześniej niż jest to nakazane. Początek szabatu przypadał tego dnia dopiero o 19:12, o tej porze miała się pojawić na niebie pierwsza gwiazda, a już o 13:00 wszystkie sprawdzane przez nas warsztaty samochodowe - w Tel Awiwie, Ramat Ganie, Giwatajim i w przemysłowej dzielnicy Bnei Braku - były już zamknięte. Pracy podjął się dopiero arabski mechanik z Jafy.

W izraelskich placówkach wojskowych nie gotuje się w szabat. Żołnierze jedzą czulent - gulasz z koszernego mięsa z warzywami, kilkoma rodzajami kasz i jajkami ugotowanymi na twardo, wolno podgrzewany na włączonej przez cały dzień elektrycznej płycie. Podobne szabatowe danie je się w domach wielu Izraelczyków razem z *dżachmun* - jemeńską potrawą sobotnią z cienkiego ciasta, podobnego do francuskiego, zwiniętego w rulonik, gotowaną na małym ogniu, podawaną ze startymi pomidorami i jajkiem na twardo.

Budynki w koszernych dzielnicach muszą odpowiadać religijnym wymaganiom związanym z przestrzeganiem soboty i koszerności. Jeśli mają windy, to zatrzymują się one w soboty automatycznie na każdym piętrze (naciskanie przycisków uważane jest za pracę), a niektóre, te *glatt kaszer*, są nawet podłączone do koszernego generatora uruchomianego tuż przed szabatem, którego używa się, by nie być uzależnionym od elektrowni wytwarzających prąd w sobotę. Mieszkania wyposażone są nie tylko w podwójne zlewy, „mleczne” i „mięsne”, ale także specjalny czasomierz sterujący klimatyzacją, światłami i urządzeniami elektrycznymi, zwany zegarem szabasowym, regulujący włączanie się i wyłączanie urządzeń w soboty i święta (tak żeby nie trzeba było kłaść szabatu i robić tego samemu).

Kiedy chciałam w sobotę wejść na kikarhashabat.co.il, najpopularniejszą stronę internetową ortodoksyjnych Żydów, pojawiła się na niej informacja, że jest ona wyposażona w blokadę strażnika szabatu czuwającego nad świętością dnia, kiedy sam Bóg odpoczywał po trudach stworzenia świata.

Miejsce spotkań

Gdybyście chcieli się dowiedzieć, w której izraelskiej restauracji spotkać można świętujących wolny od pracy dzień przedstawicieli wszystkich odłamów judaizmu, musiałabym Was rozczarować. Żydzi religijni i świeccy rzadko bywają w tych samych restauracjach, a ponieważ przeważnie jadają w koszernych, bo akurat takich w Izraelu jest

najwięcej, to w sobotę i tak będą one zamknięte.

Część z nich uznana jest za koszerne przez Naczelnego Rabinat Izraela, część przez specjalne sądy rabinackie należące do różnych odłamów ultraortodoksyjnych (*glatt kaszer* albo *kaszer le'mehadrin*), a część, zazwyczaj te mniejsze i biedniejsze, przestrzega po prostu koszerności bez oficjalnego potwierdzenia. Dowód koszerności, podpisany i opieczetowany przez uprawnionego rabina, jest bardzo drogi, a jego posiadanie często wiąże się z koniecznością zatrudnienia na rachunek restauracji *maszgijach kaszrut*, specjalnego strażnika koszerności.

Charedim, najbiedniejsi, wielodzietni nieczęsto jadają poza domem, nie mają na to czasu ani środków. Poza tym nigdy nie weszliby do żadnej restauracji bez oficjalnego, wydanego przez własny odłam religijny, dowodu na to, że jest ona *glatt kaszer*.

Datiim leumiim wystarczy koszerność potwierdzona przez Naczelnego Rabinat, ale musi to być oficjalny dokument. Zdarza się, że nie wybierają restauracji *glatt kaszer* na znak protestu wobec postawy *charedim*, którzy nie uznają tych certyfikatów.

Masortim najczęściej jedzą w dowolnym miejscu, choć niektórzy wolą, żeby było ono koszerne. Czasami pytają o to, czy przestrzegana jest koszerność, ale nie wymagają okazania żadnego dokumentu. Wystarczy im menu, w którym nie figuruje mięso wieprzowe czy inne zakazane Żydom produkty.

Chilonim jedzą oczywiście, gdzie chcą, byle było smacznie i niedrogo. Jedzenie w restauracjach koszernych uważają za mało wyszukane i nieinteresujące, raczej domowe niż *gourmet*. No cóż, jeśli je porównać do potraw kuchni francuskiej, przez smakoszy uważanej za wzór sztuki kulinarnej, serwującej niekoszerną dziczyznę, ślimaki, owoce morza i na deser sery, i to po potrawach mięsnych, używającej masła do pieczenia, smażenia i gotowania, to chyba można przyznać im rację.

W innych sektorach codziennego życia drogi Żydów świeckich i ultraortodoksyjnych także się rozchodzą. *Charedim* mają oddzielne plaże dla mężczyzn i kobiet. Cała reszta Żydów kąpie się w zwykłych kąpieliskach. Na imprezach rodzinnych, takich jak wesela lub urodziny, u *datiim leumiim* kobiety i mężczyźni siedzą wprawdzie przy jednym stole, ale tańczą nie w parach, tylko w oddzielnych dla kobiet i mężczyzn kręgach. *Charedim* nie tylko nie wolno siedzieć razem z kobietami, ale w ogóle ich widzieć. U nich kobiety przebywają podczas uroczystości w oddzielnych salach lub w części sali oddzielonej parawanem. A Żydzi świeccy bawią się tym lepiej, im atrakcyjniejszy partner siedzi obok nich przy stole.

Żydzi religijni przestrzegający świętości soboty zostawiają tego dnia samochody na parkingach, a więc nie uczestniczą w popularnych w Izraelu wyjazdach za miasto

organizowanych w sobotni dzień wolny od pracy.

Zdecydowana większość sklepów i sieci supermarketów (poza Tiw-Tam) przestrzega zasad koszerności. Ich klientami są zatem i świeccy, i religijni Żydzi. Tylko *charedim* nie kupują nigdzie indziej niż we własnych sklepach w swoich dzielnicach, gdzie artykuły żywnościowe i inne produkty są przeważnie tańsze, a ich pochodzenie i inne cechy ważne z punktu widzenia koszerności są dokładnie oznaczone. W sklepach odzieżowych, o ile podzielone są na konfekcję damską i męską, spotkać się mogą prawie wszyscy Izraelczycy, oprócz chasydów noszących ubrania specjalnego rodzaju. Mitnagedzi, podobnie jak *charedim sefardim*, kupują koszule i garnitury w sklepach w dzielnicach ortodoksyjnych i świeckich. Podobno młodzi ludzie, lepiej obznajomieni z modą, cenią sobie sklepy europejskich średnich marek, takich jak Zara, jako miejsce udanych zakupów. Większość *charedim* woli jednak kupować ubrania według własnej mody, której centrum znajduje się w ultraortodoksyjnym Bnei Braku i w religijnych dzielnicach Jerozolimy. Tam akurat nie zagląдают *chilonim* właśnie ze względu na tę modę raczej nieodpowiadającą ich gustom.

Kiedy więc spotyka się cały naród izraelski? W *chol ha'moed*, świąteczne dni powszednie, czyli święta trwające kilka dni, które nie wypadają w sobotę. Taka sytuacja zdarza się dwukrotnie: w Pesach, przypadający zwykle w kwietniu, i Sukkot - we wrześniu lub październiku, kiedy to oprócz dni świątecznych są również świąteczne dni powszednie wolne od ograniczeń związanych z szabatem. W tym samym czasie świętuje wtedy cały Izrael, zarówno świecki, jak i ortodoksyjny: dzieci nie idą do szkoły, dorośli nie idą do pracy lub pracują w zmniejszonym godzinowo wymiarze, nie ma ograniczeń w funkcjonowaniu transportu publicznego. Wtedy też zobaczyć można inny Izrael, o wiele bardziej tradycyjny i powściągliwy w zachowaniach i sposobie ubierania się ludzi, ale wciąż różnorodny. Każdy park i każde atrakcyjne miejsce, w święta i soboty odwiedzane przez Żydów świeckich, nagle jest masowo oblegane przez wieloosobowe religijne rodziny, słysząc jidysz i nigdzie prawie nie widać psów zwykle spacerujących z dziećmi. Pies jest dla *charedim*, podobnie jak kot czy świnia, zwierzęciem nieczystym i choć *Tora* nigdzie nie zabrania przyjaźni z czworonogami, *charedim* trzymają się od nich z daleka. I kiedy w *chol ha'moed* wychodzę z moją suczką Luną, małym, łagodnym pieskiem rasy cavalier king charles spaniel, podobnym do pluszowej zabawki, wśród ultraortodoksyjnych dzieci budzi ona zainteresowanie, a nierzadko i strach, choć Luna tylko merda ogonkiem i co najwyżej może kogoś polizać.

Tak więc nie ma wątpliwości: weekendy należą w Izraelu do Żydów świeckich i tradycyjnych, a *chol ha'moed* - do religijnych!

Bogobojni - charedim

Moja córka Kim, urodzona w Izraelu, od najmłodszych lat mieszkająca w dzielnicy Żydów świeckich, przez kilka pierwszych lat swego życia nie miała żadnego kontaktu z *charedim*, Żydami ultraortodoksyjnymi. Pierwszy raz zobaczyła ich na placu zabaw w Parku Narodowym w Ramat Ganie, tuż koło największego na Bliskim Wschodzie safari. Korzystając z przerwy w zajęciach w ortodoksyjnych szkołach wypadającej w *chol ha'moed*, chasydzkie dzieci przyjechały do parku z Bnei Braku, sąsiadującego z Ramat Ganem największego ortodoksyjnego miasta Izraela, założonego przez Żydów pochodzących z Polski. Ponieważ moja rodzina bywała w parku w wolne od pracy i nauki soboty, kiedy pobożni Żydzi spędzali czas w swoim mieście na modlitwie i odwiedzaniu synagog, Kim bawiła się wyłącznie z żydowskimi dziećmi świeckimi, ubranymi podobnie do niej, według najnowszej mody i zmysłu praktycznego podporządkowanego klimatowi.

Dziewczynki w ciemnych spódniczkach w kratkę, białych rajtuzach i zakrytych butach oraz mali chłopcy z zakręconymi pejsami w eleganckich, zapinanych na rząd guziczków białych koszulach, czarnych, odprasowanych na kant spodniach bawili się razem z nią na placu zabaw. Z powodu trzydziestoosmiostopniowego upału wszystkie dzieci były czerwone na twarzy i w tym podobieństwie przypominały jedną wielką rodzinę. Ich rodzice: mężczyźni z brodami, w czarnych kapeluszach i białych koszulach siedzieli obok skromnych i cichych kobiet w chustkach, trzymających na kolanach małe dzieci. Mimo gorąca żadna nie nosiła krótkiej spódniczki, modnych tego lata sięgających ud spodenek czy bluzki odsłaniającej ramiona. Kim, z rozpuszczonymi włosami, w różowej sukience na ramiączkach i sandałach, przez jakiś czas przyglądała się chasydzkim dzieciom i słuchała ich rozmów w jidysz, po czym zaskoczona podbiegła do mnie. „Mamo!”, krzyknęła podekscytowana. „Skąd się wzięło nagle w Izraelu tylu Żydów?!”

Żydowskie getto w izraelskim stylu

Kim zareagowała w taki sposób, ponieważ Żydzi ultraortodoksyjni swym wyglądem także dziś najdokładniej wpisują się w stereotypowe wyobrażenie Żyda. Przedstawiciele tego odłamu judaizmu niechętnie odnoszą się do określenia „ultraortodoksyjni” ze względu na

zawartą w nim sugestię skrajności, bycia poza normą. Oni sami uważają się za *charedim*, bogobożnych. Z własnego wyboru starają się odseparować od reszty społeczeństwa i żyć w Izraelu tak, jakby nadal byli na wygnaniu - w diasporze. To, że wokół mieszkają Żydzi, a nie obcy, dla wiary stwarza w ich mniemaniu jeszcze większe zagrożenie z powodu złego przykładu, odciągania od religii i tradycji oraz naruszania żydowskiej solidarności przez członków tego samego narodu. Dlatego według *charedim*, choć judaizm nie jest religią misjonarską, wobec Żydów niereligijnych, którzy tylko czasowo odeszli od wiary, powinna być stosowana taktyka nawrócenia na właściwą ścieżkę *Tory* i *micwot* poprzez podejmowanie prób rozprzestrzeniania praw religijnych na całe społeczeństwo izraelskie.

Oba światy: *chilonim*, Żydów świeckich, i *charedim*, nastawione są zdecydowanie opozycyjnie wobec siebie, mało o sobie wiedzą, nie akceptują swoich odmiennych wyborów dotyczących religii, dziedzictwa narodowego i państwa. W codziennym życiu ich wzajemne kontakty są najaktywniejsze wtedy, gdy spotykają się z sobą po dwóch stronach ulicy podczas burzliwych demonstracji związanych z walką o prawa cywilne i religijne.

Kiedy w Izraelu zakłada się osiedla i buduje nowe dzielnice, wcześniej określa się, jaka grupa społeczno-religijna będzie w nich mieszkała. Dzielnice, małe osady, a nawet całe miasta skupiające *charedim* rządzą się oddzielnymi prawami wewnętrznymi. Zwykle działa w nich komitet dzielnicowy; bez jego pozwolenia, wydawanego na podstawie przynależności etniczno-religijnej, prawie niemożliwe jest się tu osiedlić. Żydzi ultraortodoksyjni pilnują przestrzegania zasady separacji, nie wahają się też wchodzić w konflikty z innymi społecznościami, zwłaszcza wtedy, gdy te próbują budować swoje dzielnice w bezpośrednim sąsiedztwie świeckich dzielnic miast, na przykład w Beit Szemesz czy w Aszdodzie, lub zakładać w nich szkoły religijne, tak jak to miało miejsce w Kfar Jona.

Charedim, najliczniejsi w Jerozolimie i Bnei Braku, są konserwatystami nie tylko religijnymi, ale i obyczajowymi. Ich najwyższe autorytety to *Tora* i rabin - przywódca duchowy, mędrzec i nauczyciel. Prawo religijne szczegółowo reguluje w ich życiu dosłownie wszystko. Dzięki niemu wiedzą, że pierwsze ich słowa wypowiedane tuż po przebudzeniu będą słowami modlitwy: *Mode ani lefanecha, Melech Chaj We'kajam*, „Dziękuję Tobie, Królu Żyjący i Istniejący”, a później nastąpi pierwszy ceremoniał dnia - obmycie rąk w wodzie. Mają ustalone nie tylko to, na którą nogę najpierw założyć but czy jaką modlitwę odmówić po wyjściu z toalety, ale i to z kim się ożenić i w jakiej kolejności odczytać wersety z *Tory*. Przestrzegają skrupulatnie koszerności, segregacji kobiet od mężczyzn w liturgii i życiu codziennym, poszanowania szabatu i dochowują wszystkich nakazów religijnych.

Jeden z nich - nakaz pomocy ubogim - stanowi w tej społeczności życiową

konieczność, ponieważ wielu mężczyzn przez całe życie zajmuje się studiowaniem *Tory* i nie pracuje zawodowo. Bez budzącej poczucie wspólnoty i wzajemnego wsparcia dobroczynności wielu rodzinom, utrzymującym się z zapomóg, trudno byłoby nakarmić dzieci i przeżyć miesiąc. W Bnei Braku działa ponad tysiąc instytucji charytatywnych, a o tym, że wszyscy pomagają tu sobie nawzajem, można się przekonać na każdym kroku. Na głównych ulicach miasta spotyka się starsze osoby proszące o datki. W ortodoksyjnej prasie zamieszcza się liczne ogłoszenia informujące, gdzie i kiedy rozdawane są różnego rodzaju produkty, jaki rzemieślnik gotowy jest wykonać swoją pracę za darmo jako micwę, dobry uczynek, gdzie można wypożyczyć wózek dla dziecka czy odebrać używane meble.

Pewnego dnia trafiłam w Bnei Braku do sklepiku oblepionego olbrzymimi kolorowymi ogłoszeniami, niezwykle w ortodoksyjnym mieście, z podobiznami różnych dostojnych mężczyzn ubranych na czarno, z długimi brodami, który przypominał kantor albo punkt toto-lotka. Za wysoką ladą siedział młody mężczyzna w kipie. Poza pakietami ulotek i druków nigdzie nie było widać towaru ani żadnego sprzętu. Okazało się, że to należący do Komitetu Rabinów punkt charytatywny wspólny dla wszystkich odłamów ultraortodoksji. Można tutaj wpłacić pieniądze na potrzeby innych, zostawić czek albo pozwolić magicznej karcie zwanej *Visą* przelać z jednego rachunku na drugi kilka cyfr i uszczęśliwić tym potrzebujące pomocy rodziny.

Obyczaje *charedim* i podporządkowany zasadzie skromności sposób ubierania niewiele się zmieniły na przestrzeni wieków. Nie uczestniczą oni w życiu kulturalnym, a lekturę ograniczają do świętych ksiąg, ich interpretacji i komentarzy. Z internetu korzystają w bardzo ograniczonym zakresie: sięgają głównie po programy komputerowe lub wchodzą na ściśle określone koszerne strony religijne.

Mają własne miejsca noclegowe, restauracje i sklepy koszerne, sale bankietowe, domy opieki społecznej, domy seniorów i rozbudowany, autonomiczny system edukacji - sponsorowany w części przez państwo i wspierany przez organizacje charytatywne z całego świata - oraz synagogi. Jedną z nich, nazywaną „fabryką modlitwy”, ufundowaną przez pobożnego Żyda Itzkowicza, uznawaną jest za najaktywniejszą synagogę na świecie. Do zniszczonego nieotynkowanego budynku w Bnei Braku na ulicy *Raw Szach* przychodzi codziennie około siedemnastu tysięcy wiernych ze wszystkich odłamów judaizmu i ze wszystkich grup społecznych. „Synagoga Itzkowicza” pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę przez trzysta sześćdziesiąt dni w roku. W sześciu salach odprawiane są modlitwy według obrządku sefardyjskiego i aszkenazyjskiego, a że zawsze zbierze się tu minjan - dziesięciu mężczyzn potrzebnych do odprawienia wielu żydowskich modlitw - wpada się tutaj

na chwilę modlitwy o każdej porze dnia i nocy. Nikt tu nie patrzy krzywym okiem na zakładanie kipy tylko na czas pobytu w synagodze, długość pejsów ani na to, czy kapelusz jest z płaskim, czy wypukłym denkiem. Każdy dorosły Żyd może przewodzić modlitwie i czytać fragment *Tory*, stojąc na specjalnym podwyższeniu. Przychodzi się również po to, by się zagrzać, kiedy zimą pada deszcz, i ochłodzić, kiedy latem żar leje się z nieba, odpocząć, posłuchać plotek o znanych w świecie rabinach, zjeść ciepły posiłek, dostać kupony na zakupy po obniżonych cenach i prosić o datki.

Życie Żydów ultraortodoksyjnych podporządkowane jest Bogu, a nie ludziom; odczytnie w niebie, a nie państwu na ziemi. Sprawami świeckiego państwa *charedim* są zainteresowani tylko wtedy, kiedy narusza ono prawo religijne czy utrudnia praktykowanie judaizmu. Zwykle mają do niego stosunek obojętny lub neutralny, a czasami nawet wrogi. Chasydzi Satmar, mający korzenie węgierskie i rumuńskie, twierdzą, że „największymi wrogami Żydów są syjoniści”; dlatego nie akceptują Izraela jako swojego państwa. Przeciwny istnieniu państwa jest również krańcowo ultraortodoksyjny odłam chasydów Neturei Karta, według którego tylko Mesjasz może zwrócić Żydom Erec Israel, a syjonizm jest zaprzeczeniem i zdradą *Tory*. Jego członkowie kompletnie odcinają się od wszelkiego kontaktu z instytucjami państwowymi. Nie pobierają zapomóg na dzieci, nie są ubezpieczeni, nie korzystają z państwowego szkolnictwa, nie uczestniczą w wyborach i nie posiadają dowodów osobistych. Uważają, że syjonizm niszczy religię i są za oddaniem całego terytorium Palestyńczykom.

Według danych Ha'Liszka ha'Merkazit le'Statistika (CBS) w 2009 roku w Izraelu mieszkało około trzystu sześciu tysięcy *charedim*, co stanowi osiem procent izraelskich Żydów i sześć procent całej populacji. Tylko dwadzieścia procent *charedim* to chasydzi, przeważająca większość to mitnagedzi. Aby pokazać proporcje, przytoczyłam te dane, ale są one mocno niepewne ze względu na problematyczne kryteria, a także fakt, że nie wszyscy się rejestrują.

Mitnagedzi, czyli „sprzeciwiający się” ruchowi chasydzkiemu zwolennicy tradycyjnego ortodoksyjnego judaizmu, to stosunkowo jednomyślna grupa zwolenników rabina Chaima z Wołożyna, ucznia cieszącego się wielkim poważaniem mędrca - rabina Gaona z Wilna - kładącego nacisk na wartość edukacji religijnej i intelektualnego studiowania *Tory* w przeciwieństwie do mistycyzmu chasydzkiego i właściwego mu pamięciowego przyswajania pism religijnych. Nie upatrują oni w rabinie, tak jak to jest przyjęte u chasydów, wyjątkowego człowieka o charyzmatycznych cechach charakteru i nieprzeciętnej pobożności; dla nich to mąż uczony w pismach, autorytet głównie w sprawach religijnych, a nie

świeckich. Mitnagedzi są bardziej otwarci na współczesność, co wyraża się choćby w sposobie ubierania (białe koszule i garnitury) oraz pracują zawodowo, wielu w branży komputerowej, i prowadzą własne firmy.

Ultraortodoksyjni Żydzi sefardyjscy (*charedim sefardim*) mają własnego naczelnego rabina, inne niż aszkenazyjczycy obrzędy i prawa koszerności, własne sądy rabinackie i odrębny system edukacyjny. Współcześnie pochodzą głównie z Iraku, Iranu, Maroka, Tunezji i Jemenu (Żydzi wschodni), ale historycznie nazwą tą określano grupę Żydów wygnanych w 1492 roku z Hiszpanii, którzy osiedlili się głównie w krajach Morza Śródziemnego, na Bałkanach, w Ameryce Północnej i Południowej. Ich mentalność i obyczaje ukształtowały się pod wpływem arabskiej kultury Bliskiego Wschodu, a także mędrców i filozofów żydowskich, takich jak Majmonides (Rambam) czy Josef Karo, żyjących w świecie islamu.

Chasydzi

W przeciwieństwie do sefardyjczyków europejscy zwolennicy chasydyzmu - żydowskiego ruchu o charakterze mistycznym - szczególną moc, a nawet zdolność obcowania z Bogiem przypisują cadykom (hebr. *cadik*; w Talmudzie nie ma pojęcia „człowiek dobry”, jest tylko cadyk - „sprawiedliwy”), charyzmatycznym przywódcą (admoram) stojącym na czele dynastii chasydzkiej, obdarzonym ponadprzeciętną zdolnością rozpoznawania tego, co etyczne, moralne i sprawiedliwe, otaczanym wciąż najwyższym autorytetem w sprawach wiary i życia codziennego.

Chasydyzm, uważany za symbol świata skrajnej ultraortodoksji, stworzony w XVIII wieku przez rabina z Podola Izraela Ben Eliezera, znanego pod przydomkiem Baal Szem Tow - mówiono o nim, że „sprowadził niebiosa na ziemię” - w Izraelu jest reprezentowany przez wiele chasydzkich dworów rabinackich o nazwach nawiązujących do dawnych miast i miasteczek europejskich: Karlin, Bełz, Wyżnice, Pińsk, Kock, Aleksandrów, Ożarów, Łańcut, Słonim czy Kaliw[32]. Jeden z dominujących odłamów chasydyzmu tworzy dynastia Gur pochodząca z Góry Kalwarii.

Odpowiedź na pytanie, ile jest dokładnie rodzajów chasydyzmu, zależy od tego, kogo zapytamy. Mitnaged odpowie: „Za dużo”; chasyd: „Tylko jeden - mój”; sefardyjczyk: „Co to znaczy chasydyzm? Odpowiedzią na wszystkie pytania jest rabin Owadia Josef”[33].

Znawcy judaizmu twierdzą, że w Izraelu istnieje około stu sześćdziesięciu odłamów chasydyzmu - małych społeczności żyjących według własnych reguł, skupionych wokół osoby rabina. Funkcja ta jest dziedziczna, a osoba nauczyciela cieszy się szczególnym

poważaniem, czasami zbliżonym wręcz do religijnego uwielbienia. Rabin ingeruje w życie społeczności, której jest doradcą, sędzią w każdej sprawie i przedstawicielem.

Chasydzi wierzą w siłę modlitwy ekstazy (wprowadzają się podczas modlitwy w rodzaj transu dzięki rytmicznemu pochylaniu ciała do przodu i kiwaniu głową), będącej próbą wejścia w świat sacrum. Przypisują szczególną moc opowieściom chasydzkim - swoistym legendom przekazywanym ustnie z pokolenia na pokolenie, które uczą właściwego postępowania, chwalą sprawiedliwość, dobro, prawdę i rozpowszechniają wiarę w cuda.

Dla wyznawców rabina Nachmana z Braclawia, cieszących się sympatią szerokiej rzeszy Izraelczyków, słuchanie przypowieści i bajek ma dodatkowo głęboki sens mistyczny objaśniający strukturę i sens świata. Braclawscy chasydzi wierzą, że jeśli ludziom uda się odkryć całą prawdę o Wszechświecie i Bogu, zaszyfrowaną w głębszej warstwie opowieści chasydzkich, to na Ziemi pojawi się Mesjasz. Dopóki tak się nie stanie, należy rozmawiać z Bogiem na głos przynajmniej raz w tygodniu, nie krócej niż przez godzinę, najlepiej w odosobnionym miejscu, na przykład w lesie, zwierając mu się ze wszystkich smutków, jakie leżą człowiekowi na sercu, i codziennie „służyć mu w radości”. Ten ostatni nakaz wypełniają szczególnie gorliwie. Dzięki zapamiętaniu w tańcu i śpiewie, i mocnym trunkom wprowadzają się w „święte szaleństwo”, które przybliży ich ku Bogu i jego tajemnicom. Według nich szaleniec, nie kierując się w poznaniu rozumem, podobnie jak mistyk czy małe dziecko, przekracza barierę materialnego bytu, uwalnia się od przyziemnych trosk i dostępuje objawienia. A drogę do tego wskazują przypowieści, takie chociażby jak ta cadyka Nachmana o skażonym zbożu:

Pewnego ranka król przywołał swego kanclerza i powiedział mu:

- Właśnie przeczytałem w gwiazdach, że ten, kto będzie spożywał zboże, które wyrosło w ostatnim roku, oszaleje. Jak sądzisz, mój przyjacielu, co powinniśmy zrobić, aby znaleźć wyjście z tej sytuacji?

- To bardzo proste - rzekł kanclerz. - Nie jedzmy zboża zebranego w tym roku. Mamy jeszcze trochę zboża zebranego w roku poprzednim. W zupełności wystarczy ono dla nas dwóch do żniw w następnym roku. Spożywajmy tylko to zboże, a unikniemy popadnięcia w szaleństwo.

- No dobrze - powiedział król. - My obaj unikniemy obłądu - ale co z innymi? Co z moimi wiernymi poddanymi? Co z mężczyznami, kobietami i dziećmi? Czy zapomniałeś o nich?

- Nie zapomniałem - rzekł kanclerz. - Jednak jako mąż stanu muszę myśleć praktycznie i liczyć się z faktami. Zboża z ubiegłorocznego zbioru nie starczy dla wszystkich

- a tylko dla ciebie i dla mnie.

- Nie podoba mi się twoja rada - powiedział król. - Nie chcę oddzielać się od moich poddanych. Nie chciałbym być zdrowym na umyśle, jeśli wszyscy wokół mnie mieliby być chorzy. Jeśli nie możemy odłożyć wystarczającej ilości ziarna dla uchronienia wszystkich od szaleństwa, to lepiej będzie, jeśli i my popadniemy w obłąd jak inni. Przytomność umysłu wśród szaleńców nic nie jest warta. Jeśli cały świat popada w obłąd, nie można przyglądać się temu z boku. Poza tym w takiej sytuacji ci wszyscy szaleńcy będą sądzić, że to oni są zdrowi, a my jesteśmy obłąkani. Będziemy więc jeść to samo zboże co wszyscy inni i oszalejemy tak jak oni. Nie powinniśmy jednak zapominać o tym, co naprawdę jest zdrowiem, a co chorobą. Musimy myśleć o przyszłości i uchronić w jakiejś formie pamięć o tym, kim byliśmy i kim jesteśmy. Uczyńmy sobie zatem nawzajem na czole znak, świadczący o tym, że jesteśmy szaleni. I za każdym razem, gdy ja popatrzę na znak na twoim czole, a ty na znak na moim czole - będziemy wiedzieli, że obaj jesteśmy szaleńcami[34].

Głos z za grobu

Rozpowszechnianą przez chasydów rabina Nachmana mistyczną sentencję: *Na Nach Nachma Nachman Me'Uman*, w Izraelu można spotkać dosłownie wszędzie. W formie graffiti wypisana jest na dachach opuszczonych domów, mostach, słupach przydrożnych i murach. W postaci naklejki widnieje na tylnych szybach prywatnych samochodów, w autobusach i taksówkach obok sklepowych kas, w szpitalach, na lotnisku im. Ben Guriona. Odnajdziemy ją na samotnych głazach zagubionych gdzieś w górach. Noszą ją wyszytą na kipach dzieci i brodaci mężczyźni z gitarami w białych jarmułkach. Cóż więc oznacza ta tajemnicza sentencja, którą trudno wypowiedzieć bez jąkania?

W 1862 roku, w miesiącu *tammuz*, rebe Izrael Ber Odesser, zwany też Sabba, pogrążony był w żałobie po zburzonej w 70 roku n.e Świątyni Jerozolimskiej. Pościł właśnie kolejny dzień, kiedy poczuł, że zmęczony głodówką nie potrafi skupić się na modlitwie. Jak na złość, przez otwarte okno dochodził zapach świeżo ugotowanego obiadu. Rebe uległ mu i napełnił żołądek. Przez sześć następnych dni chorobą odpokutował sytość ciała i słabość ducha. Kiedy rwał włosy z głowy, rozpaczając nad swoją ułomnością, usłyszał głos: „Idź do swego pokoju i otwórz Księgę!”. Bez chwili zastanowienia wypełnił polecenie. Pomiędzy kartkami znalazł wiadomość od rabina Nachmana z Braclawia[35], prawnuka sławnego rabina Baal Szem Towa. I nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego (no, może oprócz... głosu), gdyby nie to, że Nachman nie żył już od ponad stu lat. Notatka zawierała dziewięć linii

napisanych po hebrajsku i jedną w jidysz.

Przez sześćdziesiąt lat rabin chował w sekrecie przed światem „list z niebios” i tylko nieliczni wiedzieli o nim i jego niezwykłym pochodzeniu. Pod koniec życia, w 1922 roku, Ber Odesser wyjawiał swoim uczniom tajemnicę notatki przekazanej zza grobu. Zawarta w niej kabalistyczna sentencja medytacyjna: *Na Nach Nachma Nachman Me'Uman*, נח נחמ נחמן מאומן, stała się hasłem i mantrą braclawskich chasydów, jednego z odłamów najbardziej popularnego chasydyzmu propagowanego wśród kontrkultury izraelskiej i budzącego swymi założeniami powszechną sympatię. Mistyczna formuła, zbudowana na imieniu rabina Nachmana poprzez rozbitcie liter, miała podobno siłę ograniczającą moc zła i wzmagającą pozytywne spirytualne oddziaływanie. Wymawiając poszczególne litery, dodawało się je do siebie oddzielnie, tak by w końcu złożyły się w wyraz będący nazwą ukraińskiej miejscowości Umań (Humań), gdzie jest grób rabina:

Na (נ) - Na (1 litera hebrajska „nun”)[36];

Nach (נח) - Na+cha (2 litry: „nun”+”chet”);

Nachma (נחמ) - Na+ch+ma (3 litery: „nun”+”chet” +”mem”);

Nachman (נחמן) - Na+ch+ma+n (4 litery: „nun” +”chet”+”mem”+”nun”);

Me'uman (מאומן) - oznacza „z Humania” - miejsca pochówku rabina - lub „uwierz”.

Nie wszyscy uwierzyli w autentyczność listu zza grobu, nawet wśród gorliwych wyznawców rabina z Braclawia. Dotąd zresztą wielu Żydów ultraortodoksyjnych nie tylko że nie uznaje nauk rabina Nachmana, ale jest im zdecydowanie przeciwnych. Należy do nich między innymi rabbi Cohen Jeremiasz z Safedu, przywódca religijnej szkoły talmudycznej, Jesziwa Or Jakar, który w 2006 roku w ostrych słowach zaatakował zwolenników „jąkającego się rabina” i samego Izraela Ber Odessera. Masową pielgrzymkę chasydów do Humania, gdzie jest grób rabina, nazwał „nieprzynoszącą żadnego pożytku stratą czasu i pieniędzy”, a jego samego „psychicznie chorym, cierpiącym na urojenia człowiekiem”. Mimo to, co roku, w okresie Rosz Haszana (żydowskiego Nowego Roku), dziesiątki tysięcy ludzi, w tym również Żydów nieortodoksyjnych, jedzie na grób rabina Nachmana, który obiecał wyciągnąć z piekła każdego, kto odwiedzi go w miejscu jego pochówku. A tam śpiewają, piją wino i tańczą na jego grobie.

W 2010 roku wyjątkowo liczna grupa Żydów obchodziła w Humaniu dwustulecie śmierci rabina Nachmana, wśród nich wiele znanych osobistości: król orientalnej muzyki izraelskiej Ejał Golan, piosenkarz roku Dudu Aharon i dwóch innych, znanych i powszechnie lubianych piosenkarzy, Lior Narkis i Idan Janiw. Nie oni jednak po powrocie do Izraela wywołali sensację na lotnisku, ale dziesiątki zamaskowanych mężczyzn z nasuniętymi na

czoło kapeluszami, w chustach na twarzy. Byli to gorliwcy, którzy wbrew rozpowszechnionym w dzielnicach *charedim* plakatom ostrzegającym pobożnych Żydów przed rozwiązłymi kobietami w krainie wszelkiego występku zwanej Ukrainą, właśnie stamtąd wrócili. Maski miały ich uchronić przed rozpoznaniem i gniewem rabinów zakazujących uczestnictwa w „szarlatańskich praktykach w Humanii”.

W dniu przylotu z Ukrainy do Izraela wyznawcom rabina Nachmana nadarzyła się sposobność zastosowania w praktyce wskazówek swego duchowego mistrza. Tuż po przylocie, z powodu strajku obsługi lotniska, zostali postawieni wobec konieczności wielogodzinnego oczekiwania na bagaże. W pewnym momencie któryś z bardziej krewkich chasydów krzyknął: „Hańba!”. Po czym zamiast demolować bezczynne taśmy bagażowe, wierni naukom rabina zaczęli... tańczyć i śpiewać. Wywołali wprawdzie niezły „b-ba-bała-bałagan”, ale nawet sprowadzone w pośpiechu jednostki policji nie potrafiły zachować kamiennej twarzy wobec zwolenników „tańczącego rabina” i oprzeć się głoszonym przez niego słowom: „Przyzwyczajaj się do śpiewania. Ono da ci w życiu pełnię radości”[37].

Wyznawana przez zwolenników rabina z Braclawia koncepcja modlitwy polegającej na beztroskiej, szczęśliwej zabawie, niestronieniu od alkoholu, czerpaniu przyjemności z każdej chwili w życiu i szukaniu Boga w każdej najmniejszej rzeczy jest atrakcyjna nie tylko dla Żydów ortodoksyjnych, ale i świeckich. Braclawscy chasydzi, przypominający nieco braci franciszkanów czy zwolenników Hare Kriszna, znani z rozweselania dorosłych i dzieci, z odwiedzania szpitali, koszar wojskowych, szkół i domów opieki społecznej oraz pracy misjonarskiej w różnych zakątkach świata, są powszechnie lubiani za życzliwość, wieczny uśmiech, wesołe piosenki i taniec. Jeżdżąc po miastach starymi minibusami z wymalowanym hasłem „Na Nach Nachma Nachman Me’Uman”, chroniącym przed złem, śpiewają i tańczą, i bombardując wszystko dookoła puszczanym na cały regulator komunikatem, „wszystko staje się lepsze”, zmuszają do uśmiechu cały Izrael.

Nauka Nachmana z Humania przypomina trochę teorię amerykańskich guru od pozytywnego myślenia, chociażby pani Louise L. Hay[38], która twierdzi: „Tylko ty masz władzę w swoim świecie. Będziesz miał to, na co nastawiasz swoją myśl”. Czy też Rhondy Byrne odkrywającej w książce *Sekret* tajniki „przyciągania do siebie wszystkiego, czego pragnie się w życiu”. Czyżby i one były zwolennikami żyjącego i tworzącego ponad dwieście lat temu (1772-1810) rabina, który twierdził:

- Lepiej być naiwnym człowiekiem wierzącym we wszystko niż niedowiarkiem niewierzącym nawet w prawdę.

- Często chronimy się pod maskami, które skrywają to, kim jesteśmy naprawdę.

- Jeśli wierzysz, że można zepsuć, wierz, że można też naprawić.
- Cały świat jest wąskim mostem i najważniejsze, żebyś się nie bał.

Czy można uodpornić się na modę?

Wśród niedbale zawieszonych obwisłych bluzek i spódnic, na wbitych w ścianę hakach wisały ludzkie włosy. Jasne, o barwie orzechów laskowych, zwisały obok brunatnych, przypominających kolorem pień drzewa, miedzianokasztanowe rozjaśniały blaskiem ciemne, sąsiadujące z naturalnym odcieniem słomy, a pospolite, brązowe, chowały się za miodowymi. W większości były krótkie, o klasycznym cięciu. Tylko nieliczne zakrywałyby kobiece karki. Wyglądały tak, jak gdyby ktoś zdjął je niedawno z głów młodych dziewcząt i zawiesił niczym wojenne trofea. Były pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam po wejściu do żeńskiej przebieralni w nowym centrum sportowym. Stałam, wpatrując się w nie przez dłuższą chwilę. W swej masowości przypominały surrealistyczny obraz. Brakowało tylko strzępów skóry przyczepionych strupami do włosów, bym uciekła ze strachu z tego miejsca. Pomędzy włosami zwisał naszyjnik z Gwiazdą Dawida. Ktoś za zamkniętymi drzwiami powiedział kilka słów w jidysz, a zaraz potem roześmiane właścicielki peruk wyszły z sali treningowej, w której ćwiczyły skryte przed okiem mężczyzn. W rękach trzymały butelki z wodą i ręczniki. Czerwone na twarzy zmęczeniem zadowolonych z siebie kobiet, w sportowych czarnych butach, grubych rajtuzach, szerokich luźnych spódnicach i bawełnianych koszulkach z długimi rękawami przypominały inną rasę kobiet, różniącą się od Izraelek w wydekoltowanych bluzkach na ulicach świeckich miast czy trenujących w mojej grupie w Ramat Ganie, sąsiadującym z ortodoksyjnym Bnei Brakiem.

Kobiety podeszły do peruk. Palcami delikatnie rozszerzyły płócienne siateczki w cielistym kolorze, skrywające pajęczynę kosmyków, i starannie nałożyły je na swoje naturalne włosy. Zdążyłam jeszcze zobaczyć naprędce chowane złote pukle dziewczyny w wieku mojego syna, jasnobrązowe włosy kobiety w średnim wieku ciemniejące w sekundę oraz próbujące wymknąć się przykryciu kosmyki stojącej obok mnie dziewczyny, której głowa przybrała odcień burej jesieni.

Ultratodoksyjne Żydówki zmieniły długie skrywające biodra spódnice na jeszcze dłuższe i ciemniejsze, zakryły kolana, uwięziły ręce w rękawach bluzek, starannie zapinając na guziki wstydliwe myśli, poprawiły włosy, zbiły się w złocistobrązową masę i wychodząc ze studia, jednomyślnie przystanęły przy okiennej witrynie, wpatrując się w poprzecinane jaskrawymi kolorami niebo. Po odmówieniu błogosławieństwa, przewidzianego na moment

pojawienia się na niebie tęczy, odeszły do własnego życia.

Kod ubraniowy

W Izraelu po sposobie ubierania się trudno określić status materialny człowieka, ale za to wiele można się dowiedzieć o jego przynależności do religijnego bądź świeckiego świata żydowskiego lub muzułmańskiego. Społeczności, takie jak druzowie, Beduini, Koptowie, chasydzi czy religijni wyznawcy islamu, ubiorem podkreślają swoją odrębność i przywiązanie do tradycji opartej na unikalnym systemie przekonań religijnych i przestrzeganych od pokoleń zwyczajów. Izraelczycy świeccy, uważający się za obywateli wielkiego świata, starają się nie odbiegać zbyt daleko od globalnych trendów światowej mody.

Ci prostolinijni, wychowani według wzorca żyjących skromnie pierwszych osadników syjonistycznych, mający za sobą powszechną służbę w wojsku w warunkach polowych, związani z kibucowymi ideami propagującymi równość, emancypację i pracę fizyczną bez taryfy ulgowej dla kobiet, zdecydowanie nie lubią krępujących strojów ani sztywnych zasad zachowania. Dla nich najważniejsza jest wygoda. Latem przebojem są turystyczne lub skórzane, „biblijne” sandały oraz klapki, a przez cały rok nie słabnie moda na adidasy.

Uniwersalny symbol naszych czasów i rozpoznawalny znak Żydów świeckich - dzinsy - zacierające różnice między płciami, wygodne, masowo noszone przez ludzi w każdym wieku, w Izraelu odpowiednio na każdą okazję i każdą porę roku (i kompletnie ignorowane przez religijnych Żydów), to ulubiona część garderoby Izraelczyków. W wersji męskiej przeważnie są za duże o jeden lub więcej rozmiarów, „po izraelsku” obwisłe w okolicy pośladków, à la instalator, i pokazujące początek dwóch półkul; w wersji damskiej ściśle przylegające do ciała, opięte na wypukłościach, o niskim lub bardzo niskim stanie, nawet wtedy, kiedy rozmiar bioder nie należy do najskromniejszych.

Mężczyźni na co dzień zdecydowanie unikają, poza koniecznością wynikającą z zajmowanego stanowiska, marynarek, krawatów i eleganckich koszul, o ile nie są mitnagedami i naśladującymi ich w ubiorze ultraortodoksyjnymi sefardyjczykami, ubranymi w każdy zwykły dzień w garnitury i białe koszule ze starannie zawiązanymi krawatami. Izraelki niechętnie noszą sukienki czy spódnice za kolana, które mogłyby fałszywie sugerować ich przynależność do świata religijnego.

Na przekór Żydówkom ultraortodoksyjnym z ogolonymi głowami lub krótkimi włosami, skrupulatnie chowanymi pod chustkami czy perukami, często zapuszczają długie włosy (zwykle gęste, kręcone lub falujące) i noszą je rozpuszczone. Obfitość owłosienia nie

ogranicza się tylko do głów, wyraźnie widoczna jest na rękach, karku, a czasami i na plecach. Stąd też naturalnie gładkie ręce w Polsce niezauważalne, w Izraelu bywają powodem do komplementów. Nic więc dziwnego, że gabinety kosmetyczne zajmujące się depilacją laserową, usuwające owłosienie tradycyjnie za pomocą wosku czy nitek są bardzo popularne. Pamiętam moje zaskoczenie, kiedy pierwszy raz po porodzie weszłam na salę noworodków w Centrum Medycznym Chaim Sziba[39] w Tel ha'Szomer, dzielnicy Ramat Ganu. Wśród dziesiątków leżących noworodków nie widziałam ani jednego pozbawionego bujnej czupryni. W Izraelu moje cienkie, delikatne, proste jak druty włosy, i zarazem jeden z moich kompleksów, okazały się atrakcją, za którą słono się płaci wyspecjalizowanym w prostowaniu włosów mistrzom fryzjerskim.

Gra w kolory

Większość świeckich Izraelczyków, jak wiadomo z marketingowych sondaży, jeździ szarymi samochodami (na parkingu budynku, w którym mieszkam, osiemnaście na dwadzieścia samochodów jest w różnych odcieniach szarości i srebra, jeden jest czarny i jeden biały), lubi ciemne kolory, o czym mogę się przekonać, rzucając okiem na lustrzane odbicie koleżanek trenujących razem ze mną zumbę, rodzaj sportowego tańca latynoskiego. W lustrach przymocowanych na całej szerokości ściany widzę kilkanaście dziewcząt - wszystkie ubrane w ciemne stroje treningowe - i mnie, wyróżniającą się nie tylko okularami (w Izraelu bardzo popularne są laserowe operacje trwale usuwające wady wzroku), ale przede wszystkim koszulką: jasnoniebieską, turkusową, zieloną lub fioletową, czyli w tak zwanych arabskich kolorach uważanych za niegustowne. Kiedy zjednoczona tanecznym krokiem ciemna masa rąk i nóg odbita w tafli luster posuwa się w prawo, kolorowa plama, po której zawsze rozpoznaję siebie, płące się po lewej stronie auli. Gdy zaś równe szeregi Izraelki posuwają się do przodu prawą nogą, moja lewa akurat się cofa lub spóźnia z kolejną figurą.

Izraelczycy często używają określenia „czarni”, mając na myśli Żydów wschodnich o ciemniejszym kolorze skóry oraz Żydów ultraortodoksyjnych przez cały rok ubranych w charakterystyczną czerń: czarne spodnie, czarne buty, marynarki, chałaty, kapelusze czy kipy.

Popularność czarnego koloru niektórzy badacze wywodzą od czarnych, czyli solidnych ubrań dawnych rabinów, naśladowanych przez uczniów, a także biblijnego zakazu niełączenia nici lnianych z wełnianymi, ponieważ tego rodzaju splot zarezerwowany był wyłącznie dla kapłanów Świątyni Jerozolimskiej, z której zburzeniem wiąże się zresztą dodatkowe wytłumaczenie: czerń nosi się na znak żałoby po niej. Przede wszystkim jest ona

jednak najbardziej rozpoznawalnym elementem ubioru wypełniających *micwot* pobożnych Żydów, akcentuje tę przynależność i odróżnia ich od nieprzestrzegających praw religijnych.

Stroje *charedim* nie są jednorodnie czarno-białe. Rumuńscy czy węgierscy rabini noszą kolorowe, wyszywane kapoty, a chasydzi rabina Aleksandra z chasydzkiej dynastii Nadworna, ubierają się w satynowe lub jedwabne chałaty połyskujące w słońcu, jakby były na nich naszyte małe diamenciki.

Chasydzkie płaszcze bywają nie tylko czarne, ale i granatowe z szarymi i granatowymi prążkami, a także pasiaste jak futro zebry, charakterystyczne dla Toldot Aharon - jednego z najbardziej skrajnych odłamów chasydzkich, który jeszcze sto lat temu nie istniał. Na ulicach, zwłaszcza w szabat i święta, można spotkać połyskujące srebrem białe kapoty obok płaszczy ciemnoszarych z jasnożółtymi pasami lub żółtych z czarnymi prążkami o różnej szerokości.

Białe szale zakładane do modlitwy - *talit*, nazywane też tałasami[40] - przyciemnione są zwykle paskami czarnymi, ale często też granatowymi albo niebieskimi (zwykle u Żydów wschodnich).

Rezerwat strojów historycznych

„Musicie koniecznie pojechać do Jerozolimy w sobotę”, namawiam wszystkich znajomych z Polski przyjeżdżających na wycieczki do Ziemi Świętej. „Nie ma tam wtedy dużego ruchu, a na ulicach możecie zobaczyć pokaz mody rodem z przedwojennej Polski czy Rosji przed Wielką Rewolucją Październikową”. Świat Żydów ultraortodoksyjnych to autentyczny rezerwat strojów osiemnastowiecznych, pochodzących z epoki, kiedy Żydzi zaczęli nosić chałaty[41] wzorowane na europejskich szlacheckich żupanach i nakrycia głowy naśladowujące rosyjskie kołpaki. Chasydzi przez cały rok, nawet w czterdziestostopniowym upale, paradują w białych lub czarnych podkolanówkach, atłasowych chałatach, odświętnych, sobotnich czapkach sztrajmelach, obszytych sobolowym albo bobrowym futrem, i w podobnych do nich, węższych jednak i wyższych, futrzanych czapach noszących zapożyczone z języka polskiego miano „spodków”, albo w różnego rodzaju czarnych kapeluszach. Chasydki uznają wyłącznie długie za kolana sukienki i spódniczki z pluszu, sztucznego jedwabiu, z dodatkiem koronki, plisowane, szyte z pełnego klosza, obficie marszczone, z fantazyjnymi kołnierzykami.

Charedim pozostali wierni europejskiej modzie mimo odmiennego klimatu kraju, w którym mieszkają. Hołdują bowiem przekonaniu, że dla zachowania tożsamości żydowskiej

istotne jest nie tylko to, aby zapewnić ciągłość historii i tradycji żydowskiej, ale i nie zmieniać języka, imion czy ubioru. Ubiór ma, jak dawniej, chronić ciało tak samo od zimna czy gorąca, jak i od nieprzystojnych spojrzeń. Nie powinien więc upiększać, podnosić atrakcyjności fizycznej czy być oznaką zbytku.

Dla *charedim* wierność tradycji w sposobie ubierania się odzwierciedla stopień religijności. Im bardziej są religijni, tym mniej uznają kompromisów i tym bardziej starają się być zakryci, zamieniając krótkie marynarki na długie płaszcze. W zewnętrznych okryciach chasydów znaczenie ma nawet liczba guzików (ci najbardziej tradycyjni nie używają guzików, uważając je za zbyt nowoczesne), a także wygląd pasa z materiału (*gartal*), często jedwabnego i wyszywanego, płaskiego lub też zaokrąglonego w rodzaj rulonu, który oddziela „pobożniejszą” górną część ciała od dolnej, „cielesnej”. Bez niego żaden szanujący się chasyd nie rozpocznie modlitwy, ale przedstawiciel litwaków czy odłamu religijno-narodowego w ogóle go nie założy.

Jedwabne, satynowe lub gabardynowe płaszcze za kolana (zawsze zapinane prawą stroną na lewą) noszone przez chasydów odróżniają ich od ultraortodoksyjnych sefardyjczyków ubranych niezależnie od okoliczności w czarne garnitury i białe koszule, zawsze z czarną kipą[42] na głowie, zapuszczających czasami nawet pejsy, nieznane w tej społeczności poza Jemenem. Z kolei bogactwo detali podkreśla ich odmienność nie tylko od mitnagedów, szyjących swoje czarne lub granatowe płaszcze do kolan z tego samego materiału co spodnie i ozdabiających je nitkowatymi, delikatnymi prążkami, ale i od chasydów, należących do innych dynastii chasydzkich.

Tylko wtajemniczeni w ultraortodoksyjną modę zdają sobie sprawę z różnorodności żydowskich kapeluszy - niejednolitego kroju, szerokości i wysokości, różnie zaokrąglonych brzegów lub różnych rodzajów denka - gdzie znaczenie ma nawet kolor wstążki okalającej główkę zszytą po prawej stronie - jak u chasydów z Wyżnic - lub po lewej - jak u chasydów z Bełza. Wstążka, którą wykańcza się czarne kipy również w społeczności sefardyjskich litwaków, świadczy o stopniu religijności. „Kto chodzi z kipą bez wstążki, ten chodzi do kina bez kipy” - mówi popularne porzekadło przestrzegające przed zbytnią swobodą w sposobie ubierania się.

Czy kroczący przed nami w Jerozolimie chasyd jest żonaty czy nie? Skąd możemy to wiedzieć? Jeśli to sobota lub święto, to wystarczy przypatrzeć się jego skarpetkom. Tylko żonaci chasydzi zakładają wtedy białe skarpety. W dzień powszedni wszyscy będą jednak w czarnych.

W Mea Szearim i innych dzielnicach *charedim* w Jerozolimie czy Bnei Braku kwestia

długości bród i pejsów oraz sposób ich przycięcia i noszenia jest dylematem religijnym, nie zaś fryzjerskim. Ważny problem stanowi to, czy chłopcom z ultraortodoksyjnych rodzin powinno się pozwolić na krótkie włosy pod kipą i przycięte pejsy, czy też golić dzieciom głowy, pozostawiając jedynie długie pejsy, zakręcone jak u chasydów Gur. A może zakładać pejsy za uszy, tak jak noszą je chasydzi z Lubawicz, lub zamiast zakładać, tylko przykrywać nimi uszy?

Chłopcy, podobnie jak ich ojcowie, pod koszulą albo zamiast niej noszą mały tałas - białą kamizelkę z płótna, bez szwów, z przymocowanymi do niej po bokach czterema pasemkami podwójnie przewleczonych przez rogi tałesu frędzli ze sznurka, zwanymi *cycles*[43]. Chyba że ich rodzice należą do dynastii Wyżnic, bo wtedy już od piątego roku życia w szabat noszą kaftany uszyte na wzór kaftana dorosłych.

Golić czy nie golić?

Na rodzinnej uroczystości z okazji obrzezania religijna kuzynka mojego męża usadzona została przy jednym damskim stoliku razem z Ilaną, ortodoksyjną Żydówką i bardzo elegancką kobietą z doskonale ostrzyżonymi półdługimi włosami (naturalna peruka kosztująca fortunę), idealnie dobranym naturalnym makijażem i sznurem delikatnych pereł na szyi. Ilana, w szykownym kapeluszu, w brązowej garsonce ze spódnicą za kolana i kremowej jedwabnej bluzce, szczęśliwie nie należała do będących często przedmiotem żartów węgierskich chasydek z grupy Duszyński, lubujących się w perukach z syntetyczną, podwiniętą nad czołem grzywką, ani też do chasydek z dynastii Wyżnic, które regularnie golały głowy i przykrywają je ciasno zawiązanymi ciemnymi chustkami. Ilana była postępową polską chasydką Gur i w świecie Żydówek ultraortodoksyjnych uchodziła za dyktatorkę kobiecej mody. Ona na co dzień nakrywała włosy szalem, często z koronki (bo taki jej się akurat podobał), podczas gdy jej znajome chasydki z Węgier, należące do zwolenników rabina w Preszburgu Chatama Sofera, czy chasydki z dworu Slonim, wkładały na głowę, w czasie świąt lub w sobotę, mały turban. Jej bratowa, chasydka z polskiej dynastii z Bobowa, podobno jest tak sumienna w nakrywaniu głowy, że pod dekoracyjnie upiętą kolorową chustką lub pod peruką skrywa krótko obcięte włosy przykryte dodatkowym kawałkiem materiału, co nawet Ilanie wydaje się przesadą.

Skromny ubiór, zapięty aż po szyję, szczelnie zakrywający prawie całe ciało poza dłońmi i twarzą jednakowo obowiązuje wszystkie Żydówki religijne. To, co po ślubie dzieje się z ich włosami, zależy jednak od przynależności do określonego chasydzkiego odłamu czy

dworu rabinackiego, a także od stopnia pobożności i kraju pochodzenia. Ogolona głowa przykryta ciemną chustką uważana jest za o wiele pobożniejszą od nakrytej chustką kolorową, a obie przewyższają pod tym względem głowę nieogoloną. Krótkie włosy pod peruką lub chustką oceniane są jako skromniejsze od długich. Także peruki mogą być bardziej lub mniej postępowe i różnić się sposobem obcięcia, ułożenia, długością włosów i... ceną: od dwustu pięćdziesięciu szekli za sztuczne, syntetyczne włosy, matowe, łatwo nagrzewające się w słońcu, noszone zwyczajowo przez niezamężne kobiety, do pięciu tysięcy szekli (według kursu z 14 lutego 2013 roku 1 shekel stanowił równowartość osiemdziesięciu groszy) za naturalne lub półnaturalne włosy. Wiele kobiet, mając fryzurę zniszczoną, przerzedzoną po latach przykrywania włosów chustkami czy perukami, decyduje się na ogolenie głowy nie ze względu na pobożność, tylko na wygodę czy wręcz konieczność.

Biblijni skauci z Gwiazdą Dawida

Jak na ironię, pierwszy raz zwróciłam uwagę na modę panującą wśród zakładających osiedla na Terytoriach Okupowanych syjonistycznych osadników ekstremistów, należących do odłamu religijno-narodowego, daleko od Izraela, bo w nowojorskim mieszkaniu, gdzie się zatrzymaliśmy wraz z mężem i córką w czasie wakacji. Robert, należący do rodziny mojego męża żydowski adwokat zajmujący się sprawami emigrantów, pokazał mi swoje zdjęcia z podróży do Izraela i odwiedzin u amerykańsko-żydowsko-izraelskiej rodziny, która kiedyś należała do tej samej co on gminy żydowskiej na Manhattanie. Oglądając fotografie, miałam wrażenie, że mam przed sobą grupę dziwnych skautów z czasów biblijnych w garderobie skompletowanej w outletach w Stanach, wymieszanej z ubraniami kupionymi podczas wypraw w różne zakątki świata, z dodatkiem elementów judaistycznych.

Nie miałam przyjaciół ani znajomych wśród tej grupy Żydów. Widywałam ich czasami na ekranie telewizyjnym przy okazji wysiedlania osad żydowskich z rejonu Gusz Katif (Strefa Gazy) czy z Hebronu (Zachodni Brzeg). Byli łatwo rozpoznawalni ze względu na specyficzny sposób ubierania się, odzwierciedlający przekonanie, że obowiązkiem Żydów jest powrót na Ziemię Izraela zasiedloną wyłącznie przez wyznawców judaizmu. Ubiór osadników, postrzegających siebie jako rycerzy Syjonu walczących przeciw wrogiemu światu gojów i ideologicznych przeciwników syjonizmu, nie przypominał konserwatywnego stylu chasydzkiego czy w ogóle ultraortodoksyjnego, z jego białymi koszulami o eleganckim kroju, prostymi spódnicami i solidnymi marynarkami. Osadnicy, *mitnachalim*, często właśnie amerykańskiego pochodzenia, mówiący po angielsku lub hebrajsku z amerykańskim

akcentem, hołdowali modzie opartej na tradycji etniczno-egzotyczno-biblijnej i izraelskich pionierów miłośników natury, a zarazem zwolenników Nachmana z Umanu. Ubierali się warstwowo i praktycznie. Kobiety nosiły długie do stóp, kwieciste spódnice uszyte z dużej ilości marszczonego materiału, często z falbankami, pod które, tak jak Arabki, wkładały spodnie. Do tego obszerne bluzki z szerokimi rękawami, sportowe buty i indyjskie chustki przetykane złotą nitką, zawiązane na węzeł, z długim ogonem materiału. Modne były wśród nich płócienne torby etniczne, bawełniane koszulki o biblijnym kroju wkładane na podkoszulki i biżuteria z żydowskimi symbolami.

Mężczyźni nakrywali głowy dużymi, kolorowymi, zrobionymi szydełkiem kipami, zawadiacko przekręconymi na bok, czasem z wyszytą monstrualną Gwiazdą Dawida. Na nogi wkładali turystyczne sandały z indiańskim wzorem albo, tak jak kobiety, sportowe buty. Chodzili w etnicznych lub białych koszulach przypominających rosyjskie rubaszki i w koszulkach polo. Nie gardzili polarami ani starymi żołnierskimi kurtkami w zimie. Wszędzie obnosili się z bronią i charakterystyczną miną zawadiaków próbujących dla „jedynej słusznej idei Izraela” zawojować świat. Ich ubiór i sposób zachowania: głośny, pewny siebie, buńczuczny zdawał się mówić: „Nie akceptuję do końca współczesnego Izraela, nie akceptuję w ogóle Palestyńczyków i gojów. Mam własną wizję świata Żydów i dla niego gotów jestem zrobić wszystko”.

W przeciwieństwie do *mitnachalim*, przedstawicieli nowoczesnej ortodoksji, *datiim leumiim*, ubierających się zgodnie z wymogami mody i nakrywających głowy niepozornymi szydełkowymi kipami w stonowanych kolorach, znam dobrze. Ta społeczność żydowska stara się współżyć zgodnie z *chilonim* i pogodzić bycie religijnymi Żydami ze służbą w wojsku oraz korzystaniem ze zdobyczy najnowszej techniki i nauki. Spotykam ich na co dzień w gazecie, w której pracuję, w teatrze, restauracji, ucinam pogaduszki podczas spaceru z Luną czy na zebraniu rodziców w szkole Kim. Czasami przez pomyłkę biorę ich za Żydów świeckich.

Święta szata i uniform

Dwóch chasydów ubranych w odświętne chałaty i bobrowe czapki w lecie przyjechało ze Stamford Hill w Londynie do Paryża. Wszędzie, gdzie się pojawiali, wzbudzali spore zainteresowanie; pokazywano ich nawet palcami. „Popatrz na tych Francuzów, Mendel”, powiedział w jidysz jeden do drugiego, „nigdy nie widzieli prawdziwych Anglików!”

Przestarzały, niepraktyczny, nieprzystosowany do klimatu sposób ubierania się

charedim bywa przedmiotem żartów. Ale przez samych zainteresowanych traktowany jest bardzo poważnie. Dla nich to znak rozpoznawczy odróżniający ich od mniej religijnych Żydów, potwierdzający przynależność do określonego odłamu religijnego, uniform, w którym zakodowane są konkretne informacje dotyczące stanu cywilnego (żonaty, kawaler, mężatka, panna), miejsca zamieszkania (Jerozolima czy inne miejscowości), funkcji religijnej (rabin, uczeń), pochodzenia etnicznego (aszkenazyjczyk, sefardyjczyk).

Ubrany tradycyjnie Żyd ultraortodoksyjny przypomina żołnierza na posterunku wiary i tradycji, żołnierza w służbie Bogu i własnej społeczności. Jego strój, aby świadczył o przyjęciu obowiązków religijnych, musi wyglądać, podobnie jak mundur, w ściśle określony sposób i być odpowiednio noszony, co jest zresztą obłożone sankcjami. W ten sposób *charedim* mogą być przykładem dla innych pobożnych Żydów i zarazem realizują nakaz odróżniania się od gojów. Strój chroni przed pokusami świeckiego świata i oddziela od niego dwustronną barierą. Chasyd z brodą i w chałacie nie będzie miał odwagi wejść do świeckiego pubu, teatru czy nawet restauracji, bo tak ubrany nie będzie się tam czuł na swoim miejscu. Ale i Izraelka w kusej sukience nie poprosi o ogień chasyda z pejsami w kapeluszu i nie zacznie z nim intymnej rozmowy, która w przypadku świeckiego Izraelczyka mogłaby się zakończyć romantycznym związkiem.

Czy jednak faktycznie strój może być rodzajem zbroi izolującej od zmiennej i mało uduchowionej współczesnej rzeczywistości? Nie wiem. Świat *charedim*, enklawę mniejszości, obserwujemy z mężem, Żydem świeckim, tylko z daleka i choć dla mnie jest on po prostu reliktem zanikającej przeszłości, innym nadal wydaje się rodzajem świętej szaty.

Wschód przeciwko Zachodowi

W krainie z *Biblii*, zwanej Samarią, w północnej części Zachodniego Brzegu, na Terytoriach Okupowanych przycupnęło małe żydowskie miasteczko - Emmanuel. Od chwili, gdy zostało założone w 1985 roku, Emmanuel miało ambicję, by stać się „domem chasydów”, w którym mieszka się, jak to określał film propagandowy, w „czystej atmosferze chasydyzmu”. Ponieważ osadę zbudowano na potrzeby wielodzietnego społeczeństwa ultraortodoksyjnego, pełno w niej było parków, placów zabaw dla dzieci, uliczek zamkniętych dla ruchu samochodowego, koszernych sklepów i budynków dostosowanych do norm religijnego życia. Zielone pagórki i odludna okolica Emmanuel oddzielały żyjących w nim bogobojnych Żydów od laickiego świata grzesznych miast i Żydów, którzy zapomnieli, co to tradycja i judaistyczne wartości. Nie potrafiły jednak uchronić jego mieszkańców od polityki. W dwóch zamachach palestyńskich terrorystów, w roku 2001 i 2002, zginęło dwiętnastu mieszkańców Emmanuel, a dziesiątki odniosło rany.

W 2010 roku w Emmanuel niewiele było mieszkańców. Według spisu ludności: dwa tysiące dziewięćset czterdzieści osiem osób żyjących w czterystu dwudziestu sześciu rodzinach (CBS, 2010), obdarzonych powiększającym się z roku na rok potomstwem. Dziećmi i domem opiekowały się skromne kobiety, a ich mężowie, w czarnym kapotach, codziennie biegali pochyleni, ze spuszczoneymi w dół oczyma, do pobliskich jesziw, by tam zgłębiać tajemnice Stwórcy i studiować komentarze rabinackich mędrców. Chociaż arabska ziemia dla żydowskich osadników była tania, w żydowskim miasteczku i tak się nie przelewało. Kiedy w Izraelu zarabiano się przeciętnie siedem tysięcy złotych, w Emmanuel średni zarobek był o połowę mniejszy (CBS, 2010), przy czym zawodowo pracowała na ogół tylko jedna osoba z rodziny. A że w XX wieku manna już nie spadała z nieba, korzystali emmanuelscy Żydzi, podobnie jak osadnicy z innych osad i miast na Terytoriach Okupowanych, z państwowych dotacji i zapomóg socjalnych oraz darowizn od bogatych. Skromność doczesnego bytu im nie przeszkadzała - ich codzienność wypełniały boskie nakazy, a jeszcze bardziej zakazy. Najważniejsza zaś była służba prawu żydowskiemu, podporządkowanie się rabinom oraz wychowywanie dzieci w żydowskiej tradycji. Rodzice bardzo starali się przy tym, by dzieci prześcignęły ich w pobożności i znajomości świętych ksiąg.

Mimo że w Emmanuel, podobnie jak w całym Izraelu, żyli Żydzi wierzący w tego samego Jahwe, różnili się oni między sobą i trudno im było zaakceptować inną niż swoja drogę do Boga, odmienną mentalność, odrębne zwyczaje i tradycję. Mieszkańcy Emmanuel, podzieleni wewnątrz na odłamy, rozdzieleni pochodzeniem etnicznym, unikali się nawzajem, mając wiele powodów do krytyki tych, którzy nie należeli do tego samego kręgu. Wzajemna nieufność przesądzona była już w chwili urodzenia i poparta zwykle ciemniejszą lub jaśniejszą skórą, różnicą wykształcenia i związkiem z inną tradycją dzielącą Żydów na aszkenazyjczyków i sefardyjczyków. Pierwsi mieli dominującą pozycję w miasteczku Emmanuel, podobnie jak w całym żydowskim kraju, i bardzo z tego powodu zadzierali nosa. Drudzy - zajmowali zwykle pozycję pośledniejszą: byli mniej uprzywilejowani, gorzej wykształceni i słabiej zarabiający, co miało potwierdzenie w statystykach.

Mur pobożności

Emmanuel od samego początku zostało zaprojektowane jako osada Żydów religijnych, z czego wynikało, że nigdy nie mieli tu zamieszkać Żydzi nieultraortodoksyjni. Aszkenazyjczycy i sefardyjczycy, a już zwłaszcza chasydzi - uczniowie świętych mężów, cadyków - zawsze skrupulatnie przestrzegali wszystkich praw halachicznych. Różnic w ich pobożności ktoś z zewnątrz nie miałby szans zauważyć, o zrozumieniu już nie mówiąc. Sami *charedim* świetnie się jednak w tym wyznawali i święcie strzegli dzielących ich granic. Wyznaczać je mogła choćby różnica pomiędzy chasydami dworu Slonim, którzy nie posiadali telewizora, komputera, nie czytali świeckich gazet, a tymi, którzy mieli w swoim domu te „narzędzia szatana” i byli na ich wpływ narażeni.

Aby każdy wiedział dokładnie, gdzie jest jego miejsce, w Emmanuel wybudowano mur dzielący dzielnicę *charedim* od dzielnicy *chozrim be'tszuwa*, czyli tych, którzy powrócili do ścisłego przestrzegania *micwot* i z niereligijnych stali się ultraortodoksyjni. W 2007 roku zadbano też o to, by dokładnie rozdzielić dzieci aszkenazyjskie od sefardyjskich, co nie było prostym zadaniem, ponieważ szkoła Beit Jakow, gdzie uczyło się siedemdziesiąt uczennic aszkenazyjskiego odłamu Chasidut ze Słonimia[44], mieściła się w tym samym budynku co szkoła uczennic sefardyjskich pobierających nauki według programu edukacji obowiązującego w sefardyjskiej sieci szkół partii Szas. Aby dziewczynki aszkenazyjskie nie były „narażone” na spotkania z dziewczynkami sefardyjskimi i wynikające stąd wzajemne wpływy, boisko szkolne i klasy podzielono gipsową ścianą na część aszkenazyjską i sefardyjską.

W ultraortodoksyjnej osadzie Emmanuel, podzielonej na odrębne, małe społeczności, na pozór żyło się spokojnie aż do roku 5570 czasu żydowskiego lub 2010 „czasu gojów”, kiedy to na podstawie złożonej przez sefardyjskiego rabina petycji stojący na straży demokracji i równouprawnienia cywilny Sąd Najwyższy nakazał zburzenie muru i oficjalnie potwierdził równe prawa do nauki w tej samej szkole zarówno dzieci aszkenazyjskich, jak i sefardyjskich.

W odpowiedzi na decyzję sądu rodzice dzieci chasydów dworu Slonim przestali posyłać swoje dziewczynki do szkoły, motywując to „różnicą poziomów duchowych”. Sąd zagroził rodzicom karą więzienia, jeśli będą nadal bojkotowali szkołę wbrew obowiązującemu w Izraelu od 1949 roku prawu, które stanowi, że „każde dziecko w wieku od piątego do czternastego, piętnastego roku życia musi być objęte nauczaniem szkolnym”.

Tego, co się stało potem, nikt się chyba nie spodziewał. Obie ultraortodoksyjne społeczności Izraela, zarówno aszkenazyjczycy, jak i dyskryminowani (!) sefardycy, zjednoczyły się w „walce o czystość dusz dzieci” i proteście przeciwko „największemu wrogowi Żydów religijnych - świeckiemu państwu i jego instytucjom”.

W dniu, w którym nieszanujący postanowienia Sądu Najwyższego rodzice zostali pozbawieni wolności, w Jerozolimie i Bnei Braku sto tysięcy *charedim* solidarnie protestowało przeciwko mieszaniu się państwa w wewnętrzne życie społeczności ultraortodoksyjnych, krzycząc podczas demonstracji: „Walka o nasze wychowanie to nasze męczeństwo!”; „Judaizm wart jest więzienia!”; „Podporządkowujemy się tylko prawu Bożemu!”. Bohaterskich „męczenników za wiarę”, w tym dwadzieścia dwie kobiety, odwieziono do więzienia i pod presją środowisk religijnych prawie natychmiast zwolniono.

W 2012 roku w nowoczesnym budynku szkoły w Emmanuel nadal nie odbywały się lekcje wspólne dla dzieci sefardyjskich i aszkenazyjskich. Chasydzi dworu Slonim z własnych funduszy, datków prywatnych osób i żydowskich organizacji charytatywnych założyli w prywatnych domach szkoły dla dzieci aszkenazyjskich. Podczas gdy w ścisłości uczyły się one o europejskich chasydach, w budynku państwowej szkoły, świecącym pustkami, odbywały się zajęcia wyłącznie dla nielicznych dzieci sefardyjskich.

Gdzie podczas protestów *charedim* podziewali się świeccy Żydzi, którzy na co dzień w Izraelu są zmuszani do respektowania religijnych praw żydowskich? Dlaczego nie wykorzystali protestów *charedim* do masowych demonstracji za poszanowaniem prawa cywilnego i nie opowiedzieli się przy tej okazji za rozdziałem religii od państwa? Dlaczego nie żądali komunikacji publicznej bez przerw od piątkowego popołudnia aż do sobotniego wieczoru, prawa do jeżdżenia wszystkimi drogami bez strachu, że zostaną obrzuceni

kamieniami? Dlaczego nie domagano się zniesienia rozwodów przed sądem rabinackim dyskryminującym kobiety, rozstrzygającym o losie małżeństw na podstawie biblijnego prawa napisanego tysiące lat temu i komentarzy rabinów sprzed stuleci, czy cywilnych ślubów, po które trzeba jeździć za granicę?

No cóż... Żydzi świeccy pisali wtedy w internecie negatywne komentarze na temat Żydów religijnych i wewnętrznych podziałów, oglądali mundial, a czterdzieści tysięcy spośród nich czciło Eltona Johna na koncercie w Ramat Ganie. Król popu, w niebieskich okularach, ubrany w czarny frak z zielono-niebieskimi cekinami, w złotych butach, ocierając pot z czoła, śpiewał *I'm Still Standing* (Wciąż stoję). Wtórowali mu wzruszeni Izraelczycy razem z nim żegnający Normę Jean, Daniela i Yellow Brick Road. Kiedy Elton John, znikając za sceną, pomachał im na pożegnanie, popatrzyli w niebo. Nie. Nie szukali tam Boga. Zastąpiły Go fajerwerki.

Powszechny konflikt

Spór w Emmanuel to nie tylko mało znaczący epizod, który zdarzył się dwóm grupom Izraelczyków w prowincjonalnej miejscowości i przycichł po kilku miesiącach. Odzwierciedla on ciągle obecny w Izraelu i obejmujący wszystkie grupy żydowskie konflikt religijno-etniczny między aszkenazyjczykami a sefardyjczykami. Sefardyjczycy, choć o wiele mniej liczni, przez stulecia uważani byli jednak za żydowską arystokrację teologiczną. Aszkenazyjczycy (przed drugą wojną światową stanowili dziewięćdziesiąt procent Żydów na świecie)[45] dopiero w ostatnich wiekach zaczęli odgrywać w światowym żydostwie dominującą rolę w religii i ekonomii. Sytuacja jeszcze się skomplikowała po utworzeniu Państwa Izraela.

Masowa emigracja z czterech stron świata wytworzyła nowe napięcia i podziały, także o charakterze ekonomicznym. W Palestynie, w początkach XX wieku, żyło już kilkadziesiąt tysięcy Żydów, w większości sefardyjczyków. Ruch polityczny pierwszych syjonistów w przeważającej mierze był aszkenazyjski. Wszyscy jego przywódcy pochodzili z Europy. Pierwsi syjoniści i osadnicy w Palestynie to prawie wyłącznie aszkenazyjczycy. Przybycie do nowego państwa Żydów ocalałych z Holocaustu umocniło ich liczebną przewagę i dominację. Wkrótce jednak napłynęli Żydzi z Afryki (Maroka, Tunezji, Algierii) i Azji (Iranu, Syrii, Iraku), nieznający języka hebrajskiego sefardyjczycy, w większości sklepikarze i prości rzemieślnicy, ponieważ wykształceni i lepiej sytuowani woleli osiedlić się w Europie, głównie we Francji, lub w Ameryce. Ci, którzy wybrali państwo żydowskie, przeważnie nie

mieli pieniądze, by kupić mieszkania w dużych miastach. Zostali zatem osiedleni w barakach i namiotach na peryferiach, z dala od centrum gospodarczo-politycznego.

Ich położenie bardzo się różniło od tego, na co mogli sobie pozwolić masowo imigrujący do Izraela w tym samym czasie Żydzi europejscy. Oni często mieli tu rodziny i znajomych, sami w przeważającej mierze byli wykształconymi specjalistami, co okazało się pomocne w znalezieniu pracy i mieszkania w rozwijającym się dynamicznie centrum kraju. To początkowe rozwarstwienie ekonomiczne dramatycznie się pogłębiło, kiedy w wyniku umowy o odszkodowania od 1952 roku zaczęły napływać z Niemiec miliardy zachodnich marek, które dostały się w ręce tylko aszkenazyjskich Żydów europejskich jako rekompensata za cierpienia z czasów Szoah.

Obecnie nazwą „Żydzi sefardyjscy” (dosł. Żydzi hiszpańscy) określa się tę część społeczeństwa izraelskiego, której przodkowie, pochodzący głównie z krajów Afryki i Azji, posługiwali się różnymi żydowskimi dialektami języka arabskiego i przynależeli do żydowskiego obrządku sefardyjskiego.

Dyskryminacja?

Sefardyjczycy, ponad pięćdziesiąt procent izraelskiego społeczeństwa, uważają się za dyskryminowanych przez aszkenazyjczyków[46]. Statystyka zdaje się to potwierdzać. Sefardyjczycy zarabiają o około czterdzieści procent mniej, są znacznie gorzej wykształceni, mieszkają na prowincji i w małych miejscowościach, w gorszych warunkach, mają mniej szans na zatrudnienie i awans[47]. Wśród czterystu profesorów akademickich tylko dwudziestu trzech jest pochodzenia orientального[48]; dwa i pół raza mniej bezrobotnych jest wśród aszkenazyjczyków, pracę słabo wykwalifikowanych robotników wykonuje aż pięćdziesiąt cztery procent sefardyjczyków i tylko dwadzieścia osiem procent aszkenazyjczyków.

Pochodzący z Iraku Szlomo Maoz, jeden z głównych ekonomistów izraelskich, wykładowca uniwersytecki i komentator telewizyjny, stwierdził publicznie na konferencji w Sapir College (Kenes Sapir le'Demokratia), że ziemia izraelska została „zrabowana przez aszkenazyjskie kibuce”, Bank Narodowy Izraela jest „bankiem białych”, Sąd Najwyższy i instytucje państwowe są zdominowane przez aszkenazyjczyków, a w państwie, w którym rządzi „białe społeczeństwo”, tylko „biali” mogą być na eksponowanych stanowiskach państwowych[49].

„Mój syn ma ciemniejszą skórę i dlatego nie przyjęto go do szkoły”, twierdzi niejeden

ultraortodoksyjny Żyd sefardyjski i uważa brak akceptacji ze strony religijnych szkół aszkenazyjskich za przejaw dyskryminacji etnicznej, skoro dyskwalifikuje się synów i córki sefardyjczyków nie ze względu na brak religijności, wyniki nauczania czy inne cechy własne, ale wyłącznie za pochodzenie etniczne. Dla nich niemożność posyłania dzieci do tych szkół oznacza zaprzepaszczenie szansy na awans społeczny, jaką daje nauka w sponsorowanych przez Ministerstwo Oświaty prestiżowych seminariach religijnych w Jerozolimie, Bnei Braku, Beitar Illit i Modi'in Illit, gdzie siedemdziesiąt do siedemdziesięciu pięciu procent studentów stanowią aszkenazyjczycy. Paradoksalnie prestiż szkoły spada wraz z liczbą przyjętych przez nią uczniów sefardyjskich uważanych powszechnie za mniej skrupulatnych w przestrzeganiu praw religijnych oraz bardziej otwartych na współczesność i zmiany. Sami rodzice, niezadowoleni z niskiego poziomu nauczania w szkołach sefardyjskich, głoszą zresztą opinię, że „lepiej studiować *Torę* samodzielnie w domu niż w sefardyjskiej szkole”. Posuwają się nawet do tego, że zmieniają imiona i nazwiska na brzmiące bardziej europejsko, aby dzieci trafiły do szkolnictwa aszkenazyjskiego. Nie odstrasza ich to, że dzieci sefardyjskie w niektórych szkołach ultraortodoksyjnych zmuszane są do siedzenia oddzielnie, w specjalnie przeznaczonych dla nich ławkach, a Ministerstwo Oświaty nie ingeruje nawet wtedy, gdy otrzymuje setki skarg na dyskryminację sefardyjczyków.

Ultraortodoksyjni aszkenazyjczycy tłumaczą swój punkt widzenia tym, że w ich środowisku od najmłodszych lat przyzwyczajają się dzieci do rygoru życia podporządkowanego prawom grupy wyznaniowej, do której należą, i pochodzeniu etnicznemu. Ultraortodoksyjne szkoły postrzegają siebie jako bezpośrednią kontynuację edukacji żydowskiej takiej, jaka była w diasporze (*galut*), przed powstaniem Izraela. Lekcje w niektórych szkołach chasydzkich nadal, tak jak kiedyś, odbywają się w jidysz, a nauka obejmuje również pisma rabinów aszkenazyjskich. W szkołach sefardyjskich natomiast dzieci modlą się w obrzędku sefardyjskim, uczy się ich sefardyjskich praw religijnych, odmiennych od aszkenazyjskich w niektórych dziedzinach, takich na przykład jak koszerność.

Szkoły religijne stoją na straży nie tylko wiary, ale i nie mniej ważnej tradycji. Gdyby chasydzka uczennica chciała chodzić do szkoły w długiej do kostek sukience, zwrócono by jej uwagę, że to kod ubioru *mitnachalot* (osadniczki na Terytoriach Okupowanych), do których ona nie należy, i żądano od niej, by nosiła sukienki za kolana. Nie mogłaby zlekceważyć tego upomnienia, bo zostałaby wyrzucona ze szkoły za bunt przeciwko autorytetom i swojej grupie, a tym samym tradycji i związanej z nią religii.

Na tej samej zasadzie nie do przyjęcia byłoby noszenie szydełkowej kipy wśród *charedim* wiernych czarnym jarmułkom czy chustka zamiast peruki na głowie nauczycielki w

środowisku, które tego nie aprobuje. Nauczyciel ceniący sobie intelektualne studiowanie *Talmudu* nie mógłby nauczać w szkole zwolenników mistycyzmu rabinicznego, a rabin opowiadający dzieciom chasydzkie opowieści nie zostałby przyjęty w szkole mitnagedów krytykujących mistycyzm rabinacki.

Izraelski system edukacji

Konflikt w Emmanuel dotyka nie tylko kwestii etnicznej, ale również jednego z epizodów sporu o ideologiczną hegemonię pomiędzy społeczeństwem ortodoksyjnym a świeckim oraz odsłania zasady funkcjonowania edukacji religijnej w państwie laickim z założenia.

Ben Gurion, syjonista i pierwszy premier Izraela, o czym już była mowa, swoim słynnym status quo zagwarantował przedstawicielom społeczności ultraortodoksyjnych przysługą niezależną od państwa, autonomiczną edukację religijną dla każdego odłamu. W początkach nowego osadnictwa Żydów w Palestynie edukacja została podzielona na różne ideologiczne „nurty”. Praktycznie każda partia, odłam religijny czy grupa społeczna otwierały swoje własne przedszkola i szkoły, w których nauczano według własnych przekonań. W Prawie o szkolnictwie państwowym z 1953 roku połączono te rozdrobnione przedsięwzięcia w dwa główne systemy edukacyjne: szkolnictwo państwowe, nadzorowane i finansowane przez Ministerstwo Oświaty, i szkolnictwo samodzielne - dla Żydów ultraortodoksyjnych. Izraelscy Arabowie otrzymali prawo do własnego szkolnictwa, funkcjonującego pod nadzorem Ministerstwa Oświaty (dziś jest to około dwudziestu pięciu procent szkół).

Do systemu szkolnictwa państwowego należy sieć szkół przeznaczonych dla Żydów świeckich i tradycyjnych (*chilonim* i *masortim*) oraz religijno-narodowych (*datiim leumiim*). W koedukacyjnych szkołach świeckich w roku 2009/2010 uczyło się około sześćdziesięciu procent dzieci (w 1979/1980 - siedemdziesiąt cztery procent); szkoły religijne wybrało dwadzieścia procent żydowskich rodzin (w 1979/1980 - dwadzieścia sześć procent)[50]. Programy nauczania są podobne (w religijnych obowiązuje segregacja płciowa, więcej czasu przeznaczają się na zajęcia z religii oraz poznawanie *Biblii*) i bardzo przypominają systemy edukacyjne przyjęte w Polsce. Pozostałe dwadzieścia procent to uczniowie samodzielnego i niezależnego od państwa szkolnictwa prowadzonego przez *charedim* różnych odłamów.

W przekonaniu *charedim* głównym zadaniem oświaty jest kształcenie pobożnych Żydów tak, aby poznali prawo religijne i mogli ściśle go przestrzegać, oraz pobożnych Żydówek „dobrych żon i matek”, biegłych we wszystkim, co dotyczy koszerności,

zachowujących się zgodnie z zasadą skromności i nakazami odnoszących się do nich praw religijnych. Chłopcy, ucząc się *Tory*, wypełniają jeden z nakazów religijnych. Lekcje dla chłopców od trzeciego (czasami od piątego) do ósmego roku życia trwają zwykle do piętnastej; do ukończenia piętnastu lat - do osiemnastej. Dzieci i młodzież, które już ukończyły szkołę, kontynuują naukę religii na prywatnych zajęciach i w ramach samokształcenia w domu. Mężczyźni przeznaczają na studiowanie *Tory* i pism religijnych cały dzień, od świtu po zmierzch, i poświęcają się temu zajęciu aż do późnej starości. W środowisku *charedim* im bardziej ktoś jest uczony w *Torze*, tym większym cieszy się szacunkiem jako człowiek wykształcony, pobożny i godny podziwu. Ta reguła absolutnie nie sprawdza się jednak na świeckim rynku pracy.

Mimo to ultraortodoksyjni Żydzi są przeciwni temu, aby ich dzieci uczyły się do matury i studiowały w świeckich wyższych uczelniach w obawie, że mogłoby to przyczynić się do zachwiania ich wiary i doprowadzić do konfrontacji ich przekonań i stylu życia z nowoczesnym świeckim światem i nowym światopoglądem - tak jak to się już zdarzyło Żydom pod wpływem zachodnich idei w dobie żydowskiego oświecenia. Uważają, zgodnie ze swymi przekonaniem, że za edukację dzieci są odpowiedzialni przed Bogiem, nie zaś przed państwowymi urzędnikami.

Kto płaci za kogo i dlaczego?

Jak to się stało, że w szkołach przeznaczonych dla dzieci *charedim*, społeczności stanowiącej ośmioprocentową zaledwie mniejszość, uczy się aż dwadzieścia dwa i cztery dziesiąte procent wszystkich uczniów? Dlaczego w ciągu ostatnich dziesięciu lat w szkolnictwie ultraortodoksyjnym liczba uczniów wzrosła o ponad połowę[51], podczas gdy w szkołach państwowych prawie w ogóle się nie zmieniła?

Ultraortodoksyjne placówki oświatowe oferujące długi dzień nauki, darmowe posiłki, a do tego pozytywne wartości edukacyjne, są szczególnie atrakcyjne dla nowych emigrantów borykających się z problemami bytowymi i brakiem pełnej akceptacji ze strony środowiska. Bardzo dobrze to widać na przykładzie miasta Aszdod, w którym osiedlili się nowi emigranci z Etiopii i Francji, a czterdzieści procent wszystkich mieszkańców pochodzi z byłego ZSRR. Jak podaje strona internetowa miasta Aszdod (ashdodnet.com), w ciągu ostatnich dziesięciu lat liczba uczniów w szkołach *charedim* wzrosła w Aszdodzie o sto trzydzieści procent[52], w czym nie przeszkodził ani najniższy poziom nauczania w prawie połowie z nich (czterdzieści cztery procent), ani to, że siedemdziesiąt procent uczniów piątych klas szkół podstawowych

osiąga najniższe w kraju wyniki w nauce języka hebrajskiego[53].

System szkolnictwa religijnego Talmud-Tora - zarówno sefardyjski, utworzony przez partię Szas, jak i aszkenazyjski - choć w pełni niezależny, korzysta z funduszy państwowych, tak jakby wchodził w skład szkolnictwa państwowego.

W budżecie Izraela na lata 2011-2012 partia Szas zapewniła sobie dwudziestoprocentowy wzrost nakładów na szkolnictwo religijne. Uri Regew, rabin judaizmu reformowanego, działający na rzecz pluralizmu w Izraelu, stwierdził w związku z tym, że „nie ma limitu ceny, jaką rząd gotów jest zapłacić za kilka następnych miesięcy rządów[54]”. Co najbardziej w tym paradoksalne, pieniądze izraelskich podatników, głównie Żydów świeckich oddających państwu nawet czterdzieści pięć procent swoich zarobków, finansują szkoły, gdzie nauczanie, w pełni podporządkowane wyznawanym przez ultraortodoksyjną mniejszość przekonaniom i wartościom, powieła w kolejnych pokoleniach jej obojętną postawę wobec państwa, które te szkoły utrzymuje. Rodzi to zresztą sprzeciw, a nawet wrogość także ze strony Żydów religijno-narodowych zwłaszcza wtedy, gdy chodzi o zwolnienie chasydów i niektórych *charedim* od obowiązkowej w Izraelu służby wojskowej. Bywa, że na kilka miesięcy przed wyborami powstają nagle partie polityczne, których program sprowadza się do hasła: „*Charedim* - do wojska!”.

Całą tę sytuację dobrze puentuje, popularne wśród *chilonim*, autoironiczne powiedzenie: „Jak *charedim* nazywają *chilonim*?”. „Frajerzy”.

Charedim a obowiązki wobec państwa

Aby zrozumieć, jak to możliwe, że w sytuacji ciągłego zagrożenia bezpieczeństwa państwa spora grupa obywateli nie czuje się zobowiązana do jego obrony, trzeba wrócić do czasów wojny o niepodległość, a konkretnie do 9 marca 1948 roku. Wtedy bowiem środowiska ultraortodoksyjne, aby uniknąć zaciągu do wojska, odwołały się do praktykowanego przez stulecia obyczaju zwolnienia od wszelkich świadczeń na rzecz państwa i od konieczności pracy zarobkowej najwybitniejszych studiujących *Torę*, którzy w diasporze utrzymywani byli przez społeczność żydowską.

W 1949 roku, na mocy podpisanego przez Davida Ben Guriona aktu prawnego *Torato Umanuto*[55] czterystu uczniów jesziw[56], dla których studiowanie *Tory* było głównym zajęciem i specjalizacją, zostało zwolnionych od służby wojskowej. Z biegiem lat liczba poświęcających się wyłącznie nauce *Tory* i niezaciągających się z tego powodu do wojska gwałtownie wzrosła, a zasada zapisana w *Torato Umanuto* objęła swym zasięgiem nie tylko

utalentowanych znawców *Tory*, przyszłych „mędrców w piśmie” i rabinów, ale praktycznie każdego studiującego pisma święte i niepracującego zawodowo. Według CaHaL-u w 2007 roku otrzymało odroczenie, a następnie zwolnienie od służby wojskowej ponad czterdzieści tysięcy *charedim*; w 2010 na podstawie uzyskania oficjalnego statusu *toratam umanutam* - ponad sześćdziesiąt tysięcy.

Różne ekipy rządzące wielokrotnie próbowały zakwestionować lub chociażby obniżyć liczbę zwolnień przyznawanych ortodoksyjnym Żydom, co nie udawało się głównie z powodu koalicyjnego systemu politycznego, w którym partie religijne odgrywały znaczącą rolę. W 2002 roku Kneset uchwalił tak zwane prawo Tala zmieniające niektóre zasady funkcjonowania *Torato Umanuto*.

Do tej pory mężczyźni w wieku poborowym (między osiemnastym a pięćdziesiątym czwartym rokiem życia) studiujący w wyższej szkole talmudycznej, aby otrzymać odroczenie i comiesięczną zapomogę, musieli uczyć się minimum czterdzieści pięć godzin tygodniowo i jeśli nie przekroczyli dwudziestu trzech lat, nie mogli podjąć się żadnego innego zajęcia przynoszącego zysk finansowy. Całkowite zwolnienie otrzymywali w wieku czterdziestu jeden lat lub też wcześniej: w wieku dwudziestu siedmiu lat, jeśli mieli dwójkę dzieci; w wieku trzydziestu jeden lat, jeśli mieli piątkę, w wieku trzydziestu pięciu lat, jeśli mieli ich czwórkę. A ponieważ mężczyźni ultraortodoksyjni zawierają małżeństwo w bardzo młodym wieku (między osiemnastym a dwudziestym drugim rokiem życia) i są obdarzeni bardzo licznym potomstwem, jak nakazuje religia, praktycznie wszyscy mogli uniknąć służby w wojsku.

Wraz z uchwaleniem prawa Tala dwudziestodwuletni studenci jesziw otrzymali możliwość wyboru: dalsze studiowanie, niepodejmowanie pracy ani służby w wojsku lub skrócona do roku i czterech miesięcy (zamiast trzech lat) służba w wojsku, żołd i praca zawodowa już w wieku dwudziestu trzech i pół lat; albo też rok służby na rzecz społeczeństwa (przeważnie na rzecz społeczności ultraortodoksyjnej), bez żołdu, ale z możliwością podjęcia równoległe ze służbą pracy zawodowej i rozpoczęcia stałej pracy zarobkowej w wieku dwudziestu trzech lat.

W ciągu trzech lat po uchwaleniu tego prawa z ponad czterdziestu tysięcy posiadających status *toratam umanutam*, jak podaje gazeta „Maariw”, tylko trzydziestu jeden zaciągnęło się do Sił Obronnych Izraela[57]. Pierwszego sierpnia 2012 roku ustawa, która poniosła totalne fiasko, przestała obowiązywać.

Niechęć *charedim* do służby wojskowej wynika z ich światopoglądu i stylu życia. Służba wojskowa naraża młodych mężczyzn z religijnych domów na wpływ Żydów

świeckich i integrację z nimi, a to niesie, jak myślą, zagrożenia dla wiary i tradycji żydowskiej. Codziennosc w koszarach: obecność żołnierek, nieprzestrzeganie zasady segregacji płciowej, koszerność niespełniająca rygorystycznych wymogów, sposób wysławiania się, zachowania, ubioru czy nawet fryzury są nie do przyjęcia dla bogobojnych Żydów. Dlatego ultraortodoksyjni rabini uparcie walczą o utrzymanie istniejącego systemu zwolnień.

Charedim twierdzą, że są bardzo ważne powody usprawiedliwiające ich nieobecność w szeregach wojska. Wierzą oni, że maksyma rabina Chaima z Wołożyna, ucznia Eliasza Ben Salomona, sławnego żydowskiego Mędrca z Wilna: „Jeśli przez chwilę świat przestanie studiować *Torę* - światem zawładnie chaos”, sprawdza się w życiu. Skoro psalmy mogą w praktyce życia stanowić ochronę przed rakietami, to uczniowie jesziw wypełniają wyjątkowe posłannictwo: ich modlitwy chronią naród żydowski, pozyskując mu najpotężniejszego sprzymierzeńca - Boga. Cóż więc może być strategicznie bardziej umotywowane niż mozolne studia w jesziwie?

Opozycyjni i lewicowi politycy świeccy twierdzą, że *charedim*, gromadząc swoich wyznawców w religijnych uczelniach, panują nad swoją „trzodą” wiernych. Ale ci sami politycy, którzy są dziś w opozycji i krytykują zwalnianie z wojska ze względów religijnych, kiedy potrzebują głosów ortodoksji, robią to samo co ich prawicowi przeciwnicy: zgadzają się na warunki dyktowane im przez partie religijne.

Czy w Izraelu opłaca się być Żydem ultraortodoksyjnym?

Odpowiedź wcale nie jest tak oczywista, jak mogłoby się wydawać.

Uczniowie jesziw w latach nauki otrzymują od państwa zapomogę w wysokości ośmiuset pięćdziesięciu pięciu szekli miesięcznie i dodatkowo około dwóch tysięcy szekli z darowizn[58]. Wszelka praca zarobkowa jest im zabroniona pod groźbą utraty praw do zapomogi i zaciągu do wojska. Żołd wynosi tymczasem, w zależności od stopnia, roku i rodzaju służby, od trzystu pięćdziesięciu do siedmiuset szekli. Z prostego rachunku wynika, że *charedim* po prostu nie opłaca się służyć w wojsku. Jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że Żydom ultraortodoksyjnym nie wolno podlegać świeckiemu dowództwu i świeckim prawom, a także i to, że podczas służby w izraelskim wojsku można stracić życie, to łatwo zrozumieć te liczby: w 2009 roku ze środowiska *charedim* pochodziło tylko czterystu żołnierzy, a w 2010 ośmiuset[59]. Z reporterskiego śledztwa, którego wyniki zostały przedstawione w popularnym programie telewizyjnym Amnona Leviego *Przestępcy religijni w Państwie*

Izraela, wynika, że służba zastępcza stała się dla uczniów jesziw łatwym sposobem na zdobycie dodatkowych państwowych pieniędzy. Okazało się też, że podczas gdy pobierający niski żołd świeccy żołnierze w ramach służby zastępczej pracują w szpitalach, domach dziecka, więzieniach, pomagają nowym emigrantom i chorym obłożnie ludziami, *charedim* swoją służbę odbywają w... jesziwach na studiowaniu *Tory*. Taki stan rzeczy stwierdzono w ośmiuset trzydziestu czterech jesziwach na tysiąc objętych tym systemem.

Na rynku pracy sytuacja *charedim* nie jest najlepsza. Pracuje zawodowo i płaci podatki tylko trzydzieści cztery i siedem dziesiątych procent ultraortodoksyjnych mężczyzn oraz prawie połowa kobiet (głównie jako przedszkolanki i nauczycielki). Wśród Żydów świeckich procent ten jest znacznie wyższy i wynosi: siedemdziesiąt dziewięć i dziewięć dziesiątych dla mężczyzn oraz siedemdziesiąt procent dla kobiet (CBS, 2010).

To, co dzieje się na rynku pracy, nie wynika ze spisku przeciwko ortodoksji judaistycznej czy ludzkiej niechęci; jest podyktowane powodami ekonomicznymi i wymaganiami praktycznymi. Zatrudnianie Żydów ortodoksyjnych, zwłaszcza *charedim*, wymaga przystosowania miejsc pracy do ich stylu życia, skrupulatnego przestrzegania koszerności i zapewnienia segregacji płciowej, a to jest bardzo kosztowne. *Charedim* nie potrafią sprostać wymaganiom związanym z pracą. Bez znajomości komputerów, angielskiego, matematyki, fizyki, chemii, biologii, historii, geografii i literatury - przedmiotów, które nie figurują w programach nauczania niezależnych szkół ultraortodoksyjnych - nie mają oni potrzebnych umiejętności. Ich wiedza o współczesnym życiu i Izraelu jest nieporównywalna z tą, jaką wynoszą uczniowie ze szkół państwowych czy państwowo-religijnych. Profesor Ben Dawid z Instytutu Taub Center (Taub Center for Social Policy Studies in Israel) za zatrwajający uważa fakt, że tylko osiem procent firm izraelskich zatrudnia *charedim*, a bezrobocie w tym środowisku w ciągu trzydziestu lat wzrosło trzykrotnie, tak że w roku 2010 sześćdziesiąt pięć procent Żydów ultraortodoksyjnych nie pracowało zawodowo i nie wpłacało do kasy państwa podatków.

Poziom nauczania

W świeckich szkołach podstawowych i średnich warunki i wyniki nauczania dalece odbiegają od zadowalających. W metropolii telawiwskiej szkoły są przepelnione. W prawie jednej trzeciej z nich liczba uczniów w klasach przekracza trzydzieści dwie osoby[60], podczas gdy jest aż osiemdziesiąt takich szkół *charedim*, w których w całej szkole uczy się mniej niż sto osób.

W 2010 roku świadectwo dojrzałości otrzymała mniej niż połowa uczniów wszystkich izraelskich szkół średnich (czterdzieści osiem i trzy dziesiąte procent), przy czym większość z nich (sześćdziesiąt cztery i osiem dziesiątych procent) pochodziła z rodzin Żydów świeckich. Rekordowy wynik - osiemdziesiąt pięć procent zdanych matur - został osiągnięty w Szoham, żydowskiej miejscowości świeckiej położonej niedaleko Tel Awiwu, i na drugim końcu skali - sześć i pół procent - w ortodoksyjnym Bnei Braku[61]. Wśród wysoko rozwiniętych państw demokratycznych Izrael znajduje się na jednym z ostatnich miejsc na liście OECD w wynikach z matematyki i nauki czytania. Na tak niską pozycję uczniów szkół podstawowych nie pozostaje bez wpływu fakt, że ponad dwadzieścia procent wszystkich uczniów szkół podstawowych to dzieci ze społeczności ortodoksyjnych i ultraortodoksyjnych (CBS, 2012), gdzie przyrost naturalny, zwłaszcza wśród *charedim*, jest trzykrotnie wyższy niż w środowisku świeckim. W świetle tych danych przyszłość kraju, otoczonego przez nieprzyjazne państwa o odmiennej religii, gdzie spora część obywateli nie pracuje zawodowo, nie ma wiedzy o podstawowych procesach zachodzących w świecie, nie opowiada się za demokracją i rządzi się ultraortodoksyjnymi prawami religijnymi, budzi poważny niepokój wielu Żydów świeckich.

Na tym tle sytuacja szkolnictwa wyższego jest zaskakująco dobra. Uczelnie utrzymują wysoki poziom nauczania i kształcą cenionych w świecie specjalistów. Siedem izraelskich uniwersytetów zostało umieszczonych na liście pięciuset najlepszych na świecie, wskaźnik kontynuujących naukę maturzystów sięga sześćdziesięciu procent, a to więcej niż średnia w państwach OECD. Dwadzieścia procent populacji może poszczycić się dyplomem wyższej uczelni, co plasuje Izrael na trzecim miejscu na świecie. Tylko w ostatnich dziesięciu latach izraelscy naukowcy pięciokrotnie zdobyli Nagrodę Nobla: trzy razy w dziedzinie chemii i dwa razy ekonomii. W tym sukcesie na pewno mają swój udział napływający z całego świata ludzie z dyplomami akademickimi innych państw, ale nie pozostają na to bez wpływu także wysokie opłaty za studia - czesne za jeden semestr w izraelskich szkołach wyższych wynosi od kilku do kilkunastu tysięcy szekli - i przyzwoite płace wykładowców akademickich.

Nauczyciele w religijnym i świeckim szkolnictwie podstawowym i średnim są w zupełnie innej sytuacji. Borykają się z problemami dyscyplinarnymi, które są zjawiskiem powszechnym, ich płace należą do najniższych w krajach rozwiniętych, a prestiż zawodu nauczyciela, zwłaszcza w szkołach świeckich, jest bardzo niski. Przekonała się o tym osobiście znana w Izraelu pisarka książek dla dzieci i młodzieży, Ora Morag, która stała się świadkiem przykrego zajścia.

W auli, gdzie odbywało się spotkanie z pisarką, nauczyciele siedzieli na krzesłach,

dzieci w większości na rozłożonych na podłodze matach. Jedna z nauczycielek na chwilę wstała, a jej krzesło momentalnie zostało zajęte przez dziesięcioletniego ucznia. Kiedy nauczycielka poprosiła, aby ustąpił jej miejsca, chłopiec się nie zgodził. Nie pomógł podniesiony głos ani nawet krzyk. Uczeń kpił z nauczycielki: „Dlaczego mam wstać?, Kim ty w ogóle jesteś?, Co mi zrobisz, jeśli nie wstanę?”. Uczeń miał, niestety, rację. W świeckich szkołach nauczycieli obowiązuje zakaz wszelkich fizycznych kontaktów z dziećmi, nie ma też ustalonego systemu kar. Użycie wobec dziecka siły jest prawnie zabronione, grozi za to kara więzienia.

Ora Morag, poruszona obserwowanym na przestrzeni lat spadkiem dyscypliny w szkołach i lekceważeniem nauczycieli, opublikowała w internecie w 2010 roku i wysłała do ministra oświaty, Gideona Saara, list z propozycją powrotu w szkolnictwie do rozbudowanego systemu kar i stworzenia posady „silnego ojca” - krzepkiego pana, który wątlým nauczycielkom mającym kłopoty dyscyplinarne z krnąbrnymi uczniami służyłby pomocą w wymierzaniu kar.

Jak na razie, propozycja nie została przyjęta.

Żydowski świat wielu pytań i jednej odpowiedzi

Niewiele się o nich mówi w Izraelu. Nie znajdują oparcia w państwie ani w wielkich organizacjach żydowskich. Ich postawa wywołuje znaczące milczenie, sensację, niechęć, a nawet wrogość. Telefony z pogroźkami to dla nich codzienność, zdarza im się doświadczać nawet rękoczynów. Tylko nieliczni, przeważnie mający w swej biografii podobny rozdział, poświęcają im czas, siły i pieniądze. Bardzo trudno znaleźć kogoś, kto przyznałby się publicznie, że przynależy do tych, którzy *jacu be'szeela*[62], czyli odeszli od religijnego sposobu życia, wypełniania *micwot* i ośmielili się zakwestionować świat religijnych aksjomatów, a nawet w ogóle go odrzucić.

Trzeba mieć odwagę i być zdeterminowanym, aby zrobić to, co oni zrobili. Nie chodziło tylko o to, że mężczyźni przestali nakrywać głowy kipą - symbolem bojaźni Bożej, obcięli długie pejsy, zdjęli czarne ubrania i białe koszule, zastępując je džinsami i kolorowymi koszulkami, a kobiety pokazały całemu światu włosy, łokcie i kolana. Dla nich zmiana stroju oznaczała konieczność wyrzeczenia się domu, rodziny i jedynej znanej rzeczywistości, gdzie dokładnie wiadomo było, co powiedzieć, zrobić i w jakim momencie. Proces laicyzacji czasami oznaczał mniej rygorystyczne przestrzeganie nakazów i zakazów religijnych, a czasami zaś doprowadzał nawet do utraty najważniejszego życiowego przewodnika - Boga - któremu do tej pory bezwzględnie ufało się i podporządkowywało swój los. Stawał się totalną odmianą życia, samotnymi narodzinami w obcych, świeckich realiach nieznanymi wartościami, kodami zachowania, ubierania się, sposobu mówienia czy ekspresji uczuć. Jeśli niedawno spędzało się całe dni na studiowaniu słowa Bożego i tekstów rabinów oraz wypełnianiu *micwot* albo na pracach w domu i na nauce, jak wieść cnotliwe, skromne życie żon i matek, to świat poza religijnym Bnei Brakiem czy Jerozolimą musiał przypominać konglomerat nieznanymi ideami, faktami i obcego stylu życia uznawanego do niedawna za „tani, zepsuty, bezwartościowy i amoralny”. Ci, którzy dali *get*, list rozwodowy Panu Bogu, musieli się dopiero tego świata uczyć, zaakceptować go i przetrwać, znalazłszy w nim wartości zdolne nadać sens nowemu życiu.

Żydzi przechodzący na świecką stronę życia, odrzucając świat religii, zyskiwali wolność wyboru, a wraz z nią radość i podekscytowanie, ale i strach, niepewność, wstyd, tęsknotę. Świecki Izrael, od którego do tej pory byli prawie kompletnie odizolowani, wydawał

im się obcy i niezrozumiały; żyło się w nim w przyspieszonym tempie, według praw trudnych do pojęcia dla kogoś, kto w nim nie wzrastał. Mówiono nie w jidysz, ale w nowoczesnym języku hebrajskim, pełnym zapożyczeń, wulgaryzmów, slangu. Czuli się jak na nowej planecie, gdzie pozwalano sobie na czytanie niereligijnych książek i komunikowano się przez internet. Mężczyźni zamiast przebywać w jesziwach, siedzieli w kawiarniach razem z kobietami, a nawet (o zgrozo!) dotykali ich publicznie, popijając, i to bez modlitwy, kawę. Kobiety nie tylko nie chodziły po każdej menstruacji do mykwy i nie zakrywały dokładnie całego ciała, ale odsłaniały je bezwstydnie. Były wykształcone, świadome swoich pragnień i seksualności, miały wiedzę, własne zdanie i potrafiły samodzielnie radzić sobie w życiu, nie wahały się postępować według własnego zdania, bez pytania o pozwolenie rabina czy męża, nie rodziły co roku dzieci i pracowały zawodowo na pełnych etatach.

Ceną, jaką płaciło się za ten drastyczny krok, była konieczność odseparowania się od przyjaciół i rodziny, a niejednokrotnie nawet zerwanie z nimi wszelkiej więzi: członek rodziny, który stawał się Żydem świeckim, w pojęciu niektórych Żydów ultraortodoksyjnych za życia umierał i należało go oplakać podczas szivy, siedmiodniowej ceremonii żałobnej.

Jeśli od religijnego życia odchodziła osoba dorosła pozostająca w związku małżeńskim, to oznaczało to przeważnie rozwód. Kobieta, która miała dzieci (dziewczęta wychodzą za mąż bardzo wcześnie, od siedemnastego roku życia, a posiadanie liczego potomstwa to rodzicielska powinność i błogosławieństwo Boże), traciła możliwość częstego spotkania się z nimi - niezależnie od ich płci - i wpływania na dotyczące ich życia decyzje. Mogła nawet zostać „dla dobra dzieci” pozbawiona werdyktem sądu rabinackiego praw rodzicielskich.

Naznaczeni

Żydzi przechodzący proces laicyzacji wydawali mi się podobni do mnie - nie w kwestii wiary czy stopnia pobożności, ale w drastycznej odmianie losu, wyborze drogi innej niż ta w swojskiej scenerii, na której było się wspieranym przez najbliższych. Tak jak dla mnie zostawienie ojczystego kraju i osvajanie się z Izraelem nie było łatwe, tak samo im wejście w świecką rzeczywistość nastęrczało wielu problemów związanych z codzienną egzystencją.

Mnie jednak nie wyrzekła się rodzina, jak działo się w przypadku wielu z nich. Ja miałam poparcie mojego życiowego partnera obznajomionego z codziennymi realiami, a oni zdani byli na siebie. Bez pomocy organizacji społecznych czy podobnych im ludzi musieliby

spać na ulicy i żebrać, aby jeść, co niejednemu z nich faktycznie się zdarzyło.

W większości byli to młodzi ludzie w przedziale wieku od piętnastu do dwudziestu sześciu lat. Nie zostali przygotowani do wykonywania żadnego zawodu, nie mieli żadnych odłożonych pieniędzy ani znajomych czy krewnych. Bywało i tak, że nie znali nikogo.

Powody ich decyzji były zawsze bardzo indywidualne. Czasami decyzja została podjęta pod wpływem jakiegoś traumatycznego zdarzenia: gwałtu, wykorzystywania seksualnego, psychicznego znęcania się. Kiedy indziej stanowiła formę młodzieńczego buntu przeciwko regułom odbierającym wszelką swobodę, wypływała ze strachu przed wygórowanymi oczekiwaniami lub niemożności dopasowania się do reguł własnej społeczności. Czasem zaś chodziło o kryzys wiary. Nie bez znaczenia była też magia wolności wyboru i niezależności.

W nowej społeczności *charedim* czuli się wyobcowani, niepewni siebie, zagubieni. Pierwszy raz wkładali dzinsy, sami, bez nadzoru opiekuna, kupowali sobie ubrania, pierwszy raz dotykali psa, czytali powieści, chodzili do kina, odkrywali prawa ewolucji i nosili sandały bez skarpetek. Każda z tych czynności, błahych i banalnych dla kogoś, kto dorastał w świeckim środowisku, dla nich stanowiła symbol zerwania więzów z przeszłością, z regułami wypełnianymi przez lata w przekonaniu, że są niepodważalne.

Proces przejścia na drugą stronę był nie tylko bolesny, ale i czasochłonny. Tygodniami dziewczyny skracaly kawałek po kawałku spódnice, a chłopcy zwlekali ze zdjęciem kipy, którą zsuwali z głowy najpierw na kilka minut, potem godzin, zanim pożegnali się zupełnie z tym znakiem przynależności do rabinów i Boga. Całe miesiące później, a nawet lata, czuli na głowie puste miejsce w sposób porównywalny z bólem fantomowym po utracie ręki czy nogi.

Wielu nie potrafiło uwolnić się od poczucia, że są uciekinierami i odstępcami. Wydawało im się, że wszyscy na nich patrzą, mówiąc ze zgrozą: „Gdzie twoja kipa, Mosze? Dlaczego nie studiujesz *Tory*? A ty, Saro, jak mogłaś nie zakryć włosów chustką? Czyżbyś już stała się ladaczną?”.

Cierpieli na myśl o porzuconych rodzicach wychowujących ich w najlepszy znany sobie sposób, według wartości uznawanych przez nich za najważniejsze. Trudno przychodziło pogodzić się z tym, że sprawili im zawód i poradzić sobie z poczuciem winy z powodu piętna hańby, jakim za ich przyczyną naznaczeni zostali ich najbliżsi.

Zawieszeni pomiędzy dwoma światami, tak jak często zdarza się to emigrantom, w żadnym z nich niezadomowieni, czuli się inni i rzeczywiście tacy byli. Zdawali sobie sprawę z ambiwalencji swojej sytuacji i jeśli nawet nie wierzyli już w Jahwe, to i tak słuchali

przejmującego głosu Meniego Philipa, niegdyś rabina i jednego z najpopularniejszych ultraortodoksyjnych piosenkarzy - obecnie bez kipy i długiej brody, poddanego rygorystycznym ograniczeniom w kontaktach z piątką swoich nadal ultraortodoksyjnych dzieci - śpiewającego: „Boże, zmiłuj się nad nami”.

Rasel - „hańba stada”

„Rasel jest bardzo zajęta. Studiuje i pracuje, nie ma czasu na spotkanie, ale zgodziła się na telefoniczną rozmowę. Zadzwoń do niej w końcu tygodnia, ale najpierw przeczytaj jej blog - tak ją lepiej poznasz”, wyjaśniła mi Sara (pochodząca z Polski i mieszkająca kiedyś w ultraortodoksyjnej rodzinie), działaczka Hillel, jedynej w Izraelu organizacji pomagającej ultraortodoksyjnym Żydom zadomowić się w społeczności świeckiej. Przy okazji wypytała mnie, dlaczego interesuję się ludźmi takimi jak ona, co robię w Izraelu i skąd znam ich organizację. Po krótkiej pogawędce o żydowskich festiwalach w Polsce i kursach jidysz, na które jeżdżą nawet Izraelczycy, a także o mojej długoletniej bytności w Izraelu podzieliła się ze mną informacjami o interesujących mnie ludziach.

Kiedy w sobotę zadzwoniłam do Rasel, usłyszałam wesołe głosy i głośnie muzykę.

- Przeczytałam teksty z twojego bloga[63] o dramatach, jakie są udziałem ludzi opuszczających środowisko ultraortodoksyjne. Czy to są fakty?

- Tak, ale niektóre szczegóły mogące zidentyfikować moją rodzinę czy bohaterów moich postów zmieniłam, by zachować anonimowość.

- Czy to ty jesteś na zdjęciu w kowbojskim kapeluszu i w bluzeczce na ramiączkach?[64]

- Tak - odpowiedziała krótko Rasel, jakby opublikowanie zdjęcia nie kłóciło się z potrzebą zachowania anonimowości.

Rasel odpowiadała z rezerwą. Nie chodziło chyba tylko o normalny w kontakcie telefonicznym dystans - raczej o nieufność i obawę przed trudnymi pytaniami, a może i dylemat kogoś, kto czuł się zobowiązany, w podzięce za przysługi, rozmawiać z tymi, których poleciło Hillel, choć nie miał na to ochoty.

Aby przełamać jej opory, opowiedziałam jej swoją historię, coś w stylu: „Pochodzę z religijnej, praktykującej rodziny katolickiej. Dwadzieścia lat temu zostawiłam mój kraj, język, rodzinę, schowałam świeży dyplom magisterski do szuflady i zrezygnowałam z możliwością pracy w wyuczonym zawodzie po to, by przyjechać do obcego mi Izraela i dać szansę związkowi z mężczyzną, w którym byłam zakochana. Mimo nacisków rodziny mojego męża,

wnuka rabina z Brazylii, i znajomych nie przeszłam na judaizm. Nadal jestem gojką”.

Rasel była zdziwiona. Pierwszy raz rozmawiała z kimś, kto nie był Żydem.

- Masz bardzo odważnego męża! - stwierdziła, zaskakując mnie, ponieważ dotąd wydawało mi się, że to ja jestem tą odważną, ja się poświęcam. - Musisz pytać konkretnie. Nie potrafisz opowiadać sama z siebie - dodała z trochę większym entuzjazmem.

Pytałam przez najbliższe dwie godziny, a może i dłużej. Gdyby nie to, że czułam, że jest późno, ręka rozbolała mnie od trzymania telefonu i byłam już zmęczona próbą przedarcia się przez telefoniczne szумы, rozmawiałybyśmy pewnie całą noc. Rasel mówiła literackim, podniosłym, biblijnym hebrajskim, a nie codziennym, uproszczonym, jaki znałam. Zamiast popularnego slangu używała biblijnych sformułowań, dla mnie często niezrozumiałych. Kilkakrotnie musiałam prosić, by wytłumaczyła mi, o co jej chodzi i co oznaczają jej słowa. Mimo tych kłopotów zdawało mi się, że dobrze się rozumiemy i jakoś jesteśmy do siebie podobne: obie potrafiłyśmy być zdesperowane, zadawałyśmy dużo pytań i miały wątpliwości dosłownie w każdej dziedzinie. Ceniłyśmy samotność i nie zawsze potrafiły krzyczeć razem z całą grupą te same hasła, a nawet nie za bardzo lubiłyśmy uważać się za część grupy. Obie też byłyśmy nieufne wobec swego otoczenia. Nasze dzieciństwa, moje w socjalistycznej, katolickiej Polsce bez Żydów, i jej, zanurzone w niezmiennym od setek lat konserwatywnym judaizmie, różniły się od siebie tak bardzo, jakby każda z nas żyła w innej epoce.

„Rodzina silniejsza jest niż Bóg”

Rasel wywodziła się z tradycyjnej chasydzkiej rodziny, ultraortodoksyjnej z pokolenia na pokolenie. Wśród jedenaściorga dzieci tylko dwoje było od niej starszych. Przez całe lata spełniała funkcję *ima ha'ktana*, małej mamy opiekującej się rodzeństwem. W wieku dwunastu lat została wysłana do szkoły z internatem o zaostrowym rygorze religijnym po to, by odcięta od pokus świata uczyła się być bogobojną Żydówką. Uwielbiała rabina, a religijny sposób życia swojej rodziny uważała za jedyny możliwy i słuszny.

Kiedy miała siedemnaście lat, pojawiły się, jak to określiła, „irytujące niby rój pszczoł pytania”. Prawdy rządzące jej życiem przestały być absolutne, a pragnienie bycia sobą, kimś, kto ośmiela się mieć wątpliwości, okazało się silniejsze od wychowania, środowiska i rabinów. Zamknięcie, oderwanie się od rodziny, konieczność ciągłego przebywania w grupie obcych dziewcząt, bez możliwości ucieczki w odosobnienie, i skrupulatne, bezdyskusyjne wypełnianie poleceń rabina oraz rodziców zamiast pokory budziły w niej sprzeciw. Najbardziej niepokoiło ją pytanie, dlaczego musi wierzyć się w swojego rabina i traktować go

prawie tak jak Mesjasza, a może nawet samego Najwyższego. Dlaczego judaizm jej rodziców i szkoła, w której się uczy, bardziej przypominają jej wiarę w rabina niż w Boga.

Rasel zaczęła po kryjomu czytać książki wypożyczone z miejskiej biblioteki, opuszczać bez wiedzy rodziców zajęcia w szkole, sprzeciwiać się zasadom regulującym życie uczennicy internatu dla ultraortodoksyjnych dziewcząt. Złapano ją na jawnym grzeszeniu: włożyła sandały na gołe stopy i założyła bluzkę z krótkimi rękawami. Zaniepokojeni rodzice, zgodnie ze wskazówkami otrzymanymi od rabina, starali się o swatów, mając nadzieję, że obowiązki rodzinne i potomstwo przywrócą Rasel gronu rabinackiego chasydyzmu.

Rasel poprosiła rodziców o wybór innej, bardziej liberalnej, choć nadal religijnej (!) szkoły (to podkreśliła), i w odpowiedzi została postawiona przed ultimatum: albo wraca do internatu i ślepo przestrzega zaleceń rabina, nauczycieli, rodziców, albo w domu nie ma dla niej miejsca. Nie potrafiła się ukorzyć i wyrzec wątpliwości. Najbardziej bolało ją to, że w ciągu miesiąca stała się hańbą stada. W najbezpieczniejszym miejscu na świecie, w oceanie miłości i szacunku, stała się nagle obcą, wrogiem, „trucicielką dusz, strasznym wstydem i rozczarowaniem”.

Po kłótni z rodzicami, którzy nie chcieli pozwolić jej na „dawanie złego przykładu innym”, wybiegła z domu tak jak stała, obiecując sobie, że „nigdy w życiu tam nie powróci”. Była zrozpaczona. Pojechała do Jerozolimy. Najpierw mieszkała u przypadkowo poznanej starszej pani, następnie, kiedy skończyła się jej skromna suma pieniędzy i nie znalazła kolejnej dorywczej pracy, przez kilka tygodni żyła na ulicy, żywiąc się tym, co inni wyrzucili. Potem dopisało jej szczęście. Pojawili się pomocni ludzie. Kiedy zbierałam materiały do książki, studiowała filmoznawstwo, pracowała i wynajmowała mieszkanie wspólnie z obcymi ludźmi, co w jej poprzednim środowisku było nie do pomyślenia, bo oznaczało karygodną bezbożność. Najważniejsze jednak, że choć bardzo tęskniła do rodziców i rodzeństwa, teraz poczuła się w końcu wolna i zafascynowana nowo zdobywaną wiedzą. Stała się asertywna, głęboko świadoma tego, że jej życie zależy tylko od niej.

Z biegiem czasu zaczęła nawet odwiedzać swoich najbliższych, bo jak twierdzi: „rodzina silniejsza jest niż Bóg”. Nie robi tego jednak zbyt często. Jadąc do rodzinnego domu, ubiera się tak, jakby nadal była posłuszną chasydzką dziewczyną. Nie chce narażać na wstyd swoich rodziców, braci i sióstr. Ma nadzieję, że pewnego dnia taka, jaka teraz jest, zostanie zaakceptowana.

Hybryda

Gdybym przypadkiem spotkała Rasel na ulicach Tel Awiwu, zobaczyłabym najprawdopodobniej niczym się niewyróżniającą młodą dziewczynę. Nie miałabym pojęcia, że przez całe miesiące wstydziła się nosić spodnie i przylegającą do ciała bluzkę, bo czuła się „jak w przebraniu albo jak naga”. Nie wiedziałabym, że założenie krótkich spodenek wymagało czterech lat wewnętrznych sporów z samą sobą, a akt „ubliżający wszelkim zasadom żydowskiej skromności” - włożenie bikini - dokonał się po ośmiu latach spędzonych po świeckiej stronie żydowskiego świata.

Kiedy Rasel opisywała, jak powoli odkrywała ten świat, przyciągający ją brakiem ograniczeń i swobodą, wyobraziłam go sobie jako wielką lodziarnię, a w niej ją, małą dziewczynkę marzącą o spróbowaniu wszystkich smaków lodów wraz z dodatkami. Choć prawie każde liźnięcie rozplywającej się w ustach mrożonej słodkości wiązało się z lękiem, by się nie poplamić, ważniejsze okazało się uczucie błogiego zadowolenia i radości.

Rasel starała się wyglądać, mówić, zachowywać tak jak jej świeccy rówieśnicy, mimo to różniła się od nich. Nie przywiązywała żadnej wagi do firmowych ciuchów, nie знаła kodów zachowania w grupie ani gwiazd kultury popularnej - idoli jej rówieśników. Nie oglądała kultowych seriali. Nazwiska sław były jej obce, podobnie jak śpiewane przez wszystkich piosenki. Nie potrafiła opanować obsesyjnej chęci codziennego oglądania zabronionych kiedyś filmów w kinach, programów w telewizji, słuchania radia, czytania czy korzystania z internetu.

Od chwili, kiedy opuściła swoją odizolowaną społeczność, dokładnie wiedziała, czego chce, i nie potrafiłaby już, jak twierdzi, postawić się w sytuacji bez możliwości wyboru. „Mam życie takie, jakie sama wybrałam, i tylko ja za siebie odpowiadam. Nigdy nie będę taka sama jak świeccy Żydzi. Tak naprawdę nie wiem, czy kiedykolwiek będę mogła w pełni do nich przynależeć, choć nie jestem już jedną z chasydek”. „Jestem krzyżówką gatunków, ludzką hybrydą”, oświadczyła mi, a w jej głosie brzmiał smutek.

- Nie masz wątpliwości, czy podjęłaś słuszną decyzję? - spytałam. - Nie chcesz powrócić do dawnego życia?

- Nie. To była właściwa decyzja. Jestem tego zupełnie pewna. Jechałam kiedyś do mojej siostry, z Ramat Ganu do Aszdodu, autobusem *le'mehadrin*[65]. Prawie nie było w nim ludzi. Siedziałam, słuchając przez słuchawki muzyki. Nagle padł na mnie cień. Nade mną stał brodaty mężczyzna. Nawet na mnie nie spojrzał, tylko głośno powiedział: „Przejdź do tyłu! Kobiety siedzą w tylnej części autobusu, takie jest prawo skromności!”. Odpowiedziałam mu ostro i nie podniosłam się z miejsca. Zapłaciłam za bilet tyle samo co on i nie było powodu, żeby mi rozkazywał. Wiesz, co on zrobił? Zdjął czarny, przepony płaszcz i rozwiesił

po między mną a sobą, odgradzając mnie od reszty pasażerów. Pomyślałam wtedy, jak to dobrze, że ja już nie muszę spuszczać głowy przed innymi ludźmi i mogę patrzeć im prosto w oczy. Wsiądę z tego autobusu i będę wolna od poniżających mnie praw w moim świecie, a on zostanie w swoim.

- A co z Bogiem? - spytałam na zakończenie rozmowy.

- Bóg? - Rasel zaśmiała się w odpowiedzi, a w jej śmiechu były gorycz, smutek i drwina. - Przeczytaj Richarda Dawkinsa *Bóg urojony*, tam znajdziesz moją odpowiedź.

Powrót do religii

Świat porzucony przez Rasel niektórzy świeccy oraz ci, którzy przestrzegają tradycji żydowskiej, ale nie żyją ściśle według praw religijnych, uważają za miejsce, gdzie chroni się autentyczne wartości. Część z nich[66] decyduje się wkroczyć na drogę przeciwną do wybranej przez Rasel i nawraca się na życie według zasad *Tory*, czyli przechodzi proces nazywany po hebrajsku *chazara be'tszuwa*[67] - „powrót do bogobożnego życia”. Wejście nawróconych do społeczności ortodoksyjnej przypomina to, co stało się udziałem Rasel wśród świeckich, z tą ważną różnicą, że oni cieszą się poparciem społecznym, mają zapewnioną pomoc finansową i prawną państwa oraz licznych organizacji żydowskich.

Powracający do religijnego trybu życia muszą wyrzec się przyjaciół, a często i rodziny, porzucić wykonywany zawód i odejść od dotychczasowych przyzwyczajzeń. Wymaga się od nich podporządkowania religijnym prawom i nakazom rabinów oraz radykalnej zmiany sposobu myślenia oraz przekonań, mowy, wyglądu i dawnych zachowań. Oczekuje się, że zawrą nowe małżeństwa z innymi nawróconymi, spłodzą liczną gromadę dzieci i każdym swoim dniem, każdą czynnością będą starali się dowieść swojej przynależności do społeczności ortodoksyjnej. W zamian pozbędą się wątpliwości i na wszystkie pytania, kłopoty, smutki i radości otrzymają w pełni zadowalającą, jedną jasną odpowiedź: Bóg. Od tej chwili będą mogli pozwolić sobie na to, by mniej pytać i więcej ufać.

Niektórzy po latach studiowania *Tory* odkryją, że żyją nie tylko wśród samych świątobliwych szlachetnych cadyków, że oni sami, a nawet ich dzieci, urodzone i wychowane wśród *charedim*, są żydami drugiej kategorii, „napiętnowanymi znamieniem nieczystości” jako zrodzeni z „nieczystych religijnie kobiet”, które przed ich narodzinami nie przestrzegały czystości rytualnej, nie chodziły do mykwy i nie żyły według praw religijnych, a ich status uniemożliwił im wyswatanie córek czy synów z dziećmi pochodzącymi z szacownych rodzin ultraortodoksyjnych od pokoleń.

W niektórych społecznościach nawróceni *charedim* mieszkają oddzielnie. Ich nazwiska zostają wpisane na tak zwaną czarną listę wśród innych, którzy przeszli proces *chazara be'tszuwa*, a wcześniej nie zawsze żyli koszernie, aby wiadomo było, kto nie może wżenić się w pobożną od pokoleń rodzinę. Niechęć do mieszania się z nawróconymi wynika przede wszystkim z obawy przed wstąpieniem w związek małżeński z mamzerem, czyli dzieckiem urodzonym z cudzołóstwa żydowskiej matki, poczętym z kazirodztwa albo w okresie menstruacji, *nida*, kiedy kobieta jest „nieczysta”. Jego dzieci będą bowiem mamzerami aż do dziesiątego pokolenia (czyli na wieki) i będą mogły zawierać związki małżeńskie wyłącznie z innymi mamzerami.

Mamzer może uczynić nieczystą całą religijną rodzinę i drastycznie obniżyć jej status w społeczności *charedim* (dla Żydów świeckich jest to bez znaczenia, chyba że chcieliby wejść w związek małżeński z ortodoksyjnym partnerem). W przekonaniu *charedim* „mamzer gorszy jest od goja, bo ten może przejść na judaizm i być żydem, a nawet od trądu”. Bycie mamzerem, jak twierdzi Amnon Levi, autor cieszących się dużą popularnością telewizyjnych programów dokumentalnych *Charedim*[68] w Aruc 10 oraz autor książki pod tym samym tytułem, który udzielił mi informacji na ten temat, jest w gruncie rzeczy równoznaczne z wykluczeniem ze społeczności żydowskiej, co dla Żydów ortodoksyjnych oznacza śmierć cywilną. Kwestia mamzerów to także najlepszy dowód na to, że religia żydowska nie jest rasistowska. Każdy może stać się żydem, jeśli dokona konwersji według zasad halachicznych, a jednocześnie ktoś, kto okaże się mamzerem, choćby był żydem od wielu pokoleń, przestanie być żydem pełnoprawnym, a razem z nim jego potomstwo. Dlatego przywiązuje się taką wagę do zapisu genealogii rodzin żydowskich. A ponieważ jest to jedna z kluczowych kwestii dla uznania, czy ktoś jest żydem, interesy dziecka bierze pod ochronę prawo cywilne, dbając o to, aby nie zostało ono uznane za mamzera. Kiedy kwestionowane jest ojcostwo dziecka urodzonego podczas trwania związku małżeńskiego, w którym oboje rodzice są żydami, sąd w obawie, by dziecko nie zostało uznane za mamzera, nie zezwala na test DNA, z góry uznając ojcostwo prawowitego małżonka. Także sądy rabinackie ogłaszają kogoś mamzerem tylko w wyjątkowych przypadkach.

Nawróconym przestrzegającym praw nie wolno przyprowadzić swoich dzieci do domów świeckich krewnych, jeść u nich posiłków czy wybrać się razem z nimi na wycieczkę, aby nie miały okazji nasiąknąć złym przykładem. Jeśli spędza u nich święta, to muszą one być obchodzone ściśle według praw religijnych. Nic dziwnego, że z biegiem czasu kontakty z bliskimi zostają ograniczone do rozmów telefonicznych.

Dla świeckich rodzin *chazara be'tszuwa* jednego z członków oznacza tragedię, w

której rodzice tracą dzieci, dzieci - rodziców, małżonkowie - życiowych partnerów.

Izraelczycy

Izraelczyk pod pręgierzem

Ci, których spotykam na izraelskich ulicach, w centrach handlowych i urzędach, słyszę w radiu i oglądam w telewizji to świeccy Żydzi[69] stanowiący osiemdziesiąt procent całej populacji Izraela[70]. Wśród nich mieszkam, pracuję i spędzam wolny czas. Oni są moimi sąsiadami, znajomymi, współpracownikami i rodzicami kolegów dzieci. Niełatwo ich scharakteryzować nawet w ramach tej jednej kategorii.

Izraelczyków określają różnice, nie podobieństwa - to część ich specyfiki - a komponentem scalającym jest żydowskość w sensie etnicznym i historyczno-kulturowym, choć niekoniecznie religijnym. Paradoksalnie, z chwilą gdy powstało państwo żydowskie, w którym Żydzi stanowią większość i dominującą siłę, religia utraciła status najważniejszej wartości, tej, która identyfikuje przynależność do narodu i zapewnia mu przetrwanie. W Izraelu Żydzi już nie muszą solidarnie jednoczyć się w jednej wierze - mogą pozwolić sobie na świeckość bez uszczerbku na honorze i posądzenia o etniczną zdradę. W diasporze odwrócenie się od żydowskich korzeni mogło być uważane za konformizm, „przejście na drugą stronę”. W Izraelu, „wśród swoich”, można sobie pozwolić na krytycyzm wobec judaizmu i Żydów. Można być Żydem kosmopolitą, świeckim przywiązany do tradycji albo ortodoksyjnym - ma się wybór. W państwie żydowskim, i to znów paradoks, większość odchodzi od ścisłego przestrzegania zasad judaizmu, a swoją tożsamość narodową opiera nie tylko na identyfikacji z narodem żydowskim, ale przede wszystkim na tożsamości izraelskiej wynikającej z bycia obywatelami jednego państwa, porozumiewania się we współczesnym języku hebrajskim i jednoczącej cały naród izraelski konieczności walki o istnienie i rozwój Izraela. Izraelskość, powstająca w zaprzeczeniu ciągłości historycznej i tradycji żydowskiej diaspory, wytworzyła nowy typ Żyda-Izraelczyka opisanego przez brytyjskiego historyka Isaaka Deuchera jako *non-Jewish Jew*, „nieżydowski Żyd”, którego ojczyzną stał się Izrael.

Czym wobec tego charakteryzują się przedstawiciele nowoczesnego, świeckiego społeczeństwa? Co ich wyróżnia? Czy Izraelczyk, którego symbolem jest sabra[71], owoc gatunku kaktusa nazywanego opuncją, smaczny i soczysty, otoczony twardą skórką z

kolcami, rzeczywiście go przypomina przy bliższym poznaniu?

Z moich obserwacji wynika, że dla Izraelczyków bardzo ważną sprawą jest pasta z ciecierzycy, czyli hummus. Jak liliputy w *Podróżach Guliwera* spierające się o to, z której strony należy rozbijać jajko na twardo - od grubszego czy cieńszego końca - tak Izraelczycy, choć nie przejmują się zbytnio gotowanymi jajkami (ponieważ wolą omlety i dobrze wysmażoną jajecznicę), wiodą spory o to, jak jeść hummus, potrawę przyrządzaną na setki sposobów. Rozważają zatem, czy nabierając hummus pitą, powinno się to robić *be'duch*, przez pociągnięcie, albo *be'siwuw*, okrężnie. A jeśli okrężnie, to zgodnie z ruchem wskazówek zegara czy wręcz przeciwnie? Ponieważ jedną z ich najbardziej charakterystycznych cech jest solidarność narodowa i patriotyzm, co do jednego wszyscy są zgodni: hummus je się razem z przyjaciółmi z jednego talerza i solidarnie zapomina o tym, że to arabska potrawa, zupełnie nieznana europejskim Żydom w diasporze.

Typowy Izraelczyk, na wzór Żydów z socjalistycznego kibucu zwalczających wszelkie przejawy burżuazyjnego wychowania, nie za bardzo przejmuje się *savoir-vivre*'em. Wymiana talerzy z daniami przy restauracyjnym stole, nieużywanie noża czy jedzenie jednego deseru przez kilka osób podczas dystygowanej kolacji jest zjawiskiem powszechnym, więc nikogo nie dziwi. Urodzeni już w Izraelu są bezpośredni, prostolinijni, otwarci w kontaktach z innymi i nie krępują się zadawać nieznajomemu człowiekowi, z którym od razu są na ty, tysiąca pytań, wcale nie oczekując odpowiedzi, bo już je znają, jak im się wydaje, znacznie lepiej od tego, kogo pytają. W najgorsze tarapaty wpada się wtedy, kiedy odpowiedź nie jest taka, jaką chcieliby usłyszeć. Do odmiennego zdania bardzo trudno ich przekonać.

Uwielbiają wygodę, nieformalny styl ubierania się i zachowania. Nawet na ważnych spotkaniach biznesowych potrafią zjawić się w krótkich spodenkach. Pewien mój znajomy wybrał się na ślub kolegi w koszulce z numerem ulubionego piłkarza i nie był jedynym „zawodnikiem” wśród gości. Jeszcze dwadzieścia lat temu często widywałam Izraelczyków podróżujących autobusami lub „wyskakujących do sklepu na rogu” ruchliwych miejskich ulic z włosami ociekającymi wodą po wziętym dopiero co prysznicu (Izraelczycy bardzo dbają o higienę, kąpią się nawet kilka razy dziennie i obficie spryskują perfumami) czy w charakterystycznych wysokich do kostki filcowych kapciach, zwykle szaro-białych lub brązowo-białych zapinanych na zamek błyskawiczny, oraz w wojskowych oliwkowych kurtkach rezerwistów. W ostatnich dziesięciu latach spacerujące po mieście „filcowe papcie dziadka w krateczkę” nagle zniknęły, a zużyte kurtki wojskowe chowa się już prawie wyłącznie na ćwiczenia rezerwistów. Młode pokolenie woli ubierać się zgodnie z

najnowszymi trendami mody, ale w praktycznej sportowej wersji.

Solidarność

W państwie, gdzie spora część dorosłych obywateli odbywa służbę wojskową, wspólnie z innymi doświadcza konfliktu zbrojnego czy jest jakoś powiązana z kibucem, solidarność międzyludzka i poczucie przynależności do jednego narodu widoczne są na co dzień i zakodowane w powszednim języku. Już w pierwszych minutach rozmowy każdy mężczyzna jest *achi*, moim bratem, albo *gewer*, dosłownie mężczyzną, macho, co stanowi komplement, a każda kobieta *achoti*, moją siostrą. Porozumiewanie się z nowym pokoleniem Izraelczyków jest bardzo łatwe nawet wtedy, kiedy nie zna się języka hebrajskiego. Do nawiązania kontaktu wystarczy zapamiętać kilka uniwersalnych, wieloznacznych słów, zależnie od sytuacji oznaczających dosłownie wszystko, takich jak: *achla*, *sababa*, wyrażających aprobatę, *walla* - zdziwienie i potwierdzenie oraz używane również przez Arabów *yalla* - zwykle ponaglenie, zdziwienie, podziw czy zniecierpliwienie.

- *Ma niszma, achi?* Co słyhać, bracie?

- *Ma kore, gewer?* Co się dzieje, chłopie?

- *Achla!* Świetnie!

- *Sababa!* Świetnie!

- *Yalla, bay!* No to cześć!

Inny dialog, oparty na zastosowaniu zaledwie dwóch podobnych słów i odpowiedniej intonacji, mógłby brzmieć mniej więcej tak:

- *Yalla!* - Chodź (Zrób to, Pośpiesz się!, No, idź!)

- *Walla?* - Naprawdę?

- *Walla!* - Pewnie! (Oczywiście!)

- *Walla?* - W porządku?

- *Yalla!* - No dobra! (Niech będzie!)

Dlaczego Izraelczycy na pytanie odpowiadają pytaniem? Może dlatego, że tak ważne jest dla nich to, aby być dobrze poinformowanym i mieć pierwszeństwo w dostępie do informacji. Stąd też największą popularnością cieszą się telewizyjne wiadomości, a w autobusie czy taksówce często zamiast muzyki słyszy się najświeższe informacje nadawane co godzinę przez wszystkie stacje radiowe. Dla tych, którzy je mimo wszystko przegapili, jest jeszcze skrót informacyjny nadawany co pół godziny.

Hucpa, czyli bezczelność

Izraelczycy lubią wydawać polecenia, choć sami ani myślą stosować się do tych wydawanych przez innych, tak jak wtedy, gdy gromadnie karmią w zoo zwierzęta tuż pod tabliczką, która tego zabrania. Kiedy policja nakazuje nie zbliżać się do jakiejś strefy, Izraelczycy *dawka* (bardzo charakterystyczne dla zrozumienia ich charakteru słowo hebrajskie oznaczające „a właśnie”, „na przekór”) biegną lub specjalnie jadą akurat (*dawka*) w tym kierunku. Słyszając radiowe komunikaty o gigantycznym korku na drodze z powodu wypadku, w każdym innym kraju wyobrażałabym sobie blokujący drogę rozbity samochód. W Izraelu wiem, że samochód po kraksie najprawdopodobniej został już szybko odholowany na pobocze (Izraelczycy lubią pomagać innym i robią to z poświęceniem), a korki spowodowały samochody zwalniających lub specjalnie przyjeżdżających na miejsce wypadku, by móc być jego naocznymi obserwatorami.

Przepisy ruchu drogowego dla preferujących „angielski” styl jazdy Izraelczyków (angielski, czyli polegający na tym, że zwiększa się szybkość, wyprzedzając po prawej stronie, i natychmiast ją zmniejsza, gdy się już jest po lewej) mają specjalne nowatorskie znaczenie. „Droga z pierwszeństwem przejazdu” oznacza: „wymuś pierwszeństwo”; światła awaryjne migoczące w samochodzie parkującym na środku drogi: „skoczyłem do sklepu, zaraz wracam”; a zakaz zatrzymywania się ma adnotację: „nie dotyczy Izraelczyków” (w wypadkach drogowych zginęło więcej pieszych i kierowców niż żołnierzy w wojnach).

Mój mąż, podobnie jak inni Izraelczycy, kiedy stoi na światłach, trzyma rękę na klaksonie, by momentalnie zatrąbić w pierwszej sekundzie zmiany światła na zielone, po czym rusza, jakby startował w rajdzie; według niego światła sygnalizują: czerwone - „na miejsca”, żółte - „gotowi”, zielone - „start!”.

W pojęciu Izraelczyków drogi są prywatną własnością każdego obywatela, co wynika z nieformalnej, ale powszechnie stosowanej zasady: *ha'kwisz szel ha'aba szeli*, „jezdni należy do mojego ojca”. Z przysłowiową wręcz hucpą „parkują” samochód na zakrętach i na środku jednokierunkowych dróg, by wysiąść „tylko na chwilę” i wziąć pieniądze z bankomatu, lub blokują nim *be'sababa*, (w tym kontekście: z przyjemnością, spokojnie, bez najmniejszych wyrzutów sumienia) cały pas; nie widzą też problemu w zatarasowaniu samochodem chodnika dla pieszych, tak aby przechodnie musieli omijać zaparkowany pojazd jezdnią.

Sytuacja, w której dwóch jadących z przeciwnych stron kierowców z wyciem klaksonów nagle zatrzymuje się „okienko w okienko” i wymienia tradycyjne: „co słyhać”,

„co się dzieje?”, tamując ruch w obu kierunkach, nie należy do wyjątkowych, ona jest wręcz charakterystyczna.

Nieraz bywałam świadkiem objawów szczególnego „symptomu skreconej szyi” w przepełnionych autobusach i pociągach. Z moich obserwacji wynika, że skręt głowy w kierunku zewnętrznym uwarunkowany jest pojawieniem się jakiejś starszej osoby bez miejsca siedzącego. Lekarstwem na dolegliwość może być matka z wózkiem próbująca z autobusu wysiąść. Współtowarzysze podróży ożywiają się wtedy, kręcąc szyją w różnych kierunkach, i entuzjastycznie doradzają, w jaki sposób powinna złapać wózek, by lżej jej się go zniosło.

Młodzież izraelska uwielbiająca wygodę i kulturę amerykańską z przyjemnością kładzie nogi na przeciwległym siedzeniu lub ma zwyczaj usadawiania się *be'sababa* na stopniach wejściowych do autobusu, blokując wszystkim przejście. Młodzi ludzie nie mają zwyczaju mówić „dzień dobry” nawet najbliższym sąsiadom czy nauczycielom, za to w sytuacji prawdziwego zagrożenia, szczególnie wtedy, gdy ktoś wzywa pomocy, reagują natychmiast, nie bacząc na niebezpieczeństwo.

Odwrotnie

Na przekór wszystkim Izraelczycy piszą od strony prawej do lewej. Ich ulubioną kawą jest *kafe hafuch*, czyli „kawa odwrócona”, do której najpierw wlewa się mleko, a dopiero później kawę, i zamiast pytać, jakie było wesele, zapytają o to, jakie na weselu było jedzenie.

Zwykle na izraelskich ulicach nie sposób wypatrzeć osób „w stanie wskazującym na spożycie”. Izraelczycy stronią od alkoholu, chyba że jest właśnie święto Purim (rodzaj żydowskiego karnawału), ustanowione na pamiątkę odwrócenia się złego losu od Żydów i ich cudownego ocalenia od zagłady planowanej przez dostojnika perskiego Hamana trzynastego dnia (stąd też pechowa trzynastka) miesiąca *adar* (ok. 450 roku p.n.e). W Purim nakazane jest (micwa) picie alkoholu tak długo, aż nie widzi się różnicy między słowami: „Błogosławiony Mordechaj” (Żyd, przybrany ojciec królowej Ester, który w piątym stuleciu przed Chrystusem nie kłaniał się Persom) i „Przeklęty Haman”(perski minister, który chciał zgubić Żydów).

W Izraelu wszyscy „zawsze wiedzą wszystko”. Szczególnie zaś to, ile żydowskich nazwisk znajduje się na liście laureatów Nagrody Nobla. Jeśli zapytacie Izraelczyka, czy umie grać na skrzypcach, odpowie: „Całkiem możliwe, muszę tylko spróbować”. Izraelczycy lubią krytykować innych, ale jeśli ktoś krytykuje ich, to „na pewno jest antysemitą”. Wydaje im się, że byliby piłkarzami o światowej sławie, gdyby „tylko ojciec pchał ich na treningi” albo generałami, „gdyby zostali w wojsku”, a już na pewno - milionerami, gdyby tylko chcieli

zabrać się za zarabianie pieniędzy albo też prezydentami i premierami, gdyby „chciało im się bawić w politykę”. Wychowują dzieci tak, by nigdy nie okazały się uniwersalnymi izraelskimi antybohaterami - frajerami (bardzo modne w leksykonie Izraelczyków zapożyczenie), czyli ludźmi wykorzystywanymi przez innych, podporządkowanymi innym czy mniej od innych sprytnymi. Na pytanie, „ile lat mają twoje dzieci”, bez zająknięcia odpowiadają: „profesor skończył siedem lat, a adwokat ma już dziesięć”.

System piramidy

Zamiłowanie do bycia z innymi ludźmi widoczne jest we wszystkich kolejkach. Tam można się czuć jak na ruchomych schodach, na których stoi się pod prąd. Kolejki mają kształt odwróconej piramidy z samotnymi punktami u podstawy i na szczycie: jedna osoba załatwiająca właśnie sprawę, dalej dziesięć, dziewięć... aż do samotnego „fajera” na końcu. Często też ogonek ustawia się z dwóch stron, nigdy jednak nie jest pojedynczy i przeważnie nie ma szansy na to, by ominęła go grupowa wymiana poglądów na temat, dlatego każdy powinien być obsłużony pierwszy i dlatego w ogóle trzeba tu stać. Pamiętam zachwyt mojego męża, kiedy czekał wraz ze mną w Poznaniu w gigantycznej kolejce do autobusów odwożących pasażerów na międzynarodowe pokazy samolotowe. Kolejka przypominała gigantyczny sznur wchodzących do autobusów jeden po drugim ludzi. Ejał fotografował ich, kiwając głową z niedowierzaniem. Do tej pory opowiada o tym zdarzeniu jako o jednej z najdziwniejszych atrakcji Polski i nadal są tacy, którzy słuchając go, nie wierzą, że coś takiego jak kolejka pojedynczo ustawiających się ludzi naprawdę gdzieś na świecie istnieje i ktoś ją faktycznie widział.

Izraelczykom nie przeszkadza hałas, a raz w roku, czternastego dnia miesiąca *adar*, jest nawet micwą. Wtedy to słysząc słowo „Haman”, należy kołatać specjalnie głośnymi kołatkami i tupać z całych sił nogami. Przez cały zaś świąteczny dzień raczyć się uszami Hamana, czyli trójkątnymi ciastkami z makiem, daktylami i orzechami. Szczególnie głośno lubią rozmawiać w kawiarniach, restauracjach, autobusach (zwłaszcza przez komórkę), zaznaczając tym swoją obecność i wierność pogładowi, że nie tylko jezdnie, ale i wszystkie miejsca publiczne „należą do mojego ojca”. Są też bardzo muzycalni. Na koncertach śpiewają razem z solistą, nawet partie operowe, a w kinach komentują znajomym akcję równoległe do rozgrywanych na ekranie scen. Spotykając się, krzyczą do siebie nawzajem z dwóch końców drogi (żeby nie trzeba było przejść na drugą stronę) i nawołują się, zamiast używać telefonów komórkowych (zawsze wychodzą z nimi z domu, nawet kiedy wyrzucają śmieci). Stoją pod

oknem i wołają: „Itzik, zejdz na dół!”. Jeśli zaś przyjeżdżają po kogoś samochodem, trąbią pod jego oknem aż do skutku.

Mężczyźni lubią, gdy zwraca się na nich uwagę. Muzyka na pełny regulator przy otwartych oknach samochodów młodych Izraelczyków (również w nocy) jest czymś zupełnie naturalnym i komunikuje wszem i wobec: „jestem u siebie, robię co chcę i pozwalam się podziwiać”. Kupując jakąś rzecz, najpierw pytają: „ile to kosztuje?”. Dopiero kiedy znają już odpowiedź, zadają właściwe pytanie: „a jaka jest cena dla mnie?”.

Za granicą

Z tym jest jak w popularnej anegdocie: jeśli Izraelczyk idąc ulicą, spotyka samych znajomych z wojska, wchodząc do restauracji, otrzymuje menu po hebrajsku, a kelner tytułuje go bratem, to jasna sprawa - jest w Indiach.

Według Centralnego Biura Statystycznego w 2011 roku na cztery miliony czterysta tysięcy wyjazdów wakacyjnych dwa miliony czterysta tysięcy to wyjazdy poza granice Izraela. Izraelczycy uwielbiają podróżować za granicę. Każdy z nich ma za granicą rodzinę lub kogoś bliskiego, kogo odwiedza, a posiadanie drugiego obywatelstwa jest czymś zwyczajnym. Zdarza się bardzo często, niezależnie od tego, czy jest to Europa, Stany Zjednoczone, Tajlandia, czy inne kraje, że Izraelczycy natykają się na swoich rodaków na ulicach, w hotelach, muzeach, samolotach, na ławce w odosobnionej części parku i w innych dziwnych miejscach. Opowieść o spotkanych znajomych jest nieodłączną i powszechną częścią wspomnień z wakacji, co i ja mogę potwierdzić:

Podczas urlopowego pobytu w Brazylii, zajmującej ósme miejsce na świecie pod względem liczby mieszkańców, zwiedzałam Paraty - zabytkową miejscowość kolonialną położoną nad Atlantykiem, w połowie drogi pomiędzy Rio de Janeiro i San Paulo. Wybrałam się w rejs jachtem po oceanie. Daleko od stałego lądu, na jednej z ukrytych na pełnym oceanie malutkich wysepek mieściła się restauracja rybna, do której można było dotrzeć tylko od strony morza. Przy jednym z kilku zaledwie stolików restauracji siedziała rodzina. Jakież było moje zdumienie, kiedy okazało się, że mówi ona po... hebrajsku i jest z sąsiadującego z moim miasta.

W Szwajcarii, na położonej na wysokości dwóch tysięcy czterystu sześćdziesięciu dziewięciu metrów n.p.m. przełęczy Św. Bernarda, kiedy w odludnej scenerii podziwialiśmy widok Alp, obok nas zatrzymał się samochód, którego pasażerowie wydawali mi się dziwnie znajomi. Wystarczyło kilka minut, by się przekonać, że moje wrażenie było słuszne. Nie tylko

naprawdę byli to Izraelczycy, ale jeszcze zwrócili się do nas z pytaniem o wieści z Izraela, tak jakby to było zupełnie naturalne, że spotkaliśmy się w tym miejscu i wiemy, co się dzieje w Izraelu.

W Portofino, małej włoskiej miejscowości, mój mąż spotkał kolegę z klasy, niewidzianego od chwili ukończenia szkoły podstawowej.

W nowojorskiej restauracji Smith & Wollensky siedzący przy naszym stoliku panowie, rozmawiający po angielsku z amerykańskim akcentem, po kolacji zwrócili się do nas po hebrajsku, życząc nam miłego wieczoru. W Krakowie do zapytań po hebrajsku o drogę już się przyzwyczailiśmy. Nadal jednak, kiedy jestem w polskim lesie, żaden Izraelczyk nie wyskakuje mi zza drzewa z pytaniem o jadalność grzybów, jakie ma akurat w ręce, i to nie dlatego, że ludzie tej nacji nie dotarli w środek polskich borów, tylko dlatego, że nie mają oni w zwyczaju chodzić na grzyby, i przed rosyjską nawałnicą na Izrael, nieprzepuszczającą ani jednemu maślakowi, w lasach pod Jerozolimą grzybów było zatrzęsienie.

Wszystkie opisane przeze mnie zdarzenia mogły być oczywiście tylko zbiegiem okoliczności, tyle że wielokrotnie potwierdzonym w relacjach z podróży moich znajomych i znajomych znajomych. Niewykluczone, że to efekt podobnego złudzenia, jak wtedy gdy byłam w ciąży i nagle w ciąży był „cały Izrael”, a ja ku swemu wielkiemu zaskoczeniu odkrywałam na ulicach izraelskich miast prawie wyłącznie brzemiennie kobiety. Później jakoś nagle zniknęły, na ich miejscu w tajemniczy sposób pojawiły się masowo wózki z małymi dziećmi, a jeszcze później wszyscy naraz kupili sobie psy i zaczęli wychodzić z nimi na spacer. Możliwe jest też inne wytłumaczenie. Podróżujący po świecie „w poszukiwaniu siebie” Izraelczycy, zwykle znajdują tam innych Izraelczyków i nie jest to przypadkowe, ponieważ zawsze najlepiej się czują jako część grupy.

Wbrew pozorom za granicę wyjeżdżają nie tylko Żydzi świeccy, których nie przeraża niekoszerny świat zagranicznych restauracji i jajecznicy na bekonie z samego rana. Ortodoksyjni i ultraortodoksyjni również decydują się na zwiedzanie świata, wyruszając na zagraniczne wojaże z zapasem koszernego jedzenia zajmującego sporą część ich bagażu (izraelscy celnicy są przyzwyczajeni do produktów żywnościowych przewożonych w walizkach i nie robią z tego problemu również przy wjeździe do Izraela). Religijni Żydzi zwykle jadą do Europy na groby sławnych rabinów[72], w odwiedziny do współziomków w Stanach Zjednoczonych, gdzie mieszka prawie dokładnie tylu Żydów co w Izraelu.

Dla Izraelczyków żyjących w państwie otoczonym morzem i wrogimi sąsiadami wyjazd za granicę to życiowa konieczność, coś, bez czego trudno się obejść. Potrzebują spokoju Szwajcarii, wiecznego piękna Rzymu, energii Nowego Jorku, egzotyki Tajlandii,

romantyzmu Paryża i przede wszystkim optymizmu Indii, do których co roku, jak podaje się w wiadomościach telewizyjnych, wyjeżdża około siedemdziesięciu tysięcy młodych ludzi, zwykle po zakończeniu służby wojskowej.

Podobno mieszkańcy Indii myślą, z powodu liczby spotykanych Izraelczyków i hałasu, jaki robią wokół siebie, że Izrael jest jednym z najbardziej zaludnionych państw świata i trudno im uwierzyć, że ma tylko około ośmiu milionów obywateli.

Izraelczycy często mieszkają w Indiach przez kilka miesięcy, a ponieważ nie potrafią zbyt długo wysiedzieć w jednym miejscu, pozostawiają swoje ślady nie tylko w wielkich miastach, na nadmorskich plażach czy w górach, ale również w aszramach i licznych religijnych placówkach chabadników[73]. W wielu miejscowościach Hindusi z biegiem lat wyspecjalizowali się w przyjmowaniu turystów z Izraela i nawet nauczyli się biegle języka hebrajskiego. Izraelczycy, którzy na ogół lubią przebywać we własnym towarzystwie, zakładają w Indiach własne restauracje, biura podróży, hotele, hostele i kluby oraz mają stałe miejsca spotkań. A jest ich na tyle wielu, że eliminacje do popularnego izraelskiego programu *Narodziny gwiazdy*, opartego na *American Idol*, zostały przeprowadzone nie tylko w Izraelu, ale i... w Indiach, i to w kilku miejscach.

Inwazja na Berlin

Jeszcze dziesięć lat temu w Berlinie Izraelczycy stanowili niezauważalną grupę. Dziś, jak podaje się na stronie „Israelim be’Berlin” (Israelis in Berlin, www.israelisinberlin.de), oficjalnie zarejestrowana społeczność religijnych Żydów na stałe mieszkających w tym mieście liczy ponad jednaście tysięcy osób[74], choć z danych podanych na forum internetowym i z programów telewizji izraelskiej[75] wynika, że liczba ta jest zanizona o kilka tysięcy i z roku na rok wzrasta. Żydzi w Berlinie modlą się w dziesięciu synagogach, mają czterech rabinów (w tym jedną kobietę), ośmiu kantorów, szkoły, przedszkola, własne centrum edukacji i trzy domy opieki. Są sklepy z żywnością koszerną, puby, kluby, dyskoteki, radio „Głos Berlina” nadające programy w języku hebrajskim i niemieckim, a nawet koszerne gay party. Każdej jesieni organizowane są Dni Kultury Żydowskiej, a tysiące Izraelczyków co roku jeżdżą do Berlina „dla przyjemności”.

W styczniu 2010 roku wspólne posiedzenie rządów Izraela i Niemiec odbyło się właśnie w Berlinie.

Skąd ten nagły najazd Izraelczyków na Niemcy?

Kiedy Yehudi Menuchin, amerykański wirtuoz skrzypiec, legendarny wykonawca

Henryka Wieniawskiego i Niccola Paganiniego, w 1947 roku jako pierwszy Żyd po Holokauście zagrał w Berlinie koncert z towarzyszeniem Berlin Philharmonic Orchestra, Żydzi z całego świata, a szczególnie ci z Izraela, byli oburzeni i grozili Menuchinowi połamaniem wszystkich palców. Dziś w Izraelu nadal nie grywa się ulubionego przez Hitlera Wagnera i nadal są tacy, którzy mają awersję do języka niemieckiego, z zasady do Niemiec nie jeżdżą i nie tylko nie kupują żadnych produktów *made in Germany*, ale nawet nie przyjmują przyznanego im przez państwo niemieckie odszkodowania - należą jednak do siwowlósej mniejszości.

Mimo „sześciu milionów powodów, żeby z nimi nie rozmawiać”, zaledwie siedem lat po zakończeniu drugiej wojny światowej, w 1952 roku, na mocy porozumienia pomiędzy urodzonym w Polsce premierem Davidem Ben Gurionem a kanclerzem RFN Konradem Adenauerem, Izrael podjął decyzję o tym, że nowo powstałemu państwu borykającemu się z poważnymi problemami gospodarczymi bojkot Niemiec zwyczajnie się nie opłaca. Na poczuciu winy Niemców można było nieźle zarobić, a pieniądze były bardzo potrzebne. Mimo sprzeciwu sporej części społeczeństwa izraelskiego postanowiono utorować w ten sposób Niemcom „drogę do duchowego oczyszczenia po niezamierzonym cierpieniu” i wspaniałomyślnie przyjęto trzy miliardy czterysta pięćdziesiąt milionów marek odszkodowania za Szoah na poczet o wiele większych sum, jakie do dzisiaj płacone są osobom prywatnym i państwu, rozpoczynając tym samym proces porozumienia.

Niemcom - przyznającym Izraelowi prawo do istnienia, biorącym pełną odpowiedzialność za Holokaust, przepraszającym i jednocześnie finansującym konferencje służące zbliżeniu narodów, produkującym dla marynarki izraelskiej łodzie podwodne, budującym swoim żydowskim ofiarom pomniki i muzea oraz gotowym na każdy wysiłek na drodze rehabilitacji swojego narodu - udało się zmienić negatywne nastawienie Izraelczyków.

Efekt jest szczególnie widoczny w ostatnim dziesięcioleciu. Na pytanie o to, czy warto być z nimi w przyjacielskich stosunkach, młodzi Izraelczycy z Berlina, z Oranienburger Strasse - w XIX i na początku XX wieku głównej ulicy dzielnicy żydowskiej, znanej obecnie z ożywionego życia nocnego, legalnej prostytucji, barów, restauracji i odrestaurowanej Nowej Synagogi, wokół której znów koncentruje się społeczność żydowska - odpowiadają twierdząco: „Zakochaliśmy się w Berlinie, bo jest miastem kultury, mody, sztuki i szaleństwa. My po prostu do niego pasujemy. Tu ciągle dzieje się coś ciekawego”. Zamieszkanie w Berlinie tłumaczą też mniej górnolotnymi powodami: „obecnością pięknych blondynek zainteresowanych egzotycznymi Izraelczykami”, „radosną, swobodną atmosferą miasta”, „wachlarzem ciekawych imprez i liczbą nocnych klubów, w tym więcej niż w dziesięciu

procentach gejowskich”, cenami niższymi niż w jakimkolwiek mieście zachodnim i o wiele niższymi niż w Izraelu, wielością galerii, ożywionym życiem kulturalno-artystycznym i muzycznym oraz podobieństwem pod względem architektonicznym do Tel Awiwu.

W 1743 roku, późniejszy przyjaciel Gottholda Ephraima Lessinga, wybitny filozof Moses (Mojżesz) Mendelssohn, aby wejść do Berlina, musiał przejść przez bramę Rosenthal, jedyną w mieście przeznaczoną dla bydła i Żydów, oraz zapłacić za siebie cło podobne do tego, jakie płacono się za towar sprowadzony z zagranicy. W późniejszych latach, do około 1933 roku, niemieccy Żydzi reprezentowali już elitę kulturalno-finansową państwa niemieckiego, byli zasymilowani z Niemcami i uważali się za Niemców, twórców i spadkobierców kultury niemieckiej. W czasie Holokaustu zostali pozbawieni majątków, pozycji i życia. Potomkowie tych, którzy pomimo Zagłady ocalili, dziś znów osiedlają się w Berlinie i czują, że mają do tego pełne prawo.

Afirmacja powojennych Niemiec w jakiejś mierze jest rezultatem powojennej polityki niemiecko-izraelskiej, dynamicznego rozwoju gospodarczo-kulturalnego, wysokiej stopy życiowej i paradoksalnie, poczucia bezpieczeństwa, jakim dzisiaj Żydzi cieszą się w tym kraju. Nie bez znaczenia jest również fakt, że Izrael należy wraz z Australią, Japonią, Kanadą, Republiką Południowej Korei, Nową Zelandią i Stanami Zjednoczonymi do kręgu państw uprzywilejowanych, których obywatele mają pierwszeństwo w osiedlaniu się w Berlinie i staraniach o obywatelstwo niemieckie. Także przywrócone obywatelstwo polskie (Ambasada Polska w Tel Awiwie od kilku lat jest oblegana z tego powodu) pozwala Izraelczykom, jako obywatelom Unii Europejskiej, w Niemczech studiować, pracować, otrzymać ubezpieczenie zdrowotne i świadczenia socjalne.

Berlin, jedno z najbardziej awangardowych miast świata, po zjednoczeniu imponujący swą tożsamością, otwarty na nowe prądy, dynamiczny i pluralistyczny, celebrujący młodość i cieszący się odzyskaną wolnością, uważany przez niektórych za nową stolicę bogatej zachodniej Europy, postrzegany jest jako główna atrakcja Niemiec. „W Berlinie widzę nowy świat i nowy naród”, deklaruje niejeden z Izraelczyków, który znalazł swoją nową ojczyznę w dawnym państwie Hitlera. Pobrzmiewa w tym echo słów wypowiedzianych w 1960 roku przez premiera Ben Guriona po spotkaniu z kanclerzem RFN Adenauerem w Nowym Jorku: „Doszedłem do wniosku, że mamy do czynienia z zupełnie innymi Niemcami. Nie są to Niemcy nazistowskie i nigdy już takich nie będzie. Naród niemiecki się zmienił i świat się zmienił. Nigdy nie możemy zapomnieć tego, co się wydarzyło, ale nie możemy także opierać naszego postępowania tylko na tym, co się stało, bo nie możemy ani zmienić przeszłości, ani też jej przekreślić”.

Duty free

Najważniejszym punktem w programie zwiedzania świata jest dla Izraelczyków wyścig z czasem (przegrywa ten, kto nie zdąży na samolot) podczas próby wydania wszystkich pieniędzy jeszcze przed wylotem na wakacje, w lotniskowej strefie *duty free*, najchętniej w sieci sklepów bezcłowych Duty Free James Richardson specjalizującej się w kosmetykach, alkoholach i słodyczach. W ciągu dwudziestu lat firma odnotowała wzrost obrotów o dwa tysiące procent i w 2011 roku jej roczne obroty osiągnęły poziom czterystu milionów dolarów[76].

W kraju natomiast do ulubionych rozrywek należy wyruszanie całymi rodzinami do centrów handlowych nazywanych kanionami (od słowa *knijot* - zakupy), w których najtaniej w mieście parkuje się samochody, ma się do dyspozycji kina, restauracje, sklepy wszystkich branż, sale sportowe, atrakcje dla dzieci i przyjemną temperaturę powietrza dzięki klimatyzacji. Jak donosi izraelska gazeta ekonomiczna „Kalkalist”[77], właśnie tutaj Izraelczycy robią jedną trzecią lub przynajmniej jedną czwartą wszystkich zakupów. Sześćdziesiąt dwa procent Izraelczyków przynajmniej raz w tygodniu bywa gościem kanionów, a przeciętna izraelska rodzina wydaje w centrum handlowym mniej więcej tysiąc szekli miesięcznie i spędza tu minimum dwie godziny.

W przeważającej większości Izraelczycy są zadowoleni ze swego życia (kobiety dożywają średnio 82,6 lat, mężczyźni - 78,8[78]). Mimo że w śródziemnomorskim Tel Awiwie, o stosunkowo łagodnym klimacie, narzekają na upał, jeżdżą na urlop do pustynnego, najgorętszego w kraju Ejlatu nad Morzem Czerwonym, gdzie latem temperatura wynosi około czterdziestu stopni. Do sklepiku na swojej ulicy nie idą pieszą, ale jadą samochodem, a jednak są mistrzami w biegach na sto metrów - potrafią przebiec ten dystans w cztery sekundy. Jak to możliwe, skoro światowy rekord wynosi prawie dziesięć sekund? Oni zawsze znajdą drogę na skróty.

Zarabiają średnio osiem tysięcy pięćset siedemdziesiąt jeden szekli (CBS, 2011), czyli około tysiąca siedmiuset euro. Uwielbiają drogie restauracje i masowo z nich korzystają, choć statystycznie rzecz biorąc, prawie trzydzieści procent z nich żyje na progu ubóstwa (CBS, 2010). Nawet za chleb i mleko płacą kartą kredytową (każdy ma ich po kilka rodzajów), a prawdziwe pieniądze widują tylko w ulubionych kasynach za granicą kraju. Nie potrafią sobie wyobrazić życia bez overdraftu i spłacania rat oferowanych przy zakupie produktów kosztujących powyżej trzystu szekli. W dzielnicowych sklepikach za zakupiony towar nie

trzeba płacić od razu, można należność zapisać na swój rachunek i uregulować przy najbliższej okazji. Samochody z napędem na cztery koła i urlopy w pięciogwiazdkowych hotelach cieszą się dużą popularnością, co wcale nie stoi na przeszkodzie temu, by urządzić ogólnokrajowy bojkot produktów mlecznych z powodu wzrostu ceny najpowszechniej kupowanego produktu spożywczego - twarożku z charakterystycznym logo: domkiem z czerwoną dachówką w zielonym ogródku pod błękitnym niebem, kojarzącym się z beztroskim, idealnym dzieciństwem i rodziną.

Slang

Izraelczycy są poliglotami. Starsze pokolenie Żydów pochodzących z różnych krajów świata, mających za sobą żydowską tułaczkę, płynnie potrafi porozumieć się w kilku językach. Urodzeni w Izraelu również są w stanie wyrazić swoje emocje w sposób międzynarodowy - przeklinając po rosyjsku, angielsku, arabsku i w jidysz, nigdy jednak po hebrajsku.

Kilkanaście razy dziennie umierają z uwielbienia, powtarzając: *ani met al...* - umieram z... - nawet wtedy, gdy chodzi nie o wielką miłość, rozkosz czy głód, ale o kolor skarpetek, smak, film, kolegę z pracy czy cokolwiek lub kogokolwiek innego budzącego w nich pozytywne emocje. Sto lat to dla nich zdecydowanie za mało. Na urodzinach życzą wszystkim lat stu dwudziestu. Aby podkreślić, że coś jest wyjątkowo dobre, smaczne, ciekawe, przyjemne, bardzo się podoba, użyją uniwersalnego słowa *nora* - strasznie.

W przeciwieństwie do Stanów Zjednoczonych czy innych państw w izraelskich środkach masowego przekazu nie ma cenzury językowej. Słownictwo slangowe popularne jest nie tylko na ulicy, ale również w telewizji, radiu, prasie. W ciągu ostatnich dwudziestu lat często się słyszy słowo *kusit*, oznaczające w języku potocznym srom. Szczególnie atrakcyjna dziewczyna jest, za powszechnym przyzwoleniem i aprobatą, określana tym właśnie mianem. W poważnej gazecie takiej jak „Maariw” miejsce nad logo na okładce codziennego dodatku ekonomicznego „Asakim”, w którym zwykle umieszczałam powabną panią wraz z danymi statystycznymi lub cytatem z tekstów ekonomicznych, nazywane było przez zespół pracowników „kącikiem *kusit*”. W pierwszych zdaniach wydanego w 2002 roku młodzieżowego bestsellera Sziri Zuk *Chameszesre dakot* (Piętnaście minut) słowo *kusit* występuje w pozytywnym znaczeniu, podobnie jak w wielu popularnych piosenkach izraelskich, młodzieżowych programach telewizyjnych i w internecie. Używane powszechnie w mediach i w codziennym życiu określenie *ben zona*, skurwysyn, po polsku brzmiące jak

niecenzuralna obelga, w ustach Izraelczyków może mieć zabarwienie negatywne, neutralne, ale i superlatywne. Interes *ben zona* to wyjątkowo korzystna oferta, film *ben zona* to arcydzieło kinematografii, a książka *ben zona* to bestseller. W popularnym izraelskim portalu nrg.co.il, należącym do „Maariw”, można przeczytać artykuł o krytyku *ben zona*, w innym, nana.co.il, jest piosenka *ben zona*. Popularny amerykański film *Krwawy Romeo (Romeo is bleeding)* z 1993 roku, w reżyserii Petera Medaka, przetłumaczono w Izraelu jako *Romeo ben zona* i wcale nie chodziło o prowokację ani o profesję matki głównego bohatera. Kiedy jednak dwudziestodwuletni żołnierz z Bat Jamu na swojej stronie w portalu Facebook nazwał policjanta *ben zona*, został zatrzymany i pociągnięty do odpowiedzialności prawnej, mimo że stwierdzenie: *ata ben zona!*, jesteś skurwysynem!, w języku wielu Izraelczyków funkcjonuje jako dosadny, męski komplement. Kiedy się go wypowiada, koniecznie trzeba jednak zwrócić uwagę na odpowiednią intonację, bo ta pozwala odróżnić superlatyw od obelgi. A skoro nie zawsze jest to jednoznaczne, stanowczo nie polecam turystom prawienia takich komplementów. W tym temacie koniecznie *simchu alaj!*, zaufajcie mi!, jak powiedziałyby Izraelczyk, dodając za przykładem religijnych Żydów: *be'ezrat ha'Szem!*, z pomocą Boską!

Kibuc - koń z jeźdźcem zatopiony w morzu

„Niewiarygodne, że przy nas zabijali krowy na rampie, że najspokojniej w świecie ukręcali kurom łby. Lecz brzmiało to jak wspomnienie z naszych najlepszych lat. Bo rzeczywiście były to nasze najpiękniejsze, skąpane w złocie lata. Właśnie dlatego, że żyliśmy w chłodzie pomimo żaru i wiecznie palącego słońca...”[79] - znajoma pisarka, Jael Neeman, czytająca na spotkaniu w kibucu autobiograficzne wspomnienia, demaskujące pozornie idylliczne dzieciństwo w żydowskiej komunie w Izraelu, zaczerpnęła powietrza. Korzystając z chwili przerwy, szpakowaty pan z brzuszkiem siedzący obok filaru, krzyknął: „jeździec zatopiony w morzu!”. Kilkanaście osób poderwało się z miejsc, zgodnie rozłożyło ręce w tanecznej pozie jeźdźców, dosiadło wyimaginowanych wierzchowców i popędziło w czas zabaw swojego dzieciństwa. Kibucnicy, jeden po drugim dołączali do tańczących, zostawiając pod ścianą puste krzesła.

Kiedy patrzyłam na galopujące pary ignorujące klęskę idei kibuców, nie potrafiłam oprzeć się wrażeniu podglądania fenomenu: rodzice i dziadkowie tych mieszkających na ogół w mieście pięćdziesięciolatków, rówieśników Jael, należeli do elity żydowskich pionierów budujących kibuce, a oni sami dali hasło do masowego ich opuszczenia, przyczyniając się tym samym do klęski idei, która choć wykreowała nowe państwo, z biegiem lat przestała scalać jego obywateli.

Najpierw był kibuc

Kibuce narodziły się z przekonania, że powinna to być główna forma kolektywnego osiedlania się świeckich Żydów w Palestynie: propagująca syjonizm, oparta na zasadzie równości społecznej i ekonomicznej oraz równości płci realizowanej w socjalistycznej komunie, w której środki produkcji są wspólne, nie ma prywatnej własności, a wszyscy członkowie żyją, pracują na roli i wychowują dzieci w kolektywie. I tak jak założono, odegrały kluczową rolę w powstaniu państwa żydowskiego w Palestynie, wpłynęły na jego charakter i na mentalność Izraelczyków. U swego zarania były rodzajem „państwa żydowskiego w drodze”. Miały wypracowany system stosunków społecznych, ideologię i nawet kadre wyszkolonych bojowników. To właśnie oni wraz z powstaniem państwa

przekształcili się w karnych i patriotycznych, dobrze zorganizowanych żołnierzy o wysokiej motywacji i sile fizycznej.

Pierwsi kibucnicy, *chalucim* (pionierzy), wywodzili się z *ha'alija ha'sznija*, drugiej emigracji, z lat 1904-1914, kiedy do Palestyny przybyło trzydzieści pięć tysięcy Żydów z Europy Wschodniej i Środkowej, zwłaszcza z Imperium Rosyjskiego, w skład którego wchodziły w tym okresie również ziemie dawnej Rzeczypospolitej zajęte przez Rosję w wyniku rozbiorów. Szesnasto-, siedemnastoletni marzyciele, dawni uczestnicy ruchów rewolucyjnych, zapatrzeni w udającego chłopą hrabiowskiego wizjonera Lwa Tołstoja, byli bez grosza przy duszy, jedli mało, a jak trzeba było, to i głodowali. Nie przeszkadzało im chodzenie na bosaka czy w chłopskiej rubaszce. Po zachodzie słońca i ciężkim dniu fizycznej pracy potrafili godzinami śpiewać, dyskutować i snuć marzenia o nowym Izraelu.

Wkrótce zrodziło się wśród nich poczucie dumy, że są pionierami nowego żydowskiego społeczeństwa. Czuli się wysłannikami całego narodu żydowskiego próbującymi pokojowo, dzięki funduszom na kupno ziemi gromadzonym przez Keren Kajemet le'Israel (Żydowski Fundusz Narodowy) i pracy własnych rąk, zawładnąć ziemią praprzodków. Pogardzali należącymi do pokolenia ich rodziców, ortodoksyjnych Żydów, drobnomieszczańskimi osadnikami żydowskimi, którzy w liczbie pięćdziesięciu tysięcy przybyli do Palestyny w latach 1881-1904 (*ha'alija ha'riszona*) i zostali osiedleni w plantacjach barona Rothschilda w Petach Tikwie czy Riszon Le Syjon. Ci, kontynuując stare tradycje, ubierali się jak panowie w koloniach, zatrudniali do ciężkich prac arabskich najemników i wysyłali swoje dzieci do Paryża na studia rolnicze.

Chalucim, świeccy rewolucjoniści, wierzyli w nową, zbawczą doktrynę religijną - ciężką pracę fizyczną, która według nich była w stanie dokonać cudu przeistoczenia tradycyjnego Żyda, traktowanego z pogardą w Europie, we wzorcowego, godnego podziwu nowoczesnego człowieka, wyzwolonego z jarzma religii i przynależności do rozwarstwowanego społeczeństwa. Ideowa emigracja do Palestyny - alija - dla nich oznaczała totalną zmianę świadomości, szansę na powstanie nowożytnego, świeckiego społeczeństwa żydowskiego uwolnionego od balastu przeszłości i stereotypów, mieszkającego „na swoim”, utrzymującego się z pracy własnych rąk, wierzącego w równość i sprawiedliwość.

Idea kibuców, zorganizowanej kolektywnej działalności grup przyjaciół-towarzyszy, realizowała się we współpracy związanych ze sobą ideowo ludzi, koniecznej dla przetrwania i zapewnienia sobie poczucia bezpieczeństwa. Praca przy osuszaniu bagien w Galilei i w Dolinie Izraela, oczyszczanie z kamieni Wzgórz Judzkich i zagospodarowywanie pustyni Negew, stanowiącej centrum życia żydowskich pionierów, wymagała współdziałania. Razem

łatwiej stawiało się czoła trudom codziennego życia na niezagospodarowanych terenach, malarii, tyfusowi i koczowniczym plemionom beduińskim. Pierwsi osadnicy marzyli o tym, by ich małe grupy przekształciły się w duże kibuce, a te w olbrzymi ruch socjalistyczny obejmujący swym zasięgiem cały Izrael, a może nawet cały świat. Wraz z nowymi falami masowej emigracji Żydów z Europy w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku kibuce faktycznie szybko rosły w siłę. Z biegiem czasu grupy przyjacielskie przekształciły się w dobrze zorganizowane, przeszkolone w Europie brygady przygotowane do życia w palestyńskich kibucach. Komitet założycielski Ein Harod, pierwszego formalnego kibucu, skupiał, w przeciwieństwie do pierwszej grupy kibucowej[80], Degania Alef, założonej w 1910 roku przez dziesięciu mężczyzn i dwie kobiety, dwustu piętnastu założycieli.

W latach 1936-1939, w okresie walki o przyszłe granice Państwa Izraela, w miejscach strategicznych kibuce powstawały w ciągu jednej nocy. Budowane często bez formalnego pozwolenia władz brytyjskich odwoływały się do otomańskiego prawa stanowiącego, że budynki zadaszone nie mogą być wyburzone. Gdyby nie tragedia Holokaustu, w której zginęło sto tysięcy młodych ludzi zrzeszonych w ruchu kibucowym, przygotowujących się do wyjazdu do Palestyny, rozwój komun żydowskich w Izraelu nabrałby najprawdopodobniej innego tempa i znaczenia. W roku powstania Państwa Izraela (1948) prawie osiem procent, czyli około pięćdziesięciu tysięcy z siedmiuset tysięcy zamieszkujących go Żydów żyło w pięćdziesięciu jeden kibucach[81]. W następnym roku powstało ich jeszcze trzydzieści pięć.

Po kryzysie ekonomicznym lat osiemdziesiątych, wywołanym masowym opuszczaniem kibuców przez trzecie pokolenie kibucników, nieakceptujące idei wspólnej własności i kolektywnego życia, w syjonistycznych komunach pozostało tylko trzy i cztery dziesiąte procent całej populacji. W roku 2011 zaledwie dwa i pół procent Izraelczyków mieszkało w dwustu pięćdziesięciu czterech kibucach, przy czym tylko siedemdziesiąt[82] z nich wybrało formułę *kibuc szitufi*, kibucu spółdzielczego przypominającego ten tradycyjny ze wspólnym funduszem, równym podziałem dochodu (dwadzieścia procent budżetu przeznaczane jest na osobiste potrzeby członków), wspólną sferą kulturowo-edukacyjną (kibuc jest pełnoprawnym partnerem rodziców w wychowaniu dzieci) i odpowiedzialnością za zdrowie (wspólny fundusz zdrowotny), darmowymi posiłkami w kibucowej stołówce.

Sukces początkiem klęski

Jak na ironię, zmierzch kibuców rozpoczął się wraz z sukcesem idei kibuców, czyli utworzeniem państwa żydowskiego i ustabilizowaniem się jego sytuacji. Młode pokolenie

urodzone w rzeczywistości kibucowej, bez ran po antysemityzmie europejskim, nie musiało już brać odpowiedzialności za egzystencję narodu żydowskiego i jego odrodzenie w nowym państwie. Nie oczekiwano już od niego rewolucyjnych idei, poświęceń i prawie mistycznej wiary w sukces syjonizmu, coraz powszechniej popieranego przez żydowskich obywateli Izraela. To już nie był czas eksperymentów, walki o ideologię i nowy świecki światopogląd czy poczucia spełniania historycznej misji. Ogorzali od słońca, ale wyblakli ideologicznie świeccy Żydzi, młodzi potomkowie „wielkich budowniczych nowego Izraela”, zajęli swoje miejsce w ich cieniu. Nie odczuwali satysfakcji z prozaicznego życia kolektywnego, pozbawionego heroizmu i entuzjazmu pionierów. Służąc w wojsku z Izraelczykami pochodzącymi z miast i moszawów, mieszkając w kibucu razem z wolontariuszami z całego świata, nie-Żydami przyjeżdżającymi zasmakować życia w izraelskiej komunie, otworzyli się na powiew innego, atrakcyjniejszego świata, w którym rządziły prawa jednostki, a nie kolektywu.

Po trzydziestu latach rządów lewicy sprzyjających kibucowi w 1977 roku, wraz z wyborem Menachema Begin na premiera Izraela i zwycięstwem prawicowej partii Likud, skończyła się epoka socjaldemokratycznej władzy preferującej socjalistyczne komuny. Izrael nowych, powojennych emigrantów, w dużej mierze Żydów wschodnich[83], zaczął buntować się wobec uprzywilejowanej pozycji aszkenazyjskich kibucników - „milionerów” - według nomenklatury Begin z 1981 roku, a i w samym wnętrzu komun, nie tak solidarnych i jednomyślnych jak przed laty, rozpoczął się okres masowego opuszczania kibuców przez młodych ludzi, którym nie odpowiadało monotonne życie na wsi i jego reguły. Były też ku temu powody ekonomiczne: czterystuprocentowa inflacja w połączeniu z nagromadzonymi przez kibuce długami bankowymi wynoszącymi dziewiętnaście i pół miliarda szekli[84] oraz złe inwestycje finansowe, marnotrawstwo spowodowane brakiem osobistej odpowiedzialności i niemożność spłaty długów wobec małej rentowności kibuców, doprowadziły do bardzo poważnego kryzysu i końca spółdzielni kibucowych, a wraz z nimi idei wspólnej własności, kolektywnej pracy i równego podziału zysków.

W 2011 roku większość kibuców odwróciła się plecami do swego socjalistycznego pierwowzoru i wybrała kapitalistyczny model egzystencji, wymieniając idealizm na własnościowy dom i dobrze płatną pracę. Paradoksalnie na luksus komuny stać dzisiaj tylko bogate, dobrze prosperujące kibuce. Najwięksi kibucowi idealisci przegrali z twardą ekonomią kapitalistycznego świata, gdy się okazało, że po całym życiu spędzonym na pracy w kibucu nie są w stanie swoim dzieciom, które przeniosły się do miasta, ani pomóc materialnie, ani pozostawić jakiegokolwiek spadku. A kiedy one przyjeżdżały do nich ze

swoimi dziećmi w odwiedzin, musieli płacić kibucowi za ich nocleg i wyżywienie, nie mając prawa cokolwiek ich poczęstować.

Instynkt stada

W kibucowej rzeczywistości, w której „my” wyparło „ja” do tego stopnia, że w niektórych kibucach zabraniano posiadania w pokojach prywatnej własności - czajnika, by ten nie stał się „narzędziem zdrady” w postaci indywidualnego picia herbaty, rządził instynkt stada. Posiłki spożywało się zawsze grupowo w kibucowej stołówce stanowiącej zarazem ośrodek życia społecznego. To tu odbywały się przyjęcia i występy estradowe, a także zebrania, podczas których podejmowano ważne dla społeczności kibucowej decyzje, dyskutowano na temat nowych idei i codziennego życia. Często zamiast krzeseł używano wieloosobowych ławek, aby nie siedzieć osobno. W początkowym okresie istnienia kibuców małżonkowie, choć zakwaterowani razem, w jednym mieszkaniu, nie mogli siedzieć obok siebie w kibucowej stołówce i każde z nich musiało pracować gdzie indziej.

Teoretycznie wszyscy dorośli wykonywali te same prace w systemie rotacji, czyli dzieląc tygodniowe zmiany pomiędzy oborę, pole, pralnię, stołówkę, sprzątanie czy pracę w fabryce. W praktyce jednak podział obowiązków nie zawsze był sprawiedliwy. Zdarzali się wszak niesumienni, uchylający się od zajęć nieatrakcyjnych, a także tacy, których przeważnie wyznaczano do obierania ziemniaków, prania i czyszczenia toalet. Nie brakowało też oczywiście ludzi zdolnych, wykształconych, o specjalnych umiejętnościach, otrzymujących lepsze niż inni, kierownicze stanowiska. Ale i oni, mimo że nie pracowali fizycznie, zobowiązani byli do dyżurów w kibucowej kuchni czy pralni.

W żydowskiej komunie nie istniała własność prywatna. Nawet ubrania, w tym bielizna, należały do wszystkich, podobnie jak prezenty (także ślubne) z zewnątrz, spoza społeczności kibucowej, czy nagrody. Indywidualne odszkodowania niemieckie, przyznane ofiarom nazizmu, przelewane były na wspólny rachunek, tak samo wygrane na loterii - nawet wtedy, gdy los został kupiony za indywidualne kieszonkowe jednego z kibucników. W ustalonym z góry dniu przynosiło się pranie do pralni i pobierało z magazynu czyste, wyprane rzeczy - zwykle praktyczne i „solidne”. Każdy miał określony przydział środków czystości i prawo do otrzymywania najpotrzebniejszych przedmiotów codziennego użytku. Dodatkowe zakupy zawsze musiały być zatwierdzone przez specjalną komisję. Kibuce posiadały samochody, z których można było korzystać, jeśli otrzymało się pozwolenie.

Życie kibucowe zostało dokładnie rozpisane w szczegółowym harmonogramie co do

ilości pracy, czasu potrzebnego do jej wykonania i ideologicznego znaczenia. Regulowały je regulaminy, wytyczne, decyzje sekretarza kibucu i demokratyczne głosowania przeprowadzane na ciągnących się godzinami posiedzeniach. Ważne było dobro ogółu - jednostka musiała podporządkować się grupie. Także decyzje o tym, kto i gdzie podejmie studia, zależały od oceny przydatności przyszłego zawodu i od zgody kibucu.

Dzieci, w myśl zasady, że są one własnością ogółu, oddzielano od rodziców i umieszczano w przeznaczonych dla nich domach, aby móc kolektywnie i funkcjonalnie wychowywać potomstwo. Dziewczynki i chłopcy przebywali w tych domach i mieszkali razem, począwszy od okresu niemowlęcego aż po dorosłość, i widywali rodziców, zwykle przez godzinę i pięćdziesiąt minut, tylko raz dziennie. Jak w fabryce lub zakładzie karnym, dokładnie o tej samej porze matki przychodziły karmić niemowlaki, a potem zostawiały je pod opieką nianiek. Dzieci na komendę załatwiać musiały potrzeby fizjologiczne, nieudolnie próbując podporządkować pęcherz ustalonym z góry godzinom (wśród dzieci kibucowych występowało często trwające do dziesiątego roku życia, a nawet dłużej, nocne moczenie się). Dorośli mieli zakaz częstowania cukierkami nie z powodu troski o dietę czy zdrowe zęby, ale po to, by nie stwarzać okazji do nawiązania niechcianej więzi między rodzicami a ich potomstwem. W niektórych kibucach pieszczoty były uznawane za burżuazyjny przeżytek, podobnie jak mówienie o dzieciach „moja córka” czy „mój syn” lub zwracanie się do rodziców „mamo”, „tato”. Było przyjęte, że dzieci mówiły rodzicom po imieniu.

Posiłki jadały wspólnie w swoim domu. Nie było dorosłego, który pokazałby, jak trzyma się prawidłowo nóż i widelec (podobno do dzisiaj po nieporadnym sposobie używania sztucców można bezbłędnie rozpoznać kibucnika), i żadne dziecko nigdy nie doświadczyło, jak to jest wspólnie z mamą przygotowywać posiłek czy robić zakupy na rodzinną kolację. Życie w zbiorowych pokojach, bez szansy na odpoczynek od obecności innych, stanowiło regułę, podobnie jak zawsze otwarte na oścież drzwi i identyczne ubrania, które nosiło się na zmianę z innymi dziećmi. Dziewczynki i chłopcy do dwunastego, trzynastego roku życia korzystali z tych samych łazienek, ubikacji i pryszniców i aż do czasu pójścia do wojska, czyli do osiemnastego roku życia, sypiali we wspólnych cztero-, sześćoosobowych pokojach, wcielając w życie program pozbywania się wstydu związanego z odrębnością płci.

Dla wielu dorosłych wspomnienia z dzieciństwa bez rodziców okazały się traumatyczne. Mimo to liczni kibucnicy opowiadają o swojej młodości w syjonistycznej komunie jako o „fascynującej przygodzie” i uważają dzieciństwo spędzone w kibucu za szczęśliwe.

Żydowska utopia

Byłam nieufna wobec wspólnoty, do której dobrowolnie należało wielu Izraelczyków, mnie kojarzącej się z kołchozami i nadużyciami znanego mi z Polski socjalizmu. Musiałam jednak przyznać, że kibuc, zrealizowane żydowskie marzenie o syjonistycznej komunie: domy tonące w zieleni, grupa przyjaciół troszcząca się o siebie, pracująca na roli, wychowująca dzieci i bawiąca się wspólnie; porządek wyznaczony rytmem natury, równy podział obowiązków i dóbr, wieczory spędzane przy ognisku; prostota, równość, emancypacja; życie w zwolnionym tempie bez kart kredytowych i centrów handlowych; szczęśliwe dzieci biegające po łąkach; poczucie wspólnoty i bezpieczeństwa, więcej miało wspólnego z idealistycznym rodzajem utopii w znaczeniu dobrego miejsca niż z miejscem, którego nie ma. Goszcząc wielokrotnie w różnych kibucach zarabiających na wynajmowaniu noclegów turystom, nie mogłam zaprzeczyć, że to, co obserwowałam z boku: domy nieoddzielone płotami od sąsiadów, niezatłoczony basen i boisko czekające na graczy, bezpłatne kółka zainteresowań, szkoły z klasami o niewielkiej liczbie uczniów i dobrym poziomie nauczania, bezkresne pola do zabawy i spacerów, wrażenie bycia częścią wspólnoty - wszystko to bardzo mi się podobało. Nigdy jednak na stałe nie mieszkałam w kibucu i być może upiększałam go w wyobraźni, sięgając po obrazki z własnego dzieciństwa na polskiej wsi, sceny z literatury i wspomnienia obozów harcerskich w górach. Nie wiedziałam tak naprawdę, co kryje się za niezamykanymi na klucz drzwiami wspólnych domów. Mnie kibuc kojarzył się z piątkowym wyjazdem i pełnym wiejskich smakołyków wiklinowym koszem, przykrytym biało-niebieskim obrusem, i interesował głównie jako unikatowy obiekt socjologiczny.

Żyłam w Izraelu bez krewnych, zaprzyjaźniłam się z niewieloma ludźmi, więc z zazdrością patrzyłam na tych, którzy potrafili wieść życie w grupie i czuć się niezbędną częścią całości. Moi znajomi z pracy, najlepszy przyjaciel męża, koledzy mojego syna z wojska pochodzili właśnie z kibuców i okres przed osiedleniem się w mieście wspominali z nostalgią. Część z nich z chęcią wróciłaby do dawnego życia we wspólnocie, a część zdecydowanie nie. Dlaczego?

Fabi

- Znasz ten kawał o trzech dziewczynach z kibucu podglądających mężczyzn w

kibucowej łaźni?

- O tym, jak jedna z kobiet zaglądnąca przez szparę w drzwiach, widząc mężczyznę od pasa w dół, stwierdza z przekonaniem: „to nie mój mąż”? Na co jej koleżanka dodaje: „faktycznie, nie twój!”. Trzecia zaś przesądza sprawę: „dziewczyny, on w ogóle nie jest z naszego kibucu!”.

- No tak, ten. Sama widzisz, że kibuc to raj! - stwierdził kategorycznie Fabi, najlepszy przyjaciel Ejala, z którym mój mąż odbywał służbę wojskową i przez lata jeździł raz w roku na miesiąc ćwiczeń służby rezerwy.

Fabi, Argentyńczyk z pochodzenia, mieszkający obecnie w dwustupięćdziesiątysięcznym mieście Riszon Le Syjon nie przepuszczał okazji, by opowiadać o wizytach u rodziców i swoich podbojach miłosnych w kibucu na północy Izraela. Jego żona Eliszewa przed ślubem postawiła tylko jeden warunek: nigdy nie wyprowadzą się z miasta!

„Mieszkasz z kuplami, których znasz, od kiedy chodziłeś z pieluchą pomiędzy nogami” - opowiadał z entuzjazmem w głosie Fabi.

Nikt cię nie sprawdza, nikt ci nie gędzi, robisz imprezy ze Szwedkami mdlejącymi na widok ciemnych chłopaków i niemającymi nic przeciwko rozbieranemu pokerowi, poznajesz młodych ludzi z całego świata, bo ci przyjeżdżają do kibuców, by poznać uroki życia w izraelskiej komunie i w zamian za mieszkanie oraz jedzenie ochotniczo popracować przez kilka miesięcy. Masz przygotowane jedzenie, odnosisz ciuchy do pralni i nie martwisz się o to, czy wystarczy ci kasy, by zaprosić babkę do lokalu, bo go w kibucu nie ma. Idziecie więc tam, gdzie chodzą wszyscy: do stołówki przystrojonej na weekend czy w święta balonami albo do sali z barkiem udającej pub i masz dużo czasu i miejsca na zabawę we dwoje... Kibuc jest super, o ile nie wyłamujesz się i nie jesteś jednym z *chewre*[85]. U nas, w Emek Israel, był taki jeden, „socjomat”, wszyscy go tępil. Dziwiłem się, jak on to znosi i nie zabierają go do czubków. Jak dzisiaj o nim myślę, to wiem, że musiał być z niego twardziel... bo inaczej jak by wytrzymał? No, ale nam wtedy wydawał się mięczakiem. Wiesz... w kibucu rączka rączkę myje, a on odstawał i nigdy nie było wiadomo, czy jest za czy przeciw. Miałem kolegów, którzy włamywali się do kibucowych samochodów i jeździli nimi po nocach. Dlaczego? Ot tak, dla zabawy, było to łatwe, nikt ich nie sprawdzał, chcieli pokazać innym, jacy z nich chojracy. Nam się wtedy wydawało, że świat to taki jeden wielki kibuc i należy do wszystkich. Czasami myśląc o tamtych czasach, wkurzam się, że na tyle nam pozwalano. Rozumiesz, nie było dyscypliny, każdy robił, co chciał.

Pamiętam dzień w wojsku, kiedy powiedziano mi, że mój żołd nie będzie już

wysyłany do mojego kibucu, bo to już nie komuna, i muszę otworzyć sobie rachunek w banku na własne nazwisko. Byłem w szoku! A potem pojechałem do rodziców i chciałem przynieść ze stołówki kilka sznyci z pitą i hummusem dla kumpli, którzy u mnie spali, a wtedy powiedziano mi, że muszę za wszystko zapłacić. Zapłacić!!! Dopiero wtedy zrozumiałem, dlaczego nagle stołówka wydała mi się jakaś taka dziwna. Wyobrażasz to sobie?! Stołówka kibucowa, którą w kibucowym przedszkolu porównywaliśmy do ula pełnego pszczół, nagle była cicha. Dla mnie - to był symbol końca.

Igal

Nie wiedziałam, jak ma na imię, choć spotykałam go regularnie od dwóch lat koło mojego domu. Rozpoznawałam go dzięki przywieszanej do niego na stałe smyczy z psem na jej końcu. Znałam, o ironio!, imię jego wilczura, wiek, rodzaj karmy, jaką lubił, nazwisko weterynarza, u którego był szczepiony, i wiedziałam nawet to, że kiedyś uciekł z domu (pies, nie on) i nie wracał przez trzy dni. O właścicielu wiedziałam tylko to, że był sympatycznym trzydziestoczteroletnim nauczycielem. Niedawno został ojcem Sziry i od tamtego momentu przychodził do dzielnicowego parku z nosidełkiem i stał się bardziej skory do rozmowy o sobie. Igal - tak miał na imię - pochodził z kibucu w Zachodniej Galilei, gdzie spędził swoje, jak to określił, „idealne dzieciństwo”.

W kibucu żyło jakieś pięćset osób, ale nigdy nie było się samemu i zawsze coś się działo. Byliśmy dumni z jedynej w kraju kwadratowej mozaiki w stylu bizantyjskim i drewnianej wieży z czasów chaluców, której wszyscy nam zazdrościli. Tylko pięcioro dzieci (do tej pory pamiętam ich imiona) urodziło się w tym samym roku co ja. Nie otworzono specjalnie dla nas pierwszej klasy, tylko zostawiono nas na dodatkowy rok w przedszkolu, byśmy do szkoły mogli pójść w większej grupie, z młodszymi o rok kolegami. Nikt się przez to nie zaczął jękać i nie był opóźniony w rozwoju ani nie został wysłany na terapię psychologiczną i nie pisano też z tego powodu skarg do Ministerstwa Oświaty. W tamtych czasach dzieci krzyczały, biegały, bawiły się razem, tak jak powinny to robić dzieci. Nie uczyliśmy się angielskiego w wieku pięciu lat, ale też nie spędzaliśmy czasu przed telewizorem.

Moimi kolegami byli wszyscy chłopcy w kibucu, a koleżankami wszystkie dziewczyny. Razem zrywaliśmy banany i cytrusy, uczyliśmy się piosenek i ról w przedstawieniach, grali w siatkówkę, mieli dyżury w kurniku i w kuchni, podpatrywali Libańczyków w oddalonej od nas zaledwie o kilka kilometrów arabskiej wiosce

Alma-a-Shaab. Mieliśmy tysiące pomysłów, jak ciekawie przeżyć dzień. Dzisiaj żal mi moich uczniów spędzających cały wolny czas na grach komputerowych. Oni nawet nie mają pojęcia, jakie fantastyczne dzieciństwo mogliby mieć, gdyby nie mieszkali w mieście!

W kibucu nie było ogrodzeń, zamkniętych bram, prywatnych działek. Zналиśmy wszystkich kibucników i nas znali wszyscy. Psy były nasze wspólne. Bawiliśmy się z nimi i otaczali je opieką. One i dzieci wałęsały się razem po całym terenie kibucu niezatrzymywane przez nikogo. Mogliśmy wejść do każdego domu, gdybyśmy chcieli, i wszędzie bylibyśmy przyjęci jak swoi. Wydawało mi się wtedy, że ludzie różnią się pomiędzy sobą tylko wyglądem.

Igal opowiadał, konsekwentnie używając liczby mnogiej, jak gdyby zapomniał o istnieniu pojedynczej.

Zwierzęta znaleźliśmy, bo codziennie obserwowaliśmy je i opiekowaliśmy się nimi, a nie tylko czytali o nich w podręcznikach. Od najmłodszych lat potrafiliśmy rozpalić ognisko, pomalować płot, przybić gwoździ, znaleźć gniazda dzikich ptaków. Dzisiaj moi wychowani w mieście koledzy dopytują się: ile dałeś za zainstalowanie zraszaczy trawy w ogrodzie? Kto założył ci elektrykę w domu? A kto posadził drzewa i zrobił gipsowe nisze? Skąd wiedziałeś, że ten pies ma problem z zębami? Dla mnie to dziwne pytania. Ja wszystko robię w domu sam. Nie tylko potrafię coś zainstalować, naprawić, złożyć, pomalować, odremontować, ale sprawia mi to przyjemność. Poza tym szkoda mi wydawać pieniądze po to, żeby ktoś zrobił za mnie coś, co mogę zrobić sam.

Czy chciałbym wrócić do kibucu? Pewnie, że tak! Szira miałaby tam najlepsze dzieciństwo, jakie można sobie wyobrazić. Ale wolałbym, by kibuce były takie jak kiedyś, mniej nastawione na zyski i zarabianie pieniędzy. Dzisiaj prawie już takich nie ma. Kapitalizm je zwyciężył. Nierentowne kibuce, tonące w długach, żyjące tylko z tego, co daje ziemia, sprywatyzowano, a te nieliczne, które nadal są spółdzielniami, przeważnie są za bogate, żeby się dzielić zyskami, i nie przyjmują nowych członków, bo po co im oni? Ludzie z zewnątrz przyszli do kibuców nie po to, by w nich żyć, ale po to, by je modyfikować, czyli zarabiać na nich i nie troszczyć się o ideały. To już nie kibuc. To moszawa, po prostu wioska, w której każdy pracuje dla siebie, zamyka się we własnym domu, posyła dzieci do przedszkola czy szkoły i musi głowić się, co z nimi zrobić, kiedy pracuje poza kibucem - oczywiście o ile uda mu się tę pracę zdobyć.

W moim kibucu są teraz dwie nowoczesne firmy przemysłowe, produkują opłacalne soczewki kontaktowe, mają okna pokryte poliestrową warstwą ochronną i jakieś cyfrowe urządzenia medialne czy coś takiego. Banany z pól zbierają wynajęci za grosze Tajlandczycy

albo Chińczycy, którzy zajmują się kuchnią i wykonują prace remontowo-budowlane.

Mimo to myślę, że przyszłość mojej rodziny jest w kibucu. Nadal żyje się tam mniej stresująco i pozwala dziecku rosnać wśród prawdziwych, a nie wirtualnych dzieci. Tylko czy mnie przyjmą z powrotem? Teraz to już kwestia pieniędzy, a nie ideologii.

Oren

Oren, ilustrator, z którym pracowałam, kiedyś opowiedział mi o sobie.

Marzenie mojego dzieciństwa o mieście, które dla mnie było symbolem nieskończonych możliwości, spełniło się po odświeżeniu służby wojskowej w Nahal[86]. Wraz z kibucowymi kolegami wynająłem dwupokojowe mieszkanie na ulicy King George, w samym centrum Tel Awiwu. W dzień i w nocy słyszałem pod moim oknem przejeżdżające bez przerwy samochody i ich obecność stanowiła dowód na to, że nareszcie dotarłem do miejsca, gdzie coś się dzieje. Byłem szczęśliwy, że nic nie przypomina mi odgłosów kibucowego kurnika, i w środku nocy wychodziłem, by poderwać jakąś dziewczynę w barze, a przy okazji przekąsić coś w jednym z otwartych do późna lokali na mojej ulicy. Kiedy wychodziłem w noc, za każdym razem zaskakiwały mnie tętniące życiem telawiwskie ulice. Dziwiła mnie mnogość ludzi siedzących nocą w kawiarniach i z zafascynowaniem śledziłem życie w miejskich teatrach, klubach czy pubach. W mieście uwolniłem się od martwoty ciszy kibucowej i powtarzalności tych samych znajomych twarzy, porozumiewawczych spojrzeń mówiących: „Ja cię dobrze znam! Wiem, czym jesteś synem, co robi twój ojciec, czym martwi się twoja matka, jak ma na imię twój brat i dziewczyna, którą pocałowałeś wczoraj wieczorem koło stołówki.

Przez całe moje życie byłem częścią grupy. Nie potrafiłem zrozumieć moich miejskich kolegów opowiadających o „trudnościach w przystosowaniu się do mieszkania z kimś obcym” ani odzwyczaić się od tego, że orzeszki należą do ludzi siedzących obok mnie przy barze w pubie, a nie do mnie i wszystkich innych, tak jak na kibucowych imprezach, gdzie za darmo rozdzielano każdemu *beigale*[87]. Do tej pory dziwi mnie używanie słowa „moje” zamiast „nasze”, a każde załatwianie spraw w urzędzie - począwszy od uiszczenia różnego rodzaju opłat, załatwienie książeczki czekowej czy karty kredytowej, po znalezienie pracy - było dla mnie kompletnie nowym doświadczeniem. Musiałem nauczyć się parkowania na minimalnej powierzchni i przyzwyczaić do korków.

Uwielbiam Tel Awiw, ale nie wyobrażam sobie, że mógłbym założyć rodzinę i wychować tu dzieci. Nadal jedynym właściwym do tego miejscem wydaje mi się kibuc, mimo

że nie wyobrażam sobie także, że mógłbym do niego wrócić i o godzinie czwartej rano zrywać z drzew awokado. Rozumiesz teraz, dlaczego mam trzydzieści sześć lat, nadal jestem kawalerem i nie mieszkam w kibucu?

Utopia, która zrodziła Izrael

Kibuce odniosły sukces, przetrwały dziesiątki lat i nadal istnieją w swej socjalistycznej formule, choć dramatycznie zmniejszyła się ich liczba. Są tacy, którzy twierdzą, że powstanie kibuców mogło się zdarzyć wyłącznie w społeczności żydowskiej: solidarnej, gdzie jeden troszczy się o drugiego, zorganizowanej w gminach żydowskich, mającej za sobą wspólne mieszkanie w gettach i okres ciężkich prześladowań. Według socjologa z Uniwersytetu Stanforda Seymoura Martina Lipseta i europejskiego historyka Petera Pulzera idee socjalizmu i komunizmu zyskały wśród Żydów szczególną popularność, ponieważ były „sposobem na ucieczkę od judaizmu i na asymilację w uniwersalnym świecie nieżydowskim”[88].

Izrael ma do zawdzięczenia kibucowi przygotowanie terenu dla istnienia państwa żydowskiego: zagospodarowanie ziemi pod uprawę i rozwój przemysłu. Pionierzy - młodzi, solidarni, entuzjastycznie nastawieni do idei powstania państwa, zorganizowani i przyzwyczajeni do wspólnego trudu - poświęcili swoje życie osobiste i wygodę, oddali wszystkie swoje siły i zdolności w służbie dla przyszłego narodu izraelskiego. Byli oni jedyną grupą będącą w stanie sprostać obronie państwa żydowskiego. Wychowani na idei syjonizmu, przyzwyczajeni do przebywania i współdziałania w grupie, podporządkowujący swoje indywidualne potrzeby kolektywowi, karni i potrafiący z łatwością przyzwyczać się do polowych warunków przez długie lata masowo zaciągali się do izraelskiego wojska. Walcząc we wszystkich wojnach w czołówce oddziałów bojowych, stali się jego elitą. W 2006 roku siedemdziesiąt pięć procent pilotów izraelskich wywodziło się z kibuców.

Współcześnie jednak młodzi ludzie decydują się na powrót do kibucu nie po to, by propagować utopijne idee. Jedni chcą mieć szansę otrzymania ziemi, która zyskała na wartości, od kiedy zaczęto ją rozdzielać pomiędzy członków wspólnoty. Innych pociąga rentowność niektórych przedsiębiorstw kibucowych, co daje nadzieję, że można tu będzie żyć lepiej i zarazem taniej. Przede wszystkim wracają jednak dla dzieci, aby wychowywały się na łonie natury, w spokojniejszym i bezpieczniejszym środowisku niż miejskie, i mogły korzystać z lepszej bazy edukacyjnej. W erze racjonalizmu ekonomicznego czas izraelskiego idealizmu dobiega końca. Choć niejednemu łąza się kręci w oku z tęsknoty za epoką, w której

„ja” oznaczało „my” i wierzyło się w ideały.

To mógł być mój syn

W pierwszym odruchu tuż po przebudzeniu mój mąż sięgnął po pilota. Włączył telewizor. Oboje jak zahipnotyzowani wpatrywaliśmy się w ekran przez jakąś godzinę, a potem Ejaj pojechał do pracy. Przez cały dzień próbował połączyć załatwianie spraw zawodowych z oglądaniem transmisji telewizyjnej. Nie za bardzo mu się to udawało. Nikt zresztą w jego dziale nie potrafił tego dnia pracować. Komputery wszystkich nastawione były na wiadomości telewizyjne. W rozgardiaszu komentarzy, odgłosów radości, klaskania, wymieniania uwag nie było nikogo, kto miałby na tyle silną wolę, by oderwać się od ekranu.

- Jest! - Ejaj krzyczał do słuchawki telefonu, jakby obwieszczał mi, że wskazówki zegara dosięgły właśnie północy i rozpoczął się Nowy Rok. - Wypuścili go!!! Pokazują Gilada w telewizji, zobacz!

Mój mąż nie musiał mi tego mówić. Telewizor w naszym mieszkaniu włączony był od samego rana. Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym przegapić moment, kiedy nareszcie zobaczę Gilada całego i zdrowego. Orna, pracownica mojego męża, dowiedziawszy się nagle o tym, że Gilad wraca do domu, odwołała swój urlop za granicą, by na żywo zobaczyć to, na co cały Izrael czekał od ponad pięciu lat, a właściwie od tysiąca dziewięciuset czterdziestu jeden dni i nocy, bo w sytuacji tego niespełna dwudziestosześcioletniego chłopaka każda godzina, każdy dzień i każdy miesiąc miał istotne znaczenie i stał się sprawą narodową.

Gilad Szalit gościł w każdym izraelskim domu prawie codziennie. Powszechnie o nim myślano, mówiono i pisano. Jego twarz znana była każdemu Izraelczykowi z ekranów telewizyjnych, z posterów, koszulek reklamowych, nalepek na samochodach i transparentów na wiecach. Mówili o nim wszyscy: małe dzieci, młodzież i dorośli w każdym wieku. Nie trzeba było zaznaczać, o jakiego Gilada chodzi. Gilad był tylko jeden, choć takie imię nosiło tysiące osób.

Ten wyglądający na piętnastoletniego chłopaka mężczyzna - nieszczególnie atrakcyjny fizycznie, pucułowaty, w okularach, z nieśmiałym uśmiechem, niezbyt pewny siebie, ot, syn sąsiadów ani zamożnych, ani znanych, bez protekcji czy wyjątkowych zdolności - stał się przedmiotem rozmów prezydentów, polityków, pisarzy, ministrów i dziennikarzy. Dla Gilada urządzano marsze, demonstracje, pisano piosenki i zakładano witryny internetowe. Większość rodzin w Izraelu adoptowała go emocjonalnie i przez

pryzmat tego, co mu się przydarzyło, patrzyła na własne dzieci i państwo, w którym mieszkała. Był najbardziej znanym Izraelczykiem.

Historia Gilada Szalita mogłaby być pasjonującym scenariuszem hollywoodzkiego filmu sensacyjnego z happy endem. Było w niej wszystko: Noam, ojciec, obywatel Izraela i Francji, inżynier, były spadochroniarz; stryj, brat bliźniak ojca i bohater poległy w wojnie Jom Kippur; rodzeństwo - Joel i Hadas; matka o smutnej i zmęczonej twarzy; wielka polityka i jeden z najważniejszych współczesnych konfliktów zbrojnych; doniosłe dylematy etyczno-moralne; miłość i nienawiść, śmierć i życie, wojna i pokój.

Porwanie

Do 2006 roku Gilad wyróżniał się w liceum w Micpe Hila, swojej rodzinnej miejscowości, jedynie szczególnymi uzdolnieniami matematyczno-fizycznymi. Zgodnie z obowiązującym nakazem służby wojskowej z dnia na dzień z osoby prywatnej - syna, brata, kolegi - stał się częścią społeczności w mundurach, spłacającej dług wobec Państwa Izraela. Nieśmiały chłopak przemienił się w nieśmiałego żołnierza, tak jak inni wykonującego rozkazy swoich dowódców. Służbę odbywał w 71. Batalionie Korpusu Pancernego 188. Dywizji.

W czerwcowy niedzielny poranek 2006 roku, o piątej rano, tuż przed wschodem słońca, niedaleko izraelskiego posterunku, gdzie stał czołg Gilada, rozpoczął się ostrzał rakietowy kibucu Kerem Szalom na południu Izraela, tuż przy granicy z Autonomią Palestyńską. Kiedy ustał, Palestyńczycy, którym udało się wejść na teren Izraela wiodącym ze Strefy Gazy trzystumetrowym podziemnym tunelem, zaatakowali izraelskie pozycje w trzech punktach: w miejscu ustawienia czołgu atrapy, w punkcie obserwacyjnym Desert Patrol, batalionu piechoty składającego się głównie z Beduinów, oraz na wzgórku, gdzie zajął pozycję obserwacyjną izraelski czołg. Siedmiu bojowników Hamasu wystrzeliło przeciwpancerny pocisk kierowany, który trafił w czołg Gilada i wywołał w nim pożar. Próbujący wydostać się na zewnątrz dowódca i żołnierz zostali zastrzeleni, do wnętrza czołgu, w którym pozostał zaklinowany ranny kierowca, wrzucono granaty ręczne, a Gilad, lekko ranny, uprowadzony został do niewoli. Miał wtedy niecałe dwadzieścia jeden lat. Planowany przez dwa miesiące i trwający dwadzieścia jeden minut atak terrorystyczny przesądził o ponad pięcioletniej niewoli i zjednoczył w walce o uwolnienie więźnia całe społeczeństwo, a także stał się bezpośrednią przyczyną operacji wojskowej *Giszmej kajc* (*Letnie deszcze*), trwającej z przerwami pięć miesięcy, w trakcie której Gaza została

zbombardowana z powietrza i morza. W jej ramach izraelskie wojska zniszczyły jedyną elektrownię w Strefie Gazy, pozbawiając prądu większość mieszkańców. Wyszadzano w powietrze palestyńskie mosty, tunele podziemne prowadzące na teren Izraela, magazyny z bronią, Uniwersytet Islamski w Gazie i ogłoszono blokadę morską Autonomii Palestyńskiej. Wskutek bombardowania i podkładania bomb, w potyczkach zbrojnych oddziałów pancernych i piechoty, które weszły na teren Gazy w poszukiwaniu Szalita, terrorystów i broni, według oficjalnych źródeł izraelskich zginęło: dwustu siedemdziesięciu bojowników organizacji islamskich, trzech żołnierzy izraelskich; stu szesnastu cywilów palestyńskich i dwóch izraelskich. Raniono: tysiąc Palestyńczyków i sześćdziesięciu jeden Izraelczyków (trzydziestu trzech cywilów i dwudziestu ośmiu żołnierzy) oraz aresztowano dziesiątki przywódców Hamasu na Zachodnim Brzegu, w tym dwudziestu posłów palestyńskiego parlamentu i ośmiu ministrów w rządzie Autonomii Palestyńskiej.

Gilad, napomykając ojcu po uwolnieniu z niewoli o pierwszym roku uwięzienia w złych warunkach, wspominał, że słyszał wybuchy bomb i strzelaninę tuż obok miejsca, gdzie go więziono. Izraelskiej publiczności nie przekazano, co w tamtej chwili czuł i o czym myślał. Nie zdziwiłabym się, gdyby przypomniał sobie wtedy innego izraelskiego żołnierza, Nachszona Waksmana. Waksman 9 października 1994 roku, chcąc jak najszybciej wrócić z placówki wojskowej do domu, wsiadł do samochodu, którym jechali czterej mężczyźni w szydełkowych kipach, wyglądający na typowych izraelskich osadników z Terytoriów Okupowanych. Jak się okazało, byli oni członkami organizacji Hamas, tej samej, która więziła Gilada. W opublikowanym przez zamaskowanych terrorystów filmie wideo Nachszon pokazał izraelską książeczkę wojskową i przeczytał wydany na niego wyrok śmierci. Wyrok miał zostać wykonany, jeżeli Izrael nie uwolni Ahmada Yassina, duchowego przywódcy zbrojnej organizacji Hamas, i czterystu więźniów, działaczy Hamasu, przetrzymywanych w izraelskich więzieniach. Film nakręcony przez porywaczy oglądano wtedy w wielu izraelskich domach, komentowano szeroko w telewizji, prasie i na ulicy. Wielokrotnie przy różnych okazjach do niego później wracano. Nie jestem pewna, czy Gilad pamiętał, co dalej stało się z izraelskim żołnierzem podczas próby odbicia go, przeprowadzonej przez elitarne izraelskie komando. Mam nadzieję, że szczegóły opublikowane przez byłego szefa Szabaku, Służby Bezpieczeństwa Ogólnego, Karmiego Gilona, nie były mu znane: kiedy izraelscy żołnierze próbowali wysadzić drzwi domu, w którym na drugim piętrze więziony był Waksman, Palestyńczycy oddali do jeńca siedem strzałów - jedna kula trafiła w głowę, sześć w pierś, zabijając go na miejscu. Razem z nim śmierć poniósł jeden komandos, siedmiu innych zostało rannych.

„Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”

Osiemnastego października 2011 roku Gilad Szalit wrócił do domu cały i zdrowy. Ceną za jego wolność było zwolnienie tysiąca dwudziestu siedmiu więźniów arabskich, w tym odsiadujących karę w izraelskim więzieniu zabójców Nachszona Waksmana, którego rodzina poparła tę transakcję. Ale po to, żeby mogło do niej dojść, potrzebne były lata rozmów dyplomatycznych na najwyższym szczeblu inicjowane przez Egipt, Francję, Parlament Europejski, polityków i ludzi biznesu. Pochodząca z Francji rodzina Szalita zaskarżyła porywaczy w sądzie cywilnym w Paryżu. Izraelski rząd powołał specjalnego przedstawiciela do sprawy uwolnienia Szalita. Izraelska organizacja Le'chofesz nolad (hebr.), Urodzony dla Wolności, działająca na rzecz wspierania i przyśpieszania uwolnienia jeńców oraz zaginionych żołnierzy izraelskich, zaoferowała nagrodę w wysokości dziesięciu milionów dolarów za informacje, które pomogłyby w doprowadzeniu do tego uwolnienia.

Na znak poparcia dla rodziny Szalita walczącej o uwolnienie syna Izraelczycy wiązali żółte wstążki na samochodach, chodzili w białych koszulkach z jego podobizną, a także w liczbie dwustu tysięcy wzięli udział w pięciodniowym marszu z Micpe Hila do Jerozolimy. Kiedy Awiwa, matka Szalita, Noam, jego ojciec, i brat Joel symbolicznie skuci łańcuchami siedzieli przed domem premiera Izraela, Izraelczycy byli tam z nimi duchem i ciałem, tak samo jak w namiocie na wprost domu Beniamina Netanjahu, gdzie rodzina Gilada mieszkała przez ponad rok.

Z inicjatywy Kobi Sidi w marcu 2010 roku tysiące Izraelczyków, wyrażając swoje poparcie dla uwolnienia Szalita, na pięć minut zaprzestało wszelkiej działalności i zablokowało stacje paliw na trasie do Autonomii Palestyńskiej oraz uniemożliwiło samochodom ciężarowym wjazd do Autonomii Palestyńskiej. W piątą rocznicę porwania dziesiątki aktorów, piosenkarzy i artystów protestowało w imieniu swego środowiska, zamykając się w małych pomieszczeniach symbolizujących cele więzienne. Dziennikarze nie przestawali o nim pisać i robić reportaży z akcji popierających uwolnienie Szalita.

Podobizny Gilada rozplakatowano w supermarketach, na koncertach muzycznych, na Facebooku, przynoszono je na wiece. Izraelczycy rano, w dzień i w nocy oglądali zdjęcia Gilada jako małego chłopca i młodzieńca, w mundurze wojskowym i cywilnym ubraniu. Pokazywano go na filmach wideo i zdjęciach zrobionych podczas wycieczek, z kolegami i z rodziną. Szalit był na plakatach wielkich jak budynki mieszkalne i na malutkich naklejkach. Naturalnej wielkości podobizny wycięte z kartonu stały w wielu punktach w kraju.

Akcja ta kojarzyła się z Ronem Aradem, nawigatorem samolotu F-4 Phantom, studentem Inżynierii Chemicznej w Izraelskim Instytucie Technologicznym (Technion) w Hajfie, mężem i ojcem, który w 1986 roku, kiedy samolot uległ rozbiciu, został schwytany przez szyickich bojowników w Libanie. Także jego wizerunek towarzyszył Izraelczykom przez całe lata na ulicach miast i wsi. Plakaty z jego podobizną i podpisem: „Ron Arad urodził się wolny”, wisiały w wielu izraelskich domach. Arad, więziony w Libanie, najprawdopodobniej zginął w 1995 roku, kiedy to - według oficjalnej informacji organizacji Hezbollah - „spadł z klifu podczas próby ucieczki, a jego ciała nie udało się odszukać”.

Izraelczycy nie zamierzali pozwolić, by Gilada spotkało to samo.

Ołowiany żołnierz

Kiedy zobaczyłam w kadrze telewizora wychudzonego chłopaczka, ostrzyżonego na krótko maszynką do włosów, w chłpięcej koszuli w drobną niebieską kratkę z granatowym kołnierzykiem obrysowanym białą lamówką, podtrzymywanego z obu stron przez arabskich bojowników, otoczonego kilkudziesięciu roslymi, dojrzałymi mężczyznami z gotowymi do strzału automatami, poczułam gęsią skórkę na całym ciele. Gilad pozbawiony okularów, które dawno mu zabrano, patrzył w dół. Był bardzo poważny. Chyba nadal się bał. Wśród natłoku uzbrojonych mężczyzn wyglądał jeszcze bardziej dziecięco. Nie przypuszczałam, że aż tak będę wzruszona.

W następnej scenie transmisji na żywo, o bardzo złej jakości, Gilad udzielał pirackiego, nieprzewidzianego i nieustalonego przez nikogo wywiadu egipskiej dziennikarce. Uciekał wzrokiem na boki. Ważył każde słowo i nad każdym namyślał się, jakby miał problemy z przypomnieniem sobie ojczystego języka. Jego oddech, przyśpieszony i ciężki, trudno było ukryć. Kiedy odpowiadał na podchwytliwe pytania, koszula na piersi podnosiła się i opadała. W pewnej chwili zmarszczył czoło i przez kilka sekund spoglądał w górę, jakby się modlił, żeby pytania wreszcie się skończyły.

Czy w tamtej chwili zdawał sobie sprawę z tego, że tuż za jego plecami stał uzbrojony żołnierz z twarzą zasłoniętą zieloną chustą?

Gilad mówił o tym, że źle się czuł wystawiony pierwszy raz od ponad pięciu lat, na światło dzienne, wśród wielu ludzi. Widzowie wyraźnie czuli jego emocje i wzruszali się mimowolnym uśmiechem pojawiającym się na jego twarzy w chwili szczególnego skrępowania. Dla mnie wymowniejszy od słów był ruch na obrotowym krześle, na którym wtedy, gdy pytania stawały się intymne, lekko się obracał, jak mają w zwyczaju dzieci, po

czym usztywniony, zastygał. Pomyślałam, że ja pewnie nie wytrzymałabym napięcia. Rozpłakałam się z nadmiaru emocji albo zaczęła krzyczeć z nerwów. On był spokojny. Także wtedy, kiedy przeszedł już ze strony egipskiej na izraelską i znów siedział na krześle z nieruchomymi dłońmi przyciśniętymi do ud. Tuż przy nim przycupnęło dwóch izraelskich generałów, a trzeci stał pochylony nad nim, delikatnie go dotykając. Wyglądali jakby pochylali się nad małym chłopczykiem.

Cztery schodki prowadzące w dół z hangaru, gdzie po badaniach lekarskich przemienił się z cywila w żołnierza, pokonał z trudem, trzymając się poręczy i lekarza. W tamtej chwili dla wielu ludzi z wracającego do domu dziecka stał się powracającym z niewoli żołnierzem. Ja jednak, mimo świeżo odprasowanego munduru, nie potrafiłam zobaczyć w Giladzie bohatera wojennego ani postaci na miarę sensacyjnych filmów. Nadal miałam przed sobą chłopaka, którego chciałabym wycalować, objąć i przytulić. Budził we mnie, podobnie jak w innych Izraelczykach oglądających go w każdym miejscu w kraju, nawet w sklepach z telewizorami czy na stacjach benzynowych, rodzicielskie uczucia. Wszystkim nam zdawało się, że znamy Gilada od lat, że chłopak ten rósł na naszych oczach, razem z naszymi dziećmi.

Jego rodzice - ojciec, blondyn z przeredzonymi włosami, niebieskimi oczyma, w okularach, cichy i niezwracający na siebie uwagi, często sprawiający wrażenie zażenowanego, i matka: lekko otyła brunetka bez makijażu, z niedbale związanymi włosami, pozbawiona jakiegokolwiek kobiecej kokieterii, skromna i cicha, z bólem wypisanym na twarzy - budzili moją sympatię i podziw - dla ich miłości, hartu ducha i samozaparcia. Identyfikowałam się z nimi i wydawało mi się, że rozumiałam, co czuli rodzice, którzy nagle stracili syna i za wszelką cenę chcieli go odzyskać. Nie wiem, skąd czerpali tyle siły i nadziei. Przez ostatnie lata potrafili zapukać w sprawie Gilada do wszystkich możliwych drzwi, napisać wszystkie możliwe petycje z prośbą o zwrot syna, i swym uporem, akcjami protestacyjnymi zjednać dla swojej sprawy większość społeczeństwa.

Wszystkim było wiadomo, że ani ich łzy, ani prośby czy naiwne groźby nie wywalczą im powrotu dziecka do domu. Kim oni w końcu byli? Tylko parą zrozpaczonych rodziców walczących o życie syna uwięzionego w odizolowanej kryjówce bez dostępu naturalnego światła, bez jakiegokolwiek możliwości kontaktu z najbliższymi.

Gdyby nie solidarność izraelskiego społeczeństwa, ofiarna praca wielu ludzi, wiążące decyzje polityków i wojskowych, Gilad nadal byłby w niewoli lub nie żył, podobnie jak Ron Arad i Nachszon Waksman czy Ehud Goldwasser i Eldan Regew - zaginieni w 2006 roku żołnierze izraelscy, którzy wrócili w 2008 roku w czarnych trumnach. A i tak trzeba było za to zapłacić uwolnieniem czterech działaczy Hezbollahu, wydaniem ciał stu

dziewięćdziesięciu dziewięciu Libańczyków i Palestyńczyków oraz wypuszczeniem na wolność Samira Kuntara, członka OWP, skazanego w Izraelu na pięciokrotne dożywocie za podwójne zabójstwo cywilów i podwójne zabójstwo policjantów, a także porwanie i próbę zabójstwa.

Ile jest warte życie jednego chłopaka?

„Jak dobrze, że wróciłeś do domu” - słowa powitania premiera rządu, nieformalne, takie, jakie się mówi powracającemu z wyjazdu na wakacje wytęsknionemu synowi - zabrzmiały autentycznie. Nie zawierały cechującego polityków wyrachowania.

Sceny z setkami uzbrojonych żołnierzy pilnujących drogi, którą miał przejeżdżać Gilad - nie widziałam. Za to byłam świadkiem układania białych kwiatów wzdłuż chodników prowadzących do jego domu, w Micpe Hila, małej osadzie w Górnej Galilei liczącej pięćuset pięćdziesięciu mieszkańców (jak się okazało, pomocnych w potrzebie), z widokiem na zalesione góry, znanej mi osobiście.

W czasie kiedy Gilad, obsypany kwiatami, wracał do rodziców, w szpalerze trzymających się za ręce ludzi czekających przez całą noc na możliwość zobaczenia go żywym, tuż przed jego domem nie było prasy, telewizji, sław ani gapiów. Wspaniałomyślnie zdecydowano podarować jemu i jego rodzinie luksus intymności: spokoju bez wywiadów, zdjęć i wścibstwa, mimo że cały kraj niecierpliwie czekał na sensacyjną opowieść o porwaniu, w trakcie którego dwóch kolegów Gilada zginęło, o ciemnej piwnicy czy bunkrze, gdzie był przetrzymywany i o pilnujących go ludziach.

Jaron Trax, właściciel popularnego i prestiżowego telawińskiego klubu muzycznego „The Block” powiedział mi: „Niejednokrotnie mogłem się przekonać, że frekwencja w moim klubie uzależniona jest od polityki. Po uwolnieniu Gilada Szalita dosłownie z dnia na dzień klub wypełnił się do ostatniego miejsca. Przez kilka tygodni prawie codziennie robiliśmy imprezy i w fantastycznej atmosferze euforii zawsze było pełno. Podobnie zresztą jak w innych klubach w całym kraju. Młodzi świętowali wolność Gilada, tak jakby sami ją odzyskali”.

Przez cały rok Gilad nie udzielał wywiadów. Dopiero w październiku 2012 roku Izraelczycy mogli zobaczyć czterdziestominutowy film dokumentalny o narodowym bohaterze, który przeżył niewolę najdłuższą w historii Izraela. Film dokumentalny *Gilad Szalit el mul ha'maclema* (Gilad Szalit przed telewizyjną kamerą), w reżyserii Tal Goren, zgromadził przed ekranami stosunkowo niewielką liczbę publiczności. Nie wyjawiał sekretów,

nie wywołał sensacji, można się było z niego dowiedzieć, że Gilad w niewoli grał w piłkę nożną zrobioną ze skarpet, rysował mapy i wymyślał sobie gry. Tęsknił do komputera, a przejażdżka rowerem była jedną z jego pierwszych czynności po uwolnieniu.

Gilad zdążył już przybrać na wadze, przejść operację usunięcia z łokcia siedmiu odłamków i przyzwyczać się do bycia popularnym. Dzięki jego informacjom wojskowa komisja lekarska opracowuje specjalny program przetrwania w niewoli dla izraelskich żołnierzy. Jego ojciec napisał o synu książkę i rozpoczął nową, polityczną karierę. Nadal jednak, podobnie jak wszyscy, nie wiedział, co czuł jego syn przez ponad pięć lat niewoli - Gilad na razie nie jest w stanie o tym mówić.

Zgodnie z zaleceniem Sztabu Generalnego w sprawie specjalnego traktowania byłych więźniów przebywających w niewoli dłużej niż czternaście dni, Gilad Szalit otrzymał: awans na wyższy stopień, zwolnienie z czynnej służby wojskowej i przeniesienie do rezerwy, odszkodowanie pieniężne, stypendium na naukę, zapłatę za wynajem mieszkania. Zapewniono mu pomoc w znalezieniu pracy i rentę na całe życie, a także pomoc prawną, lekarską i psychologiczną.

Ale jego uwolnienie miało także wielu przeciwników - zarówno wśród rodzin ofiar terroru, jak i polityków. W „Jedijot Achronot”[89] Awi Sagi (profesor filozofii) i Jedidia Stern (profesor prawa) opublikowali esej, w którym podsumowując przyczyny negatywnego stosunku do nieproporcjonalnej wymiany więźniów, napisali:

Tylko wtedy wolno narażać życie jednego człowieka, a nawet wielu ludzi dla uwolnienia więźniów, kiedy stoi za tym racjonalna myśl rozważająca pozytywy i negatywy z punktu widzenia bezpieczeństwa całego narodu.

W Izraelu mimo zasady nienegocjowania z terrorystami od wielu lat dochodzi do uwalniania żołnierzy izraelskich za wszelką cenę. W 1969 roku, po wojnie sześciodniowej, za dwóch pilotów izraelskich zwolniono siedemdziesięciu jeden więźniów egipskich i syryjskich. W 1978 za jednego żołnierza, Awrahama Amrama, wypuszczono siedemdziesięciu sześciu więźniów. W 1985 za trzech żołnierzy - tysiąc stu pięćdziesięciu, a w 2004 za ciała trzech Izraelczyków - czterystu pięćdziesięciu. Nadal w izraelskich więzieniach przetrzymywani są Palestyńczycy, których mógłby wyzwolić następny Gilad. Nadal też są w Izraelu i w Autonomii Palestyńskiej rodzice, którzy swoich dzieci nie zobaczą już nigdy.

Życie Gilada, położone na szali, i wolność tysiąca dwudziestu siedmiu więzionych Palestyńczyków, w tym zamachowców skazanych za zamachy terrorystyczne na ludność cywilną, odpowiedzialnych za śmierć wielu osób, jak się okazało, dla Izraelczyków miało tę

samą wagę - poczucie, że uczynione zostało wszystko, co możliwe, żeby to życie zachować.

Kiedy patrzyłam na wątłą, ufną twarz Gilada, szukałam w niej znaków szczególnego hartu i mądrości, czegoś niezwykłego, co pomogłoby mi lepiej zrozumieć tę wyjątkową cenność. Nie znalazłam. Gilad był zwyczajnym chłopakiem - miał pecha, że urodził się Izraelczykiem, ale i dużo szczęścia, że nim był. Mógł mieć na imię Maciek i być moim synem.

Wieża Babel

Nigdy nie przypuszczałam, że znajomość wyuczonego w czasach socjalizmu pod przymusem języka Sowietów, jak wtedy w Polsce mówiono o rosyjskim, okaże się w Izraelu przydatna do znalezienia pracy i ułatwi mi porozumiewanie się z rosyjskimi emigrantami przybyłymi do Ziemi Obiecanej w tym samym czasie co ja, na początku lat dziewięćdziesiątych. Jak na ironię, licząca ponad dziewięćset tysięcy osób[90] rosyjska fala emigracyjna, która miała stanowić przeciwwagę demograficzną dla trzykrotnie większego wśród muzułmanów niż wśród Żydów przyrostu naturalnego, zmniejszyła udział ludności pochodzenia żydowskiego w całej populacji Izraela. Prawie połowa rosyjskich emigrantów nie uznawała swojej przynależności do narodu żydowskiego[91], a dwieście czterdzieści tysięcy osób (dwadzieścia sześć procent) nie zostało uznanych za Żydów na podstawie halachy. Kontrowersyjne stwierdzenie Eliego Iszaja z partii Szas (ultraortodoksyjni sefardyjczycy), wicepremiera oraz ministra spraw wewnętrznych: „Chcę, żeby nie-Żydów nie było w naszym państwie. Przyjeżdżają goje i budują cerkwie. Niech zostaną w swoich krajach”, stało się manifestem przeciwników rosyjskiej emigracji i odzwierciedleniem poglądów niejednego Izraelczyka. W reakcji na tę niechęć i trudne pod względem ekonomiczno-socjalnym życie w Izraelu prawie dziesięć procent *olim chadaszim*[92], opuściło państwo żydowskie, przy czym połowa z nich wróciła do byłych republik ZSRR. Ci, którzy pozostali, nie czuli szczególnej potrzeby asymilacji i zbudowali sobie w nowej ojczyźnie namiastkę Rosji.

Z sondażu opublikowanego przez CBS w 2013 roku wynika, że około połowa dzieci *olim* z ZSRR w domu mówi wyłącznie po rosyjsku. Mniej więcej połowa dorastającej młodzieży uważa się bardziej za Izraelczyków niż za Rosjan, ponad dwie trzecie chce czynnie bronić Izraela, najchętniej jednak w odrębnych, rosyjskojęzycznych oddziałach[93].

Izraelczycy rosyjskiego pochodzenia nie odczuwają konieczności wyjścia ze swego rodzaju getta, w jakim dobrowolnie się zamknęli. Wychowani w ZSRR skłonni są postrzegać otoczenie jako agresywne i manipulacyjne i za nadrzędną wartość uznawać kameralny, zamknięty krąg rodziny oraz znajomych - „towarzyszy losu” mówiących po rosyjsku - wobec którego należy być lojalnym.

Uważają się za przedstawicieli „ambitniejszej i lepszej, bo czysto europejskiej kultury

rosyjskiej”. „Nie oglądam przedstawień teatralnych w Izraelu”, tłumaczy pochodząca z byłego ZSRR koleżanka z gazety „Haarec”, „bo są na poziomie kołchozowego teatru”. „Grupy baletowe przyjeżdżające do Izraela składają się z drugorzędnych tancerzy, a muzyka, przy jakiej tańczą na małych scenach, jest nieporównywalna do tej granej na żywo przez orkiestrę w naszych wspaniałych teatrach. Z tęsknotą czekam na urlop i wyjazd do Rosji, gdzie naprawdę ma się do czynienia ze Sztuką”.

Bojąc się utraty własnej tożsamości i nie mając zaufania do Izraelczyków innych niż rosyjskojęzyczni, wolą nie łączyć się z nimi w związki małżeńskie. Zakładają rosyjskie prywatne przedszkola, rosyjskojęzyczne kółka zainteresowań, rosyjskie księgarnie, kluby i teatry. Organizują własne kursy szkoleniowe z możliwością zdawania niektórych egzaminów państwowych w języku rosyjskim. Czytają książki po rosyjsku, słuchają własnych programów radiowych, oglądają na kilku kanałach telewizyjnych programy nadawane w języku rosyjskim, podziwiają własnych idoli ze świata muzyki i filmu, często nieznanymi zupełnie poza ich środowiskiem. Kupują produkty spożywcze przeważnie w niekoszernych rosyjskich sklepach i w sieci otwartych w soboty supermarketów Tiv Ta'am z rosyjskimi (choć nie tylko) produktami i rosyjską obsługą. Mają własne sale przyjęć, narodowe restauracje i partie polityczne. Do 18 grudnia 2012 roku mieli również swojego wicepremiera i zarazem ministra spraw zagranicznych w rządzie Beniamina Netanjahu, Awigdora Liebermana, który zrezygnował z pełnienia swoich funkcji na skutek wniesienia przeciwko niemu aktu oskarżenia o oszustwo i naruszenie zaufania.

Ten stan rzeczy nie zrodził się z dnia na dzień na skutek kaprysu czy jakiegoś rosyjskiego spisku. Wyrósł z potrzeby zamanifestowania odmiennych wartości wobec traktowania przybyszy z Rosji jako obywateli drugiej kategorii - wyśmiewanych z powodu śpiewnego akcentu i złego hebrajskiego, oskarżanych o alkoholizm, chuligaństwo, prostytutkę, przynależność do mafii. Rosyjskim Izraelczykom, o ile nie urodzili się oni z matki Żydówki lub nie dokonali aprobowanej przez Naczelnego Rabinat konwersji na judaizm, odmawia się religijnych ślubów i prawa pochówku pomiędzy Żydami na cmentarzach żydowskich. Wyjątku nie robi się nawet dla żołnierzy pochodzenia rosyjskiego zabitych w potyczkach wojskowych czy cywilów ofiar terrorystycznych ataków. Izraelczycy patrzą na nich z wyższością ludzi wykształconych, mówiących płynnie po hebrajsku, dobrze zarabiających na swych posadach. Rosyjscy imigranci, żyjący w trudnych warunkach socjalnych, zmuszeni sytuacją do wykonywania ciężkich prac fizycznych poniżej swoich kwalifikacji, w latach dziewięćdziesiątych otrzymywali zaledwie trzydzieści procent średniego zarobku Izraelczyków (CBS). Po piętnastu latach ich zarobki wprawdzie wzrosły,

ale dalej to jest tylko pięćdziesiąt dziewięć procent tego, co zarabiają inni Izraelczycy.

„Nie ma pracy, nie ma języka, trudno, trudno”

Negatywny obraz nowych imigrantów powstał i utrwalił się w powszechnym odbiorze między innymi za sprawą popularnego satyryczno-komicznego programu *Erec nehederet* (Wspaniały kraj) i jego gwiazdy, fikcyjnej postaci o imieniu Luba, odwołującej się do całej gamy stereotypów. Ta otyła pani w średnim wieku, kasjerka w supermarkecie (zawód zdominowany przez kobiety z byłego ZSRR), tleniona blondynka o wyzywającym makijażu, w karykaturalnych okularach, niemiłosiernie kalecząca hebrajski, wiecznie zdenerwowana i arogancka, która próbuje „wychować” klientów według własnych standardów, niezbyt inteligentna, gorliwa głosicielka swojej dawnej świetności nieustannie narzekająca: *ein awoda, ein safa, kasze, kasze*, „nie ma pracy, nie ma języka, trudno, trudno”, wywoływała i nadal wywołuje spazmy śmiechu u izraelskich widzów. W środowisku rosyjskim, gdzie ogląda się rosyjskie, a nie hebrajskie programy telewizyjne, jest to postać mało znana.

Niechętny stosunek do „emigracji kielbasianej”, jak pogardliwie określa się masowy przyjazd Żydów rosyjskich do Izraela, przeciwstawiany poprzednim alijom, tym ideowym, bierze się stąd, że zdecydowana większość emigrantów rosyjskich opuściła „mateczkę Rosję” nie z powodów syjonistycznych[94]. Rosyjscy Żydzi, wymęczeni kryzysem ekonomicznym i politycznym, doświadczający różnych przejawów antysemityzmu i poczucia zagrożenia, w emigracji pokładali nadzieję na lepszy los dla siebie i swoich dzieci. Nic w tym zresztą dziwnego, że skorzystali z pierwszej bezpiecznej okazji opuszczenia Rosji. Dotąd nie tylko odmówiono by im na to zgody, ale i obwołano ich zdrajcami, zwolniono z pracy bez prawa powrotu do zawodu lub przeniesiono na wczesną emeryturę, pozbawiając służbowego mieszkania. W latach socjalizmu tylko zatwardziali syjoniści i religijni Żydzi ubiegali się o prawo do wyjazdu, a byli i tacy, jak Natan Szaranski, którzy zapłacić musieli za to latami więzienia lub zamknięciem w syberyjskich obozach. Począwszy od 1989 roku, wraz z rozpadem ZSRR, rosyjscy Żydzi otrzymali prawo wyjazdu, choć zapłacili za nie słoną cenę w postaci przymusowego pozbawienia rosyjskiego obywatelstwa oraz zrzeczenia się mieszkania. Zakazano im wywozu majątku o wartości przekraczającej trzysta dolarów na rodzinę. Jak na zarobki rosyjskie z końca lat osiemdziesiątych i początku dziewięćdziesiątych, wynoszące około dziesięciu dolarów miesięcznie, była to suma niemała, ale zupełnie nieznacząca dla kogoś, kto miał zacząć życie w Izraelu.

Jedyna Polka

Do imigrantów rosyjskich byłam podobna z wyglądu, ubioru i sytuacji życiowej. Tak jak oni starałam się znaleźć pracę, mieszkałam w tanim, zaniedbanym mieszkaniu, oszczędzałam każdy szekel, czytałam rosyjskie gazety poruszające interesujące mnie problemy emigracji (jedyna gazeta polska - „Nowiny - Kurier” - dziś już nieistniejąca, była dla mnie i za droga, i nieinteresująca), a przede wszystkim próbowałam nauczyć się izraelskiej rzeczywistości, w której najwięcej miało się pożytku z takich słów, jak: *kombina*, sposób na przechytrzenie, wykombinowanie, nabranie kogoś, protekcja, *sawlanut*, cierpliwość, oraz powtarzania *hakol ihije be'seder*, wszystko będzie dobrze. Tyle że zanim tak się stało, od rdzennych Izraelczyków nie zawsze można było oczekiwać *sawlanut*, czyli tolerancji.

Izraelczycy wchłonęli już ostatnią masową emigrację z Polski z lat sześćdziesiątych, która zdążyła się zasymilować i nauczyć hebrajskiego, więc nie odróżniali mnie od „Rosjanek”. Mój wyraźnie odmienny akcent, niezbyt im znany, odbierany był jako rosyjski - zresztą także spotkani przypadkowo „Rosjanie” przekonani byli, że jestem ich rodaczką, jedną z nich (niewiele się to zmieniło od tamtego czasu). W sklepach, z góry wykluczając pomyłkę, zwracano się do mnie po rosyjsku, i nawet moi rosyjscy znajomi, opowiadając mi o swoim życiu pod czerwoną flagą, pytali mnie: *pomnisz?* Tak jakbym faktycznie z perspektywy Polski lat dziewięćdziesiątych mogła pamiętać mieszkania komunalne, w których żyło razem kilka rodzin czy „zakazane miasta” na Uralu, znane mi tylko z opowieści znajomych Rosjan. Najczęściej zadawane pytanie brzmiało: *Otkuda Wy, iz Rosiji?* (Skąd pani jest, z Rosji?). Odpowiadałam, *Ja iz Gdan'ska* (tam mieszkałam przed przyjazdem do Izraela). Po czym następowała chwila przerwy i zwykle kolejne pytanie wygłaszane już mniej pewnym głosem: *Znaczit, iz Pribaltyka?* (To znaczy z państw bałtyckich?). *Konieszno!*, wyjaśniałam drwiąco, *Iz samoj Polszy!* (Oczywiście! Z samej Polski!). *O!!! A nam, swoloczi, nie skazali, szto i Polska nasza!* (O!!! A ci dranie nie powiedzieli nam, że i Polska nasza!), śmiali się co dowcipniejsi, a inni w zdumieniu otwierali tylko usta, nie komentując, bojąc się wykazać niewiedzą lub naprawdę nie wiedząc, czy mówię poważnie, czy z nich żartuję.

Jako jedyna Polka w hebrajskiej szkole językowej byłam wybrykiem natury budzącym zainteresowanie z samej racji pochodzenia z kraju „milionerów”[95], „Solidarności” i Lecha Wałęsy, którego dom w Oliwie sąsiadował kiedyś z moim akademikiem i którego wypowiedź w hotelu Dan w Tel Awiwie tłumaczyłam po latach, w 2008 roku, dla gazety „Maariw”, a także z powodu jawnego przyznawania się do bycia nie-Żydówką, co w Izraelu raczej rzadko

było praktykowane.

Typowi rosyjscy emigranci

Moi koledzy ze szkolnej ławki w ulpanie, szkole językowej, w zdecydowanej większości pochodzili z tych samych środowisk żydowskich w Sankt Petersburgu, Moskwie i Odessie, znali się przed przyjazdem do Izraela, czasami nawet ze szkoły podstawowej. Na emigrację i mieszkanie obok siebie zdecydowali się po wspólnej naradzie i listach od tych, którzy wyjechali wcześniej. Nie brakowało wśród nich słowiańskich szerokich twarzy, jasnych oczu i blond włosów, podobnie jak brunetów o pociągłych fizjonomiach i wyraźnie zarysowanych nosach. Tutaj poznałam kaskadera Siergieja i jego żonę Olgę, najpierw kasjerkę w supermarkecie, a potem programistkę komputerową; Moszego i Wierę, małżeństwo matematyków; lekarkę Galinę; niebieskookiego Wołodię, inżyniera, i jego żonę Larysę, ekonomistkę; malarkę Katię i jej męża Borysa, utalentowanego brydżystę i informatyka, jego mamę, panią profesor chroniącą przez całe swoje życie zabytkowe rękopisy judaistyczne z akademickich archiwów, przepisującą je, „publikującą” w listach i potajemnie omawiającą z zachodnim światem akademickim; Irę, wiotką balerinę z Sankt Petersburga marzącą o scenach Nowego Jorku (wyjechała po roku). A także Żenię, przez jakiś czas naszego współlokatora oraz towarzysza mojej pierwszej dorywczej pracy, czyli kelnerowania na weselnych przyjęciach, utalentowanego boksera i ochroniarza, którego nie tykała mafia w Odessie i który skończył dobrze zapowiadającą się karierę sportową po nieumyślnym zranieniu jakiegoś wyrostka próbującego wtargnąć z nożem do dyskoteki.

Wszyscy oni odpowiadali na ogół profilowi typowych imigrantów rosyjskich. Byli, tak jak osiemdziesiąt procent tego środowiska, świeckimi Żydami lub nie-Żydami wywodzącymi się z wielkich miast i byłych republik europejskich. W Izraelu woleliby się osiedlić w okolicy centrum, najlepiej w samym Tel Awiwie, choć ze względów finansowych zasiedlili głównie tańsze izraelskie miasta, takie jak Karmiel, Naceret Illit (Nazaret Illit), Aszdod czy Ariel, położony na Terytoriach Okupowanych. Niewielka ich część osiadła na wsi. Pięćdziesiąt osiem procent ogółu emigrantów z byłego ZSSR posiadało wykształcenie wyższe^[96] i najhuczniej ze wszystkich „żydowskich świąt” obchodziło Dzień Kobiet, 1 Maja i 9 maja (Dzień Zwycięstwa) oraz Nowy Rok. Dzięki nim do Izraela zaczęto sprowadzać grupy baletowe, rozkwitło zainteresowanie sportem wyczynowym, gimnastyką artystyczną, tańcem towarzyskim i nawet łyżwiarstwem figurowym, co jest wyczynem w tym klimacie. Dramatycznie podwyższyła się też liczba inżynierów, lekarzy, naukowców... oraz ilość

wysokoprocentowego alkoholu w sklepach i zużycie blond farby do włosów.

Po zajęciach przesiadywałam u moich nowych znajomych. Nie było wśród nich ani jednej osoby, która nie znałaby i nie darzyła sympatią Stanisława Mikulskiego czy aktorek uważanych w ZSRR za ideał urodziwych Polek: Beaty Tyszkiewicz i Anny Nehrebeckiej czy Maryli Rodowicz. Sporo rozmawialiśmy (rosyjskim zwyczajem, zakrapiając spotkania od czasu do czasu zmrożoną wódeczką), razem się uczyliśmy i przygotowywali na święto Purim szkolne przedstawienie o królowej Ester, o której nikt z nas nie miał zbyt wielkiego pojęcia, nawet jeśli pochodził z czysto żydowskiej rodziny. Razem gotowaliśmy *borszcz* i *pieczonku*, śmialiśmy się, żalili oraz obgadywali klasowego Don Juana, rosyjskiego dziennikarza po sześćdziesiątce, wiecznie obejmującego swoją nową, trzydziestopięcioletnią żonę, trzecią z kolei, i Ninoczkę z dnia na dzień przemienioną w Sarę w długich sukniach, która, choć przeprowadziła się z naszego świeckiego Giwatajim do ortodoksyjnego Bnei Braku, nie przestała przychodzić na zajęcia do świeckiego ulpanu, tęskniąc widocznie do rosyjskiego świata.

„Król w zupie”

Z nadmiaru języka rosyjskiego śniłam po rosyjsku i myślałam w tym języku, prowadząc polemikę z głosem odzywającym się po polsku i jeszcze innym, wtrącającym słówka po hebrajsku. Gdyby ktoś wtedy wyrwał mnie nagle ze snu i spytał: „gdzie jesteś?”, bez wahania odpowiedziałabym: „W Rosji!”. Chyba nigdy w życiu nie czułam się tak schizofrenicznie, jak w pierwszych latach mojej emigracji, kiedy czytałam książki po polsku, z mężem rozmawiałam po angielsku, z innymi po rosyjsku, a jednocześnie próbowałam przyswoić język hebrajski i odróżnić go od arabskiego, który podobno mógłby być dla mnie niebezpieczny.

Na co dzień myślałam w kilku językach naraz, chaotycznie przechodząc od jednego leksykonu słów obcych do drugiego, i ciągle zmagalam się z uczuciem, że w żadnym nie potrafię wyrazić ani rzeczywistości, która mnie otaczała i której nie rozumiałam, ani siebie samej, zagubionej w sprzecznych emocjach. Niejeden raz przyszło mi na sobie testować słuszność myśli Ludwiga Wittgensteina „granice mojego języka są granicami mojego świata”. Poruszałam się w otaczającej mnie przestrzeni według starych nawyków czytania tekstów od lewej do prawej, otwierając hebrajskie książki i gazety od końca, a nie od początku. Nie władając językiem państwa, gdzie mieszkałam, czułam się jak inwalidka, każdego dnia zdana na pomoc innych ludzi. Z osoby elokwentnej, skłonnej dyskutować na różne tematy i bawić

się odcieniami znaczeniowymi słów, nagle przeistoczyłam się w niemowę, analfabatkę z wyższym wykształceniem niepotrafiącą poradzić sobie z tekstem czytany przez małe dzieci. Miałam wrażenie, że świat moich pojęć i słów, za którymi stały znane mi przedmioty, przestał istnieć. Na jego miejscu pojawiła się układanka nie do złożenia w jeden zwarty językowy system rozumiały dla mnie samej i dla mojego otoczenia.

W kilka miesięcy po przyjeździe do Izraela na miejskim przystanku autobusowym zostałam zagadnięta przez kobietę pytającą, kiedy odjechał autobus do Tel Awiwu. Zrozumiałam jej pytanie i nawet odpowiedziałam po hebrajsku: „nie wiem dokładnie kiedy, ale chyba przed minutą i dwudziestoma dwoma sekundami”. Dlaczego położyłam nacisk na słowo „dokładnie” i wymieniłam akurat te liczby? Nie miałam pojęcia. Nie patrzyłam na stoper, ani też nie byłam fanatyczką punktualności. Nie zamierzałam zadrwić z przypadkowej osoby. W Izraelu słowa miały zwyczaj wyślizgiwać się z moich ust jak piskorze, wysypywać jak okruszki chleba z dziurawej kieszeni, zamieniać w kawałki szkła i ranić usta, by zamilkły.

Postrzegana przez pryzmat kaleczonego języka hebrajskiego stałam się ułomna, obca, ale i zabawna. Co to znaczy „król w zupie?”, śmiano się ze mnie. „Może chodzi ci nie o *melech*, króla, lecz o *melach*, sól, a może myślałaś o *mal'ach*, aniele, lub o *malach*, marynarzu?”. *Och, ba li ambatiat szmenim!*, Och! Mam ochotę na wannę grubasów, informowałam mojego męża, mając na myśli *szmanim*, olejki aromatyczne, a nie *szmenim*, czyli otyłych ludzi. Ejala bawiły wypowiedzane przeze mnie dziwactwa i co ciekawsze notował w specjalnie przeznaczonym do tego notesiku. Znalazła się tam między innymi przygoda z dziurą.

Wybierałam właśnie w sklepie meblowym krzesła do stołu kuchennego i w materiale pokrywającym jedno z siedzeń zauważyłam małą dziurkę. Podeszłam do sprzedawcy i oznajmiłam po hebrajsku: *Jesz li chor ba'tachat*, „Mam dziurę na siedzeniu”. Na to młody chłopak sprzedający meble, zamiast zmartwić się szkoda, solidarnie odrzekł: *Gam li*, „Ja też”, śmiejąc się przy tym jak szalony. Nie miałam pojęcia, o czym mówi, aż do chwili, kiedy opowiedziałam całe zdarzenie Ejalowi, a on wytłumaczył mi, że *tachat* oznacza wprawdzie po hebrajsku dolną część, spód, pod, ale potocznie słowo to jest używane na określenie pewnej części ciała służącej do siedzenia.

Moja koleżanka Katia, wysłuchawszy opowieści o dziurawym krześle, zrewanżowała mi się anegdotą o synu mieszkającego w Tel Awiwie znajomego Żyda z Moskwy, którego spotkała kiedyś na ulicy. „Gdzie idziesz?”, spytała Katia. Chłopczyk namyślał się chwilę, szukając odpowiednich słów po hebrajsku, po czym odpowiedział: „Idę do dziadziusia *lehit...* *obied*” (hebr. *lehit'abed* - popełnić samobójstwo). „Dlaczego?”, przeraziła się Katia. „Bo

jestem głodny”, chłopak wzruszył ramionami. Kilka chwil zajęło Katii zrozumienie, że miał na myśli rosyjskie słowo *poobiedat*, zjeść obiad, które opatrzył hebrajską formą bezokolicznika *lehit* i dodał do niej rosyjskie słowo *obied*, obiad.

W szkole językowej w jednym z tekstów na temat mieszkającej w Jerozolimie rodziny była jakaś wzmianka historyczna o... wujku. Dopiero kiedy nauczycielka zaczęła czytać tekst na głos, zrozumiałam, że ów „wujek”, wymawiany przeze mnie jako *dod*, pisze się po hebrajsku: *dalet, waw, dalet*, dokładnie tak samo jak Dawid - król Izraela. Tak samo pisze się również słowo „kochanek”(dod) i „zbiornik wodny” (*dud*). Mimo że do nauki języka hebrajskiego bardzo się przykładałam, moja pierwsza próba rozmowy o Polsce z przypadkowo poznanymi Żydami sefardyjskimi okazała się fiaskiem. Kiedy skończyłam im po hebrajsku opowiadać o moim rodzinnym mieście i górach, które uwielbiam (ta sama opowieść przygotowana na lekcję w szkole językowej zdobyła uznanie u pochodzącej z Europy nauczycielki), sefardycy popatrzyli na mnie przepraszająco i zapytali: „W jakim języku mówiłaś?”. „Po hebrajsku”, odpowiedziałam zdziwiona. Trudno im było w to uwierzyć, bo mieli poważne problemy z rozróżnieniem, jakie wypowiadam słowa. W moich ustach *horim*, rodzice, brzmiało prawie tak samo jak *chorim*, dziury, *harim*, góry, lub *arim*, miasta. Zdanie: „oni nie mają”, *ejn lahem*, słyszało się w moim wykonaniu tak samo, jak „wy nie macie”, *ejn lachem*, bo choć jedno pisało się przez „hej”, a drugie przez „chet”, u mnie różnica w wymowie zupełnie nie była słyszalna. Z kolei *iwrit* (hebrajski) moich rozmówców mało przypominał język, którego uczyła mnie Liora, nauczycielka rodem z Polski. Był tak bardzo gardłowy, z wyodrębniającymi się trzema różnymi rodzajami „h” („ch”): *hej, chet, chaf*, że nie potrafiłam go do końca zrozumieć i co zdanie prosiłam o powtórzenie. Ten hebrajski, który słyszałam w telewizji czy radiu, mówiony był z aszkenazyjskim akcentem Żydów pochodzących z Europy i wymową zakorzenioną w tradycji języków łacińskich, podczas gdy moi rozmówcy, pochodzący z obszarów języka arabskiego, posługiwali się hebrajskim z szorstkim charczącym „ch” (*chet*), różniącym się od wymawianego łagodniej albo w ogóle zanikającego „h” (*hej*), wyartykułowanego przeze mnie za mocno. W ich hebrajskim spółgłoski *hej, chet, alef, ajin* brzmiały gardłowo, a w moim wykonaniu całkowicie utraciły tę charakterystyczną semicką cechę. Podczas całej rozmowy czułam się tak jak dziewczyna z Polski, która nauczyła się angielskiego od Amerykanina, pojechała do Szkocji czy Irlandii i tam próbowała się porozumieć.

Dla mnie szczególnie mylące w języku hebrajskim było użycie nieistniejącego w języku polskim rodzajnika określonego *hej ha'jedia*, łączącego się z rzeczownikiem, przymiotnikiem, zaimkiem i liczebnikiem, będącego określeniem czegoś czy kogoś w jakiś

sposób już wskazanego i konkretnego.

W rozmowie przez telefon z izraelską koleżanką próbowałam umówić się na spotkanie. Ponieważ akurat padał deszcz, powiedziałam: *nipagesz acharej geszem*, spotkamy się po deszczu. A ona się roześmiała, ponieważ powinnam była powiedzieć, *acharej ha'geszem*, czyli spotkamy się po tym konkretnym, padającym podczas naszej rozmowy deszczu. Ja tymczasem mówiłam o jakimś tam deszczu, który spadnie nie wiadomo gdzie i kiedy. Do dziś zresztą nie do końca rozumiem tę różnicę - dla mnie subtelną, dla Izraelczyków znaczącą. Kiedy im opowiadałam tę anegdotkę, bardzo się śmieją!

Mnie za to bawiło odmienne znaczenie słów, które brzmią tak samo jak polskie: *noga*, czyli po hebrajsku Wenus, *nora* - strasznie, *kum-kum* - czajnik elektryczny, *suka* - namiot, *bul* - znaczek pocztowy czy *hu jada* - on wiedział. Z trudnością też oswajałam się z faktem, że język hebrajski jest językiem kontekstowym - pojedyncze słowa bywają wieloznaczne, a ich znaczenie może być zrozumiałe tylko w kontekście. Tak jak słowo *bone*, które może oznaczać równie dobrze bobra, jak i czynność budowania w trzeciej osobie liczby pojedynczej.

Hebrajski zachwiał moje przekonanie o tym, co męskie, a co żeńskie. Moja wierna przyjaciółka kawa, *kafe*, w Izraelu musiała się stać przyjacielem, a broniące dostępu do mojego domu drzwi, *delet*, zyskały status niewiasty; gwiazda, *kochaw* - mężczyzny, natomiast *sakin*, nóż, okazał się obojnakiem. Gdybym po hebrajsku chciała zaśpiewać popularną w Polsce balladę Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego *Pieśń o nocy czerwcowej*[97], zaczynając się od słów: „kiedy noc się w powietrzu zaczyna, wtedy noc jest jak młoda dziewczyna”, byłaby to pieśń o chłopcu, ponieważ słowo *laila*, noc, jest rodzaju męskiego. Oczy, wargi i inne podwójne części ciała przynależą do świata żeńskiego, poza jednym, jedynym zmysłowym wyjątkiem: *szadaim*, piersi są rodzaju męskiego. Ów symbol macierzyństwa i obiekt pożądania nawet wtedy, gdy się o nim mówi *cicim* (w języku potocznym), wciąż lojalnie reprezentuje rodzaj męski.

Nie mogłam też zrozumieć, dlaczego takie słowa, jak macica, pochwa, błona dziewicza czy ciąża, odnoszące się do istoty płci żeńskiej, w języku hebrajskim mają rodzaj gramatyczny męski. A to, że także słowo *dagdegan*, łechtaczka, nazywające narząd wybitnie żeński, jest rodzaju męskiego, uznałam za ujawniający się w języku szczyt męskiego szowinizmu. Czyżby Izraelczycy zamiast kompleksu penisa mieli kompleks łechtaczki?

Czy Bóg mówi po hebrajsku?

Nie mógł wynaleźć znaków na wszystkie słowa, którymi posługiwało się plemię, ani

na zgłoski, z których składały się ich wyrazy [...]. Zebrał dźwięki mowy tworzone przez wargi, język, podniebienie i krtań, oddzielając od nich nieliczne pusto brzmiące, które, ujęte pomiędzy tamte, na przemian występowały w słowach i dopiero dzięki tamtym tworzyły wyrazy. Otaczających je spółgłosek również nie było zbyt wiele, zaledwie dwadzieścia; jeśli nadano im znaki, które wedle umowy wywoływały przydechy i wydechy, pomruki i sykanie, cmokanie i mlaskanie - to można je było, wyodrębniając podstawowe zgłoski, które same z nich wynikały, zestawić w wyrazy i w wyobrażenia przedmiotów - w całkiem dowolne, we wszystkie, jakie tylko są, nie tylko w mowie ojczystego plemienia, lecz we wszystkich językach; przy ich pomocy można było pisać nawet po egipsku i po babilońsku [...]. Przy pomocy tej garści znaków można było napisać słowa we wszystkich językach świata, tak i to, co zamierzał spisać Mojżesz, owe przykazanie, było również tego rodzaju, że służyć mogło za fundament i opokę ludzkiego postępowania dla wszystkich ludów ziemi[98].

W przekręcaniu słów, omyłkach gramatycznych, składniowych czy ortograficznych wcale nie byłam odosobniona. W tej współczesnej wieży Babel, gdzie wraz z napływem nowych emigrantów pojawiały się coraz to nowe języki z całego świata, wszyscy zmagali się z tym samym doświadczeniem. Wśród wielu trosk, w tym tak podstawowych jak konieczność zapewnienia materialnego bytu rodzinie czy udział w wysiłku obronnym państwa, nie starczało sił ani czasu na gruntowną naukę nowego języka.

A hebrajski nigdy nie był językiem łatwym do opanowania. Ten starożytny, w którym sam Bóg przemawiał od czasów, kiedy, jak wierzy wielu ludzi, stworzył świat i pierwszego człowieka, nazywając go Adamem, czyli „ulepionym z ziemi”, był z początku językiem sakralnym i zarazem codziennym. W I wieku n.e. stał się już jednak prawie wyłącznie świętym językiem modłów, a w powszednim życiu Żydów zdomował się najpierw ludowy język aramejski, później zaś, w diasporze, weszły w użycie jidysz, ladino i języki ludów, wśród których mieszkali. I tak przez stulecia utrwaliło się przekonanie, że język hebrajski może być wskrzeszony z martwych tylko przez samego Boga.

Nowej idei syjonizmu i własnemu uporowi zawdzięczają Żydzi to, że udało im się ten starożytny język ożywić. Dokonali wyczynu bez precedensu i najwyraźniej nie do powtórzenia, jeśli odnieść się do bezskutecznych prób z łaciną, językami celtyckimi czy klasycznym językiem greckim. Po dwóch tysiącach lat znów język hebrajski jest w użyciu[99] i dzisiaj w Izraelu nawet dzieci mogą odczytać niektóre hebrajskie fragmenty rękopisów biblijnych spisanych w czasach Jezusa Chrystusa i znalezionych w Qumran nad Morzem Martwym. We współczesnym hebrajskim, nazywanym *iwrit*, obok archaicznych słów pochodzących z *Biblii* występują słowa nowoczesne wprowadzone przez jego twórcę

Eliezera Ben Jehudę. On sam wymyślił ich ponad cztery tysiące; później jego dzieło było kontynuowane przez Akademię Języka Hebrajskiego (Ha'Akademia le'Laszon ha'Iwrit) i zwykłych posługujących się *iwrit* ludzi, kiedy brakowało im jakiegoś oznacznika hebrajskiego.

W języku hebrajskim, zapisywanym tak jak starożytne pismo fenickie, od którego pochodzi, w odwrotnym niż w języku polskim kierunku, nie stosuje się dużych liter ani odrębnego oznaczania samogłosek. W piśmie odręcznym nie łączy się liter, pisanych zresztą różnie w zależności od tego, czy są w środku czy na końcu wyrazu. Słowa bywają wieloznaczne, a jakby tego było mało, występują także paronimy, czyli wyrazy podobnie brzmiące, których sens zależy od kontekstu.

W Izraelu używa się kilku alfabetów: arabskiego, łacińskiego i etiopskiego, cyrylicy i hebrajskiego, w którym zapisywany jest jidysz. Do tej pory nie ma zasad ich jednolitej transkrypcji i transliteracji na hebrajski. Komplikuje to szczególnie problem nazw własnych. Zdarza się, że ta sama miejscowość raz nosi nazwę hebrajską zapisaną fonetycznie literami łacińskimi, a kiedy indziej w formalnogramatycznej transliteracji angielskiej. Błędy przytrafiają się często nie tylko z powodu niewłaściwego zaznaczania samogłosek lub ich niezaznaczania w zapisie hebrajskim, ale dlatego, że hebrajski, który dynamicznie się rozwija, codziennie wzbogacany jest o nowe słownictwo, nowe normy językowe i zawiera mnóstwo zapożyczeń. Na straży poprawności językowej i tworzenia nowych słów hebrajskich formalnie stoi Akademia Języka Hebrajskiego, ale jej postanowienia nie są wiążące i w związku z tym często nierespektowane czy wręcz lekceważone przez Izraelczyków wyśmiewających w licznych dowcipach nieprzystające często do realiów, wymyślane za biurkiem neologizmy.

Pierwsza praca

Tak się dziwnie złożyło, że swoją pierwszą w Izraelu pracę dostałam dzięki znajomości języka rosyjskiego, a nie hebrajskiego. Zatrudniono mnie w charakterze hostessy-asystentki w Agencji Modelek „Garbo” z siedzibą na trzecim piętrze ekskluzywnego Dizengoff Center w Tel Awiwie. Agencja nastawiona była na potencjalne rosyjskie modelki i modeli w każdym wieku oraz podupadłe gwiazdy estradowe próbujące odbudować swój image i powrócić na scenę. Tak właśnie było z pochodzącym z Wrocławia Henrykiem Pikiem, zwanym w Izraelu Cwika Pik, który w roku 1970 zdobył tytuł najpopularniejszego piosenkarza, po czym stracił popularność i odzyskał ją dopiero w roku 1998, kiedy

skomponowana przez niego piosenka *Diva*, zaśpiewana przez transseksualistkę Danę International, zwyciężyła w Konkursie Piosenki Eurowizji 1998. Wtedy jednak agencja Garbo już od wielu lat nie istniała. Ja natomiast przepracowałam kolejny rok w izraelskiej gazecie „Maariw”, dokąd przeniosłam się ze studia graficznego po zdobyciu dodatkowego wykształcenia w grafice komputerowej. Przedtem jednak zatrudniona zostałam w polskiej gazecie „Nowiny - Kurier” i księgarni niezwykłego człowieka, Edmunda Neusteina.

Jeszcze dzisiaj, kiedy słyszę w Izraelu język rosyjski, mam uczucie *déjà vu*, choć minęło wiele lat, straciłam kontakt z wieloma rosyjskimi znajomymi, na co dzień używam języka hebrajskiego i utrzymuję kontakty towarzyskie z Izraelczykami pochodzącymi z Polski, Argentyny, Maroka, Jemenu i Stanów. Z Katią, moją przyjaciółką, nadal jednak rozmawiam w naszym prywatnym języku. Ja zwracam się do niej po hebrajsku, wtrącając od czasu do czasu słówka rosyjskie, jeśli lepiej oddają to, co chcę powiedzieć, a ona odpowiada mi po rosyjsku, przechodząc czasem na hebrajski. Z innym moim znajomym, Żydem, który z Polski wyjechał jako dziecko w 1957 roku, korespondujemy mailowo w dwóch językach: ja piszę po polsku, a on odpowiada mi po hebrajsku. Do innych polskich znajomych mówię tylko po polsku, w pracy - tylko po hebrajsku, ale w domu zdarza się, że zaczynam zdanie w jednym języku, a kończę w drugim i jestem bardzo zdziwiona, że nie zawsze się mnie rozumie.

My, Żydzi polscy, na izraelskiej ziemi

Edmund Neustein, Ostatni Księgarz Polskiej Rzeczpospolitej Izraelskiej

Tego dnia, kiedy po raz pierwszy go zobaczyłam przez szklaną witrynę, Edmund Neustein przeglądał stos książek, biorąc każdą z nich delikatnie do ręki, jakby obawiał się, że zbyt mocny uścisk będzie ją bolał. Uważnie studiował najpierw jej przód, a potem tył. Na koniec, nie spiesząc się, wolnymi pociągnięciami palców pieścił grzbiet książki. Czekał kilka sekund, ważąc ją w dłoni, po czym otwierał, badając w palcach papier i studiując fonty. Wdychał świeży zapach farby drukarskiej z taką rozkoszą, jakby była jakimś zmysłowym fenomenem, i kiwał z aprobatą głową, jeśli zapisane w książce słowa warte były tego gestu.

- Dzień dobry. Przepraszam, jestem świeżo upieczonym magistrem filologii polskiej. Od niedawna mieszkam w Izraelu. Może znalazłoby się dla mnie u pana jakieś zajęcie?

Neustein w idealnie odprasowanej jasnoniebieskiej koszuli zapiętej na małe guziczki, w szarych spodniach z kantami, podniósł oczy znad rozłożonych książek. Odwrócił głowę w kierunku drobnej pani w okularach, z fryzurą „na pazia” kartkującej jakieś opasłe tomisko w drugim końcu księgarni, uważnie mi się przyjrzał, po czym wstał z krzesła.

- Dzień dobry - podał mi rękę na przywitanie. - Edmund Neustein. Witamy panią w Izraelu.

- Ela Sidi, dziękuję bardzo!

Wzruszona przyjęciem i trochę onieśmielona jego oficjalnym sposobem bycia, głośno przełknęłam ślinę i automatycznie poprawiłam włosy.

- Nie ma i nie będzie! - Starsza pani odpowiedziała na zadane przeze mnie wcześniej pytanie głosem stanowczym i srogim, marszcząc przy tym brwi i nie podnosząc wzroku znad książek.

- Przepraszam - szepnęłam zakłopotana brzmieniem głosu kobiety i skierowałam się ku drzwiom, zapominając, że chciałam wypożyczyć przy okazji jakieś książki.

- Niech pani zaczeka! Proszę! Pomyślmy trochę! - zatrzymał mnie Neustein. Starszy pan, wpatrzony w jakiś niewidzialny punkt, przez chwilę stał przede mną w milczeniu, po

czym ponownie odwrócił się ku żonie i ciepłym, miękkim głosem spytał:

- Ado, może coś jednak by się znalazło? - Ada wzruszyła ramionami. Neustein podniósł słuchawkę staroświeckiego telefonu i wykręcił jakiś numer, stukając ołówkiem w stół. - Pani Krysiu, proszę przyjść na chwileczkę.

Czekając, czułam, że jestem obserwowana. Obejrzałam się za siebie. Starszy, szczupły mężczyzna pakował paczki z książkami na stoliku przy półkach ze słownikami. Pomachał mi przyjacielsko ręką. Gdzieś zza regałów wyłoniła się pani z burzą czarnych, kręconych włosów i kartą biblioteczną.

- Z Zawiercia jestem. Jadwiga. W Izraelu mieszkam od roku i tu znalazłam pracę - przedstawiła się.

- A ja... z Polski, z Rybnika, choć i z Gdańska, Warszawy i jeszcze z kilku miejsc. - Uścisnęłyśmy sobie ręce.

Cztery osoby obsługi w tym małym pomieszczeniu i jeszcze ktoś na zewnątrz. Jeden klient w środku i kilku czytających prasę na zewnątrz, policzyłam w myśli. Jak w takiej sytuacji można w ogóle myśleć o zatrudnieniu jeszcze kogokolwiek? Rozejrzałam się. Całe pomieszczenie zapchane było książkami poukładanymi równo na zużytych, drewnianych półkach. Witryny księgarni, położonej w przejściu podziemnego pasażu, wychodziły na należące do niej szklane gabloty. Wokół nich ustawione były stoły z książkami i krzesła, na których siedziało kilku Polaków przeglądających polskie czasopisma.

- Czy na zewnątrz jest czytelnia? - zagadnęłam skrepowana zapadłą nagle ciszą.

- Jaka tam czytelnia! - oburzyła się Ada. - Przychodzą tutaj, czytają za darmo, co chcą, miętoszą gazety jak dziwki i odchodzą, nie mówiąc nawet „dziękuję”, a my potem nie możemy sprzedać ani jednej.

- Niech pani nie zwraca uwagi na moją żonę. - Poważny dotąd Neustein uśmiechnął się. - Moja małżonka tylko udaje taką szorstką! Proszę nie myśleć, że ona mówi to poważnie.

- Poważnie i to jeszcze jak! - odpowiedziała starsza pani. - Szef, gdyby mógł, wszystko by rozdał!

- Nie wszystko, tylko część. Ja jedną, a ty drugą - roześmiał się Neustain.

Szef?, powtórzyłam w myśli za Adą. Śmieszne. Bardziej by pasowało do mafiosa niż do statecznego księgarza.

Rytmiczny stukot damskich obcasów przybliżających się do księgarni odciągnął moją uwagę od jej właściciela. Drzwi energicznie otworzyła wypielęgnowana dłoń.

- Jestem, Szefie. - Wysoka, atrakcyjna kobieta po sześćdziesiątce z koroną blond włosów zwróciła się do Neustaina tym samym zwrotem, który wcześniej usłyszałam od jego

żony. Tym razem wydało mi się to jakoś bardziej na miejscu. W ustach tej kobiety stanowiło połączenie szacunku z podległością, przyjaźnią i nonszalancją. Trochę na poważnie, a trochę nie.

- Pani Krysiu, dziewczyna potrzebuje pracy. Mamy coś dla niej?

Kobieta omiotła mnie wzrokiem i nie zmieniając wyrazu twarzy, oświadczyła wyniosłym tonem, krótko i rzeczowo:

- Mam kilka zamówień: Stanford, Frankfurt, Waszyngton, Londyn... Nadal też trzeba popracować nad katalogiem. Coś jeszcze, Szefie?

- Nie. Dziękuję.

Pani Krysia skłoniła lekko głowę, jakby była księżniczką na królewskim dworze, i już jej nie było. Neustein uściśnął mi rękę i radośnie oświadczył:

- Pani Elu, przyjmuję panią na pół etatu. Od tej pory może mi pani mówić, „szefie”, i proszę od razu zapoznać się z najważniejszym hasłem naszej księgarni: „Nie ma książki, której nie moglibyśmy znaleźć!”.

- I koniecznie zapamiętaj słowa Stanisława Wygodzkiego - wpadła mu w słowo pani Ada - „Księgarnia: Handel, skład, sprzedaż książek. Nie każdy sprzedawca książek jest księgarzem. Sprzedawca książek to zawód. Księgarz to ranga”.

- Tak - potwierdził Neustein - musi pani wiedzieć, że moja żona zawsze ma rację! A teraz przepraszam panią, muszę pójść na dziewczynki. Spotykamy się jutro o dziewiątej. Do widzenia. - Skłonił mi się kurtuazyjnie i wyszedł.

- Niech się tak pani nie dziwi. Te „dziewczynki” to tylko kawa „U Persa” z Jurkiem Pressem - machnął lekceważąco ręką szczupły starszy pan, przerywając na chwilę pakowanie książek. - Szef jest porządnym człowiekiem. Szefowa też. Niech się pani nie da nabrać na pozory.

- A co to, porządni ludzie na dziwki nie chodzą? Ale mi się znawca ludzkich dusz znalazł! - odezwała się Szefowa. - Niech pan, panie Wilku, głupot nie gada i lepiej weźmie się za zamówienia!

Wilk porozumiewawczo puścił oko. W tej samej chwili pani Ada wydała mi się o wiele bardziej sympatyczna, a w następnej, kiedy zaczęła z wielkim znanstwem i umiłowaniem literatury, polecać książki klientowi, pomyślałam, że jesteśmy nawet trochę do siebie podobne: obie lubimy bezpardonową szczerłość i nie zawsze zastanawiamy się nad brzmieniem każdego słowa, zanim je wypowiemy.

„Dziwki” to kawa, Jurek Press, hm, nie mam pojęcia, kto to; tajemniczy „Pers” - właściciel kawiarni, żona - Ada, udająca srogą, Jadzia, Krysia i... Wilk? Kto się dzisiaj

nazywa Wilk? Składałam w pamięci świeżo usłyszane informacje, rozważając, co ze sobą teraz zrobić. Z kłopotu wybawiła mnie pani Jadzia. (Opowiedziała mi później, że dopiero kiedy była dojrzałą kobietą, matką dwójki dzieci, dowiedziała się od umierającej matki, że nie jest ona jej rodzicielką i tylko zaopiekowała się nią po śmierci niewiadomych rodziców, Żydów z Zawiercia). Podeszła do mnie, objęła mnie jak odnalezonego nagle członka rodziny i powiedziała: „Będzie tu pani dobrze”. Ada prychnęła z kąta jak kotka. Po raz pierwszy spojrzała mi prosto w oczy i oświadczyła: „Faktycznie. Szef ma dobre serce. Przekona się pani”.

Polskie słowo w Izraelu

„Księgarnia Polska. A.E. Neustein” w początkach swego istnienia[100], w końcu lat pięćdziesiątych była jedną z kilku polskich księgarni mieszczących się przy ulicy Allenby w Tel Awiwie. Jan Fok, w latach 1950-1989, prowadził sprzedaż polskich książek pod numerem 35 w księgarni: „Ha’Sefer-Książka”, a obok niego, pod numerem 32, mieściła się wypożyczalnia książek i sklep Ewy i Felka Birenbaumów. W antykwariacie Ariego Rachuma z ulicy Gruzenberg 41, otwartym w latach 1936-1961, przesiadywał w czasie swojego pobytu z Armią Andersa w Palestynie sam Melchior Wańkowicz.

Polskojęzyczne życie literackie w Izraelu intensywnie rozwijało się od początków istnienia państwa izraelskiego i nabierało rozpędu wraz z masową emigracją Żydów z Polski po drugiej wojnie światowej i Holokauście. W 1949 roku pojawiła się polskojęzyczna gazeta „Przegląd” (1949-1982), „Kronika Izraelska” i jerozolimska „Opinia”. Trzy lata później ukazał się pierwszy numer „Nowin Izraelskich” i „Nowin Porannych”. Wychodziło również „Echo Tygodnia” dr. Józefa Haleckiego z Krakowa. Zapotrzebowanie na polskie słowo miało szczególne znaczenie dla starszych wiekiem Żydów z Polski, którym bardzo trudno przychodziło nauczyć się języka hebrajskiego. Polskie gazety i książki były dla nich źródłem wiedzy o świecie i pępowiną łączącą ich z polskim dziedzictwem. Rozkwit czasopiśmiennictwa polskiego nastąpił po 1957 roku, wraz z przybyciem do Izraela około czterdziestu tysięcy Żydów osadzonych w polskiej kulturze, wykształconych i wykonujących w Polsce zawody związane z dziennikarstwem, księgarstwem i literaturą polską. Dzięki nim wychodziły w Izraelu: nastawiony na tematykę interesującą nowych emigrantów „Kurier”, przekształcony w 1958 roku w „Nowiny - Kurier” (zdążyłam popracować w nim jakiś czas), „Od Nowa” i „Po Prostu”, wydawana przez autentyczną polską hrabiankę Kasię Rozen i mojego znajomego, poetę i bajkopisarza wyglądającego jak typowy sarmacki wielmoża -

Jerzego Hermana.

Taki sam jak inni, tylko bardziej

Epoka polskiego słowa w Izraelu odchodzi w przeszłość wraz z ludźmi, którzy byli z nią związani jako twórcy i czytelnicy. Ostatni numer polskojęzycznej gazety „Nowiny - Kurier” ukazał się 2 lipca 2009 roku, a ostatnią polską książkę sprzedano w ostatniej polskiej księgarni Edmunda i Ady Neusteinów w 2004 roku. Ostatni Księgarz Polskiej Rzeczypospolitej Izraelskiej, wokół którego narosła już legenda, nie nosił siwej brody i druczianych okularów niedbale spadających na nos. Nie garbił się nad książkami i nie trzymał na ramieniu mądrej sowy, choć przyjaźnił się z kotką mieszkającą w szufladzie jego biurka w „najlepiej funkcjonującej polskiej księgarni w świecie”, jak stwierdzono oficjalnie w 1993 roku. Edmund Neustein - Szefer (Mundek dla przyjaciół) - był eleganckim, postawnym mężczyzną o łagodnym uśmiechu, ważącym każde słowo, prawdziwym dżentelmenem, który potrafił łączyć powagę z pikantnym humorem, szlachetnym człowiekiem kochającym książki i polską kulturę. A jego księgarnia, na najbardziej polskiej niegdyś ulicy Allenby w Tel Awiwie, była nie tylko zwykłym sklepem sprzedającym i wypożyczającym książki (około trzydziestu tysięcy tytułów) czy antykwariatem posiadającym „białe kruki”, o które zabiegali prywatni kolekcjonerzy, Biblioteka Kongresu Stanów Zjednoczonych i najwybitniejsze uniwersytety świata. Była polskim salonem literackim, w którym dyskutowano o klasykach, komentowano nowości literackie i podziemne wydawnictwa łamiące socjalistyczną cenzurę, goszczono pisarzy, czytano fragmenty własnych utworów, zachwycano się każdą nową książką, która zawitała w jej progi, celebrowało rozmowy o Polsce, filmach i teatrze, dzielono się plotkami o Polakach i Żydach, częstowano kanapkami z wędliną z pobliskiego szuku (bazaru) czy bryndzą, którą lubiła pani Ada, a czasami, pod koniec tygodnia, kieliszkiem małego „co nieco”, czyli wódki z „kropelką” wermutu - ulubionego napitku Neusteinów.

W księgarni obmyślano nowe inicjatywy wydawnicze, ale i słuchano dowcipów. Nawet jeżeli wszyscy je znali, to i tak lubili usłyszeć jeszcze raz w nowej wersji, opowiedziane trochę inaczej lub przez kogoś innego. Wspominano w niej ciekawych ludzi, jak chociażby Brunona Schulza, gimnazjalnego nauczyciela rysunku z Drohobycza, który uczył Edmunda Neusteina, Marka Hłasę, bliskiego przyjaciela wielu bywalców księgarni, Ryszarda Kapuścińskiego czy otoczonego podziwem Leszka Kołakowskiego. Przychodziło się tam jak do „polskiego domu” na obczyźnie po to, by pooddychać atmosferą polskości, zapytać o pracę, przeczytać polskie gazety, znaleźć pierwszy *Elementarz* Mariana Falskiego i

książki naukowe pomocne podczas studiów. Wiadomo było, że na ulicy Allenby 94 można otrzymać informacje o Polsce i Izraelu, znaleźć przewodnik przed podróżą w świat wraz ze słownikiem, który ten świat tłumaczył, albo książkę po polsku nieosiągalną nigdzie indziej. Najważniejsze jednak, że byli tam ludzie, dla których Polska i polskie słowo pisane stanowiły prawdziwą wartość. „Między innymi dzięki Edmundowi zostało zachowane środowisko Żydów polskich w Izraelu”, twierdzi Ryszard Löw, wydawca pisma „Kontury”[101].

Bez tej placówki, którą stworzył, i wykreowania miejsca, gdzie mogliśmy się spotykać, [...] kupować polskie książki i czasopisma, gdzie nas ciągnęło, nie potrafilibyśmy tego dokonać, trudno by nam było się znaleźć - bo pochodzimy z różnych miast i miasteczek, z różnych krańców Polski, a i tu zamieszkujemy kibuce, moszawy, czyli wsie, miasta, wyobcowani, zagubieni, i Edmund Neustein - sam, bez aparatu administracyjnego, bez głośnej reklamy, wytrwale popierał piszących po polsku w Izraelu. Potrafił stworzyć odpowiednią aurę wokół każdej wydanej książki, kładł ją po prostu u siebie na biurku i to było zarówno promocją, jak i niewątpliwie pochwałą autora[102].

Edmund Neustein, pochodzący z polsko-żydowskiej rodziny, władający bogatym, pięknym językiem polskim, z zapalem czytający polskie książki i propagujący je, inicjator i współwydawca wielu książek, między innymi *Nowego słownika polsko-hebrajskiego i hebrajsko-polskiego*, zapytany kiedyś, co dla niego oznacza bycie Żydem, odpowiedział: „Być takim samym jak inni, tylko bardziej”. I taki faktycznie był, i takim go wszyscy pamiętają. Bardziej się starał niż inni i więcej wymagał - przede wszystkim od siebie, bo dla innych był pobłażliwy i wyrozumiały. Nie potrafił nikogo skrzywdzić nawet jednym złym słowem.

„Moi rodzice tak naprawdę nigdy nie wyjechali z Polski”, stwierdził syn Szefa, Krzysztof Neustein, na spotkaniu w dziesiątą rocznicę śmierci Mundka, a mnie do tej pory wydaje się, że Ostatni Księgarz Polskiej Rzeczypospolitej Izraelskiej nigdy nie opuścił swego ulubionego miejsca wśród polskich książek i nadal wraz z żoną dzieli się nimi z każdym, kto zawita w progi jego księgarni w Tel-Awiiwie. O! Właśnie widzę Panią Adę! Dostała w prezencie od starszej pani w niebieskiej sukni nową sowę do kolekcji. Ogląda ją zachwycona. Szef wita się po gospodarsku z książkami przybyłymi wprost z Polski, nucąc: „Brunetki, blondynki ja wszystkie was dziewczynki całować chcę...”. Pewnie zaraz zawoła Jurka Pressa, tego zaczytanego pana stojącego „pod Miłoszem”, przyjaciela Marka Hłaski, za chwilę otworzą się drzwi i wejdzie do środka mecenas Broniek Ledowski, z którym Mundek „przegada całą wieczność”. Zanim się to jednak stanie, we trójkę pójda na kawę, dwa domy dalej, do małej restauracyjki prowadzonej przez Żyda z Iranu, „Persa”, jak nazywają go

bywalcy księgarń, by tam, jak mówi Szefer, „obgadać pół świata i powrócić” do pracy w polskiej księgarni - miłości jego życia.

Polanim - Polacy w wersji izraelskiej

Lea Karlibach[103], izraelska Żydówka z Polski, jak co rano stanęła przed lustrem, czesząc się, kremując i robiąc staranny makijaż[104]. Po kilku minutach zdecydowała: dość już tego dbania o siebie! Czas na ślub!

- Tato - zwróciła się do starszego mężczyzny czytającego gazetę - chcę wyjść za mąż za Nira.

- Moje dziecko - odpowiedział ojciec - nie wychodź za niego. On jest inwalidą, biedakiem i na dodatek sierotą.

- Ale najważniejsza jest miłość, a nie jego wygląd czy to, że jest bez grosza.

- Nie o tym mówię, córeczko. Nie sądzisz, że on już wystarczająco nacerpiał się w tym życiu?

- Oj tak - westchnęła zawiedziona Lea i dla polepszenia nastroju umówiła się na kawę z koleżanką Orną i jej mężem. Do kawiarni Orna przyszła bez męża.

- Mój mąż zaraz do nas dołączy - oświadczyła, wyjaśniając, że pojechał zatankować benzynę.

Lea i Orna piły kawę i rozmawiały. Minęło pół godziny, godzina, a męża nadal nie było.

- Może on ma kochankę? - przeraziła się Orna.

- Dlaczego tak źle myślisz o swoim mężu? - zdziwiła się Lea. - Może przejechał go samochód?

- No cóż, śmierć nie wybiera! Czy wiesz, że zmarło się teściowi Edny?

- Edny? Przecież on był jeszcze całkiem młody?!

- Nie ma się co dziwić. Ożenił się z polską wdową. Jak nie mógł już z nią wytrzymać i chciał się rozwieść, powiedziała mu: „Kochany, dostałeś mnie wdową? Zwróć mnie wdową!”.

- Na co w końcu umarł?

- Na własne życzenie!

Koleżanki w końcu pożegnały się i każda poszła w swoją stronę.

Kiedy Lea weszła do domu, zadzwonił telefon. Przeczekała cztery dzwonki, by ten, kto dzwonił, nie miał wątpliwości, że ma duże mieszkanie, po czym zdjęła słuchawkę z

widełek.

- Halo! Lea? Mówi Ester. Znasz najświeższą nowinę? Sara wychodzi za mąż za Dorona, tego Żyda z Polski!

- Tak?! Myślałam, że oni nadal się kłóca.

- Et - zbagatelizowała całą sprawę Ester - to takie małe nieporozumienie narzeczonych. Ona chce suknię z koronki, a on nie chce się żenić.

- A jak się ma jego mama, pani Warszawska?

- Źle. Nie jadła już od trzech tygodni.

- Dlaczego? Chora?

- Nie. Czeka na telefon od syna, tego z Ameryki, a nie chce rozmawiać z pełnymi ustami. Co u was słyhać?

- Mój brat, ten, który wpadł na pomysł, że jeśli chce się zamrozić nasienie, to wystarczy przespać się z Polką, przyprowadził trzy dziewczyny i poprosił mamę, by pomogła mu wybrać jedną na żonę.

- Ta w środku - powiedziała mama zdecydowanie.

- Skąd wiesz, że ona jest dla mnie najlepsza? - zdziwił się mój brat.

- Od pierwszego wejrzenia jej nie cierpię!

W tym czasie, kiedy Lea rozmawiała z Ester, w pobliskiej synagodze spotkały się dwie polskie matki.

- Czy to prawda, że wczoraj na plaży w Tel Awiwie syna Amit zatopiła olbrzymia fala?

- Tak, ale dzisiaj chłopak jest zdrów i cały.

- Ja to możliwe?

- Kiedy mały Szlomo zniknął w odmętach, Amit wyciągnęła ręce ku Bogu i zaczęła lamentować: „Boże, czemuś mi to zrobił? Czyż nie zapalam świec szabatowych w każdy piątek? Nie pomagam potrzebującym, nie daję jałmużny, nie rodzę pobożnych Żydów i nie przestrzegam koszerności?”. „No już dobrze”, odrzekł Pan i wraz z następną falą zwrócił jej syna. Po czym Głos z nieba zapytał: „Czy jesteś zadowolona, kobieto?”.

- Czeka, czekaj - powiedziała Bogu Amit - on przecież miał na głowie nową jarmułkę!

Stereotyp „Polki” i „Polaka”

Wciąż pamiętam, jak na początku swego pobytu w Izraelu ze zdumieniem

odkrywałam, że to bardziej państwo Żydów z Polski, Niemiec, Rumunii, Etiopii, Iranu, Maroka, Jemenu, Rosji, krajów arabskich niż Izraelczyków. Wszyscy pielęgnowali kulturę ziem, na których się urodzili, a jedno z najczęściej zadawanych tutaj pytań dotyczyło nie pieniędzy, stanu cywilnego, przekonań politycznych czy wykonywanego zawodu, ale kraju pochodzenia i przynależności narodowej w diasporze, przed emigracją. Ci z Polski, jeśli nawet tam nie czuli się Polakami, to tu paradoksalnie nagle się nimi stali. Każdy z nich nie tylko bowiem był określany poprzez kraj pochodzenia, ale i w kontekście tego kraju oceniany. A to skłaniało do szukania przyjaznego, polskiego środowiska najpierw po to, aby wspólnymi siłami stawić czoło problemom związanym z początkiem emigracji, wejść w etap zbliżenia ze środowiskiem sabrów, potem na jakiś czas odejść od polskojęzycznego kręgu i znów na pewnym etapie życia na nowo zmierzyć się z kwestią polskości. Polska zawsze pozostawała ważnym punktem odniesienia - nieważne pozytywnego czy negatywnego.

Wystarczyło, że odpowiadało się według miejscowego zwyczaju: *ani mi'Polin*, Jestem z Polski, by od razu zostać wpisanym w rozpoznawalny dla Izraelczyków schemat *Polanim*, jak mówi się o Żydach z Polski (podkreślanie żydowskości nie jest w Izraelu konieczne i a priori zrozumiałe)[105]. Kiedy zależało mi na tym, aby objaśnić, że jestem Polką, nie Żydówką z Polski, mówiłam: *ani Polanija-Polanija*, akcentując to powtórzenie lub dowcipkując: „*ani Polanija - 100% made in Poland*. Bywałam zresztą poprawiana: *Polanija* - to brzmi, jakbyś ośmieszała sama siebie. Lepiej użyj formy *ani mi'Polin*, jestem z Polski.

Nieraz wśród moich znajomych czy współpracowników zdarzyło mi się słyszeć powszechnie znane w Izraelu powiedzenie: „nie bądź Polakiem”, to znaczy nie bądź zbyt formalny, krytyczny, powściągliwy emocjonalnie, odnoszący się do kobiet z należnym płci pięknej szacunkiem, co myłone bywa z tym, że się im ulega. A więc dokładnie taki jak polski Żyd w izraelskich dowcipach. Mnie się wydawało, że w każdej sytuacji muszę bronić dobrego imienia Polaków, a to w praktyce oznaczało, że traktuję serio izraelskie dowcipy zgodnie ze swą naturą wyśmiewające przywary, nie zaś opisujące zalety. No cóż, nie ja jedna. Zdarza się to wielu Izraelczykom, którzy, nie mając o Polsce informacji, podchodzą do powszechnie znanych i najczęściej powtarzanych dowcipów[106] i anegdot o polskich Żydach tak, jak kiedyś Polacy do żydowskich szmoncesów[107], myląc je z dosłownym źródłem wiedzy i obiektywną charakterystyką.

Całe pokolenia Izraelczyków wychowały się na kabaretach i scenicznych komediach rodzinnych najpopularniejszego dramaturga izraelskiego Hanocha Levina (jego rodzice pochodzili z Polski, Levin urodził się w Izraelu), który spopularyzował stereotyp „Polaków” (polskich Żydów): silnych, dominujących matek marzących o ożenku swoich dzieci,

przesadnie zatroskanych o renomę rodziny i pozycję materialną, oraz uzależnionych od nich słabych, załęcznionych mężczyzn, ponizanych przez kobiety i niemających nad nimi władzy. Piją oni herbatę na balkonie, objadają się śledziami i ściśle wypełniają narzuconą im rolę.

Izraelczycy, wchodząc do polskiego mieszkania, spodziewają się plastikowych kwiatów w kryształowych wazonach ustawionych na regałach, muzyki Szopena, Mozarta czy Beethovena na fortepian i skrzypce, a także eleganckiej i wyniosłej pani domu, ze sznurem sztucznych pereł na szyi (typ damulki), nienaturalnie wyprostowanej, która zacznie od razu narzekać i poczęstuje ich jakimś mdłym daniem przyniesionym przez męża pantoflarza.

Tymczasem owa oziębłość uczuciowa to w rzeczywistości nic innego jak powściągliwość, a także wyemancypowanie polskich Żydówek, ich samodzielność, poczucie własnej wartości i wysoka pozycja w świecie mężczyzn. Wieczne niezadowolenie, prowokujące do śmiechu, bierze się ze stawiania sobie i innym wysokich wymagań, a kpina z przesadnej dbałości o formy grzecznościowe, z różnic mentalnych, a także odmiennego systemu wartości.

Dowcipy budują wykrzywiony obraz Żydów polskich, a poprzez nich także Polaków, a nawet Żydów europejskich. W Izraelu bowiem, mówiąc *Polani*, „Polak”, ma się na myśli również *aszkenazi*, aszkenazyjczyka, przedstawiciela klasy średniej, zwykle o jasnej skórze, dobrze sytuowanego, mieszkającego w dobrej, czyli europejskiej, dzielnicy, dla którego kultura, wykształcenie i wysoki standard w każdej dziedzinie są w życiu priorytetowe. *Polanim* przeciwstawiani są stereotypowi „gorących” Izraelczyków z orientalnych państw, często o smagłej skórze, otwartych w kontaktach, emocjonalnych, obdarzonych licznym potomstwem, nieprzejmujących się zasadami *savoir-vivre*’u czy zdobywaniem tytułów naukowych, gustujących w kulturze popularnej, w piosenkach z prostymi tekstami czerpiących inspirację z muzyki orientalnej.

Parada zasłużonych

W grudniu 2012 roku, tuż przed wyborami do Knesetu, Awigdor Liberman, przywódca partii Izrael Beitenu, Izrael - Nasz Dom, reprezentującej emigrantów z Rosji, wywołał powszechne oburzenie oraz ostre protesty w prasie i telewizji, ponieważ ustosunkowując się publicznie do zarzutu oszustwa i nadużycia zaufania w sprawie byłego ambasadora na Białorusi Zeewa Ben Ariego, obraził przywódczynię opozycyjnych partii: Cipi Liwni (ojciec z Grodna, matka z Warszawy), Szeli Jachimowicz (rodzice z Polski) i Zahawę Gal-On (urodzona w Wilnie). „Wyzwiska”, jakimi się posłużył, zostały ostro skomentowane.

Jak brzmiały? „Fracja trzech Polek plotkarek”. Przepraszając na swojej facebookowej stronie za użycie określenia „trzy Polki” (jakby to rzeczywiście była straszna obelga), Liberman napisał: „teraz posiedzę samotnie w ciemności i to sobie przemyślę”. Odwołał się w ten sposób do popularnego dowcipu: „Ile »Polek« potrzeba do wymiany żarówki? Ani jednej, bo »Polka« powie: dobrze, dobrze, nie szkodzi, będę siedzieć w ciemności i cierpieć”[108].

W Izraelu nie ma chyba nikogo, kto nie miałby pojęcia, jakie to „szczęście” być mężem „Polki”[109] zazwyczaj „chorej, bardzo chorej, umierającej... wdowy”, i jak wygląda życie u boku żony, która „w trakcie seksu zawsze zamyka oczy, bo nie chce widzieć, jak ktoś inny ma przyjemność” lub mówi mężowi, że „musi pomalować mieszkanie, bo właśnie zauważyła plamkę na suficie”.

Izraelczyk zapytany o stolicę Polski nie zawsze wie, że jest nią Warszawa[110], ale gdyby mu przyszło odpowiadać na pytania z tego kwestionariusza, nie miałby żadnych trudności:

Dlaczego w raju nie ma dwóch „Polek”? Bo to byłoby piekło.

Dlaczego ten, kto żeni się z „Polką”, ma zapewniony raj po śmierci? Ponieważ za życia będzie miał piekło.

Dlaczego mężczyzna, który powtórnie ożeni się z „Polką”, nigdy nie wstąpi do nieba? Skoro aż dwa razy miał piekło za życia, to czyściec po śmierci będzie dla niego prawdziwym rajem.

Co mówi niezadowolona ze swego wyglądu „Polka”, kiedy patrzy w lustro i myśli o mężu? „Należy mu się!”

Jaka jest różnica pomiędzy „Polką” a terrorystą? Z terrorystą można negocjować.

A pomiędzy matką „marokańską” a „polską”? Ta pierwsza mówi dziecku: „jeśli nie zjesz, zabiję cię!”; ta druga: „jeśli nie zjesz, zabijesz mnie!”.

Co to jest „polska” kanapka? Dwie kromki czarnego chleba przełożone kromką białego.

Co to jest: osiem „Polek” siedzi w jednym kręgu? Igloo.

Co robi „Polka”, jak wstanie rano w dobrym humorze? Czeka, aż jej przejdzie.

Co przynosi „Polka” do szpitala umierającemu mężowi? Ciasto. A dlaczego nie pozwala wziąć z niego mężowi ani kawałka? Bo ciasto jest „na potem”.

Dlaczego „Polka” budzi w środku nocy swojego męża? Bo trudno jej zrozumieć, jak można spokojnie spać z tak małą pensją.

Określenie polska Żydówka - po hebrajsku *Polanija* - funkcjonuje w powszechnej świadomości jako pejoratywne, kojarzone ze stereotypem „żydowskiej matki” -

nadopiekuńczej, małostkowej, oziębłej, o drobnomieszczańskiej mentalności Żydówek z *galut* (diaspory). Ten wizerunek ukształtował się najprawdopodobniej po przybyciu do Palestyny fali emigracyjnej drobnych handlarzy i rzemieślników, z lat 1924-1931, ponieważ nawiązuje do starego świata Żydów polskich sprzed drugiej wojny światowej. Później, już w Izraelu, zawarta w dowcipach krytyka stała się antidotum na prestiż i pozycję Żydów europejskich w społeczeństwie, którego większość stanowią Żydzi sefardyjscy (wschodni). *Polanim* odegrali dominującą rolę w tworzeniu Izraela, parlamentaryzmu izraelskiego, a dziś nadal wpływają na kształt życia polityczno-społecznego i kulturalno-religijnego.

Żydzi polscy od zawsze cieszyli w Izraelu specjalnymi przywilejami i poważaniem. Jak pisał Göran Rosenberg w książce *Kraj utracony. Moja historia Izraela*, Żydzi orientalni od początków swojej emigracji do Izraela, mieszkali gorzej, otrzymywali gorsze wykształcenie, wykonywali najgorsze prace i nie mieli dostępu do stanowisk w wojskowych i politycznych władzach państwa. Nieosiągalne były dla nich instytucje o charakterze ideologicznym - partie, organizacje, związki zawodowe, które odgrywały dość istotną rolę, umożliwiając nawiązanie kontaktów, zdobycie stanowisk i uzyskanie awansu społecznego, czegoś co w Europie nazywano protekcją. Polityczne i wojskowe elity wciąż w zadziwiająco dużym stopniu rekrutowały się z samego europejsko-ideologicznego serca Izraela - z kibuców[111].

W początkach Izraela jedna trzecia posłów do parlamentu pochodziła z Polski, a wielu członków ruchu rewizjonistów z partii Cherut (dziś to część rządowej partii Likud) była polsko-żydowskiego pochodzenia. Podczas partyjnych zebrań podobno mówiło się czasem po polsku.

Żydzi polscy mieszkający w kibucach budowali państwo izraelskie i organizowali w Polsce intensywne kursy dla wyjeżdżających do Palestyny pionierów. W skład dwóch najbardziej znanych i poważanych w Izraelu żydowskich organizacji bojowych walczących w Palestynie o ustanowienie Państwa Izraela: Lechi (Lochamej Cherut Israel, Bojownicy o Wolność Izraela), utworzonej przez pochodzącego z Suwałk Abrahama Sterna, oraz Ecel (Irgun Cwai Leumi, Narodowej Organizacji Wojskowej), wchodzili przedstawiciele palestyńskiej klasy średniej, w większości polskiego pochodzenia, a dowództwo stanowili, jak pisze Artur Koestler, „młodzi polscy intelektualisci wychowani w rycerskiej tradycji romantycznych zrywów niepodległościowych i rewolucyjnych”[112], którzy wraz z innymi żydowskimi zwolennikami walki zbrojnej byli szkoleni w Polsce przedwojennej 1938-1939 w Zofiówce na Wołyniu, Podębinie pod Łodzią i niedaleko Andrychowa.

Znanymi i zasłużonymi dla Izraela politykami urodzonymi na terytorium

Rzeczypospolitej byli Mosze Sneh (Kleinbaum) i Izaak Grünbaum, poseł na Sejm Ustawodawczy i Sejmy I, II i III kadencji w II RP, jeden z sygnatariuszy Deklaracji Niepodległości Izraela i minister spraw wewnętrznych w Rządzie Tymczasowym Izraela.

Pierwszy premier Izraela David Ben Gurion (David Grün) pochodził z Płońsk. Menachem Begin, Icchak Szamir (Jaziernicki), Szymon Peres (Perski) - także byli z Polski. Chaim Landau - z Krakowa - był wielokrotnie członkiem Knesetu, ministrem transportu i ministrem rozwoju gospodarczego.

Mistrz Świętego Imienia znany pod przydomkiem Baal Szem Tow, twórca chasydyzmu, jeden z największych żydowskich autorytetów religijnych, wywodził się z terytoriów dawnej Rzeczypospolitej Polskiej, podobnie jak Dow-Ber z Międzyrzecza, zwany Wielkim Magidem, czy jeden z pierwszych cadyków Elimelech Weisblum z Leżajska, Jakub Icchak Horowic nazywany Widzącym z Lublina i urodzony w Opatowie Izrael Hapstein nazywany Magidem z Kozienic.

Szmuel Josef Agnon (Czaczkes) z Buczacza zdobył Literacką Nagrodę Nobla, a twórczość Uriego Cwi Grinberga ze Złoczewa czy Natana Altermana z Warszawy zaliczana jest do klasyki literatury hebrajskiej.

Nahum Cemach w Teatrze „Palace” w Białymstoku zorganizował żydowski teatr, który dał początek izraelskiemu Teatrowi Narodowemu „Habima”, działającemu początkowo w Moskwie, a od 1928 roku w Tel Awiwie. Z Polski zaimportowano do Izraela przypadający w październiku miesiąc oszczędzania i na wzór polskich Dni Oświaty, Książki i Prasy obchodzi się Dzień Książki. Dzięki polskim lotnikom, którzy 27 czerwca 1936 roku jako pierwsi wylądowali w Tel Awiwie, zainaugurowana została stała linia powietrzna pomiędzy Europą a Izraelem (Warszawa - Tel Awiw), o czym entuzjastycznie wypowiedział się pierwszy burmistrz Tel Awiwu, Meir Dizengoff: „Mówiłem, że niedługo ziści się nasz sen o aerodromie, i oto spełnia się dzięki dzielnym polskim lotnikom mój sen i prorocstwo”[113].

Polski Żyd pierwowzorem Izraelczyka

Potomkowie rewolucyjnej młodzieży żydowskiej budujący kibuce, spadkobiercy drobnomieszczańskich kupców i przedsiębiorców usiłujących rozwinąć przedsiębiorczość w Palestynie, żydowsko-polscy parlamentarzyści, ocaleni z Zagłady uchodźcy, komuniści pozbawieni złudzeń i polska inteligencja wyznania mojżeszowego napisali w Izraelu grupową biografię Żydów polskich, których łączy kraj urodzenia, wykształcenie zdobyte w polskich szkołach i na uniwersytetach, umiłowanie teatrów, kawiarni, miejskiego życia, polskiego

słowa, muzyki, zapachu bzów i konwalii. Z ich wspólnej tożsamości wyrósł wzorzec typowego Izraelczyka - świeckiego Żyda, naznaczonego piętnem Zagłady i diaspory, którego z narodem izraelskim łączą doświadczenie, język hebrajski, religia, poczucie zagrożenia i emigracja.

W okresie przed powstaniem niepodległego Państwa Izraela dwie z sześciu masowych alii Żydów do Palestyny: trzecia (1918-1924) i czwarta (1924-1931), zostały oficjalnie uznane za polskie, choć i w dwóch pierwszych wielu Żydów było z ziem należących wówczas do Rosji i Austro-Węgier. W trzeciej alii, rewolucyjnej, liczącej około trzydziestu pięciu tysięcy emigrantów, prawie siedemdziesiąt pięć procent pochodziło z ziem polskich. Większość z nowo przybyłych w owych czasach to byli samotni mężczyźni i kobiety, zakładający nowe kibuce, próbujący stworzyć „nowego Żyda”, pracującego fizycznie na roli lub w fabrykach i budującego „nowo-starą ojczyznę”.

Kryzys gospodarczy w Polsce międzywojennej i ustawy Grabskiego, mające przeciwdziałać hiperinflacji, naprawić finanse i wprowadzić reformę monetarną, były szczególnie niekorzystne dla Żydów ze względu na podwyższenie podatków i ich natychmiastową ściągalność oraz nowy podatek od nieruchomości. Działania skarbowe, pogromy, bojkoty sklepowe, ograniczenia w przyjmowaniu Żydów na studia i do zawodów, getta ławkowe, które w oczach Żydów zapowiadały okres dyskryminacji mniejszości żydowskiej w Polsce - wszystko to spowodowało masową emigrację do Palestyny polskich Żydów, najczęściej mieszczan, drobnych rzemieślników, sklepikarzy i ludzi interesu. W liczbie około trzydziestu pięciu tysięcy[114] przyjechali oni do Palestyny, bo nie mieli innej możliwości emigracji. Stany Zjednoczone właśnie w 1924 roku zmieniły swoje prawo emigracyjne, praktycznie uniemożliwiając przyjazd Żydom. Na świecie panował ostry kryzys ekonomiczny, a w Palestynie sytuacja przedstawiała się stosunkowo dobrze: konflikt z Arabami jeszcze był w stadium początkowym, a kraj się rozbudowywał. Emigranci, *olim*, z czwartej fali, *alijat Grabski* (emigracji Grabskiego), przyczynili się do rozwoju przemysłu i rozbudowy Izraela (nawet wzorcową szerokość jezdni przyjęto według szerokości ulic warszawskich), wzmożonej urbanizacji i rozwoju miast, a także do masowego wykupu na własność gruntów rolnych i tworzenia małych sklepików-kiosków (stąd wzięła się też inna nazwa tej alii: *alijat ha'kioskim*).

Polska w biografii żydowskiej

W 1948 roku, w początkach niepodległego Państwa Izraela, Żydzi z Polski stanowili

wyróżniającą się pod względem liczebności grupę. Dziś pochodząca z Polski społeczność żydowska w liczbie około dwustu tysięcy osób[115] zajmuje piąte miejsce po Żydach z byłego ZSRR (około dziewięciuset trzydziestu tysięcy), z Maroka (około pięciuset tysięcy), z Iraku (dwieście czterdzieści tysięcy) i z Rumunii (dwieście dwadzieścia tysięcy). Jak twierdzi Bernard Dow Weinryb w *Jehudej Polin el michuc le'Polin (Żydzi polscy poza Polską)*[116], prawie wszyscy aszkenazyjczycy, którzy na przestrzeni wieków migrowali do różnych krajów świata, wywodzili się z terenów dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Tak było z Żydami uznawanymi za „rosyjskich”, którzy w większości pochodzili z terenów Polski przedrozbiorowej oraz z Żydami rumuńskimi będącymi synami imigrantów z Polski. Społeczność żydowska w Niemczech składała się głównie z potomków Żydów z Poznańskiego i Śląska, a Żydzi z Wiednia i Austrii byli synami imigrantów z Galicji. Dzieci Żydów z Francji, Anglii, Belgii, Stanów Zjednoczonych, Kanady, Ameryki Południowej okazały się w większości dziećmi emigrantów z Polski lub z obszarów, które historycznie do niej należały. Podobnie rzecz się miała z tymi Żydami litewskimi, którzy w przeszłości mieszkali na Litwie od XIV wieku połączonej unią z Koroną i wyemigrowali do RPA. Według profesora Bernarda D. Weinryba z około szesnastu do siedemnastu milionów Żydów na świecie przed drugą wojną światową trzynastu do czternastu milionów wywodziło się z Polski[117].

Do drugiej wojny światowej w Polsce istniała największa na świecie ponad trzymilionowa (około trzech milionów czterystu tysięcy) społeczność żydowska. W 1946 roku oficjalnie mieszkało w kraju nad Wisłą w przybliżeniu od dwustu czterdziestu do trzystu tysięcy osób pochodzenia żydowskiego. Połowa z nich na Dolnym Śląsku (Dzierżoniów - „polski Birobidżan”, Wrocław, Legnica, Strzegom, Wałbrzych), ziemi, gdzie wszyscy byli obcy i nikt nie miał na cmentarzu grobów swojej rodziny, a reszta w dużych miastach (głównie Warszawa, Szczecin, Łódź). Z powodu wyjazdów ludności żydowskiej z Polski i przyjazdów żydowsko-polskich repatriantów z ZSRR ten stan liczebny wielokrotnie się zmieniał.

W okresie stalinizmu w ramach laicyzacji ludności żydowskiej zawieszono działalność partii syjonistycznych, a także Bundu, zabroniono nauczania języka hebrajskiego i jidysz oraz używania ich jako języków wykładowych, uznano Agencję Żydowską za „imperialistyczną” i od Centralnego Komitetu Żydów Polskich, któremu podlegały wszystkie organizacje żydowskie, zażądano, by zerwał kontakty ze Światowym Kongresem Żydów.

Żydzi opuszczający Polskę w tamtych latach w szczególnej pamięci zachowali przejście graniczne pod Kłodzkiem i nielegalną emigrację nazwaną *Bricha* (hebr. ucieczka),

organizowaną przez działaczy syjonistycznych (począwszy od 1944 roku) za milczącym przyzwoleniem władz. Polscy wopiści, zgodnie z dyrektywami rządu godzącego się na legalną i tolerującą nielegalną emigrację, nie zatrzymywali Żydów masowo przekraczających granicę. Czescy pogranicznicy pobierali natomiast „opłatę wjazdową” w wysokości dziesięciu dolarów od osoby. Czekający w Czechosłowacji przedstawiciele Agencji Żydowskiej troszczyli się o dokumenty i transport, poprzez obozy *ma'apilim*, nielegalnych emigrantów, do Palestyny.

Po pogromie kieleckim (1946 rok) w obawie o własne bezpieczeństwo - nie tylko ze względu na nastroje antyżydowskie, ale również z powodu szerzącego się bandytyzmu i trudnych warunków egzystencji - z możliwości wyemigrowania skorzystała prawie połowa wszystkich Żydów mieszkających w tym czasie w Polsce (od siedemdziesięciu do stu tysięcy osób[118]), głównie ci religijni, którzy pielęgnowali swoją odrębność kulturowo-religijno-etniczną, nie popierali komunistycznych władz, bardziej czuli się Żydami niż Polakami, a przede wszystkim mieli za sobą traumatyczne przeżycia w czasie wojny i „nie chcieli żyć na cmentarzu narodu żydowskiego”, by użyć obiegowego sformułowania używanego w izraelskiej prasie i telewizji, bardzo często pojawiającego się w filmach dokumentalnych o Polsce i w wypowiedziach zwykłych ludzi. Na ich decyzję o emigracji w niemałym stopniu wpłynęła działalność propagandowa organizacji żydowskich namawiających do osiedlenia się w Izraelu i budowania państwa żydowskiego, a później także nadawane z Izraela od marca 1950 roku audycje radiowe *Kol Israel la'Gola* (Głos Izraela dla Diaspory). Wielu wyjeżdżających zaraz po wojnie Żydów miało zamiar odszukać żyjących krewnych, aby odbudować choćby namiastkę wymordowanej w czasie wojny rodziny.

Do roku 1950 można było zarejestrować tak zwaną izraelską opcję narodowościową, co umożliwiało legalny wyjazd do nowo powstałego państwa żydowskiego. Po tym roku nałożono restrykcje na wszelkie wyjazdy zagraniczne, co doprowadziło do niemal całkowitego zamknięcia granic i zatrzymania w Polsce ponad dwudziestu tysięcy zdecydowanych na wyjazd Żydów. Możliwość wyjazdu, także na podstawie kryterium etnicznego, ponownie pojawiła się dopiero sześć lat później.

Ci, którzy pozostali

Czy wobec tego Żydzi pozostali w Polsce jedynie z konieczności podyktowanej sytuacją bądź niechęcią do emigrowania? Po części tak, ale w grę wchodziły także inne

względy, w tym osobiste. Jak podaje „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej”:

Zaraz po wojnie w całej grupie ocalałych i tych, którzy przyjechali do Polski wraz z falą repatriacyjną, w której co prawda jest wiele dzieci i ludzi starszych, przeważali młodzi mężczyźni. Wielu młodych polskich Żydów, którzy nie wyjeżdżają z Polski, wstępuje w mieszane związki małżeńskie[119].

Jednych zatrzymały zatem związki małżeńskie zawarte z nie-Żydami, inni postanowili związać swój los z nowym ustrojem. Było wśród nich sporo oficerów Wojska Polskiego, pracowników Urzędu Bezpieczeństwa, wysokich urzędników państwowych oraz repatriantów z ZSRR. Nie brakowało też rolników, sklepikarzy, pracowników fizycznych i drobnych rzemieślników, byłych mieszkańców shtetli na Kresach Wschodnich, przesiedlonych na Ziemię Odzyskaną. Ci nie uważali się ani za syjonistów, ani za przodujących komunistów. Obawiali się wyjeżdżać w nieznaną i mieli nadzieję znaleźć dla siebie miejsce w powojennej Polsce.

W przeciwieństwie do wielu Polaków katolików, ci Żydzi polscy, którzy pochodzili z rodzin przedwojennych komunistów i sympatyków socjalizmu lub uważali, że zawdzięczają Rosjanom ocalenie w czasie wojny (sporo z nich urodziło się na terytorium ZSRR), popierali nowy system i ideę komunistycznego internacjonalizmu dającego nadzieję, jak uważali, na równouprawnienie Żydów w Polsce. Część z nich wróciła do kraju razem z wojskiem radzieckim i dzięki temu, a także swojej przynależności do partii komunistycznej pełniła w Polsce ważne stanowiska i korzystała ze związanych z tym przywilejów.

W czasach gomułkowskich, kiedy zaprzestano terroru i ujawniono zbrodnie stalinowskie, pozwolono też na wznowienie działalności organizacji żydowskich. W ramach „czystek” przeniesiono do rezerwy wielu żydowskich oficerów i zwolniono prawie wszystkich pracowników UB o żydowskim pochodzeniu. W obawie przed skompromitowaniem partii część z nich osądzono i skazano. Innym dano możliwość opuszczenia kraju w ramach legalnej emigracji.

Rozczarowani komunistycznym ustrojem, zaniepokojeni wystąpieniami antyżydowskimi na Dolnym Śląsku (we Wrocławiu doszło do zabójstwa na tle rasowym zegarmistrza Chaima Rutkowicza[120]) oraz wprowadzeniem powszechnego obowiązku nauczania religii w szkołach skorzystali z możliwości zorganizowanej emigracji, wspomaganą przez wznowioną w 1956 roku działalność żydowsko-amerykańskiej organizacji Joint (American Jewish Joint Distribution Committee, której budżet w Polsce wahał się w granicach od czterystu tysięcy do miliona dolarów[121]) i masowo zaczęli opuszczać Polskę. W latach 1955-1960 „dokumenty uprawniające do emigracji do Izraela

uzyskało około pięćdziesięciu jeden tysięcy osób”[122], z czego według statystyk izraelskich czterdzieści trzy tysiące przyjechało do Izraela. Oprócz Żydów Polskę opuściło, w ramach tak zwanego łączenia rodzin, od dwustu do trzystu tysięcy obywateli „pochodzenia niemieckiego”, mających osiedlić się w Niemczech Zachodnich. Na ich miejsce, w ramach wymiany ludności, sprowadzono kolejną, drugą falę repatriantów z ZSRR, w tym sporo pochodzenia żydowskiego.

Do początków lat sześćdziesiątych nadal wyjeżdżało z kraju od tysiąca do dwóch tysięcy Żydów rocznie. Opóźnienia spowodowane były odkładaniem wyjazdu ze względu na naukę dzieci w szkołach średnich i na uniwersytetach, a także kłopoty wizowe. W Izraelu nazwano tę falę emigracyjną *alijat Gomulka* - od nazwiska I sekretarza KC PZPR.

Znalazło się w niej wiele osób, które widziały w tym szansę na osiedlenie się w zachodnim świecie demokracji i dobrobytu, a więc i nadzieję na wygodniejsze życie, a czasami także na połączenie się z krewnymi na Zachodzie. Ale charakter nadali emigracji z 1957 roku rozczarowani komunizmem Żydzi (wielu piastowało wysokie stanowiska), którzy z powodu zmian polityczno-rządowych zostali pozbawieni funkcji, pracy, a więc i optymizmu w spojrzeniu na przyszłość społeczności żydowskiej w Polsce. Zdecydowana większość z nich, nie mogąc sobie wyobrazić życia w kapitalistycznych Stanach Zjednoczonych czy w innych krajach Zachodu, przyjechała do Izraela - jedyne państwo przyjmujące Żydów bez żadnych ograniczeń. Niektórzy zachowali ważne przez trzy lata paszporty, inni, chcąc otrzymać wizę do Izraela, musieli się zdecydować na „dokument podróży” w jedną stronę.

W latach sześćdziesiątych w Polsce, gdzie nie było już ani jednego rabina, pozostało kilkanaście tysięcy Żydów z rodzin częściowo zasymilowanych lub mieszanych, w olbrzymiej większości identyfikujących się z Polakami i Polską, którzy często w ogóle za Żydów się nie uważali.

Marzec 1968

W styczniu 1968 roku Rada Państwa - ten sam organ, który lata później był odpowiedzialny za ogłoszenie w Polsce stanu wojennego - podjęła tajną i pozbawioną podstaw prawnych uchwałę wprowadzającą uproszczone procedury zmiany obywatelstwa. W myśl uchwały ci emigranci, którzy przyjęli obywatelstwo izraelskie, automatycznie tracili obywatelstwo polskie. Aktualny przez najbliższe lata „dokument podróży” oznajmiający, że „posiadacz niniejszego dokumentu nie jest obywatelem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”,

stał się symbolem ostatniego exodusu Żydów polskich - emigracji marcowej. Tym razem Żydzi polscy i Polacy wyznania mojżeszowego (olbrzymia większość była niereligijna) opuszczali Polskę pod presją oskarżeń o szpiegostwo, o inicjowanie antykomunistycznego buntu młodzieży w Marcu '68 zwolnień z pracy i relegowania ze studiów z powodu pochodzenia.

„W przeciągu kilku tygodni moje miasto bardzo się zmieniło”, wspomina Michał Sobelman.

Już wiedziałem, ilu Żydów ma jeszcze swoje sklepiki przy ulicy Modrzejewskiej, że facet, który naprawiał nam telewizor, jest z naszych, podobnie jak kierownik sklepu monopolowego, jeszcze adwokat, ginekolog... Byli wszędzie! I jak tu nie wierzyć gazetom! Nasz znajomy pan Z. był najlepszym fotografem w mieście. Miał świetnie prosperujący zakład, zjeżdżali do niego nowożeńcy z okolic, wszyscy chcieli mieć zdjęcia od komunii robione u pana Z. - Ale, czy to przystoi, żeby pamiątkę z komunii świętej robił Żyd? - pytała sąsiadka na korytarzu. - Ty jesteś z naszych, choć twój ojciec to Mosiek - przekonywała matka koleżanki z podstawówki[123].

Ostra nagonka antysemicka w środkach masowego przekazu, miejscach pracy i nauki oraz na ulicach, która rozpoczęła się wraz z wybuchem w Izraelu wojny sześciodniowej, potępionej przez ZSRR, a za nim także przez Polskę, stała się przyczyną zrzekania się w latach 1968-1969 obywatelstwa polskiego, co stanowiło warunek opuszczenia kraju. Decyzję tę wspierało wrażenie, że Polskę masowo opuszczają mieszkający w niej jeszcze Żydzi i strach przed ewentualną eskalacją agresji.

Zaczęli przychodzić ludzie, ci z Modrzejewskiej i inni, nieznajomi. Szeptem w nieznanym języku (później okazało się, że to jidysz) rozprawiali o czymś, konspirowali... Gwałtownie przechodzili na polski, wtedy rozumiałem. Kiedyś, ktoś w największej tajemnicy powiedział, że dowiedział się, że tam w Warszawie przygotowano plany, żeby tych, którzy nie wyjadą, zgrupować w jednym, określonym miejscu na Mazurach. - To niemożliwe, to przecież jak obóz koncentracyjny - powiedział pan L., o którym było wiadomo, że 25 lat wcześniej siedział w Oświęcimiu, ale zaraz dodał, że wtedy również wydawało się to niemożliwe[124].

Tych, którzy się wahali, przekonał zamieszczony 11 czerwca 1969 roku w „Trybunie Ludu” i „Życiu Warszawy”, sygnowany przez PAP, komunikat Biura Politycznego KC PZPR informujący o tym, że „przejściowe warunki wydawania dokumentów dla osób wyrażających chęć wyjazdu na stałe do Izraela będą stosowane do 1 września 1969 roku”. „Po tym terminie władze paszportowe rozpatrywać będą takie podania zgodnie z obowiązującym trybem

postępowania [...] i ogólnie obowiązującymi zasadami stosowanymi przy wyjazdach do krajów kapitalistycznych”[125].

Do jesieni 1969 r. podania o zgodę na wyjazd złożyło blisko 500 wykładowców i naukowców-badaczy, w tym wybitne i znane postaci nauki. Wśród emigrantów było też 200 dziennikarzy i redaktorów, w tym 15 redaktorów naczelnych lub ich zastępców, ponad 60 pracowników radia i telewizji, blisko 100 muzyków, aktorów i artystów, w tym 23 aktorów i reżyserów Teatru Żydowskiego z jego dyrektorką, słynną Idą Kamińską na czele, oraz 26 filmowców. [...] Liczną i godną uwagi grupę emigrantów stanowiło ponad 520 byłych urzędników centralnej administracji państwowej. Wśród nich było 176 byłych pracowników Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, w tym 12 zajmowało w przeszłości stanowiska dyrektorów departamentów lub Wojewódzkich Urzędów Bezpieczeństwa[126].

W ramach emigracji marcowej (1968-1971), deklarując Izrael jako miejsce emigracji, wyjechało z Polski dwanaście tysięcy dziewięćset dwadzieścia siedem osób przestraszonych rozmiarami i zaciekłością antysemickich ataków. Najwięcej wyjazdów - trzydzieści sześć procent - odnotowała Warszawa. Do Izraela w 1968 roku przyjechało tysiąc trzysta czterdzieści dziewięć osób, a w 1969 - tysiąc siedemset trzydzieści pięć[127]. W Polsce pozostało około pięciu tysięcy Żydów.

W poszukiwaniu polskości

Od czasu ostatniej przymusowej emigracji Żydów z Polski do Izraela kontakty dyplomatyczne pomiędzy obu państwami zostały zawieszane na dziewiętnaście lat (1967-1986). W związku z tym do kojarzonej z socjalizmem i antysemityzmem Polski nie jeździło się, nie czytało o niej artykułów i nie oglądało, poza tymi o Holokauście, prawie żadnych innych filmów. Dlatego Izraelczycy tak mało wiedzą o Polakach, a opinie o Polsce budowane są głównie na podstawie wspomnień emigrantów, a także zachowań i mentalności przejawianej przez Izraelczyków polskiego pochodzenia we wzajemnych kontaktach i codziennym życiu. Uzupełniają tę wiedzę wycieczki młodzieży izraelskiej do Polski poświęcone martyrologii narodu żydowskiego oraz bogata tradycja pisemna, filmowa i dokumentalna związana z tym zagadnieniem.

Od czasu, kiedy minister oświaty i kultury Izraela, Icchak Nawon, rozpoczął w 1988 roku projekt wycieczek edukacyjnych młodzieży izraelskiej szlakami obozów zagłady na terenie Polski, określając ich główny cel wychowawczy jako: „lepsze zrozumienie, jaką wagę

ma istnienie Izraela, oraz wzmocnienie poczucia przynależności do niego i do narodu żydowskiego”[128], rozpoczęły się masowe wyjazdy Izraelczyków do Polski podporządkowane prawie wyłącznie tematyce syjonistyczno-martyrologicznej. Z opublikowanych we wrześniu 2011 roku wyników badań statystycznych przeprowadzonych na zlecenie Ministerstwa Oświaty Izraela, mających ocenić całokształt edukacyjnych skutków realizowania programu „zacieśnienia więzi młodych Izraelczyków z przeszłością żydowską, pogłębienia identyfikacji z losem narodu żydowskiego, wzmocnienia osobistego zaangażowania na rzecz ciągłości żydowskiego losu i istnienia suwerennego państwa Izrael”, wynika, że dziewięćdziesiąt dwa procent młodzieży izraelskiej (trzydzieści procent badanych oceniło swój stosunek do Polski i Polaków przed wyjazdem jako pozytywny) pod wpływem wyjazdów do Polski lepiej rozumie ważność powstania Państwa Izraela dla Żydów i konieczność istnienia Sił Obronnych Izraela[129].

Co roku prawie dwadzieścia pięć tysięcy młodych ludzi odwiedzających Polskę i później opowiadających o niej swoim krewnym i znajomym ma bardzo ograniczone szanse, lub prawie wcale ich nie ma, na poznanie Polski innej niż ta łączona ze śmiercią Żydów i antysemityzmem. Zaledwie cztery procent młodzieży żydowskiej ze szkół religijno-narodowych (*batei sefer datiim leumiim*) kontaktuje się w Polsce z Polakami. W szkołach świeckich ten wskaźnik jest znacznie wyższy i wynosi czterdzieści dziewięć procent, a trzydzieści procent[130] młodych Izraelczyków, którzy mieli po temu okazję, po powrocie do Izraela ma do Polski lepszy stosunek niż przed wyjazdem.

Po lin, tu spocznij

W popularyzującym turystykę telewizyjnym programie rozrywkowym *Bieg po milion* na uczestników, którzy podróżują od kraju do kraju, wykonując na wyścigi różne zadania w rodzaju zjedzenia insektów w Tajlandii, papryki na Węgrzech, przejścia po linie rozwieszanej kilkadziesiąt metrów nad ziemią czy szukania skarbów w kopalni soli w Wieliczce, zwykle na kończącej etap mecie, zgodnie z rozrywkową konwencją programu, czeka miejscowa piękność przebrana w narodowe barwy. W Polsce - nadal głównie kojarzonej z Holokaustem - zawodników witała staruszka - ocalona z Zagłady, a ci zamiast cieszyć się z dotarcia do mety... płakali.

Poza krajami arabskimi nie ma chyba innego państwa, które tak jak Polska, po hebrajsku nazywana *Po lin, tu spocznij*[131] lub *po-lan-ja, tu-spozczął-Bóg*, budziłoby w Izraelczykach tyle negatywnych uczuć i opinii. Wrogie nastawienie związane jest z

osobistymi przeżyciami Żydów w Polsce, antysemityzmem, Zagładą, krytykowanym socjalizmem, wymuszoną emigracją Żydów z Polski, wycieczkami edukacyjnymi młodzieży izraelskiej, a ostatnio również Jedwabnem i polską na nie reakcją. A jednak w samym tylko 2010 roku dwa i pół tysiąca Izraelczyków stało się obywatelami Polski legitymującymi się polskimi paszportami. W ostatnich latach, zwłaszcza od czasu przynależności Polski do UE, coraz więcej Izraelczyków wyjeżdża do Polski na wakacje, a nawet kupuje tam mieszkania i domy, przeprowadzając się na stałe lub część roku do kraju nad Wisłą. Mimo to wciąż jest wielu takich, którzy wspominając Polskę, mówią o kojarzącym się z nią strachu.

- Dlaczego nie czujecie się bezpiecznie w Polsce? - próbowałam zrozumieć moich znajomych, Żydów polskich, wspólnie z którymi brałam udział w spotkaniach organizowanych przy okazji oglądania polskich filmów. - Antysemityzm w dzisiejszej Polsce niczym nie różni się przecież od antysemityzmu w Europie i w świecie, gdzie często bywacie. Polacy bardzo dużo zrobili i robią, by go w ogóle nie było!

- Masz rację - tłumaczył mi swój punkt widzenia Dani Tracz, były dyrektor administracyjny Teatru „Hajfa”, producent kabaretów Hanocha Levina, wydawca Ryszarda Kapuścińskiego i *Słownika polsko-hebrajskiego*, mieszkający w Izraelu od ponad pięćdziesięciu lat.

Pozytywna zmiana jest szczególnie widoczna u młodego pokolenia Polaków. Mimo wszystko jednak niesprecyzowany do końca, pozbawiony konkretów lęk zawsze jest we mnie, kiedy odwiedzam Polskę. To rodzaj emocjonalnego dyskomfortu. Mam wrażenie, że akurat w Polsce nagle przestaje mieć znaczenie, za kogo się uważam i kim jestem, a staje się ważne, za kogo się mnie bierze. Co absurdalne, jedynym miejscem, gdzie ja, człowiek niereligijny, mogę się poczuć Żydem, jest Polska. Mam kolegów, Izraelczyków pochodzących z Polski, którzy w czasie wizyt w Polsce nadal nie są w stanie powiedzieć: jestem z Izraela, mimo że wszędzie indziej nie mają z tym żadnego problemu. Zdaję sobie jednak sprawę z mojego, i innych Żydów, przewrażliwienia na tym punkcie. Mój brat, Witek, od pięćdziesięciu lat mieszkający w Anglii, podróżujący po całym świecie, przez długie lata wzbraniał się przed odwiedzinami w Polsce, mimo że bardzo do niej tęsknił. Polska była dla niego miejscem traumatycznym. W końcu jednak pojechał. W Warszawie miał spotkać się z kolegą z uniwersytetu. Wszedł do sklepu monopolowego kupić jakąś butelkę. „Co by mi pani poleciła?”, zapytał tlenioną na blond sklepową z perłową szminką na ustach. „Dla pana tylko pejsachówka”, powiedziała. Witek wyszedł ze sklepu oburzony tym, że Polacy nadal widzą w nim tylko Żyda. Dopiero jakiś czas potem zdał sobie sprawę z tego, że sprzedawczyni naprawdę chodziło o pejsachówkę, najlepszą według niej wódkę, i pewnie nie miała nawet

pojęcia, że jest Żydem...

Żydzi z polskim akcentem - emigracja gomulłowska

Kiedy wyjeżdżałam z Polski, byłam załamana, ale wiedziałam, że tak musi być. Myślałam, że nigdy więcej nie zobaczę moich przyjaciół, zwłaszcza dziecinnej miłości, zielonej dzielnicy Krzyki we Wrocławiu, drzew, na które wdrapywałam się w dzieciństwie, krzaków bzu, kwiatów niezapominajek i fiołków, które kwitły właśnie wtedy - smutną wiosną 1957 roku. Każdy, kto wyjeżdżał z Polski, musiał spisywać każdą zabieraną rzecz, każdą książkę... No i trzeba było mieć pieniądze na opłaty. Nasz cały bagaż to była mała skrzynia, półtora metra sześciennego, bo ja i moja mama nie byliśmy bogate. Moja matka pracowała na nasze utrzymanie, a ja się uczyłam - również gry na pianinie, które kupiła mi matka za pierwszą w życiu pożyczkę. Abym ja mogła je mieć i mogły zostać zwrócone pożyczone pieniądze, moja matka po nocach szydełkowała koronkowe serwety i firanki na sprzedaż. Na pianinie grałam dużo i chętnie. Nie bardzo się przygotowywałam do lekcji muzyki, ale za to grałam dużo ze słuchu i byłam tym zachwycona. Moja Pani Profesor - o wiele mniej. Gra ze słuchu przydała mi się przy wyjeździe z Polski. Nasz bagaż był tak mały, że celnicy myśleli, że pianino jest na sprzedaż, a moje świadectwo ze Szkoły Muzycznej - sfalszowane. Kazano mi więc natychmiast przywieźć instrument na dworzec kolejowy. W strasznym hałasie, bałaganie i ruchu, wśród góry skrzyń pan Celnik zapytał:

- Umie pani grać czardasza Montiego?

Umiałam i zagrałam na stojąco, z temperamentem (z histerycznego strachu, że nie pozwolą mi zabrać pianina). Skończyłam czerwona i zdenerwowana. Usłyszałam, że inni tak samo jak ja zdenerwowani ludzie biją mi brawo, nawet celnicy! I tak moje pianino pojechało do Izraela. Nieczęsto na nim gram. Ale cieszę się, że jest ze mną!

Autorka wspomnień o pianinie - Mira (Miriam) Krum-Ledowska, emigrantka z 1957 roku, emerytowana nauczycielka języka hebrajskiego, obecnie nauczycielka języka polskiego w Instytucie Polskim w Tel Awiwie - rozpoczęła swoją emigrację w Szczecinie. Ze statku „Le Havre”, który dopłynął do Francji, Mira z matką, podobnie jak inni emigranci, przesiadły się do zaplombowanego na czas podróży pociągu do Marsylii. Trzy tygodnie oczekiwania na dalszą podróż spędziły w pałacu ogrodzonym wysokim murem. W pamięci pozostały długie prozaiczne dni, zatrucie pokarmowe i konieczność wystawiania w kolejce do jedynej na piętrze toalety. Ostatni etap podróży z Francji do Izraela Ledowska przeżyła na

przeładowanym greckim statku, gdzie stłoczeni podróżni leżeli jeden obok drugiego na rzuconych na pokład materacach. Na cześć obchodzonego właśnie w Izraelu święta Pesach jedzono macę, jajka na twardo, sardynki i „byczki w tomacie”. Odgłosy wymiotów słychać było z każdego zakamarka pokładu aż do momentu, gdy po przybyciu do portu w Izraelu ich woń zmieszała się z zapachem kwitnących drzewek pomarańczowych.

„Pierwszego maja, wzruszeni, dopłynęliśmy do Hajfy”, opowiada Mira.

Poranne słońce oświetlało górę Karmel i podziwiałam olbrzymie palmy, które dotąd widywałam tylko w donicach w poniemieckich domach zdrojowych. Na lądzie przechadzali się ludzie. My jednak, z powodu robotniczego święta, dopiero następnego dnia mogliśmy zostać uwolnieni z okrętu klatki. Późnym popołudniem wsadzono mnie i mamę do autobusu i powieziono do pierwszego w Izraelu domu. Droga była piękna: piaski i palmy. Och! Jaka egzotyka! Kiedy dotarliśmy na miejsce, już zrobiło się ciemno. Wyszadzono nas w Hercelii (Nof Jam). Przydzielono nam niewykończony jeszcze barak, bez drzwi i okien, i co gorsza bez wody. Jak tu się umyć? Jak coś zjeść? Nie miałyśmy pojęcia.

W pokoju na prostym stole stała butelka soku pomarańczowego i leżały herbatniki. Właśnie łapczywie piłyśmy prosto z butelki, kiedy w nieistniejących drzwiach pojawili się jacyś ludzie. Przywitali nas tak serdecznie, jakbyśmy znali się od dawna, przedstawili łamanym rosyjskim i zaprosili do swojego domu, abyśmy mogły umyć się po trudnej drodze i zjeść z nimi skromną kolację. Moja matka zaczęła się niespokojnie kręcić, bo nie było drzwi, aby zamknąć „nasze mieszkanie”. Sąsiedzi ją jednak uspokoili: „tu się nie kradnie”.

Egzotyka Orientu

Dla Jurka (Uziego) Freidkina podróż do Izraela w 1957 roku na statku „Mediterranea” to był szok kulturowy. Dziesięcioletni wtedy chłopak z Łodzi po raz pierwszy zobaczył wschodnich Żydów z Maroka, o smagłej cerze, stłoczonych pod pokładem i jedzących palcami posiłek prosto z podłogi. Długie godziny patrzył na nich z góry i nie potrafił przyjąć do wiadomości faktu, że on i oni należą do tego samego narodu żydowskiego, a w nowej ojczyźnie będą tworzyli ten sam naród izraelski.

W Izraelu trudno mu było przyzwyczać się do pustynnego krajobrazu, gorącego, wilgotnego klimatu, odmiennej mentalności i zarozumiałych sabrów przekonanych o wyższości „wspaniałej kultury izraelskiej” nad kulturą polską, którą on uważał za o wiele bardziej rozwiniętą.

Dla ośmioletniej Rimony Weintraub w 1957 roku dramatycznym przeżyciem była nie

tylko podróż na statku „Jerusalaim” wraz z Żydami, jak jej się wtedy wydawało, z całego świata: z Polski, Rumunii, Węgier i Maroka, ale przede wszystkim bolesna metamorfoza mamy, która z elegantki w szpilkach z dnia na dzień przeistoczyła się w kobietę w wyświechtanym płaszczu i za dużych, gumowych kaloszach, a także to, że nowa mama zamiast zabrać ją do dużego eleganckiego mieszkania, do jakiego w Gdańsku była przyzwyczajona, wsiadła razem z nią do brązowego arabskiego autobusu jadącego do miejsca ich nowego pobytu w małej osadzie koło Nazaretu, gdzie czekał na nie azbestowy barak bez lodówki i pralki. Rimona po raz pierwszy znalazła się wtedy w autobusie, w którym ona i jej matka były jedynymi kobietami, a inni pasażerowie, ubrani w przypominające nocne koszule galabije, w chustach na głowie, mówili po arabsku. Bardzo jej trudno było wtedy zrozumieć, jak to możliwe, że ona i ci ludzie mieszkają w jednym kraju, i co ją łączy z innymi Izraelczykami.

Na początku był azbestowy barak

Trasa podróży Żydów opuszczających Polskę w początkach rządów Władysława Gomułki wiodła na ogół przez Czechosłowację i Wiedeń, a stamtąd do Włoch - do Genui lub Wenecji albo Marsylii, Neapolu i Aten, gdzie przez kilka dni lub tygodni w tanich hotelikach opłacanych przez Agencję Żydowską czekało się na rejs statkiem (najczęściej były to „Arca” - Do kraju, i „Jerusalaim”) czy też lot (rzadziej) samolotem do Izraela. Czas oczekiwania upływał na zwiedzaniu miasta i słuchaniu nagabywań przedstawicieli żydowskiej, antysyjonistycznej organizacji HIAS namawiających do osiedlenia się w Stanach Zjednoczonych lub gdziekolwiek indziej poza Izraelem, w którym Żydzi powinni mieszkać i budować swoje państwo dopiero po przyjściu na ziemię Mesjasza.

Organizowanie przyszłego życia w Izraelu rozpoczynało się już w portach europejskich. „Robotnicy wykwalifikowani, specjaliści z danych dziedzin, inżynierowie mieli uprzywilejowaną pozycję i od momentu wejścia na statek odseparowani byli od innych emigrantów”[132]. Formalności związane z pobytem w Izraelu, przydział mieszkań, ewentualnej pracy, szkół językowych - ulpanów, rejestracja danych również odbywały się na statkach lub tuż po zejściu na ląd. Ponieważ większość obozów dla emigrantów została usytuowana na prowincji, a Żydzi z Polski prosili o zakwaterowanie wyłącznie w wielkich miastach: Tel Awiwie, Jerozolimie i Hajfie, w których były skupiska polskich emigrantów, wśród uchodźców powtarzano anegdotę o tym, że urzędnicy z Sochnutu (Agencji Żydowskiej) z przyjemnością przychylają się do ich próśb i przydzielają im kwatery w „Tel

Awiwie, w dzielnicy Negew”, co w praktyce oznaczało azbestowy barak w osadzie zagubionej w piaskach pustyni Negew na południu Izraela. *Polanim* zaś grzecznie za nie dziękują i jadą prosto do centrum miast, pozostawiając nierozwiniętą prowincję Żydom orientalnym.

Jeśli nie miało się sporej sumy pieniędzy, znajomych w nowej ojczyźnie (zgodnie z popularnym powiedzeniem, „w Izraelu nie trzeba mieć protekcji, wystarczą znajomości”) lub rodziny mogącej pomóc w urządzeniu się, trzeba było zamieszkać w kibucu albo baraku nie zawsze podłączonym do elektryczności i wody, gdzie „deszcze przeciekały oknem i sufitem”[133].

Olim, którym udało się zdobyć od trzech do pięciu tysięcy dolarów - taką sumą należało w tamtych latach rozporządzać, by móc nabyć małe mieszkanie - najczęściej kupowali je w Tel Awiwie, w dzielnicy Ramat Awiw nazywanej, ze względu na jej mieszkańców z emigracji gomułkowskiej, Gomułkowem (obecnie jest to jedna z najdroższych dzielnic, a wybudowane w latach sześćdziesiątych mieszkania kosztują nie mniej niż sześćset tysięcy dolarów).

Ramat Awiw (rzędy parterowych domków i trzypiętrowych bloków) na północ od Jarkonu zaczęto budować w 1954 roku z przeznaczeniem dla rodzin emigrantów z wyższym wykształceniem i dla artystów, co praktycznie ograniczyło populację dzielnicy do Żydów europejskich mających właściwą protekcję, odpowiedni zawód lub mogących pozwolić sobie na zapłacenie wysokich cen. W początkach lat sześćdziesiątych połowę dzieci uczących się w szkole Ilanot w Ramat Awiwie stanowili *olim* z Polski. Jak wspomina Mira Ledowska: „Wszędzie można było dogadać się po polsku, ale nie wszędzie po hebrajsku. W kawiarniach siedziały polskie panusie i wychwalały Gomułkę za to, że wypuścił Żydów i pozwalał im zabierać ich własne meble, pianina, serwisy i kołdry. Przez pierwsze lata również w polskojęzycznej prasie w Izraelu pisano o Gomułce z admiracją”.

Dzięki pożyczkom sochnutowskim i zniżkom emigranci wykupywali mieszkania nie tylko w położonym wśród gajów pomarańczowych Ramat Awiwie, ale i w miasteczkach przylegających do Tel Awiwu - w Holonie, a także w Bat Jamie, w którym nowo wybudowane, nieponumerowane bloki, usytuowane przy ulicach bez nazw, rozrzucone były wśród piasków obmywanych przez fale Morza Śródziemnego. W tamtych okolicach wałęsające się bezpańskie psy szerzyły postrach wśród dzieci, a główną atrakcją stanowiły towary sprzedawane przez Arabów na ulicy.

Żydzi polscy spotykali się na wieczorkach i przy partii brydża w domach znajomych z Polski, a także w kawiarniach. W Izraelu mówiło się o polskich balach sylwestrowych i

pięknych Żydówkach z Polski. W Tel Awiwie w godzinach porannych największą popularnością wśród emigracji gomułkowskiej cieszyła się „Nica”. Wieczorem siadywało się w „Dalii”, której właścicielka chwaliła się, że miała „najpiękniejsze nogi w Warszawie”, na co odpowiadano jej: „szkoda, że nie przywiozła ich pani ze sobą do Izraela”. Oglądano występy „Mazowska” i „Śląska”, bywano na przedstawieniach z udziałem często przyjeżdżających wtedy do Izraela polskich artystów: Wojciecha Siemiona, Mieczysława Fogga, a także Mariana Hemara z Londynu występującego w Tel Awiwie z grupą artystów, wśród których wyróżniała się piosenkarka, żona generała Andersa. W Izraelu mówiło się wtedy: „jeśli żona Andersa nam śpiewa, to może Gomułka nam jeszcze zatańczy”.

Co piątek i sobotę młodzież z Polski mogła się bezpłatnie zabawić na potańcówkach w klubie Partii Liberalnej (obok dawnego kina Maxim, na rogu King George i Szderot Ben Cyjon) lub na prywatkach. Miejscem o największej sile przyciągania okazała się jednak księgarnia Ady i Mundka Neusteinów na ulicy Allenby 94. Przez ich nazywane „dziupłą” mieszkancko w pobliżu księgarni na ulicy Montefiore 30 przewinęły się obie polskie emigracje, ta z lat pięćdziesiątych i ta z sześćdziesiątych, oraz wielu wybitnych ludzi polskiej kultury i sztuki.

W sklepach i w lokalach na „polskiej ulicy” Allenby, gdzie mieściły się także polskie księgarnie, restauracje i bank Pekao, prosiło się o produkty po polsku, nie budząc tym zdziwienia ani polskiej ekspedientki, ani w stojących w kolejce klientów. Na przystankach autobusowych słychać było język polski, a wiszące na przydrożnych słupach ogłoszenia w języku polskim przytłaczały swą liczbą wszystkie inne. W kawiarniach pełno było pań i panów czytających polskie gazety wydawane w Izraelu, a w restauracjach jadło się na polską modłę świeże flaczki i nóżki w galarecie.

Jak wspomina Jurek Press, do 1961 roku na ulicy Allenby tuż przed domem z ogródkiem otoczonym sztachetami, gdzie mieściła się Ambasada PRL, przez wiele miesięcy ustawiała się duża grupa polskich Żydów (niektórzy przychodzili regularnie przez wiele miesięcy), którzy wyjechali z Polski z paszportami ważnymi tylko trzy lata i koniecznie chcieli do Polski wrócić, ale im na to nie pozwalano. O powrót do Polski starał się wraz z polskimi Żydami Marek Hłasko. W piątkowy ranek pod koniec 1957 roku nowo mianowany ambasador Antoni Bida (w Izraelu dowcipkowano na jego temat, cytując przysłowie: „Jak bida, to do Żyda”) życzliwie przyjął polskiego pisarza słowami: „Gdyby mój syn nie zginął w powstaniu warszawskim, byłby w tym samym wieku co pan Marek”, i obiecał wizę. Kiedy jednak Marek Hłasko ponownie przyszedł do ambasady w towarzystwie swego przyjaciela Jurka Pressa, Bida stwierdził: „Hłasko? Marek Hłasko? - nie znam nikogo o tym nazwisku,

komu należałby się polski paszport”.

Emigracyjna zmora - praca

Najtrudniejszym problemem w nowej ojczyźnie okazało się wyuczenie nowego języka i zdobycie pracy, zwłaszcza w wykonywanym w Polsce zawodzie. Nawet taki znany i ceniony pisarz, poeta i aforysta jak Stanisław Jerzy Lec, pochodzący z uszlachconej rodziny żydowskiej, syn barona Benona de Tusch-Letza i Adeli z domu Safrin, który przyjechał do Izraela kilka lat przed emigracją gomułkowską, w 1950 roku pracował jako stróż na budowie i nie widząc dla siebie w Izraelu perspektyw rozwoju, wrócił do Polski w 1952 roku.

„Początek życia w kraju był dla nas okresem ciężkiego zmagania się z licznymi trudnościami”, pisze we wspomnieniach z końca lat pięćdziesiątych Mina Fuks.

Najgorsze było to, że nie znaliśmy języka hebrajskiego i nie mogliśmy rozpocząć pracy w zawodzie. Postanowiliśmy jak najszybciej opanować język, lecz i tu znów napotkaliśmy trudności. Nauka na *ulpanie*, którą Sochnut nam proponował, nie była aktualna dla mnie i dla męża, gdyż należało dać utrzymanie chorej matce i dziecku przez szereg miesięcy, a może nawet rok. Postanowiłam podjąć się jakiegokolwiek pracy, by przynajmniej mężowi umożliwić ukończenie *ulpanu* i naukę języka. Znalezienie „jakiegokolwiek” pracy też nie było rzeczą łatwą. Po długich miesiącach starań udało mi się uzyskać pracę sprzątaczką w jednym z tutejszych szpitali. Było mi bardzo ciężko. Płaca była niska i z ledwością wystarczała na skromne utrzymanie dla rodziny. Jednak wytrwałam do końca, to znaczy do czasu, kiedy mój mąż po ukończeniu *ulpanu* i różnych kursów języka hebrajskiego otrzymał wreszcie pracę w szkole[134].

Jerzy Herman, dziennikarz, który przyjechał w 1958 roku, sądził, że prosto ze statku skierują go do urzędu zajmującego się przekwalifikowaniem. Jak wyglądało to w praktyce? „Niech się pan rozejrzy i poszuka”, poradził mu urzędnik „Sochnutu”. „Ludzie - przecież wy znacie ten kraj, macie telefony, aparat, urzędników, a ja nie potrafię przeczytać nawet napisu na ścianie!”, oburzył się na biurokratyczną bezduszość Jerzy Herman. „Kim pan chce być?”, zaciekał się urzędnik. „Mogę myć talerze”, odparł Herman. „A przywiózł je pan z sobą?”[135].

Od emigrantów, którzy przybyli do Izraela w latach pięćdziesiątych, zaledwie u początków kształtowania się nowego państwa, narodu i języka hebrajskiego, wymagano, aby wybrali pomiędzy byciem Żydem a Polakiem. Wiązało się to z wywieraniem silnej presji na poddawanie się rytuałowi obrzezania (wielu chłopców i młodych mężczyzn pochodzących z

komunistycznych rodzin nie zostało obrzezanych), a także z nakazem używania hebrajskiego zamiast jidysz, „zaściankowego języka Żydów wschodnich”, oraz polskiego - języka gojów.

Jednym z elementów procesu scalania Żydów w naród izraelski była procedura zmiany imion, a nawet nazwisk na hebrajskie. Pozbywanie się polskich imion i nazwisk, które stanowiły nieraz swego rodzaju pamiątkę po przeżyciach wojennych lub już raz zostały zmienione zgodnie z przekonaniem lub w myśl partyjnych wytycznych, stawało się traumatycznym przeżyciem. Wiele osób, nie mogąc się oswoić z nowym imieniem, używało podwójnych imion: polskiego w kręgu przyjaciół i rodziny oraz hebrajskiego wśród Izraelczyków. Zdarzały się humorystyczne sytuacje, kiedy Henryk nazywany Cwi nie reagował na swoje nowe imię, ponieważ go nie pamiętał i z sobą nie kojarzył.

Dziewięćdziesięcioletniej matce mojego znajomego, mającej problemy z pamięcią, pod koniec życia wydawało się, że w Izraelu zamiast jednego syna ma trzech: Włodka mieszkającego z nią kiedyś w Polsce (z nim mówiła po polsku), Zeewa, cudem odnalezionego w Izraelu (do niego konsekwentnie zwracała się po hebrajsku) oraz „Zeewa - komórka”, do którego dzwoniła pod numer zakodowany w swoim telefonie wyłącznie wtedy, gdy w czymkolwiek potrzebowała pomocy (nie mogła się go nachwalić, wciąż mówiąc, jaki dobry z niego syn).

Dla odmiany noszone przez wielu polskich Żydów imię „Zenon”, zapisywane po hebrajsku bez samogłosek, odczytane błędnie mogło zasugerować słowo *znun*, męską formę rzeczownika *zona*, prostytutka. Nic dziwnego, że trudno w Izraelu spotkać kogoś, kto odważyłby się pozostać Zenonem.

Wykształceni analfabeci

Jeśli komuś udało się urządzić - kupić mieszkanie, znaleźć pracę w jakiejś mierze związanej z poprzednio wykonywanym zawodem - to i tak pozostawał jeszcze kłopot z opanowaniem języka hebrajskiego, w czym wykształcenie, nawet wyższe, wcale nie okazywało się pomocne. Emigranci w średnim wieku i starsi mało albo prawie w ogóle hebrajskiego nie znali. Także w polskojęzycznej prasie drukującej tłumaczenia z gazet hebrajskich często zdarzały się błędy i językowe nieporozumienia.

Mój znajomy, Ryszard Löw, wydawca „Konturów”, często przytaczał anegdotkę o znajomym swoich rodziców, który mawiał: „pracuję już w tej instytucji od pięciu lat i nie jestem w stanie zapamiętać jej hebrajskiej nazwy”.

Dzieci przyswajające nowy język z łatwością, pragnące jak najszybciej stać się

podobne do rówieśników sabrów, wstydziły się swoich mówiących nieporadnym hebrajskim rodziców. Bywało zresztą i tak, że po to, żeby skrócić czas nauki hebrajskiego, dzieci, odłączane od rodziców - zdarzało się także, że rozdzielano rodzeństwo - wysyłano do szkół z internatem lub do kibuców (często do Newe-Eitan i Ein Ha'Szofet), gdzie w nowym, hebrajskim środowisku próbowano jak najszybciej zrobić z nich Izraelczyków. Młodzi na zadawane po polsku pytania odpowiadali po hebrajsku, czytali książki i gazety po hebrajsku, podczas gdy starsi - nadal po polsku. Wielu Żydów polskich, nawet ci, którzy prawie całe swoje życie przeżyli w Izraelu, wciąż czuło się w Izraelu wiecznymi *olim* - tęskniącymi do Polski.

Rodzina Hanki i Jurka Pressów, przyjaciół Marka Hłaski, do dziś ogląda prawie wyłącznie polską telewizję, spotyka się z polskimi znajomymi, mówi na co dzień po polsku, czyta polską prasę i przez kilka miesięcy w roku stara się pomieszkać w swoim warszawskim mieszkaniu. Jurek Press, który do tej pory pamięta, że mała czarna w „Nicy” w 1958 roku kosztowała pół liry, chwali się, że przez trzydzieści lat nie tknął ulubionego przez Izraelczyków *kafe hafuch* (kawy z mlekiem) „tylko dlatego, że jest to napój tubylców”. Kiedy w trakcie rozmowy o Polsce i Izraelu pytam Jurka o adres, podaje mi ulicę Hożą w Warszawie zamiast Bograszow w Tel Awiwie. Telawiwskie mieszkanie Pressów, emigrantów z 1957 roku, wygląda jak małe muzeum kultury i historii polskiej. Na ścianie wiszą wycinanki podhalańskie, zdjęcia popiersia Piłsudskiego, wykonane różnymi technikami godła Polski, na półkach stoją polskie książki, wszędzie polskie obrusy, serwisy, ciupagi, widoki, polska wódka i herbata owocowa.

W 1957 byliśmy dziećmi

Dzieci emigrantów znalazły się w Izraelu, niepytane o zgodę, na skutek decyzji swoich rodziców. Jak określił to w rozmowie ze mną Uzi Freidkin, któremu rodzice powiedzieli, że jedzie na wycieczkę: „los nagle został przerwany w środku, a my nie byliśmy w stanie temu zapobiec ani na to wpłynąć”.

Konsekwencją emocjonalnego i intelektualnego nieprzygotowania do zmiany ojczyzny, a tym samym tożsamości, był żal do rodziców o wyrwanie ze znanego środowiska i wrażenie, że jest się tu przez pomyłkę. Wielu tych, którzy w młodym wieku przyjechali do Izraela, wyjechało stąd, kiedy dorosło, a fakt nieuczestniczenia w podejmowaniu ważnej życiowo decyzji w chwili niespodziewanego opuszczenia Polski mógł być jednym z powodów. Kolejna, ich własna, emigracja pozwoliła im być może przeżyć doświadczenie

korygujące poczucie bezsilności i wpłynąć na swój los.

Z powodu materialnych kłopotów rodziców starsza młodzież, ta już po maturze lub na początku studiów, nie mogła kontynuować nauki. Ci młodzi ludzie musieli podejmować pracę zarobkową, aby zapewnić rodzinom codzienny byt materialny. Wowka Zeew Cynamon, dzisiaj właściciel winiarni, w przeszłości również nauczyciel, po przyjeździe do Izraela, aby pomóc rodzinie, przerwał naukę i przez kilka lat pracował jako kowal, bo to było jedyne zajęcie, jakie udało mu się znaleźć.

W wydanym w Hajfie w 1966 roku dokumentalnym zapisie wrażeń młodych ludzi z tej fali emigracyjnej (1956-1958) zatytułowanym *Nasze życie. Zbiór opowiadań młodzieży uratowanej z zagłady hitlerowskiej*, jedna z emigrantek, Fela, pisze:

Po ukończeniu *ulpanu* zapisałam się na Politechnikę w Hajfie, na trzeci rok [...]. Już w pierwszych dniach czułam, że nie podołam nauce z powodu nieznamości języka. Brak wszelkiej pomocy ze strony kolegów i pedagogów wobec nowej *ola* - odstraszał mnie. Z tych murów wiał chłód i obcość, bo koledzy zachowywali się jak z innego świata. Nie kontaktowali się z nami, nie pomagali nam w niczym. Profesorowie nie okazywali zrozumienia dla naszych trudności, wręcz przeciwnie, ironizowali, mówiąc: „kobiety nie muszą studiować”. Przerwałam studia[136].

A Eryk dodaje:

Studiowałem w warunkach niezwykle trudnych, bez znajomości języka, po rocznej przerwie w nauce, w nowym kraju, bez znajomych i przyjaciół. Niestety, ze smutkiem muszę stwierdzić, że nikt na uczelni sprawą moją nie zainteresował się. Gdy zalegałem z opłatą za pokój w domu studenckim, grożono mi wyrzuceniem na bruk. Nikt nie starał się dopomóc mi, byłem pozbawiony jakiegokolwiek pomocy materialnej i moralnej. W tych warunkach nie byłem w stanie podołać wymaganiom i byłem zmuszony przerwać naukę. [...] Zgłosiłem się ochotniczo do jednostki wojsk pancernych[137].

Jego relację potwierdza również Helena:

O studiach medycznych nie mogło być mowy. Zaczął się dla mnie bardzo ciężki okres, pracy nie mogłam w żaden sposób otrzymać. Nie miałam znajomych, którzy by mi pomogli w znalezieniu jakiegokolwiek zajęcia. Otrzymałam różne skierowania: do fabryki metalurgicznej, innym razem na zbiory bawełny. Po dość długim okresie wegetacji dostałam się na kurs, po ukończeniu którego zaczęłam pracować jako kasjerka w Domu Towarowym[138].

Uzi Freidkin, lingwista, tłumacz, redaktor słowników języka hebrajskiego i twórca haseł w hebrajskiej encyklopedii, z którym regularnie koresponduje, przyjechał do Izraela w

wieku siedmiu lat. O jego krytycznym stosunku do tego kraju i niemożności pełnego zasymilowania się w nowej ojczyźnie (mimo zaangażowania w tworzenie kultury hebrajskiej) przesądził zapamiętany na zawsze obraz ojca, byłego dyrektora fabryki tekstylnej, siedzącego bezradnie w ich skromnym mieszkanku i płaczącego po raz pierwszy w życiu. Uzi tłumaczył to sobie tym, że ojciec, niemówiący płynnie po hebrajsku, tęskniący do Polski, pozbawiony odpowiadającej mu pracy, nie potrafił znaleźć dla siebie miejsca w nowym izraelskim społeczeństwie.

Słońce, piasek i śnieg

We wszystkich opowieściach imigrantów pojawia się motyw zaskoczenia widokami i klimatem nowej ojczyzny: chamsinem, palącym wiatrem, wilgotnością powietrza czy piaskami pustyni, w których grzęźnie się wprawdzie na południu kraju, ale wcale się ich nie widzi w otoczonej tujami i palmami Hajfie. Wielu mówi o zachwycie zielonymi wzgórzami Karmelu, barwą turkusowego Morza Śródziemnego, widokiem zaśnieżonej Jerozolimy, choć nie oglądało się go co roku. Nowe państwo żydowskie, jak przekonali się o tym Żydzi polscy, potrafiło być wyjątkowo przewrotne. Po bardzo upalnym lecie bez kropli deszczu i z temperaturami nawet w dużym przybliżeniu nigdy niedoświadczanymi w Polsce przychodziła nagle, z dnia na dzień, zima, a z nią ulewne deszcze zamieniające ulice w potoki, kiedy w pozbawionych centralnego ogrzewania i budowanych bez izolacji termicznej mieszkaniach temperatura spadała do piętnastu czy dziesięciu stopni. W Jerozolimie bywało zresztą o wiele gorzej. Najsrozsza w Izraelu zima stulecia w 1957 roku (do tej pory można znaleźć na YouTube zdjęcia ośnieżonej Jerozolimy z 1957 roku) okryła Miasto Dawida czterdziestocentymetrową pokrywą śnieżną. Po jej stopnieniu na kolejne obfite opady śniegu Izrael czekał aż do początków następnej emigracji, tej z 1968 roku, kiedy w Jerozolimie odnotowano trzydzieści pięć centymetrów białego puchu. Emigranci, zarówno ci pierwsi, jak i ci drudzy nadal po tych wszystkich latach pamiętają swoją pierwszą zimę w „ciepłym kraju”, chłód przenikający kości, nieustanne zdumienie: dlaczego jest tu tak bardzo zimno?

Człowiek o polskim sercu i rosyjskiej duszy z żydowskim rozumem

Mimo wszystkich tych przeciwności wielu polskich Żydów z emigracji gomulłowskiej potrafiło się zasymilować i stać częścią izraelskiego społeczeństwa. Uważali, że warto było zapłacić tę cenę. „W nas został smutek”, jak pisał w swym wspomnieniu jeden

z nich, „jakkolwiek nie myślimy już o tym: czy »mamy dobry wygląd«?”. „Nie myślimy już o tym: czy nasza żydowska fizjonomia kogoś razi? Nasza obecność jest niepożądana? Czy należy tej miłej powiedzieć, że jestem Żydem? Czy nie stracę w jej oczach?”[139].

Mój przyjaciel Karol Jaron Beker, dziś izraelski emeryt mieszkający zarówno w Polsce, jak i w Izraelu, były dziennikarz, nauczyciel i wykładowca - wykłady na tematy polsko-izraelsko-żydowskie prowadzi nadal - w 1957 młody chłopak, należy do tych szczęśliwców, którym dzięki emigracji udało się wzbogacić o nową tożsamość bez potrzeby rezygnowania ze starej. Przyjaciele mówią dziś o nim: „człowiek o polskim sercu i rosyjskiej duszy z żydowskim rozumem”.

Dla niego „człowiek może mieć kilka tożsamości kulturowych, jeśli jest otwarty na świat i nie odrzuca przedemigracyjnych źródeł kultury, tylko buduje swoją nową tożsamość, dodając je do poprzedniej”.

Kiedy byłem młodzieńcem, musiałem wybierać między byciem Żydem a Polakiem - taki był *Zeitgeist* [jidysz - duch czasu] okresu mojej emigracji - a właściwie nie miałem wyboru, bo rodzice wyjeżdżali i ja, jako niepełnoletni, musiałem wyemigrować, choć tego nie chciałem, i stać się Żydem i Izraelczykiem subiektywnie, to znaczy świadomie (obiektywnie urodziłem się do mego żydowskiego losu od samego początku, na Syberii, gdzie podczas wojny znalazła się moja polsko-żydowska rodzina), choć na całe życie zostałem sformatowany kulturowo na Polaka. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że jeśli nie chcę się wyrzekać samego siebie, to ta kwestia jest już zamknięta. Wrastając w hebrajską kulturę, nie chciałem w żadnym wypadku zrezygnować, jako człowiek, z moich poprzednich źródeł tożsamości. I tak się stało, że stając się Izraelczykiem, kontynuowałem bycie Polakiem i nawet trochę Rosjaninem, bo i tej kultury łyknąłem niemało. Może te moje potrójne kulturowe przywiązania mają wiele luk, ale bez zbytej pychy mogę powiedzieć, że mi z tym dobrze, bo moje spojrzenie na świat jest bardziej panoramiczne, niż gdybym wybrał obsesyjnie tylko jedną tożsamość. Nie mogłem jednak zignorować faktu, że jestem nie jakimś tam Żydem czy tylko Izraelczykiem, ale polskim Żydem i jako polski Żyd także Polakiem. Moja kultura jest częścią polskiej kultury, bo Żydzi polscy byli nie tylko jej odbiorcami, oni ją też aktywnie tworzyli. Gdyby nie powieści Żyda, Bashevisa Singera, świat nie miałby pojęcia, że gdzieś tam w Polsce istnieje mała wieś Goraj koło miasteczka Biłgoraju. Zdarza mi się, że kiedy rozmawiam z kimś w Polsce po polsku, a w trakcie rozmowy okazuje się, że jestem Izraelczykiem, słyszę często: „O! Całkiem dobrze mówi pan po polsku!”. Rewanżując się, odpowiadam: „Pan też”.

„Ojczyznę trzeba mieć” - emigracja pomarcowa

- Andrzej Gaj Rybicki vel Fiszman - tak powinnaś mnie nazywać, tak jak nazywali nas wtedy, w 1968, Polacy.

- Nas, czyli kogo? - pytam Gaja, z którym rozmawiam po hebrajsku, bo Gaj, choć doskonale zna język polski, woli mówić po hebrajsku.

- Nas Polaków, bo wtedy my byliśmy Polakami. Dopiero w 1968 uświadomiono nam, że nimi nie jesteśmy i okrzyknięto nas piątą kolumną. Z dnia na dzień przestałem być tym, za kogo się podawałem i kim faktycznie byłem. Wmawiano mi, że jestem kimś innym - syjonistą, niepotrzebnym, niechcianym i wrogim elementem, a moje miejsce jest „u Dajana”, a nie w Polsce.

- Zastanawiałeś się nad decyzją o wyjeździe z Polski?

- To emigranci gomułkowscy zastanawiali się, czy wyjechać. Myśmy nie chcieli wyjeżdżać. Byliśmy u siebie, Polacy w Polsce. Gdzie mieliśmy jechać? Gdybyśmy czuli, że naszą ziemią jest Izrael, wyjechalibyśmy pod koniec lat czterdziestych albo w 1957, kiedy ponownie dano nam „luksus” wyboru ojczyzny. My wybraliśmy Polskę, byliśmy Polakami i zapłaciliśmy za to cenę wyparcia się żydowskości: religii, tradycji, a nawet wspomnień.

- Jak się czułeś, wyjeżdżając?

- Upokorzony, zawiedziony i zaskoczony niesprawiedliwością... Nie mogłem zrozumieć, dlaczego kwestionuje się moją tożsamość. Odebrano mi polskie obywatelstwo, pozwolono na wymianę złotych w banku na sumę równą pięciu dolarom, bo tyle można było zabrać ze sobą oficjalnie jako obcą walutę i rozkazano wyjechać w ciągu miesiąca, jakbym był zdrajcą. Ale to mnie zdradzono! Nikt mnie nie odprowadzał, moi koledzy za bardzo się bali. Kiedy z okna pociągu do Wiednia patrzyłem na pusty peron, zrozumiałem, że zrobię wszystko, by zapomnieć kraj, który napluł mi w twarz, pozbawił domu, wiary w ludzi i skazał na banicję.

- Znalazłeś w Izraelu swoją „ziemię obiecaną”?

- Wręcz przeciwnie. Wszystko mnie odrzucało: pogoda, brzydkie miasta, piasek, niezrozumiały język, Żydzi z innych kręgów kulturowych, z którymi nie czułem żadnej więzi, jedzenie o smaku, do jakiego nie byłem przyzwyczajony, obcość krajobrazów i kultury... Nie miałem jednak wyboru. Musiałem się do Izraela przyzwyczaić, zaakceptować go i uczynić

swoim, jeśli nie dla siebie, to dla swoich dzieci, by nikt ich nigdy nie śmiał wyrzucić z kraju, gdzie zbudowały swój dom.

Jestem jak adoptowane dziecko, którego wyrzekli się rodzice. Pokochałem swoją nową rodzinę, ale nadal jestem częścią moich rodziców biologicznych i nie potrafię tego zmienić.

- Tęskniłeś?

- Nie. Nie pozwalałem sobie na to, a kiedy mi się zdarzało, wystarczyło, żebym przypomniał sobie aplauz tłumów, kiedy Gomułka oświadczył: „Każdy obywatel powinien mieć tylko jedną ojczyznę - Polskę Ludową”. I zamiast tęsknoty pojawiał się gniew. Nie chciałem z taką Polską mieć nic wspólnego, nigdy do niej wrócić, myśleć o niej i nawet mówić po polsku, bo dla mnie język polski stał się językiem zdrady. Pamiętam, że w tamtych latach cytowano autentyczne powiedzenie Antoniego Słonimskiego: „Ja rozumiem słuszność żądania, żeby każdy Polak miał tylko jedną ojczyznę... ale dlaczego to ma być Egipt?”.

- Udało ci się zapomnieć i nie wrócić do Polski?

Przez chwilę milczy.

- Nie. Pojechałem, ale dopiero w latach dziewięćdziesiątych. Czuję się tam obco. Już do niej nie należałem.

- Czy mógłbyś wrócić na stałe albo sobie wyobrazić, że Twoje dzieci żyją w Polsce?

- Kilkoro moich znajomych to zrobiło. Ja nie chcę już wracać. Moje dzieci też nie mają tam czego szukać. Zapuściłem korzenie w Izraelu i tym razem postawiłem na żydowskość, choć Polska tkwi we mnie jak zadra. Nie pozwala mi o sobie zapomnieć.

Polska się dzisiaj zmieniła. Nie za bardzo rozumiem, dlaczego nagle w niej tyle żydowskich festiwali, restauracji, zespołów artystycznych, sztuk Hanocha Levina i studiujących żydowską kulturę studentów. Skąd oni się nagle wzięli? Przecież to dzieci tych, którzy nas w Polsce nie chcieli! Wyobraź sobie, że mój kolega, który na stare lata postanowił nagle stać się „prawdziwym Żydem” i nauczyć się żydowskiego języka swoich przodków, jeździ na kurs jidysz do Warszawy, bo takich dobrych nie ma w Izraelu. Rozumiesz ten absurd?

- Czym jest dla ciebie Polska?

- Kochanką. Kochałem i pożądałem, a ona mnie zdradziła, kompromitując się w moich oczach.

- Czy mimo wszystko czasem czujesz, że do niej należysz?

- Sama chyba już rozumiesz, że nawet gdybym chciał być częścią narodu polskiego, prawo do tego odebrano mi w 1968 roku i do tej pory go nie zwrócono. Kolega opowiadał mi,

że w początkach lat osiemdziesiątych pojechał z żoną na urlop do Szkocji. Idąc ulicą, rozmawiali po polsku. Nagle usłyszał krzyk: „Rodacy!”. Chwilę później starszy pan z Matką Boską wpiętą w klapę marynarki obejmował go wzruszony i całując, tłumaczył, że mieszka w pobliskim miasteczku od czasów zakończenia wojny i nadal tęskni za Polską, Polakami i polskim językiem. Zażenowany sytuacją polski Żyd nie wiedział, jak zareagować. Owszem i on tęsknił do Polski, ale był Polakiem „specjalnego rodzaju”, jak sam to określił, do którego ów pan może wcale nie tęsknił i nie uważał go za swego „rodaka”.

Czas pożegnania

Wsiedli do pociągu na Dworcu Gdańskim w Warszawie i odjechali. Pożegnali ich tylko najwierniejsi z grona znajomych i współpracowników. No cóż, „prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie”, a w tamtym czasie trwała antysemicka nagonka i niebezpiecznie było przyznawać się do tych, którzy, jak twierdziła komunistyczna propaganda, „w obliczu zagrożenia pokoju światowego, a więc również bezpieczeństwa Polski i pokojowej pracy narodu polskiego, opowiadają się za agresorem, za burzycielami pokoju”[140].

Po Marcu ‘68 wielu Polaków zastanawiało się pewnie, jak potoczyły się w Izraelu losy przyjaciół, pierwszych miłości, sąsiadów, kolegów z uczelni i z pracy.

Pod wpływem fali antysemityzmu i oświadczenia Władysława Gomułki: „Nie czyniliśmy przeszkód obywatelom polskim narodowości żydowskiej w przeniesieniu się do Izraela, jeśli tego pragnęli. [...] Każdy obywatel Polski powinien mieć tylko jedną ojczyznę, Polskę Ludową”, około piętnastu tysięcy Polaków pochodzenia żydowskiego, głównie inteligencji, opuściło Polskę, podając Izrael jako miejsce, do którego emigrują. W tamtych latach nie można było podać innego celu podróży. Do Izraela jednak, według CBS, faktycznie dotarło tylko około trzech tysięcy Żydów i ich nieżydowskich partnerów. Ponad siedemdziesiąt procent wolało osiedlić się w pobliżu Polski: w Skandynawii, głównie w Szwecji i w Danii, w innych państwach europejskich, a także Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Australii. Marcowi uchodźcy utożsamiający się z „takim rodzajem Polaka, który jest Żydem”[141], czuli, że nie mają zbyt wiele wspólnego z państwem Żydów i o wiele więcej łączy ich z europejską Szwecją przyjmującą ich jako uchodźców politycznych niż z odległym, obcym im Izraelem. Wiadomo było, jakie w Skandynawii są warunki i świadczenia socjalne, ilu jest tam znajomych, co czeka nowych emigrantów. Wyjeżdżano tam, by być blisko Polski, znajomych czy rodziny. Łudzono się, że z paszportem mniej

„problematycznym” niż izraelski szybciej i łatwiej będzie można wrócić do starej ojczyzny.

Izrael natomiast jawił się jako państwo o niepewnej egzystencji, niebezpieczne i niestabilne, gdzie toczą się wojny. Odstraszały gorący klimat, stosunki z Palestyńczykami, niski w stosunku do europejskiego czy amerykańskiego poziom życia. Dobrowolnie zdecydowali się tam pojechać tylko najbardziej syjonistycznie nastawieni polscy Żydzi. Ta mniejszość, w przeciwieństwie do pozostałych nie zawsze świadomych tego, że są Żydami (mówiło się o nich: to ci, „których Gomułka nie obrzezał, ale za to udało się to Marcowi”), nie miała wątpliwości co do swej podwójnej przynależności. Oni byli Żydami - wychowanymi na Polaków, ale zakorzenionymi w środowisku żydowskim. W ich domach przestrzegano się niektórych ceremoniałów, rodzice czasami mówili w jidysz, a oni chodzili do nielicznych już żydowskich szkół i klubów młodzieżowych Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce. Pochodzili z rodzin, które utrzymywały kontakty z krewnymi w Izraelu, miały tam znajomych. „Nas tak wychowano, że czuliśmy, że ojczyznę trzeba mieć”, tłumaczył mi Bralek (Branley Zeicher), jeden z najbardziej znanych i lubianych przedstawicieli pokolenia „marcowych studentów”, organizator polskich spotkań w Izraelu, kiedy z nim rozmawiałam w Jerozolimie w marcu 2012 roku.

„W 1969 roku, gdy przyjechałem tu z Warszawy, miałem dziewiętnaście lat. Wybrałem Izrael, ponieważ to był jedyny kraj, który gwarantował mi, że jako Żyd nie będę w nim dyskryminowany. Dostałem zakwaterowanie na trzecim piętrze budynku bez windy” - opowiadał Cvi, poznany przeze mnie w latach dziewięćdziesiątych w księgarni Neusteinów.

Przyjechałem zniszczoną, nieprzyjemnie pachnącą taksówką. Wyciągnąłem z bagażnika dwie olbrzymie, ciężkie walizki. Postawiłem je na chodniku, czekając, by taksówkarz, wyglądający na Araba, pomógł mi je wnieść. Ku mojemu zdziwieniu wcale się do tego nie kwapił, jakby w ogóle nie rozumiał, czego od niego żądam. Kiedy mu wyjaśniłem, że oczekuję, by wniósł walizki na trzecie piętro, roześmiał mi się w twarz, zatrzasnął drzwi taksówki i odjechał, rzuciwszy jakieś przekleństwo. Byłem wtedy przekonany, że to jakiś antysemita. Dopiero później zrozumiałem, że to był typowy Izraelczyk. Ja myślałem, że Żydzi w Izraelu będą podobni do mnie i mojego sąsiada z Nowego Świata. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że są Żydzi wschodni. Dla mnie kulturowo to byli Arabowie wyznania mojżeszowego. Nic mnie z nimi nie łączyło i to był dla mnie największy szok w Izraelu. Państwo Żydów okazało się prymitywnym krajem lewantyńskim, nie zaś europejskim, jak się spodziewałem. W tamtych czasach „kultura izraelska” to był akordeon i tańce ludowe na bosaka, i powszechny brak estetyki. Świat, który zostawiłem, przypominała jedynie ulica Dizengoff w Tel Awiwie z nowoczesnymi sklepami,

życiem kawiarnianym i ubranymi według najnowszej mody spacerowiczami. Pewnego razu, kiedy nią szedłem, zauważyłem ekskluzywny sklep jubilerski świecący diamentami z wystawy. Nad wejściem olbrzymimi literami wypisane było moje nazwisko. A że było ono rzadkie w Polsce i po Szoah nie odnaleziono znaku życia po części mojej rodziny, bardzo się ucieszyłem, że jeszcze ktoś nosi to samo nazwisko i całkiem nieźle mu się w Izraelu powodzi. Wszedłem do środka i poprosiłem ekspedientkę, by jak najszybciej zaprowadziła mnie do właściciela sklepu. Niski, otyły pan w przepoconej koszuli siedział za masywnym biurkiem i przez lupę oglądał jakiś wisiorek.

- Jestem nowym emigrantem z Warszawy - przedstawiłem się entuzjastycznie w jidysz, a właściciel spojrział na mnie zdziwiony. - Moje nazwisko jest... - i tu zrobiłem dramatyczną pauzę, po czym uśmiechając się, wypowiedziałem je bardzo dobitnie i głośno - Perel. Najprawdopodobniej jesteśmy jedną rodziną! Cieszę się, że nareszcie kogoś znalazłem!

Jubiler uważnie zlustrował od stóp do głów moją skromną osobę i odrzekł z przekonaniem:

- Pan i ja nie możemy być rodziną! To pomyłka. Tam są drzwi. - Wskazał mi je niedbale głową i wrócił do przerwanej pracy, jakbym dla niego nie istniał.

Pierwszy okres pobytu w Izraelu odarł mnie ze wszystkich złudzeń. W Polsce wyobrażałem sobie, że Izrael jest o wiele ciekawszy, niż się o nim słyszało. Chciałem w to wierzyć, ale teraz już nie potrafiłem. Wrażenie, jakie na mnie wywarł, zbyt było negatywne. W zasadzie nic mi się w nim nie podobało aż do czasu rozpoczęcia studiów w Jerozolimie. Mój starszy brat, który z entuzjazmem przyjechał do Tel Awiwu rok przede mną, chcąc mi zaimponować nowym krajem, wspinał się razem ze mną na wybudowany w 1965 roku „najwyższy na całym Bliskim Wschodzie, w Azji, Afryce i Oceanii” budynek - trzydziestoczeropiętrowy Migdał Szalom, wysoki na sto dwadzieścia metrów. Od lat sześćdziesiątych był on powodem do dumy wszystkich Izraelczyków. „Popatrz”, powiedział Andrzej. „To jest Tel Awiw”. Popatrzyłem i czułem, że mam ochotę skoczyć stamtąd w dół. Znam takich, którzy faktycznie tego widoku nie wytrzymali i dziś już nie ma ich wśród nas.

Dziesięć lat nieufności

Izraelczykom, sabrom, wydawało się, zwłaszcza po wojnie sześciodniowej, że Izrael jest krajem najwspanialszym na świecie, przewyższającym inne pod każdym względem. Polscy emigranci z 1968 byli o wiele bardziej krytyczni. W ich wspomnieniach wielokrotnie powtarza się scena spotkania z mieszkającymi od lat w Izraelu polskimi krewnymi, której

niezapomnianym bohaterem jest przykryte obrusem pudło stojące w pokoju stołowym na honorowym miejscu i ceremoniał jego odsłonięcia.

- Czy wiesz, co to jest? - pytano polskich emigrantów, pokazując szklany ekran z przyciskami.

- Nie mam pojęcia - żartowali młodzi ludzie z Polski.

- Te-le-wi-zor! - odpowiadali dumni z rozwoju izraelskiej techniki Izraelczycy, uczący przybyłych zza żelaznej kurtyny krewniaków nowego w ich mniemaniu słowa.

- A jak to działa? - Krewniacy chętnie wchodzili w rolę zacofanych emigrantów. - Możecie nam pokazać?

- Teraz nie można, bo program nie jest jeszcze nadawany - padała zwykle odpowiedź.

- Ale wierz nam na słowo, że czegoś takiego w waszej Polsce jeszcze nie oglądałeś.

Tymczasem w Polsce pierwszy program telewizyjny wyemitowano 12 października 1952 roku. W Izraelu, ponieważ jego premier David Ben Gurion był telewizji przeciwny - zaczęto realizować plany związane z jej wprowadzeniem dopiero czternaście lat później, w 1966 roku. W 1961 w Polsce program telewizyjny można było oglądać codziennie, a od 1970 Telewizja Polska miała już dwa kanały, osiem ośrodków regionalnych i ogólnopolskie programy powszechnie oglądane na wyprodukowanym w 1967 roku dziewiętnasto - i dwudziestocalowym odbiorniku telewizyjnym Ametyst.

W Izraelu w 1968 rozpoczęto nadawanie pojedynczych audycji (lekcji matematyki i języka angielskiego oraz programów informacyjnych), które z biegiem czasu przekształciły się w programy nadawane raz dziennie przez trzy dni w tygodniu.

„Jak mogliście?”

Na emigrantów z Polski, wśród których liczba osób z wyższym wykształceniem ośmiokrotnie przewyższała wskaźnik procentowy dla ogółu izraelskiej populacji, czekano w Izraelu z pretensjami. Jedni, przybyli zaledwie dziesięć lat wcześniej, pytali nowych *olim*: „Dlaczego nie wyjechaliście razem z nami? Zaoszczędzilibyście sobie wiele goryczy, a nam wstydu”. Inni, zdomowieni tu od pierwszych lat powojennych, dorzucali: „Jak mogliście przez całe lata pozostać w kraju będącym cmentarzem naszego narodu? Co stało się z waszą żydowskością, za którą nasze rodziny zapłaciły krwią?”. Nawet pochodzący z rodzin należących do emigracji gomułkowskiej młodzi ludzie, rówieśnicy emigrantów z 1968, pokonczywszy w Izraelu szkoły średnie, gdzie nie przerabiano Mickiewicza, czuli się częścią Izraela i nie potrafili znaleźć z nowo przybyłymi wspólnego języka. Emigracja

powojenna i *alijat Gomulka* mało wiedziały o emigracji pomarcowej. Zajęte własnym niełatwym życiem, potrafiły się z nimi zidentyfikować w poczuciu wyrządzonej im krzywdy, nie zawsze jednak miały na tyle silne poczucie przynależności do Polski i emocjonalnego z nią związku, by uraz do Polski okazał się słabszy niż przywiązanie do niej.

„Kiedy usłyszałem, jak z nimi postąpiono, strasznie obraziłem się za nich na Polskę”, twierdzi Dani Tracz, przedstawiciel emigracji gomułkowskiej. „Kulturowo są to Polacy, a nie Żydzi. Gdyby ich nie zmuszono do wyjazdu, oni nie opuściliby Polski, która dla nich była ojczyzną”.

„Pokolenie emigrantów z lat 1968-1969 zwykle nie jest antypolskie, bo wychowało się w polskim środowisku, z polską młodzieżą, na tych samych komponentach kulturowo-socjalnych”, wyjaśnia Bralek. I Dani się z nim zgadza, mówiąc: „Emigracja z tych lat jest najbardziej propolska”. Cwi zaprzecza takiemu wnioskowi. „Gdyby tak faktycznie było, nie byłoby pewnej widocznej tendencji. Otóż wśród organizacji polsko-izraelskich, takich jak Towarzystwo Przyjaźni Izrael-Polska, przez które przewinęły się setki polskich Żydów, nie ma w ogóle przedstawicieli Marca '68, bo im większe było nasze przywiązanie do Polski, tym większe stało się nasze rozczarowanie. W kolejkach do ambasady w Tel Awiwie nie zobaczysz zbyt wielu osób z mojego pokolenia. Polska nas nie chciała, to i my też już jej nie chcieliśmy. Ja nie mam oficjalnego obywatelstwa polskiego i nigdy nie poproszę o nie, mimo że przez całe lata co noc śniła mi się Polska i kiedy budziłem się rano, byłem zawiedziony, że to tylko sen”.

„My, z 1968”

Emigracja pomarcowa w Izraelu traktowana jest po macoszemu. Nie pisze się o niej zbyt wiele, a jeśli już to eksponuje się przymusowe opuszczenie Polski, zdawkowo traktując fakty związane ze szczególnym, polskim, poczuciem tożsamości tych emigrantów. W oficjalnych izraelskich publikacjach prawie nie ma informacji na ich temat. W niektórych źródłach dane o alijach z Polski kończą się na latach pięćdziesiątych. Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest stosunkowo mała liczebność tej grupy, a także jej specyfika.

Dla całej tej alii, przez Jerzego Eislera nazwanej „emigracją inteligenką”, wypadki marcowe były kolektywnym punktem zwrotnym w życiu, najbardziej dramatycznym epizodem w biografii. Jej rdzeń stanowiła młodzież żydowska urodzona w pierwszych latach po wojnie w nowym, socjalistycznym ustroju. Ci młodzi mieli ze sobą wiele wspólnego. Mieszkali w większości w dużych miastach - bardzo wielu w Warszawie. Pochodzili z

inteligentnych rodzin żydowskich, przeważnie komunistycznych i zasymilowanych, często od dwóch i więcej pokoleń, które przeżyły okupację w Polsce po aryjskiej stronie, ponieważ miały tak zwany aryjski wygląd i kontakty z Polakami. Ich dzieci dorastały, czytając te same książki, wiersze i gazety, słuchając Ireny Santor, Czerwonych Gitar i Skaldów, oglądając *Czterech pancernych i psa* i kochając się w Marusi, granej przez Polę Rakę. Żyły w podobnych warunkach, w tym samym ustroju.

W 1968 oni wszyscy byli w zbliżonym wieku - mieli mniej więcej po dwadzieścia lat. Większość nie zdążyła jeszcze założyć własnych rodzin, ale to już byli dorośli, w pełni ukształtowani w sensie osobowościowym i ideologicznym ludzie, niezależni od piastujących wysokie stanowiska rodziców, którzy nadal wierzyli w to, że ustrój Polski Ludowej zapewnia pełną asymilację. Dawało to poczucie wspólnoty losu i tożsamości. „Jesteśmy jedną wielką kopniętą przez los rodziną”, mawiał inicjator i organizator spotkań emigrantów pomarcowych w Izraelu, Reunion '68, nieżyjący już Michał Ponczek.

Kiedy dotarli do Izraela, krajem rządziła Partia Pracy. Nieżydowscy współmałżonkowie przybyli wraz z nimi i, o ile tego chcieli, zostali zapisani - bez sprawdzania - jako Żydzi. Ci, którzy mieli trudne do wypowiedzenia po hebrajsku imiona, często pierwszego dnia, od razu na lotnisku zmienili je na nowe, wpisane do izraelskich dokumentów bez zbędnych procedur, bez pozostawienia formalnego śladu po tym, że Tomasz stał się Tuwią. Warunki bytowe w Izraelu diametralnie się zmieniły wraz z pierwszą wypłatą rent dla ofiar faszyzmu i niemieckich rekompensat wojennych przekazanych w latach 1953-1965. Nie mieszkało się już w barakach ani w obozach dla emigrantów. Izrael mógł sobie pozwolić na przyznanie *olim chadaszim* mieszkań, pożyczek na dogodnych warunkach, stypendiów na naukę, gotowych miejsc pracy i ofert studiów, na których część egzaminów zdawało się po polsku u swoich dawnych polskich profesorów pracujących teraz w wyższych uczelniach izraelskich. Po zwycięskiej wojnie sześciodniowej nastąpiły najlepsze izraelskie lata dobrobytu i wiary w przetrwanie, poczucia siły i jedności narodu. Izraelczycy pomagali sobie nawzajem i potrafili zarazić nowych emigrantów entuzjazmem zrodzonym z mitu „niezwycięzonej armii”. Przyszłość rysowała się w optymistycznych barwach.

W swoich rozmowach z emigrantami marcowymi zauważyłam charakterystyczną prawidłowość. Opowiadając o przyczynach swojej emigracji i o tym, co się z nimi działo, bardzo szybko przechodzili z liczby pojedynczej na mnogą, jakby czuli się reprezentantami jednej grupy i podobnego losu. Innym *olim* się to nie zdarzało, w ich relacjach „my”, o ile w ogóle występowało, oznaczało najbliższą rodzinę. Ci z Marca '68 nierzadko zostali rozdzieleni z rodzeństwem czy rodzicami, którzy nie zdecydowali się na wyjazd do Izraela,

może dlatego sami stali się dla siebie rodzajem zastępczej rodziny. Osiedli zresztą w tych samych miejscach, głównie w akademikach izraelskich uniwersytetów, gdzie trzymali się razem. „Było nas za mało jak na to, by stanowić enklawę, ale wystarczająco dużo na odrębność”, mówi o swojej grupie Bralek.

Większość studiowała na Uniwersytecie Jerozolimskim. Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych młodzi ludzie przyjeżdżali do tego miasta z obozów dla emigrantów lub wprost z lotniska. Religijni, a zwłaszcza ultraortodoksyjni Żydzi nie wywierali jeszcze tak przytłaczającego wpływu ani na państwo, ani na Jerozolimę jak obecnie i ulice kipiwały młodością. „Izrael wtedy był wspólnotą”, powtarzają imigranci z Marca '68, „i bardzo szybko staliśmy się jego częścią”. „Dość szybko przerobiliśmy lekcję syjonizmu i teraz my pytaliśmy tych, którzy nie przyjechali do Izraela, dlaczego mieszkają w Kopenhadze, a nie w Tel Awiwie. A kiedy przed sylwestrem przywieziono na kampus jerozolimski grupę żydowskiej młodzieży polskiego pochodzenia mieszkającej w Szwecji, odświeżyliśmy stary okrzyk: «Bić Szweda!»,,

„Głucho wszędzie, ciemno wszędzie”

Z polskimi przyjaciółmi imigranci z 1968 korespondowali przez jakiś czas, dopóki dorosłość, rodzina, praca, zaangażowanie w życie polityczne i społeczne w Izraelu całkowicie ich nie pochłonęły. W zaaklimatyzowaniu się w nowym kraju pomogła świadomość nieuchronności tego, co się stało. „Myśmy nie mieli do czego wrócić. Nasze najbliższe środowisko, to, w którym wzrastaliśmy, przestało istnieć”, tłumaczył Bralek. „Byliśmy przekonani, że ustrój socjalistyczny jest stabilny i trwać będzie wieki, a póki on istniał, nie mieliśmy szansy na powrót do Polski. Praktycznie więc nie mieliśmy gdzie wrócić. Jeżeli chcieliśmy się czuć równoprawnymi obywatelami i mieć ojczyznę, to musieliśmy się stać Izraelczykami, postanowić, że tu zbudujemy nasz dom i przyszłość naszych dzieci”.

„Emigracja z 68 roku - głównie jej młodsza i dominująca część - po przyjeździe do Izraela robiła wszystko, aby jak najszybciej otrząsnąć się z szoku polskiego Marca”, twierdzi dziennikarz, Henryk Szafir.

W odróżnieniu od tych, którzy wyjechali do Austrii, Szwecji i Danii, między innymi po to, żeby fizycznie nie oddalać się od Polski (na wszelki wypadek), Żydzi, którzy znaleźli się w Izraelu pomni doznanych krzywd, poniżeń i antysemickich ataków, chcieli szybko włączyć się w nową rzeczywistość. Szło to w parze z próbą, najczęściej bolesną, radykalnego przecięcia węzła gordyjskiego, który łączył ich jeszcze z Polską. Ten swoisty proces

mentalnej separacji ze Starą Ojczyzną był tym skuteczniejszy, że jeszcze długo po roku 1968, przynajmniej do połowy lat siedemdziesiątych, władze polskie w dalszym ciągu kontynuowały nagonkę antyżydowską i antyizraelską. Wszystko to sprawiło, że nawet starsze pokolenie marcowych emigrantów zaczęło odczuwać jeszcze bardziej negatywne emocje wobec Polski[142].

Żydzi z tej emigracyjnej fali szybko nauczyli się hebrajskiego, choć to niełatwy język, którego literki, jak to nazwała imigrantka z 1968, doktor medycyny, Zofia Ziuta Ferleger-Śmietańska, „przypominały kształtem chromosomy”. Za źródło swojej wiedzy o Izraelu i świecie obierali izraelskie, a nie polskojęzyczne gazety, głównie „Haarec” i „Maariw”, rzadziej „Jedijot Achronot”. Byli zbyt małą grupą, by pojawiła się potrzeba wydawania gazety w języku polskim przeznaczonej specjalnie dla nich jako nowych emigrantów. Dlatego też, jak stwierdza Maria Lewińska, „choć zastali zorganizowane życie literackie w języku polskim, nie wnieśli do niego niczego nowego”[143].

Po studiach i służbie w wojsku, gdzie nawiązali nowe kontakty ze społecznością młodych Izraelczyków, w biografii pokolenia marcowego rozpoczął się etap izraelskości i przyszedł czas powrotu z Jerozolimy do Hajfy, a przede wszystkim do Tel Awiwu - miejsca zamieszkania tych rodziców, którzy zdecydowali się na przyjazd do Izraela. W Jerozolimie, jak twierdzą niektórzy, język polski rozumiany był przeważnie tylko przez „swoich”, Żydów polskiego pochodzenia. W Tel Awiwie czy Hajfie, najprężniejszych ośrodkach polskości, należało uważać na to, co się mówi po polsku, bo mogło się być bez problemu rozumianym. Inni, mieszkający w początkach lat sześćdziesiątych w Jerozolimie, podkreślają, że „w Jerozolimie zawsze było wielu emigrantów z Polski, chociażby w dzielnicy Kiriat Jowel (odpowiednik telawińskiego Ramat Awiwu), i również to miasto zawsze było ważnym ośrodkiem polskości”.

Kiedy przyszedł czas na założenie własnej rodziny, emigranci pomarcowi często wybierali współmałżonków ze swojej grupy. Jak mówił Bralek, głównie „dlatego, by mieć pewność, że jeśli się powie: »głucho wszędzie, ciemno wszędzie«, to ta druga osoba, z którą będzie się dzielić życie, zrozumie, co to znaczy, i bezbłędnie odpowie: »co to będzie, co to będzie«,..

Byli jednak wśród nich również tacy, dla których proces stawania się Izraelczykami okazał się bardziej skomplikowany, najpierw bowiem z Polaków pochodzenia żydowskiego musieli stać się Żydami.

„Kiedy w latach dziewięćdziesiątych przyjechałem po raz pierwszy od czasów mojej emigracji do Polski, musiałem w hotelu wypełnić ankietę meldunkową”, opowiadał Cwi.

„Zgodnie z tym, co mi kiedyś w Polsce wytknięto, a co stało się dla mnie w Izraelu faktem, w rubryce »narodowość« wpisałem: Żyd”. „Pan się chyba pomylił”, zwróciła mi uwagę zażenowana sytuacją recepcjonistka. „W tym miejscu powinien pan napisać: narodowość izraelska”. „Nie, proszę pani”, zaproponowałem zdecydowanie. „Ja jestem Żydem. Izraelczykiem może być dopiero mój urodzony w Izraelu syn, który nie wie, co to znaczy doświadczyć antysemityzmu”.

Nowi Izraelczycy przeszli chrzest bojowy w 1973 roku w wojnie Jom Kippur. Izrael, który nie był do niej przygotowany, poniósł duże straty, co wywołało ogólnonarodową traumę i położyło kres entuzjastycznemu optymizmowi w postrzeganiu przyszłości państwa żydowskiego i narodu izraelskiego. To wydarzenie, wyjątkowe w historii Izraela, stało się znaczące również w osobistej biografii Żydów z Polski, nie tylko tych mieszkających w nowej ojczyźnie od kilku zaledwie lat, ale także tych ze starszej emigracji gomulłowskiej. Dla jednych oznaczało wzmocnienie poczucia przynależności do narodu izraelskiego. Dla innych - nową emigrację, głównie do Stanów Zjednoczonych i Kanady. Wyjeżdżali najczęściej ci, którzy tu przyjechali już po studiach i nie znaleźli odpowiadającej im pracy. Sporo osób po to, by być bliżej rodziców czy krewnych oraz osiągnąć wyższy standard życia. Izraelska rzeczywistość okazała się zbyt trudna. Łatwiej było być Żydem w Nowym Jorku niż w Tel Awiwie.

Polska widziana z Izraela

W Izraelu, z którym Polska zerwała stosunki dyplomatyczne w 1968 roku, nie interesowano się tym, co dzieje się nad Wisłą, w kraju bez Żydów. A jeśli już się o nim pisało, to głównie o sprawach dotyczących Żydów. Emigranci z Marca '68, którzy osiedlili się w Skandynawii, aktywnie działali na rzecz pomocy Polsce podczas kryzysów politycznych, szczególnie w okresie „Solidarności” i stanu wojennego. Ci z Izraela nie byli do tego skłonni. Kiedy w parlamencie padła propozycja, aby przedyskutować kwestię ewentualnej pomocy Polsce, Ebi Nathan (urodzony w Iranie), wyrażając poglądy większości Izraelczyków, powiedział: „Dlaczego mamy pomagać tym, przez których musieliśmy opuścić Polskę?”.

„Myśmy nie wiedzieli, co dzieje się w Polsce w czasie stanu wojennego. Kiedy świat zajęty był śledzeniem wydarzeń w Polsce będącej na pierwszych stronach gazet, u nas mówiło się o tym, że Begin wykorzystał chwilowe odwrócenie uwagi od Izraela, by wprowadzić prawo izraelskie na zaanektowanych wzgórzach Golan”, wyjaśniał Bralek. Izrael

nie interesował się Polską. Miał własne problemy.

Kontakty dyplomatyczne zostały wznowione dopiero po 1989 roku[144] - nowa, demokratyczna Polska pozwoliła Izraelczykom odwiedzać starą ojczyznę. Emigranci z Marcu '68 zaczęli tam jeździć wraz ze swoimi dziećmi, by pokazać im kawałek istotnej dla siebie przeszłości. Ich dzieci, zgodnie z naturą asymilacji w nowym kraju, tylko w ograniczonym stopniu mówią po polsku: najlepiej potrafi porozumieć się w tym języku zazwyczaj pierwotne dziecko słuchające rozmawiających po polsku rodziców; następne mówi po polsku gorzej, a kolejne zna język wyłącznie biernie. (Wszystkie mówią oczywiście bezbłędnie po hebrajsku).

Wielu Izraelczyków, którzy stracili kontakt z dawnymi polskimi znajomymi i przyjaciółmi, mogło ich odnaleźć dzięki internetowym portalom. W Polsce zorganizowano spotkania klas podstawówki i liceów oraz absolwentów uczelni, na których kiedyś studiowali. Dzięki takim osobistym spotkaniom odnowiły się i nabrały intensywności kontakty polsko-izraelskie.

Niektórzy odwiedzający kraj swego urodzenia jeżdżą tam nie jako polscy Żydzi, ale jako Izraelczycy. „Ja czuję się w Polsce, opowiada Bralek, jak w domu dobrych przyjaciół. Mogę wygodnie wypać się w swoim pokoju, otworzyć lodówkę i wyjąć z niej każdą rzecz, na którą mam ochotę. Swobodnie poruszam się po wszystkich pokojach, gospodarze są dla mnie bardzo mili, jest mi u nich dobrze. Nadal jednak to nie jest mój dom”.

Jakub Goldberg, profesor Izraelskiej Akademii Nauk, przedstawiciel emigracji z 1968, uparł się, że powróci do swojej macierzystej uczelni główną bramą. Wrócił w 1989, założył Katedrę Historii i Kultury Żydowskiej i kierował nią. Do końca życia mieszkał w Polsce. Podobnie postąpiło sporo Żydów polskiego pochodzenia - założyli w Polsce nowe firmy, wykładają na uniwersytetach i znów mieszkają w kraju młodości.

Reunion '68, „Plotkies” i grill

Grupa absolwentów żydowskiej szkoły w Łodzi, którzy wyemigrowali po Marcu '68, zorganizowała w Danii spotkanie kolegów. Przyłączyło się do nich kilkanaście osób z innych szkół, a że według wszystkich było miło i ciekawie, postanowiono zorganizować następny zlot, ale już w szerszym gronie, dla całego bractwa marcowego, właśnie w Izraelu. W Aszkelonie w 1989 roku na pierwszym spotkaniu Reunion '68 pojawiło się ponad tysiąc osób - z dziećmi, a nawet wnukami. „Musimy trzymać się razem”, mówiono i faktycznie od tamtego czasu zjazdy emigrantów z fali marcowej, około tysiąca czterystu rodzin z całego

świata, odbywają się i cieszą niesłabnącą popularnością. Wieczorami w hotelu Ganaj Szulamit (obecnie Ganaj Dan) - w ostatnich latach już nie przy wódeczce i śledziku (wiek i zmiana obyczajów), ale przy winie, piwie i sowitej zakąsce - toczą się „długie Polaków rozmowy”. Ludzie śpiewają polskie piosenki, płaczą i śmieją się, pokazują zdjęcia, a wspomnienia i dyskusje trwają aż do białego rana. Podczas pierwszego zjazdu wśród flag wielu państw powiewała flaga polska. Zdjęto ją po kłótni i ostrym proteście pewnego pana, który jakiś czas potem wyjechał z Izraela i obecnie mieszka w Polsce, gdzie legitymuje się paszportem izraelskim.

Emigrantów z marcowej fali emigracyjnej, chociaż rozjechali się niegdyś po całym świecie, poprzez te wszystkie lata łączy poczucie wspólnoty losów, a dzieli głównie to, jak określają swoją tożsamość. W Szwecji czy Danii Żydzi polscy nawet po wielu latach pobytu uważają się za emigrantów mieszkających w ojczyźnie obcych narodów. Ich dzieci czują się Europejczykami, nie zaś Szwedami czy Duńczykami. Bez problemu mogą stąd wyjechać, uczyć się i pracować w jakimkolwiek kraju i pozostawać bezpaństwowcami. W Stanach jak wszyscy inni są imigrantami i jednocześnie Amerykanami. W Izraelu są u siebie, stanowią istotną część swego państwa - zaangażowaną w jego budowę, aktywną w polityce i wielu innych dziedzinach. Bywają w świecie, ale mają dokąd wrócić, mają ojczyznę, z którą mogą się identyfikować. „Inni, wyjeżdżając z Polski, stracili dom. Myśmy go odzyskali”, może o sobie powiedzieć po latach niejeden Izraelczyk polskiego pochodzenia, choć Polska nadal stanowi część jego życiorysu, a podobieństwo losów wyznacza najbliższą mu grupę przyjaciół.

Izraelscy emigranci z Marca '68 spotykają się w sylwestra, na urodzinach i uroczystościach rodzinnych. To dzięki nim co roku od ponad dwudziestu lat w pierwszą sobotę po święcie Pesach, przypadającym przeważnie w kwietniu, położone na wzgórzach jerozolimskie lasy pachną pieczonym na ogniu mięsem i rozbrzmiewają polskimi piosenkami. Komuś, kto nie zna geografii, mogłoby się wydawać, że leżą one nad polskim morzem, o czym starają się przekonać tubalne męskie głosy wyśpiewujące na całe gardło: *Morze nasze morze*. Temu niewątpliwemu szlagierowi ustępują nieco piosenki *Płonie ognisko w lesie* i *Rozszumiały się wierzby płaczące*. Biesiadnicy czasami nucą jakąś piosenkę w jidysz czy po rosyjsku, ale prawie nigdy po hebrajsku. Podobno dlatego, jak twierdzą złośliwi, że nie znają słów ani jednej hebrajskiej piosenki. Bywa, że w „morskim grillu”, nazywanym przekornie od święta Żydów wschodnich „polską Mimuną”, uczestniczy sześćdziesiąt rodzin.

Wśród *alijat* '68 popularnością cieszy się internetowy biuletyn „Plotkies”, redagowany przez zespół z Danii, Szwecji, Anglii i Francji - czyta się go, a czasami samemu

coś do niego pisze. Logo biuletynu, ortodoksyjny Żyd na rowerze z napisem: „Wszystkiemu winni są cykliści”, nawiązuje do dowcipu o przyczynach porażki Niemiec w pierwszej wojnie światowej: „Wszystkiemu winni są Żydzi, masoni i cykliści”. A dlaczego, u licha, cykliści?

I jeszcze informacja z „ostatniej chwili”. Zainspirowani tym przykładem przedstawiciele *alijat Gomulka* w lutym 2013 roku zorganizowali w Tel Awiwie pierwszy zlot emigrantów swojego pokolenia. Wzięło w nim udział ponad tysiąc dwieście osób, dziś sześćdziesięcio-, siedemdziesięciolatek, którzy wtedy byli dziećmi i młodymi ludźmi. *Polanim* nie kryli wzruszenia. „Izrael dał nam dom, poczucie przynależności i bezpieczeństwa”. „Dzięki alii nasze życie nabrało sensu”. „Polska straciła na naszym wyjeździe, ale za to Izrael zyskał”, mówiono podczas panelu dyskusyjnego. Polska - mentalność, język, smak dzieciństwa - dla Izraelczyków z tego pokolenia nadal jednak stanowi punkt odniesienia. Czasami jako obiekt tęsknoty: „jest bardzo ważna i jej losy wciąż mnie obchodzą, choć to już nie moja ojczyzna”, ale także ambiwalentnych i skomplikowanych uczuć. Jak mówiła jedna z uczestniczek, jej „matka była gotowa pojechać do Niemiec, ale nie do Polski”, a ona sama w Polsce „odczuwa strach”, choć jednocześnie „kocha ją i czuje, że rozumie”.

„Żydzi z odzysku”

Dwa emigracyjne losy

Od emigrantów z *alijat Gomulka* słyszałam wiele razy, że zazdroszczą tym z Marca '68, że ich z Polski przegnano, ponieważ pozbawieni złudzeń co do ustroju socjalistycznego i swojej niepodważalnej polskości mogli się od niej emocjonalnie odciąć, zerwać z nią więzy i skoncentrować na znalezieniu nowej tożsamości. Elita działaczy komunistycznych o żydowskich korzeniach nie miała takiego luksusu, nie została zmuszona do wyjazdu antysemitką nagonką. Oni mieli wybór, więc nie chodzą w aureoli męczeństwa. Sami musieli podjąć decyzję, ale to nie znaczy, że przyszło im to łatwo.

Ich dziadkowie podkreślali swą żydowskość i mówili w jidysz, rodzice jednak czuli się związani nie z rabinami, ale z ZSRR, który uratował im życie i dał nadzieję na równość. Dlatego po wojnie nie opuścili socjalistycznej Polski. Z dyskryminowanych Żydów stali się przede wszystkim komunistami, a dopiero potem Żydami i Polakami. Aż do odwilży październikowej wierzyli w sukces Polski bezwyznaniowej, tolerancyjnej dla Żydów, w której byłoby miejsce na ich bezpieczny dom. Wyjazd, podyktowany podejrzeniem, że socjalizm nie jest wolny od antysemityzmu, i strachem, że utracili wpływ na kształtowanie przyszłości Polski i swojej własnej, oznaczał dla nich przyznanie się do porażki ideologii i życiowych planów, rozczarowanie i poczucie osobistej klęski. Wybrali Izrael, bo choć uważali się za komunistów i Polaków, byli wszak także Żydami.

W Izraelu nie tworzyli jednolitej grupy. Jak sami mówią, rozplynęli się w izraelskim społeczeństwie, bo tego od nich oczekiwano.

Ciągle zwracano nam uwagę: Nie wyróżniaj się swoją polsnością! Mów po hebrajsku, zachowuj się jak Izraelczyk! Nie mogliśmy ani kontynuować polskiej kultury, ani stanowić polskiej enklawy narodowej - tak jak to się stało z emigrantami z byłego ZSRR. W tamtym czasie społeczeństwo izraelskie nie pozwalało się rozwijać nawet rodzimej kulturze jidysz, postrzeganej jako kultura przeszłości. Od nas oczekiwało wiary w świetlaną przyszłość Izraela i odżegnania się od drobnomieszczańskiej tradycji utożsamianej z kulturą europejską. Myśmy chcieli zostać Izraelczykami, bo wybraliśmy Izrael. Ale nie do końca nam się to

udało. Absurdalnie wyróżniał nas i nadal wyróżnia polski akcent. Tych z 1968, uważających się za zmuszonych do zamieszkania w Izraelu Polaków, mówiących po hebrajsku tak, jakby się tu urodzili, trudno wypatrzeć w izraelskim tłumie. Oni tu studiowali, a my nie mogliśmy pozwolić sobie nawet na zrobienie matury, a co dopiero mówić o studiach, mieszkaniach, bezcłowych sprzętach domowych i samochodach.

Emigranci z Marca '68 mieli swój własny romantyczny mitos ofiar socjalistycznego reżimu i antysemityzmu, byli także zupełnie innymi ludźmi. Henryk Weksler (Ran Kislev), czołowy publicysta „Haarec”, nadal wychodzącej najambitniejszej gazety izraelskiej, i nieistniejącej już, wydawanej w języku polskim gazety „Od Nowa”, pisze: „Nasza alija była specyficzna, wykształcona, prężna, było mnóstwo wolnych zawodów - pisarzy, dziennikarzy, poetów, ci ludzie nie czuli się dobrze w społeczeństwie, które co prawda znało język polski i żydowski, ale był to element niewykształcony, myśmy patrzyli na nich z góry, a oni na nas jeszcze bardziej”[145].

I nie jest to przypadek, że w kręgu emigrantów z 1957 roku nie pojawia się nikt z Marca '68. „Dla nich my jesteśmy Żydami” - jak czasem mówią nie bez gorczy.

Polonia

Wśród związanych z Polską środowisk emigracyjnych wyróżnia się specyficzna Polonia skupiająca prawie wyłącznie płęć piękną. Większość bowiem nieżydowskich obywateli zamieszkujących Izrael, to Polki, które wyszły za mąż za izraelskich Arabów, Palestyńczyków, no i oczywiście Żydów.

W Hajfie działa od 1991 roku założone przez żony Palestyńczyków Towarzystwo Polonijne „Piast”, jedyne formalne stowarzyszenie społeczno-kulturalne, jak samo się określa, „skupiające ludzi różnych środowisk, kultur i wyznań, dla których płaszczyzną porozumienia jest kultura polska, wszystkich zaś łączy miłość do kraju pochodzenia”. Należy do niego siedemdziesiąt rodzin, głównie polsko-palestyńskich, choć również żydowsko-polskich. W Strefie Gazy w 1996 roku powstało Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Palestyńskiej współpracujące z Kołem Naukowym Arabistów Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się ono „propagowaniem wiedzy na temat Palestyny poprzez organizację spotkań, paneli dyskusyjnych, pokazów filmowych”. Dzieci z należących do niego rodzin co roku zapraszane są na polskie mikołajki w Tel Awiwie. Polki, partnerki żydowskich mężów, spotykają się nieoficjalnie: w domach, w kawiarni nad morzem w Tel Awiwie, na pokazach filmów polskich i uczestniczą wspólnie w innych wydarzeniach artystycznych związanych z polską

kulturą.

Od czasu wejścia Polski do Unii Europejskiej, wraz z rozwojem polsko-izraelskich powiązań gospodarczych i coraz częstszymi wyjazdami obywateli Polski za granicę do pracy czy na studia, nastąpiło ożywienie w dziedzinie osobistych kontaktów polsko-żydowskich, co miało czasem finał w postaci wspólnego życia w Izraelu. Nie wiem, czy to przez przypadek, czy też dzięki prowadzeniu blogu *Gojka z Izraela*, tylko w 2011 roku osobiście poznałam w Tel Awiwie kilkanaście dziewcząt, które wyemigrowały z Polski (część z nich mieszkała wcześniej w Wielkiej Brytanii lub Stanach Zjednoczonych) i znalazły swój nowy dom w Izraelu. Dziesiątki innych pań pisało do mnie listy z prośbą o informacje dotyczące praktycznego życia w Izraelu. Czyżby miała to być zapowiedź nowej, tym razem „romantycznej emigracji” do Izraela?

Wszystkie znane mi Polki związane z Żydami mają wyższe wykształcenie, świetnie mówią w kilku językach i jak łatwo się domyślić, zwracają uwagę urodą. W przeciwieństwie do pań z „Piasta” prowadzą intensywne życie internetowe. Można je spotkać na Facebooku w grupach: „Pociąg do Tel Awiwu”, „Polish Speakers in Israel”, „Polacy w Izraelu”. Spotykają się we własnym gronie i przeważnie mają sporo znajomych wśród polsko-żydowskich emigrantów z 1957 i 1968 roku.

W Tel Awiwie w szkole Juwal, sąsiadującej z ambasadą, odbywają się pozalekcyjne zajęcia z języka polskiego i polskiej historii dla dzieci. Szkoła boryka się z bardzo poważnymi problemami. Nie ma programów nauczania dostosowanych do jej charakteru - dzieci uczęszczają do niej po zajęciach w szkołach hebrajskich. Brakuje też wykształconych nauczycieli gotowych tu pracować za mniejsze niż gdzie indziej pieniądze.

Kościół św. Piotra w Jafie jest siedzibą polskiej parafii. W niedziele i święta na mszach odprawianych po polsku gromadzi się nieliczna Polonia.

Ostatni Żydzi polscy

W przeciwieństwie do wszystkich innych przybywających do Izraela emigrantów Żydzi polscy mieli rzadki we współczesnym świecie luksus posiadania dodatkowej ojczyzny. Inaczej niż Polska, która odmawiała im przynależności do swego narodu, ta dodatkowa ojczyzna wręcz ich zachęcała, aby w niej osiedli i współtworzyli jej kształt. Żądała jednak opowiedzenia się jednoznacznie za państwem żydowskim i wtopienia w tworzący się dopiero naród izraelski. Ceną za izraelskość musiała się więc stać stopniowa utrata poczucia polskości.

Część żydowsko-polskich środowisk w Izraelu uważa, że wraz z marcową falą emigracyjną skończyła się obecność Żydów w Polsce[146]. Ci, którzy pozostali, to w ich przeświadczeniu garstka niedobitków i, jak się tu mówi, pochodzący przeważnie z mieszanych małżeństw „Żydzi z odzysku”, którzy ukrywali swoją żydowskość albo nie mieli o niej pojęcia. Kiedy ją odkryli, albo postanowili żyć, jakby dylemat tożsamości nie istniał, albo się tą nowo odkrytą żydowskością zachłysłeni. Niektórzy z nich stali się nawet misjonarzami judaizmu w ortodoksyjnej formie, inni zaś bezkrytycznymi piewcami Izraela, podobnymi w poglądach do krytykowanych przez wielu Izraelczyków ultraprawicowych *mitnachalim*.

„To nie są prawdziwi Żydzi, wychowani w żydowskich domach, spadkobiercy żydowskiego dziedzictwa. To Polacy, którzy na własnej skórze doświadczyli nagle skutków złożonej polskiej historii i wielu obcych domieszek w słowiańskiej krwi”, twierdzą niektórzy Żydzi polscy, od lat mieszkający w Izraelu, i dodają: „Z punktu widzenia tradycji czy historii to już Polacy będący Żydami zgodnie z prawem halachicznym”.

- Kimże jestem ja czy ktokolwiek inny, aby „odebrać” komuś prawo do żydowskiej tożsamości? - oburza się na takie stwierdzenia sabrów Anna Knafo, urodzona w 1983 roku, od 2006 mieszkająca na stałe w Izraelu, uważająca się za „Polkę i Izraelkę, Polkę i Żydówkę”, która wychowywała się w rodzinie bez tradycji żydowskich, i o tym, że jest Żydówką, nawet nie wiedziała. Kiedy to odkryła, dokonała konwersji na ortodoksyjny judaizm, poznała, jak sama to określa, „bogobojnego męża” i razem nim „prowadzi żydowski dom” w Izraelu, „śledząc na bieżąco wiadomości z Polski i z Wrocławia”, swego rodzinnego miasta, czytając polskie gazety, „czynnie angażując się w akcje związane z Polską oraz promując wśród znajomych w Polsce koncerty, wykłady czy seminaria o tematyce izraelskiej i żydowskiej.

„Znam wielu młodych ludzi, którzy w dzisiejszych czasach wybierają powrót do żydowskich korzeni, często przez konwersję, co nie jest decyzją łatwą”, twierdzi Ania.

Ale jestem Polką, żyłam w Polsce przez dwadzieścia lat, wychowałam się na literaturze Tuwima, Brzechwy, Leśmiana, Baczyńskiego, Singera i wielu innych Polaków-Żydów. Jakże mogłabym porzucić tę część mojej spuścizny? Jestem Izraelką, ale sabrowie zawsze mówią, że daleko mi jeszcze do mentalności izraelskiej. No i jestem Żydówką przestrzegającą świętości szabat i obchodzącą żydowskie święta. Moja tożsamość zawsze będzie związana z Polską i Izraelem. I tam, i tu mam dom. Kiedy mój samolot ląduje, nieważne czy to są Starachowice Wrocławskie czy lotnisko Ben Guriona, zawsze czuję przyspieszone bicie serca i zawsze ukradkiem ocieram łzę.

W pewien piątkowy dzień na ulicy w Bnei Braku, tuż przed świętem żydowskiego Nowego Roku, mnie i moich znajomych rozmawiających po polsku zatrzymał mężczyzna o jasnoniebieskich oczach z siatkami pełnymi zakupów.

- Szalom - przywitał się z nami po hebrajsku i dodał po polsku: - Dzień dobry. Jestem z Polski, mam na imię Michał. Przyjechałem z Bytomia i od dwóch miesięcy mieszkam w Bnei Braku.

Michał jest doktorem matematyki. Kilka lat temu otrzymał stypendium z promującego religijny syjonizm uniwersytetu Bar Ilan w Ramat Ganie. W tamtych czasach niespodziewanie odkrył swoje żydowskie pochodzenie, zaczynał poznawać tradycję judaistyczną i święte księgi w żydowskiej gminie w Bytomiu. Wtedy nie miał jeszcze długiej brody nadającej mu wygląd mędrców żydowskich z obrazów Aleksandra Gieryskiego, ani nie mieszkał w Izraelu i nie wdychał, jak sam mówi, „przesyconego religijnością powietrza Bnei Braku”. Nie był też wtedy żonaty z Izraelką, która pod jego wpływem *chazra be'tszuwa*, stała się religijną Żydówką.

- Czy ty jesteś z tych nawiedzonych Żydów? - spytał z izraelską chucpą mój znajomy - Izraelczyk, Żyd z pokolenia na pokolenie, zamieszkały od pięćdziesięciu lat w Izraelu.

- No, niby tak - odpowiedział Michał, uśmiechając się z lekkim zażenowaniem. - Ale ja jeszcze w Polsce nosiłem kipę i studiowałem judaizm. W Polsce należałem do gminy żydowskiej, próbowałem żyć religijnie, ale tutaj to zupełnie co innego! Zobaczcie sami - mówił w uniesieniu - ilu religijnych Żydów, całe wielkie miasto!

Meandry tożsamości - Polka-Żydówka-Izraelka

„Moja mama jest jedną z Ocalonych z Zagłady”, mówi Dorota Caspi.

Bardzo chciała przyjechać do Izraela, ponieważ jej rodzice byli syjonistami i ona zawsze uważała, że musi żyć i mieszkać w Izraelu. To jest jej kraj, ale również mój, od kiedy przyjechałam tu w 1996 roku. Wszyscy w mojej rodzinie uważają się w takim samym stopniu za Polaków jak za Żydów. Wszyscy oglądają polską telewizję, a nowości z Polski są dla nas równie ważne jak informacje dotyczące Izraela. Kiedy tylko możemy, jedziemy do Polski. Ja jestem bardzo za Izraelem i nikomu nie pozwalam w mojej obecności źle o nim mówić, podobnie zresztą jak o Polsce. Kocham Polskę tak samo jak Izrael.

Edna mieszkająca tu od 1958 roku twierdzi:

W moich oczach ostatnie pokolenia to przedstawiciele „nowych Żydów” bez kompleksów i lęków, które prześladowały nas, dzieci Ocalonych. Oni nie mają żalu do Polski,

nie obrazili się na nią, nie czuli się przez nią pokrzywdzeni. Kochają Izrael, ale nie za cenę swej miłości do Polski. Może to właśnie wyjaśnia trochę lepiej, dlaczego ja i mnie podobni mówimy o nich: „oni nie są Żydami, są nowymi Polakami o żydowskich korzeniach”.

Czyżby więc Żydom-Polakom najnowszej generacji, wychowanym na nowoczesnych ideałach pluralizmu w Polsce należącej do zjednoczonej Europy, którzy emigrują do Izraela w ostatnim dwudziestolecu, udawało się pogodzić obie tożsamości?

Artur Rubinstein był dla Polaków Żydem polskiego pochodzenia, choć światu demonstracyjnie ujawniał swoją polskość, tak jak wtedy, gdy w 1945 roku w patriotycznym proteście przeciwko nieobecności polskiej delegacji na posiedzeniu ONZ rozpoczął swój koncert *Mazurkiem Dąbrowskiego*. Tożsamość Izraelczyków polskiego pochodzenia to bardzo złożona sprawa. Czasem wydaje mi się, że po to, aby lepiej ją zrozumieć, trzeba by przytoczyć, bez uogólnień, jednostkową historię każdego polskiego Żyda. Nie wszystko w tej dziedzinie da się do końca usystematyzować, nie zawsze da się, bez zafałszowania, zrozumieć. Coraz więcej ludzi żyje równocześnie w kilku kulturach i pod pojęciem ojczyzny rozumie, jak napisał Jan Józef Lipski „dobra duchowe i wartości, a nie tylko fakt takiej, a nie innej przynależności etnicznej”[147]. W dobie globalizacji, zacierającej granice państw i narodowości, młodzi Izraelczycy, którzy wiele podróżują, mówią po angielsku i w innych językach, często widzą siebie jako obywateli świata.

Ja sama, kiedy na siebie patrzę, widzę przede wszystkim Polkę. Mimo że przez większość dorosłego życia mieszkam w Izraelu i tu nawet do psa mówię po hebrajsku, przynależę w swym odczuciu najpierw do kraju nad Wisłą, choć zaraz potem do Izraela. Kiedy rozmawiam z polskimi Żydami, trudno mi się oprzeć przykrej, choć dość oczywistej konkluzji. *Polanim* to wymierający gatunek. Wielu z pokolenia tych, którzy przybyli do Izraela po wojnie, już nie ma. Wykrusza się emigracja gomułkowska, niegdysiejsi studenci niańczą już wnuki, a najnowsza emigracja przybyła do Izraela z Polski bez Żydów. U schyłku życia płowieją negatywne emocje. Coraz częściej powraca się do epizodów dzieciństwa i młodości spędzonej w Polsce, bardziej jest się skłonny do pozytywnych reakcji, mniej radykalnym. Częściej też idealizuje się przeszłość, silniej tęskni za czasem, którego już nie ma, i za ludźmi, którzy odeszli. Dzieci i wnuki przeważnie nie mówią już po polsku i czują się w pełni związane z Izraelem, gdzie się urodziły. Polska to dla nich kraj przodków i tylko tyle mają z nim wspólnego.

Wielu polskich Żydów, choć zachowało do Polski sentyment, już nie czuje się Polakami. W nowym kraju nie zapłacze nad nimi wierzba, choć będą mieli piękne pomniki na zadbanych cmentarzach, gdzie nie-Żydów się nie chowa. I nie wiem, czy w następnych

pokoleniach znajdą się jeszcze ludzie zainteresowani dociekaniem, czy dusza Żydów polskich była (jest?) biało-czerwona czy przepasana opaską z Gwiazdą Dawida. Czy w ogóle będzie kogo o to zapytać?

Na izraelskich ścieżkach

Centrum, północ, południe

Izrael długim, wąskim kształtem przypomina wstążkę ciągnącą się wzdłuż Morza Śródziemnego. Jego wielkość odpowiada województwu zachodniopomorskiemu. Najwyższe miejsce, koło Netanii, mierzone ze wschodu na zachód, ma mniej niż czternaście kilometrów, najszersze - na pustyni Negew - około stu. Cała długość - z północy na południe - wynosi w linii prostej około czterystu pięćdziesięciu kilometrów. Gdyby ktoś chciał przelecieć samolotem nad całym terytorium, od granicy wschodniej do zachodniej, potrzebowałby na to zaledwie trzech minut.

Ja mieszkam w Ramat Ganie, czyli na Wzgórzach Ogrodów, graniczących z Giwatajim, Dwoma Pagórkami, i Tel Awiwem, Wzgórzem Wiosny. Trzy sąsiadujące ze sobą miasta, zbudowane w początkach XX wieku, wbrew swoim romantycznym „górzystym” nazwom leżą na wzniesieniach o wysokości nieprzekraczającej stu metrów n.p.m., na równinie Szaron nad Morzem Śródziemnym. Rekord wysokości w tej okolicy należy do drapacza chmur City Gate, spoglądającego z wysokości dwustu czterdziestu czterech metrów na największą na świecie giełdę diamentów w Ramat Ganie. Zgodnie z ideą miasta ogrodu jest tu mnóstwo zielonych skwerów i parków: trzydzieści pięć procent miejskiego gruntu w Tel Awiwie zajmują tereny zielone. Największy na Bliskim Wschodzie Park Afrykański, powszechnie nazywany Safari, jedyny na świecie, który może się poszczycić dużymi stadami zwierząt afrykańskich żyjących na swobodzie, znajduje się właśnie w Ramat Ganie.

Ramat Gan i Giwatajim, podobnie jak miasta: Bat Jam, Holon, Ramat ha'Szaron, Bnei Brak, Hercelija, Or Jehuda, Giwat Szmuel, Kiriati Ono skupione wokół Tel Awiwu, tworzą wraz z nim Gusz Dan, metropolię telawiwską otoczoną dodatkowo pierścieniem jedenastu miast scalonych w jedną bryłę, powszechnie nazywaną Centrum. Czterdzieści procent mieszkańców siedmioipółmilionowego Izraela mieszka właśnie tutaj.

Izrael Lewi, pradziadek Ejala, w 1895 roku wspólnie z dwunastu innymi rodzinami z Bułgarii (liczba nie jest przypadkowa: symbolizuje dwanaście plemion Izraela) założył osadę Har-Tuw pod Jerozolimą. Jak mówi rodzinna opowieść, wzbogacił się na produkcji olejku z

lebiodki, suszonych kwiatach wysyłanych do Ameryki Południowej oraz materiałach budowlanych dla pierwszego miasta żydowskiego - Tel Awiwu. Burmistrz, Meir Dizengoff, zaproponował firmie braci Lewich, w zamian za towar, duże pole gruntu w centrum nowego miasta. Izrael Lewi wziął garść ziemi, suchej, przesypującej się między palcami, i ze wzgardą powiedział: „Po co mi ona, skoro nie urodzi nawet cebuli?”. Telawiwska ziemia urodziła, ale nie warzywa, tylko dziesiątki drapaczy chmur i najbardziej prężną izraelską aglomerację poprzecinaną gęstą siecią dróg, z pięcioma autostradami i linią kolejową, z międzynarodowym lotniskiem im. Ben Guriona. Dziś Gusz Dan uosabia marzenie większości Izraelczyków pragnących osiąść nad Morzem Śródziemnym, z dala od niebezpiecznych granic z państwami arabskimi.

Inne od miast metropolii, w których mieszkają głównie Żydzi świeccy, jest jedynie utraortodoksyjne Bnei Brak. Różnicę łatwo może zauważyć każdy, kto przez nie przejeżdża. Tutaj nie pogania się kierowców dźwiękiem bezustannie naciskanych klaksonów i jeździ się wolniej niż gdziekolwiek indziej, przepuszczając pieszych przez jezdnię. Ulica Rabbiego Akiwy, główna w Bnei Braku, ciasno zabudowana szarymi, pudełkowatymi domami z licznymi małymi sklepikami, gdzie towar często kupuje się bezpośrednio z kartonów dostawczych, zwłaszcza w piątek przed szabatem, wrze nie tylko od piekącego słońca, ale i od gwaru, jaki czynią tłumy *charedim*. Wszyscy gorączkowo starają się zrobić potrzebne przed sobotą zakupy, a przy okazji sprawdzić, czy nie udałoby się dostać czegoś wyjątkowo wartościowego, w dobrym gatunku, ale za małe pieniądze. Tego typu mecyje (jiddysz, okazje) często zdarzają się tuż przed szabatem. Warzywa, owoce, pieczywo oferowane są po znacznie obniżonych cenach. Towar sprzedaje się na chodnikach, w bramach i na straganach. Wychwalają go uliczni sprzedawcy noszący cały swój kram na własnych plecach. Jeśli ktoś ma kilkoro czy kilkanaścioro dzieci - a w tym mieście jest to raczej reguła niż wyjątek - to tego dnia może zaopatrzyć się w produkty sprzedawane hurtowo za cenę o wiele niższą niż detaliczna i przy okazji posłuchać najnowszych szlagierów chasydzkich płynących z otwartych na oścież sklepików z muzyką religijną i dziesiątkami obrazów przedstawiających rabinów, które podobnie jak w Polsce wizerunki świętych wieszają się w prywatnych domach i w miejscu pracy.

W sklepach nie znajdzie się telewizorów, komputerów czy też sandałów lub sukienek czy bluzeczek na ramiączkach. Moda rządzi się tutaj własnymi prawami klosza, lamówki, plis, długich rękawów, całorocznych półbutów, stonowanych kolorów i kołnierzyków o różnych fasonach. W tym mieście, gdzie wszyscy bez wyjątku religijni mężczyźni noszą białe koszule i czarne spodnie, z łatwością można kupić garnitury, krawaty i kapelusze, a także taki

zapomniany asortyment, jak: guziki, nici, włóczkę i bele materiału sprzedawanego na metry. Każda kobieta bez problemu znajdzie dla siebie perukę i fryzjerkę, która specjalizuje się w jej układaniu, trudniej będzie znaleźć sklep z bielizną, gdyż „nieskromnej” garderoby nie wystawia się w witrynach.

W przypominającym przedwojenny sztetl Bnei Braku, liczącym sto sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców (CBS, 2011), najbardziej zagęszczonym i najbiedniejszym mieście Izraela - w skali zamożności miasto osiąga zaledwie drugi stopień z dziesięciu możliwych (CBS, 2010) - nie zachwala się towarów luksusowych, zagranicznych wojaży (chyba że na grób rabina Nachmana) czy kosmetyków. Najpopularniejsze budynki publiczne to synagogi, domy modlitwy i religijne placówki oświatowe (jest ich w mieście ponad tysiąc).

Bnei Brak szczyci się posiadaniem Jesziwat Poniewież (Poniewicz), jednej z najważniejszych w świecie żydowskim, przeznaczonej dla nieżonatych mężczyzn akademii talmudycznej, w której poziom nauczania porównywalny jest z najambitniejszymi uniwersytetami świeckimi, takimi jak Oksford, Cambridge czy Princeton, z tą jednak różnicą, że w niej uczy się wyłącznie zagadnień religijnych.

Z historią jesziwy wiąże się pewna opowieść. Otóż przed drugą wojną światową rabin z Poniewieża, Josef Szlomo Kahaneman, nękany przecuciem nadchodzącej katastrofy przybył z prośbą o radę do rabina Meira Kagana, znanego również jako Chofetz Chaim. Ten w odpowiedzi na jego rozterki podarował mu wersety z *Księgi Jozuego*, mówiące o tym, że słowo *Tory* ocaleje i żyć będzie na Górze Syjonu i w Jerozolimie, czyli w Izraelu.

Zagubiona

Kiedy ze świeżo poślubionym mężem wynajęliśmy jednopokojowe mieszkanie przy Weizman, głównej ulicy Giwatajim, przez długi czas nie potrafiłam się zorientować, w jakim miejscu przekraczam granicę swojego miasta i przechodząc przez jezdnię, niespodziewanie dla samej siebie odnajduję się w Tel Awiwie czy Ramat Ganie.

Arterie wszystkich tych miast noszą identyczne nazwy: Weizman, Katzenelson, Arlozorow, Zobotynski, Ben Jehuda albo Ben Gurion. Ta sama ulica w jednej miejscowości od swego przedłużenia w innej różni się numerami domów w odmiennym kolorze i wystawionymi na zewnątrz pojemnikami na śmieci z nazwą różnych urzędów miejskich. Wszystkie są zabudowane podobnymi szaropiaskowymi budynkami, zwykle kilkupiętrowymi, z wychodzącymi na ulicę balkonami, na których tu i ówdzie jak widzowie w łóżach teatrów mają zwyczaj siedzieć Izraelczycy. Okna, częściowo zasłonięte żaluzjami, nie

mają firanek. Gdyby się na chwilę zatrzymać i zajrzeć do wnętrza mieszkań, można by dojrzeć zarysy mebli i policzyć zamieszkujące je osoby.

Dachy naszpikowane są dziwacznymi pojemnikami przypominającymi korpusy rakiet na cienkich żelaznych nóżkach z filmów rysunkowych dla dzieci. Obok nich lśnią w słońcu poustawiane pod kątem czterdziestu pięciu stopni płyty, dzięki którym w mieszkaniach płynie gorąca woda. Wszystkie te baterie słoneczne i identyczne białe cysterny na wodę na dachach wyglądają jak kupione w tym samym sklepie. Różni je od siebie tylko stopień zużycia, co się przejawia w mniej lub bardziej wyblakłym kolorze.

Nigdzie nie widzi się kominów, za to nad bocznymi oknami zawieszono są żelazne półki z prostokątnie obudowanymi silnikami klimatyzatorów, chłodzonych przez wmontowane w ich wnętrza wiatraki. Całość przypomina duże klatki na zwierzęta, z których wybiegają sięgające chodnika gumowe rurki, a skapująca z tych rurek woda oblepia część murów czarną pleśnią z zielonym nalotem. Na zewnątrz budynków, często zaniedbanych, obwieszonych pajęczyną kabli i rur instalacyjnych, suszy się pranie.

Mnie, przyzwyczajonej do polskiej urbanistyki - centralnego prostokątnego rynku z ratuszem i kościołem, ulicami przecinającymi się pod kątem prostym - w tych pierwszych latach najbardziej zaskakujące wydawało się to, że nie widzę niczego, co choćby w jakimś stopniu mogło się z tym kojarzyć. Kikar Hamedina, skąd promieniście rozchodzą się ulice, najbardziej prestiżowy, jak mnie poinformowano, plac Tel Awiwu, otoczony białymi budynkami, gdzie mieszczą się najdroższe sklepy międzynarodowych projektantów mody, ze swoim wysuszonym trawnikiem, bez rzeźb, klombów, pomników i fontann, jakoś nie wywierał wielkiego wrażenia. Podobnie zresztą jak nowoczesne biurowce i ekskluzywne hotele nad morzem, stojące obok rozwalających się domów, wokół których krążyły bezpańskie koty wielkie jak króliki, i gdzie z łatwością można było wdepnąć w psie odchody albo poślizgnąć się na odpadkach rozsypanych obok zapchanych pojemników na śmieci.

Tel Awiw

W Tel Awiwie, podobnie jak w całym kraju, uboższe dzielnice zabudowane są pudełkowatymi blokami o niskim standardzie z lat pięćdziesiątych, zwanymi *rakawot*, pociągi. Wzgórze Wiosny wyróżnia się jednak obfitością białych budynków w stylu Bauhausu, o czystej linii i obszernych balkonach - jest ich tutaj ponad cztery tysiące, a więc więcej niż w Niemczech, gdzie ten styl powstał. Tel Awiw, miasto najbogatsze w Izraelu i najbardziej rozwinięte technologicznie, liberalne i świeckie, kojarzy się z największą liczbą

miejsce pracy, uniwersytetami i dziesiątkami wyższych uczelni, centrami finansowymi i medialnymi, nadmorskimi bulwarami, operą, setkami restauracji, klubów, dyskotek i miejsc noclegowych. Większość zatrudnionych przyjeżdża tu codziennie rano i wyjeżdża wieczorem po skończonej pracy, blokując główne arterie komunikacyjne. Jeśli korzysta się z miejskich dróg, to trzeba być zawsze nastawionym na to, że stać się będzie w korkach w hałasie, jaki czynią trąbiący ze zdenerwowania kierowcy. Tel Awiw - głośny, frywolny, ekstrawagancki, pulsujący energią śpieszących się ludzi, kuszący teatrami, klubami, wystawami i otwartymi do późnych godzin nocnych sklepami - zajmuje dwudzieste piąte miejsce na liście najdroższych miast świata[148]. Znany jest z różnorodności i jakości swoich restauracji. Tak w nim, jak i w całym Izraelu, króluje trójca ulicznej gastronomii: bliskowschodni falafel, czyli smaźone w głębokim oleju kulki z ciecierzycy, turecka *szalarma* - mięso z indyka, kurczaka lub baraniny opiekane na obrotowym rożnie, i bałkański *burekas* - rodzaj ciasta francuskiego faszerowanego najczęściej fetą, grzybami lub ziemniakami.

Przyjeżdżający do nowej ojczyzny Żydzi wraz ze wspomnieniami przywieźli smaki dzieciństwa i dziedzictwo kulinarne państw, w których mieszkali. Na tej samej izraelskiej ulicy znaleźć można smaczną, choć niewyszukaną kuchnię oferującą jemeński *dżachnun* czy *malalach* - placki z wody, mąki i margaryny, bez jajek i mleka, ale za to z ostrym sosem *schug* z przetartej papryki, czosnku, pomidorów i kolendry; turecki pilaw, czyli ryż z baraniną lub kawałkami ryb smaźony na oliwie, pojawia się na stolikach obok winogronowych liści nadziewanych ryżem i mocno przyprawionym mięsem z jagnięcia lub wołowym czy orientalnym *sabich* - smażonymi bakłazanami z jajkami na twardo, cebulą, natką pietruszki włożonymi w środek pity, okrągłego arabskiego pieczywa, polanej sosem z sezamu (*tchina*) i sosem z mango (*amba*). Orientalny *tabbuleh* - kasza burgul wymieszana z drobno posiekaną natką pietruszki, szczypiorkiem, liśćmi mięty i orzechami, przyprawiona papryką i obficie polana sokiem z cytryny - jest obowiązkową sałatką spotykaną w każdym miejscu, podobnie jak *ful*, czyli bób w gęstym, pomidorowo-paprykowym sosie, często podawany z hummusem.

Podstawowy lokal gastronomiczny to mała restauracyjka sprzedająca domowej roboty hummus, czyli pastę z ugotowanej i utartej ciecierzycy z czosnkiem, sezamem, oliwkami i cytryną, często posypaną pietruszką, zmieloną słodką papryką i orzeszkami piniowymi, którą je się ze świeżą pitą oraz sałatką z pokrojonych w kosteczkę pomidorów i ogórków, przyprawioną cytryną i oliwą z oliwek własnego wyrobu, z kawałeczkami liści posiekanej drobno mięty. Posiłek osładza bakława: bardzo słodkie ciasto przekładane miodowo-orzechową masą albo kukurydziany pudding *malabi* polany wodą różaną, posypany kokosem i orzeszkami arachidowymi, a do tego kawa z kardamonem lub herbata ze świeżymi

liśćmi *nany*, czyli mięty.

Bary z orientalnymi daniami oddalone są zaledwie o kilka kroków od wyszukanej restauracji francuskiej, chińskiej czy greckiej tawerny. Przypominające atmosferę dawnych sztetli koszerne gospody, oferujące nóżki w galarecie, kugel i siekaną wątróbkę, sąsiadują z nowoczesnymi lokalami serwującymi steki i hamburgery - nie gorsze niż w Nowym Jorku, choć walczące o palmę pierwszeństwa z mięsem sprowadzanym prosto z Argentyny i grillowanym kebabem rumuńskim. Własnoręcznie zagniatane przez włoskich Żydów pasty i nioki stają w zawody z rosyjskimi blinami, a wina z Kaukazu - z winami z Nowego i Starego Świata oraz miejscowymi ze wzgórz Golan. Wśród Izraelczyków najbardziej popularne są wina miejscowe, najczęściej koszerne, nie gorsze od importowanych.

Czerkiesi, druzowie, bahaici, czarni hebrajczycy

Mieszkańcy Centrum podczas weekendów, świątecznych dni i urlopów wyjeżdżają głównie na północ kraju, do Galilei i na wzgórze Golan, gdzie czekają na nich Jezioro Tyberiadzkie, rzeka Jordan, dziesiątki parków narodowych, mistyczny zabytkowy Safed, najwyższa góra w Izraelu - Hermon - ośnieżona zimą, wspaniałe ogrody bahaitów oraz miasteczka z wyśmienitymi restauracjami należącymi do przyjaznych Izraelczykom druzów, którzy uważają się nie tylko za ugrupowanie religijne, ale i odrębny naród, mimo że używają języka arabskiego przypominającego dialekt syryjski. Druzowie są w większości lojalnymi obywatelami Izraela. Ofiarnie służą w izraelskim wojsku i zyskali sławę wyjątkowo zdyscyplinowanych i wiernych Izraelowi oficerów i żołnierzy. Wyznają odrębną od islamu religię, która łączy elementy islamu, judaizmu i chrześcijaństwa, filozofii greckiej, gnostycyzmu. Opiera się ona na wierze w „znających ukryte prawdy” siedmiu proroków, w tym Adama, Mojżesza, Jezusa, oraz w jedyne Boga - Kosmiczny Umysł. Sto jedenaście sekretnych zasad ich religii jest znanych tylko *ukkal*, „wiedzącym”, czyli mędrcom rozpoznawalnym dzięki specjalnym stożkowatym czapkom przypominającym tureckie fezy i obowiązkowym wąsom. Zwykli członkowie społeczności druzyjskiej, tak zwani *dzuhhlal*, wypełniają polecenia „wiedzących”, choć nie znają zasad wiary trzymany w ścisłej tajemnicy zarówno przed nimi, jak i przed światem zewnętrznym. Ogólnie wiadomo tylko, że druzowie, nieprzyjmujący nowych wyznawców i nieuznający małżeństw mieszanych, przekonani są o reinkarnacji i przeznaczeniu, któremu podlegają człowiek i cały świat. Ślubują „ochronę braci druzów”, nie palą, nie piją alkoholu, nie przeklinają, nie uznają hazardu, unikają plotek i pomówień, są skromni i lojalni wobec państw, w których granicach

mieszkają. Cechuje ich uczciwość i szacunek dla kobiet. W Izraelu słyną z hodowli jabłek i smacznych oliwek, z wyrobu cienkich pit i *labane* - sera jogurtowego o kwaskowatym smaku.

W Galilei miejscem popularnych wycieczek są dwie wioski - Kfar Kama i Rehanija, gdzie od czasów imperium osmańskiego mieszkają Czerkiesi, członkowie jednego z najstarszych ludów świata, wyznający islam sunnicki lub chrześcijaństwo, mówiący po czerkiesku, arabsku, angielsku i hebrajsku. Gościnni Czerkiesi, znani z narodowych tańców, bogatych strojów etnicznych i dobrych stosunków z innymi narodowościami, są otwarci na kontakty z Izraelczykami.

Na północy Izraela, w Hajfie i Akce, oglądać można miejsca kultu najświętsze dla wyznawców bahaizmu, ruchu religijnego, głoszącego braterstwo ludzi, jedność wszystkich znanych religii świata (w tym islamu, chrześcijaństwa, judaizmu, hinduizmu) i wiarę w jednego Boga, którego prorokami byli wszyscy religijni przywódcy duchowi. Jego założyciel Sajjid Ali Muhammad, nazywający siebie Babem, czyli „bramą do poznania boskiej prawdy”, jest przez bahaitów uważany za Mesjasza. Zaprojektowane przez architektów z całego świata wiszące ogrody o geometrycznych kształtach, rozłożone na dziewiętnastu (magiczna liczba bahaitów) tarasach na północnym stoku góry Karmel w Hajfie, zmieniające kolorystykę w różnych porach roku, oraz otoczone cyprysami ogrody o geometrycznych kształtach w Akce należą do najwspanialszych na świecie dzieł sztuki ogrodniczej i uznawane są za jeden ze współczesnych cudów świata.

Południe, zdominowane przez pustynię, przyciąga zainteresowanie księżycowym pejzażem ciągnących się w nieskończoność przestrzeni piasku i nagich skał. Główne atrakcje turystyczne to Morze Martwe i rafy koralowe Morza Czerwonego. Wielbłądy, wygasłe kratery, niedostępne wąwozy z okresowymi rzekami i wodospady w oazach stanowią o egzotyce tej części kraju, ulubionego miejsca miłośników wycieczek jeepami i turystów szukających możliwości spędzenia wolnego czasu w obozach beduińskich na pustyni.

Zwolennicy kuchni wegetariańskiej i poszukiwacze odmiennych kultur odwiedzają na pustyni Negew, w położonej w pobliżu bazy atomowej miejscowości Dimona, pochodzących z Chicago czarnych hebrajczyków, podających się za potomków jednego z zaginionych przez wieki plemion „prawdziwych Żydów”, choć za Żydów nieuznawanych przez naczelnego rabina Izraela. Ich życie, oparte wyłącznie na prawach *Tory* (odrzucają oni tradycję rabinacką), stanowi w Izraelu przedmiot kontrowersji ze względu na praktykowaną poligamię, nieużywanie lekarstw i nieuznawanie lekarzy, zakaz aborcji, spożywanie wyłącznie własnych bioorganicznych produktów i mieszkanie w komunach. Czarni hebrajczycy znani są w Izraelu ze zdolności taneczno-muzycznych, ciekawych obrzędów... i z

tego, że reprezentowali Izrael w Konkursie Piosenki Eurowizji.

Jerozolima

Według Izraelczyków w ich kraju jest Centrum, a cała reszta to po prostu północ i południe. Jedyne miejsce, do którego nie stosują tych określeń, jest Jerozolima - stolica Izraela, gdzie znajdują się najwyższe urzędy państwowe i Kneset, izraelski parlament.

Mimo że od lat przyjeżdżam do tego miasta o niezwyklej energii i sile oddziaływania, zamieszkiwanego przez Żydów, muzułmanów i chrześcijan, rozdartego na część palestyńską i izraelską, przeważnie gubię się już przy wjeździe. Zamiast pojechać prosto do centrum Starego Miasta, zawsze zdarza mi się, nie wiadomo dlaczego, wbrew wskazaniom GPS i własnemu doświadczeniu, skręcić w lewo i pojechać pnącą się pod górę szosą. Fałszywa droga porywa mnie z taką łatwością, jakby specjalnie zbudowana była po to, aby wywodzić na manowce przybyszów z zewnątrz. Nie lepiej traktują mnie - przypadkowego sobotniego gościa - jej koleżanki w sercu miasta. Bawią się ze mną objazdami, wiecznymi remontami, grożą wjazdem w palestyńskie zaułki Wschodniej Jerozolimy niezbyt lubiącej izraelskie rejestracje bądź w dzielnice religijnych Żydów zamknięte przede mną świętością szabat i obawą, że zostanę obrzucona kamieniami.

W końcu zawsze przychodzi moment, kiedy znajduję właściwą drogę, ale i tak nie jestem w stanie jechać dalej. Przede mną pojawia się wybrukowane kamieniami Stare Miasto, które się domaga, bym porzuciła samochód i przemierzyła je na własnych nogach zaplątana pomiędzy arabskimi straganami, synagogami nawiedzanymi przez pejsatych Żydów, kościołami, klasztorami i cerkwiami. Mijając izraelskie posterunki wojskowe koło Bramy Jafy zwykle przystaję przy stosie świeżego pieczywa, posypanego sezamem i gruboziarnistą solą, sprzedawanego przez arabskiego chłopca, i słucham chóru kościelnych dzwonów mieszającego się z nawoływaniem muezina. W hałasie słów wypowiedzianych w wielu językach, popychana przez tłumy turystów, idę tymi samymi kamiennymi drogami, które przemierzali kiedyś brodaty Żyd król Dawid, chrześcijański Mesjasz Jezus i Sulejman Wspaniały. Podziwiam przeplatające się dzielnice: muzułmańską, ormiańską, żydowską i chrześcijańską. Zmęczona wrażeniami uciekam do Tel Awiwu, gdzie mogę odpocząć od Świętego Miasta, po czym znów do niego tęsknię i po raz kolejny tam się wybieram.

Za każdym razem Jerozolima, miejsce kultu nie tylko dla Izraelczyków, ale również dla miliardów ludzi na całym świecie, budzi mój respekt. Zawsze też odkrywam tu jakiś nowy pasjonujący szczegół, jak choćby ukryte pod powierzchnią ziemi miasto z czasów Świątyni

Jerozolimskiej z podziemną Ścianą Płaczu, położone kilkanaście metrów pod poziomem współczesnej dzielnicy muzułmańskiej; jerozolimskie dachy i mury, po których można spacerować i podziwiać zabytki Jerozolimy z lotu ptaka; starożytne Miasto Dawida z sekretnymi przejściami czy... sklep na Starym Mieście, na ulicy Afitamus 164, jedyny tego rodzaju. Bilal Abu-Khalaf, ubrany w białą galabiję w niebieskie prążki przepasaną w talii jedwabną szarfą, w czerwonym fezie, sprzedaje w nim najdroższe na świecie, kosztujące tysiące dolarów za metr, materiały na płaszcze kardynalskie, drogocenne tkaniny na szaty patriarchów jerozolimskich, ręcznie tkane szale ze złotych nitok za „jedynie” sześćset dolarów za metr, najszlachetniejsze jedwabie czekające dziesiątki lat na odpowiedniego kupca, specjalnie sprowadzane dla muzułmańskich imamów tkaniny oraz sukno przeznaczone dla ultraortodoksyjnych Żydów, w którym koszerność splotu nitok zatwierdzana jest przez najsurowszych, uzbrojonych w szkło powiększające, rabinów.

Pewnego dnia w Jerozolimie podczas koncertu muzyki klasycznej na Uniwersytecie Mormonów, położonym na szczycie Góry Oliwnej, skąd rozpościera się jedna z najpiękniejszych panoram miasta, w przerwie dyskretnie przyglądałam się publiczności - dystyngowanym Amerykanom w garniturach, skupionym na cichej rozmowie po angielsku - a później przeniosłam wzrok w dal, ku arabskiemu chłopcu pasącemu owce w Dolinie Jozafata, tuż obok starożytnego grobu Absaloma. Palestyńczyk dla zabawy rzucał kamykami w kierunku górującej nad nim, poprowadzonej wokół zabytkowych dzielnic Jerozolimy, obwodnicy ze stojącymi w korku samochodami, za którą rozpościerało się otoczone kamiennymi murami Stare Miasto ze złotymi kopułami meczetów i wieżami kościołów. Tak bardzo zatraciłam się w tym splątaniu czasów, że całe miasto wydało mi się iluzją oderwaną od jakiegokolwiek konkretnej rzeczywistości. Wieczorem tego dnia przeszłam się uliczkami Mea Szaarim, ubogiej, przepelnionej dzielnicy ultraortodoksyjnej, a potem, dla kontrastu, po ekskluzywnej „dzielnicy duchów” Starego Miasta z opuszczonymi przez większą część roku domami należącymi do żydowskich milionerów z całego świata. Jeszcze mocniej utwierdziło mnie to w przekonaniu, że w Jerozolimie, miejscu kultu należącym do ludzkości, mieszkać może tylko człowiek zdolny udźwignąć na swoich ramionach ciężar przeszłości, wielkiej historii i dramatycznych konfliktów.

Po śmierci także zresztą niełatwo znaleźć dla siebie miejsce w Jerozolimie, zwłaszcza na położonym na wschód od Starego Miasta, na południowo-zachodnim stoku Góry Oliwnej, cmentarzu żydowskim - najstarszym i najdroższym cmentarzu świata. Miejsce pochówku - marzenie Żydów z całego świata - kosztuje tu podobno nawet milion dolarów. Za taką cenę można mieć grób obok kogoś, kto spoczywa tutaj od dwóch tysięcy lat, lub w pobliżu twórcy

nowoczesnego języka hebrajskiego Eliezera Ben Jehudy. Są tu pochowani prorocy: Aggeusz, Zachariasz i Malachiasz, sławni rabini, politycy - wśród nich pochodzący z Polski Menachem Begin (Mieczysław Biegun), premier Izraela, laureat Pokojowej Nagrody Nobla, budowniczy pokoju egipsko-izraelskiego; ludzie kultury i sztuki - wśród nich Szmuel Josef Agnon, pisarz, noblista z 1966 roku.

Jak mówi *Midrasz* - komentarz do *Biblii Hebrajskiej* - pochowani na Wzgórzu Oliwnym zwolnieni będą od *gilgul mechilot*, czołgania się pod ziemią z każdego innego cmentarza na świecie do miejsca Sądu Ostatecznego w Jerozolimie, pośmiertnych razów wymierzanych zmarłemu za grzechy przez dwóch aniołów - Mechoara (Obrzydliwego) i Doche (Odrażającego) - oraz toczenia ciał przez robaki. Choćby ze względu na ten ostatni przywilej warto zastanowić się nad pochówkiem na cmentarzu z widokiem na jerozolimskie Wzgórze Świątynne i zamurowaną Złotą Bramę, zwaną też Bramą Miłosierdzia - *Sza'ar ha'Rahamim* (hebr.) lub *Bab al Rahama* (arab.) - która zostanie otwarta dla Mesjasza w Dniu Sądu i pierwsi przez nią przejdą ci spoczywający w jerozolimskiej ziemi.

Windą do raju

Miejsce na cmentarzu jest trudno osiągalne nie tylko w Jerozolimie. Ziemia jest zbyt droga, by zamiast na nowe osiedla dla tych, którzy nadal muszą trudzić się na ziemskim padole, przeznaczyć ją pod wieczny spoczynek. Na głównym cmentarzu Gusz Dan, dzięki pomysłowi architekta Tuwiego Sagiwa, powstaje właśnie nowoczesne „miasto umarłych”, które na stosunkowo małej powierzchni będzie mogło pomieścić dwieście tysięcy grobów w siedemnastu wielopiętrowych budynkach. Wiosną 2013 roku powinny już być gotowe miejsca dla pierwszych trzydziestu pięciu tysięcy zmarłych, a łączny koszt budowy wyniesie około ośmiuset pięćdziesięciu tysięcy szekli[149].

Pierwszy piętrowy cmentarz od kilku lat funkcjonuje na cmentarzu telawiwskim, w dzielnicy Kiriat Szaul. Byłam tam przy okazji pogrzebu krewnego mojego męża, latem 2012 roku. Widziany z zewnątrz budynek w kształcie muszli ślimaka, nieotynkowany, bardziej przypominał porzuconą budowlę czy wojskową fortecę niż mauzoleum. Wnętrze zaskoczyło mnie jednak urodą i nowoczesnością: eleganckie linie i detale architektoniczne, windy, wygodne ławki na korytarzach, gustowne patia i piękny widok z okien na miasto i tradycyjny cmentarz. Dach i ściany chroniły od słońca i wiatru i łatwo było sobie wyobrazić, że zimą dadzą schronienie od deszczu. Wszystko czyste, dobrze utrzymane, komfortowe i funkcjonalne, od wygodnego podjazdu, dostosowanego do poruszania się z dziećmi czy

inwalidzkim wózkiem, i szerokich schodów poczynając, po podział wewnętrzny zapewniający intymność. Najtrudniej było mi się przyzwyczaić do widoku grobów wmurowanych w ścianę piętrowo, jeden nad drugim. Tu stało się przed grobem jak przed ścianą pamięci. Każda z dziesiątków wmurowanych w ścianę nisz (po trzy, jedna nad drugą) miała indywidualnie zaprojektowaną płytę nagrobną w kilku odcieniach szarości, w białym lub czarnym kolorze, z napisami nie tylko po hebrajsku, ale po rosyjsku, angielsku i w innych językach, z czarno-białymi i kolorowymi ze zdjęciami. Całość przypominała oryginalną mozaikę albo ozdobną szkatułkę z wieloma szufladkami. Inne okazało się też złożenie ciała, owiniętego w cieniutki biały całun w grobie. Wsuwało się je po szynach w wąziutką wnękę i następnie zamurowywało. Ten rodzaj pochówku jest w Izraelu nowością i nie wszyscy są do niego przekonani. Decydują się na to raczej z konieczności niż z wyboru, głównie wtedy, gdy w pobliżu miejsca zamieszkania rodziny zmarłego nie ma możliwości pochowania go na tradycyjnym cmentarzu.

Na cmentarzach, którymi zarządza ortodoksyjne bractwo pogrzebowe Chewra Kadisza[150], pogrzeby odbywają się według praw religijnych i ceremoniału utrwalonego w tradycji żydowskiej. Zabronione jest odprawianie modłów według obrządków innych religii oraz umieszczanie obcych judaizmowi symboli religijnych. Koszty ceremonii pogrzebowej pokrywane są z ubezpieczenia społecznego, chyba że rodzina ma specjalne wymagania co do samej ceremonii lub konkretnego miejsca na cmentarzu. Rodziny zmarłych ofiarują jednak datki, i jest to powszechny zwyczaj, w zamian za odprawienie pogrzebu. Wiele osób, by zapewnić sobie miejsce na cmentarzu obok bliskich zmarłych, z wyprzedzeniem płaci dziesiątki tysięcy szekli za przyszłe miejsce spoczynku.

Piętrowe grzebanie zmarłych jest w judaizmie dozwolone, ponieważ każde ciało w takim „warstwowym” grobie spoczywa na sześćdziesięciocentymetrowej warstwie ziemi specjalnie usypanej w każdej niszy po to, by stało się zadość prawom religijnym. Jak podaje gazeta „Israel ha'Yom”[151], według rabina Ja'akowa Rogera, znawcy kwestii związanych z żydowskim pochówkiem, grubość warstwy ziemi może zostać zmniejszona nawet do dwunastu centymetrów.

W Kiriat Szaul według jednej z pracujących tu osób, już wkrótce trzy i pół tysiąca piętrowych grobów będzie wypełnionych, a wtedy pozostaną tylko ekskluzywne miejsca na dachu mauzoleum. I choć te groby będą się znajdowały wiele metrów nad ziemią, każdy z pochowanych tutaj nadal będzie już na zawsze z nią połączony.

Pośmiertny całun

Jak mówi Talmud, zmarłych należy chować „blisko zgonu”, dlatego pogrzeb tradycyjny powinien się odbyć dzień lub dwa po śmierci. Rytuał pogrzebowy rozpoczyna się od ceremonii obmywania ciała. Członek Chewra Kadisza dwukrotnie obmywa wodą każdą część ciała, poczynawszy od głowy, przez szyję, prawą, a potem lewą część, najpierw przód, później tył, siedmiokrotnie wypowiadając przy tym w modlitwach słowo „litość”. Czyste, namaszczone ciało zawija się w biały lniany lub płócienny całun, zszyty po bokach tylko fastrygą, tak by zmarły mógł się z niego bez trudu wydostać w Dniu Sądu Ostatecznego, i kładzie się, zwrócone nogami ku drzwiom, w kierunku miejsca Sądu Ostatecznego, Jerozolimy, na płóciennych noszach - alunce. Przed pogrzebaniem będzie musiało jeszcze zostać zidentyfikowane przez najbliższych. Konduktowi pogrzebowemu towarzyszy jedynie szloch najbliższych i szepty rozmów. Nie ma zbyt wielu kwiatów, bo symbolizują one radość, ani muzyki. Tak jak w synagodze mężczyźni nakrywają głowy kipami, a kobiety zamężne - chustkami. Ponieważ nie ma trumny, pod warstwą materiału wyraźnie odznacza się kształt głowy i prostopadle ustawione stopy.

W trumnach, skromnych i bez ozdób, chowa się zabitych żołnierzy i ofiary zamachów. Ich ciała nie są rytualnie obmywane; zostają złożone do trumny w ubraniach, jakie mieli na sobie w chwili śmierci, tak by krew została pochowana z ciałem i wołała o pomstę do Boga.

Na cmentarzu rabin na znak żałoby symbolicznie rozcina koszule najbliższych zmarłego, a mężczyźni (musi ich być najmniej dziesięciu, czyli minjan) odmawiają kadisz: „Ten, który sprawia pokój na wysokościach, niech ześle pokój dla nas i dla całego Izraela”[152]. Tradycyjnie ciało zsuwa się z noszy do grobu i obsypuje je garściami ziemi. Na znak pamięci na grobie pozostawia się kamyki; w rodzinie swojego męża całuje się je, zanim zostaną tam złożone.

Cmentarz jest miejscem „nieczystym”, opuszczając go, żałobnicy obmywają ręce.

Sziwa - siedem dni żałoby

Przez siedem dni sziwy (hebr. dosł. - siedem), z wyłączeniem soboty, dziesiątki ludzi wchodzi i wychodzi z domu żałoby oznaczonego przy wejściu klepsydrą. Ze względu na ten bezustanny ruch mogłoby się wydawać, że w miejscu, gdzie słychać gwar wielu głosów i brzęk szkła, odbywa się jakaś radosna uroczystość. Wystarczy jednak spojrzenie na nieogolonych mężczyzn w rozdartych koszulkach i zapłakane twarze kobiet, by nie mieć wątpliwości, że smutek i rozpacz wspólnie odprawiają żałobę, a rozmowy to tylko krótkie

chwile pozwalające na odpoczynek od nadmiaru emocji.

Według halachy sziwa obowiązuje po śmierci siedmiu najbliższych krewnych: ojca, matki, brata, siostry, małżonka lub małżonki, syna, córki. Żałobnicy zgromadzeni w jednym miejscu przeznaczają cały swój czas, aby pożegnać się ze zmarłym, opłakać go, oddać mu hołd i zapewnić o swojej pamięci. W przewyciężeniu żalu i trudnych emocji pomagają, podtrzymując ich na duchu, bliscy. Dzień po dniu trwają modlitwy, odmawiane z rabinem albo samodzielnie, i przyjmowanie kondolencji od szerokiego grona ludzi: znajomych, kolegów z pracy, z wojska, sąsiadów, bliższej i dalszej rodziny. Tych siedem dni przeznaczonych jest również na zastanowienie się nad własnym życiem, nieuchronnie biegnącym ku śmierci.

Odbywający sziwę nie opuszczają mieszkania i powstrzymują się od prac domowych, pozostawiając dalszej rodzinie i przyjaciołom troskę o wszystkie doczesne sprawy. Podczas sziwy siedzi się na podłodze albo niskich kanapach, śpi na materacach. Nie wolno zakładać skórzanych butów, kąpać się, używać ciepłej wody czy kosmetyków, obcinać włosów i paznokci, ubierać się w nowe ubrania. Nie ścieli się swoich pościeli i nie chodzi do pracy (otrzymuje się za ten okres zapłatę), ani też nie studiuje *Tory*. Zabronione są stosunki seksualne i nie można wziąć ślubu. Są tacy, którzy odwracają do ściany lustro albo je zasłaniają czy zdejmują. Krewni dbają o to, by żałobnikom i gościom nie zabrakło różnego rodzaju prostych potraw, pieczywa, sałatek, ciast, kawy, napojów i słonych ciasteczek. Spożywa się produkty okrągłe, takie jak jajka czy soczewica, które kształtem symbolizują koło życia i śmierci.

Jeśli ktoś zadał „gwałt swojej duszy”, czyli popełnił samobójstwo, to chowany jest z dala od innych, w specjalnej części cmentarza, a rodzina nie ma obowiązku opłakiwać go przez siedem dni żałoby.

Opisany przeze mnie rytuał jest przestrzegany głównie przez Żydów religijnych i tych najbardziej tradycyjnych. W świeckich domach nikt nie przejmuje się wprowadzaniem rodzaju butów, jakie nosi, ale zazwyczaj mężczyźni nie golą się przez siedem dni, choć się kąpią, a i opowieści o zmarłym często bywają bardzo pogodne, nawet humorystyczne. Podczas żałoby nierzadko można usłyszeć śmiech odwiedzających i domowników.

Prywatny cmentarz

Dopóki nakaz otrzymania od Rady Rabinackiej zgody na pochówek nie został, w 1958 roku, zniesiony przez rząd, w Izraelu nie można było pochować nie-Żydów czy Żydów

deklarujących się jako bezwyznaniowcy ze świeckim ceremoniałem pogrzebowym. Właściwie nie było świeckich cmentarzy - Żydzi mogli być chowani tylko podczas ceremonii religijnej i tylko przez Chewra Kadisza. Nastręczało to wielu problemów z godnym pochowaniem tych, którzy nie zostali uznani za Żydów halachicznych. Jak opowiadają Izraelczycy, sytuacja była katastrofalna. Poza wyjątkami, jakie zdarzały się w kibucach, w praktyce możliwe były tylko pogrzeby religijne i podobno dochodziło nawet do tego, że osoby nieuznane przez rabinat za Żydów, musiały być pochowane na cmentarzach chrześcijańskich.

Dopiero w 1996 roku, wraz z uchwaleniem przez Kneset prawa do świeckiego pochówku, wydzielono część cmentarzy publicznych na potrzeby obywateli świeckich, co stało się konieczne w związku z masową emigracją z byłego ZSRR[153]. W 2011 roku w całym Izraelu były tylko trzy państwowe cmentarze, na których można było pochować świeckich Izraelczyków. Powstały też, głównie w kibucach, cmentarze prywatne[154], gdzie grzebie się zmarłych w prostych trumnach, a nie w całunach. Koszt takiego pogrzebu jest jednak bardzo wysoki. Na początku 2013 roku, jak mnie poinformowano, w kibucach położonych najbliżej Tel Awiwu wynosił w granicach trzydziestu, czterdziestu tysięcy szekli. W kibucu Kiriat Anawim koło Jerozolimy podano mi cenę trzydziestu sześciu tysięcy szekli.

Na cmentarzu w kibucu Einat, gdzie znaleźli miejsce ostatniego spoczynku Edmund i Ada Neusteinowie, nie ma już miejsc. Na wniosek Kontrolera Państwa[155] wiele kibuców otrzymało zakaz sprzedaży gruntu na taki cel pod zarzutem spekulacji własnością ziemi państwowej i łamania prawa pochówku cywilnego.

Dla ateistów i nie-Żydów taniej jest pójść za przykładem króla Salomona, Zygmunta Freuda czy Alberta Einsteina i zdecydować się na kremację zwłok. Taki pogrzeb, wraz z urną, pamiątkowym zdjęciem zmarłego, uroczystością zorganizowaną według indywidualnych potrzeb i gustów, kosztuje około dwudziestu czterech tysięcy. Ceremonia prowadzona jest, jak określa to jedna z niewielu specjalizujących się w cywilnych pogrzebach firm - „Alej Szalechet” (Spadające liście) - przez „nauczycieli i intelektualistów, znawców judaizmu posiadających odpowiednie licencje”[156]. Firma zapewnia: „aulę w domu pogrzebowym, urnę, krzesła, zimną wodę”, a nawet... „chusteczki higieniczne”. Jeśli urnę z prochami chce się pogrzebać, czyli zakupić w dozwolonym miejscu małą działkę i postawić na niej kamień nagrobny, to potrzeba na to dodatkowe dwanaście tysięcy szekli.

Być w Izraelu Żydem świeckim to kosztowny wybór.

Czas słońca i deszczu

Co roku w porze suchej, rozpoczynającej się w kwietniu i trwającej do połowy października, Izraelczykom wydaje się, że jest goręcej niż rok wcześniej, liczniejsze są dni, w których temperatura wynosi ponad trzydzieści pięć stopni, a powietrze, przesycone wilgocią, jak na złość nie spływa deszczem. Maksymalna temperatura - pięćdziesiąt cztery stopnie Celsjusza, jaką odnotowano w Izraelu w 1942 roku - współcześnie stanowi ewenement, podobnie zresztą jak najniższa - minus cztery i pół stopnia z 1950 roku. Zwykle średnia temperatura izraelskiego lata wynosi około dwudziestu sześciu stopni Celsjusza, a jednak męczące odczucie gorąca, nieprzyjemnej wilgotności, ostrego światła słonecznego jest doświadczane powszechnie. I choć teoretycznie na bardzo małej powierzchni pomiędzy pustynią, górami, morzami - Śródziemnomorskim i Czerwonym - występuje kilka klimatów (śródziemnomorski w środkowej i północnej części Izraela wzdłuż morza, podzwrotnikowo-tropikalny w Dolinie Jordanii, stepowy w Beer Szewie, pustynny na prawie całym południu, na pustyni Negew), jedyną w gruncie rzeczy oazą chłodniejszego powietrza jest góra Hermon, która leży w obrębie umiarkowanej strefy klimatycznej obejmującej również górę Meron i wzgórze Golan. Zimą na górze Hermon działa wyciąg narciarski, co przyciąga tu tłumy Izraelczyków. „Przyjemność” oglądania śniegu i zimowych atrakcji połączona jest z koniecznością wydania sporej sumy i wielogodzinnym staniem w kolejce przy wjeździe na obiekt, często zamykanym z powodu przepełnienia.

W najcieplejszym miesiącu - sierpniu - w mieście trudno wytrzymać. W ciągu dnia niechętnie opuszcza się klimatyzowane pomieszczenia i unika przebywania na zewnątrz, starając się zawiesić wszelką możliwą aktywność aż do wieczora. Dopiero wtedy ożywają ulice izraelskich miast. Wolny od pracy czas spędza się nad wodą w licznych obiektach rekreacyjnych, w parkach, chłodzonych centrach handlowych i w domach.

Kiedy pracowałam w izraelskiej gazecie „Maariw” w obszernym pomieszczeniu, w którym siedziałam wraz z dwudziestu innymi osobami, klimatyzacja włączona była non stop i zwykle nastawiona na czternaście stopni. Temperatura nigdy się do tej granicy nie obniżała, ale dla mnie, mimo że w odróżnieniu od moich rozneglizowanych koleżanek zakładałam sweter, było o wiele za zimno. Każdy urodzony w tym klimacie, a nie w jakimś odległym, deszczowo-szarym kraju, kiedy wchodził do naszego pomieszczenia, z autentyczną radością

przyjmował możliwość spędzenia dnia w lodówce. Ja również przez... mniej więcej dziesięć minut. Potem drżącymi z zimna rękami wyciągałam z szuflady sweter i czekałam na okazję - pierwszy żeński głos protestu - by na jakiś czas wyeliminować klimatyzator, mojego osobistego wroga, lub otworzyć okno i wpuścić trochę ogrzanego przez słońce świeżego powietrza. Zwykle nie było jednak co wpuszczać. Zero powiewu. Tylko zapach piasku, duszna fala upału i przestraszone krzyki współpracowników: „Zamknij okno! Gorąco wchodzi do środka! Kto otwiera okna w sierpniu?”.

- Jak to możliwe, że ty jesteś z Polski? - dziwili się mojej gęsiej skórcie koleżdy z pracy. Na takie pytanie miałam pod ręką doskonałą odpowiedź: pięćdziesięcioletnią panią Lubę, która przyjechała z Syberii i w czasie czterdziestostopniowego upału siedziała w szaliku owiniętym wokół szyi. Wtedy zamiast nade mną kręcono głową nad nią. Luba zimą, kiedy temperatura powietrza w Izraelu spadała rekordowo do szesnastu stopni, przychodziła do pracy w przywiezionym z Rosji kozuchu i narzekała, że „po drodze prawie zmarła”. Potem jednak wyjeżdżała do swojej rodziny, „koło Nowosybirsk”, jak sama mówiła, czyli do położonego o półtora dnia jazdy pociągiem Ułan Ude, i po powrocie opowiadała nam, że było minus czterdzieści pięć stopni. Pytaliśmy wtedy: „To jak udało ci się przeżyć?”. Zdziwiona odpowiadała: „Przecież wcale nie było zimno!”. No i zrozumi, człowieku, rosyjską kobietę!

Kiedy z zimna zaczynał mi się czerwienić nos, robiłam rozgrzewającą przerwę polegającą na przesiadywaniu na otwartym tarasie drugiego piętra. Ogrzewałam się tam przez jakieś piętnaście minut, pocąc się jak w saunie. Pewnie było tam ze trzydzieści osiem stopni przy osiemdziesięcioprocentowej wilgotności, co sprawiało, że odczuwalna temperatura podnosiła się o dodatkowe pięć stopni. Dziesiątki małych, przypominających cele okienek spoglądało na mnie z wysokości pięter. Tuż przed oczyma miałam obsypujący się tynk i kilka strużek wody płynącej z przyczepionych do ścian silników klimatyzatorów. Kiedyś obawiałam się, że któryś z nich może mi spaść na głowę. Nie wierzyłam metalowym prętom przymocowanym do ściany zardzewiałymi gwoździami. Po czternastu latach pracy w tym budynku przyzwyczaiałam się do tego widoku. Musiałam im zaufać, nawet jeśli nie były umocowane zbyt solidnie. Nie miałam wyboru. Gdybym ciągle szukała brakujących punktów styczności różnych zwisających z murów przedmiotów, nie mogłabym chodzić po izraelskich ulicach.

Przede mną rozdzielone stolikami i pustą przestrzenią siedziały dwie dziewczyny. Rozmawiały o czymś z ożywieniem. Kiedy weszłam, przerwały na chwilę. Obrzuciły mnie szacującym spojrzeniem, jakbym była manekinem z wystawy. Pomyślałam (znałam się już na tutejszych spojrzeniach), że uważają mnie lub może moje buty (?), sukienkę (?) za atrakcyjną.

Pewnie w ich mniemaniu byłam też trochę dziwna. Nie tylko dlatego, że rozpoznały we mnie imigrantkę, ale głównie dlatego, że byłam bez pary. W „Maariw”, jeśli się gdzieś wychodziło, to w parach albo nawet we czwórkę. Tak jakby wszyscy byli w jakimś tajnym stowarzyszeniu, gdzie nie toleruje się nieparzystych. A powód był prosty i niekoniecznie związany z tym, że w izraelskich mediach pracowało sporo homoseksualistów i lesbijek. Wielu młodych mieszkańców Tel Awiwu (według niektórych porównywalnego pod tym względem z Nowym Jorkiem) zwyczajnie było stanu wolnego i większość czasu spędzało na poszukiwaniu partnera w każdym miejscu i o każdej porze.

Oficjalnie wychodziłam na papierosa, choć nie palę. Miło było w środku pracy zostawić ludzi, gwar, komputery i uciec... Wyciszyć się, bezmyślnie pogapić w niebo. Materiał na stronę przygotowywaną przeze mnie do druku jeszcze nie dotarł do redakcji, a jutrzejszą rozkładówkę wysłałam przed chwilą. Miałam więc trochę wolnego czasu.

Moja sukienka fruwała na wietrze. Skąd on się tu nagle wziął? Przed chwilą go jeszcze nie było! Czyżby i on przyszedł „zapalić”?

Podpierałam ścianę, wpatrując się w przewody elektryczne przeciągnięte prymitywnie na zewnątrz starych budynków, tak jak w krajach Trzeciego Świata, i kontrastujące z nimi nowoczesne wieżowce z metalu i szkła wybudowane w ostatnim dziesięcioleciu.

Dziewczyny wstały. Odwróciły się do siebie tyłem. Pewnie rozmawiały o nowych spodniach jednej z nich, bo co chwilę dotykały nogawki jeansów. Mówiły bez przerwy na zaczerpnięcie powietrza, jakby bały się, że za chwilę skończą im się słowa. Zamilkły wraz z pojawieniem się dwóch mężczyzn. Wyprostowały się i przeciągnęły ręką po włosach. Panowie wyczuli widocznie zainteresowanie, bo zatrzymali się na środku niezdecydowanie i pod oceniającym spojrzeniem dziewcząt odeszli w niezajęty kąt dachu.

„One są pewnie na łowach”, pomyślałam, popijając zimną coca-colę. Rzeczywiście, dziewczyny zmieniły ton głosu na przyjemniejszy, częściej obciągały bluzki i od czasu do czasu posyłały im spojrzenia spod w półprzymkniętych powiek. Śmiały się też głośniejsz niż przed chwilą. Czuło się w nich gotowość do kuszenia. Panowie byli przystojni - chyba warci wciągania dla nich brzucha. Tyle że nie dla mnie. Zresztą o tej poobiedniej porze nawet moje marzenia stawały się ospałe lub zbyt lekkie, by mogły zatrzymać się na tak poważnych sprawach jak różnica płci. Obserwowałam turkusowoniebieski i granatowo-zielony automat do papierosów. Ukradł moje ulubione kolory, ale za to dał mi możliwość zachwyty... To chyba sprawiedliwa wymiana.

Mój wolny czas się skończył. Musiałam wracać. Zaczynałam czuć się na balkonie jak mucha w słoiku z miodem. Gorąco było nie do zniesienia. Oblepiło mnie całą i męczyło.

Słyszycie...? To stukot moich obcasów na granitowych schodach. Idę korytarzem: długim, wijącym się i dość ciemnym, bez okien. Mijam drzwi sąsiadów z Działu Kultury z białą kartką papieru formatu A3, na której wydrukowano napis: „Czyż naród żydowski nie cierpiał już wystarczająco?”. Od kiedy czytam ten napis, niezmiennie wywołuje on mój uśmiech. Teraz też. No cóż. I ja za chwilę „pocierpię”. O, właśnie otworzyłam drzwi do „miejsca kaźni”. Jak tu przyjemnie chłodno!

- Liron - zamknij okno! Gorąco wchodzi do środka! - krzyknęłam do koleżanki próbującej wpuścić trochę świeżego powietrza. Usiadam na swoim miejscu. Popatrzyłam na rysunki córki zawieszane na ścianie przede mną. Zaledwie cztery lata temu Kim jeszcze rysowała siebie z okrągłym kółkiem na brzuchu symbolizującym symbiotyczne powiązanie z mną.

Nagle rozdzwoniły się telefony. Drukarka za moimi plecami zaczęła pomrukiwać z zadowolenia, wyrzucając świeżo zadrukowane kartki. Zbliżał się *deadline* - czas wysyłania gazety do druku.

- Meraw, co ze zdjęciem Stanleya Fischera? Aloni przysłał? - zwróciłam się do siedzącej obok mnie ładnej dziewczyny w ciąży o owalnej, zmęczonej twarzy. I już za chwilę znowu marudziłam: - Zimno jak w psiarni! Musimy wyłączyć klimatyzator. Leje się z niego woda! - wyjaśniłam i wzdychając do polskiego pachnącego latem deszczu, nacisnęłam przycisk z napisem „off”.

Deszcz

Izraelski deszcz rozpoczynający „zimę” dla mnie jest zupełnie niezrozumiały. Po siedmiomiesięcznej nieobecności, kiedy już przestawało się wierzyć w jego istnienie, nagle się pojawiał i dosłownie z dnia na dzień zamieniał lato w zimę. Rzadko padał całe dni, prawie nigdy całe tygodnie i lubił opóźniać swoje przyjście, jakby czekał na początek sezonu na cytrusy, przypadający zwykle na listopad, i na pojawienie się w sklepach pierwszych truskawek. Potrafił padać przez pół godziny i znikać, jak gdyby nigdy go nie było. W niektórych latach, by go zwabić nad Izrael, potrzebni byli błagający niebios o wodę cadycy, zawieszani pod czaszami balonów nad Jeziorem Tyberiadzkim.

W innych zaś, tak jak na początku 2013 roku, kiedy zaczynał padać, to powodował powódzie, dodatkowe kilometry korków, zamykał główną autostradę aglomeracji telawiwskiej, zamieniał chodniki i jezdnie w mieście w strumienie, zatapiał tory kolejowe i stacje w Hercelii, Kfar Sabie i Netanii, a nawet zamieniał się w śnieg. Z powodu „śnieżycy”,

w wersji izraelskiej oznaczającej trzydziestocentymetrową warstwę śniegu w Jerozolimie, dzieci nie uczyły się w szkołach, nieprzejezdne były drogi, a samo miasto zostało odcięte od świata, ponieważ drogi wjazdowe i wyjazdowe zostały zamknięte. Oszołomieni obfitością wody Izraelczycy próbowali w centrum Tel Awiwu pływać na dętkach po rzece Ayalon. Jej rozdzielające dwie jezdnie autostrady koryto, normalnie suche, wypełniło się wodą, która wylewając się nagle, zamieniła autostradę w rwącą rzekę. Znalazł się nawet ktoś, kto próbował ją przemierzyć kajakiem.

Według uczonych synoptyków pora deszczu powinna rozpoczynać się już w październiku. Deszcz jednak nie zawsze pojawiał się na czas, zmuszając ich do zapowiadania kolejnego ocieplenia. W listopadzie nadal można było znaleźć śmiałków, którzy kąpali się w „zimnej” wodzie, o temperaturze dwudziestu dwóch stopni, choć na plażach nie było już tłoku. Do koszulek z krótkimi rękawami nosiło się sandały - odpowiednio do pogody, lub kozaki - odpowiednio do „oficjalnej” pory roku.

Kiedy zamieszkałam w Izraelu na stałe, przekonałam się, że począwszy od maja, a skończywszy na listopadzie, nie za bardzo lubimy się ja i słońce. Nie z mojej winy. W Polsce uważałam je za przyjaciela i kiedy znikало w listopadzie lub nawet już w październiku, wpadałam w przygnębienie. Tutaj jednak świeciło przesadnie ostro i na dodatek robiło to specjalnie! Starłam się schodzić mu z drogi, chować się przed nim w cieniu, omijać plaże, na których się wylegiwało, ulice, którymi chadzało, i miejsca, gdzie zwykło spędzać urlopy. Choć próbowałam, nie udawało mi się uciec od niego na długo. Na sterylnie czystym, bezchmurnym izraelskim niebie to ono zawsze wygrywało, dopadając mnie natychmiast po wyjściu z domu. Gramoliło mi się na plecy, oplatało mackami, farbowało skórę, po czym wysysało ze mnie tyle wody, ile się tylko dało. Kiedy więc ranki wyzwały się od niego i wieczory stawały się chłodne, a noce zaczynały przeczuwać bliskość zimy, rosła we mnie radość podobna do tej, jaką czułam w Polsce wraz z przyjściem wiosny. W przewiewnych izraelskich domach w ciągu dnia nadal było ciepło, ale nad ranem robiło się już chłodno. Wyciągnięta z szafy „idealna pieszczota na zimę”, jak reklamował ją producent, przeznaczona dla par, ulubiona przez nas oboje, mnie i Ejala, ośmiusetdziesięciogramowa kołdra o dwunastostopniowej sprężystości, lekka, rozgrzewająca i jak głosił dalszy ciąg reklamy: „pozwalająca oddychać ciału i odczuwać naturalną przyjemność”, budziła w nas porozumiewawczy uśmiešek. Ona nie była zwykłym pierzem czy też puchem ubranym w bawełnianą tkaninę, tylko sekretnym afrodyzjakiem, którego moc nie słabła przez lata.

Sprawdziłam za was. Na liście magicznych środków wspomagających pociąg seksualny jest: szampan, kawa z imbirem, cynamon, młode pędy bambusa i por. Są również

owoce morza, liście i kora drzewa johimbina, szparagi, morele, smardze, ryba fugu, a nawet hiszpańska mucha, nieromantycznie nazywana pryszczem lekarskim, która tak naprawdę jest zielonym chrząszczem. Mówi się też o miodzie i kozim mleku. Nic natomiast nie wiadomo o gęsich piórach i kołdrze firmy „Bracia Frid” z Izraela, a to poważny błąd! Proszę państwa, puch to najlepszy damski afrodyzjak! Idealny dla marzeń!

Kołdra numer 12 do tej pory jest jedną z naszych najlepszych małżeńskich inwestycji. Rolls-royce’a pierzyn i kołder kupiliśmy na raty w pierwszym roku naszego małżeństwa w Tel Awiwie, na ulicy King George, tuż koło Dizengoff Center, gdzie pracowałam. Mimo że mieszkałam w „ciepłym kraju” ze świeżo poślubionym mężem, marzałam w nocy i tęskniłam do polskiego sezonu grzewczego w osiedlu Za Żelazną Bramą w Warszawie i gorących nocy w akademiku w Gdańsku-Oliwie.

Kołdra była droga. Długo zastanawialiśmy się, czy ją kupić, czy może lepiej byłoby pojechać za te pieniądze na weekend do Ejlatu, zjeść romantyczną kolację we dwoje w jednej z tamtejszych restauracji i popływać z delfinami. Skoro jednak po wygrzaniu się nad Morzem Czerwonym musielibyśmy wrócić do wynajmowanego mieszkania w Giwatajim, bez kaloryfera i klimatyzacji, zdecydowaliśmy się na luksus puchowych nocy. Było to rozsądne i praktyczne posunięcie. Nic bowiem nie wskazywało na szybkie przeniesienie się do Polski, mimo złożonej mi przez męża obietnicy.

Zima w roku kupionej kołdry nie różniła się wiele ani od swojej poprzedniczki, ani od następczyni. Jedyna różnica polegała na tym, że pierwszy deszcz zaskoczył nas pod koniec października, mniej więcej w tym okresie, kiedy w całej Polsce zawiązywało się wełniane szalik pod brodą, wyjmowało z szafy futra i wsuwało dłonie w skórzane rękawiczki z baranym kożuszkami.

„*Jore*”, powiedział mój mąż, a ja ze swoją znikomą znajomością hebrajskiego nie potrafiłam zrozumieć, komu chce się strzelać w taką pogodę. „*Jore*, to znaczy „strzelający”, tak nazywa się pierwszy deszcz w Izraelu”, powiedział Ejał i dodał: „*geszem* - zwiastuje zimę”. Trafna nazwa, pomyślałam, czując całą sobą siłę milionów uderzeń rozbitego na drobne kropelki nieba. „A ostatni zwie się *malkosz*”, wyjaśnił po chwili mój „ślubny” tonem profesora.

„A macie coś w środku?”, zapytałam. „Oczywiście!”, odparł z oburzeniem, jakby woda skąpo spływająca na ziemię tylko czasami i tylko w okresie od listopada (rzadko od października) do kwietnia wymagała obfitości określeń. „Oprócz najpopularniejszego słowa *geszem* jest *matar*, *mabul* (ulewa) i *szewer anan* (oberwanie chmury)”. „Z ulewą i oberwaniem chmury akurat jestem zaprzyjaźniona”, pochwaliłam się, „choć u nas trudno

byłoby stwierdzić, który akurat deszcz można by nazwać pierwszym, a który ostatnim. Pada przecież na okrągło”. „A może wiosenny deszczyk to *jore*, a listopadowa ulewa to *malkosz*? Jest też kapuśniaczek, taki »dżdżu wodnisty puszek«, no wiesz...”

„Hmm”, przytaknął Ejał zdecydowanie nieprzepadający za kapuśniaczkiem i niezbyt zainteresowany lejącym jak z cebra polskim deszczem ani też Tuwimem, a ja dopiero po latach, pisząc ten tekst, zajrzałam do słownika hebrajskiego i odkryłam, że oprócz znanego mi *tiftuf* - łagodnego, słabego deszczu bez wiatru spadającego wielkimi kroplami, jest też *delef* - padający wolno i bez przerwy; jest *dak* - delikatny i *zaaf* - gniewny, *kawed* - ciężki i *maclif* - chłostający i *mekomi* - miejscowy; *zarzif* - słaby deszcz z towarzyszącym mu lekkim wiatrem; *mitrot oz* - silny deszcz; *geszem zalafot* - deszcz, któremu towarzyszy silny wiatr, trochę słabszy niż *giszmej zaaf* - silne deszcze z silnym wiatrem; *mimtarim* - nagły, mocny deszcz charakteryzujący się zmianą natężenia; *reses* - deszcz o drobnych kroplach, mżawka; *geszem kofe* - deszcz przechodzący w śnieg - świetnie znany w Polsce, podobnie jak *geszem meoraw be'szeleg* - deszcz ze śniegiem, zdarzający się w Jerozolimie, na wzgórzach Golan; *geszem taluj* - deszcz uwięziony w chmurach niespadający na ziemię; *geszem lifrakim* - to nasz znajomy „z opadów częściowych”; *geszem szotef* - deszcz nieustanny; *geszem nedawot* - deszcz niosący urodzaj i dobrobyt, poetycki „deszcz obfitości”; *gszamej gwura* - mocne, obfite deszcze, „deszcze bohaterskie”; *geszem bracha* - deszcz-błogosławieństwo, wyproszony modlitwą, łaskawy i zbawienny, i jeszcze: *resisej geszem* - odpryski deszczu, *agalej matar* - krople przelotnego deszczu i *gaszmon* - po prostu deszczyk.

Tyle nazw dla deszczu, którego nie ma!, zdziwiłam się, wiedząc, że i tak znalazłam tylko część jego hebrajskich określeń. Czyżby w XXI wieku anioły już nie płakały nad głowami narodu wybranego i dlatego deszcz padał tu tak rzadko? A może przeniosły się w inne zakątki świata?

Siedząc na brzegu wanny, przysłuchując się spływającemu ślamazarnie strumieniowi wody (na wszystkich kranach tkwią założone przez urząd miasta specjalne uszczelki mające zmniejszyć jej zużycie), wpatrywałam się w rozbijające się o aluminiowe dno krople, wspominając strugi deszczu lejące się po okiennych framugach domu mojego brata. Zatęskniłam do deszczu i jesiennego widoku drzew, nie tych zielonych, tutejszych, tylko bezbronne nagich, wzruszających i swojskich, wtopionych w listopadową szarość. Zanurzona w wodzie marzyłam. Nie musiałam trzymać się realiów. Ulewę przecież wyobrażałam sobie ukryta w ciepłym mieszkaniu. Nie czułam przenikającego kilka warstw ubrań zimna ani przemoczonych butów. Mój deszcz przypominał nie szarugę opisywaną w listach z Polski, ale raczej rysunek, jaki chyba każde polskie dziecko ma w swym artystycznym dorobku:

ogromne stado niebieskich kreseczek gęsto przecinających biel kartki, niebo skryte za pierzastymi chmurami, dom z dachem przypominającym łuski węża i zielone jabłonie z czerwoną fastrygą jabłek.

Jesień na rysunkach Kim, dla której oliwki, pomarańcze, banany czy cytryny to codzienność, zawsze szła w parze z bujną zielenią. Moja córka, rysując „zimę”, w lewym górnym rogu umieszczała zwykle monstrualne słońce, na błękitnym niebie z jedną chmurką i drobnymi przecinkami wysypującymi się z niej na pokrytą trawą ziemię i drzewa z zawieszonymi na nich czerwonymi kulami.

- Ciekawe, czy smaczne są te twoje jabłka? - spytałam kiedyś Kim rysującą po raz kolejny dokładnie to samo.

- Jakie jabłka? - zdziwiła się.

- Jak to jakie? Te, które namalowałam.

- Mamo!? Czy Ty nie widzisz, że to kwiaty, które rosną koło naszego domu na krzaczkach?

- Ależ przecież umieściłaś je na wysokich drzewach! One wyglądają dokładnie tak jak jabłka na jabłonce! - upierałam się, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Córka wzruszyła ramionami i przeniosła się wraz z rysunkiem do swojego pokoju, zawieszając na drzwiach kartkę z napisem: „Lista osób, którym nie wolno wejść do mojego pokoju”. Pod nagłówkiem olbrzymimi literami napisane było po hebrajsku tylko jedno słowo: *ima* - mama. „To przecież nie jej wina”, przekonywałam sama siebie, starając się powściągnąć ogarniający mnie niepokój, że nie rysuje dokładnie tego samego co polskie dzieci i nawet nie mówi po polsku „mamo”.

Przesadziłam trochę z tą kąpielą w ukropie i kiedy dolałam zimnej wody, zobaczyłam w myślach dziewczynę o ogromnych oczach i popękanej skórze twarzy z izraelskiej reklamy telewizyjnej namawiającej do oszczędzania wody, a potem skurczony kształt Jeziora Tyberiadzkiego, z którego pochodzi większość wody pitnej w kraju, odsłonięte szkielety zbutwiałych łodzi i poziom wody zaznaczony na zardzewiałym słupku mierniczym sporo poniżej czerwonej granicy, którą dawno już przekroczone, choć nie wolno było tego zrobić. I zaraz z poczuciem winy pomyślałam o ministrze rolnictwa odpowiedzialnym w latach dziewięćdziesiątych za gospodarkę wodą Izraela, Rafaelu Eitanie (Rafulu), który w czasie jednego ze szczególnie suchych lat zaproponował w Knesecie dwa nowe prawa: zakaz podlewania roślin doniczkowych w oknach mieszkań i zastąpienie kąpielii w wannie prysznicem - najlepiej po dwie osoby naraz.

Nie pamiętałam, ile jeszcze metrów czy centymetrów sześciennych poziomu Jeziora

Tyberiadzkiego dzieli nas od wyczerpania się wody pitnej. Osiemdziesiąt albo osiemdziesiąt siedem centymetrów? Wiedziałam jedno: sytuacja jest katastrofalna. Ciągłe się o tym mówi w telewizji i radiu. Izrael wysycha! Gdyby woda lała się do wanny dwie minuty krócej, jak sugeruje rządowa kampania przeciw marnotrawstwu wody, zaoszczędziłabym czterdzieści litrów! Zakręciłam kran, który nie przecieka, podobnie zresztą jak wszystkie inne w naszym mieszkaniu, dzięki czemu trwonię tylko sześćdziesiąt litrów wody dziennie. Na szczęście dla Izraela, choć dla mnie mniej szczęśliwie, nie mam do podlewania ogródka, na co mogłabym przez pięć minut zużyć dwieście litrów wody. Niezbyt to się podoba mojej córeczce. Kiedy miała cztery lata, wskazała palcem nowoczesną willę z olbrzymim ogrodem, sąsiadującą z naszym wielorodzinnym budynkiem, i powiedziała: „Mamo, postanowiłam! Widzisz ten dom?” „Widzę”. „Chcę się do niego dzisiaj przeprowadzić”. „To takie moje marzenie na dzisiaj”, dodała dumna z nowego słowa: *chalom*, marzenie, którego niedawno nauczyła się w przedszkolu.

„Dzisiaj nie możemy się do niego przeprowadzić”, odpowiedziałam, „bo kosztuje dużo pieniędzy, ale może kiedyś nam się to uda, bo podobno, jak mówią Izraelczycy *chalomot mitgaszmim*, marzenia się spełniają”. Słowa *geszem* - „deszcz”, i *mitgaszem* - „spełnia się”, „urzeczywistnia”, powstałe z dwóch homonimicznych rdzeni pochodzących z dwóch różnych okresów rozwoju języka hebrajskiego, według słowników nie mają z sobą wiele wspólnego, choć brzmią bardzo podobnie. Wielu Izraelczyków łączy je jednak intuicyjnie, bo deszcz bywa tu ziszczeniem marzeń.

Ślepe drogi

W dwa lata po proklamacji Izraela, w 1950 roku, Jafa (po hebrajsku Jafo), jeden z najstarszych portów świata wspomniany w biblijnej *Księdze Jozuego* jako granica ziem pokolenia Dan, szczycąca się wzniesionym w XII wieku meczetem Mahamoudia, została administracyjnie przyłączona do założonego w 1909 roku pierwszego żydowskiego miasta w Palestynie - Tel Awiwu. Oba miasta - jedno o starożytnych początkach i bogatej historii, i drugie, młode, nowoczesne, mające w chwili połączenia zaledwie czterdzieści jeden lat - formalnie stanowią jedną całość: Tel Awiw-Jafa. Faktycznie jednak pozostają odrębne.

Są tacy, którzy twierdzą, że szanse na możliwość integracji zostały przekreślone w 1921 roku, kiedy w arabskim pogromie ludności żydowskiej w Jafie i innych miejscowościach Palestyny zginęło czterdziestu siedmiu, a rannych zostało stu czterdziestu sześciu Żydów. Inni dowodzą, że stało się to dopiero w kwietniu 1948 roku, w trakcie prowadzonego z Tel Awiwu zmasowanego, trwającego trzy dni ostrzału Jafy, podczas którego Żydzi zużyli dwadzieścia ton materiału wybuchowego[157] i zmusili pięćdziesiąt tysięcy arabskich mieszkańców Jafy do panicznej ucieczki morzem i lądem[158].

„Coś, co arabskie, nie łączy się z czymś, co żydowskie. Dlatego pomiędzy Tel Awiwem a Jafą nie ma fizycznej styczności”, mówi podczas spaceru po ulicach miasta mój znajomy Nahum Cohen, izraelski architekt odpowiedzialny za rekonstrukcję Jafy.

Faktem jest, że niemożność stworzenia jakiejś więzi arabsko-żydowskiej ma podłoże w historycznej, kulturowej i przede wszystkim etnicznej i religijnej obcości. W sensie geograficznym i technicznym połączenie Tel Awiwu i Jafy oczywiście jest możliwe. Nie ma między nimi żadnych gór, na które trzeba by się wspinać, ani rzeki, by ją przepłynąć. Leżą blisko siebie, łączą je wygodne drogi. To, czego brakuje, to woli ludzi do połączenia. Choć wykreowany przez architekta Patricka Geddesa pierwotny plan miasta ogrodu o nazwie Tel Awiw zakładał zespolenie z Jafą, żydowskie miasto z uporem rozrastało się w przeciwnym kierunku - nie chciało łączyć się z arabskim i wybrało sobie przeciwny do Jafy kierunek wzrostu, wbrew logice architektonicznej, ekonomicznej, a nawet klimatowi. Zamiast rozbudowywać się prostopadle do morza (ze wschodu na zachód) i korzystać z wiejącej stąd chłodnej bryzy, wytyczano je równoległe do otwartej przestrzeni wód (z północy na południe), skazując centrum Tel Awiwu na złą cyrkulację powietrza i niemożność chłodzenia.

Ulice obu miast nie zbiegają się do wspólnego śródmieścia i nie łączą ze sobą nawet tam, gdzie na mapie wydaje się to najbardziej naturalne i korzystne dla obu stron: w rejonie wybudowanej w XIX wieku stacji kolejowej, która do 1948 roku zapewniała łączność, wymianę towarów i przepływ ludności z Jerozolimy przez Jafę i Tel Awiw do Syrii, Egiptu, Turcji i Arabii Saudyjskiej. Przez sześćdziesiąt dwa lata miejsce, które miało stanowić zaplanowane architektonicznie centrum Tel Awiwu-Jafy - rozległy niezabudowany obszar, skąd rozchodzą się główne miejskie drogi, przeznaczony na wzmożoną aktywność gospodarczą, turystyczną i kulturalną, było omijanym przez Izraelczyków zapuszczonym terenem. Sam dworzec wykorzystywano w latach 1958-2004 jako magazyn broni. Odrestaurowano go dopiero w ostatnim czasie i od 2010 roku można podziwiać jego urodę.

Na zbudowanej niegdyś linii kolejowej dokumentującej wejście Palestyny do grona państw dysponujących nowoczesnym transportem, pierwszej na Bliskim Wschodzie, dziś, w czasach Państwa Izraela, nie zobaczymy pociągów z wielonarodowym tłumem. Wciąż jednak możemy oglądać dworzec w Jafie - w moich oczach niepodważalne świadectwo, że był czas, kiedy Żydzi i Arabowie żyli obok siebie, a tory kolejowe prowadziły w szeroki świat poza granice państwa żydowskiego.

Arabowie z Jafy

Schowana pod wschodnimi łukami kamienna Jafa z meczetami i kościołami katolickim i Tel Awiw o prostej, funkcjonalnej linii białych modernistycznych budynków żyją innym rytmem codzienności. Nowoczesny Tel Awiw o kosmopolitycznych ambicjach intensywnie pnie się ku górze, przyciągając ambitnych Izraelczyków. Jafa, zaniedbana, z pchlim targiem na centralnych ulicach, z małymi manufakturami i sklepikami, odwiedzana jest głównie przez turystów i Izraelczyków gustujących w arabskich restauracyjkach z widokiem na morze. Żydzi, którzy tu mieszkają, należą na ogół do dwóch skrajnie różnych kategorii: bogatych Izraelczyków czy ludzi sztuki mogących sobie pozwolić na kupno starych, wymagających odnowienia domów oraz ubogich Izraelczyków, i tak skazanych na niski standard życia, którym nie przeszkadzają arabscy sąsiedzi. W 2008 roku Jafa miała czterdzieści sześć tysięcy pięciuset mieszkańców: trzydzieści tysięcy Żydów i szesnaście tysięcy Arabów mających izraelskie obywatelstwo[159].

Miasto zachowało jednak swój orientalny charakter.

Kiedy dziesięcioletni Nahoum Cohen w 1948 roku przyплыł wraz z grupą bułgarskich Żydów do portu w Jafie, w mieście z około siedemdziesięciu tysięcy[160]

pozostało zaledwie cztery tysiące[161] jego arabskich mieszkańców, w większości ubogich, zamkniętych w otoczonej drutem kolczastym i pilnowanej przez żydowskich żołnierzy dzielnicy Adżami. Wszędzie indziej arabskie domy wraz z całym wyposażeniem zostały porzucone przez właścicieli, którzy uciekli albo zostali internowani. Żydzi bułgarscy, rozlokowani w opuszczonych arabskich domach, bali się wychodzić na zewnątrz, na ulicach miasta częściej można było spotkać bezpańskie psy i koty niż ludzi. Trwała bowiem wojna arabsko-izraelska, nazwana później przez Arabów *an-Nakba* - Katastrofa. Kiedy się zakończyła, Arabowie pozostali głównie w Adżami, zrujnowanej dzielnicy biedy, Żydzi zaś - w pozostałych dzielnicach miasta.

Ziemia arabskich uchodźców i ich domy, tak jak we wszystkich innych miastach i wsiach arabskich należących od 1948 roku do Izraela, przeszły na własność państwa, a Jafa pozostawiona bez opieki prywatnych właścicieli, zamieszkała prawie wyłącznie przez najemców, zaczęła podupadać. Nikt nie kwapił się do remontowania budynków, które jeszcze dałoby się uratować od zniszczenia, ani do działania mającego na celu rozwój miasta. Zniszczone domy z czasem wyburzano, a pozostały po nich teren otrzymywał status parku krajobrazowego bez prawa zabudowy.

W latach osiemdziesiątych część żydowskich mieszkańców zaczęła przenosić się do bogatszych dzielnic Tel Awiwu lub innych miejscowości, a do Jafy zaczęli napływać nowi. Aż do lat dziewięćdziesiątych Jafa była zaniedbana i niezbyt bezpieczna w nocy. Łaskawczy okazał się dla niej wiek XXI. Stała się modna i coraz więcej bogatych Izraelczyków, których stać było na kupowanie wystawianych na przetarg małych kawałków ziemi, sprowadzało się tutaj i zaczynało dbać o wygląd miasta, ściągając do niego pieniądze. Zrealizowano luksusowe projekty mieszkaniowe, otworzono nowe, eleganckie restauracje, galerie, bary i kawiarnie. Zaczęto również restaurować na większą skalę stare budynki, zmieniając powoli obraz miasta.

Palestyńczycy

Dwudziestego dziewiątego listopada 1947 roku Zgromadzenie Ogólne ONZ podjęło Rezolucję nr 181, w myśl której na obszarze mandatu brytyjskiego nad Palestyną, po jego wygaśnięciu, miały powstać dwa państwa: żydowskie o powierzchni czternaście tysięcy dwieście pięćdziesiąt siedem kilometrów kwadratowych (pięćdziesiąt pięć procent) i arabskie - na jedenastu tysiącach sześciuset sześćdziesięciu czterech kilometrach kwadratowych (czterdzieści pięć procent). Na terytorium mandatowym mieszkało wtedy około sześciuset

tysięcy Żydów i prawie dwukrotnie więcej - około miliona dwustu tysięcy[162] Arabów.

Po opuszczeniu przez żołnierzy brytyjskich ziem nowego państwa żydowskiego, następnego dnia po proklamowaniu jego niepodległości, 15 maja 1948 roku zostało ono zaatakowane przez ościennie państwa arabskie: Egipt, Jordanię, Syrię, Liban i Irak. Pierwsza wojna arabsko-izraelska, dla Żydów *Milchemet ha'Szichrur*, Wojna Wyzwoleńcza, dla Palestyńczyków *an-Nakba*, Katastrofa, zakończona 20 lipca 1949 roku klęską państw arabskich, ustaliła nowy podział terytorialny oraz ludnościowy. Izrael zajął siedemdziesiąt siedem procent terytorium, pozostałe ziemie Palestyny zostały oddane pod kontrolę Egiptu (Strefa Gazy) i Jordanii (Zachodni Brzeg). Państwo palestyńskie w ogóle nie powstało.

Żydzi uważali, że atak Ligi Arabskiej zwolnił ich państwo z obowiązku przestrzegania postanowień rezolucji listopadowej ONZ, a groźby „zepchnięcia Żydów do morza” umocniły przekonanie, że duży odsetek obcej ludności w granicach państwa stanowić będzie dla niego śmiertelne niebezpieczeństwo i wzmocniły antyarabskie nastroje. Według izraelskiej propagandy, ci Palestyńczycy, którzy jeszcze nie uciekli, mogli stać się piątą kolumną wroga. Od maja 1948 roku armia izraelska zaczęła stosować metodę wyburzania arabskich zabudowań i zmuszania Palestyńczyków przemocą do odejścia. Po zajęciu Lod i Ramli, Igal Allon i Icchak Rabin zapytali premiera, co należy zrobić z dziesiątkami tysięcy Arabów, którzy tam pozostali. Ben Gurion machnął ręką w geście oznaczającym - wyrzucić ich. Trzeba ich jednak było do tego zmusić, czemu dał świadectwo Ichak Rabin „Naradziliśmy się z Allonem, ja zgadzałem się, że usunięcie mieszkańców to kluczowa sprawa. [...] Nie odeszli oni chętnie, toteż nie było możliwości uniknięcia użycia siły i strzałów ostrzegawczych, aby zmusić ich do przemaszerowania 15 mil, aż do miejsca, gdzie napotkali żołnierzy Legionu Arabskiego”[163]. W Lod izraelscy żołnierze zabili około dwustu pięćdziesięciu mieszkańców (według danych palestyńskich czterystu pięćdziesięciu). Mieszkańcy Ramli wyciągnęli wnioski z tego, czego byli świadkami, i zgodzili się na ewakuację[164].

Ósmego i czternastego listopada 1948 roku na terenach kontrolowanych przez wojsko przeprowadzono pierwszy w nowo utworzonym państwie oficjalny spis ludności[165]. Stosunki ludnościowe na terenie byłej Palestyny, na skutek działań wojennych, wysiedleń i ucieczki zdecydowanej większości ludności arabskiej, a także masowego napływu ludności żydowskiej, zdecydowanie różniły się od tych z końca 1947 roku. Arabowie, którzy w czasie spisu byli na terenie Izraela, zostali uznani za jego obywateli, natomiast „nieobecni” - za uchodźców bez prawa powrotu i możliwości dysponowania porzuconym majątkiem. Ich mienie zostało przekazane do dyspozycji Apotropus le'Nichsei Nifkadim, Kurateli nad Własnością Nieobecnych.

Spis wykazał, że populacja żydowska liczyła siedemset szesnaście tysięcy osób, a arabska - sto pięćdziesiąt sześć tysięcy. Siedemset trzydzieści tysięcy Arabów[166] zamieszkujących tereny, na których utworzone zostało państwo żydowskie, nieobecnych podczas spisu na skutek działań wojennych (wysiedlenia i ucieczki), stało się bezdomnymi uchodźcami i zamieszkało w prowizorycznych obozach w Libanie, Syrii, Jordanii, na Zachodnim Brzegu (pod kontrolą jordańską) i w Gazie (pod kontrolą egipską).

W 1968 roku, po wojnie sześciodniowej i zaanektowaniu przez Izrael terytoriów Zachodniego Brzegu i Gazy, liczba palestyńskich uchodźców powiększyła się o trzysta tysięcy. Większość z nich zamieszkała w Jordanii[167]. Do populacji Izraela zostali włączeni Arabowie i druzowie z zaanektowanej Wschodniej Jerozolimy (1967), a później także ze wzgórz Golan (1981)[168]. Im i ich potomkom, w odróżnieniu od Arabów izraelskich, do dzisiaj nie przyznano pełnych praw obywatelskich, nadano im tylko status stałych mieszkańców.

Obecnie liczba uchodźców palestyńskich[169] i ich potomków wynosi ponad trzy miliony siedemset tysięcy[170] osób. W olbrzymiej większości żyją oni w katastrofalnych warunkach bytowych i utrzymują się głównie z pomocy udzielanej im przez powołaną specjalnie do tego celu agencję ONZ (UNRWA, United Nations Relief and Works Agency for Palestine Refugees in the Near East, Agencja Narodów Zjednoczonych ds. Pomocy Uchodźcom Palestyńskim na Bliskim Wschodzie). To spośród uchodźców, a nie ze społeczności Palestyńczyków od pokoleń mieszkających na Zachodnim Brzegu i w Gazie, rekrutuje się większość zdesperowanych terrorystów.

W 2012 roku na terytorium Izraela mieszkało milion sześćset trzydzieści sześć tysięcy sześciuset Arabów[171] (muzułmanów, chrześcijan i druzów), w tym około trzystu siedemdziesięciu tysięcy Palestyńczyków (trzysta pięćdziesiąt tysięcy[172] we Wschodniej Jerozolimie i około dwudziestu tysięcy[173] na wzgórzach Golan) posiadających status stałych mieszkańców.

Według raportu Centrum Arabskiej Mniejszości w Izraelu (The Legal Center For Arab Minority Rights in Israel) z 2011 roku[174] izraelscy Arabowie, choć przyznano im obywatelstwo, są dyskryminowani pod względem politycznym i ekonomicznym. Mają mniejsze możliwości zatrudnienia niż ludność żydowska, pracują za niższą płacę, panuje wśród nich wyższe niż w populacji żydowskiej bezrobocie. Ponad pięćdziesiąt procent Arabów żyje na granicy ubóstwa. Na terenach przeludnionych arabskich wiosek i miast zdecydowanie mniej inwestuje się w rozwój przemysłu, kultury, budownictwa i transportu. „Arabscy obywatele mają nierówny dostęp i niższy niż żydowscy poziom uczestnictwa we

wszystkich sferach życia publicznego i w procesie podejmowania decyzji [...], co zmniejsza ich zdolność do walki z nierównością i dyskryminacją”[175]. Policja rutynowo używa wobec demonstrantów arabskich siły, dochodzi do brutalnych aresztowań w celu uciszenia głosów protestu, w wyniku czego Arabowie mają ograniczoną przestrzeń dla działań politycznych[176]. Efektem braku zaufania do izraelskiego rządu jest niska frekwencja wyborcza wśród ludności arabskiej. W wyborach 2013 roku czterdzieści dwa procent upoważnionych do głosowania Arabów[177] nie skorzystało z tej możliwości, motywując to brakiem zaufania do demokracji izraelskiej[178]. Mimo to większość arabskich obywateli Izraela (siedemdziesiąt siedem procent) woli mieszkać w Izraelu niż w jakimkolwiek innym kraju na świecie[179].

Wewnętrzni wysiedleńcy

W obecnych granicach Izraela żyje również kilkanaście tysięcy tak zwanych wewnętrznych wysiedleńców. Są to ci, którzy uciekli (lub którym nakazano wyjazd) w trakcie działań wojennych, wrócili już po przeprowadzeniu pierwszego spisu ludności i w rezultacie zostali pozbawieni oficjalnych praw do ziemi, domu i bycia obywatelami nowo powstałego państwa. Tak właśnie stało się z mieszkańcami miejscowości na górze Karmel w północnym Izraelu, znanej dziś z galerii artystów, niezapomnianych widoków na Morze Śródziemne, przyjemnych kawiarenek i muzeum dadaizmu. Jej hebrajska nazwa - Ein Hod - brzmi prawie tak samo jak arabska nazwa pobliskiej wioski palestyńskiej - Ein Chud (Ein Hawd). Zbieżność nie jest przypadkowa, a dwie miejscowości mają ze sobą o wiele więcej wspólnego. Kryje się za tym, jak zawsze, powikłana historia stosunków arabsko-żydowskich.

Ein Hod był do czasu utworzenia państwa izraelskiego arabską wioską Ein Chud, z kamiennymi, obszernymi domami otoczonymi drzewami oliwnymi, założoną przez emira Hussama al-Dina Abu al-Hija w XII wieku[180]. W 1945 roku wioska miała siedmiuset pięćdziesięciu czterech mieszkańców - Palestyńczyków. W 1947 roku, w trakcie walk na górze Karmel pomiędzy wojskami żydowskimi a syryjsko-libańskimi sprzymierzonymi z Palestyńczykami, arabska ludność Ein Chud uciekła w okoliczne lasy. Po ustaniu walk chciała powrócić do swych domów, ale na to nie pozwolono, ponieważ zgodnie z Prawem o Nieobecnych arabscy mieszkańcy, którzy między listopadem 1947 roku a wrześniem 1948 nie przebywali w miejscu zamieszkania, utracili prawo do swojego majątku i możliwość zamieszkania w swoich domach. Ich ziemie początkowo przeszły na własność Nir Acion, sąsiedniego kibucu, a kilka lat później do ich starej wioski, w 1953 przemianowanej na Ein

Hod, wprowadzili się żydowscy artyści.

Mieszkańcy starego Ein Chud, koczujący początkowo w namiotach w lesie, zaczęli nielegalnie budować nowe domy na wzgórzu nad starą wioską. Nowa osada palestyńska, skąd codziennie z lotu ptaka oglądali domy swoich przodków, do których nie mieli wstępu, nosiła to samo miano co stara - Ein Chud. Oficjalnie wśród sosnowych drzew na górze Karmel żadna arabska miejscowość nie istniała. Nie prowadziła do niej żadna zaznaczona na izraelskich mapach droga ani nawet leśna ścieżka, choć Izraelczycy od lat jeździli do prowadzonej akurat tam jednej z najlepszych restauracji arabskich, serwującej smaczne, obfite i namacalnie istniejące dania autentycznej palestyńskiej kuchni domowej. Wioski Ein Chud nie było aż do 2005 roku, kiedy to po długiej walce prawnej nagle została „odkryta” na mapach i po pięćdziesięciu siedmiu latach swojego istnienia podłączona do kanalizacji, sieci elektrycznej i wodociągowej.

Jadąc w wiosenny dzień świeżo położoną asfaltową jezdnią do „nowej” arabskiej osady Ein Chud, nie mogłam się powstrzymać od okrzyków zachwytu. Widok stąd na Morze Śródziemne był wyjątkowo piękny, choć naznaczony śladami tragedii - największego w historii Izraela pożaru w lasach Karmel, który zniszczył w okolicy dwieście pięćdziesiąt domów i pięć milionów drzew. Jak to jednak bywa w przyrodzie, zaledwie w kilka miesięcy później wyłysiałe brunatno-czarne polany zarosła trawa, kwiaty gromadnie pojedynkowały się na kolory z wypaloną ziemią, a pszczoły mozolnie pracowały jak co roku, by zebrać miód, będący przysmakiem zarówno Żydów w Ein Hod, jak i Arabów z Ein Chud.

Kfar Biram już nie istnieje?

Na północ od Ein Chud, w Górnej Galilei, leży Kfar Biram (Kfar Birem, Kfar Birim), arabska wioska chrześcijan maronitów. Archeolodzy identyfikują ją z istniejącą w I wieku Kfar Baram[181] żydowską wioską z dwoma starożytnymi synagogami. W XIII wieku[182] odnotowano fakt, że miejscowość ta nazywała się Kfar Biram, zamieszkiwali ją gościnni Arabowie, Żydzi zaś odwiedzali, by modlić się w starożytnej synagodze. Jednym z podróżników był rabin Moses Bassola (Moses Ben Mordecai Bassola), który swe wrażenia uwiecznił w książce znanej jako *Sefer ha'masaot* albo *Masa'ot Erets Yisrael*[183].

Według źródeł palestyńskich w 1945 roku wioska miała siedmuset dziesięciu mieszkańców[184] maronitów, wiernych tradycji przyjaznych stosunków z Żydami. W listopadzie 1948 roku dostali rozkaz pozostawienia dobytku i opuszczenia ziemi przodków w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, choć zaledwie trzy dni wcześniej w oficjalnym dokumencie,

podpisanym przez izraelskiego rzecznika wojskowego, zagwarantowano im „przyjazne nastawienie”. Przymusową ewakuację tłumaczono „względami bezpieczeństwa” i nakłaniając maronitów do opuszczenia domów, obiecywano im, że powrócą w ciągu dwóch tygodni. Pozwolenia na powrót na swoje ziemie nie otrzymali jednak aż po dzień dzisiejszy. Ich domy, niezniszczone w trakcie działań wojennych, zostały specjalnie zbombardowane przez samoloty izraelskie we wrześniu 1953 roku i wysadzone w powietrze przez oddziały naziemne[185], czyli pięć lat po wojnie i dwa lata po pierwszym wyroku Sądu Najwyższego Izraela (z lipca 1951 roku), który potwierdzał ich prawo do ziemi. Zrobiono to po to, by nikt nie mógł się w nich osiedlić. Część arabskiej ziemi, wbrew postanowieniom sądu, oddano w użytkowanie sąsiednim kibucem, a resztę ogłoszono rezerwatem przyrody bez prawa zabudowy.

Trzy wyroki Sądu Najwyższego, pozytywne dla mieszkańców wsi Kfar Biram i sąsiedniej Ikrit, o podobnej historii, nie zostały wyegzekwowane, ponieważ wsie leżały w okręgu przygranicznym, gdzie zwierzchnik wojskowy ma prawo wydawać własne zarządzenia podyktowane „względami bezpieczeństwa”.

Po wieloletniej walce sądowej, niedotrzymaniu obietnicy złożonej w 1977 roku przez premiera rządu Menachema Begina, po protestach Izraelczyków przekonanych o ewidentnej krzywdzie wyrządzonej Arabom, a nawet prośbie Jana Pawła II skierowanej w 2000 roku do premiera Ehuda Baraka - jedynymi arabskimi mieszkańcami porośniętej dzikimi trawami Kfar Biram są zmarli, którzy wywalczyli już sobie prawo do spoczynku na maronickim cmentarzu. Jednakże raz w roku, latem, wioska ożywa. Przez kilka dni między ruinami domów, w pobliżu kościoła, w Kfar Biram rozbija się namioty, rozkłada stoły i rozpina zadaszania chroniące przed słońcem. Słyszeć muzykę i wszędzie pełno jest bawiących się dzieci. Wioska, jak przed laty, znów rozbrzmiewa wesołymi gwarem odwiedzających ją gości - nowego pokolenia maronitów, którzy na tradycyjny festyn przyjeżdżają z całego Izraela, a jeśli się uda, to i z Jordanii. W tym czasie pobierają się młode pary i robią sobie pamiątkowe zdjęcia na terenie wioski praojców, dzieci uczą się historii i tradycji maronitów, odwiedzają groby, słuchają opowieści o dawnych czasach, poznają się nawzajem, śpiewają i bawią się, a przede wszystkim dbają o to, by zademonstrować swoją obecność i prawa do ziemi.

Znikające drogi

Szkielety dawnych osad, dramatyczne świadectwo konfliktu palestyńsko-izraelskiego, stare baraki wojskowe i fortyfikacje szczególnie często można spotkać na wzgórzach Golan,

na Zachodnim Brzegu zaś natknąć się na szosy kończące się znakiem zakazu wjazdu, i to wcale nie ze względu na niebezpieczeństwo. W Izraelu drogi nie tylko czasem tajemniczo znikają z mapy albo niespodziewanie się na niej pojawiają - mogą się też nagle urwać, zwłaszcza gdy prowadzą na Terytoria Okupowane. Jedna z takich dróg łączy dwie położone po sąsiedzku osady w pobliżu Hebronu (w odległości dwudziestu pięciu kilometrów). Tuż po ostatnich zabudowaniach z białymi cysternami na dachach zamyka ją barykada. Po drugiej stronie betonowej zapory droga znów się pojawia i jakby nigdy nic wiedzie do drugiej miejscowości, gdzie wodę magazynuje się w czarnych zbiornikach. Okaleczona szosa dla jednych oznacza kilkuminutową jazdę do głównych dróg, dla drugich - codzienny dwudziestopięciokilometrowy objazd w drodze do pracy, na zakupy, w odwiedziny do krewnych czy do znajomych po drugiej stronie zabarykadowanej pośrodku drogi. Coś, co na pierwszy rzut oka wygląda na niezrozumiały absurd, stanowi codzienną rzeczywistość dla wielu ludzi mieszkających w pobliżu zielonej linii, wyznaczającej granicę pomiędzy Izraelem a terytoriami zdobytymi w wojnie sześciodniowej (1967).

Taka polityka drogowa jest logiczna i zaplanowana, choć dla postronnych trudna do zrozumienia. Wioska Curif, nazywana też Surif, z drogą donikąd i czarnymi zbiornikami na wodę, jest palestyńska, jej sąsiadka po drugiej stronie barykady - żydowska, zamieszkała przez syjonistycznych osadników na Terytoriach Okupowanych. Jak łatwo się domyślić, tylko osadzie izraelskiej zapewnia się bezpośrednie połączenie z całym krajem; mieszkańcy palestyńskiej podróżują codziennie okrężnymi drogami, ponieważ zdaniem władz stanowią zagrożenie dla tych po żydowskiej stronie. Tych samych, wśród których są należący do skrajnych odłamów prawicy ortodoksyjnej zwolennicy *tag mechir* (dosł. „etykieta cenowa”), odwetu na Palestyńczykach.

Mitnachalim budują nowe osiedla na ogół w pobliżu wiosek arabskich, zagarniając przy tym, często bezprawnie, ziemię należącą do Palestyńczyków. Kiedy te osiedla na mocy wyroków Sądu Najwyższego zostają zburzone, po każdej takiej akcji zamaskowani osadnicy po kryjomu, nocami napadają na pobliskie wioski palestyńskie. Palą domy i tysiące drzew oliwnych[186], niszczą mienie palestyńskie, samowolnie blokują drogi, używają fizycznej przemocy wobec Palestyńczyków, izraelskich działaczy lewicy, a nawet izraelskiego wojska próbującego wyegzekwować prawo. W akcie zemsty profanują meczety, pisząc na ścianach *tag mechir*, co ma oznaczać, że to Palestyńczykom wyznaczają cenę za skierowane przeciwko *mitnachalim* działania rządowe. Żydowski terror doprowadził już w przeszłości do zamachów na arabskie autobusy, takich jak w mieście Sziloah, gdzie izraelski terrorysta zabił czterech i zranił dwudziestu dwóch Arabów, aby wyrzucić nacisk rząd w sprawie utrzymania

Terytoriów Okupowanych.

Prawicowo-syjonistyczni osadnicy stosujący *tag mechir* jako sposób walki z palestyńską ludnością cywilną, którzy traktują Arabów jak współczesnych Amalekitów - biblijne plemię symbolizujące wrogie Żydom narody - mają poparcie siedemdziesięciu procent ortodoksyjnych i czterdziestu sześciu procent[187] świeckich Żydów. W stu oficjalnie zgłoszonych przypadkach *tag mechir* nie skazano ani jednej odpowiedzialnej za to osoby.

Rachunek

Jeśli ktoś podróżuje po „problematycznej” stronie zielonej linii, to niech się nie zdziwi, gdy któregoś dnia zamiast pierwszych zabudowań wioski przed sobą zobaczy nagle ogromny głaz blokujący drogę, posterunek wojskowy, plakat informujący, że to droga „tylko dla Izraelczyków”. Kiedy zaś w miejscu, gdzie na mapie są tylko wzgórza albo piaski, usiądzie przy nakrytym białym obrusem stole, wsłuchując się w brzęk szklanek w rytmie wschodniej muzyki, poczuje zapach grillowanej baraniny, a w ustach będzie mieć smak bakłażanów polanych sosem sezamowym z dodatkiem ziela *kusbara*, nie będzie to fatamorgana, kelner w białej koszuli i czarnych spodniach nie zniknie jak duch po skończonym posiłku. Trzeba będzie jednak zapłacić rachunek. Mam tylko nadzieję, że cena nie będzie zbyt wygórowana i doczekam momentu, w którym drogi w Izraelu prowadzić będą do ludzi, nie zaś od siebie ich odgradzać.

Cena strachu

- Mieszkaś w Izraelu? - dziwią się przypadkowo spotkani polscy znajomi. - Nie boisz się? Tam przecież jest wojna, są zamachy terrorystyczne!

- Ależ skąd! - oponuję. - Tylko czasami!

Choć w chwili, kiedy piszę te słowa, w Izraelu nie ma islamskich, samobójczych ataków terrorystycznych, podobnie jak wielu innych podróżujących autobusami Izraelczyków, nadal wyczulona jestem na każdą podejrzaną sytuację: nerwowy pasażer z dużą torbą wsuniętą pod siedzenie czy słowa wypowiedziane po arabsku. Posterunki wojskowe, uzbrojone patrole, młodzi chłopcy i dziewczęta w mundurach spacerujący po ulicach z amerykańskimi karabinami automatycznymi M16 wydają mi się jednak zwyczajną częścią izraelskiego krajobrazu, tak samo zresztą jak zaminowane od dziesiątków lat tereny z napisami, „Uwaga! Miny!”, w sąsiedztwie głównych dróg i obiektów turystycznych. Niewypałami w Izraelu nikt zdaje się nie przejmować, chociaż na wzgórzach Golan spowodowane nimi wypadki ciągle się zdarzają. Nic w tym dziwnego, skoro według izraelskich źródeł wojskowych na tym strategicznie ważnym terenie, skąd można prowadzić ostrzał Syrii aż po Damaszek, jej stolicę, znajduje się ponad dwa tysiące pól minowych[188] (z czego część w ogóle nieoznakowana ze względów strategiczno-obronnych). Podczas wojny sześciodniowej (1967), wojny Jom Kippur (1973) i w ostatnich latach, kiedy to Izraelczycy postanowili dodatkowo zabezpieczyć się przed inwazją syryjską, w wielu miejscach rozmieszczono tysiące min. Survivors Corps, organizacja realizująca program wsparcia i pomocy dla ofiar min, podaje, że w całym Izraelu jest około dwustu sześćdziesięciu tysięcy min[189], w większości na wzgórzach Golan i wzdłuż izraelskiej granicy. Ale na ulicach miast, gdy usłyszycie nagle ostrzeżenie, „uwaga na miny”, musicie obawiać się nie o życie, tylko o to, by nie wdepnąć w psie odchody, niesumiennie sprzątane przez izraelskich właścicieli domowych zwierząt. Miasta są bezpieczne.

W Izraelu należy być przygotowanym na blokady wojskowe na jezdniach, śledztwo na temat bagażu na lotnisku przed wylotem, na sprawdzanie torebek przy wejściu do wszystkich miejsc publicznych, na pokazywanie wnętrza bagażnika samochodu przy wjeździe na parkingi, a także na pytanie o to, czy ma się broń, zadane śpiewnym akcentem rosyjskich emigrantów pracujących jako ochroniarze w instytucjach, szpitalach, kinach, teatrach i innych

miejscach publicznych. Ochroniarze strzegą bram szkół i towarzyszą dzieciom i młodzieży na szkolnych wycieczkach.

Nikogo nie dziwią reklamy izraelskiej poczty z sierpnia 2012 roku: „Jak najszybciej kupcie zestaw ratunkowy na wypadek wojny” (dwa plastikowe ośmiolitrowe pojemniki, taśma klejąca i plastikowa folia do uszczelniania mieszkań na wypadek użycia broni gazowej)[190], czy „Zamów jeszcze dzisiaj, za jedyne dwadzieścia pięć szekli, przesłanie zestawu bezpieczeństwa”[191]. Różnorodne maski gazowe dla dorosłych i dzieci, z gwarancją przydatności do użytku na piętnaście lub nawet dwadzieścia pięć lat, w 2012 roku można było kupić za pośrednictwem Poczty Izraelskiej[192].

Informacja o możliwym wybuchu wojny z jednym z ościennych państw arabskich, z którymi Izrael jest formalnie w stanie wojny (z Syrią i Libanem) lub nawet z tymi, z którymi podpisał porozumienie pokojowe (Jordanią i Egiptem), przyjmowana jest tak jak w Polsce perspektywa srogiej zimy. No cóż, w Europie zimą pada śnieg, a w Izraelu bywają wojny, więc w głównym telewizyjnym wydaniu wiadomości obok prognozy pogody podaje się fakty świadczące o tym, że na najbliższe lato przewidywane są zmasowane ataki rakietowe i dlatego już wiosną poleca się sprawdzić przydatność do użycia masek gazowych, w jakie wraz z zastrzykiem atropiny zaopatrzone jest każdy obywatel. W innych krajach komunikat o takiej treści wywołałby zbiorową panikę. Tutaj spowoduje wysyp komentarzy w internecie i posłuży za dodatkowy temat do rozmowy podczas grillowania w parku.

Nie znaczy to bynajmniej, że Izraelczycy nie boją się wojny; przywykli po prostu do bycia w gotowości - statystycznie rzecz biorąc, konflikt zbrojny zdarza się w tym państwie mniej więcej co siedem lat i myśl o nim stale jest obecna[193], choć nie zawsze świadoma. Czasami wysuwa się na pierwszy plan, i to nie tylko wtedy, gdy Izraelczycy „przeprowadzają akcję” w Gazie czy walczą w Libanie. Dzieje się tak, kiedy w zwykły dzień na północy lub południu nagle odzywają się syreny ostrzegające przed atakiem i z nieba zaczynają spadać pociski rakietowe lub pojawiają się doniesienia, że samoloty izraelskie ostrzeliwują jakąś arabską wioskę w Strefie Gazy lub północnym Libanie, gdzie schronili się terroryści, bo wiadomo, że wywoła to w odwecie ostrzał terytorium Izraela.

Zagrożenie wojną pojawia się przy okazji każdej zapalnej sytuacji w krajach muzułmańskich, nawet tych, które nie graniczą z Ziemią Świętą. Kiedy pisałam tę książkę, wojna stała się aż niepokojąco realna. W pierwszej połowie 2012 roku izraelską codzienność wypełniły przygotowywane przez polityków plany ataku na Iran. Izraelska propaganda twierdziła, że Izrael nie poniesie w działaniach wojennych większych strat. W marcu 2012 roku wyliczono, że w ewentualnym odwetowym ataku rakietowym na terytorium Izraela

zginie „tylko” od trzystu do pięciuset Izraelczyków. Pokazano przy tym najnowsze osiągnięcie techniki wojskowej - *Kipat Barzel*, Żelazną Kopułę, czyli sterowany system przechwytywania rakiet krótkiego zasięgu, działający również w nocy, w złych warunkach meteorologicznych i wobec wielu obiektów jednocześnie. Takie uspokajające oświadczenie podano w najpopularniejszych wiadomościach w drugim programie telewizji. Izraelczycy zdawali sobie jednak sprawę z tego, że rakiety Hamasu i Hezbollahu mogą osiągnąć każdego miejsca w Izraelu - z Tel Awiwem włącznie.

Bezpieczny Izrael

Telefon zadzwonił chwilę po tym, kiedy zawyły syreny ostrzegające przed atakiem raketowym na Gusz Dan. Moja dziewięcioletnia córka, płacząc, prosiła, żebym szybko po nią przyjechała. Była akurat na urodzinach koleżanki. Dźwięk spadających rakiet słyszała dotąd wyłącznie w wiadomościach telewizyjnych. W listopadzie 2012 roku, podczas trwania izraelskiej operacji wojskowej *Amud anan*, *Filar obrony*, zabrzmiały one w najbezpieczniejszym do tej pory miejscu: w Tel Awiwie-Jafie.

Nikt nie został ranny, domy nie zostały uszkodzone, niby nic dramatycznego się nie wydarzyło - poza tym, że ostrzelanie Tel Awiwu stało się faktem. Organizacje terrorystyczne od lat straszyły, że zaatakują Centrum, ale udało im się tego dokonać dopiero w 2012 roku. Wraz z ostrzałem raketowym jak bańka mydlana pękło poczucie bezpieczeństwa mieszkańców „państwa telawińskiego”. Operacja *Filar obrony* udowodniła, że arabskie rakiety mogą osiągnąć nie tylko Tel Awiwu, ale i pojawić się na niebie nad zamieszkaną przez Żydów, Arabów i chrześcijan Jerozolimą. „Nareszcie i wy rozumiecie, co to znaczy być pod ostrzałem”, pisali w komentarzach w internecie Izraelczycy z północy, którzy w okresie, kiedy wojsko izraelskie miało swoje bazy w Libanie, przez wiele lat dnie i noce spędzali w schronach. „Posmakowaliście tego, co dla nas jest chlebem powszednim”, pisali mieszkańcy Sederot, Aszkelonu, Aszdodu, Ofakim, Gedery, Kiriat Malachi i innych izraelskich miast na południu, na które tylko od stycznia 2012 do listopada 2012 roku wystrzelono większość z dwóch tysięcy dwustu pięćdziesięciu sześciu rakiet[194]. Stamtąd, gdzie przez ostatnich siedem lat, od chwili wycofania się Izraela w 2005 roku ze Strefy Gazy, dzieci rodziły się do rzeczywistości, w której ich dom, choć nie było wojny, w jednej chwili mógł zostać ostrzelany, a ich dzień przebiegał według rytmu nadawanego przez *cewa adom* (dosł. czerwony kolor), system ostrzegania przed atakiem rakiet średniego zasięgu[195].

Reality show

Dym nad Gazą i Żelazną Kopułą w akcji, tak jak inni mieszkańcy aglomeracji telawiwskiej, oglądałam na ekranach telewizyjnych z przedziwnym uczuciem, że uczestniczę w realno-wirtualnym show. Przy wtórze miejscowej syreny, jak najbardziej rzeczywistej, w telewizyjnej transmisji na żywo widziałam moment odpalenia wyrzutni antyrakietowej, śledziłam, także w telewizji, lot rakiet i ich rozbłysk na niebie, kiedy dosięgły celu, a po minucie lub dwóch słyszałam huk spadających odłamków zestrzelonych rakiet za swoim jak najbardziej rzeczywistym oknem. Serce przyspieszyło rytm dopiero na myśl, że teoretycznie mam szansę zostać jednym z tragicznych aktorów przedstawienia z rakietami i Żelazną Kopułą w roli głównej.

Mieszkańcom Gusz Dan niełatwo przyszło uwierzyć w to, jak nagle ostrzał rakietowy wdarł się w ich codzienność, choć poprzedni dzień był zupełnie zwyczajny, podobny do wielu innych. Żadna wroga armia nie przekroczyła nagle granic, państwo nie zostało zaatakowane przez wrogie lotnictwo, a Gaza, oddalona od Tel Awiwu zaledwie o kilkadziesiąt kilometrów, filmowana i pokazywana w transmisji na żywo, wydawała się nierealna, jakby rakiety nie stamtąd zostały wystrzelone i w odwecie nie spadały na tamtejsze domy i ulice. W to naprawdę trudno było uwierzyć: samoloty bez pilotów, wyposażone w specjalny system zdalnie kierowanych rakiet i kamery pozwalające sfilmować, a potem precyzyjnie trafić w cel w ciągu trzydziestu sekund od chwili, gdy się pojawił. Nawet wtedy, gdy się to oglądało w telewizyjnej relacji ze zlikwidowania dowódcy oddziałów zbrojnych Hamasu, Ahmeda Dżabariego[196] na głównej ulicy Gazy.

Wszystko przypominało trochę niezwykły film, a jednak nagle w Tel Awiwie ceny mieszkań ze specjalnym pomieszczeniem mogącym służyć jako indywidualny schron wzrosły o dziesięć procent, a tych posiadających zbiorowy schron - o pięć procent. Na południu zaś, jak podała gazeta „Kalkalist”[197], podskoczyły o dziesięć do dwudziestu procent.

Optymizm i siła

Na całym świecie pokój jest stanem zwyczajnym, wojna nadzwyczajnym. W Izraelu człowiek, który mówi o pragnieniu pokoju, czuje się tak, jakby marzył na jawie. Operację wojskową *Filar obrony* poparło dziewięćdziesiąt jeden procent[198] Izraelczyków. Zdecydowana większość (siedemdziesiąt sześć procent[199]) wyraziła pragnienie kontynuacji działań wojennych nie dlatego, że kocha wojnę i przemoc, tylko w przekonaniu, że gwarancją uwolnienia Izraela od ataków rakietowych jest kompletne oczyszczenie Strefy Gazy z broni i

likwidacja tych, których uważa za terrorystów. Izraelczycy przekonani o tym, że po drugiej stronie betonowego muru oddzielającego Izrael od Autonomii Palestyńskiej i w Strefie Gazy nie ma z kim zawrzeć wiarygodnych i długotrwałych ustaleń, przestali mieć nadzieję na pokojowe porozumienie i nawet już się tu niezbyt wiele o tym mówi.

Choć większość (sześćdziesiąt procent) sądzi, że trwały pokój nie może zostać osiągnięty w ciągu najbliższych pięciu lat, i aż dziewięćdziesiąt sześć procent[200] spodziewa się, że po rozejmie kończącym operację *Filar obrony* dojdzie w najbliższej przyszłości do kolejnych takich incydentów, Izraelczycy są optymistami[201]. Sześćdziesiąt dziewięć procent jest zadowolonych z życia[202], a pięćdziesiąt procent wierzy, że w ciągu czterech lat ich sytuacja zmieni się na lepsze[203]. Większość twierdzi także, że czuje się bezpiecznie i ostrzał raketowy nie jest w stanie tego zmienić. Przyznanie się do poczucia zagrożenia byłoby równoznaczne z wygraną Hamasu. Oznaczałoby, że Żydzi w swoim miejscu schronienia, we własnym państwie, nie mogą być pewni swojej egzystencji, a ich życie i śmierć znów uzależnione są od innych. Bezpieczeństwo to część etosu Izraela, to świadectwo zwycięstwa idei państwa żydowskiego i podstawa egzystencji narodu. *Am Israel hu am hazak*, „Naród izraelski jest silnym narodem” - to słyszy się często na izraelskiej ulicy, a powiedzenie „wszystko będzie dobrze”, do czego *charedim* dodają: *be'ezrat ha'Szem*, „z pomocą Boską”, jest jednym z najpopularniejszych we wszystkich kręgach społecznych. Izraelczycy czują się silni, bo na słabość nie mogą sobie pozwolić, poza tym wierzą w swój kraj, który kilkakrotnie nie uległ przewadze liczebnej zjednoczonych sił arabskich. „Izrael jest państwem, gdzie nastroje wychylają się jak wahadło - zawsze był strach przed przyszłością, ale tak było w 1948, 1973, 1991”, tłumaczył mi przyjaciel z Facebooka Adam Baruch, Izraelczyk z Hajfy. I dodał:

Moim zdaniem nic się tak naprawdę nie zmieniło, a Izrael jest teraz w sytuacji lepszej niż kiedykolwiek wcześniej. Dziś jest silny pod względem militarnym, ekonomicznym, socjologicznym. Trzeba sporo optymizmu, aby zostać tutaj i być „normalnym” człowiekiem. Nie widzę jednak pesymizmu ani w budującym się (jak żaden inny) kraju, ani wśród jego naukowców, lekarzy, studentów, młodych bohaterów w armii, którzy robią to, co robili tutaj ich ojcowie i dziadkowie od stu lat. Izraelczycy czują się bezpieczni w swoim państwie, a stres jest przejściowy. Tel Awiw jest państwem w państwie, gdzie każdy kryzys jest apokalipsą, a każda kolacja ostatnią wieczerzą. Izrael istnieje w cieniu niebezpieczeństwa od chwili, kiedy powstał, a Izraelczycy, gdyby nie zdawali sobie z tego sprawy, powinni zostać uznani za chorych psychicznie... To świadomość zagrożenia czyni z nas normalnych ludzi.

Jak to możliwe, by czuć się bezpiecznym w kraju, gdzie poniedziałek jest zwyczajnym

dniem, wtorek dniem chowania się w schronie, środa znów zwyczajna aż do czwartku czy piątku, kiedy pojawia się kolejne zagrożenie z powodu ostrzału raketowego, wybuchu bomby, przygotowań do ataku na Iran?

Myszę, że Izraelczycy wciąż jeszcze pokładają nadzieję w CaHaL-u: sprawności, doświadczeniu, motywacji żołnierzy, w najnowocześniejszej technologii. Wojsko cieszy się większym zaufaniem społeczeństwa niż rząd czy opozycyjni politycy. Poza tym działa też przyzwyczajenie. Z operacjami wojskowymi, zamachami terrorystycznymi, ostrzałem raketowym w Izraelu jest trochę tak jak z huraganami w Stanach Zjednoczonych czy trzęsieniami ziemi w Japonii. Trzeba z nimi żyć, bo nie ma się wyboru. Podczas ataku raketowego mieszkańcy Tel Awiwu nie zmienili przyzwyczajień. Nadal bywali w restauracjach i kawiarniach na świeżym powietrzu, spacerowali, korzystając z ładnej pogody nad morzem, a nawet żartowali sobie z tego, że Żelazna Kopała nie musi przestrzegać szabatu.

W najbliższej przyszłości zdarzy się podobno kolejny cud: Izraelczycy będą mogli uczestniczyć w następnej operacji wojskowej i podziwiać w akcji *Szarwit Ksamim*, Czarodziejską Różdżkę, przechwytyjącą rakiety o średnim i długim zasięgu, takie jak te wystrzeliwane przez Hezbollah z Libanu, albo nawet te z odległego Iranu.

Ja jednak wolałabym nie oglądać w akcji ani Żelaznej Kopały, ani Czarodziejskiej Różdżki. Staram się rozumieć Izraelczyków, lecz sama nie jestem pewna, czy mogę z optymizmem patrzeć w przyszłość w kraju, w jakim przyszło mi żyć. W najbardziej pesymistycznej wizji rozwoju sytuacji na Bliskim Wschodzie i konsekwencji kolejnej wojny może się okazać, że ta książka to już historia: opowieść o państwie i ludziach, którzy kiedyś zamieszkiwali Izrael. Każdy nowy dzień może zacząć się od nagłówków w prasie krzyczących o nowej wojnie, a cała opisana przeze mnie sytuacja znów się powtórzy, bo taka jest właśnie specyfika państwa na beczce z dynamitem.

Czasem zadaję sobie pytanie: czy pasja, głód życia, nonszalanckie podchodzenie do codziennych kłopotów, szaleńcza jazda, tak charakterystyczne dla Izraelczyków, nie biorą się tak naprawdę z poczucia zagrożenia? Wszak w takiej sytuacji dba się o przyjemności, żyje intensywnie, nie przejmując się za bardzo prozą życia.

Względność bezpieczeństwa

W zależności od tego, gdzie się w Izraelu mieszka, można czuć się ciągle zagrożonym ostrzałem raketowym lub mieć wrażenie, że nas nie dotyczy to, co dzieje się sto kilometrów

dalej, zwłaszcza że tu u nas, w metropolii telawiwskiej, aż do operacji *Filar obrony* trudno było dopatrzeć się śladów konfliktu zbrojnego. Kiedy mieszkańcy południowej lub północnej części kraju spędzali długie godziny w schronach, w Centrum codzienne życie toczyło się bez jakichkolwiek zmian, a Izraelczycy śledzili rozwój wypadków w środkach masowego przekazu, dokładnie tak samo, jak gdyby mieszkali za granicą.

Pomiędzy ostrzeżeniami o wojnach i planowanych zamachach bombowych w kraju lub za granicą, o możliwych porwaniach przebywających w innych państwach obywateli Izraela w celu dokonania wymiany na palestyńskich bojowników odsiadującymi wyroki w izraelskich więzieniach, w przerwach pomiędzy wybuchającymi raketami i akcjami wojskowymi, toczy się powszednie życie. Ludzie latają samolotami na wakacje - często okrężną drogą, ponieważ izraelskie samoloty nie mają prawa przelotu nad większością terytoriów krajów muzułmańskich - pracują, zakochują się, żenią, rozwodzą, mają dzieci, szaleją na punkcie elektronicznych gadżetów, biegają w parkach, lubią rodzinie przesiadywać w restauracjach, spotykają się z przyjaciółmi na Facebooku, marzy im się dom z ogródkiem lub własne mieszkanie po zaciętej stronie budynku, przewiewne, najlepiej w Centrum i na najwyższym piętrze. Specyficzne jest w tym tylko to, i aż to, że w każdym nowo budowanym mieszkaniu musi być schron (pokój o ścianach obłożonych betonem, oknach zabezpieczonych żelazną płytą i o stalowych drzwiach). Zbiorowe schrony muszą być w każdym budynku użyteczności publicznej i w różnych punktach na zewnątrz wszystkich budynków.

Na wszelki wypadek wielu Izraelczyków trzyma w szufladzie co najmniej dwa paszporty: jeden izraelski, a drugi jakiegoś innego, spokojniejszego kraju, często kraju pochodzenia - swojego, rodziców czy dziadków.

Zagrożenie

Zawsze kiedy jestem poza Izraelem, zanim wejdę do jakiegoś centrum handlowego, kina czy muzeum, automatycznie zdejmuję z ramienia torebkę, otwieram ją, przygotowuję do sprawdzenia i czuję się mocno zdziwiona, że nie muszę przechodzić przez bramkę wykrywającą metale, że nikt nie pyta, czy jestem uzbrojona, i nie przeprowadza na mojej prywatnej własności niewinnie umieszczonej w torebce osobistej rewizji. Kiedy w miejscu publicznym zauważam plecak, wypchaną reklamówkę czy torbę, wyglądające na porzucone, robię się niespokojna. Zwykle odchodzę na bezpieczną odległość, choć przecież wiem, że nie pojawi się za chwilę policja, nie wstrzyma ruchu wokół „podejrzanego obiektu”, a robot nie

wysadzi go w powietrze. To tylko ktoś zapominalski, kto zaraz przybiegnie uszczęśliwiony, że znalazł zgubę.

Na początku swojej emigracji nie odczuwałam strachu przed Arabami, obawiałam się tylko ewentualnego zaplątania w zbrojne starcia, w których nie miałabym ani sprzymierzeńców, ani wrogów. Naiwnie tłumaczyłam sobie, że konflikt dotyczy Żydów i Palestyńczyków, a ja byłam Polką, mogłam więc pozostać neutralna, nie zajmować stanowiska wobec konkretnych osób niezależnie od ich narodowości. Prawo do własnego państwa zarówno Żydów, jak i Arabów wydawało mi się uzasadnione. Wraz z mijaniem lat moje emocje - emocje, nie zaś przekonania, bo o słuszności istnienia dwóch państw byłam i nadal jestem przekonana - uległy zmianie. Kiedy doświadczyłam intifad - powszechnego palestyńskiego buntu opartego na terrorze jako formie walki - strach także dla mnie przybrał ludzką twarz, twarz palestyńskiego terrorysty. W zaułkach Wschodniej Jerozolimy, w sąsiedztwie palestyńskich miast, w których dotąd nigdy nie byłam, a nawet w miastach izraelskich Arabów przestałam czuć się bezpiecznie. Lęk, który często mi teraz towarzyszy, spotęgowany jest obawami mojego męża - Żyda i Izraelczyka - który w każdym Arabie widzi potencjalne zagrożenie.

Nic dziwnego - wrogość między obu narodami ma za sobą długą historię. Dla Arabów Żydzi emigrujący do Palestyny, osiedlający się na tej samej ziemi stanowili niebezpieczeństwo. Szybki wzrost liczby emigrantów żydowskich, wykupywanie przez Żydów dużych połaci ziemi i wypieranie z niej Arabów tradycyjnie utrzymujących się z pracy na roli, a także nierówność płacowa utrzymywana przez rządzących w tym czasie Palestyną Brytyjczyków (niższe stawki minimalne robotników arabskich) - wszystko to doprowadziło w latach 1936-1939 do wybuchu Wielkiej Rewolucji Arabskiej, nazywanej również Walką na Śmierć i Życie, przeciwko żydowskim osadnikom i władzy brytyjskiej nad Palestyną. Według oficjalnych źródeł brytyjskich w wyniku powstania arabskiego zginęło dwa tysiące Arabów i dziewięciuset sześćdziesięciu jeden Brytyjczyków i Żydów, którzy wspomagali brytyjską policję, służąc w specjalnie utworzonej brygadzie[204]. Według statystyki Walid Khalidi straty były o wiele wyższe i wyniosły: dziewiętnaście tysięcy siedmiuset dziewięćdziesięciu dwóch zabitych Arabów i tysiąc dwieście „ofiar terroru”[205]. Taki był fundament wzajemnej palestyńsko-żydowskiej wrogości. Kolejne wojny, bomby, sabotaże, strajki, niszczenie pól i zabijanie, wzajemne pretensje o ziemię i władzę po powstaniu Izraela wzniosły mur głębokiej nieufności, a nawet nienawiści między dwoma narodami.

Terroryzm

W walce o powstanie państwa żydowskiego w latach 1936-1947 terror jako metodę walki przeciwko Brytyjczykom i Arabom stosowały żydowskie organizacje zbrojne Ecel i Lehi. Później terrorystami stali się głównie, choć nie tylko, palestyńscy uciekinierzy z rozlokowanych w pobliżu granic Izraela obozów dla uchodźców oraz Palestyńczycy z organizacji terrorystycznych działających w Jordanii, Syrii, Libanie. Izraelscy Arabowie, poza nielicznymi wyjątkami, nie brali czynnego udziału w zamachach terrorystycznych aż do czasów drugiej intifady (2000-2005). Po raz pierwszy stanęli wtedy po stronie uchodźców palestyńskich, co drastycznie pogorszyło stosunki między arabskimi a żydowskimi obywatelami Izraela. Izraelczycy zaczęli bojkotować arabskie miasta i wioski, sklepy i restauracje oraz przestali zatrudniać Arabów.

Liczba ofiar terroru w latach intifad dramatycznie wzrosła. Zdeterminowani Palestyńczycy (również kobiety) zakładali kamizelki z dynamitem, wyszukiwali duże skupiska Żydów (hotele, centra handlowe, restauracje, dyskoteki), by tam wysadzić się w powietrze wraz dziesiątkami innych ludzi. Podczas pierwszej intifady (grudzień 1987-1993) w walkach z wojskiem izraelskim zginęło tysiąc stu Palestyńczyków, kolejny tysiąc poniósł śmierć z rąk Palestyńczyków z powodu podejrzeń o kolaborację z Izraelem. Po stronie izraelskiej zginęło sto sześćdziesiąt osób[206]. W drugiej intifadzie liczba ofiar sięgnęła trzech tysięcy wśród Palestyńczyków i około tysiąca wśród Izraelczyków; zginęło także sześćdziesięciu czterech obywateli obcych państw[207].

Izrael walczy z terroryzmem palestyńskim skutecznie, ale okrutnie: odpowiada terrorem na terror, nie bacząc na ofiary cywilne. Najbardziej znanym takim wydarzeniem jest zrzucenie 22 lipca 2002 roku bomby o wadze tysiąca kilogramów na budynek w centrum Gazy, w którym nocował jeden z najgroźniejszych palestyńskich terrorystów Salah Szhade, choć zdawano sobie sprawę, że jest on w tym mieszkaniu z żoną i córką. Bomba zniszczyła cały budynek. Zginęło czternaście osób, w większości dzieci i kobiety. W dokumentalnym filmie *Szomrei haʿšaf* (The Gatekeepers) szef Szabaku potwierdza, że Izraelczycy wiedzieli o obecności w budynku osób cywilnych, ale mieli nadzieję, że bomba nie zburzy go w całości.

Masowe aresztowania (ponad jedenaście tysięcy), bezwzględne akcje represyjne i trwające całymi tygodniami stosowanie godziny policyjnej sprawiły wprawdzie, że liczba ofiar zmalała, ale terroryzm nadal jest obecny, tyle że w postaci rakiet wystrzeliwanych ze Strefy Gazy na ludność cywilną na południu i na północy Izraela.

W ostatnich latach, po wycofaniu się Izraelczyków z Libanu i ze Strefy Gazy,

zastąpieniu Jasira Arafata przez Abu Mazena i ingerencji Stanów Zjednoczonych, Unii Europejskiej, Rosji oraz ONZ, odczuwa się na co dzień, że zagrożenie zelżało. Samobójcze ataki terrorystyczne już się w ogóle nie zdarzają, choć słyszy się w wiadomościach o ostrzelaniu izraelskich samochodów na Terytoriach Okupowanych lub obrzuceniu ich kamieniami, a także o napaściach z użyciem noża, takich jak zabójstwo pięcioosobowej rodziny Fogel (dwójki dorosłych i trójki dzieci) w miejscowości Itamar na Zachodnim Brzegu.

I choć nadal na Izrael spadają rakiety, nie jest spokojnie na pograniczu ze Strefą Gazy, zdarzają się różnego rodzaju incydenty, w których giną i zostają ranni głównie Palestyńczycy, choć także Izraelczycy, mówi się o ewentualnej wojnie z Iranem, a Izraelczycy ostrzegani są przed planowanymi atakami terrorystycznymi na Synaju czy w innych krajach świata, do Ziemi Świętej wrócili turyści i znów rojno jest na arabskich bazarach, tańszych niż izraelskie, i trudno znaleźć miejsce w arabskich restauracjach.

Wadi Qelt - oaza spokoju

W najgorszych nawet czasach często można było usłyszeć: „W Izraelu jest niebezpiecznie? Przecież o wiele więcej ludzi ginie w wypadkach samochodowych niż od wybuchów bomb czy pocisków raketowych! Z terrorem da się żyć”. Tak uważają Izraelczycy, a statystyka zdaje się to potwierdzać. Rzeczywiście, co roku w wypadkach samochodowych ginie tu ponad trzysta osób, kilkakrotnie więcej niż w zamachach czy atakach raketowych, w których w pierwszym dziesięcioleciu XXI wieku, według danych Centrum Informacji o Terrorze, zginęły trzydzieści dwie osoby, a tysiąc trzysta dziewięćdziesiąt sześć zostało rannych.

Mimo to pamięć o masowych atakach samobójczych z lat drugiej intifady (2000-2005), kiedy zginęło, jak podaje Be'Celem, izraelska organizacja działająca na rzecz praw człowieka, siedmiuset trzydziestu ośmiu cywilów, nie całkiem uległa zatarciu. Tamten strach nie został zapomniany i skłania do zachowania ostrożności tak samo jak myśl o kolejnej intifadzie, do której może dojść w każdej chwili. Dlatego Izraelczycy nie ufają Palestyńczykom i wolą trzymać się z daleka od terenów przylegających do Autonomii Palestyńskiej i arabskich miejscowości.

„Życie ci niemiłe?”

Nic zatem dziwnego, że wciąż słyszałam „nie” w odpowiedzi na moje pytanie, czy warto się narażać dla widoku budowli z V wieku, zawieszanej na skale, ukrywającej przed światem dziesięciu szalonych albo „świętych mężczyzn”, którzy dobrowolnie wyrzekli się raju na ziemi zwanego kobietą. Czterogodzinna trasa dnem kanionu, obok akweduktu pamiętającego czasy Heroda, ze wspinaczką po skałach i pływaniem w malowniczym źródle, przypominającym idealne wyobrażenie Europejczyka o zielono-błękitnej oazie odkrytej na pustyni, choć kusila niepowtarzalnym pięknem, leżała na Terytoriach Okupowanych, w odległości kilku kilometrów od Jerycha położonego na terytorium Autonomii Palestyńskiej - ziemi zakazanej dla Izraelczyków, nawet tych z „trefnym” dowodem osobistym, takim jak mój, w którym do 2003 roku w rubryce „narodowość” napisane było: polska.

Przez lata nie opuszczało mnie jednak uczucie zachwyty, jakiego doznałam podczas

swego pierwszego pobytu w Izraelu, kiedy po przebyciu piaszczystej drogi, pokryta pyłem, zmęczona, z krwawym śladem na stopie po ostrym kamieniu (nie polecam sandałów na tę wyprawę), spocona i czerwona od słońca zobaczyłam wylaniający się klasztor uwity na skale jak łęgowisko dzikich ptaków, opasany zanikającym strumieniem, z zielonymi palmami, niebieską kopułą, drewnianymi drabinami zawieszonymi nad ziemią i stadami ptaków strzegących go z nieba.

- To najpiękniejsze miejsce na świecie! - uznałam wtedy, a Ejal, który właśnie robił mi kolejne z serii dziesiątków zdjęć, jakbym to ja, a nie monaster, była owym cudem świata, nonszalancko to potwierdził.

- Faktycznie niczego sobie.

- Niczego sobie?! Żartujesz?! Boskie! Fantastyczne!!! - oburzyłam się, myśląc jednocześnie: skoro to wspaniałe miejsce jest tylko „niczego sobie”, jaki niezwykle musi być Izrael, którego nie zdążyłam jeszcze poznać?

- Ładne - łaskawie przyznał Ejal i nadal fotografował mnie z takim zapalem, z każdego kąta i pod każdym kątem, że pewne było, że za chwilę zmuszeni będziemy do szukania kolejnego filmu marki „Kodak” (w tamtych latach mogłabym napisać „Przewodnik po Izraelu - szlakiem kiosków z filmami do aparatu”).

Kiedy już byliśmy małżeństwem i minęły długie lata, odkąd zamieszkałam w Izraelu, a najwdzięczniejszym obiektem zdjęć mojego męża stała się nasza córka, ja zaś lekko przestarzałym rekwizytem, który powinien „się odsunąć, bo ją zasłania”, bezskutecznie próbowałam nakłonić Ejala do ponownej wizyty w klasztorze św. Jerzego Koziby (St. George) w Wadi Qelt. Ejal za każdym razem się oburzał i do znudzenia powtarzał te same słowa: „Czyś ty zwariowała?! Życie ci niemiłe?”. A ja słysząc jego stanowczy głos, nie dyskutowałam. Kiedy ostatnio tego spróbowałam, właśnie zaczął się nowy 2011 rok.

- Nie słyszałaś o dwóch turystkach, które zadźgano nożem gdzieś niedaleko Jerozolimy?

- Nie „zadźgano”, tylko „zraniono” i tylko jedną. Drugiej udało się uciec - dodałam rzeczowo, ściśle trzymając się faktów.

-...poranionej - dokończył moje sprawozdanie.

- No tak - przyznałam niechętnie - ale pomyśl: klasztor znajduje się tylko dwadzieścia kilometrów od Jerozolimy!

- Tak, ale w Autonomii. I z pięć od Jerycha.

- W Jerychu też jest ładnie... - Pamiętasz?

- Pewnie, że pamiętam! - Głos mojego męża złagodniał.

Do tej pory, mimo upływu lat, słysząc „Jerycho”, oboje wybuchamy śmiechem na myśl o młodym chłopaku, zaraz po wojsku, który za nic by się nie przyznał do strachu przed Palestyńczykami, i o tym, jak bardzo chciał zaimponować cudzoziemce z Polski. A ta cudzoziemka, niewiele wiedząc o toczącej się wojnie, uparła się dotrzeć do klasztoru St. George i koniecznie odwiedzić pozostałości po najstarszym mieście świata, gdzie odegrano jedyny w swoim rodzaju koncert trąb jerychońskich, którym dyrygował sam Jozue. Ku ogromnemu zdziwieniu strażnika palestyńskiego w arafatce na głowie w trzecim roku trwania pierwszej intifady, powstania Palestyńczyków przeciw okupacji izraelskiej, samochód z izraelską rejestracją zaparkowano przed starożytnymi wykopaliskami w Jerychu. Wysiadł z niego chudziutki chłopaczek z butną miną, poprosił czystą hebrajszczyznę, nie wysilając się nawet na maskujący angielski, o dwa bilety wstępu do zupełnie opuszczonych ruin i kolorowy film do aparatu, po czym zamiast fotografować sławne kamienne okna Pałacu Hiszama przez następną godzinę uwieczniał jakąś rudowłosą dziewczynę z Bolandy (jak Arabowie wymawiają słowo „Poland”). Jakby Jerycho było najbardziej bezpiecznym i romantycznym miejscem na świecie.

- To co? Pojedziemy? - nie dawałam za wygraną.

- Jak będzie bezpiecznie!

Zmarkotniałam. Jakoś trudno mi było uwierzyć, że z początkiem 2011 roku zdarzy się cud: Arabowie i Żydzi zaczną żyć w pokoju, a ja pojedę w końcu do klasztoru św. Jerzego, mieszczącego się w końcu zaledwie kilka kilometrów w bok od drogi, którą wielokrotnie już przemierzyłam, jadąc z Tel Awiwu nad Morze Martwe, bez zbaczania jednak i zatrzymywania się na niej.

- Dani, a co ty byś powiedział na zwiedzanie Wadi Qelt? - Mój nadpobudliwy przyjaciel, ciągle podróżujący gdzieś po świecie i po Izraelu wraz z dziesiątkami różnojęzycznych gości, którzy masowo nawiedzają jego piękne mieszkanie nad morzem, słynie z organizowania znajomym doskonałych wycieczek.

- Z przyjemnością. To może być fantastyczna przygoda. Kiedy chcesz pojechać?

Gdyby nie to, że Dani prowadził właśnie samochód, kiedy zadzwoniłam, pewnie od razu zacząłby szukać w internecie wiadomości o trasie, drukował mapki, wybierał restauracje, sprawdzając menu i dzwonił do kolegów z prośbą o najświeższe informacje.

- Wadi Qelt, Monastery St. George, klasztor św. Jerzego - powoli, wyraźnie wymówiłam wszystkie znane mi nazwy. - Jesteś pewien, że wiesz, o jakie miejsce mi chodzi?

- Oczywiście! - jakby nigdy nic potwierdził Dani.

- „Coś ty, życie ci niemiłe”?! - powtórzyłam słowa męża. - Tam jest przecież bardzo

niebezpiecznie!

- Niebezpiecznie? Żartujesz? Bezpiecznie jak u Pana Boga za piecem!

Nie odpowiedziałam. Tym razem to, co mówił, nie wydawało mi się logiczne.

- Wiem, że są Izraelczycy, którzy boją się tam jeździć, tak jak boją się chodzić po Nazarecie czy po Akce, a nawet odwiedzać arabską część Jafy, o Wschodniej Jerozolimie już nie mówiąc.

- To chyba nie to samo! - zaprotestowałam.

- Elu, tam jest zupełnie bezpiecznie, a według statystyki, którą tak lubisz, przez ostatnie dziesięć lat zamordowano nie więcej niż dwie, góra trzy osoby.

- Rozumiesz, że pomiędzy „dwoma, góra trzema osobami” jest różnica i oznacza ona śmierć albo życie? Poza tym przyznaj się, nie masz pojęcia o statystyce, tak tylko powiedziałeś.

- Nie. Naprawdę wiem, tylko nie pamiętam, czy to były trzy, czy dwie osoby.

- Może i bezpiecznie - powiedziałam z powątpiewaniem. - No to kiedy jedziemy?

- Jak tylko załatwię przepustkę wojskową na ten teren.

- Co?!! - zaniepokoiłam się od nowa.

- E, to taka formalność. Przysyłają formularz, ja go wypełniam, czekam dzień, dwa i potem jedziemy na pewniaka!

Miałam wątpliwości, ale nie można się przecież zawsze bać? Prawda? Postanowiłam. Jadę!

„Dzień, dwa” zamienił się w tydzień, potem w dwa tygodnie. Przepustki nadal nie było. Właśnie planowałam dla moich gości z Polski - dwóch niedoszłych filozofów i jednego iberysty z UJ w Krakowie - ferie w Izraelu pełne niespodzianek, kiedy tuż przed ich przyjazdem natrafiłam w internecie na artykuł napisany specjalnie dla mnie.

- Już jest!!! - wykrzyknęłam entuzjastycznie, wręczając mężowi odbitkę artykułu na temat nowo wybudowanej, bezpiecznej drogi do Wadi Qelt, zapraszającego izraelskich turystów do zwiedzania greckokatolickiego klasztoru.

- Co „jest”?! Czym się tak znowu gorączkujesz? - Mąż, przyzwyczajony do moich dziwactw i tysiąca nigdy nierealizowanych fantastycznych pomysłów, ze spokojem wziął kartkę papieru i odłożył ją na stos czekającej na przeczytanie prasy.

- Jak to „co”? - zdziwiłam się, jak gdyby przez ostatnie lata nie mówiło się w moim domu o niczym innym jak o odwiedzinach u mnichów spod Jerycha. - Wadi Qelt! Można tam pojechać. Już jest bezpiecznie! Zabierzemy gości z Polski.

Ejal bez słowa przeczytał cały artykuł, sprawdził wiadomości w internecie i

oświadczył:

- Dobrze. Weźmiemy ich do Koziby, ale nawet nie myśl o całym parku (tu popatrzył na mnie tak srogo, jakby był moim ojcem, a nie młodszym ode mnie, łagodnym mężem)! Wyraźnie jest napisane, że niektóre odcinki mogą być niebezpieczne i wymagają pozwolenia od wojska. Możemy im za to pokazać Morze Martwe - dodał, uprzedzając mój protest. - Dawno tam nie byliśmy.

- Nie masz pojęcia jak się cieszę! Pojedziemy w sobotę? Z samego rana?

- Tak, najpierw klasztor, potem Ein Gedi, kąpiel w Morzu Martwym, błoto, twój ulubiony solny zakątek, osiedla Beduinów i jakaś dobra arabska restauracja... Wystarczy?

- Jesteś kochany! Najwspanialszy mąż na świecie!!! A może po drodze wstąpilibyśmy do Mar Saba[208]?

- Mar Saba? Byliśmy już u niego? To jakiś Twój znajomy? Ile ten Saba ma lat?

- Około pięciuset. To nie człowiek, tylko klasztor. Niestety, jeszcze w nim nie byliśmy, choć to tylko dziesięć kilometrów od Betlejem, na kompletnym odludziu. Mnie tam, jako kobiety, nie wpuszczają, ale ty wejdiesz z chłopakami, zrobicie zdjęcia i opowiesz mi, a ja będę podziwiała was i klasztor z zewnątrz. Tam naprawdę warto pojechać! Wyobraź sobie: pustynia, kanion rzeki Cedron, klasztor z 409 roku, potężne mury obronne, setki czaszek mnichów zamordowanych przez Persów w 614 roku, ja, ty i szczątki świętego Saby...

- Znowu zaczynasz? Czyś ty zwariowała?! Życie ci niemiłe?

Punkty kontrolne

Do Wadi Qelt wyruszyliśmy z samego rana. Na obrzeżach Wschodniej Jerozolimy drogę barykadował wojskowy punkt kontrolny. Po izraelskiej stronie było pustawo. Izrael odpoczywał w szabat. Po przeciwnej, regulującej wjazd z Autonomii do Izraela, stało w kolejce kilka samochodów, choć i tu nie było dużego ruchu. Uzbrojeni żołnierze w kuloodpornych kamizelkach, zabłoconych butach, z kilkudniowym zarostem sprawdzali dokumenty, przeszukując bagażniki pojazdów. Nie śpieszyli się. Mieli sporo czasu i nic ciekawego do zrobienia. Metodycznie, bez większych emocji oglądali samochody i pasażerów.

Izraelska rejestracja i europejski wygląd widocznie wystarczyły, bo nie musieliśmy się nawet wysilać na pozorne grzeczności i odpowiadanie na *szalom* żołnierza sprawdzającego nasz „właściwy” akcent. Przepuszczono nas bez zatrzymywania. Musieliśmy tylko zmniejszyć prędkość. Mijając posterunek, mój mąż uniósł tylko porozumiewawczo rękę w

solidarnym pozdrowieniu oznaczającym coś w rodzaju: „Hej, chłopaki, do czterdziestki, tak jak wy, raz w roku, przez miesiąc, chodziłem w podobnym do waszego mundurze. Rozumiem jak ciężko i niebezpiecznie jest stać na posterunku, jak bardzo macie tego dosyć i marzycie o bezpiecznym Tel Awiwie albo wyprawie do Indii. Musicie wytrzymać. Nie macie wyboru”. Ja zaś w tym momencie pomyślałam: „Jakie z nich dzieciaki robiące groźne miny! Kolejne pokolenie straceńców, zabawki w rękach polityków”.

Żołnierz z M16 przewieszonym przez ramię, w czapce nasuniętej na czoło, machnął ręką, przynaglając nas do szybszego opuszczenia punktu kontrolnego. Po jakichś pięciuset metrach na odchodzącej w bok drodze zobaczyłam opancerzony transporter. Dwóch żołnierzy rozmawiało z kierowcą czarnego mercedesa z arabskimi numerami i literką „P”, a trzeci przeszukiwał samochód.

- Dlaczego znowu go sprawdzają, skoro przed chwilą wylegitymowano go i przepuszczono?

Jedyny w naszym samochodzie znajdujący wojskowe realia Izraelczyk skoncentrowany był na mijających nas pojazdach z rejestracjami, jakich nie widzi się na jezdniach Tel Awiwu, i nie próbował nawet udawać, że głowi się nad odpowiedzią. Trzech studentów, moich gości, przyjmowało tę scenę jak część egzotyki Bliskiego Wschodu. Siedmioletnia wtedy Kim nie widziała w tym niczego nienaturalnego. Ona urodziła się w rzeczywistości, w której na ulicach, plażach, w autobusach widzi się żołnierzy z bronią, a bycie dziewczynką nie zwalnia od konieczności włożenia munduru zaraz po osiemnastych urodzinach.

Ponad sto *machsomim*, punktów kontrolnych, powstałych w latach osiemdziesiątych w odpowiedzi na wzmożone ataki terrorystyczne, które do dziś funkcjonują, to bolesny temat. O tym często się mówi i pisze w Izraelu. Przeciętny turysta nie natknie się na nie lub pokona je bez problemów, ponieważ zostały zbudowane tylko z myślą o Palestyńczykach. Każdy Palestyńczyk próbujący dostać się z Autonomii Palestyńskiej do Izraela i w odwrotnym kierunku, poruszający się po Terytoriach Okupowanych samochodem czy pieszo, musi przez nie przejść codziennie, a przedtem stoi w długich kolejkach, na słońcu i w deszczu. Czasami musi się wylegitymować i poddać poniżającej rewizji osobistej. Zdarzają się incydenty takie jak ten opisany w raporcie Machsom Watch[209], który miał miejsce 15 listopada 2012 roku. Na przystanku autobusowym Oranit izraelscy policjanci nakazali trzystu posiadającym wymagane dokumenty Palestyńczykom (w tym dzieciom i starcom) wysiąść na końcowym przystanku z autobusów Eged nr 286, jadących w kierunku Ariel, i przejść pieszo, w ciemności, dwa kilometry ze stacji autobusowej do punktu kontrolnego Azzun Atma, gdzie musieli czekać długie godziny na oddanie im dokumentów i wracać do domu późną

nocą[210].

Przypadki przemocy, fizycznego i psychicznego znęcania się nad Palestyńczykami na przejściach kontrolnych często się zdarzają. Można o nich przeczytać w raportach różnych organizacji humanitarnych i w gazetach. Są opisane na stronie internetowej *Szowrej sztika. Lochamim mesaprim al ha'sztachim* (Przerywający milczenie. Żołnierze opowiadają o Terytoriach Okupowanych) organizacji weteranów walk, którzy służyli w izraelskiej armii od początku drugiej intifady. Jeden z naocznych świadków (zeznanie nr 811698 z 2008 roku) na pytanie, czy na przejściach kontrolnych zdarzały się przypadki przemocy wobec ludzi, opowiedział: „Tak, wiele razy”. „Pamiętam mężczyznę, około czterdziestoletniego, sprawdzanego, czy nie ma broni. Błagał dowódcę ze łzami w oczach [o wpuszczenie do Izraela]. Powiedział, że potrzebuje pieniędzy na jedzenie dla swoich dzieci. Dowódca, krzycząc na niego, nakazał mu się odsunąć. Mężczyzna nadal jednak błagał. Wtedy dowódca zagroził: Strzelę ci w głowę. Był jeszcze przypadek czternastoletniego chłopca, który nie miał pozwolenia na przebywanie na terenie Izraela, i czekał z boku, podśpiewując sobie, co zdenerwowało jednego z *chewre* [kolegów], który podszedł do niego i spytał: Coś cię śmieszy?. Chłopak odpowiedział: Tak, nie ma wyboru, musimy być zadowoleni. Zadowolony? - uderzył go [izraelski żołnierz] w twarz”[211].

Czy takie „środki bezpieczeństwa” mogą wyeliminować ataki terrorystyczne? Terroryzm wybucha i zanika bez względu na punkty kontrolne. Kiedy się patrzy na zmęczone twarze Palestyńczyków i na kontrolujących ich osiemnasto - czy dwudziestokilkuletnich żołnierzy, często ze strachu aroganckich i brutalnych, ma się pewność, że nie wpływają one dobrze na stosunek do Żydów i Izraela.

Mur bezpieczeństwa

Jechaliśmy wzdłuż betonowego muru ciągnącego się po lewej stronie jezdni, oddzielającego nas od chaotycznie zabudowanych, prawie zupełnie pozbawionych zieleni palestyńskich osiedli i biało-zielono-czarnych flag z czerwonym trójkątem. Wspólna na tym odcinku jezdnia dla Palestyńczyków i Izraelczyków w pojęciu tych ostatnich oznaczała niebezpieczeństwo, choć jedyni wyglądający groźnie młodzi mężczyźni, których udało nam się zobaczyć, to byli uzbrojeni żołnierze CaHaL-u.

Historia „muru bezpieczeństwa”, nazwanego przez Izraelczyków „murem separacji”, dobrze pokazuje symptomy izraelskiej schizofrenii w polityce zwalczania terroryzmu i stosunkach z Palestyńczykami, bądź co bądź obywatelami przyszłego, położonego w

bezpośrednim sąsiedztwie, państwa. Wszystkie znaczące partie polityczne wpisały w swój program uznanie prawa do powstania niepodległego państwa palestyńskiego według zasady: „dwa państwa dla dwóch narodów”. Ale jednocześnie rządząca prawica dąży do pozostawienia w izraelskich rękach większości terenów Zachodniego Brzegu. Chęć, by zjeść ciastko i jednocześnie je mieć, zadziałała również w kwestii muru oddzielającego Terytoria Okupowane od Izraela w starych granicach, sprzed 1967 roku.

W 2002 roku projekt zbudowania muru wydawał się uzasadniony ze względu na drugą intifadę i częste ataki samobójcze. Poza nielicznymi wyjątkami, wszyscy terroryści byli Palestyńczykami zamieszkującymi te właśnie tereny. Granice dawnego Izraela były otwarte i niestrzeżone. Zbudowanie muru mogło pomóc w kontrolowaniu ruchów ludności palestyńskiej oraz ograniczeniu przenikania przez granicę terrorystów i przemytu broni. Według opinii Rassema Khamaisiego, przedstawiciela The Floersheimer Institute For Policy Studies, wytyczenie muru miało dodatkowe strategiczno-polityczne znaczenie, ponieważ mogło być „pierwszym etapem do wytyczenia stałej granicy”[212] pomiędzy Izraelem a przyszłym państwem palestyńskim.

Tymczasem żydowski osadnicy na Terytoriach Okupowanych przez swych przedstawicieli w parlamencie i rządzie ostro wobec tej koncepcji zaprotestowali. „Nasze osady i ziemie muszą być wewnątrz tego muru, by nas chronił!”, zażądali i zwyciężyli. Mur zaczęto budować nie na dawnej zielonej linii, lecz na granicy wytyczonej według obecności żydowskich osiedli na Zachodnim Brzegu[213]. W rezultacie wiele wiosek palestyńskich zostało przez mur przeciętych w połowie, a jeszcze więcej utraciło dojskie do swoich pól, co spowodowało falę demonstracji i ofiar - również wśród demonstrujących wspólnie z Palestyńczykami Izraelczyków. Palestyńczycy próbujący dochodzić swych praw na drodze sądowej wygrywali procesy w Sądzie Najwyższym i przegrywali je z izraelską rzeczywistością, w której cywilne prawo Izraela na Terytoriach Okupowanych musiało ustąpić przed wojskowym i praktycznie nie było egzekwowane.

Kordonem bezpieczeństwa została również otoczona Strefa Gazy. „Izrael uwięził palestyńskich mieszkańców Gazy i wyrzucił klucz”, twierdzi w raporcie o przestrzeganiu praw człowieka na Terytoriach Okupowanych wysłannik Organizacji Narodów Zjednoczonych, południowoafrykański prawnik John Dugard. Losy Palestyńczyków w Strefie Gazy, jak pisze Dugard, są „straszne, tragiczne i nie do zniesienia”[214].

Według niektórych źródeł izraelskich budowa muru przyczyniła się do znacznego spadku liczby ataków terrorystycznych, zwłaszcza w takich miastach jak Hadera, Kfar Saba i Netanja, gdzie w latach 2004 i 2005 zbliżyła się do zera. Ataki przesunęły się dalej na

południe do Jerozolimy, Tel Awiwu i Beer Szewy. Według innych tendencja ta pojawiła się już wcześniej i nie ma bezpośredniego związku między nią i murem[215].

W wielu miejscach, z powodu trudności finansowych, mur nie został ukończony. Według Be'Celem (The Israeli Information Center for Human Rights in the Occupied Territories) do lipca 2012 roku powstało sześćdziesiąt dwa procent ogrodzenia[216]. Jego obecność okazała się zbawienna, ale dla firm ubezpieczeniowych, ponieważ kradzież samochodów w żydowskich osadach na Zachodnim Brzegu spadła o dziesiątki procent! Zanim postawiono mur, złodzieje działali według niezawodnej metody: kradli samochody w Izraelu i uciekali nimi do Autonomii Palestyńskiej, bo tam izraelska policja nie miała wstępu. Dziś mur utrudnia im, a na pewnych odcinkach wręcz odcina drogę. Jeśli weźmie się pod uwagę, że Izrael przeznaczą w budżecie co najmniej dwa miliardy szekli[217] na utrzymanie muru i osiedli na Terytoriach Okupowanych, to nie ma się wątpliwości, że i samochody, i ziemia osadników są najdroższe na świecie. Krzywdy ludzkiej nie da się wyliczyć w szeklach, a mur oddziela dwa narody od życia w pokoju i wzajemnym poszanowaniu.

Na „zakazanej ziemi”

Minęliśmy Gospodę Dobrego Samarytanina i wjechaliśmy w pustkowie. Z obu stron drogi pojawiły się skaliste wzgórza, stada kóz i beduińskie[218] namioty ze stojącymi przed nimi nieruchomo w jednym miejscu osiołkami. Gdyby nie lśniące w słońcu anteny telewizyjne na blaszanych dachach betonowych domostw beduińskich, przypominających magazyny, składy materiałowe czy robotnicze baraki w budowie, oraz młody Beduin rozmawiający przez telefon komórkowy, można by pomyśleć, że jesteśmy w innej epoce i w zupełnie innym kraju.

Na prowizorycznym parkingu, do którego przywiodła nas nowa asfaltowa droga, nie zastaliśmy zamaskowanych ani niezamaskowanych terrorystów. Jedyne Arab z nożem kroił na połówki granaty i wyciskał z nich sok w ręcznej wyciskarce, a jego koledzy, z kolorowymi chustami przewieszonymi przez ramię, kręcili się wśród turystów z naręczem masowo produkowanej biżuterii udającej rękodzieło. Żadnego bojowego *Allahu Akbar*, tylko chłopięcy głos toczący pojedynek z górskim echem, błazeńsko wykrzykujący: *Beduina mołodiec, oj, oj, choroszyj, choroszyj*. Towarzyszył mu wysoki sopran niemłodej już kobiety, o jasnej cerze, rudych włosach, w białej chustce na głowie i uśmiechu lśniącym złotem koronek, na niemrawym osiołku poganianym przez „mołodca”, który widząc nas, momentalnie zmienił słowa przyśpiewki: *Beduina horoszyj, spasibo, odna storona*

siemdziesiąt szekeli, dwie - sto dziesiąt. Alleluja.

Ścieżka prowadząca w dół do klasztoru była szeroka, na pewnym odcinku pokryta asfaltem, później brukowana kamieniem. Dość stroma. Przechodząc obok pielgrzymów prowadzonych przez ubranego na czarno popa z masywnym krzyżem na piersi, staraliśmy się nie wdepnąć w pozostawione przez osiołki liczne oznaki kwitnącego biznesu turystycznego. Mijające nas zwierzęta wyglądały na wyjątkowo znudzone.

Słyszając hebrajski, miły chłopak o ujmującym uśmiechu, wracający z dołu bez pasażera, przeliczył wszystkich kolegów, proponując nam jazdę za „jedyne pięćdziesiąt szekli”. A i ta cena, wobec naszego braku reakcji momentalnie spadła do trzydziestu szekli. Spacer do klasztoru, w pełnym słońcu, trwał z dwadzieścia minut. Nie był zbyt uciążliwy, choć do najłatwiejszych nie należał. Po drodze mijaliśmy innych piechurów: głównie Greków i Rosjan, choć zdarzyli się też turyści rozmawiający po angielsku i hebrajsku.

Wejścia do klasztoru pilnowały dwa kundle, najprawdopodobniej spowinowacone z wilczurami, pracowicie obszczekujące turystów. Radosnym merdaniem ogona reagowały na każdy szelest plastikowych torebek i wędrujące w kierunku ust ręce z butelkami wody. Psy nie były jednak nachalne i szybko straciły zainteresowanie korowodem postaci sunącym nieprzerwanie. Małe, półokrągłe drzwi do wybudowanego w V wieku klasztoru były zamknięte. Beduin wyjaśnił nam kalekim hebrajskim, że to akurat czas jego posiłku i pozwoli nam zwiedzać dopiero za piętnaście minut. Usiedliśmy na kamiennym murze i obserwowaliśmy z rozbawieniem próby innych turystów. Mimo że przybywali w odstępach kilku minut, każdy dostawał od strażnika klasztoru tę samą odpowiedź: „wróćcie za piętnaście minut”! W przeciwieństwie do cen osiołków o czas nikt się tutaj nie targował.

W obszernym przedsionku monasteru kilka psów chłodziło brzuchy na kamiennych płytach podłogi, nie podnosząc nawet głowy, by spojrzeć na wchodzących. Oprócz oprowadzającego nas Dżibala jedynym śladem po mnichach mieszkających tu i naśladujących Georgiasa z Koziby czy Szymona Słupnika, antiochijskiego pustelnika z V wieku przez czterdzieści lat mieszkającego na czterometrowej platformie zawieszanej na słupie, który ciągle podwyższał, były fotografie i umieszczone w szklanej gablocie zmumifikowane ciało w odświętnych szatach. Jak twierdził nasz przewodnik, należało do zmarłego w 1960 roku zakonnika. Ekshumowane po dwudziestu latach nadal wyglądało prawie tak samo jak w dniu jego śmierci, co bracia zakonnicy uznali za dowód jego świętości.

- W 614 roku, kiedy klasztor zdobyły wojska perskie, mieszkało w nim i w okolicznych jaskiniach aż trzy tysiące mnichów. Monaster zniszczono, tysiąc pięciuset zakonników zginęło męczeńską śmiercią - tłumaczył skupionym wokół niego turystom

Beduin, pokazując zachowane z tego okresu rozłupane czaszki.

- Ilu? - spytałam, świadoma, że historia mówi o czternastu ofiarach. Czyżby na tych wysokościach przebicie było aż tak duże?

- Tysiąc pięciuset - obstawał przy swoim strażnik klasztoru wywodzący się ponoć z beduińskiego plemienia mieszkającego tu i pracującego dla grekokatolickich zakonników od pokoleń. - Do tej pory w nocy można zobaczyć duchy zakonników modlących się w krużgankach, a w dzień zwiedzić grotę, w której przez trzy lata i sześć miesięcy ukrywał się Eliasza w drodze z Synaju. W tym samym miejscu, gdzie anioł ukazał się ojcu Maryi Dziewicy, Joachimowi, oznajmiając mu narodziny wnuka Mesjasza.

Częstując się cukierkami, sokiem przygotowanym specjalnie dla turystów i orzeźwiająca wodą oglądaliśmy jaskinię, kaplicę, podziwialiśmy ikony, ikonostas oraz wyjątkowo piękny widok na pustynny kanion dostępny z każdego okna, nawet z tego w toaletach, do których prowadzi sekretny, wąski tunel. Mimo obecności turystów i grupy rowerzystów próbujących pokonać wzniesienia na rowerach górskich okolica sprawiała wrażenie idealnego miejsca odosobnienia i kontemplacji. Nawet ja czułam, że z każdą minutą spędzoną w tym miejscu podnoszę głowę i prostuję skulone w odruchu samoobrony ramiona, bo moje myśli i oczy kierują się ku niebu - pogodnemu, łagodnemu i bezpiecznemu, jakbyśmy byli w Szwajcarii, a nie w Ziemi Świętej - mekce konfliktów. W klasztorze, z dala od wiecznie spieszącego się Tel Awiwu i konfliktowej Jerozolimy życie wydawało mi się ciche i bezpieczne.

Nazaret marzycieli, potomków szejków i Abu Aszrafa

W każdym miejscu powiewały brazylijskie zielono-żółte flagi z niebieską kulą przeciętą białym pasem i rozszanymi gwiazdami. Narysowano je na starym murze i zawieszono w oknach. Trzepotały na dachach domów i na samochodach. Byłam jednak nie w Rio de Janeiro, ale w Nazarecie. Tyle że akurat trwał mundial i mieszkańcy największego arabskiego miasta w Izraelu dopingowali tych samych piłkarzy, których podziwiał mój żydowski mąż. Gdyby Ejał nie pojechał do RPA osobiście kibicować ulubionej drużynie, teoretycznie mógłby siedzieć w jednej z nazaretańskich kafejek przy czarnej kawie z kardamonem i *knafe* - arabskim specjale z owczego sera, miodu i orzechów, i wspólnie z innymi mężczyznami krzyczeć z radości po bramce Brazylijczyków.

Nie. Nie mógłby. Mój mąż stronił od Arabów. Nigdy nie wybierał się na tanie zakupy do arabskich miast, a nawet nie pozwalał mi zatrzymać samochodu przy sprzedających owoce

czy ręcznie robioną biżuterię kobietach palestyńskich. Kiedy zwiedzał miasta izraelskich Arabów, robił wrażenie człowieka wypełniającego nieprzyjemną, niebezpieczną misję, z której najszybciej chciałby się wywiązać i wrócić do domu. Spacerując z nim po muzułmańskich uliczkach, wyczuwałam jego niepewność i niechęć. Do strachu się jednak nie przyznał. „Czegóż mam się bać? Jestem w swoim kraju”, powiedział rozdrażniony.

Kiedy Keren, moja koleżanka z pracy, pochodząca z żydowskiego miasteczka Naceret-Illit, położonego na wzgórzach nad Nazaretem, postanowiła pokazać mi „arabski Nazaret”, popatrzyłam na nią podejrzliwie. Czy może być w Nazarecie coś, co byłoby warte nieprzyjemnego uczucia, że jest się intruzem wkraczającym bez zaproszenia na cudzy teren? Zresztą nawet przewodnik turystyczny Neila Tilbury’ego z serii Lonely Planet ostrzegał przed Nazaretem: „Szczególnie nieprzyjemni są mieszkający tu Arabowie, nachalnie zaczepiający turystki [...]. Zdarza się, że napastowane są nawet zakonnice”. Przytaczający na potwierdzenie złą opinię samego proroka Nataniela, który już dwa tysiące lat wcześniej powątpiewał: „Czyż może być coś dobrego z Nazaretu?”. No właśnie. Może?

Nazaretu, rodzinnego miasta Chrystusa, nigdy nie mogło zabraknąć w moich planach oprowadzania gości po Ziemi Świętej. Wpisywałam go więc gdzieś po drodze z góry Tabor do Tyberiady, Jeziora Tyberiadzkiego, Galilei i Golanu. Zatrzymywałam się tam, by w tłumie turystów obowiązkowo zaliczyć Bazylikę Zwiastowania, i jeśli udawało mi się wcześniej wyjechać z Tel Awiwu, wjeżdżałam na wierzchołek wzgórza, na którym zbudowano miasto, zatrzymując się na chwilę w należącym do salezjanów najpiękniejszym kościele Nazaretu, po czym uciekałam od chaotycznej, betonowej zabudowy w sielską zieleń północnego Izraela. Po co miałam kolejny raz jechać do Nazaretu?

Nieznane zaułki

Zamiast od największej chrześcijańskiej świątyni na Bliskim Wschodzie - wielopoziomowej, monumentalnej Bazyliki Zwiastowania, zawsze zatłoczonej - tym razem rozpoczęliśmy zwiedzanie od niepozornego prawosławnego kościoła Archanioła Gabriela i Źródła Maryi, usytuowanego u zbiegu dwóch ruchliwych ulic na niewielkim kamiennym placu w starej części Nazaretu.

To właśnie tu, gdzie wypływa źródło, od wieków znajdowała się publiczna studnia. A że była podobno jedyna w mieście, logiczne jest przypuszczenie, że właśnie w tym, a nie innym miejscu, anioł zwiastował Maryi. W surowej kamiennej kaplicy z bijącym źródłem bez problemu mogłam sobie wyobrazić pątników, którzy od XI wieku czcili i nawiedzali to

miejsce.

Niedaleko stąd, w samym centrum orientalnego bazaru, pomiędzy małymi podwórkami, sklepikami i starym murem, półtora metra pod poziomem współczesnej ulicy, w synagodze studiował i modlił się Chrystus. Obecnie znajduje się tu kościół, nazywany po arabsku Madrasset El-Massiach (Akademia Mesjasza). Kiedy tam dotarliśmy, oprócz nas nie było nikogo. Tylko uliczny kot przycupnięty pod straganem z dewocjonaliami bez właściciela, który pewnie poszedł gdzieś na kawę, popatrzył na nas podejrzliwie. „Czego tu szukacie?”, zdawał się pytać, przekrzywiwszy łeppek. „Idźcie tam, gdzie wszyscy turyści. Nie przeszkadzajcie mi spać!”

Poszliśmy więc sobie, obserwując po drodze miejscowe dzieci wychodzące ze szkół, cichsze niż izraelskie, i pulchne Arabki w długich sukniach z siatkami pełnymi zakupów. Keren swoim zwyczajem szła energicznie przede mną, rozdzielając uśmiechy i odpowiadając głośno na pozdrowienia.

- Czy ty je wszystkie znasz? - zdziwiłam się, kiedy kolejna osoba życzyła nam dobrego dnia i pokoju.

- Ja? Oni są po prostu mili, sympatyczni, lubią gości, więc nas pozdrawiają.

- Izraelczyków?! - Nie byłam pewna, czy moja koleżanka mówi poważnie, czy może drwi sobie ze mnie.

- No pewnie, że tak - odpowiedziała mi zdecydowanie, jakby nigdy nie było konfliktu palestyńsko-izraelskiego, terroru, okupacji, intifady czy blokady Gazy, a Żydzi żyli w przyjaźni z Arabami z pokolenia na pokolenie. - Oni są u siebie - kontynuowała Karen - w swoim mieście, dumni z wielowiekowej tradycji i kultury swojego narodu. Palestyńczycy są bardzo gościnni, nie wiesz o tym?

- Nie miałam pojęcia - odpowiedziałam zgodnie z prawdą. - Jedyni, jakich bliżej poznałam, budowali budynek, w którym było moje mieszkanie. Ciężko pracowali przez cały tydzień na budowie, śpiąc nocą na starych materacach rzuconych na betonową podłogę i widując rodzinę tylko podczas weekendów i świąt. Nie mieli siły na grzeczności. Nie zdążyłam wiele z nimi porozmawiać, bo cofnięto im pozwolenie na pracę, zamknięto możliwość przyjazdu z Gazy i zastąpiono ich robotnikami sprowadzonymi z Rumunii, a potem z Chin.

- Ty mówisz o uchodźcach - przerwała mi Karen. - Są różni Palestyńczycy. Tych z Nazaretu nikt nigdy nie wyrzucił. Mieszkają tu od pokoleń. Popatrz, jak godnie wyglądają.

Faktycznie. W oczach arabskich przechodniów nie widziałam nienawiści, jaką czuje ktoś, komu przyszło żyć za wysokim betonowym murem, oddzielającym go od rodziny w

sąsiedniej wiosce.

Doszliśmy do małego placyku. Pomędzy białym kościółkiem, Centrum Sztuki i Domem Pisarza stał świeżo odrestaurowany budynek z charakterystycznymi strzelistymi oknami: „Al Mutran” - perełka stylu z czasów otomańskich. Weszliśmy do środka. Mężczyzna w średnim wieku powitał nas uśmiechem, zaproponował kawę i odpoczynek w suicie jaśminowym, którego wenecki balkon wychodził na plac Biskupa, różanym, z przepięknie zachowaną starą podłogą i widokiem na miasto, lub irysowym, z potrójnymi oknami *vintage*, dekoracyjnymi kaflami, w pełni wyposażoną kuchnią i czterema pokojami.

- Nie zamierzamy wynajmować pokoju. Czy zastałyśmy Maoza? - spytała Karen, wywołując westchnienie zachwytu prowadzącego pensjonat Araba, który wzniosł oczy ku wysokiemu sufitowi lobby.

- Maoz był dziś rano. Święty człowiek z niego. Idźcie do „Fauzi”. Tam pewnie go zastaniecie.

- To cadyk czy *mitnachel*?

- *Has we'chalila!* Broń Boże! - Arab aż cofnął się o kilka kroków. - To nasz dobroczyńca! Od kiedy się pojawił, są turyści i praca, a wszystkie sklepiki wokół mają więcej klientów. Dzielnica odżywa!

- Nie byliście wobec niego podejrzliwi? Przyjechał jakiś Żyd, zaczął się interesować waszymi starymi domami...

- Pewnie, że byliśmy. Myśleliśmy, że chce wykupić cały Nazaret.

- A teraz już się nie boicie?

- Gdyby więcej było takich Maozów, Ziemia Święta byłaby rajem! Daj Bóg, żeby byli!

- Salam alejkum! Niech pokój będzie z tobą!

- Alejkum salam! Z tobą też! - odpowiedziałyśmy, żegnane serdecznym uściskiem dłoni.

- Kto to jest ten Maoz? - nie mogłam się powstrzymać od pytania.

- Widziałaś po drodze, na Starym Mieście opuszczone budynki?

- Widziałam. Szkoda, że popadają w ruinę. Kiedyś musiały być piękne!

- Ano właśnie! To samo pomyślał sobie Izraelczyk spacerujący pewnego dnia tymi uliczkami, po których my teraz chodzimy. Poznałam go, więc znam jego historię. Maoz, zanim trafił do Nazaretu, mieszkał w Tel Awiwie. Wraz z żoną wyjechał powłóczyć się po świecie. Obejrzawszy Kalifornię, Galapagos, Peru, Boliwię i Patagonię, zaczął marzyć o własnym pensjonacie w Izraelu. Szukał odpowiedniego miejsca aż do momentu, kiedy stanął

niedaleko miejsca, gdzie teraz jesteśmy. Popatrzył wokół i stwierdził, że znalazł to, czego szukał. Miał szczęście. Na Starym Mieście sporo było opuszczonych domów. Nikt nie chciał w nie inwestować ani w nich mieszkać. W jednym po prostu się zakochał. Kamienny dom z XVIII wieku, od piętnastu lat niezamieszkały, należał do wpływowej rodziny z Galilei. Maoz zaraził swoim entuzjazmem spadkobierców arabskiego rodu Azar i wraz z nimi przywrócił życie domowi z wysokimi malowanymi sufitami, strzelistymi galeriami, marmurowymi podłogami i kunsztownymi oknami, za którymi rozciąga się panorama Nazaretu i Galilei. Pensjonat „Fauzi Azar Inn”, przepiękny i autentyczny, okazał się też całkiem intratny.

Kiedy weszliśmy do salonu recepcyjnego rezydencji rodziny Azar, za kontuarem stała uśmiechnięta para: młoda szatynka, Arabka, spadkobierczyni nazwiska Azar, i jasny blondyn o chabrowych oczach. Ich barwa była tak zaskakująco intensywna, że przez chwilę stałam oniemiała. Czy taki czysty kolor nieba w oczach człowieka zdarza się naprawdę? Pamiętałam podobny z portretów dzieci Wyspiańskiego. Nie spodziewałam się go jednak tutaj... Inaczej też wyobrażałam sobie Maoza. Myślałam, że będzie dojrzałym mężczyzną, pewnym siebie przedsiębiorcą. Zobaczyłam młodego chłopaka, marzyciela, pioniera i odkrywającego fascynujący ład Piotrusia Pana. Przede wszystkim jednak człowieka, który zamiast mówić o przyszłym pokoju między Żydami a Palestyńczykami, już teraz żył w nim, dzień po dniu udowadniając, że to możliwe.

- Koniecznie musicie wstąpić do Abu Aszrafa - polecił nam Maoz, kiedy się z nami żegnał.

Filozof - Abu Aszraf

Wewnątrz „Divan El Saraja”, małej restauracji o ścianach obwieszonych starymi przedmiotami i naczyniami, byliśmy jedynymi gośćmi, mimo że znajdowała się ona na orientalnym bazarze, w centrum miasta. Klienci zatrzymywali się tylko przy wejściu. Kupowali na kilogramy małe, okrągłe placuszki. Chowali je w plastikowych siatkach, chwilę gawędzili z właścicielem i odchodząc, pozdrawiali się wylewnie. W domu sami nadziewali je serem owczym, orzechami czy daktylami. My natomiast czekałyśmy na przygotowanie ich przez samego szefa.

- Człowiek wie, że żyje, kiedy pracuje - filozofował Abu Aszraf, przygotowując pierożki z ciasta grysikowego i miodu bez dodatku jajek, z nadzieniem słonym i słodkim, które pobożni muzułmanie jedzą po zmierzchu w czasie ramadanu. My miałyśmy się nimi raczyć w dzień powszedni. Co prawda nie je się deseru przed obiadem, ale nie mogłyśmy

zlekceważyć rekomendacji Maoza. Poza tym miałyśmy ochotę na małe co nieco i kawę.

Abu Aszraf nie śpieszył się. Pracując, opowiadał o swoim liczącym siedemset osób klanie (*chamuli*) i wnuczce, z której jest szczególnie dumny.

- Lubię ludzi, lubię dla nich gotować. Gotuję nawet podczas trzydziestodniowego postu, ramadanu, kiedy muzułmanom wolno jeść i pić dopiero po zachodzie słońca. Mimo że sam poszczę, karmię każdego, kto ma na to ochotę, przez cały rok. Swego czasu przychodzili do mnie różni tacy nazywający siebie religijnymi i chcieli, bym na ten czas zamknął restaurację. Nie zamknąłem. Nie potrafię żyć bez pracy, nawet przez miesiąc. Tego nauczyła mnie matka. Miała dwanaścioro dzieci i prawie nie wychodziła z domu. Ciągłe pracowała, a była radosna jak skowronek. Jestem do niej podobny. Według jej recept żyję i gotuję.

- Sprzedaje pan coś ze swoich zbiorów? - spytałam, patrząc na dwie lekko zakurzone damasceńskie szable i wiele innych wytworów sztuki muzułmańskiej, zdobiących ściany.

- Ja nie sprzedaję, ja kupuję... dla ludzi, żeby nacieszyli oko, i dla siebie, bo lubię ładne stare rzeczy, które przez długie lata przechodziły z rąk do rąk - wyjaśnił Abu Aszraf. - Niedawno, na święta, kupiłem żonie ręcznie inkrustowane srebrne lustro z małymi szufladkami na damskie drobiazgi, by mogła w nim podziwiać swoją urodę. Szkoda, że nie możecie zobaczyć, z jaką radością wpatruje się w swoje niemłode już przecież odbicie. Nadal można się nią zachwycić, a nawet w niej zakochać od pierwszego wejrzenia, choć miłość wymaga poznania. Są tacy, którzy patrząc na nią, powiedzą: „Abu Aszrafie, co ty widzisz niezwykłego w tej niewieście? Przesadzasz! Przecież to zwykła kobieta!”. Zwykła? Oni nie znają urody jej serca!

- Danie gotowe! - Kucharz położył na stole przyrumienione pierożki polane słodkawym sosem z egzotycznym posmakiem i nalał nam czarnej, aromatycznej kawy.

- Woda różana? - spytałam, wskazując sos.

- Nie, to kwiat geranium, a owczy ser robimy razem z żoną u nas w domu.

- Wow! - Pierwszy kęs rozpląnął mi się właśnie w ustach. Przepyszne ciasto, jedwabne w dotyku, o konsystencji obłoków i finezyjne połączenie słodkiego posmaku sosu ze słonym smakiem sera... podobnego do polskiej bryndzy, tylko łagodniejszego.

- Smakuje?

- Rozkosz dla podniebienia - odpowiedziałam, teatralnie wznosząc oczy ku górze.

- Zapakuję wam do domu trochę sera - zaproponował Abu Aszraf.

- Dziękujemy, z przyjemnością weźmiemy - odpowiedziałyśmy chórkim.

- A może spróbowałybyście moich bakłażanów? Sam je robię. Nie pożałujecie! Zaraz je przygotuję!

- Innym razem. Zamówiliśmy już stół w „Al-Reda”.
- No cóż... - głębokie westchnienie - niech was Allah prowadzi!

Potomek szejka

W zastępstwie Allaha w zakamarki Starego Miasta śmiało prowadziła Keren, wskazując opuszczone, niezamieszkałe domy i zachwycając się ich wyjątkowym dostojnością. Opowiadała mi, że jeszcze kilka lat temu środkiem bazaru płynął otwarty kanał ściekowy. Teraz też, odnowiony w ostatnich latach, przecinał bazar, ale już nie przypominał tego sprzed lat, podobnie jak odrestaurowane, brukowane uliczki kuszące przyjemnym chłodem kamienni.

W końcu dotarliśmy do „Al-Reda”, najokazalszej rezydencji w Nazarecie. Panorama miasta oglądana z jej dachu dosłownie zapiera dech. Daher Zedani, Palestyńczyk, potomek szejka Daher al-Omara al Zedaniego, ostatniego władcy arabskiego, rządzącego w XVIII wieku potężnym terytorium rozciągającym się od Bejrutu do Jafy, szejka Akki i Safedu, i emira Nazaretu, bratanek pierwszego przywódcy Palestyńskiej Organizacji Wyzwoleńczej, ożeniony z europejską Żydówką, córką Mordechaja Bar On - generała, polityka, lidera organizacji Peace Now i pisarza - przypisał mnie o szybsze bicie serca i kolejne w Izraelu uczucie *déjà vu*. Wyglądem przypominał bowiem pewnego Jana z Gdańska, w którym byłam śmiertelnie zakochana, kiedy miałam dziewiętnaście lat: te same mądre czarne oczy, wiotka postawa, szlachetna łagodność rysów, żywa inteligencja, zamiłowanie do sztuki, a szczególnie architektury, zainteresowanie muzyką klasyczną i nawet ten sam głos.

Jak na ironię, Daher był też właścicielem sławnej w Jerozolimie „Jan’s Tea House”, choć Jan z szyldu jego restauracji z moim nie miał nic wspólnego. Był rzeźbiarzem, pochodził z Holandii, a jego artystyczną wizję Wschodu: egzotycznego przepychu, złocień, miedzianych naczyń, rzeźbionych mebli i ręcznie tkanych kobierców o soczystych barwach, podziwiać można na ulicy Ha’Ma’ayan w Jerozolimie.

Daher, przyjechawszy do Nazaretu z misją odrestaurowania jednego z kilku należących do jego rodziny historycznych budynków, z oddaniem wydobywał piękno ze starych, zniszczonych murów i przekształcał dawną rezydencję rodową w miejsce *al-rida* - szczęśliwe. Kiedy oglądałyśmy z Keren restaurację i pensjonat, łatwo było nam sobie wyobrazić, jak tu może wyglądać po ukończeniu prac.

Jadłyśmy w sali restauracyjnej, wystrojem wnętrza niewiele się różniącej od salonu w prywatnym domu, pełnej tomików poezji arabskiej i starych fotografii przodków, przy

dźwiękach tamburu, udu i klasycznego fortepianu towarzyszących egipskim balladom Oumy Kalthoum. Nie byliśmy głodne, bardziej zależało nam na tym, aby to wszystko pooglądać i móc porozmawiać z Daherem. Dlatego poza *pastia* - kurczakiem z migdałami, cebulką i miodem, popijanym napojem cynamonowym z orzeszkami piniowymi - nie zapamiętałam zbyt wiele. Zajęta byłam strzeżeniem oczu i serca. Arystokratyczny Daher jest bardzo przystojnym mężczyzną...

Negew, Morze Martwe i drzewo, które rodzi popiół

Po obu stronach drogi przemykały jałowe wadi[219], z których odpłynęła ostatnia kropla zimowych rzek. Samotne wąwozy o czerstwej ziemi, popękanej jak chleb z zakalcem, umykały nam za szybą, a na ich miejsce wylaniały się za zakrętem skaliste szczyty. Od czasu do czasu małe pasemka roślinności, kurczowo trzymającej się resztek wody, przecinały martwą przestrzeń wyschniętej trawy wyglądającej tak, jakby zapomniała, że kiedyś była zielona. Na początku lipca spieczona słońcem pustynia przybrała beżowo-brązowe barwy, idealnie dopasowując się do swej nazwy: Negew - „sucha ziemia”. To właśnie tutaj nadal miało się szansę zobaczyć krążące nad głowami stada orłów, przy odrobinie szczęścia spotkać pantery i antylopy (oryksy) oraz odkryć pięć z siedmiu istniejących na świecie kraterów powstałych na skutek uderzenia meteorytów i erozji.

Przycupnięte nieruchomo domostwa Beduinów, zrastające się w podobne do siedlisk termitów osiedla, znaczyły ludzką obecność na tym pustkowiu, gdzie mieszka osiem procent ludności Izraela. Tradycyjne beduińskie namioty sąsiadowały tu z prowizorycznymi, niskimi budynkami otoczonymi ogrodzeniami z szarej blachy o powydzieranych przez korozję plamach. Przez małe okienka nie docierało do środka zbyt wiele słońca, ale i światła. Śmieci, stare opony, niepotrzebne kawałki desek, żelastwa i zwały piasku tworzyły wokół zagród dziwaczne wały ochronne. Tylko gdzieniegdzie pojedyncze drzewa dawały cień i wytchnienie od monotonnej szarości gruntu. Nigdzie nie widziało się najmniejszego nawet śladu dbałości o estetykę czy chociażby wygodę mieszkańców. Ani jednego kwiatka, ozdoby, czegokolwiek, co pozwoliłoby uciec od wrażenia skrajnego ubóstwa.

Jakiś chłopak jechał na oklep na osiołku, wyprzedzając stado kóz wyskubujących niewidzialne źdźbła. Kilka wielbłądów wylegiwało się obok zardzewiałych autobusów, a ciężarówka - ekskluzywnie źródło dochodu całej beduińskiej rodziny - samotnie tkwiły wśród piasków niczym ślad obcych cywilizacji.

W trzydziestoośmiostopniowym skwarze poboczem drogi szło kilka kobiet z małymi dziećmi w tradycyjnych hidżabach - chustach zakrywających włosy, uszy i szyję. Ich luźne, sięgające do ziemi płaszcze bez rękawów pokrywał pył. Rozmawiały z ożywieniem i nie zwracały uwagi na mijające je z dużą prędkością ciężarówki. O czym one marzą?, zastanawiałam się. Co jest dla nich ważne? Czy są szczęśliwe, żyjąc trudnym, ubogim życiem

poddanym rytmom przyrody, bez minimalnego komfortu, prawie tak samo jak żyły ich babcie i prababcie? Co myślą o tych wszystkich szalonych ludziach w pudełkach na kółkach, którzy w pędzie nie mają czasu nawet na to, by popatrzeć przez chwilę na ciekawy kamień czy gwiaździste niebo?

Beduini

W społeczności beduińskiej kobiety nie mogą być świadkami w rozstrzyganiu plemiennych sporów ani zabierać głosu w tradycyjnych sądach, ojcowie, bracia, wujkowie i starszyzna klanowa decydują o ich zamążpójściu. Z powodu kobiet wybuchają najbardziej dramatyczne spory, w których zgodnie z obowiązującym kodeksem honorowym przelana zostaje krew lub nawet dochodzi do zabójstw.

Pozycja kobiety w hierarchii plemiennej ustalana jest na podstawie liczby urodzonych synów, bo ci będą w stanie żywić wioskę i jej bronić, oraz statusu męża. Często bardzo młode dziewczyny wydawane są za mąż za starszych od siebie mężczyzn, którzy według tradycji mają prawo do poślubienia nawet czterech kobiet. Związki małżeńskie Beduinów zawarte według ich własnego obrzędu nie są uznawane przez rząd izraelski. Z tego powodu tylko w roku 2008 pięć tysięcy osiemset kobiet beduińskich, wielodzietnych[220] i w swoim plemienu wielokrotnie zamężnych, w świetle prawa cywilnego nadal uważane było za matki samotnie wychowujące dzieci.

Na Negewie w ponad stu klanach żyje obecnie około stu pięćdziesięciu tysięcy Beduinów[221] (w całym Izraelu około dwustu pięćdziesięciu tysięcy - trzy i pół procent ludności) zajmujących się głównie tradycyjnymi zawodami pasterskimi i prymitywną uprawą zbóż. Prawie połowa z nich mieszka w osadach niezaznaczonych na żadnej mapie, pozbawionych podstawowych usług komunalnych: dróg, kanalizacji, wody, elektryczności, edukacji i opieki zdrowotnej[222]. Państwo nie uznaje praw Beduinów do ziemi, na której żyją od wielu pokoleń, i próbuje różnymi metodami doprowadzić do tego, by opuścili Negew, a nawet Izrael. Jednym z takich sposobów, najbardziej drastycznym, jest budowanie w pobliżu osiedli beduińskich zakładów petrochemicznych (dwadzieścia dwie tego typu fabryki wybudowano na Negewie), toksycznych spalarni odpadów, reaktorów jądrowych, wież radiotelegraficznych, więzień i zamkniętych baz wojskowych. Innym - spryskiwanie miejsc wypasu beduińskich zwierząt hodowlanych środkami chemicznymi oraz burzenie osiedli z powodu „zagrożenia środowiska naturalnego” i zakładanie na dawnych terenach Beduinów rezerwatów przyrody z zakazem wypasu zwierząt.

Na skutek zbiegu takich czynników, jak kurczenie się pól, niemożność pozyskania innych źródeł utrzymania z braku wykształcenia, a także wielodzietność w trudnych warunkach egzystencji, wskaźnik umieralności dzieci beduińskich należy do najwyższych w kraju, a w rankingu społecznym Beduini zajmują ostatnie miejsce jako najbiedniejsza w Izraelu grupa społeczna.

Strukturą i organizacją społeczność beduińska przypomina hierarchiczną organizację wojskową. Jednostka jest całkowicie podporządkowana wielopokoleniowej, mieszkającej w jednym namiocie rodzinie, a także wiosce, w której żyją członkowie tego samego plemienia - „synowie brata ojca” - połączeni więzami krwi i przymierzem klanów zobowiązującym ich członków do lojalności według reguły: „ja przeciwko mojemu bratu, mój brat i ja przeciwko kuzynom, moi kuzyni i ja przeciwko obcym”, oraz do kolektywnej odpowiedzialności, pomocy i współpracy.

Na czele wioski stoi szejk (arab. - najstarszy, głowa rodu), który z pomocą starszyny plemiennej pełni funkcję doradcy, sędziego i przywódcy. Ma decydujący głos w rozstrzyganiu sporów, tradycyjnego orzekania o winie i wysokości pieniężnego zadośćuczynienia, a także w sprawie ślubów - zawieranych wyłącznie w obrębie rodu. W systemie kar, opartym na zasadzie „krew za krew”, są kary cielesne włącznie z karą śmierci. Głównie jednak za przewinienia płaci się odszkodowania materialne, na które składają się całe klany. W sprawach kradzieży i kłamstwa przeprowadza się próbę ognia.

W tradycji Beduinów najistotniejsze jest, aby być człowiekiem swobodnym jak wiatr, niezależnym, z własnym namiotem i środkiem lokomocji (wielbłądem, osiołkiem, obecnie samochodem), mieć uległą, płodną i pracowitą żonę, dobrą kawę i dzbanek, by ją zaparzyć. Ten, kto te skarby posiada, nie musi prosić nikogo o nic, może siedzieć z rodziną w namiocie i cieszyć się wolnością. A jeśli zechce... zaciągnąć się jako tropiciel do izraelskiego wojska i dać tym samym sobie i swojej rodzinie szansę na inne, lepsze życie dzięki organizowanym kursom wojskowym, stałemu żołdowi i kilkutyśnięcej odprawie po skończonej służbie.

Na azymut

Kiedy patrzyłam na namioty Beduinów przez szklaną barierę okna klimatyzowanego samochodu, poczułam, że w tym pejzażu jestem zbyt czym, obcym elementem, podobnie jak izraelscy żołnierze, którzy pojawili się nagle na grani odległego wzgórza. Młodzi chłopcy w mundurach szli tyralierą, dźwigając magazynki z zapasem amunicji, radiostację i broń. Co jakiś czas przystawali, szukając czegoś na ziemi.

- Idą na azymut. Ale mają przerąbane! - powiedział mój mąż, który lata temu szedł, jak ci żołnierze, tym samym grzbietem pagórka. - Całą noc będą chodzili po pustyni spoceni, zmęczeni i niewyspani, szukając punktów orientacyjnych. Pewnie już teraz maszerują z odciskami na stopach, w butach ciężkich jak z żelaza, śmierdzą potem, a ich ubrania lepią się do ciała, zwabiając muchy wchodzące do oczu... Najgorzej jest jednak zimą. Cała ta pustynia, którą teraz widzisz, zamienia się w grzęzawisko. Ślizgasz się, wywracasz, klniesz, mokniesz, wpadasz w jakieś jamy. Nie wiesz, skąd nagle pojawiają się rzeki, które musisz przebyć wpływ w kompletnej ciemności. Jak masz szczęście i nie skąpiesz się cała, zmoczysz się do pasa. Teraz - latem, byłoby to całkiem przyjemne. Człowiek by się ochłodził. Zimą temperatura w nocy spada do kilku stopni. Ciągle czuje się chłód, marzy o ciepłe i nienawidzi kilogramów błota przyczepionych do buciorów oraz wiatru wciskającego się pod mokry mundur. W ciemności natykasz się na bezpieczne psy, gubisz się, musisz nadrabiać drogę, a najgorsze, że wiesz, że całe to gówno nie skończy się za chwilę ciepłym łóżkiem, kolacją i snem. Wrócisz do bazy, byle jak się umyjesz, bo padasz z nóg, prześpisz się zaledwie kilka godzin i od nowa w dzień uczyć się będziesz map, starając się ukraść trochę snu, w nocy znów pójdziesz na pustynię i znów będzie tak samo. Jest taka piosenka Hanocha Levina o wojnie, zawsze o niej myślę, kiedy widzę naszych żołnierzy:

Gdy spacerujemy to zawsze we troje

Ty i ja i następna wojna

Gdy zasypiamy to zawsze we troje

Ty i ja i następna wojna.

Ty i ja i następna wojna

Ona nie zawiedzie, możesz być spokojna

Przybędzie łaskawie w piękny dzień słoneczny

A w jej plecaku odpoczynek wieczny.

Gdy się uśmiechamy w miłosnym uścisku następna wojna uśmiecha się blisko

A gdy czekamy w porodowej sali

Nadchodząca wojna czeka razem z nami.

Ty i ja i nadchodząca wojna

Ona nie zawiedzie, możesz być spokojna

Przybędzie łaskawie w piękny dzień słoneczny

A w jej plecaku odpoczynek wieczny.

Gdy przyjdą powiadomić, będziemy we troje

Ty i ja i nadchodząca wojna

Znowu będzie nas troje, gdy płakać przestaniesz
Nadchodząca wojna, ty i portret na ścianie.
Ty i ja i nadchodząca wojna
Ona nie zawiedzie możesz być spokojna
Przybędzie łaskawie w piękny dzień słoneczny
A w jej plecaku odpoczynek wieczny[223].

„Najlepsza armia świata”

Ejal zamilkł. Włączył radio. Przez chwilę próbował znaleźć częstotliwość, na jakiej nadawane są izraelskie programy. Słyszając jedynie trzaski i język arabski, zrezygnował z szukania. Jechaliśmy w ciszy. Powoli do samochodu wchodziła czerwona poświata, a wraz z nią noc.

Po serii zakrętów nagle jak fatamorgana wyrosło przed nami miasto Arad, położone na wzgórzu wśród piasków pustyni. Z daleka wydawało się opuszczone i nikomu niepotrzebne. W popłochu zniknęło za nami. Rozpoczęliśmy dwudziestoosiobokilometrowy zjazd serpentynami w dół, w sam środek najniższego miejsca na Ziemi, gdzie czekało na nas Morze Diabła, jak mówiono kiedyś o Morzu Martwym, z gorących źródłami siarki, których nie powstydziliby się piekło.

W światłach samochodów niczym wieże strażnicze wylaniały się strome urwiska z krzemienia z korytami okresowych rzek - teraz suchych, ale zimą, po ulewnym deszczu na Wzgórzach Judzkich otaczających Jam ha'Melach, Morze Soli, bardzo niebezpiecznych. Płachta czerni po prawej stronie, oświetlona, na chwilę przemieniła się w niebiesko-zieloną taflę wody z brzegiem pokrytym białym szronem. O tej porze nie było już widać archipelagu solnych wysepek ani czuć ostrego zapachu chlorku wapnia ulatniającego się z morskiej wody podgrzanej promieniami słońca.

Telefon komórkowy zasygnalizował, że właśnie wjechaliśmy w jordański zasięg odbieralności. Zwolniliśmy, karnie dołączając do świetlistej girlandy pojazdów, sunących po wzgórzach jak gigantyczny wąż z brawurą pokonujący kolejny niebezpieczny zakręt. Gdzieś tam w oddali dryfowała w czarnej przestrzeni świetlna wyspa hoteli i pysznił się swą sławą płaskowyz, gdzie w I wieku Żydzi zamknięci w twierdzy Masada stawili opór przeważającym siłom Rzymian. Dziewięćset sześćdziesięciu jej obrońców, nie chcąc popaść w niewolę, popełniło samobójstwo. Współcześnie izraelscy rekruci słuchają w tym miejscu opowieści o żydowskich Termopilach i z silnym wewnętrznym przekonaniem przysięgają: *Szenit Mecada*

lo tipol, „Masada nigdy nie upadnie po raz drugi”. Izraelscy żołnierze chcą wierzyć, że mit „najlepszej armii świata”, posiadającej „najlepszych lotników”, który pojawił się po wojnie sześciodniowej, nadal jest prawdziwy.

Wiosną 1967 roku w wyniku poważnego kryzysu w stosunkach pomiędzy Izraelem a trzema sąsiadującymi z nim krajami arabskimi - Egiptem, Syrią i Jordanią - doszło do koncentracji wojsk arabskich na granicach. Wzajemne umowy wojskowe między Egiptem, Syrią i Jordanią, popieranymi formalnie i nieformalnie przez inne kraje arabskie i ZSSR, stworzyły sytuację, która mogła doprowadzić do unicestwienia państwa żydowskiego. Do walki zmobilizował się cały naród. Piątego czerwca 1967 roku Izrael zaatakował Egipt, Syrię i Jordanię z powietrza (nazwano to później atakiem prewencyjnym). Wykorzystując przewagę techniczną i strategiczną, w pierwszym dniu zmasowanej akcji militarnej dziewięćdziesiąt pięć samolotów izraelskich zniszczyło trzysta pięćdziesiąt nieprzyjacielskich, czyli cały prawie potencjał lotniczy Egiptu, i zadało dotkliwie straty lotnictwu syryjskiemu, jordańskiemu i irackiemu[224]. W wojnie poległo ponad siedmiuset Izraelczyków i dwadzieścia dwa tysiące Arabów[225]. Izrael zdobył nowe terytoria: wzgórza Golan, Judeę, Samarię i zajął Synaj, blokując strefę Kanału Sueskiego. Izraelczycy dumni byli z wygranej, a zwycięska armia momentalnie stała się armią niezwyciężoną.

Jednakże sześć lat później, w wojnie Jom Kippur (1973), Izrael w ciągu jednego dnia stracił dwadzieścia dwa samoloty i chociaż na ogół uważa się, że wyszedł z niej zwycięsko (wygrana w tej wojnie nadal jest dyskusyjna), poniósł wysokie straty w ludziach i sprzęcie, a także został zmuszony do wycofania się ze strefy Kanału Sueskiego i części wzgórz Golan.

Czy zatem CaHaL to rzeczywiście „najlepsza armia świata”? Do niedawna Izrael miał do czynienia z wojskami arabskimi zacofanymi pod względem technologicznym. Palestyńczycy walczyli z nim i walczą z ukrycia, a nie z samolotów. Nowa broń, jaką już dysponują państwa arabskie - rakiety dalekiego zasięgu i irańskie bomby atomowe - stwarzają sytuację, w której nawet posiadanie „najlepszej armii świata” nie przesądzi o zwycięstwie. Podpisanie układu pokojowego to o wiele bardziej skuteczna strategia. A pokój można zawrzeć z najgorszym nawet wrogiem, co już się stało w wypadku Egiptu i Jordanii.

CaHaL nadal oceniany jest wysoko, choć jego prestiż maleje wraz z upływem lat. Po wojnie sześciodniowej Siły Obronne Izraela stały się armią okupacyjną. Większość żołnierzy zajmuje się pilnowaniem porządku, ochroną osadników na Terytoriach Okupowanych i zwalczaniem terroru. Zmienił się też Izrael, zwłaszcza po pierwszej i drugiej wojnie libańskiej. Społeczeństwo izraelskie podzieliło się w poglądach na sprawę granic i sensu służby wojskowej.

Do końca lat osiemdziesiątych popularne hasło: „cały naród - wojsko”[226], to nie był tylko slogan. Izraelczycy rozumieli bezwzględny wymóg obrony swego kraju, mieli entuzjazm i wiarę w to, że wybierając Izrael, zdecydowali się na podwójną rolę: obywateli i żołnierzy. Służba w wojsku traktowana była jako autentyczna szkoła życia, izraelskości i patriotyzmu. Młodzi ludzie z utęsknieniem czekali na moment, kiedy będą na tyle dojrzały, by móc zaciągnąć się do wojska i uczestniczyć w doświadczeniu społecznym, od którego zależy egzystencja państwa. Nie tylko chcieli włożyć mundury, ale marzyli o służbie w elitarnych jednostkach. Czerwony beret spadochroniarza, naszywka z zielonym drzewem bojowej jednostki Golani, orzeł - symbol lotnika, czy odznaka morskich komandosów z Szajetet 13 ze skrzydłami nietoperza stanowiły szczyt marzeń każdego Izraelczyka i gwarantowały powodzenie u dziewcząt, a także zdobycie w cywilu pracy na odpowiedzialnym stanowisku.

Mój mąż, chcąc dostać się na kurs lotników, zdecydował się na bolesną i kłopotliwą operację skrzywionej przegrody nosowej i opracował specjalny rodzaj ćwiczeń mających mu pomóc w przetrwaniu bardzo intensywnego treningu. Nawet ludzie chorzy i fizycznie niedysponowani walczyli o to, by się zaciągnąć do wojska. Wiadomo było, że nie służą tylko ludzie psychicznie chorzy lub w jakiś specjalny sposób upośledzeni. Nikt nie chciał „czarnej plamy” w swoim życiorysie.

To, gdzie i z kim się służyło, było jednym z najważniejszych punktów w biografii Izraelczyków. Większość premierów Izraela i dyrektorów największych firm to dawni wysocy rangą oficerowie. Wszyscy cywilni piloci El Al, izraelskich linii lotniczych, rekrutują się spośród pilotów wojskowych, w zarządach najważniejszych firm zasiadają emerytowani żołnierze zawodowi[227]. Towarzysze broni, z którymi odbywało się zasadniczą służbę wojskową, a następnie przez dwadzieścia lat służyło w rezerwie i nawet brało udział w wojnach i akcjach wojskowych, stawali się najwierniejszymi przyjaciółmi na całe życie - braćmi.

Dzięki wojskowym kontaktom było się zapraszany na rozmowę kwalifikacyjną do pracy. Jednym ze standardowych zadawanych w czasie takiej rozmowy pytań było pytanie, „gdzie służyłeś w wojsku?”. Uchylenie się od wojska spotykało się z powszechnym potępieniem, a zatajone i później odkryte mogło zwichnąć karierę. Jeszcze w 2006 roku izraelska publiczność zbojkotowała zwycięzcę izraelskiej wersji *Idola*, Żaka Eisenberga, ponieważ odważył się publicznie przyznać, że jest przeciwnikiem służby wojskowej i sam w wojsku nie służył. W 2011 roku już tylko część Izraelczyków ostro potępiła Dafni Leef i zakwestionowała jej przywództwo w proteście społecznym, kiedy okazało się, że nie odbyła służby wojskowej, choć przyczyną była poważna choroba.

Do lat osiemdziesiątych tylko dziesięć do piętnastu procent Izraelczyków w wieku od osiemnastu do czterdziestu lat nie służyło w wojsku, a swego rodzaju gwardię stanowili w nim kibucnicy. Ich obecność na listach oficerów i ofiar walk przekraczała kilkakrotnie ich procentowy udział w populacji. Wraz z upadkiem idei kibucowej zmienił się też stosunek kibucników do wojska i choć nadal mają oni swoich przedstawicieli wśród oficerów i lotników, prymat przyjęli Żydzi religijni z odłamu *datiim leumiim*, spośród których wywodzi się około czterdziestu procent oficerów[228], podczas gdy cała ta grupa stanowi dziesięć, dwanaście procent ludności.

Wraz z opuszczeniem przez Izrael Libanu i Strefy Gazy zmniejszyła się liczba żołnierzy niezbędnych w służbie wojskowej. W 2011 roku połowie podlegających temu obowiązkowi mężczyzn[229] udało się uzyskać zwolnienie od służby, i to nie tylko z przyczyn religijnych czy etnicznych, ale także dzięki znajomościom i różnego rodzaju unikom. Do tego stanu rzeczy przyczyniła się utrata motywacji, na co wpłynął zły przykład, jaki dali ci wszyscy, którzy się od niej systematycznie uchylają, zwłaszcza *charedim*, a także zmiany, jakie dokonały się w opinii publicznej po ujawnieniu krytycznych ocen komisji badających sytuację w wojsku i negatywnych świadectw rezerwistów z czasu służby na Terytoriach Okupowanych. Wyrazem kryzysu w szeregach wojskowych jest wzrastająca liczba samobójstw (dwieście siedemdziesiąt osiem przypadków w latach 2002-2012), stanowiących najczęstszą przyczynę śmierci izraelskich żołnierzy[230].

Obecnie nagminnie zwalnia się od służby gwiazdy estrady: aktorów, piosenkarzy, sportowców, modelki. Wzrasta również liczba młodych ludzi, którzy najpierw chcą ukończyć oferowane przez wojsko studia wyższe, a potem odpracowują ten dług w potrzebnych wojsku zawodach.

Nie brak też takich, którzy wymigują się od obowiązku służby w rezerwie. Do 2010 służyło się w rezerwie przeważnie przez miesiąc (maksymalnie trzydzieści sześć dni) w roku, obecnie w ciągu trzech lat maksymalnie pięćdziesiąt cztery dni - żołnierze i osiemdziesiąt cztery dni - oficerowie, do czterdziestego (dla wszystkich) i czterdziestego piątego (dla oficerów) roku życia.

Wielu Izraelczyków twierdzi, że to nie Izrael ma wojsko, lecz wojsko ma swoje państwo. I jest w tym trochę prawdy, jeśli spojrzeć na rosnące z roku na rok wydatki obronne i na ich udział w budżecie państwa. Wynoszą one około dwudziestu procent budżetu całorocznego i około dziesięciu procent PKB, w co nie są wliczone dodatkowe kwoty związane z obroną kraju zapisane w budżecie innych ministerstw. A jest to od dwóch do sześciu razy więcej niż przeznaczają się na obronę w większości krajów rozwiniętych. Resort

obrony jako jedyny nie podlega kontroli Ministerstwa Finansów i nie rozlicza się w sposób jawny ze swoich wydatków.

Jabłko grzechu

Z samego rana opuściliśmy wygodny domek w kibucu Kalja, aby pojechać do Einot Cukim (hebr.), Źródła przy Urwiskach (arab. Ein Feszcha). O uroku tego źródła słyszałam niekończące się opowieści. Wszystkie opisywały strumyki przezroczystej wody o słodkim smaku wijące się wśród pustyni i wpadające kilkunastoma odnogami do zabijającego każde życie Morza Martwego. W naturalnej oazie miały na nas czekać ustronne źródelka z zielonymi krzewami osypanymi kryształkami soli i niepowtarzalne widoki. Jakże moglibyśmy nie ulec fantazji o samotności we dwoje w sąsiedztwie starożytnego Qumranu i biblijnego miasta grzechu Sodomy?

Rzeczywiście w początkach lat siedemdziesiątych, kiedy poziom morza był wyższy o około trzydzieści pięć metrów, można tu było kąpać się w Morzu Martwym, zmywać sól z ciała w słodkiej wodzie i zgubić się gdzieś w szuwarach z ukrytymi wśród nich małymi jeziorkami. Dziś jednak na śmiałka, który chciałby zamoczyć się w Jam Ha'Melach, Morzu Soli, w jego śliskiej, gorzkiej i niemal oleistej wodzie o zapachu siarki, wciskającej się w każde najmniejsze zadraśnięcie skóry, by piec niemiłosiernie i jednocześnie leczyć, czekała nie lada próba: przejście przez niedostępny, szeroki pas błota i ruchomych piasków, bardzo niebezpieczny. Nic dziwnego, że nikt się nie decydował na kąpiel w tym miejscu, poprzestając na taplaniu się w sięgającej zaledwie ud słodkiej źródlanej wodzie w zamkniętych basenach o wybetonowanych obrzeżach lub błakaniu się wśród trzciny wysokiej jak drzewa.

Kiedy tu dotarliśmy, zwabieni zbyt efektownymi opisami Ein Feszcha, zastaliśmy kilku turystów, grupę młodych *mitnachalim*, którzy przyjechali nad Morze Martwe kuloodpornym minibusem, oraz arabskich chłopaków. Turyści po krótkim spacerze, zawiedzeni brakiem plaży oraz płytką wodą, uciekli w inne miejsce - na zatłoczoną plażę Ein Gedi czy Ein Bokek, a obie grupy młodych ludzi były tak zaabsorbowane posyłaniem sobie czujnych spojrzeń i odurzone zapachem piekących się szaszłyków, że nie przyszło im do głowy sprawdzić, czy górne baseny „czasowo wykluczone z używalności ze względów sanitarnych” są już otwarte.

My sprawdziliśmy. Nie było tam nikogo poza ptakami i faktycznie to akurat miejsce mogłoby stanąć w zawody z rajem. Wśród daktylowych palm, w scenerii beżowych

wapiennych skał ze stromymi urwiskami z czerwonego krzemienia nie było mowy o pływaniu. Bez śladu obecności ludzi, w towarzystwie podglądających nas ptaków, zanurzeni po szyję w przyjemnej, trochę mętnej wodzie o niespotykanej mlecznobłękitnej i trochę zielonkawej barwie, mogliśmy swobodnie cieszyć się z rozpalającego zmysły słońca i dotyku wiatru.

- Jest tu cudownie! - westchnęłam. - Tak intymnie, jakby na całym świecie nie było oprócz nas nikogo! Ależ mamy szczęście, że znalazłam takie idealnie odosobnione miejsce!

- Przepraszam, że państwu przeszkadzam - usłyszałam za plecami jakiś głos. Gwałtownie odskoczyliśmy od siebie. - Od jakiegoś czasu obserwujemy państwa przez nasze kamery i widzimy, że nic sobie nie robicie z informacji o tym, że czyścimy wodę i baseny na razie są zamknięte.

- Dla nas woda jest wystarczająco czysta. My się stąd nie ruszamy! - stwierdziłam z pewnością siebie, poprawiając bikini.

- Ja wyszłabym z basenu i to natychmiast. Widzicie ten kolor?

- Przepiękny: biało-niebieskozielony - przytaknęłam. - Fantastyczny! Nigdy takiego nie widziałam! To pewnie przez ten jod w powietrzu? Prawda?

- Taak całkiem ładny, ale chyba raczej nienaturalny jak na źródlaną wodę? No właśnie! Wpuściliśmy do niej środki niszczące glonki i dezynfekujące basen, hm... pewien rodzaj kwasu, w niedużych ilościach, ale raczej niepolecanych do kąpieli.

Wyskoczyliśmy z wody bez chwili zwłoki i pobiegli szorować się pod prysznicami, a potem z niezbyt mądrymi minami wróciliśmy do basenów okupowanych przez miłośników mięsa na ruszcie. Jak dla nas - za tłoczno, a woda za płytka, byśmy mogli czerpać z niej przyjemność. W drodze na parking minęliśmy pluton żołnierzy taszczących skrzynki z jedzeniem.

- Niezłe ustronie, co? - zaśmiałam się.

- Ty to masz pomysły! - pokiwał głową mąż. - Nie ma to jak randka w roztworze kwasu...

- O, zobacz, jakie cudo! - Podbiegłam do zielonego drzewa o delikatnych, biało-fioletowych kwiatkach i dorodnych owocach. - Przypominają jabłka... Albo melony czy olbrzymie, zielone brzoskwinie i wyglądają na wyjątkowo soczyste. Spróbujemy?

- Jeśli nie wystarczyła ci kąpiel w kwasie i koniecznie chcesz, by nie tylko zeszła ci skóra, ale byś oślepla, to smacznego! To jest drzewo, które rodzi popiół, czyli jabłko Sodomy. Trujące. Poza tym wcale nie tak soczyste i jędrne. Owoce wypełnione są powietrzem i jedwabnymi nitkami, z których kiedyś robiono knoty do lamp. Kiedy dojrzewają, stają się

żółte i wtedy bardziej przypominają pomarańcze niż jabłka. Gdyby teraz były dojrzałe, a ty zgmiotłabyś je w rękę, wybuchnęłyby jak purchawki, pozostawiając ci na dłoni popiół i resztki cienkiej, pomarszczonej skóry.

Dotknęłam jabłka Sodomy najdelikatniej jak potrafiłam. Palec wszedł w miękką, puszystą masę sprawiającą wrażenie silikonowej poduszeczki albo sflaczałego balonu z resztkami powietrza. Musiałam przyznać, że owoce o wiele seksowniej wyglądały przed tym dotknięciem. Mimo to wciąż kusiły swą wyjątkowością, tak samo jak morze, nad którym rosły, położone prawie pół kilometra poniżej poziomu wszystkich innych wód, z formacjami solnymi przypominającymi góry lodowe w miniaturze, z unoszącą się nad nim mgiełką odurzającego bromu i wysmarowanymi czarnym błotem ludźmi siedzącymi w jego wodzie jak w fotelu i czytającymi gazety...

Między niebem a ziemią. Hu we'Hi, czyli On i Ona

Twarz czy ogon?

Pewnego dnia odkryłam w swojej miesięcznej pensji za pracę w codziennej izraelskiej gazecie „Maariw” spory dodatek. Podejrzewając pomyłkę, udałam się do działu płac. Wszystko było w porządku. Poinformowano mnie, że pieniądze należały mi się „jako kobiecie”. Brzmi dziwnie - prawda? Ja też tak pomyślałam, zanim wyjaśniono mi, że moje pełne polskie imię „Elżbieta” wraz z nazwiskiem „Sidi” nie zmieściło się w urzędowej rubryce. Urzędnik, zgodnie z izraelską modą nieprzywiązujący wagi do „szczegółów”, opuścił ostatnią literkę *hej*, odpowiednik polskiego „a”, będącą żeńskim określnikiem, a głoskę „ż”, szeleszczącą mu niewygodnie pomiędzy czubkiem języka a wysuniętymi do przodu wargami, wymienił na „z” występujące w hebrajskim alfabecie. Zapisana jako „Elzbiet Sidi” zamiast „Elżbieta Sidi”, byłam przez wiele miesięcy pozbawiona dodatkowych punktów przyzwanym kobietom przez izraelski system podatkowy. Pieniężny dodatek stanowił wyrównanie z tego tytułu. Jak zareagowałam na przypadkową zmianę płci? Nie przejęłam się zbytnio. Przez lata zdążyłam już się oswoić z izraelskim bałaganem i tolerancją wobec niedokładności. Nonszalancję w sprawach formalnych, tak jak i rozbudowaną biurokrację, często przypisuje się spuściznie po pierwszych pionierach, którzy przyjechawszy z Rosji do Palestyny, przywieźli je ze sobą. W Izraelu codziennie się z nią stykam.

Jedna literka więcej, nie licząc pewnych „drobnostek” anatomicznych i... kilkaset dodatkowych szekli na koncie w banku! Dobrze jest być kobietą w Izraelu! Czy aby na pewno? Fakt, że rodzice coraz częściej wybierają swoim córkom imiona męskie - Daniel, Awiw czy Adi - choć są ich żeńskie odpowiedniki - Daniela, Awiwa czy Adit - wydaje się wskazywać, że niekoniecznie zgadzają się z takim poglądem. Jak więc wyglądają sprawy kobiet w państwie żydowskim?

Kobiet jest tu więcej, podobnie jak na całym świecie, niż mężczyzn i żyją one dłużej o prawie cztery lata, a ich sytuacja socjoekonomiczna przypomina tę z krajów rozwiniętych, statystyka pokazuje jednak w prawie wszystkich dziedzinach pewne niekorzystne różnice. Po części wpływają na to mniejszości - arabsko-muzułmańska i żydowska ultraortodoksyjna - w

których podrzędna rola jest przypisana kobietom przez reguły religijne. Nierówność płci, wbrew mylnemu wyobrażeniu turystów spotykających na izraelskich ulicach młode dziewczęta w żołnierskich mundurach, występuje również w społeczności świeckiej.

Żołnierki

Inaczej niż w większości państw świata w Izraelu ustawa o powszechnym obowiązku służby wojskowej dotyczy również kobiet. Jeśli nie pochodzą ze środowisk religijnych, nie są w ciąży, nie mają dzieci, to tak jak mężczyźni zobowiązane są do odbycia służby wojskowej po ukończeniu osiemnastu lat. Służą jednak w wojsku krócej niż mężczyźni: osiemnaście miesięcy zamiast trzydziestu. Do 1994 roku rola kobiet w Siłach Obronnych ograniczała się do zabezpieczania tyłów oraz pełnienia funkcji sekretarek i urzędniczek służących wyższym stopniem męskim dowódcom. Obecnie nadal rzadko przydziela się kobiety do jednostek bojowych, ale żołnierki coraz częściej prowadzą szkolenia bojowe, uczestniczą w kursach oficerskich i służą nawet w elitarnym lotnictwie. W 2001 roku pierwszym żeńskim pilotem bojowym została Ronit Cukerman, wnuczka Icchaka Cukermana (Antka), jednego z legendarnych przywódców powstania w getcie warszawskim w 1943 roku, założyciela Lohamei ha'Geta'ot, kibucu Bojowników Getta.

Podporządkowanie kobiet w wojsku mężczyznom i skrócenie ich służby to wyraźny komunikat: w kwestii obrony kraju i bezpieczeństwa narodu, czyli podstawowych funkcji obywatelskich, Izraelki są mniej ważne i potrzebne. W zdecydowanie mniejszym stopniu niż mężczyźni korzystają z kapitału powiązań, wykształcenia i pozycji zdobytego w wojsku, który mężczyznom tak bardzo ułatwia życie w cywilnym społeczeństwie.

W Knesecie udział kobiet nigdy nie przekroczył dwunastu procent, a jedyną do tej pory kobietą na czele rządu była Golda Meir, o której David Ben Gurion mawiał, że „jest jedynym mężczyzną w rządzie”. Droga do kariery zawodowej i polityczno-społecznej nie jest jednak dla kobiet zamknięta. Najaktualniejszym tego przykładem może być błyskawiczny sukces Dafni Leef, tej samej, o której już była mowa, Kobiety Roku 2011 według „Globes”, najpoważniejszego pisma ekonomicznego Izraela. Ta dwudziestopięcioletnia dziewczyna z młodego pokolenia dobrze wykształconych świeckich Izraelczyków, które nie chce czekać, aż politycy dokonają zmian w kraju, gdzie ceny windowane są przez garstkę najbogatszych wpływowych ludzi, choć wydaje się trochę infantylna, jąka się i nie ma znanego nazwiska czy dorobku, latem 2011 roku zainicjowała masowy protest. Protestujący żądali sprawiedliwego podziału budżetu państwa, inwestowania w rozwój prowincji i w oświatę oraz reformy

polityki mieszkaniowej, prowadzącej do obniżenia wysokich cen mieszkań. Dafni udało się pociągnąć za sobą masy i z dnia na dzień stała się symbolem walki o równość społeczną.

Matki

Świeckie Izraelki realizują swoje ambicje w pracy i karierze zawodowej, ale pragną także mieć co najmniej dwójkę dzieci[231]. Występowanie defektów genetycznych w populacji żydowskiej od stuleci dbającej o czystość etniczną oraz w społecznościach Karaimów, Beduinów i Samarytan (Szomronów), gdzie związki małżeńskie zawierane są między bliskimi krewnymi, sprawiło, że Izrael stał się jedynym krajem, gdzie aż trzy rodzaje badań genetycznych w całości finansowane są przez państwo, a trzy dodatkowe - częściowo, i znalazł się wśród liderów pod względem liczby i jakości badań ultrasonograficznych związanych z macierzyństwem.

Parom planującym zajście w ciążę oraz już spodziewającym się dziecka instytuty genetyczne, szpitale i inne specjalistyczne placówki - państwowe i prywatne - oferują dziesiątki testów genetycznych, a Izraelczycy marzący o idealnie zdrowym dziecku masowo z nich korzystają, wydając co roku od kilku do kilkudziesięciu tysięcy szekli na badania prenatalne. Jak podaje „Jedijot Achronot”: „Ministerstwo Zdrowia zaleca trzy badania (średnia amerykańska wynosi mniej niż jedno badanie). W praktyce jednak wiele kobiet wykonuje od czterech do pięciu badań, a w skrajnych przypadkach do czterdziestu jeden”[232]. Badania genetyczne to już prawie oddzielny dział medycyny, a lekarze z wielu krajów świata marzą, aby tu odbyć staż.

Zarazem jednak dozwolona jest finansowana przez państwo aborcja (wymagane jest zezwolenia komisji etyczno-lekarskiej) i co roku zatwierdza się około dwudziestu tysięcy przypadków usunięcia ciąży. Liczba zabiegów przerywania ciąży z powodu zagrożenia chorobami genetycznymi jest najwyższa na świecie[233]. Być może dlatego matek samotnie wychowujących dzieci jest o wiele mniej niż w innych państwach (około dziewięćdziesięciu tysięcy[234]).

W ostatnim dziesięcioleciu liczba zapłodnień in vitro podwoiła się, a Izraelczycy powiększyli swoją już i tak znaczną przewagę nad innymi pod względem liczby zabiegów tego typu. Cztery procent wszystkich dzieci narodzonych w Izraelu w 2010 roku zostało poczęte[235] w ten sposób. Państwo w pełni finansuje zabiegi sztucznego zapłodnienia - co roku wydaje się na ten cel około trzystu milionów euro. Według znawcy przedmiotu, profesora Aleksa Awirama, w rzeczywistości kwota ta jest dwukrotnie wyższa, jeśli dodać do

niej powikłania okołoporodowe i poporodowe oraz koszty związane z urodzeniem wcześniaków i inne zabiegi ginekologiczne. Podczas gdy przodujące w kategorii niepłodności rozwinięte państwa finansują urodzenie jednego dziecka (z wykluczeniem przypadku wtórnej bezpłodności) i dwa do czterech zabiegów sztucznego zapłodnienia, w Izraelu kobiety mają prawo do posiadania dwójki dzieci urodzonych dzięki sztuczemu zapłodnieniu i do nieograniczonej liczby kosztownych zabiegów. Limit wieku dla sztucznego zapłodnienia jest wyjątkowo wysoki. Wynosi czterdzieści pięć lat dla zapłodnienia własną komórką jajową i pięćdziesiąt jeden dla zapłodnienia z wykorzystaniem obcych komórek jajowych.

Wśród pięćdziesięciu dwóch krajów akceptujących *in vitro* w 2006 roku to Izrael miał największą liczbę placówek stosujących sztuczne zapłodnienie[236]. Tylko w Tel Awiwie jest ich pięć, a w całym kraju działa dziesięć placówek specjalizujących się w tej dziedzinie.

Licząca się w świecie medycznym publikacja *Andrology for the Clinician*, wydana przez niemieckie wydawnictwo Springer Verlag, poleca izraelską metodę leczenia męskiej niepłodności Gat Goren, wynalezioną przez lekarzy Yigala Gata i Menachema Gorena jako wyjątkowo skuteczną.

Winna bycia kobietą

Mimo ustawowego zakazu molestowania seksualnego w miejscu pracy skandale z tego powodu są częstym tematem głównego wydania wiadomości telewizyjnych, a czasami dotyczą nawet osób piastujących najwyższe stanowiska w państwie. O molestowanie seksualne zostali oskarżeni: Icchak Mordechaj, w latach 1996-1999 pełniący funkcje ministra obrony, a także ministra transportu (1999-2000) w rządzie Beniamina Netanjahu (wyrok w zawieszeniu na osiemnaście miesięcy) oraz Chaim Ramon - minister zdrowia (1992-1994) w rządzie Icchaka Rabina, minister spraw wewnętrznych (1995-1996) w rządzie Szymona Peresa i minister sprawiedliwości (4 maja-22 sierpnia 2006) w rządzie Ehuda Olmerta - któremu złagodzano karę i zmieniono kwalifikację czynu z przestępstwa na tle seksualnym na dopuszczenie się niegodnego czynu, za co otrzymał karę stu dwudziestu godzin robót publicznych i grzywnę w wysokości piętnastu tysięcy szekli. Prezydent Mosze Kacaw, skazany na siedem lat więzienia za dwukrotny gwałt i molestowanie seksualne podległych mu w pracy kobiet, otrzymał od dziesiątków niewierzących w jego winę rabinów i osobistości stojących na czele jesziw, w tym od liderów życia duchowego, takich jak Cwi Israel Tau czy Szlomo Awiner, list[237] z wyrazami solidarności i współczucia. Wielu innych rabinów i działaczy religijnych, w tym Jakub Ariel, Aharon Lichtenstein, Uri Orbach, Isaac Herzog,

zaprotestowało przeciw opublikowanemu poparciu dla Kacawa[238]. „Dzisiaj odprowadza się na stracenie człowieka. Nigdy nie skrzywdziłem żadnego człowieka” - takie były ostatnie na wolności słowa[239] byłego prezydenta Izraela, umieszczonego w więzieniu Ramle, na oddziale dla religijnych Żydów o złagodzonych warunkach odbywania kary, gdzie można studiować Torę[240].

Z przedstawionego w Knesecie (22 stycznia 2012 roku) raportu posłanki Zahawy Gal-On wynika, że co siódma kobieta pada ofiarą przemocy. W ostatnich ośmiu latach z rąk partnerów zginęły sto dwie kobiety, przy czym aż dwudziestu jeden zabójców należało do grupy Żydów etiopskich[241]. Tłumaczy się to trudną emocjonalnie i ekonomicznie sytuacją emigrantów z Etiopii. Mężczyźni, którzy w Etiopii byli niekwestionowanymi przywódcami rodziny i utrzymywali ją z pracy na roli, w Izraelu nagle utracili swój autorytet i pozycję jedynych żywicieli. Bez zawodu i języka stali się zależni od swych żon, zwykle pracujących fizycznie w zakładach przemysłowych lub jako pomoce domowe czy pakowaczki w supermarketach, oraz od synów - często lepiej od nich wykształconych i już zasymilowanych ze społeczeństwem izraelskim.

Religia a emancypacja

Mimo wykształcenia, praktycznych kwalifikacji i ambicji, a także ustawy o równouprawnieniu kobiet i mężczyzn w prawie do pracy Izraelki na tym samym co mężczyźni stanowisku zarabiają o siedemnaście procent mniej[242]. W izraelskiej prasie często pojawiają się wypowiedzi przywódców duchowych środowisk ultraortodoksyjnych na temat „negatywnego wpływu wykształcenia na kobiety” i wynikającego stąd żądania, aby nauka dziewcząt kończyła się po ósmej klasie szkoły podstawowej. Część *charedim* daje im posłuch, ale w społeczności świeckiej wzrasta liczba kobiet kończących studia wyższe. Studiujący Torę w szkołach religijnych żonaci mężczyźni otrzymują od państwa dotację aż do sześćdziesiątego piątego roku życia, kobiety - do trzydziestego, przy czym suma otrzymywana przez mężczyzn czterokrotnie przewyższa tę otrzymywaną przez kobiety.

Dyskryminacja słabej płci znajduje szczególny wyraz w sądach rabinackich rozpatrujących na podstawie halachy sprawy rodziny. Kobieta, podobnie jak osoba umyślowo chora, nie może być w sądzie świadkiem. Bez zgody męża żonie bardzo trudno jest otrzymać religijny rozwód nawet wtedy, gdy mąż ją zdradza, maltretuje i zagraża jej życiu. Kobieta może jednak odmówić przyjęcia *get* i przejścia przez nieprzyjemną ceremonię jego wręczenia, a zmuszenie jej do tego może się okazać bardzo skomplikowane. Wbrew

obiegowym opiniom o dyskryminacji kobiet w procesie rozwodowym w sądach rabinackich zdarzają się lata, kiedy więcej kobiet niż mężczyzn odmawia rozwodu, chociaż po rozwodzie małżonek bardzo często zobowiązany jest płacić alimenty na rzecz nie tylko dzieci, ale także byłej żony[243].

Bardzo trudną sytuację mają *agunot*, kobiety, które pozostają w związku małżeńskim tylko formalnie, ponieważ mąż odmówił zgody na rozwód, jest chory psychicznie, wpadł w śpiączkę, opuścił żonę na długie lata, zaginął i nie został uznany za zmarłego. Jak wynika ze sprawozdania sądu rabinackiego, zaledwie cztery procent z tysiąca pozwów o nieuzasadnione odmawianie przez męża rozwodu, wniesionych w jednym tylko, 2009, roku, zostało rozpatrzonych pozytywnie dla kobiet.

Procedura rozwodowa jest przykrą i dyskryminującą kobiety ceremonią. To samo można powiedzieć o *chalice*, ceremonii uwolnienia wdowy po bracie, który zmarł bezdzietnie. Odbywa się ona wtedy, gdy szwagier wzbrania się przed małżeństwem z wdową (małżeństwo lewirackie). Aby obie strony mogły się uwolnić od tego zobowiązania, wdowa musi podejść do szwagra, z jego prawej nogi zdjąć but, odrzucić go precz, napluć szwagrowi w twarz i wypowiedzieć zdanie: „Tak się postępuje z człowiekiem, który nie chce odbudować domu swego brata”.

„Głos kobiety jest jak jej srom”

W społeczności ultraortodoksyjnej Żydówki są zobowiązane dochować tylko trzech przekazów: oczyszczenia się w mykwie po menstruacji, zapalenia świec szabatowych i wypowiedzenia nad nimi błogosławieństwa oraz dzielenia sobotniej chały. W synagogach zajmują oddzielne, poślednie miejsce, nie mogą w nich czytać *Tory*, nie wolno im jej także studiować, a więc i pretendować do godności rabina[244], nie mają prawa być kantorem rytualnym. Mężczyznom nie wolno siedzieć koło kobiet, patrzeć na nie czy podawać im ręki, choćby na powitanie; surowo zabronione jest również słuchanie kobiecego śpiewu, gdyż, jak mówią święte księgi, „głos kobiety jest jak jej srom” - może budzić erotyczne skojarzenia. Zakazu tego skrupulatnie przestrzegają wszyscy Żydzi religijni, nie tylko *charedim*, ponieważ ortodoksyjni rabini twierdzą, że jest to prawo boskie. Przyjemność słuchania kobiecego śpiewu była podobno jedynym grzechem sławnego rabina-cadyka Menahema Mendla z Kocka, dziewiętnastowiecznego założyciela chasydyzmu kockiego, o którym w Izraelu po dziś dzień opowiadana jest następująca przypowieść:

Cadyk czytał nieznośnie mądre księgi i przez dwadzieścia cztery godziny na dobę nad

tymi księgami rozmyślał. To już nawet nie był człowiek, to była sama wzniosła myśl... I otóż święty, wzniosły cadyk zwierzył się przed śmiercią ukochanemu uczniowi, że przez całe swoje ponure życie ciężko grzeszył: słuchał kobiecego śpiewu. W jego pokoju stał zegar, dzieło nieszczęśliwego zegarmistrza z Proskurowa. Zegarmistrzowi umarła narzeczona, młoda i piękna, i zrozpaczony zaklął w biciu zegara jej głos. Dźwięk był tak cudowny, że cadyk nie mógł go nie słuchać. Wiedział, że to grzech, bo powinien był siedzieć i rozmyślać nad prawdą, ale podchodził do zegara i sprawdzał, czy się przypadkiem nie śpieszy albo czy się nie spóźnia odrobinę. Poprawiał wskazówkę, zegar zaczynał bić i zaczynała z nim rozmawiać piękna i smutna kobieta. - Ona mówiła mi o miłości i o smutku - zwierzał się ukochanemu uczniowi. - Mówiła o gwiazdach i kwiatach, o mojej martwej wiosnie i pełnej życia wiosnie zwariowanego zegarmistrza, w której śpiewają ptaki i w której szemrze deszcz[245].

Współczesny rabin Owadia Josef uważa, że głosu piosenkarki nie powinno się słuchać nawet po jej śmierci, bo może on wzbudzić nieczyste myśli. Taki stosunek do śpiewu wyklucza kobiety z aspirowania do zawodu piosenkarki, a nawet nie pozwala im na przyjemność śpiewania dla samych siebie. W izraelskim wojsku do dziś trwa dyskusja nad tym, czy religijni żołnierze po otrzymaniu wyraźnego rozkazu uczestnictwa w oficjalnej uroczystości, podczas której na scenie śpiewają kobiety, mają prawo do samowolnego opuszczenia sali z powodu nakazu religijnego. Dylemat, kto jest dla żołnierzy ważniejszy - dowódca wojskowy czy ich rabin, to w Izraelu nie tylko zagadnienie teoretyczne. Nadal zresztą nie znalazło ono zadowalającego wszystkich rozstrzygnięcia, podobnie jak pytanie o to, co z popularnymi damsko-męskimi grupami muzycznymi w izraelskim wojsku, z których wywodzi się większość współczesnych izraelskich piosenkarzy.

Rabin Szalom Awiner w wywiadzie dla „Srugim” - internetowej witryny religijnych syjonistów - oświadczył, że zabronione jest kobietom uczestniczenie w zajęciach, podczas których w kobiecych grupach ćwiczy się zumbę, taniec latynoamerykański z elementami aerobiku, ponieważ jest on „nieskromny w ruchach”[246].

Zgodnie z twierdzeniami rabinów sam fakt bliskości kobiety czy oglądania jej wizerunku może doprowadzić mężczyznę do „złych myśli”. W miejscowościach, gdzie mieszkają *charedim*, a zwłaszcza w Jerozolimie i Bnei Braku, zniknęły z reklam wszystkie kobiety. Wszędzie tam, gdzie Żydzi religijni mają wpływy lub stanowią większość, plakaty z aktorkami, piosenkarkami czy modelkami, nawet ubranymi bardzo skromnie, nie mogą wisieć w miejscach publicznych. Zdarzają się akcje ich zrywania albo bojkotowania produktów reklamowanych przez kobiety. Agencje reklamowe z myślą o Żydach ultraortodoksyjnych

przygotowują specjalne wersje „skromnych plakatów”, na których mogą figurować jedynie mężczyźni.

W niektórych ultraortodoksyjnych dzielnicach czy miastach podział na strefy dla kobiet i mężczyzn obowiązuje w autobusach (przejazd takimi autobusami jest tańszy), a nawet na chodnikach dla pieszych. Zasada segregacji płciowej jest też przestrzegana w sklepach, supermarketach, przychodniach lekarskich, urzędach (odrębne wejście dla kobiet i mężczyzn, podział wewnętrzny budynków, specjalne dni wyłącznie dla kobiet i wyłącznie dla mężczyzn).

Akty słownego ubliżania w miejscach publicznych kobietom niestosującym się do praw ultraortodoksyjnych z roku na rok są coraz częstsze, i to nie tylko w dzielnicach religijnych. Latem 2012 roku w Muzeum Izraela w Jerozolimie, przy okazji wystawy o *charedim*, z myślą o nich w niektóre dni tygodnia wyznaczono osobne dla kobiet i mężczyzn godziny zwiedzania. Działacze społeczni z Jerozolimy w 2012 roku skierowali do Sądu Najwyższego petycję w sprawie zapobiegania umieszczaniu ogrodzeń oddzielających mężczyzn od kobiet w przestrzeni publicznej dzielnicy Mea Szearim. Jak twierdzą: „podział na strefy dla mężczyzn i kobiet na ulicach dzielnicy uwłacza godności ludzkiej, narusza prawo do wolności i równości, prawo własności i swobody przemieszczania się”[247].

A spór znawców *Talmudu* próbujących orzec, z jakiej części ciała Adama powstała kobieta: z ogona, twarzy czy żebra, pozostaje nadal nierozstrzygnięty. Na wszelki jednak wypadek każdego ranka każdy pobożny Żyd zobowiązany jest odmówić poranną modlitwę błogosławiącą Boga za to, że „nie stworzył go kobietą”[248].

Gej po hebrajsku brzmi dumnie

Na ciężarówce obwieszanej różowo-białymi balonami, pod transparentem: *Anachnu gejim!*, „Jesteśmy homoseksualistami”, ale też „Jesteśmy dumni” (gra słów: angielskie *gay* zostało zastąpione podobnym fonetycznie hebrajskim *gejim* - dumni), zmysłowo tańczyli prawie nadzy mężczyźni w kolorowych, błyszczących spodenkach ciasno przylegających do ciała; dwie dziewczyny w barwnym tłumie młodych ludzi, ubrane w kuse spodenki i identyczne białe podkoszulki ze śmiałym dekoltem, potrząsały podniesionymi rękoma skutymi różowymi kajdankami; transwestyta w ostrym makijażu, niebieskiej sukience z cekinami i wysokich białych butach na koturnach wymachiwał wielobarwną flagą gejów; pies rasy bokser, w girlandzie fioletowych piórek rażno kroczył obok przebranego za kowboja chłopaka w srebrnym kapeluszu i obcisłych dżinsach; para młodych mężczyzn w skórzanych, sznurowanych po bokach spodenkach, namiętnie całowała się przy wtórze wiwatów dziesiątków głosów.

Muzyka, grana „na żywo” przez najlepszych izraelskich wykonawców, słyszalna była w całym Tel Awiwie. Sławny DJ z Berlina, mokry od potu, podskakiwał rytmicznie ze słuchawkami na uszach. Przez megafon obwieszczano, że tańczy już cała plaża Hilton, na której tradycyjnie spotykają się homoseksualiści, jak na ironię, sąsiadująca z plażą dla Żydów ultraortodoksyjnych przestrzegających zasady separacji kobiet od mężczyzn.

Objęte pary, kuse bikini, nagie torsy, na wpół obnażone piersi i orgia jaskrawych kolorów - wszystko to sprawiło, że w piątkowy poranek przed szabatem na Paradzie Miłości w Tel Awiwie w 2011 roku było gorąco i z przyjemnością przyjmowano strumienie zimnej wody ze strażackich sikawek, którą seksowne dziewczyny w bikini polewały przechodniów. Gdyby w tamtej chwili ktoś wszedł ze swojego iPhone'a na „Atraf”, najbardziej popularną witrynę izraelskich homoseksualistów, gdzie można śledzić wyrażoną online gotowość do udziału w „romantycznym spotkaniu” oraz miejsce aktualnego pobytu członków witryny, przekonałby się, jak gęsto mapa centrum Tel Awiwu jest usiana nakładającymi się na siebie pulsującymi punkcikami w czerwonym, przynaglającym kolorze, zgrupowanymi na kilku przylegających do siebie telawiwskich ulicach. To tu stutysięczny tłum turystów i Izraelczyków - homoseksualnych i heteroseksualnych - uczestniczył w Paradzie Miłości inaugurującej Tydzień Gejim w Izraelu. A jeszcze bardziej zaskoczyłby go widok

wyróżniającej się skromniejszym wyglądem grupy gejów religijnych noszących na głowie kipy - znak pobożności - którzy w 2011 roku, po raz pierwszy jawnie, tańczyli pod plakatem organizacji religijnej społeczności gejowskiej HOD[249], mającej swojego rabina i nawet witrynę internetową: hod.org.il., z informacją, że „stu ortodoksyjnych rabinów popiera ruch religijnych gejów”.

Przez długi czas myślałam, że w kraju, gdzie jeden z poważanych rabinów, David Bacri, twierdzi, iż homoseksualiści to „ludzie dumni ze swej obrzydliwości, którym szatan wszedł do głowy”[250], nie można być zarazem homoseksualistą i praktykującym Żydem. Były minister zdrowia i pracy Szlomo Benizri, członek parlamentu z ramienia partii Szas (ultraortodoksja sefardyjska) twierdził najzupełniej poważnie, że powodem trzęsień ziemi są... homoseksualiści[251]. Benizri nie jest osamotniony w swych poglądach. Inny członek parlamentu z tej samej partii Nisim Zeew oświadczył, że „homoseksualiści są gorsi od bydła”[252], a znany izraelski piosenkarz Ariel Zilber nazwał ich „zbozczeńcami”[253].

Pamiętałam swoją rozmowę z Lior, psychologką i matką kolegi mojego syna, Maćka, która opowiadała mi o chłopaku z ortodoksyjnej rodziny przychodzącym do niej na konsultacje do ośrodka „Aguda”, gdzie jako wolontariuszka pracowała z młodzieżą LGBT (Lesbians, Gays, Bisexuals, Transgenders). Chłopak spotykał się z nią w sekrecie przed swoją rodziną. Nikt w jego środowisku nie miał pojęcia, z jakimi dylematami musi się on codziennie zmagać i jak bardzo czuje się osamotniony i bliski załamania psychicznego. Zbliżał się do okresu dorosłości, a wraz z tym perspektywy ożenku i spłodzenia dzieci. On jednak czuł wyraźny pociąg seksualny do kolegów z jesziwy. Wydawało mu się, że był jedynym gejem noszącym kipę i czuł się odmieńcem. W konsekwencji poważnych rozterek emocjonalnych zaciągnął się do wojska i ukończył kurs oficerski tylko po to, by zyskać na czasie i znaleźć wśród świeckich żołnierzy kogoś podobnego do siebie.

Parada Miłości

Czerwcową paradą w 2011 roku w Tel Awiwie, mającą szerokie poparcie i budżet z Urzędu Miasta, największą do tej pory, nie była pierwsza - w tym najbardziej tolerancyjnym mieście Izraela parady miłości odbywają się regularnie, począwszy od 1993 roku. Parada w Jerozolimie w 2005 roku, pierwsza, jaka się tam odbyła, choć uroczyste otwarta i pobłogosławiona przez Ejala Lewinsona, rabina homoseksualistę, nie przebiegała spokojnie. W tłum wbiegł *charedim*, który zranił nożem trzy osoby. Rok później, z powodu masowej antydemonstracji domagających się śmierci dla „hańbiących Żydów zwyrodnialców”, policja

ze względów bezpieczeństwa przeniosła paradę na zamknięty teren stadionu sportowego.

Do popularyzacji marszów miłości, a dzięki temu do skokowego wzrostu i aprobaty dla mniejszości seksualnych, szczególnie przyczyniła się izraelska transseksualistka pochodząca z jemeńskiej rodziny żydowskiej, Dana International, urodzona jako mężczyzna, Jaron Cohen, która w 1998 roku wygrała Konkurs Piosenki Eurowizji.

Ale homoseksualiści i lesbijki nadal mają zaciętych wrogów wśród Żydów ultraortodoksyjnych jawnie propagujących hasła nienawiści wobec ludzi, których nazywają „gorszymi od zwierząt”. Niezidentyfikowany mężczyzna w czarnym ubraniu i czarnej masce, który w 2009 roku w „Bar-Noar”, gejowskim klubie młodzieżowym w Tel Awiwie, otworzył ogień do spędzającej tam wieczór młodzieży, zabijając dwudziestosześcioletniego chłopaka i siedemnastoletnią dziewczynę oraz raniąc dziesiątki osób, w tym sześć ciężko (dwie zostały inwalidami na całe życie), należał, jak się przypuszcza, właśnie do tej społeczności. Nikt tego jednak nie udowodnił, a kiedy piszę ten tekst, morderca nadal cieszy się wolnością. Po zamachu, dzięki poparciu prezydenta Izraela Szymona Peresa, premiera rządu Beniamina Netanjahu, świeckich mediów i organizacji gejowskich z całego świata oraz masowym protestom Izraelczyków przeciwko tej zbrodni i dyskryminacji środowiska homoseksualnego, potroiła się liczba wolontariuszy pracujących na rzecz zrównania praw homoseksualistów.

Izrael - mekka homoseksualistów

Według sondażu Instytutu Smitha większość społeczeństwa izraelskiego opowiada się za legalizacją małżeństw tej samej płci. W przeciwieństwie do innych państw Bliskiego Wschodu, chociażby Iranu, gdzie za kontakty homoseksualne nadal grozi kara śmierci, Izrael wydaje się państwem wyjątkowo postępowym. Zgodnie z prawem nie tylko uznaje się rodzicielstwo par tej samej płci, a nawet umożliwia im adopcję dzieci, w tym także biologicznego dziecka partnera. Konkubinat dwóch osób tej samej płci został zalegalizowany już w 1994 roku.

Mimo to atmosfera gejowskich imprez publicznych organizowanych *dawka* (na przekór) w Jerozolimie, gdzie jest duża społeczność ortodoksyjna i ultraortodoksyjna, nie przypomina beztrudnej zabawy LGBT w Tel Awiwie. Tam jest ona raczej rodzajem manifestu skierowanego do *charedim*, głównych przeciwników związków homoseksualnych.

Udział homoseksualistów i lesbijek w całej izraelskiej populacji jest zbliżony do światowych standardów i wynosi jeden i pięć dziesiątych procent. W Tel Awiwie jednak, według szacunków Anat Nir organizującej parady gejowskie i kampanie reklamowe, aż

trzydzieści procent przyznaje się do orientacji homoseksualnej, co trzykrotnie przewyższa średnią w wielkich miastach świata (około dziesięciu procent) i dowodzi wyjątkowości Tel Awiwu uznanego w 2011 roku przez internetową społeczność gejowską za „najatrakcyjniejsze i najbardziej przyjazne miasto dla turystyki gejowskiej” na świecie.

Stosunek Tel Awiwu do gejów nie wynika wyłącznie z nadzwyczajnej tolerancji dla mniejszości seksualnych. Parady miłości to doskonały interes i efektywny sposób poprawy negatywnego wizerunku Izraela w oczach świata. Jak donoszą izraelska prasa i telewizja, w 2011 roku turyści przyjeżdżający na gejowski festiwal zostawili w Tel Awiwie siedem i pół miliona dolarów, podczas gdy wydatki na cele reklamowe i marketingowe wyniosły zaledwie trzysta pięćdziesiąt tysięcy[254]. A jednak, mimo dumnych haseł, klubów i barów gejowskich, prawnej ochrony przed dyskryminacją, możliwości odbycia służby wojskowej, a nawet zrobienia w wojsku kariery, bycie gejem, jak na podstawie rozmów z młodymi ludźmi twierdzi Lior, w praktyce codziennego życia związane jest z doświadczaniem homofobii, dyskryminacji w miejscu pracy, problemów z zawarciem związku małżeńskiego, z prawami rodzicielskimi oraz przejawów nieakceptacji, a nawet wykluczenia w ultraortodoksyjnym środowisku żydowskim, gdzie związki seksualne, które nie służą prokreacji, sprzeciwiają się religii i Bogu.

Rabin homoseksualista

Na plaży Tel Baruch w Tel Awiwie w zachodzącym słońcu stała grupa ludzi. Głowy krótko ostrzyżone, jak każe tradycja, przykryte kipami, mieszały się z farbowanymi na platynowo czuprynami postawionymi na sztorc oraz z czerwonymi grzywkami niedbale opadającymi na oczy. Eleganckim koszulom rozpiętym na piersi towarzyszyły jedwabne sukienki. Oczy wszystkich skierowane były na zgrabną blondynkę w mokrej sukni, z kwiatem wpiętym we włosy, stojącą w morzu oraz na trzymającego ją za rękę chłopaka. Dziewczyna zanurzyła się w wodzie na znak konwersji na judaizm. Z obcym akcentem odczytywała hebrajski tekst o tym, jak poznała Izraelczyka, tancerza, z którym występowała na scenie rodzinnego miasta w Norwegii i za którego zamierzała wyjść za mąż, a teraz wobec jego rodziny i przyjaciół deklarowała chęć zostania żydówką i tłumaczyła, co dla niej oznacza judaizm. Zarówno ona, jak i jej partner, trzymający w ręku kieliszki z winem i wspólnie odmawiający modlitwę, byli bardzo wzruszeni.

Konwersji Norweżki na judaizm dokonał postawny mężczyzna z niewielką jasnoszarą kipą na głowie, modnie ubrany w białe spodnie i lnianą koszulę - Ejał Lewinson,

homoseksualny rabin, doktor judaizmu, który, w proteście wobec noszących kipę osadników żydowskich należących do odłamu religijno-narodowego dyskryminującego Palestyńczyków, w Izraelu jarmułkę zakładał tylko w wyjątkowych sytuacjach, za to stale ją nosił, kiedy był za granicą.

Widziałam Ejala spacerującego po parku w Giwatajim. Nie orientowałam się, kim jest. Dla mnie był właścicielem dwóch psów, wilczurów, których bała się moja Luna. Zatrzymywałam się w dużej od niego odległości i czekałam, aż przejdzie. Budził we mnie sympatię. Typ Europejczyka o jasnych włosach i oczach, niedźwiedziowaty, jak go określałam, ale nie z gatunku misiów z oberwanym uszkiem, które stale trzeba przyszywać, lecz silny, a jednocześnie miękki, wrażliwy i ciepły mężczyzna. Nigdy bym nie przypuszczała, że jest rabinem, homoseksualistą i przyjacielem znanej mi pisarki Jael Neeman. Kiedy zostałam umówiona na wywiad z rabinem Lewinsonem, akurat jego nie spodziewałabym się zobaczyć. Okazał się bardzo miły. Luna też to wyczuła, bo kiedy usiedliśmy na ławce, wdrapała mu się na kolana i nawet na nich zasnęła.

Ejal Lewinson od dziewiątego roku życia mieszkał na północy w kibucu Jechiam. Opuścił go w wieku siedemnastu lat i zamieszkał u kolegi w Riszon Le Syjon niedaleko Tel Awiwu. Po odbyciu służby wojskowej wraz ze swoim partnerem Szlomem wyjechał do Brazylii i Australii. Przeżyli razem „piętnaście szczęśliwych lat”, aż do śmierci Szloma na AIDS. W czasie choroby opiekował się nim Ejal, ponieważ rodzina wyrzekła się go z powodu skłonności homoseksualnych. Po tym dramatycznym doświadczeniu Ejal dokonał *chazara be'tszuwa* - stał się Żydem religijnym wyznającym nowoczesną odmianę judaizmu reformowanego - jedyne odpowiadające jego przekonaniom i preferencjom seksualnym oraz rozpoczął naukę rabiniczną. Dwa miesiące po samotnym powrocie do Izraela spotkał drugą miłość swojego życia - profesora muzyki, Amnona. Wyjechał wraz z nim do Nowego Jorku i tam rozpoczął studia doktoranckie o tematyce judaistycznej. Przerwał studia, aby adoptować wspólnie z partnerem jego niepełnoletniego bratanka Liwaja, który po śmierci matki potrzebował rodziny. Dzięki poparciu Urzędu Miasta Giwatajim oraz pozytywnej opinii pracownicy socjalnej, ultraortodoksyjnej Żydówki (!), w ciągu pół roku bez większych problemów oficjalnie przyznano Ejalowi i Amnonowi, od piętnastu lat tworzącym rodzinę, opiekę prawną nad chłopcem.

Może dlatego, kiedy go spytałam o dyskryminację homoseksualistów w Izraelu, odpowiedział mi: „W tym kraju niebezpieczniej jest mieć propalestyńskie poglądy, niż być homoseksualistą”. Ejal pewnie wie, co mówi, ponieważ jest aktywnym członkiem lewicowej organizacji.

Ejal i Amnon wynajęli dom z ogrodem w Abirim, na północy kraju, w miejscowości zamieszkałej przez pięćdziesiąt rodzin. Ejal pełni w niej funkcję rabina, organizuje spotkania z młodzieżą zainteresowaną pogłębianiem wiedzy o judaizmie, urządza pogadanki z młodzieżą w kibucach, zgodnie z wieloletnią tradycją przygotowuje u siebie szabasowy wieczór i odprawia wspólnie z licznymi zaproszonymi gośćmi ceremonię uświęcającą szabat poprzez modlitwę nad kielichem wina, zapalenie świeczek, łamanie się świątecznym pieczywem - chałą. W każdy piątek w domu Ejala i Amnona śpiewa się, gra na instrumentach i przede wszystkim „czuje się wzajemną bliskość, przynależność i ciepło rodzinne”.

Rabin Lewinson twierdzi, że „jego judaizm przyjmuje wszystkich”. „Wystarczy chcieć, aby być żydem. Nie trzeba nawet praktykować zasad *Talmudu*, *Midraszu* czy innych religijnych ksiąg”. Każdy indywidualnie decyduje, jakim żydem chce być i z jaką intensywnością praktykować judaizm, z kim być w związku. Według Lewinsona, wiara, religia żydowska, państwo Izrael i polityka to odrębne kategorie, a problem dychotomii *chilonim* i *charedim* nie istnieje, ponieważ „nie ma jednej, właściwej formuły judaistycznej”. Ten, kto z pieczołowitością dba o najmniejszy detal swojego ubrania, codziennie wypełnia nakazy rabinów czy chodzi do synagogi, w jego oczach wcale nie jest lepszym żydem od tego, kto zdecydował, że żydowskość w jego życiu ograniczać się będzie do pójścia raz w roku do synagogi. „Nie ma jednego wyznacznika żydowskości i jednego typu żyda. Judaizm ma wiele odcieni, ciągle się zmienia. Jest w nim również miejsce dla homoseksualistów i lesbijek”.

Zichron Ja'akow, Izrael '2011

Najsłynniejsze stylistki brytyjskie, Trinny i Susannah, podczas realizacji swojego programu telewizyjnego przypadkowo zatrzymały na ulicy Zichron Ja'akow[255] dwie kobiety. Ku ich zdziwieniu bez cienia wstydu czy żenady oświadczyły one przed kamerami telewizyjnymi, że są od dwudziestu lat w związku małżeńskim.

- Czy macie dzieci? - zapytała Trinny czy Susannah (dla mnie są one tak podobne osobowościowo, że z trudem je odróżniam) zaszokowana otwartością i „normalnością” oświadczenia kobiet.

- Czwórkę - odpowiedziały z dumą Izraelki, dodając - rodziłyśmy je na przemian, każda po dwójce.

Trinny i Susannah przyznały przed telewizyjnymi kamerami, że pierwszy raz ubierały parę lesbijek. Nie kryły zaskoczenia i podkreślały, że nie spodziewały się tego rodzaju

doświadczenia akurat w Izraelu. Ja nie widziałam w tej sytuacji niczego nadzwyczajnego. W Tel Awiwie żyje się i pracuje wśród homoseksualistów i lesbijek chętnie ujawniających swoje seksualne preferencje, co wynika z mody, która pojawiła się w ostatnich latach. Miłość do osób tej samej płci jest w środowisku metropolii telawiwskiej uważana za „fajną” i postępową, czyli cool lub *magniw*, jak mówi się w hebrajskim slangu. Taneczno-muzyczne imprezy gejowskie w telawiwskich klubach nocnych mają opinię najatrakcyjniejszych w mieście. Kawiarnie i puby przeznaczone dla gejów wypełnione są do ostatniego miejsca i trwa prawdziwie dobra passa dla tych występujących na estradach rozrywki, w radiu i telewizji.

Assi Azar, prezenter jednego z najpopularniejszych programów typu reality show *Ha'ach ha'gadol* (Wielki Brat) ujawnił swoje odmienne preferencje seksualne i opowiedział o reakcji rodziców, kiedy im się zwierzył, że jest homoseksualistą, w dokumentalnym filmie autobiograficznym *Ima we'aba, jesz li maszehu lesaper lachem* (Mamo i tato, mam wam coś do powiedzenia).

Inną medialną gwiazdą jest Awiad Kisu, gej, który każdego poranka towarzyszy jadącym do pracy Izraelczykom, dzieląc się z nimi w radiowym programie faktami z codziennego życia telawiwskiego homoseksualisty.

Znany z programu *Kochaw nolah* (odpowiednik polskiego *Idola*) Harel Skaat, reprezentujący Izrael w Konkursie Eurowizji w 2010 roku, preferuje miłość do mężczyzn i wypowiada się na ten temat publicznie, podobnie jak Iwri Lider, producent muzyczny, kompozytor muzyki filmowej i bożyszcze młodych Izraelczyków obu płci. Pierwsza płyta Skaata już w pierwszym tygodniu osiągnęła status złotej, a Lider (urodzony w 1974 roku) kilkakrotnie zdobył tytuł piosenkarza roku, mimo że niektórzy ultraortodoksyjni rabini zabraniają słuchania piosenkarzy homoseksualistów.

Jeden z kolegów mojego męża właśnie się rozwiódł, ponieważ żona odeszła od niego dla swojej przyjaciółki, a Awi Halewi[256], właściciel położonej w dzielnicy Bitzaron najlepszej w Tel Awiwie piekarni i nowo powstałej kawiarni „Lachmanina” (a także były spadochroniarz, rybak, stolarz, artysta i pracownik firmy high-tech), nagle po czterdzieście zafundował sobie zmianę płci i imienia (teraz ma na imię Nina). Wierna żona, która postanowiła z nim zostać, otrzymała nowe doświadczenie bycia... lesbijką.

W klasie czternastoletniej córki mieszkającego w centrum Tel Awiwu znajomego dziennikarza czwórka młodych ludzi ma rodziców tej samej płci i jest już para dziewcząt afiszująca się ze swoją faktyczną lub może wydumaną preferencją seksualną. Inni uczniowie, ich rodzice oraz nauczyciele przyjmują to bez negatywnych emocji.

- Jak się masz? - pyta swoją znajomą pięćdziesięcioletnią pani z Tel Awiwu.
- Miałam problem z synem, ale wszystko jest już dobrze.
- Co się stało?
- Odkryłam, że jest gejem.
- I co? Przestał nim być?
- Nie, ale okazało się, że jego narzeczony jest lekarzem.

W dzisiejszym Tel Awiwie dialog z dowcipu mógłby być częścią realnej rozmowy i nikt by się temu specjalnie nie dziwił.

At mekudeszet li

Dwie żony biblijnego Jakuba, cztery Dawida (a tym bardziej tysiąc żon króla Salomona[257]), należą do przeszłości także w roli wzoru do naśladowania, chociaż kilkanaście razy w roku Naczelny Rabinat Izraela[258] aprobuje powtórny związek małżeński mężczyzny nieposiadającego formalnej zgody poprzedniej żony[259] na rozwód. Zwykle postanowienie takie wydawane jest wtedy, gdy kobieta od dziesięciu lat niepłodna, nie zgadza się lub nie może przyjąć *get*[260], listu rozwodowego.

Wbrew poglądom rabina Gerszoma Ben Jehudy, który już setki lat temu opowiedział się za zniesieniem poligamii, od czasu do czasu, również wśród Żydów ultraortodoksyjnych, zdarzają się przypadki ślubów niekonwencjonalnych lub udzielanych na podstawie kontrowersyjnego aktu rozwodowego. W judaizmie dopuszczalne są trzy rodzaje usankcjonowanych religijnie obrzędów zaślubin: obdarowanie kobiety w obecności dwóch świadków pierścieniem lub innym cennym przedmiotem i wypowiedzenie ślubnej formuły: „Jesteś mi poświęcona tą obrączką zgodnie z wiarą Mojżesza i Izraela”[261]; podarowanie jej spisanego kontraktu ślubnego - *ketuby* - w którym mężczyzna zobowiązuje się do zapewnienia kobiecie jedzenia, ubrania, dachu nad głową i zaspokojenia potrzeb seksualnych; a także przez akt seksualny - *bija*, choć akurat do tej metody rabini odnoszą się zdecydowanie nieprzychylnie.

Zaślubiny mogą się odbyć mimo fizycznej nieobecności przyszłego męża, dzięki wysłannikowi z darem od narzeczonego przyjętym przez kobietę w obecności dwóch świadków. Taki rodzaj ślubu, zaakceptowany przez Sąd Rabinacki w Jerozolimie, został zawarty w 2004 roku pomiędzy Larysą Trimbobler, doktor filozofii z byłego ZSRR, i Yigalem Amirem, zabójcą premiera Izraela Icchaka Rabina odsiadującym w więzieniu karę dożywocia z zakazem wizyt.

Konwencjonalny, najbardziej znany i powszechnie stosowany obrzęd zawarcia związku małżeńskiego, składa się z dwóch oddzielnych, następujących bezpośrednio po sobie etapów - zaręczyn[262], czyli *kiduszin*, i zaślubin, czyli *nesuin*. Tradycyjnie odbywa w obecności świadków i rabina pod chupą, rodzajem baldachimu symbolizującego nowy dom, z obrączką wkładaną na palec panny młodej w momencie wypowiedzenia przez pana młodego formuły ślubnej. Nieodłączną częścią ceremonii jest odczytanie *ketuby*, kontraktu ślubnego,

wypicie łyku wina przez każde z pary młodych, rozbicie szkła i odmówienie błogosławieństw.

Ketuba jest spisaniem zobowiązaniem pana młodego do zapewnienia żonie: *szeera*, wyżywienia, w odpowiedniej ilości i jakości, *ksuta*, odzienia, i *onata*, zaspokojenia potrzeb seksualnych oraz zabezpieczenia finansowego na wypadek swojej śmierci czy rozwodu. Wszystko w obecności świadków pan młody potwierdza nie tylko własnym majątkiem, ale i majątkiem spadkobierców, wliczając w to „płaszcz z ramion zdjęty”. W kontrakcie ślubnym nie ma słowa o uczuciach. Miłość zamieniona zostaje na powinność, obowiązek i symboliczną ilość „srebrnych *zuzim*”, które można przeliczyć na współczesne szekle.

Koheni

Zaręczyny i zaślubiny mogą się odbyć w każdym miejscu i prawie w każdym czasie, z wyjątkiem sobót i świąt, ponieważ wtedy zabronione jest zawieranie jakichkolwiek transakcji i umów, a więc i ketuby. Żydzi uważają wtorek za najwłaściwszy do tego dzień tygodnia, bo to właśnie we wtorek w tygodniu stwarzania świata dwukrotnie użyte zostało sformowanie: „I wiedział Bóg, że to jest dobre”.

Nigdy nie zawiera się związków małżeńskich w okresie, kiedy Izrael „odlicza *omer*”, czyli przez czterdzieści dziewięć dni, od święta Paschy aż do Szawuot, Święta Urodzaju (od wyjścia z Egiptu do otrzymania *Tory*), z wyłączeniem jednego dnia - Lag ba'Omer, Święta Ognia upamiętniającego śmierć na skutek zarazy w II wieku p.n.e. dwudziestu czterech tysięcy uczniów słynącego z mądrości rabina Akiwy.

Szczególne przepisy religijne obowiązują tych, którzy noszą nazwisko Kohen, jedno z najpowszechniejszych nazwisk żydowskich. Ich genealogia jest skrupulatnie zapisywana i zwykle znana przez wiele pokoleń; także dziś muszą zachować czystość rodu - nie mogą wziąć za żonę rozwódki, konwertytki czy wdowy lewirackiej[263].

Wywodzą się z prestiżowego królewskiego rodu Aarona, brata Mojżesza, i należą do historycznej kasty kapłanów. Przynależność do rodu kapłańskiego dziedziczona jest w linii męskiej, a nie w żeńskiej jak żydowskość. W czasach istnienia Świątyni Jerozolimskiej (od X wieku p.n.e. do roku 70 n.e.) naczelnik rodu Kohenów mógł zostać królem Izraela albo być *Kohen ha'Gadol*, arcykapłanem, jedynym, który po siedmiodniowym poście, rytualnej kąpieli, ubrany w specjalne szaty przepasane długim pasem z dwunastu szlachetnymi kamieniami symbolizującymi dwanaście plemion Izraela, raz w roku, w święto Jom Kippur, wchodził w Świątyni do Miejsca Najświętszego z Najświętszych - Arki Przymierza. Musiał to

czynić z czystą myślą, by godnie rozmawiać z Bogiem i móc prosić Go o wybaczenie grzechów własnych i narodu. Podobno, gdyby ośmielił się pomyśleć o czymkolwiek innym poza modlitwą, padłby martwy, a jego ciało zostałoby, właśnie za ten długi pas, wyciągnięte z Arki Przymierza.

Kohenom zabronione jest przekraczanie bramy cmentarnej (niektórzy Koheni nie latają samolotami z obawy przed złamaniem tego zakazu w chwili przelotu nad cmentarzami) i uczestniczenie w pogrzebach, nawet własnych rodziców, a także odprawianie siedmiu tradycyjnych dni żałoby. Mają oni zapewniony zaszczyt pierwszego czytania *Tory* w synagodze. Co roku uczestniczą w *birkat ha'kohanim*, błogosławieństwie kapłańskim - najbardziej mistycznej i doniosłej modlitwie żydowskiej, w której Koheni stojący boso ze wzniesionymi w rytualny sposób rękami pośredniczą w przekazaniu światu przebaczenia grzechów przez samego Boga i w pomaganiu ludziom w zrozumieniu sensu gnębiących ich koszmarów sennych.

Śluby cywilne

Religijne śluby żydowskie, muzułmańskie, druzyjskie czy katolickie uznawane są przez izraelski system prawny za ważne ceremonie ślubne. Nie ma natomiast instytucji ślubów cywilnych, choć w kancelariach adwokackich podpisuje się umowy cywilne podobne do kontraktów ślubnych i uznawany jest przez prawo związek konkubencki (na podobnych zasadach jak małżeński). Jediną możliwością zawarcia ślubu cywilnego jest dla Izraelczyków zarejestrowanie związku małżeńskiego w jakimkolwiek legalnym urzędzie stanu cywilnego za granicą.

Po ostatniej masowej emigracji z dawnego ZSRR opartej na tak zwanej klauzuli wnuka tysiące par nie może się pobrać według obrządku judaistycznego, ponieważ ci emigranci nie są uważani przez Naczelnego Rabinat Izraela za Żydów. Dużą popularnością cieszą się zatem matrymonialne wycieczki do państw europejskich w celu zalegalizowania związku małżeńskiego. Wystarczy wejść do internetu, by odkryć, że wiele izraelskich biur podróży ma w swych propozycjach pakiety ślubne gwarantujące przelot, pobyt w hotelu, załatwienie formalności, ceremonię zaślubin i uroczystą kolację z szampanem. Najpopularniejszym miejscem ślubów jest Cypr, gdzie w podmiejskiej dzielnicy Larnaka codziennie od kilku do kilkunastu par izraelskich zawiera związek małżeński podczas ceremonii prowadzonej w języku angielskim lub rosyjskim.

W ostatnich latach coraz częściej młodzi Żydzi świeccy biorą ślub przed liberalnym

rabinem judaizmu reformowanego. Ślub taki nie jest wprawdzie uznawany przez rabinat, ale daje poczucie ważności obrzędu, który jest wpisany w tradycję judaistyczną, bez konieczności wypełnienia przedślubnych drobiazgowych nakazów religijnych, takich chociażby jak ablucje w rytualnej łaźni, „gorsze niż senny koszmar”, jak twierdzi moja znajoma, świecka Żydówka.

Żydzi pochodzący z różnych krajów świata przez tysiące lat diaspory wzbogacili swoje obrzędy elementami należącymi do świata, w którym przyszło im żyć. To, co sefardyjczykom wydaje się standardowym obrządkiem zaślubin, dla aszkenazyjczyków może być oryginalną czy wręcz egzotyczną ceremonią. Porządek i zwyczaje ślubne społeczności ortodoksyjnej, szczególnie zaś *charedim*, nie są wśród świeckich Izraelczyków za dobrze znane. Żydowski ślub w Izraelu, w zależności od pochodzenia młodej pary i stopnia jej pobożności, może oznaczać ceremonie całkowicie różne, co zostało odzwierciedlone w popularnym w kręgach ortodoksyjnych dowcipie:

Czym różnią się śluby ortodoksyjne od tradycyjnych, reformowanych i świeckich?

Na ortodoksyjnym w ciąży jest matka panny młodej (wychodzi się za mąż bardzo młodo i wciąż rodzi dzieci), na tradycyjnym panna młoda (nie przestrzega się prawa nakazującego zachowanie dziewictwa aż do ślubu), na reformowanym - rabin (rabinem judaizmu reformowanego może zostać kobieta), a po świeckim nadal jest się bez ślubu.

Zaręczyny jak w bajce z tysiąca i jednej nocy

Jak głoszą babcine opowieści, w dawnych czasach zdarzało się, że niejeden pan młody, odsłaniając już po ślubie twarz swojej oblubienicy, nie mógł dopatrzeć się w jej rysach niczego, co przypominałoby mu jego narzeczoną (historia wydaje się komuś znajoma?). Aby nie stać się ofiarą podstępu i podmiany kobiety, z którą miało się żyć w stadle małżeńskim, Żydzi pochodzący z krajów arabskich, głównie zaś z Maroka i Jemenu, przejęli od ludów, wśród których mieszkali, zwyczaj *chena*[264] polegający na uroczystym naznaczeniu dłoni i stóp narzeczonej niezmywalną przez jakiś czas henną. Współcześnie ceremonia ta nadal jest praktykowana. Kiedyś odprawiano ją tydzień przed ślubem, a dziś w przeddzień ślubu.

Przyjaciółki przyszłej panny młodej, tańcząc i śpiewając, odprowadzają ją do mykwy, a po rytualnej kąpieli, posileniu się tradycyjnymi ciasteczkami marokańskimi i słodkimi napojami z miętą, odprowadzają do domu rodziców lub specjalnej sali przyjęć, gdzie odbywa się nałożenie henny. Jak chce tradycja, miejsce to jest tak udekorowane, by przypominało oświetlony pochodniami wschodni pałac albo namiot sułtana pełen atlasowych poduszek

rozsypanych na kolorowych dywanach, taboretów ozdobionych masą perłową, glinianych dzbanów, srebrnych pater, spiętych gęsto plecionymi sznurkami nargili z kolorowego szkła ze srebrnymi ustnikami i wiklinowych koszy z kwiatami.

Goście i młoda para oglądają pokazy tańca brzucha w wykonaniu tancerek o bujnych kształtach, ubranych w przezroczyste muślinowe szaty naszywane perłami, i słuchają arabskich pieśni w wykonaniu śpiewaka, który stosuje specjalną technikę uciskania policzków drewnianą kostką umieszczoną pod językiem, aby uzyskać przeciąganie dźwięków dające efekt nosowego łkania. Przez cały wieczór przygrywa zespół muzyczny złożony z lutni, gitary, tamburynu i bębnów.

Para narzeczonych siedzi na przypominającym tron królewski krzesło nakrytym błyszczącymi tkaninami. Przyszła panna młoda ubrana jest w tradycyjny odświętny strój marokańskich lub jemeńskich Żydów: długą czerwoną suknię w kształcie litery „T”, przetykaną złotą nitką, z nałożonym na nią rodzajem ciężkiego fartucha z masywnej srebrno-perłowej biżuterii symbolizującej jarzmo małżeństwa - trudne do udźwignięcia, a jednocześnie piękne i cenne. Szyję, oprócz kilkunastu wisiorów ze srebrnymi guzami, zdobi naszyjnik z liści ruty chroniący przed złym okiem (dawniej zawieszało się również dwa ząbki czosnku). Suknia nałożona jest na uszyte z tego samego materiału spodnie wykończone szerokim złoto-srebrnym pasem ozdobnym.

Głowę, na znak przyszłej płodności, okręca się białą pieluchą, na to nakłada się wysoką stożkową czapkę z dzwoneczkami po bokach, ze sznurkiem srebrnych monet i z czerwonymi kwiatami. Przy każdym ruchu narzeczonej pas srebrnych monet poruszających się nad jej czołem wydaje metaliczny dźwięk.

Na rękach pobrzękuje pięć szerokich srebrnych bransoletek, na każdy, najmniejszy nawet palec, nakłada się pierścionki przypominające o tym, że życie małżeńskie jest ciężkie i niewygodne, ale dodaje kobiecie uroku. Jedyłą nieokrytą materiałem czy biżuterią częścią ciała kobiety jest jej twarz z mocno umalowanymi oczyma, co wygląda tak, jakby umieszczono ją w cennej szkatułce lub zamknięto w ozdobnym futerale.

Siedzący obok narzeczony ubrany jest zwykle w błyszczącą szatę haftowaną w bogaty złoty wzór. Na głowie ma szkarłatny lub fioletowy fez, na szyi - ciężki srebrny wisior.

Goście również ubrani są w wypożyczone, ręcznie szyte, orientalne szaty i fezy lub czapki w kształcie trapezu ze sztucznymi czarnymi pejsami.

Starsze kobiety na znak radości wydają wysokie dźwięki - kul-lul-lu - wydobywane za pomocą szybkich ruchów języka, *cahalulim*, co przypomina jęk lub zawodzenie. Przy wtórze bębnów, piszczałek i oklasków tłumu gości rozpoczyna się ceremonia wręczenia młodej parze

prezentów od rodziców i teściów. Jest to przeważnie złota i srebrna biżuteria czy wartościowe przedmioty ze szlachetnych kruszców.

Ceremonia przypomina festyn folklorystyczny lub scenę z filmu o egzotycznych krajach. Jemeńskie Żydówki tańczą wokół młodej pary z płaskimi słomkowymi koszami pełnymi kwiatów, trzymanymi na głowach lub w ramionach, dudnią bębny, mężczyźni podrzucają młodych do góry, a starsze kobiety śpiewają dla nich pieśni ludowe. Goście na znak pomyślności, błogosławieństwa i szczęścia jedzą kuskus - rodzaj kaszy z twardej pszenicy gotowanej na parze, podawanej z dodatkiem warzyw: dynią, marchewką, cebulą i cukinią oraz z mięsem wołowym i baraniną; rybę w sosie pomidorowym pikantnie przyprawioną papryką; jemeńskie placuszki z ostrym sosem z papryki; *mufleta*; bakłażany nadziewane wołowiną w sosie warzywnym; gotowaną i pieczoną baraninę; drób panierowany w sezamie; *sigarim*, czyli ruloniki smażonego ciasta nadziewanego mięsem lub ziemniakami; orzechy, marcepany, migdały, marokańskie ciasteczka z miodem, kandyzowane owoce. I popijają wszystko słodką herbatą z miętą, podobnie jak podczas święta Mimuny.

Najbliższe krewne młodej pary, wyłącznie kobiety nierozwiedzione i niebędące wdowami, posiadające potomstwo, kładą gęstą masę z pokruszonych liści henny na dłonie i stopy przyszłej panny młodej, malując znaki płodności: trójkąty, trzy różnokolorowe kropki i kłosa zbóż odpędzające „złe oko”. Zielona henna w zetknięciu ze skórą zmienia kolor na czerwonawobrazowy, co oznacza przejście dziewczyny z okresu niewinności do okresu planowanego macierzyństwa. Na dłoniach krewnych i znajomych młodych zawiązuje się paski złotego materiału, które wraz ze znakiem henny na dłoniach zgromadzonych mają zobowiązywać do pomagania młodej parze, udzielania jej rad i wsparcia.

Żydzi wschodni na jedną niezwykłą noc przenoszą się do egzotycznych krajów pustyni, wielbłądów i serajów, w których mieszkali przed przyjazdem do Izraela. Gdy się na nich patrzy, trudno uwierzyć, że mogą mieć coś wspólnego z odseparowanym od kolorów, zmysłowości i kobiet światem chasydów czy izraelską współczesnością, w której zamiast bębnów, piszczałek i zawodzenia kobiet słucha się muzyki w rytmie bijącego serca odtwarzanej przez DJ-ów o ufarbowanych na blond włosach, w skórzanych kurtkach wkładanych na gołe ciało.

Wesele w telawiwskim stylu

Moja sąsiadka Dana zawsze myślała, że ma dużo czasu, żeby zrobić przerwę w karierze prawniczki, wyjść za mąż i urodzić dzieci. Lubiła telawiwskie życie w klubach,

przeciągające się do rana spotkania z przyjaciółmi i zmianę partnerów. Atrakcyjna blondynka z rodzaju tych, które pozwalają sobie na późne kolacje i paczkę lodów w gorsze dni, a i tak wyglądają „niczym milion dolarów”, jak się mówi w Izraelu, nagle z dnia na dzień, a właściwie noc, przestała mieć ochotę na hałas, dym z papierosów, rozmowy o niczym i zmieniające się twarze. Coraz częściej myślała o słodkim zapachu swojej półrocznej, trzeciej już, siostrzenicy. Nazajutrz zgodziła się na randkę z synem znajomej swojej matki, „poważnym, dobrze sytuowanym, odpowiedzialnym i przystojnym”. Nie dość jednak, że okazał się nudziarzem, to na dodatek pozwolił sobie nie zadzwonić do niej, co jej dało do myślenia.

W następnych miesiącach Dana spotykała się z wielu telawiwskimi kawalerami, sama nie pamięta z iloma, a wszyscy byli podobni do siebie - absolutnie nie nadawali się ani na mężów, ani na ojców. Najbardziej z tego okresu utkwiła jej w pamięci niezbyt oryginalna myśl: „Ciekawych i dobrych facetów, ktoś sprzątnął mi sprzed nosa. Kiedy to się stało?”.

Oren był do niej podobny. Prawnik, tak jak ona, robił karierę, znał najmodniejsze restauracje i dobre adresy sklepów w Nowym Jorku. Przez lata wzbraniał się przed związkiem z jedną kobietą. Ślub kojarzył mu się z dożywotnim wyrokiem. I pewnie nic nie zmieniłby w swoim życiu jeszcze przez kilka najbliższych lat, gdyby nie śmierć matki. Nagle poczuł się samotny. Zateśnił za własnym domem. Danę poznał lata temu na kursie oficerskim w wojsku. Byli wtedy parą, ale po kilku miesiącach się rozstali i tylko od czasu do czasu słyszał o niej od wspólnych znajomych podczas *miluim*, służby w rezerwie. Przyszła podczas szwary obchodzonej w rodzinnym domu Orena. Nadal mu się podobała. Przypominała mu matkę.

Po roku spotkań i kilku miesiącach wspólnego mieszkania Oren wynajął helikopter i polecił pilotowi, by latał nad plażą Gordon w Tel Awiwie. Kiedy leżąca na piasku Dana zauważyła transparent z napisem: „Wyjdiesz za mnie, Dana?”, gwałtownie usiadła i rozplakała się jak w romantycznych filmach, z których do tej pory lekceważąco się śmiała. Jeszcze tego samego dnia o diamentowym pierścieniu zaręczynowym dowiedziały się wszystkie koleżanki, kuzynki i ciotki, od dawna dręczące ją zniechęconym pytaniem o to, kiedy wyjdzie za męża. Teraz mogła im odpowiedzieć: za dwa, może trzy miesiące, najprawdopodobniej w Pradze, w zabytkowym ratuszu, tam gdzie odbył się ślub Miry, jej najlepszej koleżanki, takiej jak ona świeckiej Żydówki.

Minęło jednak osiem miesięcy i ślub odbył się w Tel Awiwie. Dana nigdy nie była religijna, podobnie jak jej rodzina, a nawet dziadkowie pochodzący z kibucu na północy kraju. Uważała się za postępową i liberalną. W wojsku była oficerem, miała raczej lewicowe poglądy - opowiadała się za państwem palestyńskim i deportacją *mitnachalim* z osiedli

beprawnie budowanych na Zachodnim Brzegu.

Nie chciała religijnego ślubu, modłów rabina i ceremonii, podczas której jej partner, nie pytając o zgodę, brał ją za żonę, publicznie zobowiązując się do wykonania paragrafów ustalonych w ketubie. Do tego dochodziła jeszcze sprawa zaświadczenia z mykwy. Rzecz nie w tym, że przynajmniej przez dwadzieścia minut należało dokładnie wymyć w deszczowej (koszernej) wodzie zmieszanej z bieżącą (trefną) każdy najmniejszy skrawek ciała, ale w poniżającym, w jej mniemaniu, podporządkowaniu się *mykwe jidine* - kontrolerce łaźniowej sprawdzającej całe ciało, zagląającej nawet do uszu i oceniającej czystość paznokci u rąk i nóg. Słyszała od koleżanek (sama w mykwie nigdy nie była), że *mykwe jidine* potrafi być tak gorliwa, żeby przez kilka sekund przytrzymać głowę kobiety pod wodą. A wszystko po to, by każdy włoszek został obmyty i wraz z ciałem kobiety przygotowany do fizycznego kontaktu z mężczyzną (rytuał mykwy ma przygotować kobiety do przyjęcia męskiego nasienia i zrodzenia nowego życia). Bez zaświadczenia kontrolerki o czystości Dana nie mogła stanąć pod chupą, a od kiedy jako dziecko topiła się w morzu, panicznie bała się głębokiej wody. Trzykrotne kompletne zanurzenie się i stanie w wodzie w rozkroku było dla niej „prawdziwie traumatycznym i poniżającym przeżyciem, którego nie życzyłaby nawet wrogowi i nigdy nie chciałaby powtórzyć”.

Dla wykształconej prawniczki, popierającej wprowadzenie w Izraelu ślubów cywilnych, poddanie się ceremonii żydowskiego obrządku zaślubin oznaczałoby triumf *charedim* nad *chilonim* i oburzało ją nawet w sferze językowej. W tradycji judaistycznej kobieta nie wychodziła bowiem za mąż, tylko, jak dosłownie określał to język hebrajski, była „brana za żonę”, a poślubiany mężczyzna był, zgodnie ze znaczeniem hebrajskich słów, jej *baal*, czyli panem, władcą i właścicielem.

Oren pochodził z żydowskiej rodziny przestrzegającej tradycji, w której jeździło się wprawdzie samochodem w soboty i nie nosiło kipy, ale nie jadło się niekoszernego jedzenia, pościło w Jom Kippur, obchodziło święta religijne, obrzeżywało chłopców i hucznie odprawiało bar micwę. Rodzina chciała więc chupy, prawowitych żydowskich dzieci i tradycyjnego ślubu z pieczętką rabinatu. Dla pana młodego religijna uroczystość nie była ważna, obiecał ją jednak swoim bliskim.

Dana zgodziła się, choć z oporami. By dać upust frustracji, wymyśliła zemstę: zbezczeszczenie mykwy przez wejście do niej w zabronionym okresie menstruacji. W końcu jednak tego nie zrobiła. Nie dlatego, że świadomie wycofała się z planu, tylko dlatego że jej fizjologia nie chciała się dostosować do pierwszego wolnego terminu w jednym z najbardziej atrakcyjnych domów weselnych położonych tuż nad morzem, w telawiwskim porcie. Tydzień

przed ślubem Dana zaprosiła swoje najbliższe koleżanki do miejskiej spa. Razem wypily butelkę szampana w jacuzzi, zostały namaszczone olejkami i wymasowane. Zjadły kolację w restauracji na ulicy Rothschilda w Tel Awiwie niedaleko od mieszkania Toma, przyjaciela Orena, gdzie pan młody w towarzystwie dwudziestu mężczyzn i dwóch egzotycznych tancerek spędzał wieczór kawalerski na opróżnianiu skrzynki piwa i butelki whisky Johnnie Walker.

Chupę z białego muślinu, przybraną czerwonymi różami i białymi liliami, ustawiono na podwyższeniu przed salą ślubną, tuż nad morzem, i oświetlono lampionami. Fotografowała ją Kaśka Sikora, moja dobra koleżanka i jeden z najlepszych w Tel Awiwie fotografów weselnych. A przy okazji dodam, że nazwisko Kaśki, w Polsce wzięte od niewinnego ptaszka, tutaj bywa obiektem żartów, ponieważ znaczy - pijana.

Niebo właśnie zmieniało barwy, kiedy pan młody w białym ubraniu i białej kipię patrzył na idealnie ułożone w wysoki kok długie, specjalnie na tę okazję proste, włosy panny młodej przystrojone drobnymi perełkami. Dana, w sukience za sumę równą kilku średnim zarobkom, z dużym dekoltem i seksownym rozcięciem do uda, uszytą na miarę przez młodą projektantkę z ulicy Szenkin, absolwentkę Szenkar, znanej uczelni kształcącej projektantów mody z Ramat Ganu, wyglądała jak hollywoodzka gwiazda. Nad jej fryzurą i makijażem, zaakceptowanym przez nią dopiero po trzech próbach, przez kilka godzin pracował wyspecjalizowany w wieczorowych fryzurach Szuki Zikri.

Dokładnie o zachodzie słońca Oren powiedział: „Jesteś mi poślubiona”. „Mazał tow!” nie brzmiało zbyt imponująco. Tylko bowiem część z pięciuset osiemdziesięciu siedmiu zaproszonych osób pojawiła się punktualnie, lekceważąc podanie w zaproszeniu godziny dziewiętnastej z prośbą o punktualność - rzecz raczej rzadko spotykana.

Dana i Oren poszli do sali biesiadnej po czerwonym dywanie, szpalerem z misternie ułożonych olbrzymich bukietów białych i czerwonych kwiatów oraz pochodni, w rytm ulubionej piosenki, którą śpiewał Szlomo Arci, puszczonej z płyt z natężeniem mogącym ogłuszyć pół miasta. Przez długie minuty odbierali wraz z rodzicami gratulacje i fotografowali się z gośćmi.

Weselna uczta, na której jadło się: łososia, rostbef wołowy, sushi, tortellini, sałatki na ciepło i zimno, ryż z migdałami, pieczone ziemniaczki z rozmarynem i dania kuchni meksykańskiej (ulubionej przez pana młodego) sprawdzonej pod względem koszerności przez rabina, rozpoczęła się po dwudziestej. Młodzi tańczyli przy dźwiękach piosenek śpiewanych, głównie po angielsku, przez światowej sławy piosenkarzy, a także przebojów izraelskich Ejała Golana, Dudu Aharona, Szloma Szabata, Sarit Chadad i nawet Zahawy Ben. Starsi

siedzieli przy udekorowanych kwiatami, świeczkami i lampionami stolikach. Jedząc i rozmawiając, obserwowali podświetlony parkiet. Młoda para krążyła między gośćmi, witając się ze wszystkimi i fotografując przy każdym prawie stole.

Goście obejrzeni film z panną młodą i panem młodym w roli głównej, podrzucili Danę i Oren kilka razy do góry na krzesłach, tańcząc wokół nich, i zostawili czeki w wysokości pokrywającej co najmniej koszt zjedzonych przez nich dań. Niektórzy z nich, zgodnie z gematrią, mistycznym systemem przekształcania słów w liczby, wypisali na czeku sumę będącą wielokrotnością cyfry „18”, zapisanej w *gematri* hebrajskimi literami tworzącymi słowo „życie”. Większość opuściła salę przed pierwszą w nocy.

Młoda para z samego rana dokładnie przeliczyła czeki - młodym parom w prezencie ślubnym wręcza się pieniądze (kwota zależy od stopnia pokrewieństwa i rodzaju przyjęcia weselnego, można znaleźć o niej informację w internecie) - zapisała kwoty obok nazwisk gości w specjalnym zeszycie, by móc się w przyszłości odpowiednio zrewanżować, i zadowolona z sumy przewyższającej wydatki na ślub ponownie zasnęła.

Pięć lat później, po urodzeniu dwójki dzieci, licznych kłótniach i milczących nocach Oren uznał, że bez dzieci i żony na głowie będzie mu się żyło łatwiej. I tak Dana i Oren dołączyli do ponad dziesięciu tysięcy par, które rozwiódły się w 2011 roku, co w zestawieniu z liczbą zawartych w tym samym czasie małżeństw pokazuje, że jedna z każdych czterech par decyduje się na rozwód[265].

W rabinacie Oren, zgodnie z nakazami religijnej komisji złożonej wyłącznie z mężczyzn, rzucił w wyciągnięte ręce Dany *get*, powtarzając trzykrotnie słowa: „*at megureszet, megureszet, megureszet*”, „jesteś wypędzona, wypędzona, wypędzona”. Dana trzykrotnie musiała podejść do drzwi i wrócić, zanim faktycznie pozwolono jej odejść i zanim stała się, zgodnie ze słowami ceremonii rozwodowej, „*muteret le'kol adam*”, czyli „dostępna każdemu mężczyźnie”.

Po dwóch latach Dana znalazła miłość. Młodszego od siebie sąsiada, Pinchasa, byłego ortodoksyjnego Żyda, który po przejściu ceremoniału *chalice* zbuntował się przeciwko religijnemu światu i opuścił go definitywnie.

Pinchas jest dobrym ojcem dla Michal i Ziwa. Dana żyje z nim w konkubinacie. Kiedy pytam, czy zamierzają się pobrać, oboje wzruszają ramionami: „Dlaczego mielibyśmy to zrobić?”.

„Wedle prawa Mojżesza i Izraela”

Rywka, ultraortodoksyjna Żydówka z Tel Awiwu nie miała najmniejszych wątpliwości, dlaczego wyszła za męża - dla potomstwa, głównego celu zawierania związku małżeńskiego określonego biblijnym nakazem: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się”[266]. Do zamążpójścia była przygotowywana od pierwszego oddechu skrupulatnie zapisanego razem z imionami jej rodziców i dziadków, przynależnością do dynastii rabinicznej, stopniem religijności, zamożności, edukacji religijnej, liczbą siostr i braci, a także informacją o tym, ilu z nich uczy się w chederze[267], a ilu w jesziwie, powinowactwem, zdrowiem i innymi ważnymi dla swatów detalami.

Awraham był kandydatem na męża, o jakim marzyła każda ortodoksyjna dziewczyna, takim co *joszew we' lomed*, „siedzi i uczy się”. Już w trzecim roku życia rozpoczął naukę *Tory* i *Talmudu*, a od piątego, większość wolnych wieczornych chwil spędzał razem z braćmi na dodatkowej pamięciowej nauce fragmentów *Tory*.

Rywka nie ustępowała mu edukacją. Była absolwentką Beit Jaakow, najbardziej elitarniej żeńskiej szkoły dla panien z ortodoksyjnych rodzin w Tel Awiwie, założonej przez Meira Szczeranskiego ze Zgierza, i choć przede wszystkim uczyła się w niej o przyszłych obowiązkach matki i żony, oprócz jidysz dobrze знаła język hebrajski, trochę historii Izraela, matematyki i geografii. Po sześciu latach edukacji mogła zostać nauczycielką i utrzymywać „uczzonego męża”, studiującego i spędzającego większość czasu na modlitwie. Bardzo skromna, pobożna i bardziej religijna niż jej rodzice uważała Tel Awiw, a nawet szkołę Beit Jaakow za zbyt liberalną, więc poszukano jej męża wśród chasydów z Bnei Braku.

Rywka przed ślubem widziała swego przyszłego męża, znalezionej jej przez rodziców i zawodową swatkę Rajzel, zaledwie kilka razy, w tym raz podczas ustalania *tnaim*, wstępnego kontraktu ślubnego[268], w którym swatka, jej rodzice i przyszli teściowie ustalili wysokość posagu, termin jego spłaty, datę ślubu, sumę, jaką pan młody musiałby wypłacić żonie, gdyby chciał się z nią rozwieść, i jaką powinien zapłacić jej ojcu za możliwość ożenku z córką, zobowiązanie opłacania studiów przyszłego zięcia w kojlelu[269] i jeszcze wiele innych ustaleń pieniężnych. Awraham, zobowiązany zasadą *szmirat ejnajim* (pilnowanie oczu) niepozwalającą mu podnieść wzroku na obce kobiety, nie przyjrzał się Rywce przed ślubem, choć przebywał z nią w tym samym pokoju i tuż przed uroczystością pod chupą udał się wraz z nią na cmentarz, by zaprosić na ślub zmarłych krewnych i uzyskać ich wstawiennictwo u Boga. Przed ślubem młodzi nie dotknęli się ani razu.

Na tydzień przed ceremonią, wyznaczoną na dwunasty dzień po pierwszym dniu menstruacji Rywki, młodzi, ich rodziny i znajomi spotkali się w szabat w synagodze. Awraham został wezwany do czytania *Tory*. Wysłuchano fragmentu specjalnie wybranego na

uroczystość przyszłych zaślubin i pomodlono się za nowożeńców. Rywka obserwowała narzeczonego z balkonu razem z innymi kobietami zrzucającymi na młodych, niezamężnych chłopców orzechy, symbol płodności, i cukierki dla osłody małżeńskiego życia.

Razem z matką i starszą zamężną siostrą kupiła na ulicy Rabbiego Akiwy w Bnei Braku długą sukienkę do pół łydki ze sztucznego jedwabiu z wysoką stójką, szczelnie zapinaną na małe perłowe guziczki. Po przedślubnej mykwie, poszcząc i modląc się razem z koleżankami i innymi kobietami z jej rodziny, przepłakała cały dzień poprzedzający ślub, który odbył się nocą w wielopiętrowym budynku, gdzie w tym samym czasie odbywały się jeszcze trzy inne śluby.

Na uroczystość przyjechała z rodzicami i rodzeństwem, podobnie jak większość gości, wieloosobową taksówką. Na salę weselną weszła razem z matką, teściową, siostrami i przyjaciółkami specjalnym wejściem przeznaczonym wyłącznie dla kobiet. Czeką tu na nią ozdobne krzesło, na którym usiadła, patrząc na tłum eleganckich kobiet w garsonkach i dziewcząt w spódnicach przypominających krynoliny z innej epoki. Najmodniejsze wśród *charediot* były plusze, tiule i obficie marszczone koronki, spódnice plisowane i szyte z całego klosza.

Na weselu osiemnastoletniej Rywki i dwudziestoletniego Awrahama nikt nie przejmował się godziną wyznaczoną na chupę. Na ortodoksyjnych weselach nigdy nie wiadomo dokładnie, kiedy się ona rozpocznie i nikomu zdawało się to nie przeszkadzać. Młodsze chasydki tańczyły, a starsze rozmawiały o dzieciach i gotowaniu. Żałośnie grały skrzypce klezmerów dopełniające melodię fletu słyszalną z pomieszczenia mężczyzn, gdzie pan młody, w białym kaftanie i po raz pierwszy w koszernej futrzanej czapce, siedział na honorowym miejscu przy długim stole wśród najdostojniejszych gości i patrzył na podskakujących w rytm muzyki, wirujących w kręgach i śpiewających chasydów.

W odpowiednim czasie pojawił się w kobiecej sali prowadzony przez ojca, teścia i drużbów trzymających świece. Na zasłoniętą przezroczystym welonem pobladałą twarz Rywki drżącymi rękami nałożył dodatkowy welon, dając tym samym sygnał do rozpoczęcia ceremonii zaślubin. Rywka, prowadzona przez matkę i teściową, z powodu zasłoniętej szczelnie twarzy z trudem, bardzo powoli szła drogą wiodącą do chupy na dziedzińcu budynku, pod gołym niebem, tak jak wymagała tradycja.

Ceremonia pod chupą: odczytanie kontraktu ślubnego napisanego ręcznie po aramejsku na pergaminie, wypicie dwóch kieliszków wina symbolizującego szczęście małżeńskie, włożenie przez Awrahama obrączki na palec prawej ręki Rywki, siedmiokrotne - liczba „7” oznacza świętość, doskonałość, potęgę i wszechmoc Boga - okrążenie pana

młodego przez pannę młodą biorącą na siebie rolę obrończyni rodziny i odmówienie siedmiu błogosławieństw przywołujących stworzenie świata i symbolizujących początek nowej drogi życiowej, jak się wydawało Rywce, trwała w nieskończoność.

Nowo poślubiona żona wzdrygnęła się w chwili rozbicia kieliszka, co ma przypominać o zburzeniu Świątyni Jerozolimskiej przez Babilończyków i wyrażać kruche, zmienne szczęście w życiu małżeńskim. W chwilę potem hebrajskie „mazal tow!” zagłuszone zostało przez „mazel tow!”[270] w jidisz. Kiedy pod koniec ceremonii Rywka odsłoniła zakrytą welonem twarz, zaskoczona była tłumami wokół niej. Spocona i zmęczona z prawdziwą ulgą przyjęła konieczność udania się do odosobnionego pokoju zwanego *jichud*, w którym po raz pierwszy mogła dokładnie przyjrzeć się swojemu mężowi i pozwolić mu nacieszyć się sobą. Skrępowani i nieśmiali, rozmawiając, tylko od czasu do czasu odrywali wzrok od podłogi, by popatrzeć jedno na drugie.

W tym czasie kiedy Rywka i Awraham oswajali się z sobą, w weselnych salach zwanych po hebrajsku *ulamot simcha*, „sale radości”, osobnych dla kobiet i mężczyzn, rozpoczął się weselny poczęstunek podawany na plastikowej zastawie. Był dość skromny (zważywszy na dużą liczbę rodzeństwa młodej pary i niskie dochody ich rodziców) - przypominał świąteczną czy szabasową kolację z pieczonym i gotowanym kurczakiem, rosółem z *kneidele*[271], czulentem[272], ryżem, sałatką z warzyw na zimno i ciepło oraz ciastami. Nie wszyscy goście mieli miejsce przy stole i tylko dorośli dostawali najlepsze kawałki mięs i *gefilte fisz*. Porcje były małe i szybko znikwały z talerzy.

Po powrocie z *jichud* kobiety ogoliły Rywce głowę, by włosy nie prowokowały mężczyzn do grzechu, założyły jej perukę, a na niej związały ozdobną chustkę. Mężczyźni wypełniając micwę, po kolei zatańczyli z panną młodą, ujmując zamiast jej ręki rąbek trzymanej przez nią białej chusteczki. Ostatni taniec z panną młodą, który zakończył wesele, należał do Awrahama. Potem jego matka, pochodząca z Jerozolimy, symbolicznie wymiotła go ze swojej rodziny ozdobną miotłą, dając wszystkim znak do opuszczenia sal weselnych.

Młoda para udała się na noc poślubną. Rodziny Awrahama i Rywki skrupulatnie zabrały do domu resztki z weselnego przyjęcia razem prezentami ślubnymi (raczej symbolicznymi niż mającymi wysoką wartość pieniężną), do których przyczepiono życzenia i mądrości biblijne:

Jeśli twoja żona jest niska, pochyl się, aby usłyszeć jej szept.

Gniew w rodzinie jest jak robak wśród nasion sezamowych.

Mężczyzna powinien zawsze uważać, aby nie czynić niesprawiedliwości swojej żonie; ponieważ jej łzy pojawiają się często, więc łatwo ją skrzywdzić.

Wśród prezentów znalazły się posrebrzane kieliszki do wina idealnie nadające się na sobotnie błogosławieństwo, ozdobne talerze na macę, garnki „mleczne” i „mięsne” w dwóch zestawach kolorów, obrusy, sztuce, miksery, zastawy stołowe i pościel. Najwięcej było jednak srebrnych lub pozłacanych mezu z ukrytym w nich cytatem z *Tory*, napisanym przez sofera oraz *brachot ha' bait*[273] - artystycznych talizmanów ze słowami błogosławieństw dla domu i jego mieszkańców. Przez następny tydzień rodziny nowożeńców codziennie chodziły do synagogi i zapraszały się nawzajem na kolacje, próbując się poznać. Za każdym razem, kiedy gromadziło się minimum dziesięciu mężczyzn (minjan), odmawiano nad głowami młodych siedem błogosławieństw i życiono im potomstwa tak licznego jak gwiazdy na niebie.

W dziewięć miesięcy później „urodził się chłopak i błogosławieństwo Boże rozpostarło się nad Ziemią”, ósmego zaś dnia po porodzie Rywka i Awraham na znak przymierza z Jahwe obrzezali na uroczystości *brit mila* pierworodnego syna i nadali mu imię Joel na pamiątkę dziadka Awrahama. *Be'ezrat ha'Szem*, z Bożą pomocą, Rywka co rok lub dwa lata rodzi nowe dziecko.

Ten, co ma zapach i smak, czyli święta

Pesach - krew, wolność, zemsta i goje

Jahwe powiedział do Mojżesza i Aarona w ziemi egipskiej: Miesiąc ten będzie dla was początkiem miesiący, będzie pierwszym miesiącem roku! Powiedzcie całemu zgromadzeniu Izraela tak: Dziesiątego dnia tego miesiąca niech się każdy postara o baranka dla rodziny, o baranka dla domu. Jeśli by rodzina była za mała do spożycia baranka, to niech się postara o niego razem ze swym sąsiadem, który mieszka najbliżej jego domu, aby była odpowiednia liczba osób. Liczyć je zaś będziecie dla spożycia baranka według tego, co każdy może spożyć. Baranek będzie bez skazy, samiec, jednoroczny; wziąć możecie jagnię albo koźlą. Będziecie go strzec aż do czternastego dnia tego miesiąca, a wtedy zabije go całe zgromadzenie Izraela o zmierzchu. I wezmą krew baranka, i pokropią nią odrzwia i progi domu, w którym będą go spożywać. I tej samej nocy spożyją mięso upieczone w ogniu, spożywają je z chlebem niekwaszonym i gorzkimi ziołami. Nie będziecie spożywać z niego nic surowego ani ugotowanego w wodzie, lecz upieczone na ogniu, z głową, nogami i wnętrznościami. Nie może nic pozostać z niego na dzień następny. Cokolwiek zostanie z niego na następny dzień, w ogniu spalicie. Tak zaś spożywać go będziecie: biodra wasze będą przepasane, sandały na waszych nogach i laska w waszym ręku. Spożywać będziecie pospiesznie, gdyż jest to Pascha na cześć Pana. Tej nocy przejdę przez Egipt, zabiję wszystko pierworodne w ziemi egipskiej od człowieka aż do bydła, i odbędę sąd nad wszystkimi bogami Egiptu - Ja, Pan. Krew będzie wam służyła do oznaczenia domów, w których będziecie przebywać. Gdy ujrzę krew, przejdę obok i nie będzie pośród was plagi niszczycielskiej, gdy będę karał ziemię egipską. Dzień ten będzie dla was dniem pamiętnym i obchodzić go będziecie jako święto dla uczczenia Pana. Po wszystkie pokolenia - na zawsze w tym dniu świętować będziecie”[274].

Czternastego dnia żydowskiego miesiąca *nisan*[275] przy pełni księżyca, tuż po zrównaniu dnia i nocy w czasach istnienia Świątyni Jerozolimskiej, cały naród żydowski gromadnie przybywał do Jerozolimy. Do 70 roku n.e. każdy Izraelita pod groźbą ekskomunikacji zobowiązany był do wypełniania religijnego nakazu uczestnictwa w obrzędzie składania

kozła ofiarnego lub jagnięcia. W przeciwieństwie do innych ceremoniałów i modlitw, do odprawiania narodowej ofiary pesachowej wymagany był minjan[276] wynoszący co najmniej trzydzieści osób. Każda rodzina czy grupa Izraelitów przeznaczala na ofiarę jedno roczne zwierzę bez skazy. Podczas ceremoniału, w którym uczestniczyć mogli wyłącznie obrzezani Żydzi, odprawianego za zamkniętymi drzwiami, nikt nie mógł mieć przy sobie nawet najmniejszej odrobiny chamecu, czyli produktów z żyta, pszenicy, orkisz, owsa i jęczmienia, w których nastąpił proces fermentacji.

Przy dźwiękach śpiewów lewitów, czyli pomocników, stojący w rzędzie kapłani z rodu Kohenów zbierali krew zwierząt do złotych i srebrnych naczyń ofiarnych i przekazywali je z rąk do rąk, aż dotarli do ostatniego w rzędzie, który wylewał krew na ołtarz. Na ołtarzu składano również tłuszcz zwierzęcia. Oczyszczone mięso, bez wnętrzności, które usuwano, pieczono na ogniu. Zgodnie z wyraźnym nakazem wspólnego ucztowania należało je spożyć podczas jednej nocy. A że trochę to trwało, uczcie towarzyszyły opowieści o wyjściu narodu żydowskiego z niewoli egipskiej, w czym szczególną rolę odegrała krew - symbol przymierza narodu żydowskiego z Bogiem i znak złamania paktu Izraelitów z nie-Żydami. To krew oznaczyła progi i drzwi żydowskich domów, dzięki czemu pierwotni synowie Izraelitów - przyszłość całego narodu - uniknęli śmierci. Ich pominięcie (hebr. *pesach*) w planie boskiej zagłady oraz ofiara pesachowa po dzień dzisiejszy przypominane są co roku przez świętujących Pesach Żydów. Po zburzeniu Drugiej Świątyni Jerozolimskiej (70 rok n.e.) ofiara z baranka składana jest wyłącznie symbolicznie. Nadal jednak każdego roku, od prawie dwóch tysięcy lat, w wieczór poprzedzający święto Pesach u Żydów, Samarytanie[277], nazywający siebie „Dziećmi Izraela” odprawiają na górze Garizim, niedaleko miasta Nablus (Szchem), niezmienną od tysiącleci ceremonię ofiary paschalnej. Mężczyźni ubrani w białe szaty, niektórzy w czerwonych nakryciach głowy, wspólnie zanoszą modlitwy. Obserwują ich kobiety w turkusowo-zielonych strojach i ubrane na biało dzieci. O zachodzie słońca, na znak Najwyższego Kapłana (współcześnie jest nim Aaron Ab-Hisda Jakub), sto trzydziestego drugiego od czasów Aarona, brata Mojżesza[278], mężczyźni - głowy rodzin[279] - rytualnymi nożami podrzynają zwierzętom gardła. Kiedy spłynie krew trzydziestu baranków, zdejmuje się skóry, a mięso umieszcza na szpikulcach i przenosi do dołów, gdzie piecze się na ogniu przez kilka godzin. Uroczysty posiłek zaczyna się koło północy i trwa aż do zjedzenia ostatniego kawałka.

Maca

Uciekający z niewoli Żydzi nie mogli czekać aż wyrosnie zaczyn na chleb. Zabrali ciasto zagniecione pośpiesznie z mąki i wody, lżejsze i zajmujące mniej miejsca. Na pamiątkę owego „ubogiego chleba” i biblijnego nakazu: „czternastego dnia miesiąca pierwszego od wieczora winniście spożywać chleb niekwaszony aż do wieczora dwudziestego pierwszego dnia tego miesiąca”[280], w Pesach przez tydzień je się w Izraelu macę - praśne pieczywo, cienkie i płaskie. Przed świętem zaś dokładnie oczyszcza z chamecu mieszkania, zwłaszcza kuchnie, porządkuje szafki, lodówki, piekarniki, mikrofalówki i inne sprzęty domowe mające styczność z produktami zbożowymi oraz wymienia wszystkie garnki, naczynia, sztućce na przeznaczone wyłącznie na Pesach, a jeśli kogoś na to nie stać, to powinien stare naczynia wyparzyć gorącą wodą, by stały się koszerne na Pesach. Tuż przed Paschą z latarkami lub zapalonymi woskowymi świeczkami przegląda się wszystkie ciemne zakamarki w poszukiwaniu najmniejszego okruszka chleba, który mógłby złośliwie ukryć się gdzieś w kącie i spowodować, że święta będą niekoszerne.

Także prawo cywilne zabrania sprzedaży chamecu i nakazuje ścisłe przestrzeganie we wszystkich obiektach państwowych specjalnej koszerności na Pesach. W hotelach, na statkach, w samolotach, w instytucjach publicznych, w wojsku przeprowadza się dokładne porządki, pozbywa chamecu i przestrzega zasad specjalnej koszerności. W sklepach i supermarketach nie sprzedaje się niekoszernych na Pesach produktów, a jeśli nie można ich usunąć na czas święta, to się je zasłania i oddziela od reszty produktów parawanami.

Związane z Pesach uroczystości trwają siedem dni (w diasporze - osiem) i rozpoczynają się, jak każde inne święto, wraz z zachodem słońca, w wieczór sederowy czternastego dnia miesiąca *nisan*. Ostatniego dnia, w Drugi Pesach, wszyscy ci, którzy ze względu na podróż, chorobę czy inne przyczyny nie mieli okazji uczestniczyć w obrzędach, mogą dopełnić tego obowiązku.

Judaistyczna tradycja świętowania Paschy szczególnie ważna jest dla poczucia solidarności narodu żydowskiego i izraelskiego, poczucia wspólnego, historycznego dziedzictwa. Każdy Żyd - również kobiety, dzieci i starcy - powinien być częścią wspólnego narodowego ceremoniału paschalnego. Dlatego przed świętami gromadzi się datki dla biednych - w szkołach, supermarketach, miejscach pracy, prywatnych domach - by wszyscy mogli uczestniczyć w obrzędzie wspomnienia ofiary paschalnej. Za granicą w izraelskich placówkach turystycznych i religijnych placówkach chasydów Chabadu organizuje się świąteczne odczytywanie opowieści o wyjściu narodu żydowskiego z egipskiej niewoli i uroczystą kolację.

Jeśli będziecie w Izraelu akurat tego wieczoru, kiedy kończy się Pesach, co łatwo

poznać po długich kolejkach stęsknionych za smakiem świeżego chleba Izraelczyków przed najślawniejszą arabską piekarnią „Abulafia” w Jafie, to koniecznie powinniście spróbować wschodnich łakoci w domach Żydów z Maroka obchodzących Mimunę, święto symbolizujące początek wiosny, szczęście, pojednanie i szczodrość. Tego wieczoru śmiało można wejść w pierwsze lepsze drzwi, za którymi celebruje się dostatek przy śpiewach, muzyce, gwarze rozmów licznych gości. Drzwi otwarte są dla wszystkich, niezależnie od koloru skóry, religii czy miejsca urodzenia. Zaproszenie nie jest potrzebne. Musicie jednak wziąć pod uwagę, że podobnych do was gości będą dosłownie dziesiątki, a może nawet setki. Izraelczycy lubią się bawić i są gościnni. Wiedźcie, że kto tej nocy zostanie wyswatany, będzie szczęśliwy w małżeństwie, a dom jego nie zazna niedostatku.

Niekoszerna

W pierwszych latach pobytu w Izraelu proponowałam mojej teściowej pomoc w przygotowywaniu świątecznych dań, ale jej zdecydowany sprzeciw (jakkolwiek by było, to córka rabina z Rio de Janeiro), spuszczone z zażenowania oczy, tudzież mały wykład mojego męża, uświadomiły mi, że ja, moja kuchnia, garnki i chleb mamy ze sobą o wiele więcej wspólnego, niż mogłoby się wydawać. W Pesach jesteśmy dla rodziny Ejala szczególnie niekoszerni (na szczęście mój mąż nie kieruje się prawami koszerności podczas konsumpcji).

Teoretycznie goje w okresie święta Pesach mogą spełniać ważną funkcję pesach goja. Można im symbolicznie odsprzedać niekoszerne produkty na zakwasie, które żal spalić, jak to się robi z resztkami chleba i produktami zbożowymi. Tradycyjnie ten przywilej mają izraelscy Arabowie, druzowie lub Beduini. To im naczelny rabin Izraela odsprzedaje co roku za symboliczną zapłatę zgromadzone w magazynach, sklepach i hurtowniach produkty zbożowe, a po świętach odkupuje je za taką samą cenę.

W święto Paschy nie wolno nie tylko jeść produktów na zakwasie, ale i mieć pożytku z czegoś, co jest niekoszerne na Pesach. Naczelny rabin CaHal-u Awichai Roncki w 2006 roku, kiedy tuż przed świętem okazało się, że w karmie kilkuset psów wojskowych był chamec, odsprzedał je na osiem dni. Psy formalnie należące do nie-Żyda nadal mogły strzec żydowskich żołnierzy, bez naruszenia zakazów religijnych.

Dziesięć plag

Przed świętem córka naszej sąsiadki, Libi, odwiedziła Kim. Dziewczynki bawiły się w

pokoju, przekrzykując się nawzajem w recytowaniu jakiejś wyliczanki. Słyszałam ich głosy, choć nie do końca rozróżniałam słowa.

- Co tak wykrzykujecie? - spytałam, wchodząc do pokoju córki.

- Plagi, jakie spadną na tych, którzy są przeciw Żydom, tak jak na Egipcjan - wyjaśniła Libi, dodając: - To hagada! - I bez zachęty z mojej strony znów zaczęła recytować: - Krew, żaby, wszy, robaki, zaraza, trąd, grad, szarańcza, ciemność i... śmierć pierworodnych.

Nazw dziesięciu plag i piosenki zaczynającej się od słów, „Czym różni się ta noc od innych nocy?”, żydowskie dzieci uczą się jeszcze w przedszkolu, a potem recytują je z innymi dziećmi w szkole i co roku powtarzają wspólnie z najbliższą rodziną podczas uroczystej kolacji, czytając z ozdobnej książeczki zatytułowanej *Hagada szel Pesach, Hagada na Pesach (Opowieść pesachowa)* opowieść upamiętniającą wyjście Żydów z niewoli egipskiej. Zgodnie z nakazem: „z pokolenia na pokolenie, każdy niech postrzega siebie samego wychodzącego z Egiptu”, tekst hagady musi znać, czytać oraz przekazywać swoim dzieciom każde pokolenie Żydów. Nakaz ten wypełnia się sumiennie i powszechnie. Nawet niezbyt religijna, choć przestrzegająca niektórych tradycji rodzina mojego męża odczytuje od początku do końca historię odzyskania przez Żydów wolności i wielokrotnych kar, jakich doświadczyli poganie prześladowający naród wzięty w obronę przez samego Boga.

Leil ha'seder (hebr., dosł. „noc porządku”), wieczór pamięci o uczcie ofiarnej, która poprzedziła wyjście narodu żydowskiego z niewoli, przebiega według sederu, czyli zapisanego w *Hagadzie na Pesach* ścisłego porządku, wyznaczającego piętnaście etapów odpowiadających piętnastu czynnościom wykonywanym przez lewitów podczas ofiary paschalnej z baranka. *Hagada na Pesach*, opowieść, saga zawierająca fragmenty biblijne, komentarze mędrców-rabinów i psalmy modlitewne ułożone na pamiątkę wyjścia ludu izraelskiego z Egiptu, spisane pomiędzy II a IV wiekiem n.e., która musi być czytana grupowo, najlepiej w wielopokoleniowej rodzinie, nigdy w pojedynkę, ponieważ jest to zabronione, osiągnęła największą w historii liczbę wersji - ponad trzy i pół tysiąca.

Dzięki hagadzie wiadomo, co powiedzieć, w jakim porządku, kiedy zacząć czytanie określonego fragmentu i kiedy przerwać opowieść, jakie potrawy spożywać, w jakiej kolejności i po części także w jakiej ilości. Wiadomo, ile kieliszków wina należy wypić, kiedy połamać macę z praśnego chleba, a kiedy ją zjeść czy schować jako *afikoman* poszukiwany przez dzieci, obdarowywane prezentami, kiedy go znajdą. W tekście, czytany po kolei przez zgromadzonych przy świątecznym stole, zapisana jest dokładna symbolika spożywanych gorzkich ziół (*maror*), macy („chleb nędzy”), zieleniny (*karpas*), słonej wody, mieszaniny tartych jabłek lub fig z orzechami i miodem (*charošet*), jajek i kawałka mięsa z kością -

symbolizującego ofiarę paschalnego baranka. Ustalone i zapisane są modlitwy, śpiewane lub mówione, a także moment, w którym należy je odmówić.

„Wylej swój gniew”

Siedząc przy świątecznym stole, pomiędzy trzecim a czwartym kielichem wina za każdym razem zaczynam czuć się szczególnie niezręcznie, kiedy sobie uświadamiam, że od stuleci, tak jak w tym momencie, w żydowskich domach w Izraelu i na świecie, odczytywany jest przez miliony ludzi fragment zaczynający się od słów: *Szfoh chamatcha al ha'goim*, czyli dosłownie „Wylej swój gniew na gojów”.

Wylej gniew swój na pogan, którzy Cię nie uznają, i na królestwa, które imienia Twego nie wzywają, gdyż pożarły Jakóba, a siedzibę jego spustoszyli (Ps. 69;6,7). „Wylej na nich oburzenie Swe, a żar zapalczywości Twej niech ich dosięgnie” (Ps. 69,25). „Ścigaj ich w gniewie swym i zgładź ich spod niebios, Wiekuisty! (Tr. Jer. 3;66)[281].

Hagada na Pesach jest częścią tradycji judaistycznej i historii prześladowań. Większość Żydów, poza środowiskiem ortodoksyjnym, nie przyjmuje jej tekstu dosłownie, koncentrując się na treściach związanych z tradycją upamiętniającą wyzwolenie się Żydów z niewoli, dążenie do wolności narodu i jednostki oraz narodową solidarność. Niektórzy świeccy, kończą odczytywanie tekstu paschalnego w momencie, w którym według porządku je się wieczerzę sederową, zanim dochodzi się do zbiorowej recytacji słów: „Wylej gniew swój na pogan”. Istnieją również, głównie w kibucach, nowe wersje *Hagady* pomijające modlitwę *Szfoh chamatcha*.

W każdej religii są modlitwy o zemstę, a prawo do odwetu - oko za oko, ząb za ząb - jest jednym z najstarszych praw ludzkości, wynikającym z chęci ukarania zła i zapłaty za wyrządzoną krzywdę. Możliwe, że jest tak, jak twierdzą niektórzy Izraelczycy, uważający ten fragment *Szfoh chamatcha* za „anachroniczny, pozbawiony od tysięcy lat znaczenia, kontrowersyjny, do którego Żydzi odnoszą się symbolicznie, bo jest on tylko historycznym dokumentem paranoi i strachu Żydów doświadczających antysemityzmu”. Ale w takim razie, jakie walory wychowawcze czy etyczne może mieć współcześnie narodowe czytanie tekstu o zemście na niewyznających wiary w tego samego Boga? I dlaczego nadal jest on wart utrwalenia w świadomości nowych pokoleń?

Wielowiekowa tradycja judaizmu zabrania jakichkolwiek zmian w świętych księgach i nie dopuszcza nawet jednego błędu w *Tanachu*, ręcznie przepisywanej *Biblii Hebrajskiej*. Księgi religijne zawierające imię Boga z najmniejszym nawet błędem nie są używane, choć

nie wolno ich spalić lub zniszczyć, a tym bardziej wyrzucić na śmietnik. Muszą być trzymane w *geniza*, specjalnym schowku, aż do odprawienia w stosownym czasie specjalnego ceremoniału pogrzebowego, a potem zostać pochowane w ziemi. Wielu Żydów uważa, że sekret przetrwania narodu żydowskiego i uchwiania go przed asymilacją z innymi narodami tkwił właśnie w skrupulatnym przestrzeganiu absolutnej niezmienności pism Boga i mędrców żydowskich oraz narodowych zwyczajów i obrzędów.

Chciałabym, aby humanistyczne przesłanie święta Pesach - prawo do wolności każdego narodu - nie było zatrwane niechęcią wobec tych, którzy do narodu żydowskiego nie należą. Wtedy i dla mnie Pesach straciłoby posmak gorzkich ziół, które się je tego dnia przy świątecznym stole, a słowa „goj, gojka” przestałyby mieć pejoratywne znaczenie.

Żydzi i goje

Któregoś dnia w 2010 roku na ulicy mojego rodzinnego miasta spotkałam koleżankę. Kiedy w rozmowie z rodzaju tych, „a co u ciebie słyhać?”, dowiedziała się, że wyszłam za mąż za Izraelczyka, powiedziała ze zdziwieniem: „Twoja córka nie wygląda na Żydówkę!”. I natychmiast, zakłopotana, dodała: „Przepraszam, nie chciałam jej obrazić”.

Czasami słowo „Żyd” wypowiedane jest, jakby było nazwą wstydlivej choroby czy przekleństwem (w języku rosyjskim członka narodu żydowskiego określa się mianem „Jewriem”, słowo „żyd” to obelga). W języku polskim są przysłowia i powiedzenia, których używamy, nie zastanawiając się nad ich antysemitycznym wydźwiękiem: Kochajmy się jak bracia, liczymy się jak Żydzi; Idzie jak krew po Żydzie; Gdzie chłop traci, tam się Żyd bogaci; Myślisz po żydowsku; Ale z ciebie Żyd!

Sami Żydzi często twierdzą, że mają negatywne skojarzenia i nie lubią brzmienia słowa „Żyd”, „Żydówka”, „żydostwo” zaś przyprawia ich o zgrzytanie zębów, bo czują się atakowani.

Kiedy zaczęłam pisać blog o Izraelu i nazwałam go „Gojka z Izraela”, zwracano mi uwagę, że używając słowa „gojka” zamiast nie-Żydówka, obrażam sama siebie. Pozornie była w tym racja. Bo tak jak „Żyd” również słowa „goj”, „gojka” mogą być odbierane negatywnie. Ich zabarwienie emocjonalne zależy od intencji mówiącego, a ta od jego poglądów. Według hebrajskiego słownika *Raw milim*[282] czy słownika *Milon Ewen-Szoszan Ha 'Merukaz*[283], określenia „goj”, „gojka” w biblijnym języku hebrajskim dosłownie oznaczają: „naród” i jest neutralne. Nazywa się tak „obcych”, „nie-Żydów” w sensie narodowościowym, kulturowym i religijnym. Tyle że z powodu wzajemnej nieufności, a nawet wrogości, zyskały negatywną

konotację i są przez niektórych używane w celu zmanifestowania pogardy dla innych od siebie.

Dla religijnego Żyda goj to ktoś, kto nie należy do narodu wybranego, kogo halacha i *Tora* - biblijny *Pięcioksiąg* - pozwalają traktować inaczej, co prowadzi do nadużyć interpretacyjnych: „Gdy będziesz sprzedawać waszemu bliźniemu z waszego ludu lub kupować od bliźniego z waszego ludu, nie będziecie się wzajemnie oszukiwać”; „Ktokolwiek uratuje jedno żydowskie życie, jakby uratował cały świat”[284] [podkr. moje].

Jedną z codziennych modlitw religijnego Żyda, odmawianą z samego rana, jest modlitwa: „Błogosławiony bądź Najwyższy Boże, Królu Świata za to, że nie stworzyłeś mnie gojem ani niewolnikiem, ani kobietą”[285]. Żydzi, nie mając, tak jak katolicy Watykanu, papieża czy synodu, który postanowiłby, co jest właściwe, a co nie, i wskazał jednoznaczne, uniwersalne znaczenie tekstów teologicznych, wybierają interpretację religijnych cytatów odpowiadającą poglądom ich własnym lub najbliższego otoczenia oraz wartościom etycznym uznawanym przez najbliższy autorytet w kwestiach religijnych: swojego rabina. Zgodnie z ideą „wybierz sobie rabina”[286] judaizm zaleca każdemu Żydowi, aby obrał pomocnego w zrozumienia *Tory* nauczyciela i mentora pomagającego rozwiązywać religijne i życiowe problemy, kogoś o szerszej wiedzy, kto jest w stanie ukształtować i umocnić poglądy swoich uczniów. A rabini różnych odłamów judaizmu i szkół rabinackich, od ultraortodoksyjnych począwszy, na humanistycznych skończywszy, miewają różne zdanie.

Swobodna interpretacja świętych ksiąg czasem prowadzi do skrajnej nietolerancji wobec nie-Żydów (nie tylko katolików) opartej na cytatach z *Tory*. Przykładem może być wydana w 2009 roku, rozpowszechniana w internecie i w jesziwach, polecana studentom szkół religijnych przez niektórych cenionych w Izraelu teologów, *Torat Ha'Melech* (Królewska Tora), autorstwa ultrapravicowych rabinów Icchaka Szapiry i Josefa Elitzura[287], która jest, jak to określił dziennikarz gazety „Maariw”, Roi Szaron: „dwustutrzdydziestostronicową halachą zabijania gojów”[288]. Oparte na rozważaniach przepisów religijnych i cytatów z *Tory* rasistowskie wypowiedzi autorów książki: „wszędzie tam, gdzie obecność gojów zagraża życiu narodu izraelskiego, można ich zabić” czy „przykazanie, nie zabijaj, nie uczy nas o tym, że zabrania się zabijania gojów”[289], wywołały liczne protesty społeczności świeckiej i religijnej, a także wielu przywódców religijnych i ich zwolenników. Niektórzy ultraortodoksyjni rabini (Icchak Ginsburg, Dow Lior, Ja'kow Josef, a nawet naczelny rabin Izraela - Jona Metzger), broniąc zasady, że: „święta *Tora* nie może być kwestionowana”[290], opowiedzieli się za prawem krytykowanych powszechnie autorów do własnej interpretacji *Tory*.

Wszczęte w lipcu 2010 roku przeciwko Icchakowi Szapirze śledztwo w sprawie podejrzenia o podżeganie zostało umorzone 28 października 2012 roku.

Krytyczny - znaczy antysemicki

Kiedy zaczęłam zastanawiać się nad kwestią złożonych stosunków między Żydami a wszystkimi innymi, czyli gojami, szukać wyjaśnienia w książkach, artykułach, *Torze* i *Szulchan Aruch*[291], zrozumiałam, że każde napisane przeze mnie krytyczne zdanie przez Żydów może zostać przyjęte za antysemickie.

Odnosiłam często wrażenie, że Izraelczycy stosują zasadę „kto nie z nami, ten przeciw nam”. Możliwe, że to trwały ślad antysemickich prześladowań i izolacji w różnego rodzaju gettach, który przybrał postać przeczulenia na tle faktycznej lub rzekomej dyskryminacji Żydów czy Izraelczyków. Negatywne opinie dotyczące kwestii żydowskich czy izraelskich, nawet jeśli to tylko próba przedstawienia faktów lub krytyczne stwierdzenie, formułowane przez nie-Żydów z góry podejrzane są o stronniczość lub antysemityzm, podczas gdy wypowiedane przez Żyda traktowane są po prostu jako krytyka.

Argument antysemityzmu wytacza się także po to, aby usprawiedliwić własne słabości, porażki czy kompleksy. Każdego roku, gdy się okazuje, że izraelski piosenkarz czy piosenkarka nie otrzymali nagród podczas Europejskiego Festiwalu Piosenki, w mediach i przede wszystkim na izraelskiej ulicy mówi się, że to akt antysemityzmu. Antysemityzm się przydaje, kiedy w zagranicznym hotelu dostanie się mniej atrakcyjny pokój, gdzieś ukaże się negatywna opinia o Izraelczykach lub reprezentacja Izraela w piłce nożnej nie zakwalifikuje się do mundialu. W 2010 roku w okresie rozgrywania meczów piłkarskich w RPA przebojem wśród młodzieży, w tym również dzieci, koleżanek i kolegów Kim ze szkoły podstawowej, stała się parodia hymnu Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej, zatytułowana *El Israel*, o tym, jak to izraelscy piłkarze odpadli w kwalifikacjach, ponieważ „wszyscy nienawidzą Żydów i Izraela”.

Nie-Żydzi w Izraelu

Dwóch Żydów spotyka się na ulicy.

- Witaj Jojne! Coś ty taki blady? Żona ci umarła?

- Gorzej...

- Ajj! Umarł ci twój jedyny syn, Mojsze?

- Gorzej!

- To co może być jeszcze gorsze?

- Mój syn Mojsze... Ajj!, on spotkał złą kobietę!

- To się każdemu może zdarzyć.

- No tak, ale on spotkał gojkę i...

- Nie! Nie mów! Niech będzie przeklęta!

- No tak, mój drogi Szlomo... On też jest teraz gojem!

- No i co zrobiłeś, Jojne?!

- Co mogłem zrobić? Przecież nie mogłem go zabić! Poszedłem do synagogi poskarżyć się Najwyższemu.

- No i co?

- Och, Szlomo, pod koniec dnia usłyszałem w synagodze głos: „Bardzo ci współczuję i dobrze cię rozumiem, bo mój jedyny syn też zmienił religię i teraz jest gojem!”.

Szlomo najpierw na chwilę oniemiał, a potem podsumował:

- Ja na twoim miejscu napisałbym nowy testament i go wydziedziczył!

Jojne posłuchał Szlomo. Wydziedziczył syna i wygnał go z domu. Minęły lata. Coraz smutniej i trudniej było żyć samemu w wielkim domu. Zrobiło mu się żal syna i chciał nacieszyć się wnukami. Pogodził się z synem. Przyjął go wraz z synową i z dziećmi pod swój dach.

Jest niedziela. Dzwonią na mszę. Jojne słyszy, że jego syn z synową wcale się nie śpieszą, wylegają się w łóżku. Puka do ich drzwi.

- Mojsze! Już dziesiąta! Na mszę dzwonili, a ty jeszcze w łóżku?!

Drzwi się otwierają.

- Mój drogi ojczy, przestań wreszcie nazywać mnie Mojsze! Przecież dobrze wiesz, że ja się teraz nazywam Mieczysław. A poza tym, co ciebie, żyda, obchodzi, czy my, katolicy, wypełniamy nasze obowiązki?

- Oj Mojsze, Mojsze! Ty nigdy nie byłeś dobrym żydem. No to chociaż bądź porządnym gojem!

„Dlaczego, nie chcesz zostać żydówką? Tak ci będzie o wiele łatwiej żyć w Izraelu! Pomyśl o swoich dzieciach!” To pytanie szczególnie często zadawali życzliwi mi Izraelczycy. Rzeczywiście bycie nie-Żydówką przysparza problemów: a to ostrzejsza kontrola na lotnisku przed każdym wylotem, niemożność utożsamienia się z syjonistycznym hymnem narodowym państwa, którego jest się obywatelem, czy pogodzenia się z niektórymi ideami judaizmu, ale i syjonizmu propagowanymi w szkołach czy CaHaL-u.

Święta państwowe - religijne i świeckie - są świętami żydowskimi, ale izraelska codzienność funkcjonuje według tych świąt i praw poszanowania soboty, niedziela zaś jest dniem powszednim.

Nie-Żydzi mają w państwie żydowskim problem z otrzymaniem obywatelstwa, a czasami i z pozyskaniem aprobaty środowiska. Niektórzy Izraelczycy są tolerancyjni w kwestii współegzystencji z nie-Żydami, inni głoszą pogląd, że Izrael powinien być państwem wyłącznie dla Żydów.

To, że jestem innej narodowości i innego wyznania, stawia mnie poza nawiasem zdecydowanej większości izraelskiego społeczeństwa. Moja odrębność i odrębność moich dzieci, urodzonych z matki nie-Żydówki, zaznaczona jest w naszych izraelskich dowodach. Ich numery ewidencyjne rozpoczynają się od oznaczającej nie-Żydów cyfry „3” (ten sam numer figuruje również w moim paszporcie najnowszym, wydanym w 2012 roku), a w rubryce: „data urodzenia”, widnieją gwiazdki zamiast daty oznaczonej według kalendarza hebrajskiego, jak jest to w wypadku Żydów. Moje dzieci nie będą mogły zawrzeć związków małżeńskich z Żydami, jeśli będą chciały mieć ślub religijny, a dzieci Kim zostaną automatycznie uznane za nie-Żydów przez Naczelny Rabinat. Niełatwo będzie mnie pochować w Izraelu, ponieważ dla nie-Żydów nie ma tu zbyt wielu cmentarzy, a nieliczne prywatne są bardzo drogie.

W najbardziej świeckim, aszkenazyjskim i „lewicowym”[292] mieście Izraela, w Giwatajim, gdzie mieszkałam, moje dzieci w prywatnym przedszkolu, którego dyrektorką była religijna Żydówka, czy w szkole publicznej, nigdy nie doświadczyły jawnej dyskryminacji. Fizycznie podobne do większości dzieci mieszkańców miasta - europejskich Żydów, nie były religijne, tak jak zdecydowana większość ich kolegów, ale zostały przez nich i ich rodziny zaakceptowane. Koledzy Maćka i Kim przychodzili do naszego domu oglądać bożonarodzeniową choinkę i nie mieli nic przeciwko mojej niekoszternej kuchni.

Kiedy Maciek miał pójść pierwszy raz do szkoły w Izraelu, długo się zastanawiałam, jak ochronić go przed kompleksami wynikającymi z bycia „obcym” i ewentualnym gorszym traktowaniem. Wyjściem z sytuacji wydawała mi się oddalona o godzinę drogi od naszego domu chrześcijańska szkoła francuska w Jafie, do której chodziły głównie chrześcijańskie dzieci arabskie i dzieci cudzoziemców czasowo przebywających w Izraelu.

Bardzo szybko okazało się, że codzienne dowożenie dziecka do szkoły dwoma autobusami jest zbyt czasochłonne i męczące, szkoła nastawiona jest na naukę języka arabskiego i francuskiego, mniej na język hebrajski, klasy są przepełnione, źle wyposażone, a nauczyciele stosują kary cielesne, co, prawnie zabronione, było nie do przyjęcia w szkołach

hebrajskich.

W nowej szkole im. Icchaka Katzenelsona w Giwatajim Maciek został dobrze przyjęty w klasie, a koledzy, których tam poznał, do tej pory są jego przyjaciółmi.

W szkole średniej, mimo że wciąż miał polskie obywatelstwo i tylko status stałego mieszkańca Izraela, został wybrany do reprezentowania Izraela na odbywającym się w Stanach Zjednoczonych Światowym Zlocie Młodzieży, poświęconym walce z agresją na świecie i propagowaniu sportu. Dyrektor i nauczyciele nie mieli problemu z zaakceptowaniem kandydatury mojego syna, ale urzędnikom państwowym i przedstawicielom linii lotniczej El Al, podobnie jak sprawdzającej paszporty i bagaże ochronie na lotnisku im. Ben Guriona w Lod, długo trzeba było tłumaczyć, dlaczego Polak ma reprezentować Izrael. Nie obeszło się oczywiście bez bardzo drobiazgowej rewizji wyłącznie jego bagaży, przeprowadzonej na oczach całej grupy młodzieży.

Jom Kippur: sąd, kamienie, koguty i rowery

Według żydowskiego ruchomego kalendarza solarno-lunarnego noworoczne święta żydowskie: Rosz Haszana (Nowy Rok), Jom Kippur i Sukkot (Kuczki nazywane także Świętem Namiotów), obchodzone są w miesiącu *tiszrej*, przypadającym w kalendarzu gregoriańskim na wrzesień lub październik. W tym ważnym dla Izraelczyków miesiącu, oprócz bycia szlachetnym, prawym człowiekiem, wyjątkowo opłaca się być sadownikiem hodującym jabłka, tradycyjnie spożywane w noworoczne święto, oraz pszczelarzem - z powodu zapotrzebowania na miód, używany obficie dla osłody Nowego Roku. Według danych udostępnionych przez przewodniczącego Związku Pszczelarzy, Hercela Awidora, czterdzieści procent tego pszczelego produktu z czterech tysięcy ton rocznie sprzedaje się właśnie w miesiącu *tiszrej*[293].

Można wtedy także liczyć na najwyższe obroty w sprzedaży płyt DVD z filmami fabularnymi. Szczególnie zajęci w tym okresie bywają sprzedawcy drobiu, masowo nabywanego przez Żydów religijnych na odprawiany w ultraortodoksyjnych dzielnicach ceremoniał *kapparot*[294] i na ostatnią wieczerzę poprzedzającą post w Jom Kippur. Przed tym świętem wszystkie łącznie wypełniają się kąpiącymi, bo właśnie wtedy, jedyny raz w roku, również mężczyźni mają obowiązek pójść do mykwy.

Ale w mojej dzielnicy najbardziej zadowoleni wydają się właściciele sklepów sprzedających rowery - wyjątkowo zajęci zanim nadejdzie Jom Kippur. Przed ich sklepami w okresie przedświątecznym kolejki ustawiają się do późnych godzin wieczornych. Na kilka dni przed świętem sklepy otwarte są do północy, a nawet dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jak pochwalił się jeden ze sprzedawców „w ciągu dwóch tygodni przed Jom Kippur osiągam półroczne zyski”. Nawet izraelska policja dołącza do festynu rowerów i w ramach przedświątecznych porządków z okazji Jom Kippur sprzedaje setki skradzionych obywatelom rowerów po niezwykle okazyjnej cenie[295].

Czas zimowy

Tuż przed „świętami *tiszrej*” przesuwają się wskazówki zegara o godzinę do tyłu i wprowadza czas zimowy. Niektórzy go bojkotują, żyjąc według starego czasu, inni protestują

i dołączają swój podpis do wielu tysięcy już złożonych pod petycjami skierowanymi do rządu.

Czyżby Izraelczycy aż tak bardzo nie lubili zimy, choć wraz z nią pojawiają się długo oczekiwany deszcz i świeże truskawki, trawa zmienia barwę z brązowej na zieloną, łąki są pełne kwiatów, a średnia temperatura wynosi około osiemnastu stopni? Nie. Większość woli łagodną zimę od gorącego lata, ale chciałyby, aby czas zimowy wprowadzono nie w początkach września (o ile Nowy Rok wypada akurat wtedy), ale miesiąc później, w październiku lub choćby w czasie jesiennej równonocy, kiedy nie doskwierają już upały i słońce naprawdę zachodzi wcześniej.

Tymczasem stoją temu na przeszkodzie powody religijne. I chodzi bynajmniej nie o to, że Bóg patrzy na zegarek, ale o to, czy przebaczy ludziom winy, a to w judaizmie uzależnione jest w dużej mierze od wytrwania w pokutnym poście trwającym dwadzieścia pięć godzin. Żeby zmusić zimę do rozpoczynania się w lecie, przesunąć zegarek o godzinę do tyłu i uzyskać tym samym dogodniejsze pod względem temperatury warunki do głodówki i dogodniejsze pory modłów o wschodzie i zachodzie słońca, konieczna była decyzja parlamentu izraelskiego, która zapadła w 2005 roku. Wprowadzony ustawą czas zimowy pozwala grzesznikom pościć w Jom Kippur w mniej słonecznych godzinach i „wcześniej” kłaść się spać, by zapomnieć o pustym żołądku. A wszystko dzieje się tak, jakby nie trzeba było myśleć o skutkach.

Tymczasem gospodarka traci wraz z jedną godziną pracy - pełną naturalnego światła i słońca - setki milionów szekli rocznie. Rodzicom zostaje na kontakt z dziećmi czas o wiele mniej komfortowy, jeśli weźmie się pod uwagę, że we wrześniu zachód słońca przypada mniej więcej na wpół do szóstej. Jest to także pora najintensywniejszego ruchu, więc po zmianie czasu na zimowy Izraelczycy, zamiast w blasku dnia, wracają po pracy do domu dokładnie wtedy, kiedy zaczyna się ściemniać. Rano za to wstają w pełnym słońcu.

Minister spraw wewnętrznych Eli Jiszaj pod wpływem presji społecznej oświadczył, że gotów jest rozważyć wprowadzenie czasu zimowego tylko na okres pierwszych dziesięciu dni miesiąca *tiszrej*, nazywanych Jamim Noraim, Straszny Dniami, oraz na czas Jom Kippur; po zakończeniu postu miałby nastąpić powrót do czasu letniego.

W końcu udało się jednak znacznie więcej. Zanim zakończyłam pracę nad książką, Kneset uległ naciskom premiera Beniamina Netanjahu (jego druga kadencja skończyła się w styczniu 2013 roku, a po wyborach rozpoczęła trzecia) i 5 października 2012 roku uchwalił ustawę, w której ustalony został nowy termin wprowadzania czasu zimowego. Ma to być 1 października każdego roku, niezależnie od świąt żydowskich.

A tak swoją drogą bardzo jestem ciekawa, co do tej pory myślał o tej próbie ułatwienia sobie pokuty Wielki Zegarmistrz Świata? Ja zresztą też miałabym ochotę wnieść osobistą petycję. A nuż udałoby się uchwalić liczenie lat życia do tyłu, zamiast do przodu, przynajmniej od pewnego wieku? Chciałabym znów być osiemnastoletnią dziewczyną! Pomóżcie!

Świąteczna cisza

W dzień wigilii święta Rosz Haszana z sąsiedniego pokoju dochodziło tykanie zegara - jednej z niewielu pamiątek, jakie przywiozłam z Polski. Kiedyś ten zegar wisiał we Lwowie w sypialni dziadków, później u rodziców na Dolnym Śląsku witał gości ustawiony na wprost drzwi wejściowych w przedpokoju. U siebie powiesiłam go tuż obok okna wychodzącego na należące do sąsiadów, miłej pary staruszków, rozłożyste drzewo mango, którego owoce o barwie słońca, słodkie i soczyste, codziennie rozbijały się o maskę mojego samochodu. Ciekawe, co moja babcia Julia, wychowana w religijnej katolickiej rodzinie, powiedziała na to, że jej stary zegar pokaże niedługo czas, kiedy na niebie ukaże się pierwsza gwiazda i da sygnał do rozpoczęcia obchodów żydowskiego Nowego Roku, Rosz Haszana (dosł. Głowy Roku), świętowanego przez moją rodzinę w domu matki Ejala.

Cisza, która nagle zapadła w środku dnia, zaskoczyła mnie nieprzygotowaną. Jeszcze się jej nie spodziewałam, a już była. Stałam w pół kroku. Nasłuchiwałam, rozglądając się dookoła. Dlaczego jestem taka spięta? Coś było nie tak. Gdzie jest Kim?, pomyślałam z niepokojem i w tym samym momencie zobaczyłam ją przez otwarte drzwi dziecinnego pokoju. Siedziała grzecznie przy stole, malując dla babci obrazek w prezencie na święta. Syn? Mąż? Kapali się. Woda w łazienkach lała się na dwa głosy i był to jedyny głośniejszy dźwięk, jaki mogłam usłyszeć.

Zapomniałam, jak to jest, kiedy nieoczekiwanie w centrum najbardziej zagonionego miasta Izraela jedynym dźwiękiem dochodzącym zza okna jest odgłos ptaków. Nagle poczułam się tak, jakbym mieszkała na prowincji, w jakiejś zagubionej wśród zieleni osadzie - może w Had Ness na wzgórzach Golan? Spokój i bezruch przypominały mi chwile wczesnego poranka, tuż przed przebudzeniem, kiedy nie mogąc zasnąć, po raz kolejny przewracam się w łóżku, czekam świtu i pierwszych dźwięków ulicy. Jeszcze przed chwilą przejeżdżały obok mojego domu samochody. Teraz drzemały przy krawężnikach, a ich właściciele przygotowywali się na świąteczny wieczór. Bezruch popołudnia ożywiały tylko spacerujące ulicą koty - teraz należała wyłącznie do nich.

Z ciszą szabasową powtarzającą się w każdy piątkowy wieczór oswoiłam się od lat. Byłam już tak do niej przyzwyczajona, że przestałam zwracać na nią uwagę. Ta świąteczna była jednak inna. Przypominała wigilijną, zapadającą wtedy, gdy się ściemnia, tuż przed pierwszym skrzypnięciem śniegu pod butami świątecznych gości. Tyle że tu temperatura wynosiła trzydzieści dwa stopnie przy siedemdziesięciopięcioprocentowej wilgotności.

„Niech Bóg sprawi, żebyście byli głową, a nie ogonem” i „Dobrego, słodkiego Roku” - życzyliśmy sobie nawzajem przy noworocznym stole mojej teściowej. Nie było modłów ani czytania *Tory*. Syjonistyczna rodzina ojca Ejala zdominowała religijną rodzinę rabina z Brazylii - dziadka mojego męża ze strony matki. Nie odprawiano tego wieczoru żadnych ceremoniałów religijnych, nikt też nie poszedł do synagogi, by się modlić. Poza hebrajskimi czy żydowskimi nazwami tych samych potraw, jakie je się w Polsce, aczkolwiek koszernymi, próżno by szukać egzotyki Bliskiego Wschodu czy religijnego przeżycia. Ot, rodzina, taka jakich wiele, jadła przyjemną, smaczną kolację, ciesząc się dniem wolnym od pracy i życząc sobie nawzajem pomyślnego roku.

Szansa na zmianę

W tradycji judaistycznej po Rosz Haszana następuje dziesięć Strasznych Dni, w trakcie których osądzone są losy ludzi i świata. Sąd Boży odbywa się w Jom Kippur, kiedy to Żydzi przez ścisły post, modlitwę i umartwianie się próbują uprosić łaskę Boga. Ostateczny werdykt zapada wraz z końcem postu.

Szansa na nowy początek, bez balastu tego, co złe, niewątpliwie kusila swą atrakcyjnością, zwłaszcza że była dosłownie w zasięgu ręki. Pracę nad zmianą swojego życia można było zacząć od noworocznego popołudnia i od symbolicznego oczyszczenia z grzechów podczas ceremonii *taszlich* opisaney w *Księdze Micheasza*. Pobożni Żydzi, recytując modlitwę rozpoczynającą się od słów: *We taszlich be'meculot jam kol chatoatam*, „Wrzuć w głębiny morskie wszystkie grzechy”, stawali nad wodą (tą, w której pływały ryby, a więc było w niej życie) i wrzucając w głębinę okruszki wraz ze wspomnieniami wszystkich sytuacji, w których można było postąpić o wiele lepiej, niż się to zrobiło, oczyszczali się z grzechów. Z każdym najmniejszym pluskiem wody w rzece można się było poczuć lżejszym, uwolnionym od wyrzutów sumienia. Potem przez dziesięć dni należało żałować, przepraszać i starać się naprawić szkody, by na koniec przez dwadzieścia pięć godzin nie wziąć do ust ani kawałeczka jedzenia i nie zwilżyć ich nawet wodą. Wraz z dźwiękiem szofaru, baraniego rogu, oznajmiającym w wieczór Jom Kippur ostateczny werdykt, miało się dzięki temu szansę

na zapisanie przez hebrajskiego Boga w Księdze Życia przeznaczonej tylko dla Sprawiedliwych. Patrząc na schyłek dnia, zazdrościłam tym, którzy wierzyli, że to możliwe.

Świąteczny moment zadumy nad sobą i sensem życia w świątecznym okresie *tiszrej* nie był wbrew pozorom powszechnym doświadczeniem. W życiowej codzienności Izraela nie zostawało zbyt wiele miejsca na religijne uniesienia. Mieszka tu sporo nie-Żydów i bardzo wielu Żydów, którzy przestali nimi być pod względem religijnym, choć nadal należą do narodu, jego tradycji, historii i kultury. Gdybym przechodniów na ulicach zapytała, jaki rok żydowski będą świętować, większość pewnie obojętnie wzruszyłaby ramionami, a bardzo niewielu, poza religijnymi, w 2013 odpowiedziałoby, że 5773[296]. Życie toczy się tu według takiego samego kalendarza, jaki obowiązuje w Polsce, tylko rok różni się od żydowskiego liczbą (bagatela!) trzech tysięcy siedmiuset sześćdziesięciu lat. A oficjalny rok kalendarzowy, w Izraelu nazywany *szana ezrachit*, „rok cywilny”, rozpoczyna się, tak jak na całym świecie, w styczniu.

Kapparat

Dwa dni przed Jom Kippur w 2012 roku na stadionie sportowym w Ramat Ganie ponad czterdzieści tysięcy kobiet i kilkunastu rabinów zebrało się na grupowe przeproszenie za winy i modlitwę. Na podwórkach religijnych szkół i ulicach miast w tym czasie tradycyjnie odprawia się dodatkowo starożytny obrzęd uwalniania się od grzechów - *kapparat*. Mama Ejala opowiadała nam, że rytuał *kapparat* kojarzył jej się z okresem dostatku. Jej ojciec, rabin, przez cały tydzień przed Jom Kippur od rana do wieczora chodził po wszystkich żydowskich domach w swojej dzielnicy Laranjeiras w Rio de Janeiro i odprawiał obrzęd, zbierając „tłuste” datki dla swojej rodziny i innych potrzebujących z jego gminy, a brazylijscy Żydzi przed tym dniem byli szczególnie szczodrzy. Ponieważ ani ja, ani mój mąż nigdy nie mieliśmy okazji zobaczyć ceremonii ofiary z koguta, postanowiliśmy pojechać do Jerozolimy i naocznie przekonać się, jak ona wygląda.

Rankiem w Jom Kippur, jadąc w kierunku Jerozolimy, słuchaliśmy wiadomości. Głos w radiu opowiadał akurat o ceremoniale kozła ofiarnego z czasów Świątyni Jerozolimskiej, ponad dwa tysiące lat temu, kiedy Najwyższy Kapłan składał ofiarę całopalną z dwóch jagniąt, wołu, dwóch kóz, dwóch baranów, wina i kadzidła. Zaproszony do studia gość porównywał rytuał do współczesnego obrzędu *kapparat*, podczas którego w zamian za grzechy ludzi ofiarowano Bogu życie kogutów, zabijając je na ulicach miast. Spiker poinformował o tłoku na jerozolimskim, największym w Izraelu targu *kapparat* i podał

dokładną godzinę początku postu Jom Kippur.

Odszukanie targu *kapparot* na dziedzińcu jesziwy w nowej części miasta, w pobliżu bazaru Machane Jehuda w Jerozolimie, nie zabrało nam wiele czasu. Zwierzęcy swąd, który drażnił nozdrza i mdlił, był naszym przewodnikiem, chociaż brak zapowiadanych tłumów budził wątpliwości. Kiedy dotarliśmy do szuku, okazało się, że się spóźniliśmy. Targ skończył się dziesięć minut wcześniej, o jedenastej. Przed zamkniętą żelazną bramą kręciło się tylko kilka osób: jakaś Amerykanka w długiej spódnicy i chustce na głowie z dwójką małych chłopców, mężczyzna w czarnym kapeluszu i białej koszuli i kilku turystów, którzy tak jak my starali się zobaczyć pozostałości targu. Nadal jednak przed wejściem stały samochody ciężarowe częściowo wypełnione spiętrzonymi w wysokie stopy pojemnikami z siedzącymi w nich stłoczonymi kurczakami, wszystkimi białymi. Wystarczyło mi tylko jedno spojrzenie, żeby wiedzieć, że miałam szczęście, przyjeżdżając po czasie. Plac zaśmiecony był odchodami drobiu, piórami i resztkami niewiadomego pochodzenia. Śmierdziało odchodami i jakimś słodko-mdłym zapachem. Przy pierwszym straganie na podłodze podrygiwał w kałuży krwi kogut. Plastikowe, żółte skrzynki ustawione z boku, jedna na drugiej, oblepione były brudną mazią. Tuż przy ciężarówce starszy mężczyzna targował się o koguta. Widocznie doszło do porozumienia, bo kierowca wyjął z klatki dorodnego kura z wyskubanym od gardła do brzucha pasem. Kogut zaczął się wrywać, wydając przejmujące grozą odgłosy. Czyżby przeczuwał, co go czeka? W jego przeraźliwym krzyku słychać było śmierć i strach. Szybko się jednak uspokoił. Widocznie zabrakło mu siły albo pogodził się z losem, kiedy przeniesiono go do kartonu i poniesiono gdzieś, gdzie było mniej ciasno. Możliwe, że mógłby mieć nadzieję na dalsze życie, gdyby nie Jom Kippur.

- Chodźmy stąd - poprosiłam robiącego zdjęcia Ejala i choć dwieście metrów dalej weszliśmy w ulice targu Machane Jehuda z tysiącem przenikających się nawzajem zapachów kawy, owoców, marynowanych oliwek i świeżego pieczywa, nie potrafiłam uwolnić się od kurzego odoru.

Po drugiej stronie szuku, wśród tłumów śpieszących na pobliskie przystanki autobusowe, stało i siedziało na plastikowych, tanich krzesłach kilku religijnych Żydów, którzy w kilku oddzielnych punktach odprawiali nad głowami przystających na chwilę przechodniów ofiarę *kapparot*, trzymając w dłoni pieniądze lub czeki. „Widzisz?, powiedział Ejal. „Tak też można. Nie trzeba zabijać. Można dać pieniądze dla biednych”.

Niedaleko od nas stał stary Żyd z długą siwą brodą. W prawej ręce trzymał nad głową młodej kobiety koguta, szepcząc słowa modlitwy: „W człowieku mieszka ciemność i śmierć...”. Później przełożył białego kurczaka do lewej ręki i okręcając go nad jej głową,

powiedział: „To kogut umrze, a ty będziesz miała dobre, długie życie w pokoju”. Nie uśmiercił go jednak koszernie, przez wykrwawienie, tylko odłożył oszołomionego wirowaniem koguta do kosza, by tam czekał na następnego grzesznika chętnego do pozbycia się grzechów i pozostawienia pieniężnego datku.

Kiedy wracaliśmy do domu, zastanawiałam się, skąd bierze się ta skłonność do zadawania bólu zwierzętom i obojętność na ich cierpienie.

- *Kapparat* było dla mnie bardzo przygnębiające - powiedziałam do Ejala - to takie niepotrzebne: zadawanie bólu zwierzętom i ich nieuzasadniona niczym śmierć.

- Wielu rabinów, w tym wybitnych, takich jak Rambam, Gaon z Wilna, Owadia Josef czy Chaim Dawid Ha-Lewi, potępiało rytuał *kapparat*. Poza tym wbrew temu, co się wszystkim wydaje, na co dzień Żydzi przestrzegają humanitarnego zabijania zwierząt.

- Naprawdę? Zawsze wydawało mi się, że śmierć przez wykrwawienie jest długotrwała i bolesna.

- Nie masz racji. Mięso, by było koszerne, musi pochodzić od zwierząt, które nie cierpiały przed śmiercią. Rytualnemu rzeźnikowi zabronione jest zbyt powolne posługiwanie się nożem, z przerwą lub zawahaniem się, nie może on zbyt mocno ciąć, ani też nadmierne wbijać noża przed rozpoczęciem cięcia. Jeśli nóż ześlizgnie mu się, zedrze tkankę, jeśli nie uśmierci zwierzęcia jednym cięciem, które spowoduje natychmiastowe obniżenie ciśnienia krwi w mózgu i utratę świadomości, to mięso jest niekoszerne, trefne i nie może być dostarczone do koszernego sklepu, koszernej restauracji czy spożyte przez kogoś, kto przestrzega koszerności. No, ale w końcu zgłodniałem od tych rozmów. - Ejal niespodziewanie zmienił temat. - Pewnie ludzie kończą właśnie przygotowania do obiadu przed postem. My też musimy zadbać o naszych gości.

- Akurat w Jom Kippur mamy gości? Nic o tym nie powiedziałaś!?

- To nie ja, tylko Hillel.

- Hillel? Nie znam nikogo takiego!

- Hillel, aforysta sprzed dwóch tysięcy lat miał zwyczaj spacerować ze swymi uczniami. Jeden z nich zapytał go, „Mistrzu, dokąd idziesz?”. „Jak co dzień idę do domu przygotować ucztę mojemu gościowi”, odpowiedział mędrzec”. „To ty, rabbi, masz codziennie gości?”, zdziwił się uczeń. „Czyżby moja biedna dusza nie była gościem w moim ciele? Dzisiaj ona jest, jutro już jej nie będzie”, odpowiedział mędrzec.

I tu mój mąż błazeńsko wznosił oczy do nieba.

Dzień bez samochodów

Około czternastej cała komunikacja zaprzestała funkcjonowania. Lotniska i porty zamknięto. Telewizja i radio przerwały wszystkie transmisje i nie znalazłoby się chyba ani jednego otwartego sklepu czy restauracji. Wokół budynku, w którym mieszkam, wszystkie miejsca parkingowe były zajęte. Samochody, których przez dwadzieścia pięć godzin nikt nie miał prawa używać, zostały postawione w zakazanych miejscach bez obawy przed mandatami za złe parkowanie. Tego dnia poza pogotowiem ratunkowym, policją i strażą pożarną nikt nie pracował. W Jom Kippur, Żydzi przekraczali progi synagog, nawet ci, którzy je zwykle skrupulatnie omijali, ubrani w *kittel*, zakładaną także w dniu ślubu białą szatę symbolizującą czystość duchową, *talit* (tales), szal modlitewny, i płócienne buty (skórzane są tego dnia zabronione). Modląc się, przekazywali sobie nawzajem życzenie: „Obyś był dobrze zapisany”, i czekali w Jom Kippur aż do wieczora na ogłoszenie werdyktu rozliczającego ich ze wszystkich uczynków, kiedy wraz z pierwszym dźwiękiem szofaru otwierają się bramy niebios i boskie miłosierdzie spływa ku pochylonym w pokorze i żalu mężczyznom, a także kobietom, tylko tego dnia mającym prawo uczestniczyć w modlitwie publicznej.

W następnym dniu, dniu pokuty i umartwiania się, jedyne świętszego od szabatu, w czasie kiedy religijni Żydzi pościli, posypywali głowy popiołem, symbolicznie biczowali się i żarliwie modlili, tysiące świeckich rozpoczynało maraton oglądania filmów DVD. W przerwach spotykano się ze znajomymi ze swojej dzielnicy i czasami nawet zamiast tradycyjnych życzeń łatwego postu przez pomyłkę życzonego wesołych świąt.

Ponad połowa Izraelczyków (sześćdziesiąt cztery procent), jak donosi „Jedijot Achronot”[297] na podstawie sondażu przeprowadzonego przez instytut Panels Politics, przestrzega jednodniowej głodówki. Nie wszyscy jednak powstrzymywali się od jedzenia i picia w Jom Kippur z powodów religijnych czy z lęku przed pominięciem w Księdze Życia. Jedni robili to ze względu na rodzinną tradycję lub pod wpływem znajomych, inni w akcie solidarności, jeszcze inni dla zdrowia albo po to, by zbić wagę lub wykazać się silną wolą.

Tego dnia, wyczekiwanego przez cały rok, ulice miast i wsi należą przede wszystkim do pieszych i rowerzystów, którzy chętnie korzystają z okazji, aby móc jeździć i spacerować po jezdniach bez towarzystwa samochodów. A odbywa się to na tak masową skalę, że Jom Kippur można by pomylić z najradośniejszym dla dzieci świeckich Izraelczyków i nie-Żydów „Świętem Rowerów”.

Elena, znajoma kosmetyczka, najbardziej ze wszystkich świąt żydowskich lubi właśnie Jom Kippur z powodu corocznej tradycji spotykania się z rosyjskojęzycznymi

przyjaciółmi nad Jeziorem Galilejskim, gdzie tego dnia można miło spędzić czas bez zwykłego tłoku.

Kiedy w początkowych latach mojej emigracji spacerowałam w wieczór Jom Kippur ulicami miasta, w wielu domach przez okna bez firanek widać było płonące świece. Wszędzie panował spokój, słyszało się rozmowy prowadzone przyciszonym głosem. Rozkoszowałam się czystszy niż zwykle powietrzem i dziwiłam wymarłemu miastu. Podziwiałam jednomyślność Izraelczyków w świętowaniu Dnia Pojednania oraz nastrój skupienia, jaki ogarniał wszystkich, niezależnie od wyznawanej religii. Z każdym rokiem pojawia się jednak coraz więcej zbuntowanych przeciwko świecom, ciszy i wyłączonym odbiornikom telewizyjnym. W ostatnich latach jest coraz głośniejsze, coraz powszechniej korzysta się z elektrycznego oświetlenia, pojawiają się nawet próby zbojkotowania zakazu jazdy samochodami. Czyżby w codziennym zabieganiu nie było już miejsca na świąteczną ciszę, na jeden choćby dzień bez zgiełku, w którym nie da się usłyszeć nawet własnych myśli?

Sukkot: kuczki, najdroższy owoc świata i oszczędność

Ledwo słońce Jom Kippur zaszło za horyzont, oznajmiając koniec postu, dziesiątki niecierpliwych kierowców wsiadło do samochodów i rozbudziło ulice, dając codzienności znak do powrotu. Wraz z pobrzękiwaniem garnków i ulatującymi przez otwarte okna zapachami potraw, Izraelczycy przestali się umartwiać i jeszcze tego samego kończącego Jom Kippur wieczoru zaczęli wbijać pierwsze tyczki konstrukcji namiotów, przygotowując się do Sukkot, Kuczek, nazywanego także Świętem Namiotów lub Świętem Szałasów, które najpierw było świętem plonów, a później upamiętniało okres czterdziestoletniej wędrówki z Egiptu do Ziemi Obiecanej, kiedy mieszkało się właśnie w kuczkach, czyli szałasach. Nieodłączną częścią przygotowań do Sukkot, oprócz budowy namiotów, jest kupowanie świątecznego bukietu złożonego z czterech rodzajów roślin użytych niegdyś do wznoszenia szałasów. W przedświatecznym czasie etrog - odmiana cytronu, lulaw, gałąź palmy, hadas, trzy gałązki mirtu, i arawa, gałązki białej wierzby, są obiektem skrupulatnych poszukiwań prowadzonych przez religijnych Izraelczyków.

Cztery gatunki

Po taki właśnie świąteczny bukiet wyruszyliśmy z Ewą do Bnei Braku na *szuk arbat ha'minim*, czyli bazar czterech gatunków. Już na głównej ulicy Rabbiego Akiwy nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że przeniosłam się do równoległego świata. Miasto, ze swoimi małymi sklepikami, brudnymi ulicami, szewcami, pracowniami krawieckimi, dziesiątkami synagog i jesziw przypominało sztetl, żydowskie miasteczko, które jakimś dziwnym trafem zostało przeniesione z Europy Wschodniej na Bliski Wschód.

Na ścianach domów i betonowych słupach zamiast krzykliwych reklam filmów czy perfum rozlepiono czarno-białe afisze z tekstami po hebrajsku i w jidysz, przeważnie bez żadnych zdjęć, czasami z fotografią mężczyzny w kapeluszu lub kipie. Przypominały obwieszczenia albo klepsydry z długim tekstem. Większość opowiadała o Mesjaszu, który nadejdzie, o wielkości rabinów i o konieczności składania datków, by zapewnić każdej rodzinie stół godny szabatu i świąt. Nie brakowało też aforyzmów i haseł potępiających służbę wojskową w izraelskiej armii. W centrum Bnei Braku z trudem znalazłam plakat z

postać kobiety. Przestrzegał przed grzechem aborcji i wyliczał religijne sankcje za taki „haniebny czyn”.

Szuk czterech gatunków oblężony był przez czarne kapelusze. Przez chwilę się wahałyśmy, czy wejść pomiędzy stragany, ale ciekawość była silniejsza od uczucia skrepowania. Poza tym tego ranka specjalnie ubrałyśmy się skromnie i cnotliwie - w długie spódnice i bluzki wysoko zapięte pod szyją z sięgającymi łokcia rękawami. Byłyśmy pewne, że wyglądem nie różnimy się od pobożnych Żydówek. Bardzo szybko wyłapałyśmy jednak mankamenty naszego przebrania. Oprócz nas żadna inna kobieta nie paradowała z rozpuszczonymi włosami, a te z gołymi nogami w sandałach można było policzyć na palcach jednej ręki.

Dyskretnie przypatrywałyśmy się świątecznym zakupom mieszkańców Bnei Braku. W rodzinie Ejala nikt nigdy nie kupował bukietu z „czterech gatunków”, a jedyny, jaki widziałam, to ten w wersji przedszkolnej, namalowany przez moją córeczkę. Nie miałam więc pojęcia, jak taki bukiet wygląda, choć wiedziałam nawet, że podczas recytowania psalmów w synagodze w święto Sukkot rabin potrząsa nim na cztery strony świata, co symbolizuje wszechobecność Boga.

Cztery składające się na bukiet gatunki także mają znaczenie symboliczne.

Lulaw, gałąź palmy daktylowej mająca smak, ale pozbawiona zapachu, to ci, którzy studiują *Torę*, ale nie spełniają dobrych uczynków, czyli mędrcy niewcielający w życie boskich praw. Jego kształt porównywany do kręgosłupa ma symbolizować zwycięstwo narodu żydowskiego i ofiarę Izaaka.

Hadas, trzy gałązki mirtu obsypane liśćmi, mające zapach, ale pozbawione smaku, to ci, którzy spełniają dobre uczynki, ale nie studiują słowa Bożego, czyli niewykształceni sprawiedliwi. Mają nawiązywać do Jakuba i jego licznego potomstwa. Ich liście kształtem przypominające oko symbolizują długie życie i sukces.

Arawa, gałązki wierzby, niemające ani smaku, ani zapachu, to ci, którzy nie spełniali dobrych uczynków i nie studiowali *Tory*, czyli niewykształceni i nieczyniący dobra. Odwzorowują ludzkie usta - symbol życia, a także życiodajnej wody[298].

Jedynie etrog, owoc cytronu, ma i smak, i zapach. Wyobraża tych sprawiedliwych i bogobożnych, którzy spełniają dobre uczynki i studiują *Torę*, czyli mędrców wcielających w życie nauki etyczne. Kształtem przypomina serce, ale i brzemienną kobietę. Jest symbolem doskonałości i sprawiedliwości, a także idealnej relacji Bóg - człowiek.

- Myślałam, że to rzadki owoc, który trudno znaleźć - zwróciłam się do Ewy, kiedy zobaczyłam przed sobą kilkanaście stoisk z kilogramami etrogów poukładanych w

drewnianych skrzynkach jak brzoskwinie.

- Moja droga, sztuką jest kupić nie jakiś tam etrog, ale ten najlepszy z możliwych, na jaki cię stać. Niełatwo w noc świętojańską znaleźć kwiat paproci, i tak samo niełatwo znaleźć owoc cytronu bez najmniejszej skazy: wyglądający, pachnący i smakujący jak cytryna, ale idealnie żółty, bez najmniejszego uszkodzenia, plamki, bruzdy, nacięcia, z całymi wypustkami i nienaruszonym koniuszkiem. Powinien być symetryczny, mieć owalny kształt, na dole szerszy niż na górze, jak kobieta - Ewa naszkicowała w powietrzu odpowiedni kształt - i równomiernie pofałdowaną gładką skórę. A, i żeby był koszerny, trzeba go zerwać z co najmniej trzyletniego drzewa. Starsze drzewa powinny być przesadzone co trzynaście lat. Cena etrogu zależy od klasy oznaczanej literami alfabetu hebrajskiego od *alef* - najwyższa klasa - do *dalet*, czwartej i najniższej. Nad koszernością i prawidłową klasyfikacją owoców czuwa specjalny inspektor koszerności, który nadzoruje hodowców etrogów przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, przerywając swą pracę jedynie na czas szabatu. Cena pięknego owocu może wynieść nawet pięćset dolarów.

- Oo! Pięćset dolarów?!

- Ano właśnie! Dawniej europejskie gminy żydowskie wysyłały swoich przedstawicieli za granicę po „cztery gatunki”, składając się na ich zakup. Przywieziony bukiet stanowił wspólną własność i był chroniony tak, jak katolicy chronią swoje relikwie. Do dzisiaj szczególnie cenny etrog zawija się w materiał, wkłada, jak szlachetny kamień, w srebrne lub pozłacane pudełko i ofiarowuje w prezencie.

Przez jakiś czas próbowaliśmy wypatrzeć wyjątkowo idealny etrog, ale bardzo szybko dałyśmy sobie z tym spokój. Dla nas wszystkie wyglądały identycznie. O wiele ciekawszy od owoców byli kupujący: wymachujący rękami oglądający etrogi z każdej strony, podnoszący je do światła i oglądający przez szkło powiększające, jakby to były diamenty. Od czasu do czasu wymieniali jakieś uwagi, szeptali coś do siebie i chyba się przy tym modlili, tak to przynajmniej wyglądało. Po kilkunastu minutach badań, rozmów, kiwania głową nic nie wskazywało na to, że zbliża się zawarcie transakcji. Przegonione jak kurczaki przez jakiegoś otyłego młokosa w jarmulce i w przepoconej pod pachami koszuli, wymachującego nam przed nosem rękami, opuściłyśmy szuk, kupując po drodze dwa bukiety gałązek i dwa etrogi - według naszych ocen wspaniałe - o lśniącej jak wypolerowana skórce i powabnych kształtach. Widocznie miały jakąś skazę, bo nie mogę powiedzieć, że kosztowały majątek. My jej nie szukałyśmy, bo i po co? Dla nas były wystarczająco dobre.

Zadowolone odjechałyśmy autobusem do naszego świata kolorowych, olbrzymich plakatów z na wpół obnażonymi modelkami reklamującymi biżuterię i przezroczyście staniki.

Zanim tam dotarliśmy, zdążyłam opowiedzieć Ewie historię najpiękniejszego na świecie etrogu wyszukanego przez pewnego rabina i opisanego przez Szaję Agnona[299] w chasydzkiej opowieści *Etrogo szel oto Cadyk*. Rabin wybierał idealny etrog spośród tysięcy owoców przez całe godziny, z cierpliwością i oddaniem. Gdy go w końcu znalazł, zapłacił za niego bardzo wysoką cenę, o wiele wyższą niż tak naprawdę mógł sobie na to pozwolić. W świąteczny poranek pojawił się jednak w synagodze bez niego, ponieważ swój cenny etrog oddał małej sąsiadce, która przez nieuwagę nieodwracalnie uszkodziła owoc kupiony przez ojca na święta i przestraszona czekającą ją karą, płakała na balkonie przylegającym do balkonu rabina.

Szałas, kuczka, namiot

Następnego ranka, tuż przed Świętem Szałasów, kiedy siedziałam na ławce w małym parku koło mojego domu, przyglądając się balkonom domów sąsiadów, na których ustawione były namioty, obok mnie przeszła wolno starsza pani z wózkiem i małą dziewczynką.

- Babciu, masz siekierę? - zapytało poważnie dziecko.

- Siekierę? - zdziwiła się babcia.

- Tak, tylko popatrz! Tutaj rośnie takie duże drzewo, mogłabyś je ścinać, babciu, i zbudować sobie szałas na Sukkot, bo jeszcze go nie masz - wyjaśniała zadowolona ze swojego pomysłu dziewczynka.

Ale dziś nie trzeba ścinać drzew na świąteczne szałas, które przypominają raczej piknikowe namioty niż schronienie dla rodziny. Przeważnie nie buduje się już kuczek zbitych z desek, jakie kiedyś spotykało się w Polsce (drewno w Izraelu jest bardzo drogie), choć i takie można jeszcze zobaczyć, zwłaszcza w Jerozolimie. Świąteczne szałas mogą być wykonane z różnych materiałów i mieć różny kształt. Każdą najmniejszą rzecz potrzebną do ich postawienia można bez problemu kupić w sklepach lub na specjalnych przedświątecznych targach.

Buduje się je tak, by przez dach, zwykle pokryty liśćmi lub słomianą matą, widoczne było niebo. Należy w nich jeść, przyjmować gości, spać, modlić się i radować. Izraelczycy ustawiają je na balkonach, podwórkach, placach miast i wiosek, nawet na chodnikach. Każda prawie restauracja ma swój szałas, podobnie jak urzędy miejskie, szpitale, szkoły i inne instytucje publiczne. Widać je w parkach, na skwerach, w muzeach i teatrach.

Na drewnianych tyczkach lub gotowych aluminiowych konstrukcjach rozpina się materiał - zazwyczaj biały lub z kolorowymi rysunkami przedstawiającymi historię wędrówki

Żydów przez pustynię. Oświetla się wnętrze lampionami, świeczkami, kolorowymi światełkami - takimi, jakie wieszają się na Boże Narodzenie - przyozdabia łańcuchami, gwiazdami zrobionymi z papieru i błyszczącymi złotymi girlandami.

Izraelskie dzieci przygotowują specjalnie na Sukkot ozdoby, którymi stroją namioty, podobnie jak polskie dzieci choinkę, czekając na *uszpizin* - siedmiu sprawiedliwych mężów: Abrahama, Izraela, Jakuba, Józefa, Mojżesza, Aarona i Dawida. Każdy, kto zawita do namiotu, uważany jest za ich przedstawiciela i przyjmowany z radością jako zwiastun dobrobytu i łaski Bożej. Nic więc dziwnego, że w ciągu siedmiu dni Sukkot, które przypada piątego dnia po Jom Kippur, Izraelczycy szczególnie lubią podejmować gości i bywać u innych.

Oszczędność

Rozmowa, której byłam przypadkowym świadkiem, rozbawiła mnie i przypomniała mi historię naszego nowego namiotu ustawionego na balkonie. Przez lata nie budowaliśmy namiotu na Sukkot. W każdym miejscu stały różnego typu szałas, kuczki, namioty i każdy, kto tylko chciał, mógł w nich posiedzieć. Poza tym w czasie świąt jeździliśmy do rodziny męża do małej miejscowości koło Netanii, gdzie co roku namiot przygotowywano w ogrodzie i zapraszano całą rodzinę, by w nim gościła.

Kilka lat temu Kim stanęła przede mną i Ejalem i z naburmuszoną miną oświadczyła:

- Szlomit buduje szałas, a ja co?

- Szlomit? Twoja koleżanka z przedszkola? Nigdy o niej nie słyszeliśmy. - Oboje byliśmy zdziwieni.

- Szlomit buduje szałas oświetlony i zielony, a my nie - powtórzyła moja zawiedziona córka.

Widząc nasze zaskoczone miny, tym razem zaśpiewała, a my się nareszcie domyśliliśmy. Szlomit była tylko wymyśloną dziewczynką z popularnej piosenki dla dzieci, co wcale nie zmieniało faktu, że powinniśmy byli mieć nasz własny, rodzinny namiot, w którym w czasie świąt moglibyśmy razem posiedzieć, objadając się jabłecznikiem z cukierni „Hekster”, i gdzie Kim mogłaby zaprosić swoje koleżanki. Zaczęliśmy go szukać w sklepach, a że Ejal potrafi być bardzo rozrzutny albo wręcz przeciwnie bardzo oszczędny i nieustępliwy, spędziliśmy długie godziny na poszukiwaniu takiego, by wielkością odpowiadał niestandardowym wymiarom naszego balkonu i był niedrogi. Okazało się, że takie чудо w Tel Awiwie nie istnieje albo myśmy go nie znaleźli. Wszyscy sprzedawali drogie i koszerne

namioty (ze specjalną adnotacją o koszerności). Można też było kupić *suka kszera le'mehandrin*, czyli namiot superkoszerny, odpowiadający najwyższym standardom ultraortodoksyjnym. Tanich, niekoniecznie koszernych, nie było.

Rano przed Świętem Namiotów wymyśliliśmy, że gdzie jak gdzie, ale w ultraortodoksyjnym Bnei Braku, w końcu najbiedniejszym, na pewno muszą mieć tanie namioty na małe balkony. Nie wzięliśmy jednak pod uwagę, że najbiedniejszy nawet ortodoksyjny Żyd gotów jest zapłacić sporą sumę nie tylko za idealny etrog, ale również za świąteczną kuczkę z kilku tyczek i białego płótna z oknem wyposażonym w siateczkę. Ceny w Bnei Braku nie różniły się wiele od cen w Tel Awiwie. Ejalowi wydatek około siedmiuset szekli za kompletny namiot wydawał się przesadzony i za taką sumę nie chciał go kupić. Wzorem poprzednich pokoleń postanowił zbudować szkielet namiotu z drewnianych tyczek (tanich i łatwo dostępnych u stolarzy), a do tego dokupić sprzedawany w sklepach z pasmanterią najtańszy bawełniany materiał na ściany. Żeby było tanio (w tamtym czasie to akurat słowo dźwięczało mi w uszach aż do znudzenia), ładnie i zielono, przytargaliśmy na dach świeżo ścięte liście palmy daktylowej z kiściami brunatnych daktyli (w okresie przedświątecznym miejscy ogrodnicy masowo ścinają gałęzie drzew i bez problemu można je zabrać do domu za darmo).

Przez godzinę Ejal stukał młotkiem. Pomagał mu Maciek. Kim radośnie podskakiwała wokół nich, klaszcząc w ręce i śpiewając w kółko tę samą piosenkę o młotku, gwoździu i Szłomit. Kiedy namiot był nareszcie gotowy, ustroiliśmy go tymi samymi łańcuchami, światełkami, gwiazdami i innymi ozdobami, którymi ubieraliśmy bożonarodzeniową choinkę, dołożyliśmy nowe ozdoby z kolorowego papieru i umieścili na małym stoliku owoc granatu spożywany w okresie świąt

Kim była bardzo dumna z rodzinnego szałas. Przez całe święta chciała spać tylko w nim i nie odstraszyły jej nawet komary.

W następnym roku zbudowanie namiotu zajęło Ejalowi aż półtorej godziny nerwowego stukania (Maciek gdzieś dyplomatycznie się zawieruszył), nie licząc następnej wycieczki do Bnei Braku po słomiankę na dach zamiast niepraktycznych i szybko wysychających liści palmowych. Przy wbijaniu gwoździ w drewniane tyczki okazało się, że zostały one uszkodzone, i to już ostatnie z dwóch zaledwie świąt, kiedy będą użyte.

W kolejne święto Sukkot dokonaliśmy nareszcie finałowego zakupu. Oczywiście znów pojechaliśmy do Bnei Braku i tym razem znaleźliśmy idealną konstrukcję, dokładnie taką, jaką kupuje większość Izraelczyków, wygodną do złożenia, solidną i odporną na podmuchy wiatru. Jej inne wymiary zmusiły nas do kupna odpowiednich ścian z płótna. Ile

zapłaciliśmy za nowy, kompletny namiot? Siedemset szekli. No cóż, człowiek uczy się na błędach i gotów wszystko zrobić dla radosnego uśmiechu swoich dzieci i możliwości popatrzenia na gwiazdziste niebo przez dach własnego namiotu.

Boże Narodzenie: pomarańcze i pojednanie

Kiedy chrześcijanie wraz z pierwszą gwiazdą na niebie dzielą się w Polsce opłatkiem, śpiewając kołysankę żydowskiemu dziecku *Jeszu* (Joszui), Jezusowi, i wspominając Miriam, Maryję, która „rąbek z głowy zdjęła”, by otulić pierworodnego syna, Izrael nie świętuje narodzin czczonego przez dwa miliardy trzysta tysięcy chrześcijan[300] Jezusa z Nazaretu, z rodu Dawida, zwanego też Synem Najwyższego i Królem Żydowskim. Izraelczycy prawie nic o nim nie wiedzą, a ortodoksyjni Żydzi uważają Go za *masziach szeker*, fałszywego proroka nakłaniającego, by odejść od wiary przodków. Starają się więc nie wymawiać Jego imienia i nie przechodzić w pobliżu Jego wizerunków. Niektórzy, także ci świeccy, czują się niezręcznie, zwiedzając kościoły i wolą do nich nie wchodzić.

W kraju, gdzie tylko około dwóch procent mieszkańców (około stu osiemdziesięciu tysięcy - CBS, 2012) to chrześcijanie, w Wigilię i święta Bożego Narodzenia życie toczy się swym niezmiennym biegiem. Jak co dzień stoi się w korkach po drodze do i z pracy, robi się zakupy, sprząta, ogląda filmy, biega w parkach. Restauracje nie są oblegane bardziej niż zwykle. W radiu nie nadaje się nastrojowych piosenek, nie ma żadnych świątecznych programów, a ostatnią transmisję z pasterki w Betlejem Izraelczycy nakręcili w 1994 roku.

Choinki czy inne bożonarodzeniowe ozdoby rzadko pojawiają się w witrynach sklepów, choć po przybyciu imigrantów rosyjskich już częściej. Oczekiwany w społeczności rosyjskiej *Died Moroz* dociera jednak do Ziemi Świętej dopiero z początkiem Nowego Roku. Ktoś, kto chciałby natknąć się na Mikołaja, powinien pojechać do arabskich sklepików w Jafie, na świąteczną paradę do Nazaretu lub położonego na terytorium Autonomii Palestyńskiej Betlejem, przejść się ulicami Kany Galilejskiej, Jerozolimy czy Hajfy. Choinki, sztuczne lub zastępujące świerki tuje czy cyprysy, można zobaczyć w niektórych hotelach, na szukach, w chrześcijańskich dzielnicach żydowskich czy arabskich miast, no i w Ramat Ganie, gdzie mieszka „gojka z Polski”.

W moim domu, jeśli święta Bożego Narodzenia przypadają w tym samym czasie co Chanuka, Święto Światła, wyciąga się z szafy *chanukija*, dziewięcioramienny świecznik i ustawia go na półce w rogu pokoju, w którym stoi bożonarodzeniowa choinka. Kiedy zapada zmierzch, zapala się świececzki i choinkowe lampki, śpiewa kolędy i piosenki o cudzie oliwy palącej się w zdobytej przez Judę Machabeusza Świątyni Jerozolimskiej.

Chag ha'Molad, Święto Urodzenia, Izraelczykom kojarzy się raczej z grudniowymi kiermaszami w Europie wystrojonej w szatę świateł, z atrakcyjnym programem przedstawień w Londynie, stokami narciarskimi Dolomitów i Alp oraz z obniżkami cen w sklepach Nowego Jorku. Mnie natomiast z tęsknotą. Imigrantom najbardziej brakuje Polski i bliskich właśnie w tę noc, kiedy ich rodziny siedzą bez nich przy nakrytym białym obrusem stole, dzieląc się oplatkiem i powracając pamięcią do tych, których już nie ma.

Zapach pomarańczy

W moich wspomnieniach Boże Narodzenie pachnie cytrusami. To spuścizna dorastania w okresie przedświątecznych kolejek po pomarańcze i mandarynki w socjalistycznej Polsce. Wtedy docierały one do sklepów tuż przed Wigilią, w skrzynkach zbitych z jasnych deseczek. Każdy owoc miał w nich swoją małą jamkę, kryjówkę otoczoną cieniutką bibułką nasączoną egzotycznym zapachem. Każdą pomarańczę wyciągało się na mroźne polskie powietrze pojedynczo. Jak klejnot z atlasowego pudełeczka ze złoceniami. Jej zapach silniejszy był od woni grzybów, kapusty, a nawet smażonego karpia. Pozostał ze mną przez lata jako zwiastun świąt i niewytłumaczalnej nostalgii za czymś nie do określenia.

Na skrzynkach i na samych owocach z grudniowych dostaw widniały nalepki z napisem „Jaffa”. W Polsce niewiele on dla mnie oznaczał. Myślałam, że to nazwa firmy zajmującej się eksportem owoców i nie kojarzyłam jej ze starożytnym portowym miastem arabskim. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że będę kiedyś spacerować po krętych, kamiennych uliczkach gubiących się w morzu czy oprowadzać moich znajomych po siedemnastowiecznym kościele św. Piotra, w którym mieści się polska parafia. Jej proboszczem jest Jakub Hersz Griner z Zamościa, obecnie ksiądz Grzegorz Pawłowski - Żyd w czasie wojny uratowany przez Polaków.

Nie byłabym w stanie wyobrazić sobie, że przyjdzie taki dzień, kiedy będę świadkiem profanacji moich bożonarodzeniowych owoców spędzanych do taniego, plastikowego worka, rozwożonych ulicami miasta, w którym będę żyć, przez powożącego wychudzonym konikiem nieogolonego pana, krzyczącego co jakiś czas: *tapuzim!*, pomarańcze!

Mimo że cytrusy już dawno utraciły dla Polaków status rarytasu, mnie do tej pory trudno przejść obojętnie obok gnijących pod drzewami mandarynek, stosów cytrusów na straganach o cenie niższej niż ziemniaki czy minąć bez zachwyty pomarańczowe drzewka.

Polska parafia

Pod koniec lat osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych w Tel Awiwie często słyszało się język polski. W niedziele i święta w polskiej parafii w Jafie było wesoło i gwarno. Ksiądz Pawłowski organizował wycieczki po Izraelu i pielgrzymki do świętych miejsc, pomagał w znalezieniu pracy, prowadził punkt informacyjny, a jego parafialny kościół był „dobrym adresem” dla każdego potrzebującego Polaka - małym skrawkiem Polski, schronieniem i domem.

Kiedy w 1989 roku po raz pierwszy uczestniczyłam we mszy w Jafie w Boże Narodzenie, kościół i plac przed nim pełne były Polaków. Po upadku socjalizmu w Polsce wielu czekającym na azyl polityczny w krajach Europy rodakom odmówiono prawa do obywatelstwa i poproszono ich o wyjazd. Część postanowiła poszukać odmiany losu w Ziemi Świętej, skąd mieli nadzieję udać się dalej, głównie do Stanów, Kanady i Australii. Dołączyli do nich także ci, którzy z powodu kryzysu i inflacji postanowili czasowo wyjechać na „Zachód” i nielegalnie podjęli pracę w Izraelu. Wśród nich było sporo moich znajomych.

W 2009 roku na polskiej pasterce w Jafie zajęte było tylko kilka pierwszych ławek. Gdyby nie przedstawiciele ambasady, kilku zabłąkanych turystów i Filipińczycy, których bardzo wielu pracuje w Izraelu w charakterze opiekunów starszych ludzi, we mszy uczestniczyłoby zaledwie kilkanaście osób. Wierni nie pamiętali słów kolęd, a prałat Grzegorz Pawłowski mocno się postarzał. Miałam wrażenie, że zapał i energia, z którymi zawsze mi się kojarzył, już go opuściły. Śpieszył się, by skończyć mszę. Możliwe, że nie czuł się tego dnia najlepiej. Przez cały dzień lało, było zimno, około dwunastu stopni, i wszyscy w Tel Awiwie chodzili zakatarzeni.

Wigilia pojednania

Rok później w dniu Wigilii stał się cud. Przy temperaturze dwudziestu dwóch stopni w Ramat Ganie spadł śnieg, choć nie z nieba, tylko z ciężarówek, którymi został przetransportowany na jeden dzień z północnego krańca Izraela - z góry Hermon. Izraelskie dzieci na centralnym placu miasta bawiły się śnieżkami i zjeżdżały z usypanego pagórka, po prostu siedząc na śniegu.

Słuchając relacji z zimowej zabawy mojej siedmioletniej wtedy córki, myślałam o tym, że i kolacja wigilijna może okazać się wyjątkowa. Po raz pierwszy po dwudziestu latach od mojego ślubu z Ejalem udało mi się zaprosić na świąteczną kolację brata mojego męża i jego matkę. Do tej pory nie odważyłam się tego zrobić, aby ich nie stawiać w niezręcznej

sytuacji. Moje stosunki z matką Ejala nigdy nie były ciepłe, choć stały się poprawne. Przez wiele lat nie odwiedzała naszego domu ani w zwykły, ani w świąteczny dzień. Dopiero po przyjsciu na świat Kim nadszedł czas większej bliskości, choć nadal niewystarczającej na to, by i moje zdjęcie postawione zostało w ramce obok zdjęć całej rodziny na biurku mojej teściowej. Wzajemne porozumienie dla mnie osiągnęło apogeum w bożonarodzeniową noc 2010 roku. Przy wigilijnym stole moja rodzina łamała się opłatkiem z rodziną mojego męża, życząc sobie miłości, zdrowia i szczęścia. Wydawało mi się to bardzo naturalne i zwyczajne, jak gdyby wspólne świętowanie Żydów i chrześcijan było wielopokoleniową tradycją.

Poczucia wyjątkowości doświadczyłam także w kościele w Jafie dzięki polskiej pielgrzymce do Ziemi Świętej. W celebrowanej przez trzech księży pasterce uczestniczyło mnóstwo wiernych, były śpiewy, trzymanie się za ręce i atmosfera Polski. Oprócz katolików na mszę przyszli też Żydzi, których już wcześniej widywałam czasami w kościele w otoczeniu krewnych katolików. Tym razem jednak było ich o wiele więcej niż zwykle. To do nich odprawiający mszę ksiądz tuż przed komunią skierował po hebrajsku słowa ostrzeżenia, aby nie przyjmowali eucharystii, jeśli nie są katolikami.

Czyżby nadszedł czas tolerancji i początków odradzania się izraelskiej Polonii? Na Ziemi Świętej zdarzają się przecież cuda.

Czas nostalgii, czyli zakończenie

Próba opisania Izraelczyków i Izraela przypomina rozmowę ślepego z rabinem z książki Angela Wagensteina *Pięcioksiąg Izaaka*[301]:

- Rebe, co teraz robisz?
- Piję mleko.
- Jak wygląda mleko, rebe?
- To taki biały płyn.
- Co znaczy „biały”?
- No... biały jak łabędź.
- Co znaczy „łabędź”?
- Taki ptak z wygiętą szyją”.
- Co znaczy „wygiętą”, rebe?

Rabin zgiął rękę w łokciu.

- Proszę, pomacaj i zrozumiesz, co znaczy „wygięta”.

Ślepy Josel obmacał ostrożnie rękę i w końcu rzekł:

- Dziękuję ci, rebe. Teraz już wiem, jak wygląda mleko!

Komuś, kto tu jest tylko przejazdem, Izrael wydaje się swojski. Przybysz z każdego zakątka świata odnajdzie tu skrawek swojej ojczyzny przywieziony w tułaczym bagażu przez Żydów. W wielu miejscach odkryje rozpoznawalne ślady swojego kraju, zwyczajów i zachowań rodaków. W miastach i osadach towarzyszyć mu będą dźwięki mowy ojczystej, refreny popularnych melodii i znajome nazwy. Podobieństwa stworzą iluzję poznania opartą na powierzchownych obserwacjach, często błędnie interpretowanych lub słusznych wyłącznie w odniesieniu do małego wycinka rzeczywistości.

Ten kraj, pełen paradoksów i sprzeczności, nie daje się bowiem łatwo wpisać w schemat; wszystko zmienia się w nim dosłownie z dnia na dzień, a w wielu kwestiach nie ma jednej właściwej odpowiedzi. Bezsprzecznie jest to tygiel narodowości, religii i kultur. Z biegiem lat utwierdzam się jednak w przekonaniu, że kontrasty zamiast się zacierać, jeszcze się pogłębiły, że każda grupa zdaje się odczuwać silną potrzebę znalezienia własnej małej niszy, wąskiego kręgu podobnych kulturowo ludzi. A wyjście poza ten krąg nadal przypomina wyprawę do cudzoziemskich sąsiadów, obcych, których zna się tylko pobieżnie i traktuje stereotypowo.

Izrael, gdzie większość stanowią Żydzi wschodni, w gruncie rzeczy jest krajem

Orientu. Dla turystów z Europy to po prostu egzotyka, dodatkowa atrakcja. Dla *olim chadaszim* - miejsce, z którym bardzo trudno się oswoić i utożsamić. Absurdalnie, poczucie obcości nie tylko nie maleje z upływem czasu, ale wręcz się potęguje, aż po zrozumienie, że w świecie pełnym sprzeczności i konfliktów musi ono stać się nieodłączną częścią rzeczywistości. Integracja z tym światem nigdy zapewne nie będzie pełna, choć nie wyklucza to głębokiego przywiązania.

Na początku mojej emigracji ktoś mi powiedział, że kiedy toczy się wojna, z Izraela się nie ucieka, do Izraela się wraca. Kiedyś wydawało mi się to absurdalne. Nie mogłam zrozumieć, że można narażać życie dla idei państwa, którego nie popierają nawet wszyscy Żydzi. Instynkt życia na to nie pozwoli, myślałam, traktując to oświadczenie jako mało prawdopodobne.

W 2012 roku szwajcarski ekonomista i analityk rynku Marc Faber, znany z trafnych prognoz, zalecał, aby inwestować w metale szlachetne i akcje przedsiębiorstw, ponieważ *sooner or later, the U.S. or Israel will strike Iran - it's almost inevitable* („prędzej czy później, USA lub Izrael zaatakują Iran - to prawie nieuniknione”)[302]. Izraelskie gazety od początku 2012 roku codziennie pisały o wysokim prawdopodobieństwie konfliktu izraelsko-irańskiego. Zapewniały, że Izrael jest gotowy do wojny, choć jednocześnie przyznawały: nie do końca wiadomo, czego się spodziewać, kiedy wybuchnie, i jak się zakończy. Mimo to sondaże opinii publicznej, opublikowane w izraelskich mass mediach w marcu 2012 roku, pokazywały, że tylko znikomy procent Izraelczyków - świadomych zagrożenia - opuściłoby Izrael na czas wojny.

Dziś lepiej rozumiem niezwykłą wprost solidarność Żydów, ich lojalność wobec siebie i poczucie przynależności do narodu żydowskiego, a teraz także izraelskiego, niezależne od nieusuwalnych, jak by się wydawało, wewnętrznych sprzeczności i różnic.

Mimo upływu lat nadal oswajam się z Izraelem, który wciąż zdumiewa mnie swą wyjątkowością. Codziennie odkrywam nowe fakty, pojęcia i... słowa. Choć mieszkam tu od tak dawna, w restauracjach mój akcent, blond włosy i słowiański typ urody sprawiają, że podaje mi się menu po angielsku i wciąż słyszę grzecznościowe pytanie, od kiedy jestem w Izraelu. Bycie kimś z zewnątrz, spoza kręgu solidarności narodowo-religijnej czasem jest bolesnym doświadczeniem, choć rozumiałam, że taka jest cena za bycie nie-Żydówką w państwie żydowskim. Wiem, że w jakimś stopniu za poczucie braku przynależności winę ponoszę również ja sama. Jestem typem samotniczki, więc trudno mi się stać częścią jakiegoś kolektywu. Ja, podobnie jak Izrael, niełatwo daję się oswoić obcym. Kiedy jednak wyjeżdżam, tęsknię za Izraelem tak samo jak za Polską, którą opuściłam.

Porównania

W 1991 roku za porcję popularnego w Izraelu ulicznego dania o nazwie falafel płaciłam trzy szekle. W 2013 w tym samym małym lokalu „Falafel ha'teomim” na ulicy Ben Guriona 184 w Giwatajim, dwanaście. W izraelskiej gospodarce stało się już normą to, że ceny dyktuje, poza jakąkolwiek kontrolą ze strony państwa, sieć firm dysponujących wpływami politycznymi i właściciele środków masowego przekazu, które zawarły porozumienie. W rozbudowanym systemie *kablanut* (payrolling, czyli przekazanie zewnętrznemu partnerowi obsługi kadrowo-płacowej), w którym pracowników angażują firmy wyspecjalizowane w pośrednictwie pracy, setki tysięcy ludzi, zmuszonych do dzielenia się swoimi zarobkami z pośrednikami będącymi ich pracodawcami tylko formalnie, przez lata pracuje bez dodatków socjalnych czy szansy na stałą umowę o pracę, na warunkach kontraktowych o wiele gorszych niż w wypadku zatrudnienia bezpośrednio przez pracodawcę. Izraelczycy protestują z powodu podwyżek i astronomicznych cen mieszkań, złej sytuacji w sektorze zdrowia i relatywnie niskich zarobków klasy średniej.

Jednym z przyjętych sposobów oceny stopnia rozwoju gospodarczego i jakości życia w danym kraju jest określenie poziomu zmotoryzowania wyrażone w przypadającej na tysiąc mieszkańców liczbie pojazdów. Według danych Centralnego Biura Statystycznego za 2012 rok w Izraelu są to tylko trzysta trzydzieści czterdzieści dwa pojazdy wobec pięciuset pięćdziesięciu w Europie Zachodniej. W skali kraju ponad połowa Izraelczyków (sześćdziesiąt jeden i osiem dziesiątych procent) ma przynajmniej jeden samochód. W samej metropolii telawiwskiej wskaźnik ten sięga osiemdziesięciu trzech procent, a w Lod, niedaleko Tel Awiwu, wynosi tylko dziesięć procent (dane z 2011 roku).

Od 1994 roku dzięki Prawu o państwowym ubezpieczeniu zdrowotnym każdy obywatel ma zapewnioną pełną opiekę zdrowotną i obniżony koszt leczenia. Izraelskie szpitale są jednak przepełnione. Brakuje w nich miejsc, nawet na korytarzach, a także personelu medycznego, którego praca jest nisko opłacana.

Kiedy w styczniu 2008 roku, w hotelu Dan w Tel Awiwie, tłumaczyłam wywiad dziennikarza „Maariw”, Jehudy Szaroniego, z Lechem Wałęsą, najbardziej znanym w Izraelu Polakiem, obok papieża Jana Pawła II i Józefa Piłsudskiego, Lech Wałęsa, zapytany o swoje obserwacje z pobytu w Izraelu odpowiedział krótko: „Dużo budujecie. I to wszędzie”. Ostatnie słowa zabrzmiały jak wyrzut. Rzeczywiście w ciągu ostatniego dziesięciolecia trwa boom w branży budowlanej. W 2003 roku między Tel Awiwem a Jerozolimą wybudowano na

nieużytkach zupełnie nowe siedemdziesięcioletnie miasto - Modi'in Illit. Z powodu wzrostu cen mieszkań (w 1991 w Tel Awiwie mieszkanie kosztowało średnio około trzystu osiemnastu tysięcy szekli, w kraju - dwieście trzydzieści tysięcy; w 2011 odpowiednio - milion siedemset sześćdziesiąt tysięcy i milion sto tysięcy (dane CBS) i niesłabnącego popytu na nie liczba budów rozpoczętych w latach 2008-2009 okazała się najwyższa w historii Izraela.

W rezultacie zmiany norm dopuszczalnego zagęszczenia ludności w miastach krajobraz miejski całego kraju, a zwłaszcza Tel Awiwu, zaczyna się gwałtownie zmieniać. W najbliższych latach stolica Centrum wzbogaci się o dziesiątki luksusowych drapaczy chmur wysokiej klasy architektonicznej i technologicznej. Wizjonerzy planujący futurystyczny wygląd miast izraelskich mają nadzieję, że już wkrótce będą one podobne do najbardziej nowoczesnych pnących się ku niebu miast amerykańskich.

Część Izraelczyków nastawiona jest krytycznie wobec metamorfozy państwa, w którym wzmacniają się wpływy środowisk ultraortodoksyjnych i rozprzestrzenia się fundamentalizm narodowo-religijny. Wyraziło się to w styczniowych wyborach (2013). Niespodziewanie szerokie poparcie społeczne zdobyła, utworzona w 2012 roku Jesz Atid (Jest Przyszłość), partia Jaira Lapida, druga pod względem liczby zdobytych mandatów poselskich (dziewiętnaście), której program koncentruje się na problematyce ekonomicznej - obniżce cen mieszkań, poprawie sytuacji klasy średniej, walce z korupcją, reformie oświaty i zdrowia, porozumieniu z Palestyńczykami, powoływaniu *charedim* do służby wojskowej. Spora część wyborców głosowała na partię syjonistyczno-religijną Ha'Beit Ha'Jehudi (czwarta pod względem liczby głosów, dwanaście mandatów), przeciwną „powstaniu państwa palestyńskiego w jakiegokolwiek formie na zachód od granicy z Jordanią” (cytat z programu wyborczego), popierającą osadnictwo na Terytoriach Okupowanych oraz operacje wojskowe jako broń przeciw terroryzmowi, ale także uznającą potrzebę poprawy sytuacji klasy średniej, powoływania *charedim* do wojska, reformy oświaty i zdrowia.

Zamach na Icchaka Rabina, który był symbolem pozytywnych zmian politycznych w Izraelu, druga wojna libańska, którą stojący na czele komisji rządowej Kontroler Państwa (Mewaker ha'Medina) nazwał „dotkliwym niepowodzeniem rządu i wojska w kwestii zabezpieczenia zaplecza”[303], oparta na nowoczesnej technologii wojskowej broń użyta przeciw Izraelowi podczas operacji *Filar obrony* - wszystko to dało do myślenia. Doniosłe porozumienia pokojowe, to podpisane w Oslo (1993 rok), umożliwiające powstanie Autonomii Palestyńskiej, i umowa pokojowa z Jordanią (1994 rok), wycofanie się wojsk izraelskich z Libanu i Gazy, ewakuacja żydowskich osiedli i obozów wojskowych, a także

nowy status Strefy Gazy, która przestała być zamkniętą strefą militarną, niewątpliwie świadczą o poważnych zmianach zachodzących w kwestii unormowania stosunków żydowsko-arabskich. Mimo to rozwiązanie problemu spornego terytorium, wobec którego roszczenia wysuwają dwa narody: palestyński i izraelski, nadal wydaje się odległe. Izraelski absurd państwa w stałym zagrożeniu militarnym i terrorystycznym, gdzie akceptuje się nierówny udział obywateli w obowiązku jego obrony, sprawia, że wielu publicystów czołowych gazet i zwykłych ludzi z troską myśli o tym, co stanie się z państwem żydowskim w najbliższych dziesięciu latach, kiedy nadal nie będzie pokoju i nie będzie miał kto służyć w izraelskim wojsku, skoro także świeccy Izraelczycy coraz częściej uchylają się od tej powinności, a najbardziej płodnymi społecznościami są Arabowie i zwolnieni od służby wojskowej Żydzi ultraortodoksyjni. Jak długo będzie się mówić swemu nowo narodzonemu dziecku: „jak dorosisz, w Izraelu nie będzie już wojny”, by po osiemnastu latach odprowadzić córkę czy syna do koszar i martwić się, gdzie będą w momencie ogłoszenia kolejnej operacji militarnej?

Niepokój budzą też inne kwestie: dlaczego w XXI wieku w *Erec Israel* Żydzi ultraortodoksyjni zachowują odrębność i mają możliwość odcięcia się od reszty tak dalece, jakby żyli w zupełnie innym świecie, w oderwaniu od własnego państwa i obowiązujących w nim zasad współżycia społecznego? Jaki sens ma utrzymywanie tego państwa, jeśli co roku szybciej niż inne zwiększa się populacja „obywateli drugiej kategorii”?

Eksperyment budowania państwa i kształtowania nowej społeczności - izraelskiej, wciąż nie jest ukończony, wciąż ma potencjał przeobrażania się, który czyni go nieprzewidywalnym. W tym rejonie świata rzeczywistość społeczno-polityczna i układy sił zmieniają się codziennie, a Izraelczycy nie porzucili nadziei ani na pokój, ani na to, że ich kraj może naprawdę stać się Ziemią Obiecaną, miejscem dobrobytu i bezpieczeństwa.

Alternatywa

Możliwość życia na małym skrawku ziemi, gdzie spotkać można osobliwości z całego globu, i stania się, choćby na jakiś czas, częścią jednej z najbardziej pluralistycznych społeczności na świecie niewątpliwie jest fascynująca, co potwierdzić może wielu Izraelczyków i turystów.

Madonna, gwiazda muzyki pop zainteresowana żydowską kabałą, która zazwyczaj spędza święta w Izraelu, w wywiadzie dla programu telewizyjnego *Erew tow im Gaj Pines* (Dobry wieczór z Gaj Pines) powiedziała: „Kocham Izrael. Jest on dla mnie źródłem energii,

miejszem spotkania wszystkiego z wszystkim. Jest w nim chaos i nieporozumienia, ale jednocześnie i magia. Za każdym razem, kiedy przyjeżdżam do Izraela, znajduję w nim inspirację. Kiedy zaś wyjeżdżam, czuję przyływ sił witalnych”.

Nie sposób się tu nudzić czy narzekać na to, że nic się nie dzieje. Ja nadal mam jednak poczucie, że jestem w tym kraju tylko przez przypadek, na chwilę, która się rozrosła, a przeznaczone dla mnie życie, zawieszona w czasie, czeka gdzie indziej, w Polsce. Tam być może mogłoby się rozegrać inaczej, a ja byłabym kimś zupełnie innym, niż jestem (w domyśle lepszym, bo przecież każdy z nas ma wizję doskonalszej wersji samego siebie i swojego losu, z którą przyszło mu się rozminąć). Nadal czekam na życie zaplanowane w dzieciństwie. No cóż, sama jestem sobie winna. Gdybym nie wyjeżdżała na drugi koniec Polski, by studiować, gdyby moi rodzice żyli nadal, sąsiedzi nie wprowadzili się do mieszkania po ojcu, mogłabym przyjeżdżać do rodzinnego miasta i mieć pewnie od czasu do czasu szansę zobaczenia ludzi, z którymi byłam emocjonalnie związana, a których brakuje mi w Izraelu.

Mogłam wrócić po studiach na Śląsk, uwić nowe gniazdo na starym miejscu, posłać swoje dzieci do „mojej” szkoły podstawowej, a potem do liceum. Przychodziłabym na wywiadówki do budynku pamiętającego tulipany z ogródka babci zerwane dla mnie przez zakochanego chłopaka, „olimpijczyka” z chemii, tego samego, który podczas sprawdzianu, siedząc w szafie za moimi plecami, starał mi się „pomóc” w rozwiązywaniu równań, bo nie miałam o nich pojęcia. Moje dwie koleżanki do tej pory tam uczą.

Miałam możliwość pozostania w kraju urodzenia. Nikt mnie stamtąd nie deportował ani nie zmuszał do wyjazdu. Gdybym nadal mieszkała w Polsce, musiałabym z pewnością stanąć do „wyścigu szczurów” i pokazać, na co mnie stać w nowym ustroju. Obawiam się, że na niewiele, bo sama myśl o konieczności udowodnienia czegokolwiek przeraża mnie tak, że zwykle stoję w miejscu i nie potrafię się ruszyć. I proszę, nie pytajcie dlaczego, bo zaczęłabym wymyślać jakieś niestworzone rzeczy albo nie potrafiła wydukać ani słowa.

Jak wyglądałoby moje polskie życie, gdybym związała się z polskim chłopakiem lub nie wychodziła za mąż w ogóle, tylko żyła bez życiowego partnera (wersja mało prawdopodobna, bo nie nadaję się do samotnego życia)? Na pewno o wiele częściej widywałabym moich braci, a ich dzieci rosłyby o wiele wolniej niż teraz, kiedy mały Michaś nie wiadomo kiedy staje się studentem Michałem. Moja córka, Kim, byłaby pewnie Anią, a nie Metuką („Słodką”), Maszi zaś wyłącznie Maćkiem (nie potrafię sobie nawet wyobrazić, że mogłoby ich nie być).

O wiele częściej chodziłabym po górach, częściej też śpiewała (zawsze urządzaliśmy

rodzinne koncerty) i wygrzewając twarz w powracającym wiosną słońcu, wzruszała się na widok pierwszych kwiatów - te kwitnące przez cały rok, izraelskie, straciły dla mnie swą niezwykłość, choć nie urok.

Czułabym się oczywiście „u siebie”, „swoja wśród swoich”, prawie taka sama, choć inna, chociaż nie udało by mi się pewnie uwolnić od uczucia nieokreślonej tęsknoty do czegoś, czego nie potrafię nawet nazwać, wiecznego niedosytu niezwiązanego z miejscem zameldowania. Izrael byłby dla mnie tylko jednym z wielu obcych państw na świecie. Nie znalazłabym hebrajskiego, a Żydzi pozostaliby dla mnie mitycznym obcym narodem i nikt nie czytałby teraz tego tekstu.

Rachunek sumienia

Czy żałuję, że wyjechałam? Stary banał, ale trafny: zawsze, kiedy się coś zyskuje, coś się traci. Wybór oznacza konieczność odrzucenia, a do jego weryfikacji potrzebna jest perspektywa czasu i możliwość porównania. Dla mnie konsekwencje podjętej kiedyś decyzji nie są jeszcze do końca oczywiste. Każdego następnego dnia w moim życiu, podobnie jak w Izraelu, wszystko może się niespodziewanie zmienić. Czasami tak już bywa, że małe wybory znaczą o wiele więcej niż te pozornie wielkie.

Wiem z całą pewnością, że za emigrację płaci się nostalgią, tęsknotą i idealizowaniem starej ojczyzny. Wraz z wyjazdem na stałe do nowego państwa traci się oparcie w najbliższej rodzinie (a może dlatego bardziej się ją ceni?). Wiem też, że życie w innym kraju zmusza nas do zdefiniowania na nowo samego siebie, a odkrycie, że nie da się kontynuować tego, co znane, wypróbowane, przewidywalne i określone, pociąga za sobą niepewność i frustrację na długie lata.

Jeszcze teraz czuję się jak wędrowiec na obcych drogach, zafascynowany tym, co widzi i przeżywa, ale i zmęczony potrzebą osvajania się z czymś na nowo, napięciem poznawczym i niemożliwym do okiełznania uczuciem obcości. Chciałabym odpocząć w świecie znanych mi zakamarków i wspólnych faktów z biografii, tylko że ten świat już nie istnieje. Mnie zaś pozostaje jedynie złudzenie, że ściskam w ręku klucz do polskiej rzeczywistości i samej siebie pozostawionej tam dwadzieścia lat temu.

Wrażenie, że Polska zastygła w czasie jakoś nie może mnie opuścić i zwodzi przekonaniem o tym, że ona czeka dokładnie w punkcie, w którym ją zostawiłam. Oczywiście wiem, że Polska bardzo się zmieniła od początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy wyemigrowałam. Za każdym razem, gdy tam jadę, przeżywam dysonans poznawczy i czuję

się zaplatana w czasie. Idę do kiosku, którego już nie ma, choć powinien być dokładnie w tym miejscu, lub pytam w sklepie o „szetland” (tak kiedyś mówiło się na wełniany sweter w Rybniku), a dziewczyna za ladą patrzy na mnie, jakbym... no właśnie, była z zagranicy.

Uczucie zagubienia towarzyszy mi, kiedy słucham rozmów Polaków. Padają nazwiska gwiazd, o których wiele nie słyszałam, nie śmieszają mnie dowcipy, bo nie znam kontekstu, nie rozumiem pewnych slangowych określeń. Łapię się na tym, że kultowe dla Polaków nowe filmy nie wzruszają mnie czy nie śmieszają tak bardzo jak polskich widzów, a najnowsze wiadomości w gazetach musiałyby być specjalnie dla mnie opatrzone przypisami.

Sytuacja ta ma też swoje pozytywne strony: wszystkich swoich znajomych widzę takimi, jacy byli dwadzieścia lat temu, i nawet nie potrafię ich sobie inaczej wyobrazić. Czyżbym dlatego dotąd ich nie spotkała, że próbuję rozpoznać twarze wśród wracających ze szkoły licealistów zamiast wśród ich rodziców? Ze mną zresztą jest podobnie, tak jakbym pozostała prawie niezmienną. Kłopot tylko z lustrem. Oszukuje mnie, pokazując jakąś panią w średnim wieku pobazgraną kreseczkami zmarszczek. Ech, gdzie się podziały tamte polskie lustra i ludzie, którzy się razem ze mną w nich odbijali?

Ucieczka

Nad tym, czy nie zostawić Izraela i wrócić do Polski, zastanawiałam się wiele razy. Miałam wszak możliwość i ta świadomość stała się dla mnie mechanizmem obronnym uruchamianym zawsze, gdy w Izraelu nie czułam się zdomowiona ani bezpieczna.

Najgorzej było chyba podczas drugiej intifady, w okresie, kiedy terroryści wybrali na obiekt ataku autobusy. Ja jeździłam nimi codziennie do pracy. Wsiadając, robiłam rachunek sumienia, a wysiadając, dziękowałam Opatrzności za życie.

„Dlaczego nie wyjeżdżacie?”, dopytywała moja rodzina w Polsce. „U was jest przecież wojna. Przyjeżdżajcie do nas!”, dodawali rozsądnie, a ja i moja izraelska rodzina przyznawali im rację. Mimo to zostaliśmy. Dlaczego? Nie z powodu rzeczy wielkich, tylko tych banalnie małych, choć tak podstawowych: dom, praca, szkoła, drzewa, pod którymi lubi się siadać, miejsca rozpoznawalne na odległość, przyjaciele i rodzina mojego męża, z którą Ejał jest bardzo zżyty. Jak zresztą moglibyśmy nagle zostawić nasze życie? A poza tym wierzyliśmy w rozsądek, w to, że musi nadejść zmiana na lepsze...

Polskie książki

Przez pierwsze lata żyłam pomiędzy dwoma rzeczywistościami: Polską, o której ciągle myślałam i do której tęskniłam, a Izraelem, gdzie stworzyłam rodzinę i starałam się zbudować zwyczajne życie. W tamtym czasie nie kupowałam książek, wypożyczałam je w Polskiej Księgarni na ulicy Allenby w Tel Awiwie. Musiałabym je przecież porzucić w chwili powrotu do Polski, a to, wierzyłam, może się zdarzyć każdego roku.

Książki zawsze były dla mnie czymś więcej niż zapisanymi kartkami papieru. Były moimi alternatywnymi światami, do których wracałam wiele razy. Te napisane po polsku niczym pępowina łączyły mnie z przeszłością, rodziną, dziedzictwem kraju mojego urodzenia, dzieciństwa i młodości. Ale kupować je zaczęłam w chwili, kiedy poczułam, że Izrael stał mi się bliski. Stopniowo, wraz z kolejnymi latami bogatymi w nowe doświadczenia i przede wszystkim wraz z silnym związkiem emocjonalnym moich dzieci z Izraelem, zauważyłam, że z zamieszkałej w Izraelu Polki stałam się również trochę Izraelką.

Gdyby dzisiaj ktoś chciał koniecznie wiedzieć, komu bym kibicowała, gdyby przeciwko sobie grały drużyny Izraela i Polski, musiałabym go, niestety, rozczarować: w ogóle nie oglądałam meczów. Przyparta do muru pytaniem, kim się czuję bardziej, Polką czy Izraelką, odpowiedziałabym, że Polką. I to chyba nigdy się u mnie nie zmieni, choć łapię się i na tym, że w Polsce, jak swoich, bronię Izraelczyków, a w Izraelu - Polaków. Czy jednak koniecznie trzeba wybierać między jednym i drugim? Dlaczego nie wybrać czasem dwóch rzeczy naraz?

W ostatnich latach nachodzą mnie niespokojne myśli. Bywałam już świadkiem wyrzucania na śmietnik polskich książek gromadzonych przez całe życie w domach Żydów z Polski, których potomkowie po polsku nie czytają i nie mówią. Mój mąż nie zna języka polskiego. Moja córka Kim, choć rozumie, co się do niej mówi, sama nie mówi po polsku. Maciek wyśmienicie zna język polski, ale obraca się głównie w kręgu Izraelczyków i nie ma nikogo poza mną, z kim mógłby w tym języku rozmawiać.

W Izraelu nie ma już polskich księgarń, a antykwariaty, nie mając klientów, nie skupują polskiej literatury. Polskich książek przeważnie nie ma też komu darować. Dla spadkobierców są już tylko bezużytecznymi kilogramami papieru, którego trzeba się pozbyć, bo zabiera cenne miejsce w mieszkaniu.

Co stanie się z moimi polskimi książkami, kiedy mnie już nie będzie? Czy moje dzieci wrosnięte w wyrażaną językiem hebrajskim izraelską rzeczywistość, uratują je przed unicestwieniem? A jeśli nawet tak, to dla kogo?

Podziękowania

Daniemu Traczowi jestem bardzo wdzięczna za pracę włożoną w gromadzenie informacji, za sugestie dotyczące kształtu książki, wielokrotną korektę faktograficzną tekstu, cenne uwagi, doświadczenie wydawnicze, a przede wszystkim za miesiące rozmów i dyskusji.

Gorąco dziękuję redaktorce książki, pani Halinie Hałajkiewicz, za trud redakcji książki, inicjatywę zmiany jej kształtu, zaangażowanie, skrupulatność, ale także wyrozumiałość, życzliwość i rozsądek, profesjonalizm i rzeczowość. Bez niej *Izrael oswojony* byłby inną książką.

Dzięki wielogodzinnym sesjom fotograficznym, zdolnościom i bezinteresownemu poświęceniu Katarzyny Sikory w książce można oglądać fantastyczne zdjęcia - serdecznie za nie dziękuję.

Gorące podziękowania należą się również Hananowi Isacharowi za udostępnienie zdjęć.

Serdecznie dziękuję moim przyjaciołom i znajomym: Uziemu Freidkinowi, Karolowi Jaronowi Bekerowi, Hance i Jurkowi Pressom, Rimonie Weintraub, Mirze (Miriam) Krum-Ledowskiej, Piotrowi Adamczykowi, Basi, Januszowi i Romkowi Karbaszom, Ewie Woźniak, Witkowi Lilientalowi, Antoniemu Gryzikowi, Kaśce Sikorze i Sebastianowi „Semikowi” Wielosze, za lekturę tekstów, uwagi merytoryczne i językowe, budującą krytykę i życzliwość.

Jestem bardzo wdzięczna wszystkim, w książce wymienionym z nazwiska lub pod pseudonimem, którzy poświęcili swój czas i uwagę, aby udzielić mi wywiadów, odpowiedzieć na ankiety, podzielić się ze mną wspomnieniami i przemyśleniami, a także opiniami o Izraelu i Izraelczykach, w rozmowach i za pośrednictwem internetu. Szczególnie ciepłe słowa należą się „Rasel”, Ejalowi Lewinsonowi i Branleyowi Zeichnerowi. Wszystkim Wam bardzo dziękuję.

Literatura

Moim głównym źródłem informacji były rozmowy i wywiady ze znajomymi, przyjaciółmi, osobami publicznymi, a także komentarze do moich tekstów na blogu. Korzystałam z publikacji internetowych, czerpałam informacje z izraelskich dzienników: „Haarec”, „Jedijot Achronot”, „Maariw”, „Globes”, „The Marker”, „Kalkalist”, programów telewizji Aruc 2, Aruc 10, Chadaszot 2. Bardzo często sięgałam do roczników CBS, izraelskiego Centralnego Biura Statystycznego.

Z bogatej literatury na temat Izraela podaję te pozycje, do których w swojej książce bezpośrednio nawiązałam.

Barnavi Eli, *A Historical Atlas of the Jewish People. From the time of the Patriarchs to the Present*, Schocken, New York 2003.

Begin Menachem, *The Revolt - story of the Irgun*. Translated by Samuel Katz, Hadar Publishing, Tel Aviv 1964.

Benvenisti Meron, *Sacred Landscape: The Buried History of the Holy Land Since 1948*, University of California Press, Berkeley 2000.

„Biuletyn IPN”, nr 11 (58), listopad 2005.

Bright John, *Historia Izraela*, PAX, Warszawa 1994.

Cała Alina, Hanna Węgrzynek, Gabriela Zalewska, *Historia i kultura Żydów polskich. Słownik*, WSiP, Warszawa 2000.

Cohen Abraham, *Talmud*, Cyklady, Warszawa 1999.

Dagan Chagai, *Ha'mitologia ha'jehudit*, Mapa, Tel Awiw 2003.

Dobrowolska Irena, *Koszerne i trefne*, Watra, Warszawa 1983.

Eisler Jerzy, *Polski rok 1968*, Warszawa 2006.

Erenburg Ilja, *Burzliwe życie Lejzorka Rojtszwanca*, przeł. Maria Popowska, Warszawa 1957.

Graves Robert, *Mity hebrajskie*, Cyklady, Warszawa 2002.

Greenwald Zew, *Bramy Halachy. Religijne prawo żydowskie. Kicur Szulchan Aruch dla współczesności*, red. Sacha Pecaric, Stowarzyszenie Pardes, Kraków 2005.

Grupińska Anka, *Najtrudniej jest spotkać Lilit. Opowieści chasydek*, „Twój Styl”, Warszawa 1999.

Ha'arachat masaot bnei noar le'Polin be'sznat 2009; Haszpaot kognitiwiot, erkijot we'rigszijot, Misrad Ha'chinuch, September 2011 (Raport Ministerstwa Oświaty Izraela).

Hagada na Pesach, psalm 69, przeł. Salomon Spitzer, Wiedeń 1938.

Ha'raw Israel Meir Lau, Jahadut halacha Le'ma'ase. Dwarim sze'baal-pe, Modan, Tel Awiw 1998.

Horne Edward, *A Job Well Done: A History of the Palestine Police Force, 1920-1948*, Book Guild, Lewes, East Sussex 2003.

Hughes M., *The banality of brutality: British armed forces and the repression of the Arab Revolt in Palestine, 1936-39*, English Historical Review Vol. CXXIV No. 507 (2009).

Humboldt Wilhelm, *Rozmaitość języków a rozwój umysłowy ludzkości*, KUL, Lublin 2001.

Israel Statistical Office, *Immigration to Israel 1948-1972*, Jerusalem 1973.

Kameraz-Kos N., *Święta i obyczaje żydowskie*, Warszawa 2000.

Kisielewski Stefan, *Dzienniki*, Iskry, Warszawa 1996.

Klugman Aleksander, *Polonica w Ziemi Świętej*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1993.

Köhler Ludwig, Walter Baumgartner, Johann Jakob Stamm, Mervyn Edwin John Richardson, Benedikt Hartmann, *The Hebrew and Aramaic lexicon of the Old Testament*, Brill, Leiden 1999.

Lewińska Maria, *Przechowane słowa*, Tel Awiw 2008.

Łagiewski Maciej, *Macewy mówią*, Ossolineum, Wrocław 1991.

Mielnik Jakub,
<http://www.focus.pl/historia/artykuly/zobacz/publikacje/jak-polacy-stworzyli-izrael/>, Focus.pl,
5 maja 2008.

Morris Benny, *The birth of the Palestinian refugee problem, 1947-1949*, Cambridge University Press, Cambridge 1987.

Milon Ewen-Szoszan ha'Merukaz, red. Awraham Ewen-Szoszan, Am Owed, Tel Awiw, 2007.

Nasze życie. Zbiór opowiadań młodzieży uratowanej z zagłady hitlerowskiej, Hajfa 1966.

Neeman Jael, *Byliśmy przyszłością*, przeł. Agnieszka Jawor-Polak, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2012.

Neusner Jacob, Bertold Spuler, Hady R Idris, *Judaism in late antiquity*, Brill, Leiden 2001.

Opowieści rabina Nachmana z Braclawia, Mercury, Kraków 1999.

Pakentreger Aleksander, *Od kolebki do zgonu*, Kalendarz Żydowski 5748.

Pismo Świąte Starego i Nowego Testamentu, *Biblia Tysiąclecia*, wyd. trzecie, Pallottinum, Poznań-Warszawa 1980.

Polski słownik judaistyczny, red. Zofia Borzymińska i Rafał Żebrowski, Prószyński i Spółka, Warszawa 2003.

Prager Dennis and Joseph Telushkin, *Why the Jews? The Reason for Antisemitism*, Simon and Schuster, New York 1983.

Rabbi Mosheh, *Masa'ot Erets Yis'rael, Ha'Hevrah ha'Ivrit la'hakirat Erets Yis'rael ve'atikoteha*, Jerusalem 1939.

Rocznik Statystyczny Izraela (publikowany w internecie).

Rosenberg Goran, *Kraj utracony. Moja historia Izraela*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2011.

Siemieński Mieczysław, *Księga świąt i obyczajów żydowskich*, Interpress, Warszawa 1993.

Sobelman Michał, *Wyjazd*, „Śląsk” nr 10/2008.

Spoleczność żydowska PRL przed kampanią antysemitką lat 1967-1968 i po niej, IPN, Warszawa 2009.

Stola Dariusz, *Kraj bez wyjścia? Migracja z Polski 1949-1989*, Warszawa 2010.

Stola Dariusz, *Emigracja pomarcowa*, Instytut Studiów Społecznych, Uniwersytet Warszawski, Seria: Prace Migracyjne, nr 34, Warszawa 2000.

Szapira Icchak, Josef Elitzur, *Torat Ha'Melech. Ha'Machon Ha'Torani Sze'aljad Jesziwat*, Od Josef Chaj, Itzhar 2009.

Tanach, Koren, Jeruzalaim 2000.

Torańska Teresa, *Jesteśmy. Rozstania '68*, Świat Książki, Warszawa 2008.

Unterman Alan, *Encyklopedia tradycji i legend żydowskich*, Książka i Wiedza, Warszawa 2004.

Wagenstein Angel, *Pięcioksiąg Izaaka*, Zysk i S-ka, Poznań 2009.

Weinbaum Laurence, *Marriage of convenience, New Zionist Organization and Polish Government 1936-1939*, Columbia University Press, Seria: East European Monographs, New York 1993.

Weinryb Bernard Dow, *Jehudej Polin el michuc le'Polin*, w: Izrael Bartal, Izrael Gutman, *Kijum we'szewer. Jehudej Polin le'dorotejhem, Kerach alef*, Merkaz Zalman Szazar, Jeruzalaim 1997.

Węgrzyn Ewa, *Emigracja ludności żydowskiej z Polski do Izraela w latach 1956-1957. Przyczyny, przebieg wyjazdu, proces adaptacji w nowej ojczyźnie*, Zeszyty Naukowe UJ, Prace historyczne, zeszyt 137, Wyd. UJ, Kraków 2010.

Wigoder Geoffrey, *Encyclopedia of Judaism*, Macmillan, New York 1989.

Żbikowski A., *Żydzi*, Wrocław 1997.

Tel Awiw, położone nad Morzem Śródziemnym centrum kultury, rozrywki, mediów i polityki. Drugie po Dolinie Krzemowej najlepsze na świecie miejsce do zakładania nowych firm high-tech. Nazywane „państwem telawiwskim” ze względu na powstałą w ostatniej dekadzie drastyczną różnicę w poziomie życia, rozwoju kulturalnym i gospodarczym między metropolią a resztą kraju



W lipcu 2011 setki tysięcy ludzi wyszło na ulice, aby pod hasłem: „Naród żąda sprawiedliwości społecznej” demonstrować przeciw pogłębieniu się nierówności i drastycznemu pogorszeniu swojej sytuacji życiowej oraz poprzeć żądanie uwolnienia Gilada Szalita (stąd maska i flaga z jego podobizną). A wszystko zaczęło się od Dafni Leewi, która po kolejnej podwyżce cen czynszu zamieszkała w namiocie na jednym z głównych skwerów Tel Awiwu i na Facebooku zaapelowała o przyłączenie się do jej protestu. Na ten właśnie apel odpowiedzieli Izraelczycy w całym kraju



Dafni Leewi stała się symbolem walki o równość społeczną



Nowoczesna dzielnica Giwatajim, w której mieszkałam. Zaledwie kilka lat temu na tym wzgórzu, porośniętym dziką roślinnością, dzieci z okolicznych szkół paliły ogniska w Lag ba'Omer, Święto Ognia



Przy wejściu na bazar ha'Karmel w Tel Awiwie Żydzi ultraortodoksyjni i świeccy mijają się na jednej ulicy. Chaim Nachman Bialik, wieszcz Izraela, marząc o „zwykłym” kraju, gdzie „zwykła” jest także codzienność, napisał: „Kiedy będziemy mieli pierwszego izraelskiego złodzieja i pierwszą izraelską prostytutkę, będziemy w pełni narodem”. Izraelski paradoks: dziś typowym Izraelczykiem, obywatelem żydowskiego państwa, w którym żyje czterdzieści trzy procent Żydów świata, jest „nieżydowski Żyd”



Izraelczycy nie lubią formalnego sposobu ubierania się, preferują we wszystkim prostotę i prostoliniowość. W tłumie na drewnianym deptaku nad Morzem Śródziemnym często pojawiają się mieszkańcy Jafy, Arabki i Arabowie, którzy stanowią część społeczności telawiwskiej



Izraelscy Arabowie w Tel Awiwie



Nad bezpieczeństwem w miejscach publicznych początkowo czuwało wojsko. Od lat osiemdziesiątych czuwają setki prywatnych firm, przy czym w latach dziewięćdziesiątych zajęcie to prawie w całości przeszło w ręce *olim* z krajów byłego ZSRR. *Jesz neszek?*, *Jest broń?*, pytanie to, zadane ze śpiewnym rosyjskim akcentem, słyszy się przy każdym wejściu do obiektów publicznych



Rosyjski skrzypek dorabiający graniem na ulicy. Wielu *olim* z byłego ZSRR, nie mogąc znaleźć pracy zgodnej ze swoim wykształceniem lub w swoim zawodzie, przyjmowało nisko opłacane zajęcia: ekspedientek w supermarketach, ochroniarzy sprawdzających torebki i bagażniki samochodów, stróżowanie na parkingach. Po dwudziestu trzech latach rosyjskich emigrantów ceni się za pracowitość i spełnianie obowiązków obywatelskich, takich jak służba w wojsku czy uczestnictwo w życiu politycznym kraju



Alte zachen (jidysz), „stare rzeczy”, tak nazywany jest objeżdżający miasto w poszukiwaniu wyrzuconych niepotrzebnych sprzętów wóz zaprzężony w konia. Nazwa pochodzi od gromkiego nawoływania, jakie wykrzykuje przez megafon lub odtwarza z nagrania woźnica. Dziś to już coraz rzadszy widok



Charakterystyczny dla lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych prosty budynek z wieloma klatkami schodowymi, nazywany *rakewet*, „pociąg”. Kiedyś były to osiedla przeznaczone dla *olim*, dziś są tu mieszkania o najniższym standardzie



Takie budynki tworzą typową zabudowę izraelskich miast



Bałagan jest częścią izraelskiego życia - plątana kabli na zewnątrz budynków, rury kanalizacyjne na wierzchu, zaśmiecone ulice są elementem miejskiej scenerii. Czystość jest luksusem, za który słono płaci się w najdroższych dzielnicach. W ostatnich latach zaczęto dbać o ekologię i wprowadzać specjalne pojemniki na plastik i makulaturę



„Tamara”, słynny kiosk z sokami z owoców i warzyw na rogu ulicy Dizengoff i Alei Ben Guriona w samym centrum Tel Awiwu. W Izraelu świeżych owoców i warzyw nie brakuje o żadnej porze roku



Pełen zestaw hummusu, pasty z ciecierzycy z czosnkiem, sezamem i oliwką, w wersji polanej obficie thiną, pastą z sezamu z nieprzetartą ciecierzycą, posypany słodką papryką i pietruszką, z dodatkiem przetartej ostrej papryki. Obok falafel - ciecierzycy smażona w głębokim tłuszczu, pity i pomidory, cebula, kwaszony ogórek. Często dodaje się też orzeszki piniowe, gorący bób i jajka na twardo



Izraelczycy uwielbiają oliwki - jest ich mnóstwo, najróżniejszych gatunków, podobnie jak oliwy z oliwek. Askal, wyhodowaną w Izraelu odmianę oliwek, ceni się na świecie. Najstarsze, liczące sobie około trzech tysięcy lat, drzewa oliwne, które do tej pory owocują, można oglądać w Galilei, w wiosce Deir Hanna oraz w Jerozolimie, w Getsemani. Dwie gałązki oliwne umieszczone są w godle Izraela



Suszone i kandyzowane owoce, dziesiątki gatunków prażonych orzechów, słonych i słodkich, hummus, zielony groszek, soja, pestki dyni, słonecznika, daktyle, imbir w cukrze i naturalny to miejscowy przysmak, kupowany zwłaszcza na sobotę, święta i wspólne oglądanie telewizji



Rikudej am, taniec ludowy, jest popularny wśród Izraelczyków. Kilka razy w tygodniu spotykają się nad morzem, na miejskich placach, w aulach sportowych i domach kultury, by wspólnie odańczyć rumuńską horę, arabską debkę czy naszą polkę. Tańczą też przy dźwiękach współczesnej muzyki popularnej, zwykle wschodniej. Nie ma prawie przeboju, którego nie zatańczono by w kręgu, linii czy nawet, od czasu do czasu, w parach



Życie zaczyna się na emeryturze. Powstają kluby, organizuje się system studiów, wykłady, zajęcia sportowe i wycieczki specjalnie dla tzw. trzeciego wieku. Pary po siedemdziesiątce w dzinsach, trzymające się za ręce jak nastolatki to w kawiarniach, restauracjach, teatrach, na koncertach częsty widok



Jaffo (hebr.), Jaffa (arab.), Jafa (pol.). W mieście administracyjnie należącym do Tel Awiwu Arabowie chrześcijanie i muzułmanie mieszkają razem z Żydami. Ono samo zachowuje jednak swój arabski charakter



W *szesz-besz*, czyli tryktraka, grę znaną od pięciu tysięcy lat, nadal grywa się na ulicach, w kawiarniach i izraelskich domach. Na pchlim targu w Jafie codziennie spotykają się jej szczególnie gorliwi zwolennicy, grający ze sobą od wielu lat, i to trzy razy dziennie! W Izraelu odbywają się mistrzostwa w tej grze



Polski kościół parafialny w Jafie



Najbardziej zagęszczone i najbiedniejsze żydowskie miasto Izraela -
stusześćdziesiąt tysięcy Bnei Brak



Typowy dla Bnei Braku zaułek; domy z poprowadzoną na zewnątrz instalacją
elektryczną, butlami gazowymi i silnikami klimatyzatorów



Rzekł rabin Jehoszua Ben Karcha: „Kto zaniedbuje dawania jałmużny, grzeszy tak samo, jakby popełnił bałwochwalstwo”. *Cadka tacil mi'mawet*, „Jałmużna wybawi od śmierci”, mówi *Talmud*. Skarbonki, pojemniki na odzież i produkty spożywcze są przy każdym prawie skrzyżowaniu, przy budynkach użyteczności publicznej, synagogach i w sklepach



Sklepy z perukami to w ultraortodoksyjnych dzielnicach i miastach częsty widok



Tu przestrzega się zasady segregacji płci - przejście wyłącznie dla mężczyzn



Bnei Brak słynie z synagog, jesziw i innych szkół religijnych. Jesziwat Poniewież (Poniewicz) to jedna z najważniejszych na świecie akademii talmudycznych dla nieżonatych mężczyzn



W tej jesziwie uczą się litwacy



W społeczności *charedim* rabini i admorzy otaczani są podziwem i uwielbieniem - to ich wizerunki sprzedaje się w tym sklepie



Charedim w strojach charakterystycznych dla swego odłamu



Chasydzi i Żydzi jemeńscy noszą pejsy, choć to tylko zwyczaj, a nie nakaz halachy. U chasydów długość i sposób zakładania (lub niezakładania) pejsów za ucho to oznaka przynależności do konkretnego dworu rabinackiego i świadectwo pobożności



Ten chiuch - ha'kol le'towa, „Uśmiechnij się - wszystko zmierza ku dobremu”. Zwolennicy rabina Nachmana z Braławia w charakterystycznych białych czapczkach wyznają zasadę, że „Bogu należy służyć w radości”. Raz w tygodniu w odosobnionym miejscu rozmawiają z Bogiem, opowiadając mu o swoim życiu i problemach



„Na Nach Nachma Nachman Me'Uman” - chasydzi rabina z Braławia podróżują, śpiewają, tańczą i dzielą się radością



Chasyd z Toldot Aharon ubrany odświętnie, w sobotnim futrzanym nakryciu głowy - sztrejmelu



Na transparenecie widnieje napis: „Wóz patrolowy Chabadu w drodze do jeszcze jednego zadowolonego Żyda i Żydówki”. Chabad, odłam chasydzki skupiający zwolenników rabina z Lubawicz, stara się w ten sposób przekonywać świeckich, aby wrócili do wiary i przestrzegania *Tory*



Młodzi przedstawiciele *datiim leumiim*, prawdopodobnie *mitnachalim*, osadnicy na Terenach Okupowanych, którzy prawie zawsze noszą przy sobie broń



Ejal Lewinson, rabin judaizmu reformowanego, były kibucnik i zwolennik porozumienia z Palestyńczykami, wierzy w równość społeczną i religijną. Według niego każdy osobiście odpowiada za swoją wiarę, a wolność wyboru ważniejsza jest od ram religii



Simchat *Tora*, Radość z *Tory*. W tym dniu, kiedy od nowa rozpoczyna się czytanie *Tory*, tańczą się i śpiewa, ciesząc się z daru od Boga, jakim jest *Tora*



Rabin Mosze Dahan, który w swoim mieszkaniu w Bnei Braku gra na rogu baranim (*szofar*), stoi na czele jednej z gmin w bogatym północnym Tel Awiwie i wyklada w szkole rabinicznej



Bar micwa, uroczystość religijna, podczas której trzynastoletni chłopcy po raz pierwszy czytają *Torę* i stają się w pełni odpowiedzialni za wypełnianie nakazów i zakazów religijnych



W Jom Kippur na dwadzieścia pięć godzin wstrzymany jest cały ruch pojazdów, a jeździe w całym kraju należą do rowerzystów. W zwykły dzień ulice izraelskich miast, zwłaszcza zaś Tel Awiwu, zapchane są samochodami. W Jom Kippur można po nich spacerować lub jeździć na rowerach



Odprawiany w Jerozolimie na dzień przed Jom Kippur, obrzęd *kapparot*, ofiary z koguta, nie jest już powszechnie akceptowany, są mu przeciwni także niektórzy rabini



Ortodoksyjni Żydzi szukają na targu *arbat ha'minim* idealnych gałązek i perfekcyjnego etrogu na Sukkot



Druzowie podczas uroczystości religijnych w Nabi Szu'aib w Galilei, gdzie mieści się grób proroka Jetro, obmywają stopy i ciało olejem, uczują i debatuja na tematy religijne



Sukkot, Kuczki - szałas i namioty wypełniają balkony, pojawiają się na każdym placu



Dwa i pół tysiąca lat temu w Persji Żyd Mordechaj, który nie kłaniał się perskiemu ministrowi Hamanowi, omal nie doprowadził do zagłady Żydów. Ale Ester (Hadassa), piękna żydowska dziewczyna, rozkochała w sobie króla Achaszwerosza i odwróciła zły los. Dlatego świeccy i religijni Żydzi każdego czternastego miesiąca *adar*, w święto Purim, przypominają intrygę dworską sprzed tysiącleci, przebierając się w kostiumy i maski, radując się i robiąc bardzo wiele hałasu okrzykami, głośną muzyką i specjalnymi kołatkami. Ulicami miast przechodzą korowody przebierańców: dzieci, dorosłych, nawet psów w kostiumach, a jedna z najwspanialszych parad odbywa się w Holonie (metropolia telawiwska)



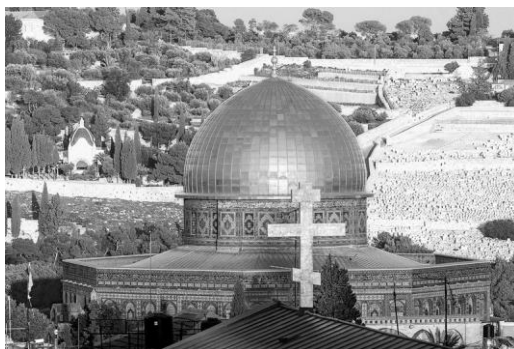
W domu mojej sąsiadki, Wered Gwili, przygotowania do Mimuny, Święta Obfitości, obchodzonego przez Żydów wschodnich w wieczór kończący Pesach, zaczynają się dwa tygodnie wcześniej. Jej słodczyce są tak piękne, że nie powstydziliby się ich żaden artysta cukiernik, a na sławne w okolicy *muflety*, rodzaj cieniutkich naleśników z dużą ilością masła i miodu; *zaban*, białka ubite z cukrem i orzechami, oraz *szibaliji*, ciasta smażone w głębokim tłuszczu jak racuchy, przychodzi sam burmistrz miasta ze swoją świtą. Popijając wraz z setkami gości słodką herbatę z miętą na przemian z napojem z płatków róż, orzechów i cukru, wszyscy życzą wszystkim: „Bądźcie radośni i ucztujcie”



Wschodnie słodkości podawane podczas Mimuny



W noc sederową Żydzi siedzą przy stole i czytają o ofierze baranka paschalnego, Samarytanie zaś gromadzą się w tym samym miejscu, gdzie przed tysiącami lat odprawiali ofiarę ich przodkowie, na górze Garizim. W blasku księżyca w ciągu jednej minuty pięćdziesiąt baranków paschalnych zostaje zabitych przez poderżnięcie gardła



Święte Miasto judaizmu, chrześcijaństwa i islamu - Jerozolima. Na pierwszym planie krzyż prawosławny cerkwi św. Marii Magdaleny, w której znajduje się grób Elżbiety Fiodorowny Romanowej, żony wielkiego księcia Sergiusza Aleksandrowicza Romanowa uznanej za świętą. Za cerkwią - Kopuła na Skale, jeden z trzech najważniejszych meczetów na świecie, stanowiący zadaszenie dla Świętej Skały, gdzie, jak mówi *Biblia*, Abraham chciał złożyć Bogu ofiarę ze swego syna Izaaka, albo skąd, jak wierzą muzułmanie, Mahomet wstąpił do raju



Jerozolima, Ściana Płaczu, fragment zachodniej ściany Drugiej Świątyni Jerozolimskiej zburzonej w I wieku n.e., święte miejsce czczone przez Żydów od XIV wieku. Góruje nad nią Wzgórze Świątynne (według *Midraszu* stąd Bóg czerpał ziemię (hebr. *adama*), z której stworzył Adama) z Kopułą na Skale (meczet Umara) i meczetem Al-Aksa. Do Starego Miasta prowadzi piętnaście bram



Mężczyźni i kobiety pod Ścianą Płaczu modlą się osobno



Jerozolima - Wzgórze Świątynne



Typowa ulica w Mea Szearim, dzielnicy ultraortodoksyjnej w Jerozolimie. Przy wejściu do niej widnieje napis głoścący: „Nie ma przejścia dla syjonistów”



Arabskie dziewczęta w Jerozolimie



Cmentarz na Górze Oliwnej, jeden z najstarszych na świecie



Żołnierze na ulicach, uzbrojone patrole, wykrywacze metalu, rakiety i schrony to także część izraelskiego życia



Dziewiąty października 2012 - ulica Tel Awiwu zamknięta przez policję z powodu „podejrzanego obiektu”



W wojsku służą także kobiety



Ten fragment muru oddziela Izrael od miejscowości palestyńskiej. „Mur niezgody” („mur separacji”) nie ochroni jednak Izraela przed rakietami. Państwo, które miało dać azyl, schronienie i opiekę Żydom z całego świata, stało się miejscem dla nich niebezpiecznym



Położone na południu dwudziestoczwartotysięczne Sederot, którego najdalej wysunięty punkt dzieli od Gazy zaledwie osiemset czterdzieści metrów, jest najczęściej ostrzeliwanym miastem Izraela (od 2001 roku także rakietami Qassam wystrzeliwanymi ze Strefy Gazy). Każdy przystanek autobusowy pełni tu rolę schronu, w każdym domu w nowej dzielnicy jest obszerny schron. Miasto zostało założone w 1951 roku, mieszkają tu głównie *olim z*: Iraku, Iranu, Kurdystanu, Maroka, Rumunii, byłego ZSRR i Etiopii



W punkcie kontrolnym



Tablice z napisem: Uwaga! Miny!, to na wzgórzach Golan częsty widok



W Aradzie, południowym Tel Awiwie i Aszdodzie mieszka kilkadziesiąt tysięcy uchodźców z Sudanu Południowego, Darfuru i Erytrei oraz z innych krajów afrykańskich. Jako uchodźców politycznych nie można ich deportować, ich sytuacja jest jednak bardzo trudna, ponieważ nie mają zezwolenia na pracę



Samaria (hebr. Szomron), Sza'arej Tikwa, rok założenia 1983 - typowa osada na Terytoriach Okupowanych (cztery tysiące dziewięciuset trzydziestu mieszkańców). Są tu: klub żeglarski i sportowy z nowoczesnym basenem, kortami tenisowymi i boiskiem, a także ośrodek kultury, centrum handlowe, biblioteka, szkoły, przychodnia. Gdyby nie to, że miasteczko kilkakrotnie było już ostrzeliwane i ginęli w nim ludzie, wydawałoby się, że to oaza spokoju



Ruiny wioski Kfar Biram. W 1948 roku siedmiuset dziesięciu maronitów musiało opuścić swój dom. Ich przodkowie pomagali chrześcijanom w czasie wypraw krzyżowych, byli też przyjaźnie nastawieni do osiedlających się w Palestynie Żydów. Dziś są wygnańcami bez prawa powrotu na ziemię przodków



Kościół maronicki w Kfar Biram



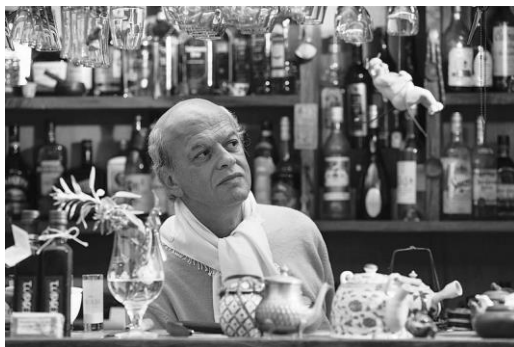
Kibuc Dorot koło Sederot, założony przez *olim* z Niemiec w 1941 roku. „Izrael to jeden wielki kibuc”, jak chce popularne powiedzenie. Jeśli ktoś nie pochodzi z kibucu, to jego żona lub mąż, lub najbliższy przyjaciel na pewno się tam urodzili



Kibuc Ein Gedi. Kiedyś były tu tylko piaski i kamienie, dziś są tropikalne ogrody z tysiącem gatunków roślin. W centrum okazałe drzewo *ce'elon* (wianowłostka królewska), które kwitnie dramatycznym szkarłatem, kaktusy i palmy. „Czujemy, że tworzymy przyszłość naszego narodu”, mówili o swojej misji kibucnicy, którzy zagospodarowywali ziemię pod budowę Izraela. Dzisiaj i ten zapał, i era kibuców należą już do przeszłości



Panorama Betlejem. W Betlejem działa sierociniec Home of Peace, gdzie polskie siostry zakonne opiekują się palestyńskimi sierotami. Dom Pokoju powstał dzięki składkom Polaków



Palestyńczyk Daher Zedani, potomek szejków z Nazaretu w swojej restauracji „Al-Reda” w Nazarecie



„Divan El Saraja”, mała restauracja w Nazarecie, której właściciel Abu Aszraf, nie śpiesząc się, wkładając w pracę serce i filozofując, sam przygotowuje każde danie



Hajfa, ogrody bahaitów na górze Karmel, zaliczane do współczesnych cudów świata. Emigranci z *alijat Gomulka* przyплыnęli statkami do portu w Hajfie i dla nich zieleń Karmelu była pierwszym widokiem Ziemi Obiecanej. W Hajfie, mieszka ludność mieszana, żydowsko-arabska (dolna Hajfa jest arabska, górna - żydowska)



Widok na Dolinę Jordanu i Jezioro Tyberiadzkie (Genezaret, Morze Galilejskie), Jam Kinaret, główny zbiornik wody pitnej Izraela. W islamie jego wysychanie uważane jest za jedną z oznak zbliżającego się końca świata



Ein Feszcha, Źródła przy Urwiskach - słony raj na ziemi



Morze Martwe i jego okolice. W tych górach ukryte są wodospady i zielone oazy



Wadi Qelt i klasztor św. Jerzego z Koziby



Luty to ulubiony przez Izraelczyków okres. Zimą, czyli w porze deszczowej, wszędzie kwitną kwiaty, zieleni się trawa i nagle pojawiają się rzeki i wodospady. Na Pustyni Judzkiej rozkwitają zawilce wieńcowe



Osiedle beduińskie na pustyni Negew. Beduini to najbiedniejsza część społeczeństwa izraelskiego. Niechętnie przeprowadzają się z tradycyjnych namiotów do betonowych mieszkań w bloku. Wiele ich osiedli powstałych bez formalnego prawa własności nie jest uznawanych przez państwo



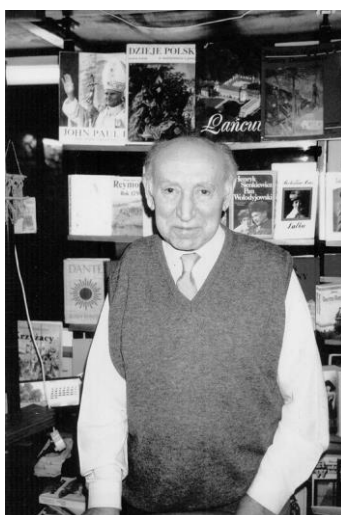
Machtesz ha'Gadol, Wielki Krater na Negew - księżycowy krajobraz, najbardziej gwiazdziste niebo. Tutaj doświadcza się wielkości świata, małości człowieka i wolności, jaką daje nieskończona przestrzeń. Najpiękniejsze widoki w tej okolicy oferuje położone nad przepaścią miasto Micpe Ramon, w którym stada kozic chodzą po ulicach w pobliżu obserwatorium



Przez lata zwiedziłam w Izraelu wiele urokliwych miejsc, dla mnie jednak najpiękniejsze jest Ein Awdat: bujna zieleń na dnie kanionu zagubionego w bezkresnej pustyni, przezroczysta woda, w której odbija się błękit nieba złamany ciemnymi plamami szybujących orłów



Księgarnia Polska na ulicy Allenby 94 w Tel Awiwie (dziś już nie istnieje), po prawej jej właściciele Ada i Edmund Neusteinowie - kawałek Polski w Izraelu



Edmund (Mundek) Neustein



„U Persa”, kawiarenka, gdzie kiedyś przesiadywał Edmund Neustein z przyjaciółmi. Żydzi z *alijat Gomulka* nadal się tu spotykają. „Jesteśmy coraz starsi i coraz bardziej polscy”, mówią o sobie moi znajomi. Od lewej: Dani (Zenek) Tracz, Jurek Press, Henryk Karpiński, Jaron (Karol) Beker, Ela Sidi, Zeew (Wowka) Cynamon i Tadeusz Woleński. Stoi Szlomo „Pers”, właściciel kawiarenki, w której od lat przesiadywali i przesiadują polscy Żydzi (2012)



Lata sześćdziesiąte Marek Hłasko z Jurkiem Pressem



Klub brydżowy z końca lat pięćdziesiątych. *Alijat Gomulka* upowszechniła grę w brydża. Począwszy od końca lat pięćdziesiątych, Izrael wiele razy wygrywał w mistrzostwach Europy, a cała jego reprezentacja mówiła po polsku. Podczas mistrzostw świata w brydżu

ironicznie mówiło się o niej „Polska B” w odróżnieniu od „Polski A”, jak nazywano reprezentację Polski. Bywało, że przy stoliku spotykali się przyjaciele z Warszawy, tyle że niektórzy mieszkali już w Tel Awiwie



Dwudziestego lutego 2013 w Tel Awiwie, w dzielnicy Ramat Awiw, czyli w „Gomułkowie”, w uniwersyteckim Audytorium Smolarz, po raz pierwszy od pięćdziesięciu pięciu lat spotkali się ci, którzy jako dzieci i młodzi ludzie przybyli do Izraela wraz z *alijat Gomulka*. Przyszło ponad tysiąc dwieście osób, choć organizatorzy spodziewali się dwustu. Pierwszy zjazd rozpoczęły mazurek Chopina op. 68, nr 2, słowa: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy” i burzliwe oklaski w odpowiedzi na powitanie: „Jaka to przyjemność zobaczyć tylu Polaków”, wygłoszone przez prowadzącego, Ariego Golana (znanego prezentera radiowego). Podobnie zareagowano, gdy Arie Golan powiedział, że dla przedstawicieli *alijat Gomulka* symboliczne znaczenie ma słowo „ojczyzna” w języku polskim pochodzące od słowa „ojciec”, a w hebrajskim od *moledet*, matka, i dodał: „My mamy teraz oboje rodziców”. *Ein corech!*, nie ma potrzeby!, odezwały się liczne głosy, kiedy Karol Jaron Beker zaczął tłumaczyć na hebrajski przemówienie ambasadora Jacka Chodorowicza. *Mewinim!*, rozumiemy!, krzyczano



Ela Sidi z rodziną

Przypisy

[1] Przedstawione w książce fakty nie odnoszą się do Autonomii Palestyńskiej.

[2] *Alte zachen* (jidysz) - stare rzeczy.

[3] CaHaL - skrót od Cwa Hagana le'Israel - Siły Obronne Izraela.

[4] Chasyd (hebr., dosł. sprawiedliwy) - Żyd należący do odłamu chasydzkiego powstałego w XII wieku w Europie. Przywódcą duchowym chasydów i najwyższym dla nich autorytetem jest admor, obdarzony, jak wierzą jego uczniowie, wyjątkowymi, czasem wręcz nadprzyrodzonymi zdolnościami uzdrawiania czy przemawiania zza grobu.

[5] Ha'Liszka ha'Merkazit le'Statistika - Centralne Biuro Statystyczne (CBS), 2012.

[6] *Babiloński Talmud, Szawuot, 39A.*

[7] Wybuch masowego protestu Izraelczyków, do którego doszło w 2011 roku z powodu drożęjącego życia i nierówności społecznych, zmienił program wyborczy izraelskich partii w wyborach w 2012 roku. W 2013 roku kwestia zmian ekonomicznych i obniżenia cen mieszkań stała się jednym z centralnych zagadnień kampanii przedwyborczej.

[8] <http://www.ynet.co.il/articles/0,7340,L-3802284,00.html>.

[9] <http://www.globes.co.il/news/article.aspx?did=1000712497>.

[11] Herod był Edomitą z rodu semickiego.

[10] Jidysz, (dosł. żydowski, od pierwotnego określenia w tym języku *jidysz-dajcz*, żydowski niemiecki) - język Żydów aszkenazyjskich, powstały około X wieku w południowych Niemczech na bazie dialektu średnio-wysoko-niemieckiego z dodatkiem elementów hebrajskich, słowiańskich i romańskich.

[12] Goj (hebr. *gaim* - naród) - określenie oznaczające nie-Żydów, nadawane innowiercom (*Uniwersalny słownik języka polskiego*, PWN, Warszawa 2004).

[13] Chupa - baldachim symbolizujący nowy dom, pod którym zwierany jest żydowski związek małżeński.

[14] Hymn *Nadzieja (Ha'tikwa)*, w przekładzie Szoszany Raczyńskiej.

[15] Alija (hebr. dosł. wzniesienie się, pięcie się w górę) to przeniesienie się nie tylko w sensie geograficznym, z jednego miejsca na drugie, z przyczyn emocjonalnych czy ekonomicznych, ale także wzniesienie się na wyżyny duchowe. To rodzaj pielgrzymki, metafizycznego przeżycia, „powrotu do ojczyzny ojców”, Ziemi Obiecanej. Termin ten jest centralnym pojęciem w żydowskiej kulturze i w syjonizmie, przeciwieństwem emigracji Żydów z Izraela do innych państw, nazywanej *jerida* (dosł. zejście, spadek w dół).

[16] Nazywana krótko Sochnut lub JAFI (od Jewish Agency for Israel) - organ wykonawczy Światowej Organizacji Syjonistycznej, pełniący funkcję rządu przed oficjalnym powstaniem Państwa Izraela.

[17] Akt prawny proklamujący utworzenie nowego państwa.

[18] Sprecyzowane pojęcie państwa żydowskiego - według prezesa Sądu Najwyższego Izraela, Aharona Baraka.

[19] *Chok Imuc Jeladim* (hebr.), Prawo do adopcji dzieci, § 5, mówi: „Nie ma adopcji, chyba że według religii adoptowanego, to znaczy należy zachować tożsamość religii pomiędzy adoptowanym a adoptującym”.

[20] Zbiór tradycyjnych praw judaizmu, spisanych z przekazanych ustnie nauk rabinów od III wieku p.n.e. do VI wieku n.e., uzupełniających *Tanach*.

[21] Prawo cywilne nie wymaga konwersji halachicznej.

[22] Najstarsza część *Biblii*, *Pięcioksiąg Mojżeszowy*, najważniejszy, objawiony tekst

judaizmu.

[23] Oprócz judaizmu ortodoksyjnego występują w Izraelu judaizm konserwatywny i judaizm reformowany. Centrum tych odłamów jest w Stanach Zjednoczonych i tam stanowią one większość wśród społeczności żydowskiej. W Izraelu nie są uznane przez ortodoksyjny rabinat za pełnoprawne, a liczba ich aktywnych członków oceniana jest na kilkadziesiąt tysięcy (w porównaniu z prawie trzema milionami w Stanach). Oprócz tych głównych odłamów są także inne mniejszościowe grupy uważające się za religijnych Żydów. Największa to Felaszowie, Żydzi etiopscy, zwani też Beta Izrael, nieuznawani za Żydów przez wszystkich rabinów, posiadający własne pisma religijne, zwyczaje i liturgię odprawianą w języku gyyz, liturgicznym języku Ortodoksyjnego Kościoła Etiopskiego.

[24] Według oficjalnych źródeł wojskowych <http://maarachot.idf.il/PDF/FILES/0/112470.pdf>.

[25] CBS, <http://www.cbs.gov.il/reader/newhodaot/hodaa-template.html?hodaa=20101921>.

[26] Tamże.

[27] Według ITIM (Resources and Advocacy for Jewish Life), 2000, <http://www.itim.org.il/?CategoryID=349&ArticleID=400>.

[28] Bar micwa - uroczystość religijna pierwszego czytania *Tory* w synagodze przez trzynastoletnich chłopców, którzy stają się odtąd zdolni do wypełniania praw religijnych i w pełni odpowiedzialni za swoje czyny.

[29] Bat micwa - uroczystość religijna dla dwunastoletnich dziewcząt związana z ich wejściem w okres zdolności do wypełniania *micwot*.

[30] Admor - skrót od *Adonainu, Morainu, we'Rabbeinu*, „Nasz Pan, nauczyciel i rabin”. Admor jest najwyższą władzą i najwyższym sędzią społeczności chasydzkiej. Przypisuje mu się nadnaturalne siły. Wierzy się, że przez jego usta przemawia Bóg, że jest rodzajem anioła widzialnego dla oczu człowieka. Ma się do niego pełne zaufanie, również do

jego pomyłek. Po śmierci admora (funkcja jest zwykle dziedziczna) jego uczniowie przez kilka dni myją się w wodzie, w której obmyto jego ciało, wierząc w szczególną moc, jaką posiada.

[31] Cytaty z podano za *Biblią Tysiąclecia*, wyd. trzecie, Pallottinum, Poznań-Warszawa 1980 (tu s. 900).

[32] Nagykálló na Węgrzech - w jidysz Kaliw, Kalow, Kaluw. Dynastię założył Icchak Ajzyk Taub z Kaliw (1751-1821).

[33] Rabin Owadia Josef, niekwestionowany duchowy przywódca sefardyjskiej partii ultraortodoksyjnej Szas, znany ze swej biegłości w *Torze*, uważany przez wielu ultraortodoksyjnych sefardyjczyków za nieomylnego.

[34] *Opowieści Rabina Nachmana z Braclawia*, Mercury, Kraków, 1999, s. 25-26.

[35] Rabbi Nachman z Braclawia (1772-1810) znany także jako Rabbi Nachman z Umania. Umań (Humań) - miasteczko na Ukrainie, gdzie znajduje się grób rabina.

[36] W języku hebrajskim nie zapisuje się samogłosek.

[37] Sentencję podaję we własnym tłumaczeniu.

[38] Louise L. Hay, *Możesz uzdrowić swoje życie*, Wydawnictwo „Medium”, Warszawa 1994.

[39] Kompleks szpitalny zatrudniający tysiąc trzystu lekarzy, dwa tysiące czterysta pielęgniarek oraz trzy tysiące trzysta osób personelu technicznego i pomocniczego. Może przyjąć tysiąc siedmiuset pacjentów.

[40] *Talit* (hebr.), po polsku nazywany tałesem - szal modlitewny, zwykle biały z czarnymi lub granatowymi pasami i z frędzlami, zakładany na głowę i ramiona podczas modlitwy.

[41] Chałat w jidysz nazywany jest *kapote*.

[42] Kipa (hebr.) - jarmułka; mała, okrągła czapeczka nakrywająca czubek głowy, stale noszona przez Żydów religijnych.

[43] *Cicit* (hebr.) lub *cycles* (jidysz) - frędzle na szalu modlitewnym, tałesie (talicie), i na tak zwanym małym tałesie, swego rodzaju kamizelce noszonej na co dzień. Przypominają one Żydom o konieczności wypełniania przykazań religijnych.

[44] Dynastię założył w Polsce, w Słonimie koło Pińska (dziś na Białorusi), Awraham Weinberg (1804-1833).

[45] Eli Barnavi, *A Historical Atlas of the Jewish People. From the time of the Patriarchs to the Present*, Kuperard, Londyn 1992, s. 233.

[46] Według danych z 2006 roku około miliona Izraelczyków urodziło się w Azji i Afryce, a około ośmiuset tysięcy w Europie, Ameryce i Australii. Izraelczycy urodzeni w Izraelu - zdecydowana większość - często pochodzą z mieszanych małżeństw, więc ustalenie w tej grupie dokładnej liczby sefardyjczyków czy aszkenazyjczyków jest problematyczne (<http://www.peopleil.org/details.aspx?itemID=7400>).

[47] <http://www.ynet.co.il/articles/0,7340,L-4132956,00.html>.

[48] <http://www.haaretz.co.il/misc/1.1110747>.

[49] <http://www.themarket.com/markets/1.1614590>.

[50] *Jeladim be'Israel 2010, Ha'Moaca Ha'Leumit le'szalom ha'jeled*, Jerozolima 2010, s. 7 (www.children.org.il/Files/File/leket%20netunim%202010.doc).

[51] Według Center for Social Policy Studies in Israel pięćdziesiąt siedem procent.

[52] <http://www.ashdodnet.com/article/2423>.

[53] <http://www.ashdodnet.com/article/45256>.

[54] <http://news.walla.co.il/?w=/90/1750272>.

[55] Torato Umanuto (hebr.) - „jego rzemiosłem jest studiowanie *Tory*” (Torato - *Tora*, *umanuto* - rzemiosło, praca, główne zajęcie, specjalizacja, profesja).

[56] Jesziwa - wyższa szkoła talmudyczna dla nieżonatych mężczyzn.

[57] <http://www.nrg.co.il/online/1/ART/956/355.html>.

[58] <http://www.haaretz.co.il/news/elections/trueornot/1.1894619>.

[59] Według gazety „Globes” z 30.07.2010, <http://www.globes.co.il/news/article.aspx?did=1000577707>.

[60] Według danych Ministerstwa Oświaty w 2010 roku trzydzieści dwa i jedna dziesiąta procent szkół podstawowych miało klasy liczące więcej niż trzydziestu dwóch uczniów. W szkołach ultraortodoksyjnych - dwanaście i dwie dziesiąte procent. Trzeba jednak wziąć pod uwagę fakt, że szkoły *charedim* nie prowadzą statystyk. Dotyczące ich dane podaje się szacunkowo na podstawie porównania liczby urodzeń i liczby szkół.

[61] Dane Ministerstwa Edukacji, 2010.

[62] W hebrajskiej świadomości językowej istnieją dwa znaczenia terminów *jecija be'szeela* i *chazara be'tszuwa*. Pierwsze (błędne) oznacza „powrót z odpowiedzią” i do tego przeciwstawne „odejście z pytaniem”.

Do czasów współczesnych w języku hebrajskim funkcjonowało pierwotne pojęcie *chazara be'tszuwa* oznaczające: „powrót ze skrucą” do religii, do religijnych wartości i religijnego sposobu życia, wypełniania *micwot*. *Jecija be'szeela* to pojęcie antonimiczne, oznaczające odejście do świeckiego życia (opuszczenie).

Jecija be'szeela zostało wymyślone jako odwrócenie pojęcia *chazara be'tszuwa*. Przy czym słowu *chazara* - „powrót” znaleziono antonim *jecija* - „wyjście”, „opuszczenie”, a słowu *tszuwa* - w znaczeniu „odpowiedź” przeciwstawiono słowo *szeela*, „pytanie”, co było błędem,

ponieważ źle rozumiano etymologię słowa *tszuwa* w tym kontekście oznaczającego skruchę, nawrócenie się, pokutę.

[63] <http://www.mako.co.il/video-blogs-rasel>.

[64] Obecnie blog Rasel jest na stronie „mako.co.il” (zdjęcie Rasel zostało zmienione).

[65] *Kaszer le'mehadrin*, hebr. „rygorystycznie koszerny”; w autobusie *le'mehadrin* mężczyźni siedzą na początku, a kobiety z tyłu. Między obu częściami często montuje się przegrodę, a mężczyźni i kobiety wsiadają osobnymi drzwiami. Tego typu segregacja płciowa jest niezgodna z prawem, ale w praktyce się zdarza.

[66] Według badań statystycznych przeprowadzonych dla „Jedijot Achronot” do 1997 roku prawie siedemnaście procent Żydów świeckich (około dwustu pięćdziesięciu tysięcy osób) powróciło do ortodoksyjnego sposobu życia.

[67] *Chazara be'tszuwa* - „powrót ze skruchą do religii (do źródła)”, nawrócenie się, przejście od świeckiego trybu życia i świeckich wartości do religijnego stylu życia opartego na wypełnianiu nakazów i zakazów religijnych.

[68] <http://www.tapuz.co.il/blog/net/ViewEntry.aspx?entryId=2308504&skip=1>.

[69] W 2010 roku liczba Żydów na całym świecie wynosiła trzynaście milionów pięćset osiem tysięcy.

[70] W 2011 roku populacja Żydów w Izraelu liczyła pięć milionów osiemset siedemdziesiąt cztery tysiące trzysta osób.

[71] Sabra (hebr.) - owoc opuncji, a także slangowe określenie oznaczające Izraelczyka urodzonego w Izraelu. W 2010 roku około czterech milionów (siedemdziesiąt procent) izraelskich Żydów należało do tej kategorii.

[72] Rabin, Raw (hebr.) - tytuł nadawany znawcy prawa; żydowski przywódca

duchowy, mistrz, nauczyciel; rebe, reb (jidysz) - dosł. pan.

[73] Chabadnicy (*Chabad* to akronim od słów: *Chochma* - Mądrość, *Bina* - Zrozumienie, *we'Daat* - Wiedza) - ruch chasydzki, uczniowie rabina z Lubawicza prowadzący działalność misjonarską wśród Żydów na całym świecie.

[74]

<http://www.israelisinberlin.de/index.php?option=com-content&view=article&id=58&Itemid=66&lang=he>.

[75]

http://www.mako.co.il/news-channel2/Channel-2_Newscast/Article-c47ada4a3540a31017.htm.

[76] <http://www.moodiereport.com/document.php?c-id=6&doc-id=33566>.

[77] <http://www.calcalist.co.il/articles/0,7340,L-3340044,00.html>.

[78] <http://news.nana10.co.il/Article/?ArticleID=753466>.

[79] Fragment książki Jael Neeman, *Byliśmy przyszłością*, przeł. Agnieszka Jawor-Polak, Wydawnictwo „Czarne”, Wołowiec 2012, s. 5-6.

[80] Kibuc na początku swego istnienia, do lat dwudziestych XX wieku nazywano grupą lub komuną. Nazwa „kibuc” została przyjęta wraz z powstaniem Ein Harod, w 1921 roku.

[81] <http://www.ynetnews.com/articles/0,7340,L-3390884,00.html>.

[82] <http://www.k.b-i.co.il/viewStaticPage.aspx?pageID»26>.

[83] W 1948 roku w krajach arabskich mieszkało od ośmiuset pięćdziesięciu tysięcy do miliona Żydów (<http://www.iflac.com/ada/heb/booksheb.files/hagira.htm>). W 1976 pozostało ich tylko dwadzieścia pięć tysięcy, reszta wyemigrowała, znaczna część

zamieszkała w Izraelu.

[84] <http://www.themarker.com/misc/1.590193>. Dane różnią się w zależności od źródła, na ogół szacuje się jednak, że dług kibuców wyniósł około dziewięciu miliardów dolarów (prawie dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów w przeliczeniu na każdego mieszkańca kibuców).

[85] *Chawer, chawerim* (hebr. dosł. kolega, koledzy, towarzysze); *chewre* - tu w znaczeniu: jeden z grupy, wspólny znajomy.

[86] Nahal (hebr.), N.H.L., czyli Noar Haluci Lohem (Pionierska Młodzież Bojowa), część Sił Obronnych Izraela - oddziały, w których służba połączona jest z pracą w kibucach, głównie na peryferiach, i udziałem w realizacji projektów pomocy społecznej.

[87] *Beigale* (jidysz) - rodzaj ciasteczek i pieczywa.

[88] Dennis Prager, Joseph Telushkin, *Why the Jews? The Reason for Antisemitism*, Simon and Schuster, New York 1983. Cytowałam za: Paweł Jędrzejewski, *Nieżydowscy Żydzi i antysemityzm*, FŻP 2011 rok, <http://www.fzp.net.pl/opinie/niezydowscy-zydzi-i-antysemityzm>.

[89] „Jedijot Achronot”, 4 października 2007 roku.

[90] Według CBS (<http://www.cbs.gov.il/www/publications/migration-ussr01/pdf/tab01.pdf>) w 2001 roku przyjechało do Izraela osiemset pięć tysięcy imigrantów z byłego ZSRR. Z danych *Anaschim - Izrael* (Ludność Izraela) (<http://www.peopleil.org/details.aspx?itemID=30155>) wynika, że w latach 1990-2000 przyjechało ponad dziewięćset tysięcy osób.

[91] Jair Szeleg, *Jehudim sze'lo ke'halacha*, Machon ha'Israeli le'Demokratia, s. 10. Z artykułu Konstantyna Kapitonowa zamieszczonego w rosyjskiej gazecie „Trud” (za: Forum Żydów Polskich, <http://old.fzp.net.pl/erec16.html>) wynika, że czterdzieści cztery procent Izraelczyków pochodzących z byłego ZSRR nie uważa się za Żydów.

[92] Według „Reszet Bet szel Kol Israel” osiemdziesiąt tysięcy *olim* z byłego ZSRR opuściło Izrael w latach dziewięćdziesiątych <http://www.iba.org.il/bet/?entity=844247&type=1>.

[93] Dane opublikowane przez Stowarzyszenie „Forum horim” i Ministerstwo Absorpcji Emigrantów. Raport: dr. Leonid Frydman, *Ha'zehut ha'jehudit szel mitbagrim olim be'tnai ha'histaglut ha'socjo-tarbutit*, 2007.

[94] Jak wynika z opublikowanego w 2004 roku raportu Ministerstwa Absorpcji Emigrantów około trzydziestu pięciu procent imigrantów przyjechało do Izraela z innych niż syjonistyczne powody <http://www.moia.gov.il/Hebrew/InformationAndAdvertising/Studies/Documents/Research8.pdf>.

[95] Nawiązanie do hiperinflacji w Polsce na początku lat dziewięćdziesiątych.

[96] CBS w *Esrin sznot alija me'medinot brit ha'moacot le'szeawar* (2009) podaje, że siedemdziesiąt procent *olim* z byłego ZSRR posiadało wykształcenie średnie i wyższe. Znalazło się wśród nich ponad sto tysięcy inżynierów, dwadzieścia trzy tysiące lekarzy, dwadzieścia jeden tysięcy artystów i pięćdziesiąt tysięcy nauczycieli.

[97] Konstanty Ildefons Gałczyński, *Noctes Aninenses*, Czytelnik, Warszawa 1975.

[98] w: Tomasz Mann, *Prawo, Ostatnie nowele*, przeł. Walentyna Kwaśniakowa, Andrzej Dołęgowski, Czytelnik, Warszawa 1958, s. 231-232.

[99] Nie wszyscy Żydzi w Izraelu chcą mówić i pisać po hebrajsku. Niektórzy aszkenazyjscy ultraortodoksi sprzeciwiają się profanowaniu tego języka przez używanie go na co dzień, zamiast w modlitwie, i mówią w jidysz. Starsze pokolenie Arabów także nie zna hebrajskiego lub zna go słabo. Wielu emigrantów angielskojęzycznych nie włada hebrajskim, bo świetnie może porozumieć się po angielsku, co przeważnie przekłada się na szczególne traktowanie, lepsze niż gdyby mówili po hebrajsku.

[100] Oficjalne otwarcie księgarni odbyło się 1 stycznia 1958 roku.

[101] „Kontury” - pismo Związku Autorów Piszących po Polsku w Izraelu.

[102] Maria Lewińska, *Przechowane słowa*, Tel Awiw 2008, s. 48-49.

[103] Karlibach - nazwa jednej z ulic w centrum Tel Awiwu, pochodząca od nazwiska założyciela gazety „Maariw”, Azriela Karlibacha. W dowcipie nazwisko „znaczące”, zbudowane ze słów kar-li-bach (hebr., dosł. „zimno mi w tobie”).

[104] Humoreska oparta na popularnych izraelskich dowcipach.

[105] Poza Izraelem mówi się o sobie: „jestem Izraelczykiem”, i tylko wyjątkowo, „Jestem Żydem”.

[106] Nie ma dowcipów o „Polakach” w Izraelu. Wszystko to szczerą prawdą!

[107] Szmonces (jidysz, nonsens, dowcip) - dowcip żydowski, często opowiadany z żydowskim akcentem, humoreska spokrewniona z opowieściami cadyków i przedwojennymi tekstami kabaretowymi, takimi jak *Sęk* Konrada Toma, który zyskał popularność dzięki założonemu w 1964 roku przez Edwarda Dziewońskiego kabaretowi „Dudek” (<http://www.rp.pl/arttykul/922792.html?print=tak&p=0>).

[108] http://www.mako.co.il/news-channel2/Channel-2_Newscast/Article-e1baf0b2bc59b31004.htm; <http://www.nrg.co.il/online/1/ART2/422/582.html>.

[109] Określenia: „dziewczyna z Polski”, „Polka”, „Polak”, „rodem z Polski”, w Izraelu odnoszą się do Żydów polskiego pochodzenia.

[110] Najbardziej znanym polskim miastem jest Oświęcim.

[111] Göran Rosenberg, *Kraj utracony. Moja historia Izraela*, Wołowiec 2011, s.45-46.

[112] Jakub Mielnik, <http://www.focus.pl/historia/arttykuly/zobacz/publikacje/jak-polacy-stworzyli-izrael>, Focus.pl,

Historia, 5 maja 2008 (http://niniwa2.cba.pl/jak_polacy_stworzyli_izrael.htm).

[113] Aleksander Klugman, *Polonica w Ziemi Świętej*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1993.

[114] Z danych Ministerstwa Absorpcji Emigrantów
<http://old.moia.gov.il/Moia-he/AboutIsrael/aliya4.htm>

[115] <http://www.peopleil.org/details.aspx?itemID=7400>.

[116] Bernard Dow Weinryb, *Jehudej Polin el michuc le'Polin*, w: Izrael Bartal, Izrael Gutman, *Kijum we'szewer. Jehudej Polin le'dorotejhem*, Kerech alef, Merkaz Zalman Szazar, Jerozolima 1997, s. 369-398.

[117] Tamże, s. 369.

[118] Tamże, s. 383.

[119] „Biuletyn IPN”, nr 11 (58), listopad 2005.

[120] *Spółeczność żydowska PRL przed kampanią antysemitką lat 1967-1968 i po niej*, IPN, Warszawa 2009 (<http://www.ipn.poczytaj.pl/123075>).

[121] Zeszyty Naukowe UJ, Prace Historyczne, zeszyt 137, Kraków 2010.

[122] Dariusz Stola, *Kraj bez wyjścia? Migracja z Polski 1949-1989*, Warszawa 2010, s. 132.

[123] Michał Sobelman, *Wyjazd*, „Śląsk” nr 10, 2008.

[124] Tamże.

[125] Dariusz Stola, *Emigracja pomarcowa*, Instytut Studiów Społecznych, Uniwersytet Warszawski, Seria: Prace Migracyjne, nr 34, Warszawa 2000, s. 52.

[126] Tamże, s. 10.

[127] Israel Statistical Office, *Immigration to Israel 1948-1972*, Jerusalem 1973.

[128] Raport Ministerstwa Oświaty Izraela, *Ha'arachat masaot bnei noar le'Polin be'sznat 2009. Haszpaot kognitywiot, erkijot we'rigszijot*, Misrad Ha'Chinuch, September 2011.

[129] Tamże.

[130] Tamże.

[131] Nazwa Polski odczytana jako „tutaj spocznij” podana jest w wersji etymologicznej przypisywanej Mojżeszowi Isserlesowi. W szesnastowiecznym piśmiennictwie żydowskim pojawia się przekonanie, że Polska została wybrana przez Boga na siedzibę Dzieci Izraela, na ich drugą ziemską „ojczyznę”, aż do dnia przyścia Mesjasza (na podstawie materiałów zgromadzonych przez Stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny w Polsce). Isserles pisał o Polsce: „w tym kraju nie ma zawziętej nienawiści do nas, jak w Niemczech. Oby zostało tak nadal, aż do nadejścia Mesjasza” (*Polski słownik judaistyczny. Dzieje, kultura, religia, ludzie*, oprac. Borzymińska Zofia, Żebrowski Rafał, t. 2, Prószyński i S-ka, Warszawa 2003, s. 337).

[132] Ewa Węgrzyn, *Emigracja ludności żydowskiej z Polski do Izraela w latach 1956-1957. Przyczyny, przebieg wyjazdu, proces adaptacji w nowej ojczyźnie*, Zeszyty Naukowe UJ, Prace historyczne, zeszyt 137, Kraków 2010, s. 144.

[133] *Nasze życie. Zbiór opowiadań młodzieży uratowanej z zagłady hitlerowskiej*, Hajfa 1966, (<http://us.mg5.mail.yahoo.com/neo/launch?.rand=abteqe3pcoj>”mail).

[134] Tamże, s. 51-52.

[135] Wspomnienia Jerzego Hermana zamieszczono w książce Marii Lewińskiej *Przechowane słowa*, Instytut Polski, Tel Awiw 2008.

[136] Tamże, s. 84.

[137] *Nasze życie. Zbiór opowiadań...* s.102-103.

[138] Tamże, s.106-107.

[139] Tamże, s. 122.

[140] 12. stenogram wystąpienia Władysława Gomułki na Kongresie Związków Zawodowych, 19.06.1967, Archiwum Ruchu Zawodowego, Wydział Organizacyjny CRZZ.

[141] Teresa Torañska, *Jesteśmy. Rozstania '68*, Świat Książki, Warszawa 2008.

[142] Maria Lewińska *Przechowane słowa*, s. 28.

[143] Tamże

[144] Oficjalnie stosunki zostały wznowione 27 lutego 1990 roku, ale od 1986 roku w Tel Awiwie działała sekcja interesów PRL, która w praktyce pełniła funkcję konsulatu.

[145] Maria Lewińska, *Przechowane słowa*, s. 36.

[146] Według Rocznika Statystycznego GUS z roku 1971 Związek Gmin Wyznaniowych Żydów w Polsce w osiemnastu gminach skupiał dwa tysiące wiernych, mających do dyspozycji dwadzieścia sześć synagog i domów modlitwy. Chcąc dokładniej określić liczbę Żydów w Polsce, należy do tego dodać Żydów świeckich stanowiących większość społeczności żydowskiej. Według Dariusza Stoli (*Kraj bez wyjścia? Migracja z Polski 1949-1989*, IPN, Warszawa 2010, s. 219, 221) wiosną 1967 roku „ludność żydowska w Polsce liczyła około trzydziestu tysięcy osób. [...] Możemy przyjąć, że emigracja pomarcowa objęła około trzynastu tysięcy osób”. Z liczb podanych przez Stole wynika, że po emigracji marcowej pozostało w Polsce około siedemnastu tysięcy Żydów.

Dane MSW różnią się od tych podanych przez Stole. W „Informacjach o sytuacji politycznej, organizacyjnej i finansowej w Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym Żydów w

Polsce” z lipca 1967 roku podano: „W PRL zamieszkuje około dwudziestu pięciu tysięcy obywateli polskich, którzy oficjalnie deklarują narodowość żydowską (CAMSW, MSW II51, s. 234).

Jeszcze inaczej ujmuje ten problem Związek Gmin Wyznaniowych Żydowskich na stronie <http://www.izrael.badacz.org/zydzi-w-polsce/dzieje najnowsze.html>.

„W 1955 roku rozpoczęła się kolejna fala exodusu. Do 1960 roku Polskę opuściło w sumie 51000 Żydów; zostało ich 45000. Wojna sześciodniowa i sukces Izraela w 1967 roku nasiliły w Polsce tendencje nacjonalistyczne i antysemickie, powodując kolejną falę emigracji, która objęła w latach 1968-1972 ponad 30000 osób. [...] W 1994 r. Związek Gmin Wyznaniowych Żydowskich w RP liczył 1220 wiernych, Karaimski Związek Religijny - 190, zaś wszystkich członków świeckich stowarzyszeń żydowskich [...] jest około 5400. Można również przyjąć, iż osoby wyznania Mojżeszowego mają członków swoich rodzin niezrzeszonych w gminach. Stąd liczbę 1220 można przypuszczalnie pomnożyć przez 3, uzyskując 3660. Dochodzi tu jeszcze 190 wiernych Karaimskiego Związku Religijnego oraz 5400 członków świeckich stowarzyszeń. Sumując te dane, otrzymujemy 9250 osób pochodzenia żydowskiego”.

[147] Jan Józef Lipski, *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy*, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA, Warszawa 1981.

[148] Według dziennika brytyjskiego „The Guardian” w 2011 roku Tel Awiw zajął dwudzieste czwarte miejsce wśród najdroższych miast świata. Zgodnie z danymi ECA (International Human Resources Company) za 2012 rok Tel Awiw jest najdroższym miastem na Bliskim Wschodzie.

[149] http://www.israelhayom.co.il/site/newsletter_article.php?id=9385.

[150] Chewrat Kadisza (aram. - dosł. Wspólnota Święta) - bractwo pogrzebowe gminy żydowskiej posiadające koncesję Ministerstwa Wyznań Religijnych i Opieki Społecznej na odprawienie ceremoniału pochówku.

[151] <http://www.israelhayom.co.il/site/newsletter-article.php?id=9385>.

[152] Fragment kadiszu (hebr. aram. - święty), modlitwy wysławiającej imię Pana, będącej aktem poddania się woli Boga i wiary w nadejście Królestwa Bożego.

[153] <http://www.knesset.gov.il/mmm/data/pdf/m01963.pdf>.

[154] Prywatne cmentarze umiejscowione są w jedenastu kibucach (między innymi: Hacor, Miszmarot, Zikim, Rewadim, Kiri'at Anawim, Ha'Gorszim). Świeckie cmentarze państwowe są w Beer Szewie i w Kfar Sabie.

[155] <http://www.calcalist.co.il/local/articles/0,7340,L-3404239,00.html>.

[156]

http://www.aleyshalechet.co.il/landingpage/?gclid=CMet_dKotrUCFYy_3god6QEACA.

[157] Benny Morris, *The birth of the Palestinian refugee problem, 1947-1949*, Cambridge University Press, Cambridge 1987, s. 95.

[158] Menachem Begin, *The Revolt - story of the Irgun*, Translated by Samuel Katz, Hadar Publishing, Tel Aviv 1964, s. 10.

[159] Według danych CBS za 2008 rok.

[160] Benny Morris, *The Birth of the Palestinian Refugee Problem...* s. 95.

[161] Tamże, s.101.

[162] Dane z Raportu UNSCOP, 1947.

[163] Tom Segew, *Sziur historia. Mi jazam et girusz arawej Ramle we'Lod - Ben-Gurion o Rabin?*, „Haarec”, 27 listopada 2009, <http://www.haaretz.co.il/misc/1.1292151>.

[164] Tamże.

[165] <http://www.cbs.gov.il/census/census/pnimi-page.html?id-topic»3>.

[166] Jalal Bana, Oria Szawit, *Ha'halom ha'Palestyni, ha'siut ha'Israeli*, „Haarec”, 5 lipca 2001 (dane z 1949 roku).

[167] Hether Sharp, *Right of return: Palestinian dream*, BBC News Online, 15 kwietnia 2004, <http://news.bbc.co.uk/2/hi/middle-east/3629923.stm>.

[168] Wzgórza Golan do 1968 roku należały do Syrii i choć Izrael je zaanektował, ONZ nie uznaje tego za zgodne z prawem. Zwrot Syrii tych ziem jest jednym z trudnych do zaakceptowania przez Izraelczyków warunków pokoju z Syrią.

[169] Zgodnie z terminologią stosowaną przez UNRWA status uchodźcy może zostać przyznany osobie, która przed majem 1948 roku żyła w Palestynie przez co najmniej dwa lata, w wyniku wojny straciła dom i środki do życia, a teraz mieszka w Strefie Gazy, na Zachodnim Brzegu, w Jordanii, Syrii lub Libanie.

[170] Jalal Bana, Oria Szawit, *Ha'halom ha'Palestyni, ha'siut ha'Israeli...*

[171] CBS podaje dane łącznie, wraz z zaanektowanymi terenami Jerozolimy Wschodniej, Zachodniego Brzegu i Gazy.

[172] Riman Barakat, *Quietly, East Jerusalem Palestinians acquiring Israeli citizenship*, „+972 Magazine” 20 maja 2012, <http://972mag.com/quietly-east-jerusalem-palestinians-are-becoming-israeli-citizens/46298/>.

[173] CBS 2012, <http://www1.cbs.gov.il/shnaton63/st02-10x.pdf>.

[174] *The Inequality Report: The Palestinian Arab Minority in Israel*, Adalah - The Legal Center For Arab Minority Rights in Israel, Haifa 2011, <http://www.adalah.org/upfiles/2011/Adalah-The-Inequality-Report-March-2011.pdf>.

[175] Tamże, s. 10.

[176] Tamże, s. 12.

[177] Ynet (izraelska witryna wiadomości), 24 stycznia 2013, <http://www.mynet.co.il/articles/0,7340,L-4336473,00.html>.

[178] <http://www.haaretz.co.il/news/elections/1.1882750>.

[179] *The Case for Israel, Stanford Israel Alliance*, <http://stanfordisraelalliance.stanford.edu/?page-id=7>.

[180] Meron Benvenisti, *Sacred Landscape: The Buried History of the Holy Land Since 1948*, University of California Press, Berkeley 2000, s. 193-195.

[181] Ludwig Köhler, Walter Baumgartner, Johann Jakob Stamm, Mervyn Edwin John Richardson, Benedikt Hartmann, *The Hebrew and Aramaic lexicon of the Old Testament*, Brill 1999, s. 1646.

[182] Jacob Neusner, Bertold Spuler, Hady R. Idris, *Judaism in late antiquity*. Brill 2001, s. 155.

[183] Rabbi Mosheh, *Mas'ot Erets Yis'rael, Ha'Hevrah ha'Ivrit la'hakirat Erets Yis'rael ve'atikoteha*, Jerusalem 1939.

[184] *Welcome To Kafr Bir'im*, na <http://www.palestineremembered.com/> oraz Hadawi, *Village statistics 1945, Classification of Land and Area Ownership in Palestine*, Beirut 1970.

[185] *Kafr Bir'em: Land, People and Remaining Roots*, <http://www.birem.org/>.

[186] W sześćdziesięciu dziewięciu zarejestrowanych przypadkach spalenia drzew oliwnych w latach 2005-2009 nie wydano ani jednego wyroku.

[187] Według badań przeprowadzonych w marcu 2011 roku przez Ynet czterdzieści sześć procent Izraelczyków udzieliło poparcia osadnikom stosującym *tag mechir*.

[188] „Haarec”, 7 lutego 2010, <http://www.haaretz.co.il/news/politics/1.1187742>.

[189] Flora Koch Dawidowicz, *Sdot moksxim be'Israel - tmunat macaw, Ha'Kneset, Merkaz ha'Mechkar we'ha'Mejda*, Jeruzalaim 2010, s. 2; <http://www.knesset.gov.il/mmm/data/pdf/m02489.pdf>.

[190] <http://www.themarker.com/consumer/1.1811350>.

[191] <http://www.israelpost.co.il/oref-calls.nsf/callme>.

[192] <http://magen.israelpost.co.il/abach/Masks.aspx>.

[193] Oficjalna lista wojen: niepodległościowa (1947-1949), Synaj (1956), sześciodniowa (1967), wojna na wyczerpanie (1969-1970), Jom Kippur (1973), pierwsza wojna libańska (1982-1985), druga wojna libańska (2006).

Uczestnictwo w konfliktach zbrojnych: pierwsza intifada (1987), druga intifada (2000), wojna iracko-irańska (1991 i 2003).

[194] Akcje wojskowe: *Litani* (1978), *Anwei zaam* (1996), *Homat magen* (2002), *Gisz (Giszmej) kaic* (2006) *Oferet jecuka* (2008), *Amud anan - Filar obrony* (2012).

[195] Dane według raportu Szabak (Służby Bezpieczeństwa Ogólnego). Dla porównania: w 2011 roku na Izrael wystrzelono sześćset osiemdziesiąt rakiet.

[196] <http://news.walla.co.il/?w=/13/2587384>; <http://www.ynet.co.il/articles/0,7340,L-4305340,00.html>.

[197] http://www.calcalist.co.il/real_estate/articles/0,7340,L-3588159,00.html.

[198] Z sondażu *Aruc 10*, przeprowadzonego na zlecenie wiadomości telewizyjnych.

[199] Z sondażu, przeprowadzonego w dniach od 21 do 26 listopada 2012 przez Machon Dachaf, biuro badania opinii publicznej oraz dr Szibley Telhami, którego wyniki podano w telewizji Chadaszot 10 (Wiadomości 10), <http://news.nana10.co.il/Article/?ArticleID=938040>.

[200] Na podstawie wyników sondażu instytutu Panel Politics, opublikowanych w programie telewizyjnym *Chadaszot 2*, 2012.

[201] Z raportu OECD wynika, że w 2012 roku Izraelczycy znaleźli się na ósmym miejscu w kategorii satysfakcji z życia (<http://www.ynet.co.il/articles/0,7340,L-4233969,00.html>).

[202] Z sondażu przeprowadzonego przez Uniwersytet Hebrajski, pod nadzorem Amirama Goldbluma, Jerozolima 2012.

[203] Według instytutu Panel Politics, 2012.

[204] Edward Horne, *A Job Well Done: A History of the Palestine Police Force, 1920-1948*, Book Guild 2003.

[205] M. Hughes, *The banality of brutality: British armed forces and the repression of the Arab Revolt in Palestine, 1936-39*, *English Historical Review* Vol. CXXIV, No. 507 (2009), s. 314-354.

[206] *Collaborators, One Year Al-Aqsa Intifada* The Palestinian Human Rights Monitoring Group, październik 2001.

[207] *Fatal Terrorist Attacks in Israel Since the Declaration of Principles*, Jewish Virtual Library, 31 sierpnia 2010.

[208] Mar Saba (hebr.) dosł. *mar* - pan, *saba* - dziadek, tu nazwa greckiego klasztoru prawosławnego z V wieku n.e, jednego z najstarszych na świecie, zwanego również Wielką Ławrą św. Saby.

[209] Machsom Watch - ruch izraelskich kobiet ze wszystkich warstw społeczeństwa izraelskiego, działaczek pokojowych, które wyrażają sprzeciw wobec izraelskiej okupacji i negocjowania praw Palestyńczyków do swobodnego poruszania się po kraju.

[210]

<http://www.machsomwatch.org/reports/checkpoints/15/11/2012/afternoon/21962>.

[211] <http://www.shovrimstika.org/testimonies/database/811698>.

[212] Rassem Khamaisi, *The Impact of the Separation Fence on the Arab Population in Israel. Initial Observations*, The Floersheimer Institute For Policy Studies, Jerozolima 2006, s. 25.

[213] Ejal Ha'Reuveni, *Chaim be'hafra'a. Ha'haszpaot arukot ha'twach szel gader ha'hafrada*, Be'Celem 2012, <http://www.btselem.org/sites/default/files2/201210-arrested-development-heb.pdf>.

[214] Za: „Haarec”, 27 września 2006, <http://www.haaretz.co.il/misc/1.1140674>.

[215] Tamże.

[216] <http://www.btselem.org/topic/separation-barrier>.

[217] Według kalkulacji organizacji Szalom Achszaw (Peace Now) przed zatwierdzeniem budżetu. Hagit Ofran, *Mechir achzakat ha'sztachim - netunim me'takciw 2011-2012*, opublikowane 26.12.2010 w magazynie internetowym organizacji Szalom Achszaw.

[218] Beduini (nazwa pochodzi od arabskiego słowa *badia*, pustynia) - koczownicze lub półkoczownicze plemiona żyjące na pustyni, podzielone na klany, którym przewodzi szejki, zajmujące się głównie hodowlą wielbłądów, owiec i kóz oraz uprawą roli.

[219] Wadi (arab.) - suche, szerokie doliny, koryta rzek, które okresowo, w porze deszczowej wypełniają się wodą.

[220] Beduini mają najwyższy na świecie przyrost naturalny - pięć i pół procent.

[221] Według danych ze strony internetowej „Anaszim. Israel - madrich le'chewra

ha'israelit" (Ludność. Izrael - przewodnik po społeczeństwie izraelskim) oszacowanie wielkości populacji Beduinów jest trudne, ponieważ wielu z nich żyje w wioskach nieuznawanych przez Izrael i tymczasowych osadach. Z danych CBS wynika, że liczba Beduinów na pustyni Negew w 2006 roku wynosiła sto pięćdziesiąt tysięcy, według Centrum Badań i Informacji Knesetu było ich w tym czasie sto sześćdziesiąt pięć tysięcy. Do tego należy dodać około sześćdziesięciu tysięcy Beduinów z północy kraju, co daje łączną liczbę około dwustu dwudziestu tysięcy.

[222] <http://www.hrw.org/sites/default/files/reports/iopt0308webwcover.pdf>;
<http://www.mmi.gov.il/static/HanhalaPirsumim/Beduin-information.pdf>.

[223] Hanoch Lewin, *Ty i ja i następna wojna*, przeł. Włodzimierz Leder.

[224] Miwca „Moked”, *Cheil ha'awir ha'israeli*, 5 lipca 1967. <http://www.iaf.org.il/4929-he/IAF.aspx>.

[225] *Milchemet szeszhet ha'jamim*, Ha'Kneset ha'18. Oficjalne dane z osiemnastego posiedzenia Knesetu, <http://main.knesset.gov.il/About/Lexicon/Pages/six-days.aspx>.

[226] W wypadku wojny mężczyźni mogą zostać powołani do wojska do pięćdziesiątego czwartego roku życia, kobiety do trzydziestego ósmego.

[227] Izraelscy Arabowie, mający obywatelstwo Izraela, nie są powoływani do wojska. Wielu Beduinów ochotniczo zgłasza się do czynnej służby wojskowej. Druzowie i Czerkiesi są powoływani do służby.

[228] Roi Szaron, Feliks Frisz, *Bli kipot al migrasz ha'misdarim*, „Maariw”, nrg, 31.08.2007, <http://www.nrg.co.il/online/1/ART1/630/543.html>.

[229] Izraelki przechodzą na emeryturę w wieku sześćdziesięciu dwóch lat, Izraelczycy - sześćdziesięciu siedmiu; zawodowi wojskowi od czterdziestego piątego roku życia, przeciętnie w wieku pięćdziesięciu lat.

[230] Za: Gili Cohen, *Gam be'2012: hitabdut hi gorem ha'mawet ha'ikari szel hajalej*

CaHal, „Haarec”, 29.01.2013.

[231] Wszystkie moje znajome, podobnie jak ich koleżanki, sąsiadki i matki, których dzieci uczą się wspólnie z moimi, już po trzech miesiącach od chwili urodzenia swoich dzieci oddały je do żłobka lub zapewniły im opiekę nianie po to, by wrócić do pracy zawodowej, mimo prawa do półrocznej, płatnej przez pierwsze trzy miesiące, opieki nad niemowlakiem.

[232] Szoszana Chen, *Seker bdikot herajon*, „Jedijot Achronot”, 29.10.2004, Ynet, <http://www.ynet.co.il/articles/0,7340,L-2996409,00.html>.

[233] Tamże.

[234] CBS, dane z 2005 roku, <http://www.cbs.gov.il/hodaot2007n/11-07-021b.pdf>.

[235] Roni Segew Zacharia, *Eich hafcha Israel Le'ma'acamat poriu beinleumit?*, „Mako”, Chadaszot 2, 23.04.2012, <http://www.mako.co.il/ninemonth-fertility/healthcare/Article-bcc27a4d370e631006.htm>.

[236] W Izraelu na jedną placówkę zajmującą się sztucznym zapłodnieniem przypada dwa tysiące trzydzieści jeden osób. W Danii, która jest na drugim miejscu - trzy tysiące dwieście sześćdziesiąt trzy.

[237] <http://www.ynet.co.il/articles/0,7340,L-4033057,00.html>.

[238] <http://www.ynet.co.il/articles/0,7340,L-4035644,00.html>.

[239] <http://www.haaretz.co.il/news/law/1.1585063>.

[240] <http://www.ynet.co.il/articles/0,7340,L-4157065,00.html>.

[241]

<http://www.iaej.co.il/newsite/Data/UploadedFiles/SitePages/1317-sFileRedir.pdf>.

[242] Rocznik Statystyczny Izraela, 2011.

[243] Awiszaj Ben-Chaim, *Beit ha'din: jesz joter mesorawej get mi'mesorawot*, Nrg, „Maariw”, 26.06.2007, <http://www.nrg.co.il/online/1/ART1/600/643.html>.

[244] W synagogach judaizmu reformowanego, nieuznawanego przez judaizm ultraortodoksyjny, nie ma podziału na część męską i żeńską, a kobieta może zostać rabinem.

[245] Ilja Erenburg, *Burzliwe życie Lejzorka Rojtszwanca*, przeł. Maria Popowska, Warszawa 1957.

[246] Strona internetowa „Srugim”, 16.12.2012.

[247] <http://www.nrg.co.il/online/1/ART2/160/905.html>.

[248] *Baruch sze'lo asani goj, baruch sze'lo asani isza, baruch sze'lo asani ewed* (hebr.), „Błogosławiony bądź za to, że nie stworzyłeś mnie gojem, kobietą ani niewolnikiem”.

[249] HOD - nazwa pochodzi od słów *homoim datiim* (hebr.), homoseksualiści religijni (dosł. także „wspaniałość”).

[250] <http://news.walla.co.il/?w=/90/1829763>.

[251] <http://www.haaretz.co.il/misc/1.1305806>.

[252] <http://www.ynet.co.il/articles/0,7340,L-2703253,00.html>.

[253] <http://www.ynet.co.il/articles/1,7340,L-603828,00.html>.

[254] <http://www.ynet.co.il/articles/0,7340,L-4080322,00.html>.

[255] Zichron Ja'akow, dziś dwudziestotysięczne miasto, było pierwszą żydowską kolonią rolniczą powstałą w Palestynie dzięki funduszom barona Mayera Rothschilda.

[256] <http://www.lachmanina.co.il/press.html>.

[257] *Księga Kapłańska*, 18:18.

[258] *Tora* pozwala mężczyźnie zawrzeć więcej niż jeden związek małżeński, ale nie więcej niż cztery. Zakaz poligamii wydany przez rabina Gerszoma w X wieku położył kres tej praktyce wśród Żydów z całego świata, z wyjątkiem Żydów z Jemenu, do których nie dotarł.

[259] Kobiecie niełatwo skłonić męża do przyjęcia *get*, choć w dawnych czasach odnotowano próby wymuszenia rozwodu siłą lub groźbą wtrącenia do więzienia. Za jedyny uzasadniony powód do żądania przez kobietę rozwodu uznaje się niewypełnianie przez męża nakazu: „bądźcie płodni i rozmnażajcie się”.

[260] *Get* (aram.) - list rozwodowy pisany ręcznie na pergaminie przez sofera (hebr.), pisarza rytualnego, konieczny do przeprowadzenia rozwodu. Według *Księgi Powtórzonego Prawa* (24.3) mąż musi napisać i dostarczyć *get* żonie; według *Talmudu* „z kobietą można się rozwieść za jej zgodą bądź bez takiej zgody, natomiast z mężczyzną można się rozwieść wyłącznie za jego zgodą” (Jew. 14.1).

[261] *At mekudeszet li be'taba'at zo ke'dat Mosze we'Israel* (hebr.) - formuła wypowiedziana przez pana młodego podczas ślubu żydowskiego.

[262] *Kiduszin* (hebr.) - akt zaręczyn, dosł. „poświęcenie”.

[263] Wdowa lewiracka - bezdzietna Żydówka mająca po śmierci męża status rozwódki.

[264] *China* - ceremonia malowania dłoni i stóp panny młodej henną (barwnikiem z pędów i liści lawsonii bezbronnej) wspomniana w biblijnej *Pieśni nad Pieśniami*, przypominająca hinduski zwyczaj *mehendi*.

[265] Jair Etinger, *Si be'giruszim: alija szel 4.7% be'mispar ha'zugot sze'nifredu esztaked*, „Haarec”, 29.01.2013.

[266] *Księga Rodzaju*, 1-28.

[267] Cheder (hebr., dosł. pokój) - religijna, żydowska szkoła dla najmłodszych chłopców.

[268] *Tnaim* (hebr.) - warunki.

[269] *Kolel* (hebr.), *kojlel* (jidysz) - uczelnia religijna dla żonatych mężczyzn.

[270] Mazal tow! (hebr.), mazel tow (jidysz.) - „na szczęście!”.

[271] *Kneidele* (jidysz) - rodzaj knedli z mąki.

[272] Czulent (albo hamin) - długo gotowana potrawa, przygotowywana zwykle na soboty, święta i uroczystości, rodzaj gulaszu z mięsa wołowego z fasolą, ziemniakami, ciecierzycą, kaszą i fasolą.

[273] *Birkat ha' bait* (hebr.) - „błogosławieństwo domu”.

[274] *Księga Wyjścia*, 12-19, *Biblia Tysiąclecia*, s. 79.

[275] Miesiąc *nisan* zwykle przypada na kwiecień, czasami na koniec marca.

[276] Minjan (hebr. dosłownie liczyć, liczba;) w judaizmie oznacza kworum modlitewne niezbędne do wypełnienia niektórych religijnych obowiązków. Tradycyjny minjan na ogół składa się z dziesięciu mężczyzn, w judaizmie konserwatywnym i reformowanym może składać się również z kobiet.

[277] Samarytanie - grupa etniczna pochodząca ze starożytnego regionu Samarii. Samarytanie twierdzą, że to ich religia, a nie główny nurt judaizmu, jest prawdziwą religią starożytnych Izraelitów sprzed czasów istnienia żydowskiej świątyni w Jerozolimie. Mieszkają głównie w Holonie (Izrael) i w Nablus (Szchem) na Zachodnim Brzegu (Autonomia Palestyńska).

[278] <http://www.thesamaritanupdate.com/>.

[279] Według danych zamieszczonych na stronie społeczności Samarytan (<http://www.thesamaritanupdate.com>) w styczniu 2013 roku na świecie żyło siedmiuset pięćdziesięciu sześciu Samarytan.

[280] *Księga Wyjścia (12-19), Biblia Tysiąclecia*, s.79.

[281] *Hagada na Pesach*, psalm 69, przeł. Salomon Spitzer, Wiedeń 1938, s. 44.

W innym tłumaczeniu:

Wylej gniew Twój na ludy, które Cię nie uznają, na królestwa, które nie wzywają Twojego Imienia. Bowiem pożarli Jakuba i spustoszyli jego siedzibę. Wylej na nich Twoje oburzenie, niech ich ogarnie ogień Twojego gniewu! Ścigaj ich Twoim gniewem i zetrzyj ich spod nieba, Haszem.

Hagada na Pesach, Stowarzyszenie 614 Przykazania, Seria: ABC Judaizmu, Los Angeles-Toledo 2007, <http://old.fzp.net.pl/Hagada.pdf>.

[282] <http://www.ravmilim.co.il/default.asp>.

[283] *Milon Ewen-Szoszan ha'Merukaz*, red. Awraham Ewen-Szoszan,, Wyd. „Am Owed”, Tel Awiw 2007, s. 142.

[284] Zew Greenwald, *Bramy Halachy. Religijne prawo żydowskie. Kicur Szulchan Aruch dla współczesności*, red. rabin Sacha Pecaric, Kraków 2005, s. 491 i 488.

[285] *Tanach, czyli Biblia Hebrajska: Baruch Sze'Lo Asani Goj, Baruch Sze'Lo Asani Isza, Baruch Sze'Lo Asani Ewed*.

[286] *Ase lecha raw* (hebr.) - „wybierz sobie rabina”.

[287] Icchak Szapira, Josef Elitzur, *Torat Ha'Melech. Ha'Machon Ha'Torani sze'aljad Jesziwat*, Od Josef Chaj, Itzhar 2009.

[288] <http://www.nrg.co.il/online/1/ART1/964/186.html>.

[289] Icchak Szapira, Josef Elitzur, *Torat Ha'Melech...* s. 18.

[290] <http://www.inn.co.il/News/News.aspx/207872>.

[291] *Szulchan Aruch* (hebr., dosł. Nakryty Stół) - obowiązujący we współczesnym judaizmie podstawowy kodeks prawa żydowskiego, ułożony przez Josefa Karo i wydany w Wenecji w 1565 roku w formie komentarza do *Arba'a Turim*, wcześniejszego kodeksu Jaakowa Ben Aszera z pierwszej połowy XIV wieku. Powstał z myślą o udostępnieniu prawa religijnego wszystkim Żydom, stąd autor pominął w nim komentarze etyczne, cytaty z *Biblii*, źródła halachiczne oraz imiona autorów poszczególnych rozwiązań prawnych (na podstawie Wikipedii).

[292] W Izraelu podział na lewicę, prawicę i centrum odzwierciedla zazwyczaj stosunek do Palestyńczyków i okupacji Zachodniego Brzegu. Lewica opowiada się za porozumieniem pokojowym z Palestyńczykami i jest przeciwna izraelskiej okupacji.

[293] W Izraelu, biblijnej krainie „miodem i mlekiem płynącej” wartość produkcji miodu osiąga około stu milionów szekli rocznie, a innych produktów pszczelich - dwa i pół miliarda szekli. Cena detaliczna miodu - około trzystu pięćdziesięciu gramów (słoik średniej wielkości), wynosi dwadzieścia jeden szekli.

[294] *Kapparot* (hebr.) - pokuta, pojednanie.

[295] Na podstawie gazety „Megafon”, <http://megafon-news.co.il/asys/archives/86369>.

[296] Rok 5773 kalendarza żydowskiego przypada na lata 2012-2013 kalendarza gregoriańskiego.

[297] <http://www.ynet.co.il/articles/0,7340,L-4285312,00.html>.

[298] Kameraz-Kos N., *Święta i obyczaje żydowskie*, Cyklady, Warszawa 2000.

[299] Szaj (Szmuel Josef) Agnon - prozaik izraelski laureat Nagrody Nobla w

dziedzinie literatury w 1966 roku.

[300] Pew Research Center for the People & the Press, raport z 19 grudnia 2011 roku.

[301] Angel Wagenstein, *Pięcioksiąg Izaaka*, Zysk i S-ka, Poznań 2009, s. 89.

[302] Sitaraman Shankar, „*Dr Doom*” sees Iran-Israel clash, says buy precious metals, Reuters, 6.03.2012.

[303] *Doch Mewaker ha'Medina 2007: ha'cawa lo haja muchan le'milchama* (Raport Kontrolera Państwa: wojsko nie było gotowe do wojny), 2007.

[*] Z wyjątkiem kilku sytuacji dotyczących konwersji na judaizm w mojej książce słowo „Żyd” opisuje zawsze przynależność do narodu żydowskiego (przynależność i wyznanie w odniesieniu do środowisk religijnych).

[**] Imiona i nazwiska zostały zmienione; chyba że zainteresowani, udzielając mi wywiadu, wyrazili zgodę, aby były autentyczne.